

ARTHUR

HAILEY

HOTEL

Hotel

Tłumaczył
Sławomir Kędzierski



Podróżniku, zatrzymaj się w tym niegodnym domu.

Kąpiel jest gotowa.

Spokojny pokój oczekuje na ciebie.

Wejdz! Wejdz!

Przekład wywieszki nad wejściem do gospody
w Takamatsu, w Japonii

Poniedziałek wieczorem

1.

Gdybym miał wolną rękę, pomyślał Peter McDermott, już dawno wyrzuciłbym głównego detektywa hotelowego. Ale nie miał swobody działania i tęgiego eks-policjanta znowu nie można było znaleźć w momencie, gdy najbardziej był potrzebny.

Silny, wysoki McDermott pochylił się i ze zniecierpliwieniem postukał w widelki telefonu stojącego na biurku.

- Piętnaście spraw naraz - powiedział do dziewczyny stojącej przy oknie jego obszernego, włożonego grubym dywanem gabinetu - i nikt nie jest w stanie go odnaleźć.

Christine Francis spojrzała na zegarek. Zbliżała się jedenasta w nocy.

- Spróbuj zadzwonić do knajpy na Baronne Street.

Peter McDermott skinął głową.

- Centrala sprawdza wszystkie miejsca, w których bywa Ogilvie.

Otworzył szufladę biurka, wyjął papierosy i zapraszającym gestem wyciągnął je w stronę Christine.

Podeszła i wzięła jednego. McDermott podał jej ogień i sam również zapalił. Przyglądał się, jak dziewczyna zaciąga się dymem.

Christine Francis parę minut temu wyszła ze swojego, o wiele mniejszego gabinetu w administracyjnej części hotelu St. Gregory. Pracowała do późna i miała właśnie zamiar iść już do domu, gdy światło pod drzwiami gabinetu zastępcy naczelnego dyrektora zwróciło jej uwagę. Weszła więc do środka.

- Nasz pan Ogilvie sam ustala swoje obowiązki - stwierdziła. - Zawsze tak było. Na polecenie właściciela.

McDermott jeszcze przez chwilę rozmawiał przez telefon, a potem znowu czekał.

- Masz rację - przytaknął. - Próbowałem zreorganizować naszą służbę detektywistyczną, ale solidnie natarto mi uszu.

- Nie wiedziałam o tym - powiedziała cicho.

- Myślałem, że wiesz o wszystkim. - Spojrzał na nią kpiąco.

Zazwyczaj tak było. Jako osobista asystentka Warrena Trenta, nieobliczalnego i

cholerycznego właściciela największego hotelu w Nowym Orleanie, była zorientowana zarówno w tajemnicach hotelu jak i jego codziennych sprawach. Wiedziała na przykład, że właściwie to Peter (którego miesiąc lub dwa temu awansowano na zastępcę dyrektora naczelnego) prowadzi wielki, pełen krzątający hotel St. Gregory - za niezbyt wysoką pensję i z dość ograniczonym zakresem władzy. Znała również powód takiego stanu rzeczy. Była nim teczka z napisem *Poufne*, która dotyczyła prywatnego życia Petera McDermotta.

- Co się właściwie stało? - zapytała Christine.

Grubo ciosana, niemal brzydka twarz McDermotta wykrzywiła się w pogodnym uśmiechu.

- Są skargi z jedenastego piętra, że odbywa się tam jakaś orgia. Na dziewiątym księżna Croydonu twierdzi, iż książe został obrażony przez kelnera z obsługi pokojów. Otrzymałem też meldunek o strasznych jękach w 1439. A tymczasem kierownik nocnej zmiany jest chory, a pozostali dwaj detektywi zajęci są gdzie indziej.

Znowu zaczął telefonować i Christine wróciła do okna gabinetu mieszczącego się na głównej antresoli hotelu. Odchyliła głowę, aby dym z papierosa nie drażnił jej oczu i spojrzała na panoramę miasta. Na przeciwko, za luką między przyległymi budynkami, widać było gęsto zabudowany prostokąt French Quarter. Choć do północy pozostała zaledwie godzina, jak na Quarter było jeszcze wcześniej. Światła nocnych barów, klubów jazzowych i lokali ze striptizem będą się paliły do jutra rana.

Na północy, pewnie gdzieś nad jeziorem Pontchartrain, zbierała się w ciemności letnia burza. Zapowiadały ją odległe dudnienia i rozbłyski. Przy odrobinie szczęścia, jeżeli burza skieruje się na południe, w stronę Zatoki Meksykańskiej, w Nowym Orleanie może zacznie nad ranem padać.

Przydałby się deszcz, pomyślała Christine. Od trzech tygodni miasto dręczyły upał i wysoka wilgotność, które wywoływały u wszystkich napięcie nerwowe i rozdrażnienie. Hotel również lepiej by funkcjonował. Dzisiaj po południu kierownik techniczny znowu narzekał: „Jeżeli wkrótce nie będę mógł wyłączyć części klimatyzacji, to nie odpowiadam za łożyska.”

Peter McDermott odłożył słuchawkę.

- Masz nazwisko gościa zajmującego pokój, w którym słychać jęki?

Pokręcił głową i znowu zaczął telefonować.

- Zaraz się dowiem. Pewnie komuś śnią się koszmary, ale lepiej będzie się upewnić.

Christine usiadła w wielkim, skórzanym fotelu stojącym przed biurkiem i nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. W normalnej sytuacji, już od wielu godzin byłaby w swoim mieszkaniu w Gentilly. Ale kończący się dzień był wyjątkowo pełen zajęć.

Przybywali uczestnicy dwóch zjazdów oraz wielu innych gości hotelowych. Stwarzało to mnóstwo problemów, z których większa część docierała przede wszystkim na jej biurko.

- Dobrze, dziękuję - McDermott nabazgrał na kartce nazwisko i skończył rozmowę. - Albert Wells. Z Montrealu.

- Znam go - stwierdziła Christine. - Sympatyczny, niepozorny jegomość. Zatrzymuje się u nas co roku. Jeżeli chcesz, mogę to sprawdzić.

Spoglądał na szczupłą, zgrabną sylwetkę dziewczyny. Nie mógł się zdecydować.

Telefon znowu zadzwonił i Peter odebrał go.

- Bardzo mi przykro, proszę pana - odezwała się telefonistka. - Nie możemy znaleźć pana Ogilvie.

- Trudno. Proszę mnie połączyć z kierownikiem boyów hotelowych.

Wprawdzie nie mogę wylać głównego detektywa hotelowego, pomyślał McDermott, ale przynajmniej zrobię mu rano piekło. Tymczasem wyślę kogoś innego, żeby wyjaśnił sprawę zakłócania spokoju na jedenastym piętrze, a sam zajmę się skargą Croydonów.

- Kierownik boyów - usłyszał w słuchawce. Poznał nosowy głos Herbiego Chandlera. Podobnie jak Ogilvie, był on jednym z weteranów St. Gregory'ego i podobno załatwiał o wiele więcej lewych interesów niż ktokolwiek z całego personelu.

McDermott wyjaśnił sprawę Chandlerowi i poprosił go, aby zbadał informację o rzekomej orgii. Zgodnie z oczekiwaniami, natychmiast napotkał opór: „To nie moje zajęcie, panie Mac, a poza tym ciągle mamy na dole pełne ręce roboty”. Ton głosu Chandlera był typową mieszanką bezczelności i lizusostwa.

- Proszę nie dyskutować - polecił. - Chcę, żeby to zostało wyjaśnione. I jeszcze coś - podjął kolejną decyzję. - Niech pan przyśle tutaj boya z uniwersalnym kluczem. Zgłosi się u panny Francis.

- Odłożył słuchawkę, przerywając w ten sposób kolejne próby protestu.

- Chodźmy. - Dotknął dłonią ramienia Christine. - Weź ze sobą boya i powiedz swojemu znajomemu, żeby okiełznał dręczące go zmary.

2.

Herbie Chandler stał zamyślony przy wysokim kontuarze kierownika boyów w holu St. Gregory'ego. Na jego szczerzej twarzy wyraźnie malował się wewnętrzny niepokój.

Ze swojego stanowiska usytuowanego pośrodku, obok jednej z betonowych kolumn podpierających wysoki, bogato zdobiony sufit, miał oko na wszystko, co dzieje się w

hotelowym holu. W tej chwili ruch był duży. Uczestnicy konferencji kręcili się tam i z powrotem, a w miarę upływu godzin i spożycia alkoholu, stawali się coraz bardziej rozbawieni.

Chandler z przyzwyczajenia obserwował wszystko, co się dzieje naokoło. Przez drzwi od strony Carondel Street weszła grupa hałaśliwych gości - trzech mężczyzn z plakietkami konferencji „Gold Crown Cola” i dwie kobiety. Trzymali szklaneczki do koktajlów (za które Pat O'Brien w swoim barze we French Quarter brał od turystów po dolarze za sztukę), jeden z nich szedł bardzo niepewnie, podtrzymywany przez pozostałych. Goście w holu rozstąpili się z wyrozumiałością i cała piątka powędrowała zygzakami do baru na pierwszym piętrze.

Ciągle pojawiali się nowi przybysze - z nocnych samolotów i pociągów. Kilku nowych gości odprowadzali właśnie do pokoi boyowie Chandlera. Określenie to stanowiło właściwie figurę retoryczną, gdyż żaden z nich nie miał mniej niż czterdzieści lat, a kilku siwiejących weteranów pracowało w hotelu od ćwierć wieku, albo i dłużej. Herbie Chandler, który miał prawo zatrudniać i zwalniać swoich pracowników, wołał starszych mężczyzn. Ktoś, kto podnosi ciężką walizkę postępując z wysiłkiem, bardziej może liczyć na dobry napiwek niż młodzik, podrzucający kufer jakby był wyładowany puchem. Jeden z jego starszych podwładnych, w rzeczywistości żyłasty i silny jak muł, miał zwyczaj odstawiać na chwilę bagaże i łapać się za serce. Dopiero po chwili odpoczynku podnosił je kręcąc głową i szedł dalej. Przedstawienie takie bardzo rzadko przynosiło mu mniej niż dolara napiwku od ogarniętych wyrzutami sumienia gości, przekonanych, że staruszek dostanie ciężkiego ataku serca tuż za zakrętem korytarza. Nie wiedzieli natomiast, że dziesięć procent z ich napiwków powędruje do kieszeni Herbiego Chandlera, razem z dwoma dolarami dziennie, które ściągał od każdego podwładnego za szansę zachowania pracy.

Wprowadzony przez Herbiego system prywatnych opodatkowań wywoływał wiele wypowiedzianych po cichu narzekań. A przecież, kiedy hotel był pełny, sprawny boy mógł zarobić na czysto sto pięćdziesiąt dolarów tygodniowo. W sytuacji takiej jak dzisiaj wieczorem, Chandler często zostawał na stanowisku o wiele dłużej niż zwykle. Nikomu nie ufał i lubił sam pilnować należnych mu procentów. Miał niesamowity talent do oceniania gości i dokładnie potrafił przewidzieć, ile przyniesie każda wędrownica na górne piętra. W przeszłości, kilku cwaniaków próbowało oszukać Herbiego twierdząc, że otrzymali mniejsze napiwki niż w rzeczywistości. Represje były natychmiastowe i bezwzględne, a miesięczne karne zawieszenie za jakies rzekome przewinienia szybko przywoływało nieposłusznych do porządku.

Istniał jeszcze jeden powód dzisiejszej obecności Chandlera w hotelu. Stanowił

również przyczynę niepokoju, który od przeprowadzonej przed kilkoma minutami rozmowy z Peterem McDermottem narastał w nim coraz bardziej. Otrzymał polecenie zbadania skarg z jedenastego piętra. Herbie Chandler nie musiał tego robić, bo mniej więcej wiedział, co się tam dzieje. W końcu bowiem sam wszystko zorganizował.

Trzy godziny wcześniej dwóch młodych ludzi bardzo wyraźnie określiło swoje życzenia. Wysłuchał ich z uwagą, ojcowie obu byli bowiem zamożnymi miejscowymi notablami i częstymi gośćmi hotelu.

- Posłuchaj, Herbie - powiedział jeden z chłopaków. - Mamy dziś wieczorem bal korporantów. Wciąż to samo stare gówno, a my chcielibyśmy coś innego.

- Co innego? - zapytał, znając z góry odpowiedź.

- Wzięliśmy apartament. - Chłopak zaczerwienił się. - Potrzebujemy paru dziewczyn.

Za duże ryzyko, uznał natychmiast Herbie. Obydwaj byli bardzo młodzi, a poza tym podejrzewał, że zdążyli już sobie wypić.

- Niezmiernie mi przykro, panowie... - zaczął, ale w tej samej chwili wtrącił się drugi chłopak.

- Nie wciskaj nam kitu, że nie możesz, bo doskonale wiemy, kto tu rządzi dziewczynkami.

Herbie Chandler wyszczerzył długie zęby w marnej imitacji uśmiechu.

- Nie wiem, skąd panu to przyszło do głowy, panie Dixon.

- Zapłacimy, Herbie. Wiemy, co i jak - nalegał pierwszy chłopak.

Chandler wahał się. Miał wątpliwości, ale jednocześnie ogarnęła go chciwość. Ostatnio jego uboczne zarobki były mniejsze niż zazwyczaj. A może, w gruncie rzeczy, ryzyko nie jest aż tak wielkie?

- Przestańmy się obcyndalać - stwierdził Dixon. - Ile?

Herbie popatrzył na młodych ludzi, przypomniał sobie ich ojców i pomnożył standardową opłatę przez dwa.

- Sto dolarów.

Na chwilę zapadła cisza.

- Załatwione - rzucił stanowczym tonem Dixon. - Słuchaj - zwrócił się do swego towarzysza - już zapłaciliśmy za wodę. Pożyczę ci brakującą część twojej działki.

- No cóż...

- Płatne z góry, panowie. - Herbie nerwowo zwilżył językiem cienkie wargi. - I jeszcze jedna sprawa. Musicie zadbać, żeby nie było żadnych hałasów. W przeciwnym razie wpłyną skargi i będziemy wszyscy mieli kłopoty.

Zapewnili go, że wszystko będzie w porządku. Teraz jednak okazało się, że najwidoczniej nie dotrzymali słowa i jego obawy sprawdzały się w bardzo nieprzyjemny sposób. Godzinę temu zjawiły się dziewczyny. Jak zwykle, weszły głównymi drzwiami i tylko niewielka grupka wtajemniczonych pracowników hotelowych zdawała sobie sprawę, że nie mieszkają w hotelu. Gdyby wszystko ułożyło się jak należy, powinny właśnie równie dyskretnie wychodzić jak się zjawiły.

Przekazana przez McDermotta skarga z jedenastego piętra wyraźnie mówiła o orgii seksualnej, a to oznaczało już poważne komplikacje. Jakże? Herbie z niepokojem przypomniał sobie, że Dixon wspominał o wódce.

Mimo wysiłków przeciążonej aparatury klimatyzacyjnej w holu było gorąco i parno. Herbie wyjął jedwabną chustkę do nosa i wytarł spocone czoło. A przy okazji przeklinał w duchu swoją głupotę i zastanawiał się gorączkowo, czy powinien iść na górę, czy też trzymać się z daleka od całej tej sprawy.

3.

Peter McDermott wjechał windą na dziewiąte piętro. Wyszedł z niej, zostawiając w środku Christine, która wraz z towarzyszącym jej boyem miała udać się wyżej, na czternaste. Na moment zawahał się w otwartych drzwiach.

- Przyślij po mnie, jeżeli będą jakieś kłopoty - powiedział.
- W razie potrzeby będę krzyczeć.

Kiedy skrzydła drzwi zasuwwały się, odgradzając ich od siebie, wzrok Petera napotkał jej oczy. Przez chwilę stał zapatrzony w miejsce, w którym przed chwilą zniknęła, a potem zamaszystym krokiem ruszył po wyłożonym chodnikiem korytarzu, w stronę Apartamentu Prezydenckiego.

Był to największy i najbardziej elegancki zespół pokoi w St. Gregorym, potocznie zwany apartamentem waśniaków. Swego czasu mieszkali w nim liczne znakomitości, w tym również prezydenci i koronowane głowy. Większość z nich lubiła Nowy Orlean, miasto bowiem zawsze witało ich serdecznie, a potem potrafiło uszanować prywatność gościa i uchronić go przed niedyskrecjami. Obecnie apartament zajmowali książę i księżna Croydonu, którzy choć nie byli głowami państwa, niewątpliwie na swój sposób zaliczali się do znakomitości. Towarzyszył im sekretarz, pokojówka księżnej oraz pięć terierów bedlington.

Peter McDermott stanął przed podwójnymi, obitymi skórą drzwiami ozdobionymi złotymi burbońskimi liliami, przycisnął guzik z macicy perłowej i usłyszał wewnątrz

przytłumione brzęczenie, a także nieco głośniejsze chóralne szczekanie. Czekać zastanawiał się, co wie o Croydonach.

Książę Croydonu, potomek starożytnego rodu, dzięki swemu sposobowi bycia potrafił przystosować się do nowych czasów. W ciągu minionych dziesięciu lat z pomocą księżnej, która również była znaną osobistością i kuzynką królowej, pełnił funkcję ambasadora do specjalnych poruczeń i pomyślnie załatwił wiele kłopotliwych spraw dla rządu brytyjskiego. Ostatnio krążyły plotki, że kariera księcia osiągnęła swój punkt krytyczny. Przyczyną był jego zbyt swobodny styl życia oraz nadmierne zainteresowanie alkoholem i cudzymi żonami. Według innych informacji, kłopoty księcia były błahe i miały przejściowy charakter, a księżna doskonale kontroluje sytuację. Należało się raczej liczyć z rychłym mianowaniem księcia Croydonu ambasadorem Wielkiej Brytanii w Waszyngtonie.

- Przepraszam, panie McDermott, czy mógłbym zamienić z panem kilka słów? - Za plecami McDermotta rozległ się cichy głos.

Odwrócił się gwałtownie i poznał Sola Natcheza, jednego ze starych kelnerów obsługujących pokoje hotelowe. Był to wysoki, przeraźliwie blady mężczyzna w krótkiej, białej kurtce z wyłogami w złoto-czerwonych barwach hotelu. Gładko przyлизane włosy były zaczesane do przodu w staroświecki pukiel nad czołem. Miał wyblakłe, zażawione oczy i żylaste dłonie, które zacierał nerwowo.

- Co się stało, Sol?

- Przypuszczam, że przyszedł pan w sprawie tej skargi, skargi na mnie - oznajmił podenerwowanym głosem kelner.

McDermott zerknął na podwójne drzwi. Jeszcze się nie otworzyły, poza szczekaniem nie dobiegał zza nich żaden odgłos.

- Niech mi pan powie, co się stało - zaproponował.

Sol przełknął gwałtownie ślinę. Nie odpowiedział na zadane pytanie, lecz zaczął pospiesznie szeptać błagalnym tonem:

- Jeżeli wyrzucą mnie z pracy, panie McDermott, trudno mi będzie znaleźć inną w moim wieku. - Zerknął w stronę Apartamentu Prezydenckiego z mieszaniną niepokoju i niechęci. - Nie są najtrudniejszymi ludźmi do obsługiwania... Z wyjątkiem dzisiejszego wieczoru. Zawsze byli bardzo wymagający, ale wcale mi to nie przeszkadzało, mimo że nigdy nie dostałem od nich żadnego napiwku.

Peter uśmiechnął się mimowolnie. Brytyjska arystokracja rzadko dawała napiwki, przeświadczona zapewne, że zaszczyt usługiwania jej stanowi już wystarczającą nagrodę.

- Nie powiedział mi pan jeszcze... - przerwał kelnerowi.

- Właśnie do tego zmierzam, panie McDermott.

Zaniepokojenie człowieka, który mógłby być dziadkiem Petera, wywoływało w nim przykre uczucie zażenowania.

- Mniej więcej pół godziny temu książę i księżna zamówili późną kolację: ostrygi, szampan, krewetki po kreolsku.

- Mniejsza o menu. Co się stało?

- Chodziło o krewetki po kreolsku, sir. Kiedy je podawałem... Przez tyle lat coś takiego przydarzyło mi się tylko kilka razy...

- Na litość boską! - Peter zerkał na drzwi apartamentu gotów przerwać rozmowę natychmiast, gdy się otworzą.

- Tak jest, panie McDermott. No więc, kiedy podawałem krewetki księżna wstała od stołu, a gdy wracała, trąciła mnie w rękę. Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, powiedziałbym, że trąciła mnie umyślnie.

- Zupełnie nieprawdopodobne!

- Wiem, proszę pana, wiem. Ale w rezultacie tego, co się stało, proszę pana, na spodniach księcia zrobiła się tylko maleńka plamka... przysięgam, że nie większa niż ćwierć cala.

- I to wszystko? - zapytał z powątpiewaniem Peter.

- Panie McDermott, przysięgam, że tak. Ale księżna zrobiła taką awanturę, iż można by pomyśleć, że popełniłem morderstwo. Przeprosiłem. Przyniosłem czystą serwetkę i wodę, żeby wyczyścić plamę, ale nic z tego. Domagała się, żeby posłać po pana Trenta....

- Pana Trenta nie ma w hotelu.

Peter postanowił zapoznać się z wersją drugiej strony, zanim sformułuje wnioski. Poleciał więc Natchezowi:

- Jeżeli skończył pan już dzisiaj pracę, niech pan idzie do domu. Proszę zameldować się jutro rano i wtedy dowie się pan, co będzie dalej.

Gdy kelner odszedł, Peter McDermott ponownie przycisnął guzik dzwonka. Szczekanie właściwie jeszcze nie rozpoczęło się na nowo, kiedy drzwi otworzył mu młody mężczyzna z krągłą twarzą i binoklem. Peter zorientował się, że ma do czynienia z sekretarzem Croydonów.

Zanim któryś z nich zdążył się odezwać, z głębi apartamentu dobiegł kobiecy głos:

- Ktokolwiek to jest, powiedz mu, żeby przestał dzwonić.

Mimo apodyktycznego tonu, pomyślał Peter, ma wyjątkowo atrakcyjny głos, o podniecająco niskim i matowym brzmieniu.

- Bardzo przepraszam - powiedział sekretarzowi. - Myślałem, że państwo nie słyszeli.
- Przedstawił się, a potem dodał - Dowiedziałem się, że mieli państwo jakieś kłopoty z naszą służbą. Przyszedłem się dowiedzieć, czy mógłbym w czymś pomóc.

- Spodziewaliśmy się pana Trenta - odparł z wyrzutem sekretarz.

- Pana Trenta nie ma dzisiaj wieczorem w hotelu.

W trakcie rozmowy przeszli z korytarza do holu apartamentu. Znaleźli się w urządzonej ze smakiem obszernym pomieszczeniu z grubym, jednobarwnym dywanem na podłodze, dwoma wyściełanymi fotelami i umieszczonym przy ścianie stolikiem telefonicznym, nad którym wisiały ryciny Morrisa Henry'ego Hobbsa przedstawiające stary Nowy Orlean. Podwójne drzwi prowadzące do korytarza tworzyły jeden bok prostopadłościanu. Z drugiej strony znajdowały się lekko uchylone drzwi do dużego salonu. Po prawej i lewej stronie kolejne drzwi prowadziły do kuchenki i do pokoju będącego połączeniem gabinetu z sypialnią. Zajmował go sekretarz Croydonów. Do dwóch głównych, połączonych ze sobą sypialni apartamentu wchodziło się zarówno od strony kuchni jak i salonu. Dzięki takiemu rozplanowaniu wnętrza można było w razie potrzeby wpuścić i wypuścić przez kuchnię jakiegoś nieoficjalnego, sypialnianego gościa.

- Dlaczego więc po niego nie posłano? - Pytanie padło bez żadnych wstępów, gdy drzwi salonu otworzyły się i pojawiła się księżna Croydonu w towarzystwie trzech bedlingtonów uwijających się żywo koło jej nóg. Pstryknąwszy energicznie palcami uciszyła psy i spojrzała na Petera. Patrzył na piękną twarz o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych, tak dobrze znaną z tysięcy fotografii. Nawet w domowym ubraniu księżna wygląda niezwykle elegancko.

- Prawdę mówiąc, Wasza Wysokość, nie wiedziałem, że życzyła sobie pani widzieć się z panem Trentem osobiście.

Szaro-zielone oczy przyglądały mu się bacznie.

- Nawet w przypadku nieobecności pana Trenta mogłam oczekiwać któregoś z jego s t a r s z y c h podwładnych.

Peter zaczerwienił się mimo woli. Księżna Croydonu zachowywała się z wyniosłością, która na swój przewrotny sposób była zadziwiająco pociągająca. Przypomniał sobie pewną fotografię. Widział ją w jakimś ilustrowanym czasopiśmie - księżna skacząca na koniu przez wysoką przeszkodę. W chwili obecnej również zdawała się całkowicie panować nad sytuacją.

- Jestem zastępcą naczelnego dyrektora. Dlatego przyszedłem osobiście.

W jej oczach błysnęło rozbawienie.

- Czy nie jest pan trochę na to za młody?

- Nie sędę. Obecnie wielu młodych ludzi zajmuje się zarządzaniem hotelami.

Spostrzegł, że sekretarz dyskretnie zniknął.

- W takim razie, ile ma pan lat?

- Trzydzieści dwa.

Księżna uśmiechnęła się. Kiedy tego chciała, tak jak w tej chwili, jej twarz stawała się ciepła i pełna życia. Bez trudu, pomyślał Peter, można uwierzyć w jej słynny wdzięk. Obliczył sobie, że jest pięć albo sześć lat starsza od niego. Ale zdecydowanie młodsza od księcia, który miał prawie pięćdziesiątkę.

- Skończył pan jakieś kursy, czy coś w tym rodzaju? - zapytała.

- Mam dyplom Cornell University... To Wyższa Szkoła Administracji Hotelowej. Zanim zacząłem tu pracować, byłem zastępcą dyrektora w Waldorfie.

Z przykrością zmusił się, aby wspomnieć o Waldorfie. Miał ochotę dodać: i wyrzucono mnie stamtąd w niesławie, umieszczono na czarnej liście całej sieci hotelowej, mam więc szczęście, że mogę pracować tutaj, w niezrzeszonym hotelu. Oczywiście nie powiedział tego, bo piekło, w którym żył, było wyłącznie jego prywatną sprawą, nawet jeżeli czyjeś mimochodem rzucone pytanie otwierało starą, ale wciąż bolącą ranę.

- W Waldorfie nie tolerowano by podobnego incydentu.

- Zapewniam panią, że jeżeli jesteśmy winni, St. Gregory również nie będzie tego tolerował.

Ta rozmowa, pomyślał, przypomina grę w tenisa, w której piłeczka przelatuje z jednej strony kortu na drugą. Czekał teraz na jej ruch.

- Czyżby pan wątpił?! Czy zdaje pan sobie sprawę, że wasz kelner oblał mojego męża krewetkami w sosie kreolskim?

Zaczął się zastanawiać, jaka mogła być prawdziwa przyczyna tej oczywistej przesady. Rzuciła się ona w oczy tym bardziej, że do tej pory stosunki między hotelem i Croydonami układały się doskonale.

- Zdaję sobie sprawę, że wypadek wynikał zapewne z niedbałości personelu. Przyszedłem więc państwa przeprosić w imieniu hotelu.

- Zmarnowano nam cały wieczór - kontynuowała księżna. - Mąż i ja postanowiliśmy spędzić go razem, w naszym apartamencie. Wyszliśmy tylko na kilka chwil, aby przejść się wokół hotelu, a potem wróciliśmy na kolację - i proszę!

Peter skinął głową, pozornie współczując, ale jednocześnie zaintrygowany zachowaniem księżnej. Miał bowiem wrażenie, że księżna bardzo chce, aby ten wypadek zapisał się dokładnie w jego pamięci.

- Może gdybym mógł przekazać księciu nasze przeprosiny... - zaproponował.

- To nie będzie konieczne - odparła księżna zdecydowanym tonem.

Zamierzał właśnie wyjść, gdy uchylone drzwi prowadzące do salonu otworzyły się na całą szerokość i stanął w nich książę Croydonu.

W przeciwieństwie do księżnej, był niechlujnie ubrany w pogniecioną białą koszulę i spodnie od smokingu. Instyktownie, wzrok Petera McDermotta usiłował odnaleźć plamę tam, gdzie Natchez, według księżnej, „oblał męża krewetkami w sosie kreolskim”. Zauważył ją, chociaż była ledwie widoczna - maleńki ślad, który lokaj usunąłby bez problemu. Za plecami księcia, w obszernym salonie grał włączony telewizor.

Twarz księcia była zaczerwieniona i o wiele silniej pobrużdżona niż rejestrowały to ostatnie zdjęcia. Trzymał w ręku szklankę.

- Och, przepraszam - wybełkotał. Zwrócił się do księżnej. - Słuchaj, moja droga. Chyba zostawiłem papierosy w samochodzie.

- Zaraz jakieś przyniosę - odpowiedziała ostro. Zabrzmiało to, jakby kazała mu wyjść. Książę skinął głową, odwrócił się i wrócił do salonu. Ta dziwna, nieprzyjemna scena z jakiegoś powodu wzmogła gniew księżnej. Odwróciła się do Petera.

- Nalegam, aby przekazać panu Trentowi pełne sprawozdanie z incydentu i proszę go poinformować, że oczekuję jego osobistych przeprosin.

Peter wyszedł z apartamentu zdziwiony. Nie miał jednak czasu na rozmyślanie. Na korytarzu czekał na niego boy, który odwiózł Christine na czternaste piętro.

- Panie McDermott - powiedział nagłaco. - Panna Francis czeka na pana w 1439 i prosi, żeby pan przyszedł jak najszybciej!

4.

Mniej więcej piętnaście minut wcześniej, w chwili gdy Peter McDermott wyszedł z windy i udał się do apartamentu prezydenckiego, boy uśmiechnął się do Christine.

- Zabiera pani chleb detektywom, panno Francis?

- Nie musiałabym tego robić, gdyby główny detektyw był na miejscu.

Boy, Jimmy Duckworth, łysiejący, przysadzisty mężczyzna, którego żonaty syn pracował w księgowości St. Gregory'ego, parsknął pogardliwie:

- Ach, on?!

Winda zatrzymała się na czternastym piętrze.

- Do 1439, Jimmy - powiedziała Christine i odruchowo oboje skreśliła w prawo.

Uświadomiła sobie, że każde z nich poznało geografię hotelu w inny sposób. Boy, prowadząc gości z holu do ich pokoi, ona zaś na podstawie utrwalonych w pamięci planów każdego piętra St. Gregory'ego.

Pomyślała sobie, że jeszcze przed pięcioma laty, kiedy studiowała na Uniwersytecie Wisconsin, ani ona sama ani nikt inny, w najbardziej nawet nieprawdopodobnych przypuszczeniach nie wyobraziłby sobie, że dwudziestoletnia Chris Francis, inteligentna studentka ze smykałką do języków obcych, będzie kiedyś pracowała w nowoorleańskim hotelu. Nie wiedziała wówczas nic o Mieście Półksiężycy i wcale się nim nie interesowała. Uczyła się w szkole o kupnie Luizjany i widziała „Tramwaj zwany pożądaniem”. Kiedy wreszcie tu przyjechała, zorientowała się, że to, o czym pisał Tennessee Williams też jest już nieaktualne. Tramwaje zostały zastąpione przez autobusy z silnikami diesla, a Desire była ponurą ulicą we wschodniej części miasta, na którą rzadko zaglądali turyści.

Miała wrażenie, że w pewnym stopniu właśnie ten brak wiedzy spowodował, że przyjechała do Nowego Orleanu. Po wypadku w Wisconsin, oziębiała i właściwie nie zastanawiając się specjalnie nad motywami swojego postępowania, szukała miejsca, w którym nikt by jej nie znał i które dla niej byłoby obce. Otaczające ją znajome rzeczy budziły w jej sercu ból wypełniający każdą chwilę i przenikający do snów. Dziwne, ale nigdy nie dręczyły jej nocne koszmary i wtedy nawet wstydziła się z tego powodu. Zapamiętała tylko wydarzenia, które rozegrały się w ten koszmarny dzień na lotnisku Madison. Odprowadzała tam swoją rodzinę odlatującą do Europy. Matkę, wesołą i podnieconą, z przypiętą orchideą, zamówioną telegraficznie przez przyjaciela, aby pełniła rolę talizmanu na drogę, i ojca - odprężonego i pogodnie zatroskanego faktem, że przez miesiąc kto inny będzie się martwił prawdziwymi i wyimaginowanymi dolegliwościami jego pacjentów. Pykał fajkę i wystukał ją o obcas, gdy ogłoszono ich lot. Babs, starsza siostra, objęła Christine. Nawet o dwa lata młodsza Tony, która nienawidziła publicznego okazywania uczuć, pozwoliła się pocałować.

- Trzymaj się, Szyneczko! - zawołały do niej i Christine uśmiechnęła się słysząc głupiutkie, pieszczotliwe przezwisko. Wszyscy obiecali pisać, mimo że i tak za dwa tygodnie, po ukończeniu semestru, miała dołączyć do nich w Paryżu. W końcu matka objęła mocno Chris i powiedziała, aby uważała na siebie. Kilka minut później wielki turbośmigłowy samolot wykołował ze stanowiska i majestatycznie wystartował z rykiem silników. Ledwo jednak wzbil się z pasa startowego, opadł z powrotem, opuszczając jedno skrzydło, odbił się koziółkując i po chwili przekształcił się w chmurę pyłu, potem płonąca pochodnię i wreszcie w stertę odłamków metalu i ludzkich szczątków.

Zdarzyło się to pięć lat temu. Kilka tygodni później wyjechała z Wisconsin i nigdy

tam już nie wróciła.

Odgłos kroków jej i boya tłumiał gruby chodnik. Idący tuż przed nią Jimmy Duckworth zastanawiał się na głos.

- Pokój 1439... to ten starszy jegomość, pan Wells. Parę dni temu przenieśliśmy go z narożnego pokoju.

Drzwi przed nimi otworzyły się i wyszedł z nich dobrze ubrany mężczyzna około czterdziestki. Zamknął je za sobą i wkładając klucz do kieszeni zawahał się, z wyraźnym zainteresowaniem przyglądając się Christine. Chyba miał zamiar się odezwać, ale boy ledwo dostrzegalnie pokręcił głową. Christine dostrzegła całą tę wymianę znaków i pomyślała sobie, że chyba powinien jej schlebiać fakt, że wzięto ją za call-girl. Z docierających do niej pogłosek wiedziała, że na liście Herbiego Chandlera znajdowały się wyjątkowo piękne dziewczyny.

Kiedy minęli mężczyznę, Christine zapytała Duckwortha:

- Dlaczego przeniesiono pana Wellsa?

- O ile dobrze słyszałem, proszę pani, ktoś inny miał 1439 i awanturował się z tego powodu. Chyba dlatego zamieniono ich pokojami.

Christine przypomniała sobie teraz jak wygląda 1439. Już wcześniej były na niego skargi. Znajdował się tuż obok służbowej windy i sprawiał wrażenie, że jest miejscem, w którym schodzą się wszystkie rury z całego hotelu. W rezultacie pokój był hałaśliwy i nieznośnie gorący. W każdym hotelu jest chociaż jedno takie pomieszczenie - niektórzy nazywali je „beczką śmiechu”. Zazwyczaj go nie wynajmowano, chyba że przy wyjątkowym przepełnieniu hotelu.

- Jeśli pan Wells miał lepszy pokój, to dlaczego poproszono go, żeby się przeprowadził?

Boy wzruszył ramionami.

- Niech pani lepiej zapyta o to recepcjonistów.

- Ale chyba się pan orientuje - nalegała.

- Może dlatego, że nigdy się nie skarżył. Starszy pan przyjeżdża do nas od lat i zawsze jest cichy jak myszka. - Christine zacisnęła gniewnie wargi, a Jimmy Duckworth ciągnął dalej. - Słyszałem w sali jadalnej, że dali mu stół koło drzwi do kuchni, ten którego nikt nie chce. Śmieli się, że jemu jest wszystko jedno. Niektórzy uważają to za niezły dowcip.

Ale jutro komuś na pewno nie będzie wszystko jedno, pomyślała ponuro Christine, mogą to zagwarantować. Gdy uświadomiła sobie, że stały gość - cichy i uprzejmy - był tak fatalnie traktowany, poczuła, że wszystko się w niej gotuje. No, zobaczymy. Wybuchowy

temperament Christine był znany w hotelu i dobrze wiedziała, że niektórzy kojarzą go z jej rudymi włosami. Chociaż starała się raczej panować nad sobą, zdarzały się jednak sytuacje, w których znakomicie spełniał swoją rolę.

Zakręcili za róg korytarza i zatrzymali się przed drzwiami pokoju 1439. Boy zastukał. Czekali nasłuchując. Nikt się nie odezwał i Jimmy Duckworth zapukał ponownie, tym razem mocniej. Reakcja była natychmiastowa - niesamowity jęk, który zaczynał się od niemal szeptu, narastał i skończył równie gwałtownie jak zaczął.

- Niech pan użyje klucza uniwersalnego! - poleciła Christine. - Proszę otworzyć! Szybko!

Cofnęła się i boy wszedł pierwszy. Nawet w tak dramatycznych okolicznościach należało przestrzegać hotelowych zasad. W pokoju było ciemno. Duckworth włączył górną lampę i zniknął w głębi pokoju. Prawie natychmiast usłyszała jego głos:

- Panno Francis, niech pani tu przyjdzie.

Christine weszła do środka. Poczowała, że w pokoju jest straszliwie gorąco, chociaż gałka klimatyzatora nastawiona była na „chłodno”. Zauważyła tylko tyle, zanim jej wzrok nie spoczął na postaci, która rzucała się na wpół leżąc i na wpół siedząc na łóżku. Był to przypominający ptaka, niewielki mężczyzna - Albert Wells. Jego twarz była szara jak popiół, wargi dygotały, oczy miał wysadzone z orbit. Rozpaczliwie próbował złapać oddech i nie bardzo mu się to udawało.

Podeszła szybkim krokiem do łóżka. Kiedyś, wiele lat temu, w gabinecie swojego ojca widziała pacjenta w podobnie krytycznym stanie. Nie mogła teraz powtórzyć wszystkich wykonanych przez ojca czynności, ale pamiętała o jednym.

- Niech pan otworzy okno. Musimy wpuścić tu świeże powietrze - poleciła Duckwothowi.

Boy nie spuszczał oczu z twarzy chorego.

- Okno jest zamknięte hermetycznie - oznajmił nerwowo. - Ze względu na klimatyzację.

- Niech pan wyrwie uszczelkę. A jeżeli trzeba, proszę wybić szybę.

Podnosiła już słuchawkę telefonu stojącego przy łóżku. Kiedy odezwała się telefonistka, Christine powiedziała:

- Tu Francis. Czy doktor Aarons jest w hotelu?

- Nie, panno Francis, ale zostawił swój numer telefonu. W razie nagłego wypadku mogę się z nim skontaktować.

- Mamy taką sytuację. Proszę powiedzieć doktorowi Aaronsowi, że jest potrzebny w

pokoju 1439. I niech się pospieszy. Proszę go też zapytać, ile czasu zajmie mu przyjazd do hotelu. Potem niech pani do mnie zadzwoni.

Christine odłożyła słuchawkę i odwróciła się do człowieka, który szamotał się bezsilnie na łóżku. Drobny, starszy pan nie oddychał lepiej niż poprzednio i jego poszarzała twarz zaczęła sinieć. Znowu zaczął jęczeć. Wysiłek związany z wydechem najwyraźniej bardzo wyczerpywał słabnące siły chorego.

- Panie Wells - starała się, aby jej głos brzmiał z przekonaniem, którego wcale nie czuła. - Myślę, że łatwiej by się panu oddychało, gdyby pan leżał zupełnie spokojnie.

Zauważyła, że boy odnosi sukcesy w zmaganiach z oknem. Przy pomocy wieszaka do ubrań zerwał plombę założoną na uchwycie okna i unosił już do góry dolną część.

Jakby pod wpływem słów Christine gorączkowe ruchy leżącego na łóżku mężczyzny ustały. Miał na sobie staromodną flanelową nocną koszulę i kiedy Christine objęła go, poczuła pod grubym materiałem jego kościste ramiona. Położyła mu wyżej poduszki, aby mógł się wygodnie oprzeć. Wpatrywał się w nią. Jego oczy przypominają oczy sarny, pomyślała. Jakby próbował dać jej do zrozumienia, jak bardzo jest wdzięczny.

- Posłałam po doktora - powiedziała, starając się podnieść go na duchu. - Będzie tu lada chwila.

Boy stęknął z wysiłku i nagle odblokowana połowa okna uniosła się do góry na całą wysokość. Natychmiast powiew chłodnego, świeżego powietrza wypełnił pokój. A więc burza rzeczywiście przesunęła się na południe, pomyślała Christine - i stąd ten orzeźwiający wiatr. Temperatura na zewnątrz najwyraźniej musiała być teraz niższa niż przez wiele ostatnich dni. Leżący w łóżku Albert Wells zaczerpnął chciwie łyk napływającego świeżego powietrza. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Dała znak aby boy zastąpił ją przy chorym i podniosła słuchawkę.

- Doktor Aarons już jedzie, panno Francis - oznajmiła telefonistka. - Był w Paradis i prosił, aby pani powiedzieć, że przyjedzie do hotelu za dwadzieścia minut.

Christine zawahała się. Paradis znajdowało się po drugiej stronie Mississipi, za Algiers. Nawet przy szybkiej jeździe dojechanie tu w ciągu dwudziestu minut było raczej pobożnym życzeniem. Miała też pewne wątpliwości co do kompetencji korpulentnego, lubiącego wypić doktora Aaronsa, który w zamian za darmowe mieszkanie pełnił obowiązki w pełni dyspozycyjnego, hotelowego lekarza.

- Nie jestem pewna, czy możemy czekać tak długo - powiedziała telefonistce. - Czy może pani sprawdzić listę gości i zorientować się, czy mieszka u nas jakiś doktor?

- Już to zrobiłam. - W odpowiedzi brzmiał wyraźny ton samozadowolenia, jakby

rozmówczyni Christine zaczytywała się opowieściami o bohaterkach telefonistkach i postanowiła im dorównać. - W pokoju 221 mieszka doktor Koenig, a w 1203 doktor Uxbridge.

Christine zanotowała numery na bloczku koło telefonu.

- Dobrze, proszę mnie połączyć z 221.

Lekarze, zatrzymując się w hotelu oczekiwali, że ich prywatność będzie respektowana i oczywiście mieli do tego pełne prawo. Niekiedy jednak wyjątkowa sytuacja usprawiedliwiała odstępstwo od przyjętych zasad.

W słuchawce rozległo się kilka sygnałów, a potem odezwał się zaspany głos z wyraźnie niemieckim akcentem.

- Tak, kto mówi?

Christine przedstawiła się i powiedziała:

- Bardzo przepraszam, że pana niepokoję, doktorze Koenig, ale jeden z naszych gości jest ciężko chory.

Spojrzała w stronę łóżka. Zauważyła, że siny odcień twarzy Wellsa ustąpił. W dalszym jednak ciągu była szara jak popiół i mężczyzna oddychał z równym trudem jak poprzednio.

- Zastanawiałam się, czy mógłby pan ewentualnie przyjść? - dodała.

Zapadła chwila ciszy, a potem znowu odezwał się ten sam łagodny, sympatyczny głos:

- Moja droga damo, byłbym niezwykle szczęśliwy, gdybym mógł służyć swoją skromną pomocą. Niestety, obawiam się, że nie jestem w stanie tego uczynić. - Zachichotał cicho. - Widzi pani, jestem doktorem muzykologii i przybyłem do waszego pięknego miasta, aby w ramach gościnnych występów dyrygować tutejszą wspaniałą orkiestrą symfoniczną.

Mimo dramatycznej sytuacji Christine miała ochotę się roześmiać.

- Bardzo przepraszam, że pana niepokoiłam.

- Och, proszę nie robić sobie wyrzutów. Oczywiście, jeżeli okaże się, że temu nieszczęsnemu współmieszkańcowi hotelu, że tak powiem, nie jest w stanie dopomóc doktor innej specjalności, chętnie przyjdę do niego ze skrzypcami, żeby mu zagrać. - W słuchawce rozległo się ciężkie westchnienie. - Czyż może być piękniejsza śmierć niż przy akompaniamencie wykonanego po mistrzowsku adagio Vivaldiego lub Tartiniego?

- Dziękuję, ale mam nadzieję, że nie będzie to konieczne. - Chciała jak najszybciej zakończyć rozmowę i wykonać następny telefon.

Doktor Uxbridge z pokoju 1203 zgłosił się natychmiast i odpowiedział na pytanie Christine rzeczowym tonem.

- Tak, jestem lekarzem. Internistą.

Kiedy opisywała sytuację, słuchał nie przerywając, a potem rzucił krótko:

- Będę za kilka minut.

Boy w dalszym ciągu stał przy łóżku i Christine zwróciła się do niego z poleceniem:

- Pan McDermott jest w Apartamencie Prezydenckim. Proszę tam iść i kiedy tylko będzie wolny, poprosić go, żeby przyszedł tu jak najszybciej.

Ponownie podniosła słuchawkę telefonu.

- Niech mnie pani połączy z kierownikiem technicznym.

Na szczęście, prawie nigdy nie było problemu z jego dyspozycyjnością. Doc Vickery był kawalerem, mieszkał w hotelu i miał jedną życiową pasję - wyposażenie techniczne St. Gregory'ego od piwnic aż po dach. Od czasu, gdy dwadzieścia pięć lat temu porzucił morze i rodzinne Clydeside, nadzorował tu montaż większości urządzeń, a w trudnych czasach, kiedy brakowało pieniędzy na ich wymianę, potrafił zmusić zmęczoną maszynierię do dodatkowego wysiłku. Po chwili usłyszała jego gardłowy głos, który zdradzał jego szkockie pochodzenie:

- Taa?

Krótko wyjaśniła mu sprawę Alberta Wellsa.

- Lekarza jeszcze tu nie ma, ale pewnie będzie chciał podać tlen. Mamy w hotelu przenośną aparaturę, prawda?

- Tak, Chris, mamy butle tlenowe, ale używamy ich do prac spawalniczych.

- Tlen jest tlenem - upierała się Christine. Przypomniała sobie, co niegdyś mówił jej ojciec. - Nieważne, w jakim jest opakowaniu. Czy mógłbyś polecić, żeby ktoś z twojej nocnej zmiany dostarczył na górę wszystko co potrzeba?

Doc mruknął potakująco.

- Sam to zrobię. Tylko naciągnę portki, dziewczyno i zjawię się osobiście. Jeżeli tego nie zrobię, jakiś dureń mógłby wsadzić temu twojemu facetowi pod nos butlę z acetylenem i wykończyć go na dobre.

- Pośpiesz się, proszę!

Odłożyła słuchawkę i odwróciła się znowu w stronę łóżka. Chory leżał z zamkniętymi oczami. Już się nie szamotał, ale wyglądał, jakby wcale nie oddychał.

Rozległo się lekkie stukanie w otwarte drzwi i do pokoju wszedł wysoki, szczupły mężczyzna. Miał kanciastą twarz i siwiejące na skroniach włosy. Granatowy garnitur o tradycyjnym kroju nie był w stanie ukryć bezowej pizamy.

- Uxbridge - powiedział spokojnym, zdecydowanym tonem.

- Doktorze - zaczęła Christine - właśnie w tej chwili...

Skinął głową i ze skórzanej torby, którą postawił na łóżku wyjął stetoskop. Nie tracąc czasu, wsunął go pod nocną koszulę pacjenta i osłuchiwał jego pierś i plecy. Odłożył stetoskop do torby, krótkimi, oszczędnymi ruchami wyjął strzykawkę, złożył ją i odłamał czubek małej, szklanej ampułki. Wyciągnął z niej płyn, pochylił się nad łóżkiem i podwinął do góry rękaw nocnej koszuli, skręcając go w prowizoryczną opaskę uciskową.

- Proszę ją trzymać w taki właśnie sposób i mocno zacisnąć - polecił Christine.

Watką nasyoną w spirytusie oczyścił miejsce na przedramieniu nad wystającą żyłą i wbił w nią igłę. Skinął głową Christine.

- Może pani już puścić.

Spojrzał na zegarek i powoli zaczął wstrzykiwać płyn. Christine odwróciła głowę i spojrzała na niego pytająco.

- Aminophilina - poinformował ją nie podnosząc oczu. - Powinna pobudzić pracę serca.

Spojrzał na zegarek, starannie dozując lekarstwo. Minęła minuta. Potem druga. Strzykawka była już do połowy pusta. Jak na razie pacjent nie reagował.

- Co mu jest? - spytała szeptem Christine.

- Ciężkie zapalenie oskrzeli i komplikacje spowodowane astmą. Podejrzewam, że miewał już takie ataki.

Nagle chory westchnął i zaczął wreszcie oddychać - wolniej niż przedtem, za to głębiej. Otworzył oczy. Panujące w pokoju napięcie zelżało. Lekarz wyjął igłę z żyły i zaczął rozmontowywać strzykawkę.

- Panie Wells - odezwała się Christine. - Panie Wells, czy pan mnie słyszy?

Skinął kilkakrotnie głową i znowu wpatrywał się w nią swoimi sarnimi oczyma.

- Kiedy pana znaleźliśmy, był pan bardzo chory. To jest doktor Uxbridge, który mieszka w naszym hotelu. Przyszedł panu z pomocą.

Popatrzył teraz na lekarza. A potem odparł z wysiłkiem:

- Dziękuję.

Słowa przypominały bardziej westchnienie, ale były pierwszymi wypowiedzianymi przez chorego. Jego twarz zaróżowiła się lekko.

- Jeżeli komukolwiek powinien pan dziękować to raczej tej młodej damie. - Doktor uśmiechnął się lekko, a potem zwrócił się do Christine.

- On jest bardzo chory i będzie wymagał stałej opieki medycznej. Doradzałbym natychmiastowe przewiezienie go do szpitala.

- Nie, nie! Nie chcę. - Słowa wypowiedziane przez leżącego na łóżku starszego

mężczyznę zabrzmiały zdecydowanie. Uniósł się na poduszkach, wydobywając ręce spod kołdry i patrzył bacznie, z niepokojem. Jego stan uległ zadziwiającej poprawie w ciągu zaledwie kilku minut, pomyślała. Wciąż oddychał ze świstem, wyraźnie z wysiłkiem, ale ostry, krytyczny stan już minął.

Po raz pierwszy Christine mogła mu się lepiej przyjrzeć. Do tej pory przypuszczała, że ma niewiele ponad sześćdziesiątkę, ale teraz zmieniła ocenę, dodając jeszcze pół tuzina lat. Miał delikatną budowę ciała, co w połączeniu ze szczupłą twarzą i lekką skłonnością do garbienia się sprawiało, że tak jak zapamiętała go z poprzednich spotkań, przypominał nieco wróbla. Jego mocno już przerzedzone, skąpe pasma włosów, zawsze starannie zaczesane, teraz były potargane i mokre od potu. Twarz miała łagodny i niemal przepaszający wyraz, ale jak podejrzewała, kryło się pod nim pełne spokoju zdecydowanie.

Po raz pierwszy zetknęła się z Albertem Wellsem dwa lata temu. Przyszedł nieśmiało do biura hotelu, zaniepokojony niezgodnościami w rachunku, których nie potrafili wyjaśnić mu w recepcji. Suma ta wynosiła siedemdziesiąt pięć centów. Gdy goście reklamowali tak niewielkie kwoty, główny kasjer często proponował jej anulowanie. Jednak Albert Wells pragnął udowodnić, że niesłusznie został nią obciążony. Po cierpliwym wyjaśnieniu całej sprawy, Christine przekonała się, że drobny mężczyzna rzeczywiście miał rację. Ponieważ sama niekiedy przeżywała ataki skąpstwa (choć często przypadają one na zmianę z szaleńczą rozrzutnością), rozumiała i szanowała jego stanowisko. Na podstawie jego rachunków hotelowych, wykazujących raczej niewielkie wydatki oraz gotowych ubrań, które nosił, wywnioskowała, że jest człowiekiem o skromnych dochodach. Może emerytem, dla którego coroczne wizyty w Nowym Orleanie były najwspanialszymi chwilami jego życia.

- Nie lubię szpitali - oznajmił Albert Wells. - Nigdy ich nie lubiłem.

- Jeżeli pan tu pozostanie - nalegał lekarz - będzie pan potrzebował opieki medycznej i pielęgniarki przynajmniej przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Musi mieć pan również stale podawany tlen.

Mężczyzna obstawał przy swoim.

- Hotel załatwi mi pielęgniarkę. - Zwrócił się do Christine - Będzie mogła pani to zrobić, prawda?

- Sądzę, że tak - odparła.

Niechęć Alberta Wellsa do szpitali musiała być niezwykle silna, skoro przewyciężyła nawet jego zasadę nie sprawiania nikomu kłopotów. Zastanawiała się jednak, czy Wells zdaje sobie sprawę z wysokich kosztów prywatnej opieki pielęgniarskiej.

Na korytarzu zrobił się ruch. Wszedł technik w kombinezonie, popychając przed sobą

na wózku butlę tlenową. Za nim podążał krępy kierownik, który niósł kawałek gumowej rury, drut i plastikową torbę.

- To nie jest szpitalny sprzęt, Chris - oznajmił Doc. - Ciekawe, czy będzie działać.

Widać było, że ubierał się w pośpiechu. Miał na sobie spodnie i starą tweedową marynarkę założoną na rozpiętą koszulę, spod której wyzierał szeroki owłosiony tors. Bose stopy wsunął w luźne sandały, a na czubku nosa osadził okulary w grubej oprawie. Przy pomocy drutu starał się przymocować plastikową torbę do gumowej rurki.

- Postaw butlę koło łóżka, chłopcze - polecił technikowi, który zatrzymał się, nie wiedząc co robić. - Jeżeli będziesz ruszać się jeszcze wolniej, pomyślę, że to ty powinieneś dostać tlen.

Doktor Uxbridge sprawiał wrażenie zaskoczonego. Christine wyjaśniła, że przewidziała konieczność podania tlenu. Przedstawiła też doktorowi kierownika technicznego. Doc, nie przerywając pracy, zerknął ponad górną krawędzią okularów. Podłączając rurkę, oświadczył:

- Te plastikowe torby udusiły już mnóstwo ludzi. Nie widzę powodu, żeby nie mogło być teraz na odwrót. Czy myśli pan, że to coś da, doktorze?

Spora część wcześniejszej rezerwy doktora Uxbridge'a zniknęła.

- Sądzę, że będzie bardzo dobre - odparł i spojrzał w stronę Christine. - Wszystko wskazuje, że w tym hotelu zatrudnieni są bardzo kompetentni pracownicy.

- Proszę poczekać, aż popłaczymy pańską rezerwację - roześmiała się. - Zmieni pan zdanie.

Doktor zwrócił się do pacjenta.

- Dzięki tlenowi poczuje się pan lepiej, panie Wells. Domyślam się, że miał już pan wcześniej kłopoty z oskrzelami.

Albert Wells skinął głową.

- Zaczęły się, gdy byłem górnikiem - powiedział gardłowym głosem. - Astma pojawiła się później. - Przeniósł spojrzenie na Christine.

- Bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego, panienko.

- Mnie również jest przykro, ale przede wszystkim dlatego, że zamieniono panu pokój. Kierownik techniczny podłączył wolny koniec rurki do pomalowanej na zielono butli.

- Zaczniemy podawać tlen przez pięć minut, a potem na pięć minut odstawimy go - powiedział doktor Uxbridge. Razem założyli zaimprovizowaną maskę tlenową na twarz chorego. Jednostajny syk sygnalizował, że tlen został włączony.

Lekarz spojrział na zegarek i zapytał:

- Czy posłaliście państwo po hotelowego lekarza?

Christine wyjaśniła, jak przedstawia się sytuacja z doktorem Aaronsem.

Doktor Uxbridge skinął z aprobatą głową.

- Kiedy przyjdzie, przejmie ode mnie ten przypadek. Jestem z Illinois i nie mam prawa praktyki w Luizjanie.

Pochylił się nad Albertem Wellsem.

- Łatwiej panu oddychać?

Drobny mężczyzna skinął potakująco głową owiniętą plastikową torbą. Na korytarzu rozległy się energiczne kroki i framugę drzwi wejściowych wypełniła solidna sylwetka Petera McDermotta.

- Dostałem wiadomość - powiedział do Christine. Spojrzał w stronę łóżka. - Czy chory czuje się lepiej?

- Mam taką nadzieję, ale wydaje mi się, że jesteśmy coś winni panu Wellnowi.

Wyprowadziła Petera na korytarz i tam przekazała mu informację boya o zamianie pokojów. Kiedy Zobaczyła, że McDermott marszczy brwi, dodała:

- Jeżeli Wells ma u nas zostać, trzeba dać mu inny pokój i uważam też, że nie powinno być problemów z załatwieniem dla niego pielęgniarki.

Peter skinął głową. Po drugiej stronie korytarza, w pomieszczeniu dla pokojówek, był służbowy telefon. Podszedł do niego i poprosił o połączenie z recepcją.

- Jestem na czternastym - poinformował dyżurnego recepcjonistę. - Czy mamy na tym piętrze wolny pokój?

Przez dłuższy czas w słuchawce panowała cisza. Nocny recepcjonista również zaliczał się do weteranów i został przyjęty do pracy przed wieloma laty osobiście przez Warren Trenta. Wypełniał swoje obowiązki w autokratycznym stylu i niewiele osób potrafiło mu się przeciwstawić. Kilkakrotnie dał też do zrozumienia Peterowi McDermottowi, że nie lubi nowych pracowników, zwłaszcza jeżeli są młodszy, mają wyższe stanowisko i pochodzą z Północy.

- No więc? - zapytał McDermott. - Czy jest w końcu ten pokój, czy nie?

- Tak, 1410 - odparł recepcjonista z najlepszą południową wymową na jaką mógł się zdobyć. - Ale właśnie mam umieścić w nim gościa, który przed chwilą do nas przybył. Nie wiem, czy się pan orientuje - dodał - ale mamy prawie komplet.

Peter dobrze pamiętał pokój numer 1410. Był duży, przewiewny i wychodził na St. Charles Avenue.

- Jeżeli wezmę 1410, to czy znajdzie pan coś dla tamtego gościa?

- Nie, panie McDermott. Pozostał mi jedynie mały apartament na piątym, ale ten pan nie chce więcej płacić.

- Niech pan na dzisiejszą noc ulokuje swojego gościa w tym apartamencie za cenę zwykłego pokoju - polecił stanowczym tonem Peter.

- Rano zostanie przeniesiony. Jednocześnie przenoszę do 1410 gościa z 1439 i proszę natychmiast przysłać mi tu boya z kluczem.

- Chwileczkę, panie McDermott. - Poprzednio recepcjonista mówił wyniośle, ale obecnie w jego głosie zabrzmiał sprzeciw. - Zasadą pana Trenta było zawsze...

- W tej chwili mówimy o moich zasadach - warknął Peter. - I jeszcze jedno. Niech pan przekazuje recepcjoniście z dziennej zmiany, że chcę mieć jutro pisemne wyjaśnienie, dlaczego pana Wellsa przeniesiono z jego poprzedniego pokoju do 1439. Może pan też dodać, że lepiej będzie, jeżeli powód istotnie okaże się ważny.

Odkładając słuchawkę, puścił oko do Christine.

5.

- Chyba musisz być szalony - stwierdziła księżna Croydonu. - Zupełnie, absolutnie szalony.

Po wyjściu McDermotta wróciła do salonu Apartamentu Prezydenckiego, starannie zamykając za sobą wewnętrzne drzwi.

Księżę wyglądał na zakłopotanego. Jak zawsze, gdy stawał się obiektem ataków żony.

- Cholernie mi przykro, moja droga. Grał telewizor. Zupełnie nie słyszałem, że facet tam jest. Myślałem, że już sobie poszedł. - Pociągnął duży łyk whisky z wodą sodową z trzymanej niepewnie szklaneczki. - A poza tym, jestem bardzo przygnębiony z powodu tej sytuacji.

- Przykro! Przygnębiony! - Nieoczekiwanie w jej głosie zabrzmiały historyczne nuty. - Mówisz o tym, co zdarzyło się dzisiaj tak, jakby chodziło o jakąś grę. Nie zaś o sprawę, która może nas zrujnować...

- Nic podobnego. Wiem, że to wszystko jest bardzo poważne. Cholernie poważne. - Siedział w głębokim, skórzanym fotelu. Przypominał myszowatego jegomościa w meloniku, którego z takim upodobaniem rysowali angielscy karykaturzyści.

- Robię wszystko, co mogę - ciągnęła oskarżycielskim tonem księżna. - Absolutnie wszystko, aby po tym, jak popełniłeś dzisiaj to niewiarygodne szaleństwo przekonać otoczenie, że oboje spędziliśmy spokojny wieczór w hotelu. Wymyśliłam nawet spacer, na

który jakoby wybraliśmy się oboje, na wypadek gdyby ktoś zauważył nas wychodzących z hotelu. A ty w bezmyślny, głupi sposób wtaczasz się informując o zostawionych w samochodzie papierosach.

- Słyszał mnie tylko jeden człowiek. Ten cały dyrektor. Na pewno nie zwrócił uwagi.

- Zwrócił. Obserwowałam go. - Księżna opanowała się z najwyższym wysiłkiem. - Czy zdajesz sobie sprawę, w jakich jesteśmy koszmarnych kłopotach?

- Tak, wiem. - Książę skończył swego drinka i zapatrzył się w pustą szklanekę. - Cholernie mi wstyd. Gdybyś mnie nie namówiła... Gdybym nie był taki zdezorientowany...

- Byłeś pijany! Byłeś pijany, kiedy cię znalazłam i jesteś pijany w dalszym ciągu.

Potrząsnął głową, jakby to miało mu pomóc klarowniej myśleć.

- Już jestem trzeźwy. - Teraz w jego głosie brzmiała gorycz. - Mogłaś pójść za mną. Wtrącić się. Wtedy sprawy nie...

- Mniejsza z tym. Ważne jest co innego.

- To ty mnie namówiłaś... - powtórzył.

- Nic innego nie można było zrobić. Nic! I postępując według mojego planu mieliśmy większą szansę.

- Nie jestem taki pewien. Jeżeli policja wpadnie na trop...

- Pierwsi będziemy podejrzani. Dlatego właśnie sprowokowałam ten incydent z kelnerem i odegrałam tę komedię. Co prawda, to jeszcze nie stuprocentowe alibi, ale przynajmniej coś bardzo do niego zbliżone. Zapamiętają, że byliśmy tu cały wieczór... A raczej zapamiętaliby, gdybyś wszystkiego nie popsuł. Chyba się rozplącę.

- To byłoby interesujące - stwierdził książę. - Nigdy bym nie przypuszczał, że masz w sobie aż tyle kobiecości.

Wyprostował się w fotelu tracąc niemal całą swoją dotychczasową pokorę. Umiejętność przeobrażania się jak kameleon zawsze zdumiewała wszystkich, którzy go znali. Zmuszała też do zastanowienia się, która z jego osobowości jest prawdziwa.

Księżna zarumieniła się, co tylko podkreśliło jej posągową urodę.

- To było niepotrzebne.

- Może.

Książę wstał, podszedł do stojącego przy ścianie stolika, nalał dużą porcję szkockiej do szklaneczki i dolał nieco sodowej wody. A potem, wciąż odwrócony do niej plecami dodał:

- A jeżeli bawimy się w szczerłość, musisz przyznać, że to właśnie jest źródłem większości naszych problemów.

- Nic podobnego. Może ty masz takie obyczaje, ale na pewno nie ja. Pójdźcie do tej obrzydliwej jaskini hazardu było szaleństwem, a fakt, że wziąłeś ze sobą tę kobietę...

- Rozmawialiśmy już na ten temat - stwierdził zmęczonym głosem książę. - Wyczerpująco. Kiedy wracaliśmy. Zanim to się stało.

- Nie miałam pojęcia, że cokolwiek do ciebie dociera.

- Twoje słowa, moja droga, przenikają przez najgrubszą nawet zasłonę mgły. Ja zaś staram się czynić ją jak najbardziej nieprzenikliwą. Jak na razie wcale mi się to nie udaje. - Książę Croydonu upił łyk swojego nowego drinka. - Dlaczego wyszłaś za mnie?

- Przypuszczam, że przede wszystkim dlatego, że w naszym kręgu robiłeś wrażenie człowieka zajmującego się czymś wartościowym. Ludzie mówią, że arystokracja jest bezpłodnym przeżytkiem. Wydawało mi się, że swoją działalnością przeczyłaś tym opiniom.

Uniósł szklaneczkę i wpatrywał się w nią, jakby była kryształową kulą.

- A teraz już nie przeczę. Prawda?

- Sprawiasz jeszcze takie wrażenie tylko dlatego, że ciągle cię popycham.

- Waszyngton? - zapytał.

- Mogłoby się nam udać - odparła księżna. - Gdybyś tylko był trzeźwy i sypiał we własnym łóżku.

- Aha! - zaśmiał się głucho. - Cholernie zimne jest moje łóżko.

- Już raz powiedziałam, że to zbędna uwaga.

- Czy kiedyś zastanawiałaś się, dlaczego ja się z tobą ożeniłem?

- Mam swoje zdanie na ten temat.

- Podam ci najważniejszy powód. - Znowu się napił, jakby szukając w whisky odwagi, a potem rzekł niewyraźnie: - Chciałem cię mieć w łóżku. Szybko. Legalnie. A wiedziałem, że to jedyny sposób.

- Dziwi mnie, że zadałeś sobie tyle trudu. Miałeś taki wielki wybór... przedtem i teraz. Popatrzył na nią przekrwionymi oczyma.

- Nie chciałem innych kobiet. Pragnąłem ciebie. I nadal pragnę.

- Dostyc! - rzuciła ostro. - Posuwasz się za daleko!

- I jeszcze jedno powinnaś wiedzieć. - Pokręcił głową. - Ta twoja duma, moja droga. Cudowna. Nieokiełznana. Zawsze mnie pociągała. Nie chciałem jej tłumić, ale ją z tobą dzielić. Leżysz na wznak. Uda masz rozchylone. Namiętna. Drżąca...

- Przestań! Natychmiast przestań! Ty... ty lubieżny satyrze! - Twarz miała białą jak papier i niemal krzyczała wysokim, załamującym się głosem. - Nie obchodzi mnie, czy policja cię złapie! Mam nadzieję, że złapie! Mam nadzieję, że dostaniesz dziesięć lat!

6.

Po krótkiej i stanowczej dyskusji z recepcjonistą Peter McDermott wrócił do numeru 1439.

- Jeżeli wyrazi pan zgodę - zwrócił się do doktora Uxbridge'a - przeniesiemy pacjenta do innego pokoju na tym samym piętrze.

Wysoki, szczupły lekarz skinął głową. Rozejrzał się po maleńkim pomieszczeniu oplecionym rurami wodociągowymi i grzewczymi. - Każda zamiana będzie na pewno korzystna.

Gdy wrócił do pacjenta i rozpoczął następny pięciominutowy cykl podawania tlenu, Christine przypomniała Peterowi.

- Musimy teraz znaleźć pielęgniarkę.

- Niech załatwi to doktor Aarons - Peter myślał na głos. - Przypuszczam, że jeżeli hotel ją zaangażuje, pan Wells zostanie obciążony wszystkimi płatnościami. Czy twój przyjaciel będzie w stanie pokryć takie koszty?

Wyszli na korytarz i rozmawiali przyciszonymi głosami.

- Tym się właśnie martwię. Nie sądzę, żeby miał zbyt dużo pieniędzy.

Peter zauważył, jak Christine zastanawiając się nad czymś w czarujący sposób marszczy nos. Zdawał sobie sprawę z jej bliskości i czuł delikatny zapach jej perfum.

- No dobrze - powiedział. - Przypuszczam, że nie narobimy zbyt wielkich długów. Poprosimy, żeby nasz dział kredytów zorientował się, co można będzie zrobić.

Przyniesiono klucz, Christine poszła i otworzyła nowy pokój 1410.

- Gotowe - oznajmiła, wracając.

- Najlepiej byłoby zamienić po prostu łóżko - powiedział do zebranych Peter. - Łóżko przesuniemy do 1410, a łóżko stamtąd przeniesiemy tutaj.

Okazało się jednak, że drzwi są o cal za wąskie.

Albert Wells, oddychał już zdecydowanie lepiej i nawet nabrał trochę kolorów. Zaproponował:

- Chodziłem piechotą całe życie, mogę się więc trochę przespacerować i teraz.

Doktor Uxbridge zdecydowanie pokręcił odmownie głową.

Główny technik zbadał różnicę szerokości.

- Wyjmiemy drzwi z zawiasów - oznajmił choremu. - A potem raz dwa wyciągniemy stąd pana jak korek z butelki.

- Dajmy spokój - stwierdził Peter. - Jest szybszy sposób... Jeżeli oczywiście pan się zgodzi, panie Wells.

Mężczyzna w łóżku uśmiechnął się i kiwnął głową.

Peter pochylił się, owinał starszego mężczyznę kocem i podniósł go z łóżka.

- Masz mocne ręce, synu - stwierdził Wells.

Peter z uśmiechem i bez wysiłku, zupełnie jakby niósł dziecko, przeszedł przez korytarz do nowego pokoju.

Piętnaście minut później wszystko działało jak szwajcarski zegarek. Bez kłopotów przeniesiono aparaturę tlenową, chociaż właściwie nie była już potrzebna. Klimatyzacja w 1410 nie musiała przecież zmagać się z wysoką temperaturą, której źródłem były rury z gorącą wodą. Powietrze było tu zdecydowanie przyjemniejsze. Lekarz hotelowy, doktor Aarons, zjawił się wreszcie, jowialny jak zawsze i przy każdym wydechu rozsnuwający wokół siebie niemal widzialną chmurę oparów burbona. Skwapliwie przyjął propozycję doktora Uxbridge'a, który zaofiarował się, że następnego dnia może wziąć udział w konsylium. Zaakceptował również sugestię, że kortizon może zapobiec nawrotom podobnych ataków. Prywatna pielęgniarka, wezwana przez doktora Aaronsa serdecznym telefonem („Mam wspaniałą wiadomość, moja droga! Znowu będziemy pracować w jednym zespole!”), była już w drodze do hotelu.

Gdy główny technik i doktor Uxbridge wychodzili, Albert Wells spał spokojnie.

Peter wyszedł za Christine na korytarz i starannie zamknął drzwi do pokoju, w którym spacerował doktor Aarons, czekając na pielęgniarkę i nucąc pianissimo arię torreadora z „Carmen” (*Pom, pom, pom, pompom, pom-pom-pom, pom-pom...*) Klamka zamknęła się z delikatnym szcęknięciem, przerywając jego występy artystyczne.

Była za kwadrans dwunasta w nocy.

Idąc w stronę windy, Christine powiedziała:

- Cieszę się, że pozwoliliśmy mu zostać.

- Panu Wellsowi? - Peter sprawiał wrażenie zaskoczonego. - A dlaczego by nie? - W niektórych hotelach nie zgodzono by się na jego dalszy pobyt. Wiesz, jak to jest... Wolą, żeby nie zdarzało się nic nieprzewidzianego i nie było żadnych kłopotów. Ludzie mają się sprowadzać, wyprowadzać, a przede wszystkim płacić rachunki.

- Jak w fabryce parówek! Prawdziwy hotel powinien być gościnny i jeżeli klient tego potrzebuje - opiekuńczy. Najlepsze zaczynały właśnie w ten sposób. Niestety, zbyt wiele osób z naszej branży zapomniało o tym.

- Czy odnosi się to i do St. Gregory'ego? - spojrzała na niego z zaciekawieniem?

- Oczywiście. W każdym razie bardzo często. Gdybym miał wolną rękę, zmieniłbym tu wiele... - Przerwał, zakłopotany swoją gwałtownością. - Mniejsza o to. Najczęściej zachowuję buntownicze myśli dla samego siebie.

- Zupełnie niesłusznie. A jeżeli rzeczywiście tak robisz, powinieneś się wstydzić.

Christine również miała świadomość, że St. Gregory w wielu przypadkach był niesprawny i właściwie w tej chwili korzystał jedynie ze swojej dawnej renomy. Przeżywał też poważny kryzys finansowy, który mógł doprowadzić do nieoczekiwanych zmian, niezależnie od tego, jaki stosunek do nich będzie miał właściciel hotelu.

- To tłuczenie głową w mur - zaprotestował Peter. - I równie niewiele daje. W.T. nie przepada za nowymi pomysłami.

- To jeszcze nie powód, aby się poddawać.

- Mówisz jak kobieta - roześmiał się.

- J e s t e m kobietą.

- Wiem - stwierdził Peter. - Trudno tego nie dostrzec.

To prawda, pomyślał. Znał Christine od momentu przybycia do St. Gregory'ego, ale nie interesował się nią specjalnie. Ostatnio zorientował się jednak, że coraz bardziej uświadamia sobie, jak jest atrakcyjna i przystojna. Ciekawe, co będzie robiła przez resztę wieczoru?

- Jeszcze nie jadłem obiadu - zaczął ostrożnie. - Zbyt wiele było bieganiny. Jeżeli masz ochotę, może zjedlibyśmy razem późną kolację?

- Uwielbiam późne kolacje - odparła Christine.

- Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym sprawdzić - oznajmił jej w windzie. - Posłałem Herbiego Chandlera, żeby zobaczył, co się dzieje na jedenastym piętrze, ale nie ufam mu. I to będzie wszystko na dziś. - Ujął jej rękę i uściśnął lekko. - Czy poczekaś na mnie na antresoli?

Dłonie miał zadziwiająco delikatne. Christine zerknęła kątem oka na jego mocny, wyrazisty profil z wysuniętą nieco do przodu, prawie kwadratową szczęką. Ciekawa twarz, pomyślała. Widać w niej stanowczość, która łatwo może przerodzić się w upór. Zdała sobie sprawę, że jej puls przyspieszył nieco.

- Dobrze - zgodziła się. - Poczekam.

7.

Marsha Preyscott gorąco żałowała, że nie spędziła swoich dziewiętnastych urodzin w

jakiś inny sposób, a przynajmniej nie została na balu korporacji studenckiej Alpha Kappa Epsilon, odbywającym się w sali osiem pięter niżej. Dźwięki muzyki, przytłumione odległością i innymi hałasami docierały do niej przez okno apartamentu na jedenastym piętrze. Kiedy w zatłoczonym pokoju upał, dym papierosów i zaduch alkoholu stały się nie do zniesienia nawet dla tych, których kontakt z rzeczywistością był ograniczony, jeden z chłopców otworzył okno zrywając uszczelnienia.

Popełniła błąd przychodząc tutaj. Ale jej buntownicze usposobienie spowodowało, że szukała czegoś innego i to właśnie obiecał jej Lyle Dumaire, którego znała od lat i od czasu do czasu umawiała się z nim na randki. Jego ojciec był prezesem jednego z banków, a także bliskim przyjacielem jej ojca. Kiedy tańczyli ze sobą, Lyle powiedział: „To zabawa dla dzieci, Marsha. Paru chłopaków wynajęło apartament i spędzamy tam prawie cały wieczór. Wiele się tam dzieje.” Spróbował roześmiać się znaczącym, męskim śmiechem, który jednak przeszedł szybko w chichot.

- Może byś przysłała? - zapytał wprost.

Bez namysłu zgodziła się. Wyszli więc z sali balowej i udali się na górę do małego, zatłoczonego apartamentu 1126-7. Natychmiast ogarnęło ich ciężkie powietrze i ogłuszył gwar głosów. Znajdowało się tu więcej osób, niż się spodziewała. Niektórzy chłopcy byli już bardzo pijani, co nieprzyjemnie ją zaskoczyło.

Spotkała też kilka dziewczyn, z których większość znała, chociaż żadnej specjalnie blisko. Porozmawiała z nimi przez chwilę, aczkolwiek w panującym hałasie trudno było słyszeć i być słyszany. Sue Phillip nie odzywała się, gdyż najwyraźniej straciła przytomność, a jej towarzysz, chłopak z Baton Rouge, polewał ją wodą, którą bez przerwy przynosił w pantofelku z łazienki. Suknia Sue uszyta z pomarańczowej organdy wyglądała już jak mokra ścierka.

Chłopcy powitali Marshę bardziej entuzjastycznie, choć zaraz wrócili do zaimprovizowanego baru urządzonego na przewróconej na bok oszklonej szafce. Ktoś - na dobrą sprawę nie wiedziała, kto - wcisnął jej niezgrabnie szklanę do ręki.

Najwyraźniej coś działo się również w sąsiednim pokoju. Koło prowadzących do niego zamkniętych drzwi tłoczyła się grupka chłopaków, do nich Lyle Dumaire przyłączył się, pozostawiając Marshę samą. Dobiegały do niej urywki rozmów i ciągle powtarzane pytanie: „No i jak było?”, ale odpowiedź zagłuszał wybuch rubasznego śmiechu.

Po kilku dalszych uwagach uświadomiła sobie, albo przynajmniej zaczęła podejrzewać, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami. Poczowała obrzydzenie i miała ochotę wyjść. Nawet wielki, pusty dom w Garden District, gdzie mieszkała sama ze służbą, podczas

trwającej już sześć i zapowiadającej się na przynajmniej dwa dalsze tygodnie nieobecności ojca, wydawał się jej bardziej sympatycznym miejscem.

Myśl o ojcu przypomniawszy Marsha, że gdyby przyjechał do domu, tak jak początkowo się spodziewała i jak jej obiecał, nie znalazłaby się ani tutaj, ani na balu korporantów. Uczestniczyłaby teraz w uroczystości urodzinowej, na której Mark Preyscott przewodziłby w typowy dla siebie niewymuszenie jowialny sposób. Przyszłoby na nią jedynie kilku jej najbliższych przyjaciół, odrzuciliby bowiem zaproszenie Alpha Kappa Epsilon, gdyby termin balu kolidował z jej przyjęciem. Ale ojciec nie wrócił do domu. Zamiast tego zadzwonił i oznajmił, jak zawsze przeproszającym tonem:

- Marsha, kochanie, naprawdę starałem się, ale nie udało mi się. Moje interesy tutaj zajmą mi jeszcze dwa albo trzy tygodnie, ale wynagrodzę ci to, kochanie, naprawdę wynagrodzę, kiedy wrócę do domu. - Badał ostrożnie, czy Marsha chciałaby wybrać się do Los Angeles do swojej matki i jej najnowszego męża, a gdy natychmiast odrzuciła ten pomysł, stwierdził: - No cóż, w każdym razie baw się dobrze, a w drodze jest już coś, co ci się spodoba.

Słyszając jego kochany głos, Marsha miała ochotę się rozplakać, ale od dawna oduczyla się tego. Nie było również sensu zastanawiać się, dlaczego właściciel domu towarowego w Nowym Orleanie, mający do dyspozycji wielu wysoko opłacanych podwładnych, jest bardziej zajęty niż goniec biurowy. Może w Rzymie było jeszcze coś, o czym jej nie powiedział, podobnie jak ona nigdy nie powie mu o tym, co właśnie działo się w pokoju 1126.

Postanowiła wyjść i podeszła do okna, aby postawić pustą szklankę na parapecie. Usłyszała dobiegające z dołu dźwięki „Gwiezdnego pyłu” granego przez orkiestrę. O tej porze zawsze grała stare, sentymentalne numery, zwłaszcza jeżeli dyrygował nią Moxie Buchanan, który występował razem ze swoimi „All-Star Southern Gentlemen” na wszystkich ważnych uroczystościach odbywających się w St. Gregorym. Nawet gdyby nie tańczyła tam wcześniej, poznałaby aranżację - ciepłe i słodkie, a jednocześnie dominujące brzmienie instrumentów dętych, co było znakiem firmowym Buchanana.

Stała przy oknie zastanawiając się, czy wrócić na salę balową. Mogła sobie wyobrazić, co się tam działo. Chłopcom robiło się coraz bardziej gorąco w smokingach, niektórzy przesuwali palcem po wewnętrznej stronie kołnierzyka, próbując zmniejszyć w ten sposób narastające uczucie niewygody. Kilku wyrostków wyraźnie marzyło, żeby znowu założyć dzinsy i bawełniane podkoszulki, a dziewczyny wędrowały tam i z powrotem do toalety, z chichotem dzieląc się ploteczkami za jej zamkniętymi drzwiami. Wszystko to, uznała Marsha, sprawia wrażenie, jakby dzieciaki poprzebierały się i bawiły w teatr. Marsha często myślała

sobie, że młodość jest bardzo nudnym okresem w życiu, zwłaszcza jeżeli trzeba ją spędzać w towarzystwie równolatków. Były chwile, takie jak właśnie ta, kiedy marzyła o nieco bardziej dorosłym towarzystwie.

Nie była w stanie odnaleźć tej dorosłości w Lylem Dumaire. Obserwowała, jak wciąż stoi w grupce skupionej przy drzwiach prowadzących do drugiego pokoju. Twarz miał zaczerwienioną, wykrochmalony gors zmięty, czarny krawat przekrzywiony. Marsha zastanawiała się, jakim cudem mogła kiedykolwiek traktować go poważnie.

Część zebranych zaczęła już opuszczać apartament. Przypominało to odwrót. Jeden ze starszych chłopców, o którym wiedziała, że nazywa się Stanley Dixon, wyszedł z przyległego pokoju. Kiwnął w stronę drzwi, które przed chwilą starannie zamknął za sobą. Dobiegły do niej urywki zdań.

- ...dziewczyny mówią, że idą sobie... mają dość... przestraszone... zamieszanie. w - ... Mówiłem ci, że nie powinniśmy urządzić całej tej...

- A może którąś stąd? - był to głos Lylego Dumaire'a, ale Marsha zorientowała się, że chłopak prawie już nad nim nie panuje.

- Tak, ale którą? - Cała grupa przyjrzała się bacznie obecnym. Marsha ostentacyjnie nie zwróciła na nich uwagi.

Paru przyjaciół Sue Phillipe - dziewczyny, która straciła przytomność, bez powodzenia usiłowało ją podnieść. Jeden z chłopców, lepiej od pozostałych trzymający się na nogach, zawołał z niepokojem:

- Marsha! Sue jest w bardzo kiepskim stanie. Czy możesz jej pomóc?

Zatrzymała się niechętnie i spojrzała na dziewczynę, która otworzyła właśnie oczy i usiadła, opierając się o ścianę. Jej dziecięca twarzyczka była blada, na zwiotczonych wargach miała rozsmarowaną szminek. Marsha westchnęła w duchu i powiedziała:

- Pomóżcie mi zaprowadzić Sue do łazienki.

Kiedy unieśli ją we trójkę, pijana dziewczyna zaczęła płakać.

Jeden z chłopców próbował wejść za nimi do łazienki, ale Marsha stanowczo zamknęła mu drzwi przed nosem i zasunęła rygiel. Odwróciła się do Sue Phillipe, która z przerażeniem patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Marsha pomyślała z ulgą, że szok wyraźnie ją otrzeźwił.

- Nie powinnaś się tak bardzo tym przejmować - zauważyła. - Mówią, że raz w życiu zdarza się to każdemu.

- O Boże! Matka mnie zabije - wyjęczała Sue rzucając się w stronę sedesu, by zwymiotować.

Marsha usiadła na krawędzi wanny i powiedziała pocieszającym tonem:

- Teraz poczujesz się o wiele lepiej. Kiedy skończysz, umyję ci twarz i spróbujemy zrobić nowy makijaż.

Dziewczyna smętnie pokiwała opuszczoną głową.

Gdy dziesięć czy piętnaście minut później wyszły z toalety, apartament był już prawie pusty i tylko Lyle Dumaire z kumplami wciąż stali przy drzwiach zwartą grupką. Jeżeli Lyle ma zamiar mnie odprowadzić, pomyślała Marsha, nie pozwolę mu. Chłopak, który prosił ją o pomoc, podszedł tłumacząc się pospiesznie.

- Załatwiliśmy z przyjaciółką Sue, że weźmie ją do siebie do domu i przenocuje. - Wziął dziewczynę pod ramię, a ona poszła z nim posłusznie. Odwrócił głowę i rzucił przez ramię. - Samochód czeka na nas na dole. Bardzo ci dziękujemy, Marsho.

Z ulgą patrzyła, jak odchodzą.

Zabierała właśnie swój szal, gdy usłyszała, że drzwi na korytarz zamykają się. Stanley Dixon stał przed nimi, trzymając ręce za plecami. Usłyszała, jak cicho szczęknął zamek.

- Hej, Marsha - zawołał Lyle Dumaire. - Gdzie się tak spieszysz? Marsha знаła Lylego od dziecka, ale teraz wyglądał zupełnie inaczej.

Stał przed nią obcy człowiek, w którym dostrzegła odruchy pijanego brutala.

- Idę do domu - odpowiedziała.

- Eee, daj spokój. - Zatoczył się w jej stronę. - Bądź równa dziewczyna i napij się.

- Nie, dziękuję.

- Będiesz równa dziewczyna, mała, prawda? - powtórzył, jakby jej nie słyszał.

- Wszystko zostanie między nami - dodał szyderczo Stanley Dixon. Miał niski, nosowy głos. - Paru z nas dobrze się już zabawiło. I wzięła nas ochota na jeszcze. - Pozostali dwaj, których nazwisk nie znała, uśmiechnęli się niemądrze.

- Nie interesuje mnie, czego byście chcieli - odparła ostro. Chociaż mówiła stanowczo, zdawała sobie sprawę, że w jej głosie słychać strach. Skierowała się w stronę drzwi, ale Dixon pokręcił przecząco głową.

- Proszę - powiedziała. - Pozwólcie mi wyjść.

- Posłuchaj, Marsha - wybelkotał Lyle. - Wiemy, że tego chcesz. - Roześmiał się ochryple. - Wszystkie dziewczyny tego chcą. Tak naprawdę, to nigdy nie mają ochoty powiedzieć „nie”. Zawsze przecież myślą „chodź i weź”. Prawda, chłopaki? - zwrócił się do pozostałych.

Trzeci chłopak mruknął cicho:

- No pewnie. Przyszłaś tu i dostaniesz to, czego chcesz.

Zaczęli przysuwać się coraz bliżej.

Odwróciła się gwałtownie.

- Ostrzegam was. Jeżeli któryś z was mnie dotknie, zacznę krzyczeć.

- Szkoda by było, gdybyś spróbowała krzyczeć - mruknął Stanley Dixon. - Straciłabyś całą zabawę.

Nagle, niemal niedostrzegalnym ruchem, znalazł się za nią i wielką spoconą dłonią zakrył jej usta, podczas gdy drugą unieruchomił ręce. Przysunął blisko głowę, buchający od niego smród żytniej whisky był oszałamiający.

Walczyła, usiłując ugryźć go w rękę, ale bez rezultatu.

- Posłuchaj, Marsha - wysapał Lyle uśmiechając się krzywo. I tak to zrobimy, lepiej by więc było, żebyś postarała się mieć z tego przyjemność. Tak się zawsze mówi, prawda? Czy obiecujesz nie krzyczeć, jeżeli Stan cię puści?

Pokręciła głową energicznie.

Jeden z chłopaków schwycił ją za ramię:

- Daj spokój, Marsha. Lyle powiedział, że jesteś równa dziewczyna. Dlaczego nie chcesz tego udowodnić?

Wciąż walczyła wściekle, ale na próżno. Chwyty, w jakim ją trzymano nie słabły ani na chwilę. Lyle trzymał ją za drugą rękę i wszyscy razem popychali ją w stronę sąsiedniej sypialni.

- Do diabła z tym - zdenerwował się Dixon. - Niech ktoś ją złapie za nogi.

Próbowała kopać, ale jedynie spadły jej z nóg pantofle na wysokim obcasie. Marsha czuła, jak przenoszą ją przez drzwi do sypialni, ale przez cały czas miała wrażenie pełnej nierealności tej sytuacji.

- Pytam po raz ostatni - ostrzegł ją Lyle. Pozory dobrego humoru zniknęły. - Będziesz współdziałała, czy nie?

Nie odpowiedziała, zaczęła walczyć jeszcze gwałtowniej.

- Zdejmijcie z niej ubranie - powiedział ktoś. I jeszcze inny głos - wydało się jej, że to chłopak, który trzymał ją za nogi - zapytał z wahaniem: - Słuchajcie, a może nie powinniśmy?

- Przestań się martwić. - Usłyszała głos Lyle Dumaire'a. - Nie przejmuj się. Jej stary poluje teraz na dziwki w Rzymie.

W pokoju stały obok siebie dwa łóżka. Opierającą się ze wszystkich sił Marszę popchnięto do tyłu, na stojące najbliżej. W chwilę później leżała na nim w poprzek, głowę odchyłono jej brutalnie do tyłu, tak że widziała jedynie sufit, niegdyś biały, teraz szary i ze stiukowym ornamentem pośrodku, w miejscu gdzie umocowana była lampa. Zgromadził się

na niej kurz, a obok widać było poślizgnięcia zacieku.

Nagle górne światło zgasło, ale w pokoju paliła się jeszcze jedna lampa. Dixon zmienił nieco pozycję. Teraz przysiadł na łóżku, tuż koło jej głowy, ale wciąż nie była w stanie uwolnić się z jego dłoni. Poczwała dotykające ją inne ręce i opanował ją histeryczny strach. Zaczęła się szarpać, próbowała kopać, ale przyciśnięto jej nogi. Próbowała przewrócić się na bok i jej suknia rozdarła się z trzaskiem.

- Będę pierwszy - oznajmił Stanley Dixon. - Niech ktoś ją przytrzyma.

Słyszała, jak chłopak oddycha ciężko.

Na dywanie wokół łóżka rozległy się ciche kroki. Jej nogi wciąż trzymano mocno, ale dłoń Dixona odsuwała się z jej twarzy. To była szansa. Zanim nowa ręka opadła na jej usta, Marsha ugryzła ją z całej siły. Poczwała, jak jej zęby zagłębiają się w ciało aż do kości.

Rozległ się pełen bólu krzyk i ręka cofnęła się.

Marsha nabrała głęboko powietrza i krzyknęła. Krzyknęła rozpaczliwie:

- Na pomoc! Na pomoc! Ratunku!

Stanley Dixon uderzył ją w twarz z siłą, która niemal odebrała jej przytomność. Usłyszała, jak warknął;

- Ty durniu! Głupi idioto!

- Ugryzła mnie! - Głos drugiego chłopaka łamał się z bólu. - Ta dziwka mnie ugryzła!

- A czego się spodziewałeś - odparł z wściekłością Dixon. - Że cię pocałuje? Teraz będziemy mieli na karku cały ten cholerny hotel.

- Zwiewajmy stąd - nalegał Lyle Dumaire.

- Zamknij się! - rozkazał Dixon. Stali, nasłuchując. - Nic się nie dzieje - stwierdził cicho. - Chyba nikt nie słyszał.

To prawda, pomyślała z rozpaczą Marsha. Łzy zamgłiły jej wzrok. Wydało się jej, że nie jest już w stanie dłużej walczyć.

Rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Trzy uderzenia, mocne i zdecydowane.

- Chryste! - jęknął trzeci chłopak. - Ktoś jednak usłyszał. O Boże, moja ręka!

- Co teraz zrobimy? - zapytał nerwowo czwarty.

Stukanie powtórzyło się, tym razem bardziej energicznie. Po chwili z korytarza dobiegły słowa wypowiedziane z miękkim, południowym akcentem.

- Proszę otworzyć drzwi. Słyszałem, jak ktoś wzywał stąd pomocy.

- On jest sam - szepnął Lyle Dumaire. - Może uda nam się go wykołować.

- Warto spróbować - odparł Dixon. - Ja to załatwię. Przytrzymaj ją - polecił jednemu z pozostałych chłopaków. - I nie popełnij tym razem żadnego błędu.

Dłonie przykrywające usta Marshy szybko się zmieniły, przytrzymał ją teraz ktoś inny.

Rozległ się szcęk zamka, potem drzwi uchylły się ze skrzypieniem.

- Och - powiedział Stanley Dixon, udając zaskoczenie.

- Przepraszam pana, jestem pracownikiem hotelu - rozległ się ten sam głos, który słyszeli przed chwilą. - Właśnie tędy przechodziłem i usłyszałem, jak ktoś krzyczy.

- Właśnie przechodziłem? - głos Dixona był dziwnie wrogi. Po chwili jednak zmienił ton, jakby usiłując zachować się dyplomatycznie i dodał - No cóż, w każdym razie dziękuję. Moja żona miała zły sen. Położyła się wcześniej spać. Już wszystko w porządku.

- No cóż... - Przybysz zdawał się wahać. - Jeżeli jest pan pewien, że to nic poważnego...

- Jestem absolutnie pewien - oznajmił Dixon. - Takie rzeczy czasem się zdarzają. - Zachowywał się przekonująco i wyraźnie panował nad sytuacją. Marsha zdawała sobie sprawę, że za chwilę drzwi się zamkną.

Rozluźniła się i zdała sobie nagle sprawę, że dłoń przykrywająca jej twarz również zmniejszyła nacisk. Natychmiast zdobyła się na ostatni wysiłek. Szarpnęła się w bok i na chwilę znowu uwolniła usta.

- Pomocy! - krzyknęła. - To nieprawda! Pomocy!

I znowu została brutalnie uciszona.

Na zewnątrz doszło do ostrej wymiany zdań. Usłyszała, jak przybysz oznajmił stanowczo:

- Chciałbym jednak wejść.

- To pokój prywatny. Powiedziałem już, że moja żona ma zły sen.

- Przepraszam, ale nie wierzę panu.

- W porządku - oznajmił Dixon. - Niech pan wejdzie.

Trzymające dziewczynę dłonie cofnęły się, zupełnie jakby chłopcy nie chcieli, aby schwytano ich na gorącym uczynku. Marsha odwróciła się twarzą do drzwi i uniosła się na łóżku. Do pokoju wchodził młody Murzyn. Był schludnie ubrany, miał nieco ponad dwadzieścia lat, inteligentną twarz, krótko ostrzyżone włosy, starannie zaczesane i wyszczotkowane.

Natychmiast ocenił sytuację i polecił ostrym tonem:

- Proszę natychmiast puścić tę panią!

- Popatrzcie chłopaki - zawołał Dixon. - Popatrzcie tylko, kto tu komu rozkazuje.

Marsha zdała sobie sprawę, że drzwi na korytarz wciąż pozostały częściowo uchylone.

- Dobra, czarnuchu - warknął Dixon. - Sam tego chciałeś.

Jego prawa pięść wystrzeliła nagle do przodu. Ten zręcznie zadany cios, poparty całą siłą szerokich ramion Stanleya, znokautowałby młodego Murzyna, gdyby dotarł do celu. Ten jednak zgrabnym, niemal baletowym ruchem zrobił unik, wyciągnięta ręka Dixona przeleciała niegroźnie koło jego głowy, a Dixon poleciał do przodu. W tej samej chwili lewa pięść Murzyna strzeliła do góry, z ostrym trzaskiem lądując na kości policzkowej napastnika.

Gdzieś na korytarzu otworzyły się i zamknęły inne drzwi.

Trzymając się za policzek, Dixon zawołał:

- Ty sukinsynu! - Odwrócił się do pozostałych i rozkazał: - Załatwmy go!

Tylko chłopak z przegryzioną ręką trzymał się z boku. Pozostała trójka rzuciła się jednocześnie na młodego Murzyna, który upadł, ulegając ich połączonym siłom. Marsha usłyszała głuchy łoskot spadających ciosów, ale również narastający gwar głosów w korytarzu.

Pozostali również to słyszeli.

- Robi się gorąco - zauważył zaniepokojony Lyle Dumaire. - Mówiłem, że powinniśmy się stąd zrywać.

Pobiegli w stronę drzwi, prowadzeni przez chłopaka z pogryzioną ręką. Marsha usłyszała, jak Stanley Dixon zatrzymuje się na chwilę i mówi:

- Są pewne kłopoty. Biegniemy po pomoc.

Młody Murzyn wstawał z podłogi. Twarz miał pokrwawioną.

Na zewnątrz, ponad panującym gwarem dał się słyszeć nowy, władczy głos:

- Co to za zamieszanie?

- Były krzyki i odgłosy bójk - oznajmiła podnieconym tonem jakaś kobieta. - W tym apartamencie.

- Składałem wcześniej skargę - burknął ktoś inny - ale nikt nie raczył zareagować.

Drzwi otworzyły się szeroko. Marsha dostrzegła zagląające do środka twarze i wysoką postać wchodzącą do pokoju. Potem drzwi zamknęły się i zapaliło się światło lampy pod sufitem.

Peter McDermott obrzucił spojrzeniem bałagan panujący w pokoju.

- Co się tu stało? - zapytał.

Ciało Marshy dygotało, szarpane łkaniem. Próbowwała wstać, ale bezsilnie opadła do tyłu, opierając się plecami o poduszkę. Próbowwała okryć się poszarpanymi szczątkami sukni. Wreszcie, pomiędzy łkaniami wyjąkała:

- Chciano... mnie zgwałcić...

McDermott zacisnął szczęki. Spojrzał na młodego Murzyna, który stał przytrzymując się ściany i chusteczką usiłował zatamować krew spływającą mu po twarzy.

- Royce! - W oczach McDermotta błysnęła wściekłość.

- Nie, nie! - Ledwie przytomna Marsha zawołała błagalnie: - To nie on! On przyszedł mi na ratunek! - Zamknęła oczy. Sama myśl o tym, że znowu mogłoby dojść do użycia przemocy wywołała w niej mdłości.

Młody Murzyn wyprostował się. Schował chusteczkę i oznajmił ironicznym tonem:

- Czemu pan sobie nie ulży, panie McDermott i nie uderzy mnie. Zawsze będzie mógł pan później powiedzieć, że to była pomyłka.

- Rzeczywiście, pomyliłem się, Royce i przepraszam cię - odparł ostro Peter.

Zdecydowanie nie lubił Aloysiusa Royce'a, który łączył obowiązki osobistego lokaja właściciela hotelu, Warrena Trenta, ze studiami na wydziale prawa Uniwersytetu Loyola. Wiele lat temu ojciec Royce'a, syn niewolnika, został służącym Trenta, jego najbliższym współtowarzyszem i powiernikiem. Ćwierć wieku później, po śmierci ojca, Aloysius, który urodził się i wychował w St. Gregorym, pozostał w hotelu i teraz mieszkał w prywatnych apartamentach właściciela. Na podstawie dość luźnej umowy przychodził i wychodził tak, jak wymagały tego jego studia. Zdaniem Petera McDermotta, Royce zupełnie niepotrzebnie zachowywał się w arogancki i lekceważący sposób, zupełnie jakby nieufność wobec każdego przyjaznego gestu szła u niego w parze z wieczną urazą do całego świata.

- Powiedz mi, co wiesz - zażądał Peter.

- Było ich czterech. Czterech miłych, białych dżentelmenów.

- Czy rozpoznałeś któregoś?

Royce skinął głową:

- Dwóch.

- To wystarczy. - Peter podszedł do telefonu stojącego przy najbliższym łóżku.

- Do kogo chce pan dzwonić?

- Na policję. Nie mamy innego wyjścia, musimy ich sprowadzić.

Młody Murzyn uśmiechnął się lekko:

- Jeżeli można panu coś radzić, to lepiej niech pan tego nie robi.

- Dlaczego?

- Z jednego powodu - Aloysius Royce powiedział przesadnie przeciągając sylaby. - Musiałbym zeznawać jako świadek. I pozwoli pan sobie wyjaśnić, panie McDermott, że żaden sąd w naszym suwerennym stanie Luizjana w sprawie o próbę gwałtu - mniejsza o to czy udaną czy nie - nie uwierzy ani jednemu słowu czarnucha. O nie, proszę pana, zwłaszcza

gdy czterech czcigodnych, białych młodych dżentelmenów stwierdzi, że czarnuch kłamie. Nawet jeżeli panna Preyscott potwierdzi zeznania czarnucha. Wątpię jednak, czy jej tatuś do tego dopuści, kiedy pomyśli, co prasa będzie mogła z tego zrobić.

Peter podniósł już słuchawkę, ale teraz odłożył ją z powrotem.

- Czasami - powiedział - mam wrażenie, że starasz się jak możesz, żeby sprawy były jeszcze trudniejsze niż są w rzeczywistości.

Zdawał sobie jednak sprawę, że Royce ma rację. Spojrzał na Marshę i zapytał:

- Czy powiedziałaś: „panna Preyscott”?

Młody Murzyn skinął głową:

- Jej ojcem jest Mark Preyscott. T e n Preyscott. Prawda, panienko?

Marsha z nieszczęśliwą miną kiwnęła głową.

- Panno Preyscott - zapytał Peter. - Czy zna pani osoby odpowiedzialne za cały incydent?

Odpowiedź była ledwo słyszalna:

- Tak.

- Jak sądzę, wszyscy byli z Alpha Kappa Epsilon - odpowiedział Royce.

- Czy to prawda, panno Preyscott?

Skinęła lekko głową.

- Czy przyszła pani razem z nimi tutaj, do tego apartamentu?

Znowu szept:

- Tak.

Peter popatrzył pytającym wzrokiem na Marshę. Po chwili namysłu powiedział:

- Złożenie oficjalnej skargi zależy wyłącznie od pani, panno Preyscott. Bez względu na to, jaką decyzję pani podejmie, hotel panią poprze. Ale obawiam się, że w tym, co Royce powiedział na temat rozgłosu jest dużo prawdy. Z całą pewnością rozgłos będzie... Niewątpliwie spory, jak sądzę. Nie będzie to przyjemne. Oczywiście, decyzję musi podjąć pani ojciec - dodał. - Czy nie sądzi pani, że powinienem do niego zadzwonić i poprosić, żeby tu przyjechał?

Marsha podniosła głowę i po raz pierwszy spojrzała na Petera.

- Mój ojciec jest w Rzymie. Proszę mu nie mówić, co się stało. Nigdy.

- Jestem pewien, że sprawę można załatwić i w nieoficjalny sposób. Moim zdaniem, nikomu coś takiego nie powinno ujść płazem. - Peter obszedł łóżko. Zaskoczyło go, że dziewczyna wygląda tak dziecinnie i jest aż tak piękna. - Czy mogę coś dla pani zrobić?

- Nie wiem. Nie wiem. - Znowu zaczęła płakać, tym razem już bardziej spokojnie.

Peter niepewnym gestem wyjął białą batystową chusteczkę. Marsha wzięła ją, wytarła łzy i wydmuchała nos.

- Już lepiej?

Kiwnęła głową.

- Dziękuję.

W jej duszy panował zamęt: wstyd, złość, ból i żądza odwetu bez względu na konsekwencje, a także pragnienie, które jak wiedziała nie zostanie zrealizowane - aby objęły ją czule i opiekuńcze ramiona. Uczucia te przytłumiło jednak obezwładniające fizyczne zmęczenie.

- Sądzę, że powinna pani trochę odpocząć. - Peter McDermott odchylił narzutę na zasłanym jeszcze łóżku i Marsha wślizgnęła się pod nią. Poczwała pod policzkiem chłodną poduszkę.

- Nie chcę tu zostać - powiedziała. - Nie mogę.

Spojrzał ze zrozumieniem.

- Wkrótce odwieziemy panią do domu.

- Nie! Tego również nie chcę! Proszę, czy nie można by gdzie indziej... w hotelu?

- Niestety, hotel jest pełny. - Pokręcił przecząco głową.

Aloysius Royce wyszedł do toalety, żeby zmyć krew z twarzy. Teraz wrócił i stał w drzwiach prowadzących do saloniku. Gwizdnął cicho widząc ogólny bałagan: poprzestawiane meble, pełne popielniczki, przewrócone butelki z rozlaną zawartością, potłuczone szkło.

Kiedy McDermott podszedł do niego, Royce stwierdził:

- Było tu chyba niezłe przyjęcie.

- Wszystko na to wskazuje.

Peter zamknął drzwi łączące salonik z sypialnią.

- Przecież w hotelu musi być jakieś miejsce - błagalnym tonem poprosiła Marsha. - Nie mogę dzisiaj wrócić do domu.

Peter zawahał się.

- No cóż, chyba można skorzystać z 555? - Zerknął na Royce'a.

Pokój 555 był niewielki i przysługiwał zastępcy naczelnego dyrektora. Peter rzadko go używał, czasami się w nim przebierał. Teraz pokój był pusty.

- Wszystko będzie w porządku - powiedziała Marsha. - Jeżeli tylko ktoś zadzwoni do mojego domu. Należy poprosić gospodynię, Annę.

- Jeżeli pan chce - zaproponował Royce - pójdę po klucz.

Peter kiwnął głową.

- Dobrze. I zjrzyj tam w powrotnej drodze. Weź mój szlafrok. Powinniśmy chyba wezwać pokojówkę.

- Jeżeli wpuści pan tu teraz pokojówkę, to równie dobrze może pan ogłosić wszystko przez radio.

Peter zamyślił się. W takiej sytuacji, nic nie byłoby w stanie powstrzymać plotek. Kiedy zdarzało się coś podobnego, w każdym hotelu służbowe zaplecze zawsze od nich huczało jak tamtamy w dżungli. Nie warto było dostarczać mu dodatkowego materiału.

- No dobrze. Sami zwieziemy pannę Preyscott na dół służbową windą.

Kiedy młody Murzyn otworzył drzwi, rozległy się zaniepokojone głosy ludzi, którzy zasypali go lawiną pytań. Peter uświadomił sobie, że zupełnie zapomniał o zgromadzonych na zewnątrz przebudzonych gościach. Słyszał, jak Royce odpowiada im spokojny i opanowany, więc po chwili gwar zaczął cichnąć.

- Nie powiedział mi pan, kim jest - mruknęła cicho Marsha nie otwierając oczu.

- Przepraszam. Powinienem był się przedstawić.

Podał jej swoje nazwisko i pełnioną w hotelu funkcję. Marsha słuchała, zdając sobie sprawę z tego, co do niej mówi i uspokajając się pod wpływem jego kojącego, dodającego otuchy głosu. Po chwili pozwoliła, aby jej myśli zaczęły błądzić w półśnie. Niejasno zdała sobie sprawę, że wrócił Aloysius Royce, poczuła, że podnoszą ją z łóżka i ubierają w szlafrok, a potem szybko i cicho prowadzą przez pusty korytarz. Po wyjściu z windy znowu szli jakimś korytarzem, a potem było inne łóżko, na którym się położyła. Usłyszała, jak ktoś mówi łagodnie:

- Już jest w porządku.

Dźwięk płynącej wody. Głos, który mówi jej, że kąpiel jest gotowa. Obudziła się na tyle, aby przejść do łazienki i zamknąć się w niej.

W środku leżała starannie złożona piżama i Marsha ubrała się w nią po kąpeli. Piżama była męska, granatowa i za duża. Rękawy zakrywały całe dłonie dziewczyny i nawet gdy podwinęła nogawki, wciąż potykała się o nie.

Wyszła i zaraz ktoś pomógł jej położyć się do łóżka. Wsuwając się do świeżej, wykrochmalonej pościeli znowu słyszała przyjazny głos Petera McDermotta. Ten głos mi się podoba, pomyślała Marsha... I jego właściciel również.

- Royce i ja wychodzimy, panno Preyscott. Drzwi do tego pokoju mają automatyczny zatrask, a klucz leży obok pani łóżka. Nikt nie będzie pani niepokoił.

- Dziękuję. Czyja to piżama? - spytała sennie.

- Moja. Przepraszam, że jest za duża.

Próbowała pokręcić głową, ale czuła się zbyt zmęczona.

- To nieważne... miła...

Była zadowolona, że to jego piżama. Mogła sobie wyobrazić, że znalazła się wreszcie w czyichś objęciach.

- Miła - powtórzyła cicho. I to była jej ostatnia świadoma myśl.

8.

Peter czekał sam na windę na piątym piętrze. Aloysius Royce pojechał już na piętnaste piętro, gdzie miał służbowe mieszkanie przylegające do prywatnych apartamentów właściciela hotelu.

Wyjątkowo pracowity wieczór, pomyślał Peter. I ze sporą porcją nieprzyjemności. Ale w dużym hotelu nie było w tym nic szczególnego, często jego pracownicy mieli okazję obserwować różne oblicza życia.

Kiedy dźwig stanął na jego piętrze, powiedział windziarzowi:

- Do głównego holu, proszę. - Pamiętał, że Christine czeka na niego na antresoli, ale uznał, że załatwienie sprawy zajmie mu niewiele czasu.

Zauważył ze zniecierpliwieniem, że chociaż drzwi są już zamknięte, winda nie rusza z miejsca. Windziarz, jeden ze stałych nocnych pracowników, przesuwał dźwignię sterującą tam i z powrotem.

- Czy jest pan pewien, że jest dobrze zamknięta? - zapytał Peter.

- Tak, proszę pana. Nie o to chodzi. Chyba nawalają przełączniki... Albo tutaj, albo na górze. - Mężczyzna wskazał głową poddasze, gdzie mieściła się maszyna wind, a potem dodał: - Ostatnio było z nią trochę kłopotów. Szef sprawdzał ją niedawno.

Przesunął znowu energicznie dźwignię. Mechanizm zaskoczył z szarpnięciem i winda ruszyła w dół.

- Jaki jest jej numer? - zapytał McDermott.

- Cztery.

Peter zapisał sobie w pamięci, że musi dowiedzieć się od Doca, na czym konkretnie polega awaria.

Gdy dotarł na miejsce, zegar w hollu wskazywał prawie wpół do pierwszej. Jak zawsze o tej porze ruch już osłabł, ale wciąż było tu dużo osób, a muzyka dobiegająca z położonej nie opodal Sali Karminowej świadczyła, że wieczorny dancing jeszcze trwa. Peter zakręcił w prawo, w stronę recepcji, ale przeszedł zaledwie kilka kroków, gdy spostrzegł tęgą

postać zbliżającą się do niego kaczkowatym krokiem. Był to główny detektyw hotelowy, Ogilvie. Swego czasu służył w nowoorleańskiej policji, ale niczym się tam nie wyróżniał. Maszerował z pozornie obojętną miną, ale jego małe, świńskie oczka zerkały na boki obserwując wszystko, co dzieje się wokół niego. Jak zawsze, towarzyszył mu odór stęchłego dymu z cygar, których cały szereg sterczał z górnej kieszeni jego marynarki jak nie wystrzelone torpedy.

- Słyszałem, że mnie pan szukał - powiedział obojętnie.

Peter poczuł, jak powraca jego poprzedni gniew.

- Rzeczywiście, szukałem. Gdzie pan był, u diabła?

- Wykonywałem swoją pracę, panie McDermott. - Jak na tak potężnie zbudowanego mężczyznę, Ogilvie mówił zadziwiającym falsetem. - Jeżeli chce pan wiedzieć, byłem w komendzie policji. Zgłaszałem kradzież walizki z przechowalni bagażu.

- Na komendzie policji? A w którym pokoju grali tam w pokera?

Świńskie oczka Ogilviego zapłonęły wrogo.

- Jeżeli pan mi nie wierzy - powiedział - niech więc pan sprawdzi. Albo porozmawia z panem Trentem.

Peter pokiwał z rezygnacją głową. Wiedział dobrze, że byłaby to tylko strata czasu. Z całą pewnością Ogilvie miał dobrze opracowane alibi i jego przyjaciele w komisariacie na pewno by go kryli. A poza tym Warren Trent nigdy nie podjąłby żadnych działań przeciwko detektywowi, który pracował w St. Gregorym równie długo jak sam właściciel. Niektórzy mówili, że tłusty detektyw wie o paru sprawach, dzięki którym mógł sprawować kontrolę nad Warrenem Trentem. Bez względu jednak na przyczyny, pozycja Ogilviego w hotelu była niepodważalna.

- No cóż, ominęły pana dwa incydenty - powiedział Peter. - Ale oba zostały już załatwione.

W gruncie rzeczy może i dobrze, że Ogilviego nie było na miejscu, pomyślał. Z całą pewnością hotelowy detektyw nie zareagowałby na chorobę Alberta Wellsa tak skutecznie jak Christine ani nie załatwiłby sprawy Marshy Preyscott z odpowiednim taktem i współczuciem. Postanowił zapomnieć o Ogilviem. Kiwnął głową i skierował się do recepcji.

Recepcjonista z nocnej zmiany, z którym rozmawiał wcześniej przez telefon, znajdował się na swoim stanowisku. Peter postanowił załagodzić sytuację.

- Bardzo dziękuję, że pomógł mi pan w sprawie pokoju na czternastym - powiedział uprzejmie. - Umieściliśmy pana Wellsa w 1410. Doktor Aarons załatwił opiekę pielęgniarską, a kierownik techniczny dostarczył tlen.

Twarz recepcjonisty, która na widok zbliżającego się Petera stężała gwałtownie, odprężyła się wyraźnie.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jest to coś aż tak poważnego.

- Obawiam się, że niewiele brakowało, aby stało się nieszczęście. Dlatego tak bardzo mnie interesuje, dlaczego przeniesiono go do tego pokoju.

Recepcjonista pokiwał głową.

- W takim razie, z całą pewnością starannie wyjaśnię tę sprawę. Tak, może mieć pan całkowitą pewność.

- Mieliśmy również pewne problemy na jedenastym. Czy może mi pan powiedzieć, na czyje nazwisko został wynajęty 1126-7?

Recepcjonista przekartkował rejestr i wyjął kartę.

- Pan Stanley Dixon.

- Dixon.

Jedno z nazwisk wymienionych przez Royce'a właśnie tak brzmiało.

- Syn właściciela salonu samochodowego. Pan Dixon często bywa w hotelu.

- Dziękuję panu - powiedział Peter. - Niech pan zanotuje, że pokój został zwolniony i każe kasjerowi wysłać rachunek. - Przyszła mu do głowy pewna myśl. - Nie, lepiej niech mi pan prześle go jutro, a ja napiszę list. Po dokonaniu oceny szkód, zażądamy ich pokrycia.

- Bardzo dobrze, panie McDermott. - Zmiana w sposobie bycia recepcjonisty była doskonale zauważalna. - Powiem kasjerowi, żeby zrobił tak, jak pan sobie życzy. Zakładam, że apartament jest już wolny.

- Tak.

Peter uznał, iż nie ma sensu rozgłaszać faktu, że Marsha Preyscott znajduje się w 555. Być może, dziewczyna zdoła wyjść rano niepostrzeżenie. Przypomniało mu to złożoną jej obietnicę, że zadzwoni do domu Preyscottów. Przyjaznym tonem powiedział „dobranoc” recepcjoniście i przeszedł przez hol do wolnego biurka, przy którym w dzień siedział jeden z zastępców dyrektora. Znalazł numer telefonu Marka Preyscotta zamieszkałego w Garden District i poprosił telefonistkę o połączenie. Sygnał w słuchawce brzmiał przez dłuższy czas, aż wreszcie rozległ się zaspany kobiecy głos. Peter przedstawił się i oznajmił:

- Mam wiadomość dla Anny od panny Marshy Preyscott.

- Tu Anna. Czy z panną Marshą wszystko w porządku? - zapytała kobieta. Mówiła z charakterystyczną dla Południa wymową.

- Tak, ale prosiła mnie, abym poinformował panią, że zostaje na noc w hotelu.

- Czy mógłby mi pan jeszcze raz powiedzieć, kim pan jest? - zapytała gospodyni.

Peter wyjaśnił jej cierpliwie.

- Proszę posłuchać - powiedział wreszcie. - Jeżeli chce pani to sprawdzić, proszę do mnie zadzwonić. Niech pani zatelefonuje do hotelu St. Gregory i poprosi o połączenie ze znajdującym się w holu stanowiskiem zastępcy kierownika zmiany.

- Dobrze, proszę pana. Zrobię tak - odpowiedziała rozmówczyni z wyraźną ulgą.

Połączono ich znowu po niecałej minucie.

- W porządku - oznajmiła. - Teraz wiem, z kim rozmawiam. Niepokoiłiśmy się trochę o pannę Marszę. Jej tata wyjechał...

Odłożył słuchawkę i nagle zorientował się, że znowu myśli o Marshy Preyscott. Postanowił porozmawiać z nią jutro, aby dowiedzieć się, co się zdarzyło przed próbą gwałtu. Straszliwy bałagan panujący w apartamencie nasuwał kilka pytań. Zauważył, że Herbie Chandler spogląda na niego ukradkiem. Podeszedł do niego i rzucił ostro:

- O ile pamiętam, poleciłem panu sprawdzić skargę na zakłócenie spokoju na jedenastym piętrze?

Chandler popatrzył na niego niewinnie.

- Przecież tam poszedłem, panie Mac. Obszedłem całe piętro i wszystko było w porządku. - Mówi prawdę, pomyślał Herbie. W końcu pojechał, zdenerwowany, na jedenaste piętro, ale tam stwierdził z ulgą, że jest już chyba po wszystkim. A kiedy wrócił do holu, dowiedział się, że obie call-girls opuściły hotel nie zauważone przez nikogo.

- Chyba nie słuchał pan, ani nie patrzył zbyt uważnie.

Herbie Chandler pokręcił uparcie głową.

- Mogę powiedzieć tylko, że zrobiłem, co pan chciał, panie Mac. Kazał mi pan pojechać na górę i tak też zrobiłem, choć nie należy to do moich obowiązków.

- Dobrze. - Chociaż instynkt podpowiadał Peterowi, że Chandler wie więcej niż mówi, postanowił nie naciskać w tej chwili. - Przeprowadzę dochodzenie. Może później znowu porozmawiamy.

Kiedy ponownie szedł przez hol i wchodził do windy, wiedział doskonale, że jest obserwowany zarówno przez Herbiego Chandlera jak i detektywa hotelowego, Ogilwiego. Tym razem przejechał zaledwie jedną kondygnację - na półpiętro administracyjne.

Christine czekała w jego gabinecie. Zrzuciła buty i siedziała z podkulonymi nogami w tym samym fotelu, co półtorej godziny temu. Oczy miała zamknięte i błądziła myślami daleko w czasie i przestrzeni. Kiedy wszedł Peter, otworzyła je...

- Nigdy nie wychodź za mąż za hotelarza - stwierdził. - To praca bez końca.

- Ostrzeżenie na czasie - odparła. - Jeszcze ci nie mówiłam, ale mam słabość do

nowego zastępcy szefa kuchni. Tego, który wygląda jak Rock Hudson.

Opuściła nogi na podłogę i sięgnęła po buty.

- Czy miałeś jeszcze jakieś problemy? - spytała.

Uśmiechnął się. Widok Christine i dźwięk jej głosu wpływał na niego orzeźwiająco.

- Raczej mieli je inni. Opowiem ci, jak sobie stąd pójdziemy.

- Dokąd?

- Byle dalej od tego hotelu. Oboje mamy dość, jak na jeden dzień.

Christine myślała przez chwilę.

- Możemy pójść do Quarter. Tam jest mnóstwo otwartych lokali. Albo, jeżeli chcesz, możemy pojechać do mnie. Robię cudowne omlety.

Peter pomógł jej wstać. Gasząc światła w gabinecie oznajmił:

- Omlet jest tym, czego naprawdę pragnąłem nie zdając sobie z tego sprawy.

9.

Szli razem omijając kałuże pozostałe po deszczu i skierowali się w stronę kilkukondygnacyjnego parkingu położonego półtorej przecznicy od hotelu. Po krótkotrwałej burzy niebo nad ich głowami przejaśniało. Przez chmury przebijał się już księżyc. Wokół nich śródmięście zapadało w ciszę, przerywaną jedynie od czasu do czasu przez przejeżdżającą taksówkę i głośny stukot ich kroków, odbijający się echem w wąwozie ciemnych budynków.

Zaspany pracownik parkingu przyprowadził volkswagena Christine. Peter wcisnął się na prawe siedzenie.

- To jest życie! - stwierdził. - Nie masz nic przeciwko temu, że się tu trochę umoszczę? - Położył rękę na oparciu fotela kierowcy nie dotykając ramion Christine.

Gdy czekali na światłach przy Canal Street, jeden z nowych klimatyzowanych autobusów przejechał promenadą.

- Miałaś mi powiedzieć, co się stało - przypomniała mu.

Zmarszczył brwi, wracając myślami do hotelu, a potem opowiedział wszystko, czego dowiedział się w sprawie próby gwałtu na Marshy Preyscott. Christine słuchała w milczeniu, jadąc swoim małym samochodem na północny wschód. Peter zakończył relację, przytaczając rozmowę z Herbiem Chandlerem. Podzielił się z nią również podejrzeniami, że wie on więcej niż mówi.

- Herbie zawsze wie więcej. Dlatego jest tu tak długo.

- To, że ktoś jest długo, o niczym nie świadczy - odparł krótko Peter.

Uwaga ta, jak zdawali sobie oboje sprawę, zdradzała zniecierpliwienie, jakie budziła w Peterze nieefektywność zarządzania hotelem, której nie miał możliwości zmienić. W poprawnie prowadzonym hotelu o wyraźnie sprecyzowanych zakresach obowiązków i procedurze służbowej takie sytuacje w ogóle by nie zaistniały. Ale w St. Gregorym, poważna część zasad organizacyjnych opierała się na niepisanych prawach, których ostateczna ocena zależała od Warrena Trenta i była wprowadzana przezeń w życie w jego własny, kapryśny sposób.

W normalnej sytuacji, Peter - prymus Cornell Univeristy's School of Hotel Administration - już wiele miesięcy temu podjąłby decyzję o poszukaniu sobie gdzie indziej bardziej satysfakcjonującej pracy. Ale sytuacja nie była normalna. Przybył do St. Gregory'ego z zaszarganą opinią, która w bardzo poważnym stopniu i zapewne na długo jeszcze ograniczała szanse innego zatrudnienia.

Czasami rozmyślał ponuro o tym, jak fatalnie udało mu się złamać sobie karierę i co najsmutniejsze, przyznawał szczerze, do nikogo poza samym sobą nie mógł mieć o to pretensji.

W Waldorfie, gdzie rozpoczął pracę po zdobyciu dyplomu w Cornell, Peter McDermott - błyskotliwy, młody człowiek - miał ogromne szanse na zrobienie kariery. Był młodszym zastępcą kierownika i miał szybki awans w perspektywie. Wówczas jednak wtrącił się pech i ludzka niedyskrecja. W momencie, gdy powinien być na służbie i potrzebowano go gdzieś w hotelu, nakryto go *in flagranti* w sypialni z kobietą - gościem hotelowym.

Nawet w tej sytuacji mogłoby to ująć mu bezkarnie. Przystojni, młodzi ludzie pracujący w hotelu często bywali uwodzeni przez samotne kobiety i zdarzało się, że im ulegali. Kierownictwo, dowiedziawszy się o podobnym incydencie, karało takie pojedyncze naruszenie zasad surowym ostrzeżeniem. W przypadku Petera na jego niekorzyść zadziałały dwie okoliczności. W odkryciu całej sprawy brał udział mąż kobiety wspomagany przez prywatnych detektywów i w rezultacie wynikła głośna i bardzo paskudna sprawa rozwodowa, czyli coś, czego wszystkie hotele wystrzegały się jak diabeł święconej wody.

Jakby nie było tego dosyć, pojawiły się wówczas i kłopoty osobiste. Trzy lata przed katastrofą w Waldorfie, pod wpływem przelotnego impulsu, Peter McDermott ożenił się. Małżeństwo wkrótce zakończyło się separacją. W jakimś stopniu przyczyną incydentu w hotelu były więc jego samotność i rozczarowanie. Ale żona Petera wykorzystwała gotowy materiał dowodowy i wystąpiła o rozwód. Wygrała bez problemu...

Ostatecznym rezultatem całej tej historii było karne zwolnienie i umieszczenie Petera na czarnej liście we wszystkich zrzeszonych wielkich hotelach.

Oczywiście, czarna lista formalnie nie istniała. Ale w każdym hotelu powiązanim ze zrzeczeniem składane przez Petera podania o zatrudnienie były bezwzględnie odrzucane. Jedynie w działającym niezależnie St. Gregorym był w stanie uzyskać pracę za pensję, którą Warren Trent chytrze dostosował do rozpaczliwej sytuacji, w jakiej znalazł się Peter.

Kiedy więc powiedział przed chwilą: „To, że ktoś jest długo, o niczym nie świadczy”, tylko udawał pewność siebie. Podejrzewał, że Christine również zdawała sobie z tego sprawę.

Peter obserwował, jak zręcznie prowadzi maleńki samochód przez wąską Burgundy Street, omijając centrum French Quarter. Christine zwolniła na chwilę, przejeżdżając koło grupy niepewnie trzymających się na nogach turystów, którzy przywędrowali tu z położonej dwie przecznice dalej bardziej zaludnionej i jaskrawo oświetlonej Bourbon Street.

- Jest coś, o czym chyba powinienes się dowiedzieć - oznajmiła nagle. - Curtis O'Keefe przyjeżdża jutro rano.

Wiadomość, której się obawiał, ale jednocześnie spodziewał.

Z Curtisem O'Keefe należało się liczyć. Był właścicielem ogólnoswiatowej sieci hoteli O'Keefego. Kupował je tak jak inni ludzie kupują krawaty czy rękawiczki. Nawet dla kogoś niezbyt dobrze poinformowanego, pojawienie się Curtisa O'Keefego w St. Gregorym mogło oznaczać tylko jedno - chęć nabycia go i włączenia do stale powiększającej się sieci hoteli O'Keefego.

- Czy to podróż handlowa? - zapytał Peter.

- Możliwe. - Christine patrzyła na słabo oświetloną ulicę. - W.T. wcale tego nie chce. Ale niewykluczone, że nie będzie miał wyboru.

Miała właśnie dodać, że ta informacja jest poufna, ale ugryzła się w język. Peter doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Elektryzująca wiadomość o przybyciu Curtisa O'Keefego rozniesie się jutro rano po całym St. Gregorym w ciągu paru minut.

- Przeczuwałem taką ewentualność. - Peter, podobnie jak inni ludzie z kadry kierowniczej, zdawał sobie sprawę, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy St. Gregory poniósł poważne straty finansowe. - Ale mimo wszystko, szkoda.

- Jeszcze nic się nie stało - przypomniała mu Christine. - Mówiłam ci, że W.T. nie jest zainteresowany sprzedażą.

Peter kiwnął bez słowa głową.

Wyjechali właśnie z French Quarter i zakręcili w lewo na szeroką, wysadzaną drzewami Esplanade Avenue. Była pusta, tylko w oddali małały szybko tylne światła samochodu jadącego w kierunku Bayou St. John.

- Są problemy z dofinansowaniem - wyjaśniła Christine. - W.T. próbuje znaleźć nowy

kapitał. Wciąż ma nadzieję, że gdzieś go zdobędzie.

- A jeżeli nie?

- Wtedy spodziewam się częściej oglądać pana Curtisa O'Keefego.

Natomiast rzadziej Petera McDermotta, pomyślał. Zastanawiał się czy sieć hotelowa O'Keefego mogłaby go uznać za zrehabilitowanego i zasługującego na zatrudnienie. Wątpił w to. Byłoby to dość prawdopodobne, gdyby jego banicja, w czasie której zachowałby nienaganną reputację, potrwała dłużej. Ale jeszcze nie teraz.

Wszystko wskazywało na to, że wkrótce zostanie zmuszony poszukać sobie nowej pracy. Doszedł jednak do wniosku, że będzie się o to martwić później.

- O'Keefe-St. Gregory - myślał na głos Peter. - Kiedy będziemy wiedzieli na pewno?

- Wszystko rozstrzygnie się do końca tygodnia.

- Tak szybko?

Christine знаła dobrze powody, które zmuszały do jak najszybszego podjęcia decyzji. Na razie jednak nie zamierzała go wtajemniczać w te sprawy.

- Stary nie znajdzie nowego źródła finansowania - stwierdził stanowczo Peter.

- Skąd masz tę pewność?

- Bo ludzie, którzy dysponują wielkimi pieniędzmi, chcą mieć bezpieczną inwestycję.

Taką, jak na przykład dobrze funkcjonujący hotel, a St. Gregory do takich nie należy.

Jechali na północ po Elysian Fields, której szerokie podwójne jezdnie były całkowicie puste. Nagle rozbrzysło przed nimi kołyszące się, migające białe światło. Christine zahamowała, a gdy samochód stanął, podszedł do nich umundurowany funkcjonariusz policji drogowej. Oświetlił volkswagena latarką i obszedł samochód naokoło, uważnie go oglądając. Dostrzegli, że znajdujący się przed nimi odcinek drogi jest ogrodzony liną. Za przegrodą inni mężczyźni w mundurach i cywilnych ubraniach badali nawierzchnię jezdni, oświetlając ją potężnymi reflektorami.

Christine opuściła szybę, gdy policjant znalazł się z jej strony samochodu. Najwyraźniej kontrola wypadła pomyślnie, bo oznajmił im:

- Musicie państwo zrobić objazd. Proszę przejechać ostrożnie na drugą jezdnię, a funkcjonariusz w odpowiednim miejscu skieruje was z powrotem na właściwy pas.

- O co chodzi? - zapytał Peter. - Co się stało?

- Niedawno, wieczorem, ktoś najechał przechodniów i uciekł.

- Są ofiary śmiertelne? - spytała Christine.

Policjant kiwnął głową:

- Siedmioletnia dziewczynka. - Dostrzegł, jak bardzo wstrząsnęła nimi ta wiadomość,

dodał: - Przechodziła z matką przez jezdnię. Matka jest w szpitalu, a dziecko zginęło na miejscu. Kierowca musiał to zauważyć, ale nie zatrzymał się. Sukinsyn! - zaklął pod nosem.

- Znajdziecie go?

- Znajdziemy. - Policjant z posępną miną wskazał ludzi pracujących za linami. - Chłopcóm zazwyczaj się to udaje, a ten wypadek szczególnie ich poruszył. Na jezdni są odłamki szkła, a samochód, który je potracił, musi mieć ślady uderzenia. - Dostrzegł zbliżające się z tyłu światła następnego pojazdu i dał Christine znak, aby ruszyła.

Milczeli, gdy Christine jechała wolno objazdem i na jego końcu została skierowana z powrotem na właściwą jezdnię. Gdzieś w głębi umysłu Petera tliła się natrętna, nie sprecyzowana i nie dająca się określić myśl. Miał wrażenie, że przyczyną jego niepokoju jest wypadek i związana z nim tragedia, ale podświadome uczucie prześladowało go do chwili, gdy usłyszał głos Christine:

- Już prawie jesteśmy w domu.

Z Elysian Fields zjechali na Prentiss Avenue. Mały samochód zakręcił w prawo, potem w lewo i wreszcie zatrzymał się na parkingu przed nowoczesnym, dwupiętrowym budynkiem mieszkalnym.

*

- Jeżeli stracę wszystkie inne szanse na pracę - zawołał wesoło Peter - zawsze mogę znowu zostać barmanem.

Przygotowywał drinki w saloniku Christine, utrzymanym w delikatnej tonacji zieleni i błękitu. Słyszał, dobiegający z kuchni położonej obok, trzask pękających skorupki jajek.

- Byłeś nim już kiedyś?

- Przez jakiś czas. - Odmierzył trzy uncje żytniej whisky, podzielił tę porcję na pół, potem sięgnął po Angosturę i Bitter Peychaud. - Kiedyś ci o tym opowiem. - Po namyśle zwiększył proporcje whisky i chusteczką wytarł parę kropel, które spadły na niebieski dywan.

Wyprostował się i rozejrzał po urządzonym eklektycznie saloniku. Stała w nim francuska sofa z obiciem w liściasty, biało-zielono-niebieski wzór, para foteli hepplewhite koło komódki z marmurowym blatem i intarsjowany mahoniowy kredens, przy którym szykował drinki. Na ścianach wisiało kilka grafik z okresu francuskiej Luizjany i współczesny impresjonistyczny obraz olejny. Panowała tu atmosfera ciepła i radości - taka sama, jaka otacza Christine, pomyślał. Jedyne stojący obok niego na kredensie, cykający cicho ciężki zegar kominkowy nie pasował do tego wnętrza. Był niewątpliwie wiktoriański, miał mosiężne ozdoby i zdradzającą upływ czasu tarczę z widocznymi plamami wilgoci. Peter przyglądał mu się ze zdziwieniem.

Kiedy zaniósł drinki do kuchni, Christine wylewała z miski ubite jaja na delikatnie skwierczącą patelnię.

- Jeszcze trzy minuty - stwierdziła - i gotowe.

Podał jej szklaneczkę i stuknęli się delikatnie.

- A teraz omlet - rzekła Christine. - Już jest gotowy.

Omlet spełnił wszystkie jej obietnice - był lekki, puszysty i doprawiony ziołami.

- Taki właśnie powinien być - przyznał Peter - ale bardzo rzadko się udaje.

- Potrafię również ugotować jajka.

Pomachał wesoło ręką.

- To na jakieś inne śniadanie.

Później wrócili do saloniku i Peter przygotował drugiego drinka. Była już prawie druga w nocy.

Siedząc koło Christine na sofie, Peter wskazał ręką nie harmonizujący z wnętrzem zegar.

- Mam wrażenie, jakby się na mnie gapił i pełnym dezaprobaty tonem informował, że jest już późno.

- Być może - odparła Christine. - Należał do mojego ojca. Trzymał go w gabinecie i ustawiał tak, żeby pacjenci mogli go widzieć. Jest jedynym przedmiotem, jaki sobie zostawiłam.

Zapadła cisza. Jakiś czas temu Christine rzeczowym tonem opowiedziała mu o katastrofie lotniczej w Wisconsin.

- Po tym co się stało, musiaś się czuć straszliwie samotna - powiedział łagodnie.

- Chciałam umrzeć - oznajmiła po prostu. - Chociaż, oczywiście, po jakimś czasie doszłam do siebie.

- Po jakim?

Uśmiechnęła się przełomie.

- Psychika ludzka szybko goi rany. Myślałam o śmierci mniej więcej tydzień lub dwa.

- A potem?

- Kiedy przyjechałam do Nowego Orleanu - kontynuowała Christine - zmuszałam się, żeby nie wspominać. Przychodziło mi to z trudem i w miarę upływu czasu stawało się coraz trudniejsze. Zrozumiałam, że muszę coś zrobić, ale nie bardzo wiedziałam co... ani gdzie.

Przerwała i Peter poprosił:

- Mów dalej.

- Przez pewien czas zastanawiałam się, czy nie wrócić na uniwersytet, ale potem

zrezygnowałam z tego pomysłu. Zrobienie magisterium z historii sztuki tylko dla idei wydało mi się zupełnie bez sensu. Nagle uświadomiłam sobie, że wyrosłam z tego wszystkiego.

- Mogę to zrozumieć.

Christine w zamyśleniu upiła łyk ze szklaneczki. Patrzył na wyraźne rysy jej twarzy i zdawał sobie sprawę z kryjącego się w niej spokoju i opanowania.

- Tak więc - podjęła wątek Christine - idąc pewnego dnia po Carondelet, zobaczyłam wywieszkę „Szkoła Sekretarek”. To jest pomysł! - uznałam. Nauczę się czegoś konkretnego i pożytecznego, a potem podejmę pracę, która trwać będzie przez nieskończoną ilość godzin dziennie. I w końcu tak się rzeczywiście stało.

- W jaki sposób pojawił się w twoim życiu St. Gregory?

- Mieszkałam w nim od przyjazdu z Wisconsin. Któregoś ranka razem ze śniadaniem dostałam „Times-Picayune”, a wśród ogłoszeń znalazłam wiadomość, że dyrektor naczelny hotelu potrzebuje osobistej sekretarki. Było jeszcze wcześnie, doszłam więc do wniosku, że przyjdę pierwsza i poczekam. Wówczas W.T. zjawiał się w pracy przed wszystkimi. Kiedy przyszedł, czekałam już na niego w jego gabinecie.

- Natychmiast cię zatrudnił?

- Niezupełnie. Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy w ogóle zostałam przyjęta do pracy. Po prostu, kiedy W.T. dowiedział się, po co tu jestem, zawołał mnie i zaczął dyktować mi listy, a potem zasypywał mnie poleceniami, które musiałam przekazywać innym ludziom na terenie hotelu. Gdy przybyły kolejne osoby starające się o tę posadę, ja pracowałam już od wielu godzin i sama zajęłam się informowaniem ich, że stanowisko jest już zajęte.

- Doskonale pasuje to do starego - roześmiał się Peter.

- Sądzę, że w ogóle nie wiedział, kim jestem do chwili, kiedy trzy dni później zostawił mu na biurku kartkę. Chyba napisałam na niej „Nazywam się Christine Francis” i zasugerowałam wysokość pensji. Dostałam swoją kartkę z powrotem bez żadnych komentarzy, tylko zaopatrzoną w jego parafę. I to było wszystko.

- Znakomita historyjka na dobranoc. - Peter wstał z sofy i przeciągnął się. - Twój zegar znowu na mnie patrzy. Chyba lepiej będzie, jeśli sobie pójdę.

- To niesprawiedliwe - zaprotestowała Christine. - Rozmawialiśmy tylko o mnie.

Zdawała sobie sprawę z faktu, że Peter jest bardzo męski, a jednocześnie tyle jest w nim łagodności. Spostrzegła to dziś wieczorem, gdy wziął na ręce Alberta Wellsa i przeniósł go do drugiego pokoju. Zastanawiała się, co by czuła, gdyby to ją wziął na ręce..

- Wszystko bardzo mi się podobało... Wspaniałe antidotum na paskudny dzień. Na pewno będą jeszcze inne okazje. - Przerwał i wpatrywał się w nią przez chwilę. - Prawda?

Kiedy przytaknęła, pochylił się i pocałował ją delikatnie.

*

W taksówce, którą wezwał z mieszkania Christine, Peter rozluźnił się. Czując przyjemne zmęczenie, przypominał sobie wszystkie wydarzenia minionego dnia, który przyniósł normalną porcję spraw, a wieczorem zdarzyło się jeszcze kilka wyjątkowych: starcie z księciem i księżną Croydonu, niemal śmiertelny atak choroby Alberta Wellsa i próba gwałtu na Marshy Preyscott. Pojawiły się pytania bez odpowiedzi dotyczące Ogilwiego, Herbiego Chandlera, a teraz i Curtisa O'Keefego, którego przybycie może oznaczać konieczność odejścia Petera. Wreszcie pojawiła się Christine. Znał ją już długo, ale do minionego wieczoru właściwie nie zwracał na nią uwagi.

Uważaj, ostrzegł się w myśli: kobiety już dwukrotnie stały się przyczyną twojej klęski życiowej. Jeżeli cokolwiek powstanie między nami, powinno rozwijać się powoli i muszę zachować ostrożność.

Taksówka jechała szybko po Elysian Fields w stronę miasta. Kiedy mijał miejsce, w którym ich zatrzymano, zauważył, że zdjęto już przegrodzenie drogi, a policja odjechała. Jednakże znowu obudził się w nim ten sam niepokój, który czuł już poprzednio. Dręczył go przez całą powrotną drogę do mieszkania, które mieściło się w odległości dwóch przecznic od hotelu St. Gregory.

Wtorek

1.

St. Gregory, podobnie jak inne hotele, budził się niczym żołnierz-weteran - o świcie, po krótkim, lekkim śnie. Zanim jeszcze najwcześniej budzący się gość hotelowy pomaszerował sennie z łóżka do łazienki, maszynaria nowego hotelowego dnia puszczona została w ruch.

Koło piątej rano, zmęczone zespoły nocnych sprzątaczy zaczęły rozmontowywać swój sprzęt, przygotowując go do umieszczenia w schowkach. Przez ostatnie osiem godzin pracowały w toaletach, dolnych częściach klatek schodowych, kuchniach i na ich zapleczu oraz w głównym holu. Teraz wszędzie podłogi lśniły, drewno i metal błyszcząły, i w około unosił się przyjemny zapach świeżej pasty.

Jedna ze sprzątaczek, stara Meg Yetmein pracująca w hotelu prawie od trzydziestu lat, poruszała się niezgrabnie. Można było przypuszczać, że jest wyjątkowo zmęczona, prawdziwą przyczyną była jednak trzyfuntowa polędwica wołowa, starannie przyklejona plastrem do wewnętrznej strony uda. Pół godziny temu, wykorzystując kilka minut, w których nikt jej nie obserwował, Meg ukradła mięso z kuchennej lodówki. Dzięki wieloletniemu doświadczeniu dokładnie wiedziała, gdzie go szukać, jak je potem schować w starej szmacie do polerowania, aby przenieść zdobycz do damskiej toalety. Tam, bezpieczna za zamkniętymi na zasuwkę drzwiami, wyciągnęła przyklepic i przymocowała polędwicę do uda. Mniej więcej godzina niewygody związanej z noszeniem umocowanego do ciała zimnego i wilgotnego mięsa warta była świadomości, że może spokojnie przejść obok detektywa hotelowego. Pilnował on służbowego wyjścia i sprawdzał wynoszone pakunki albo podejrzanie wypchane kieszenie. Meg udowodniła wielokrotnie, że wymyślony przez nią sposób jest niezawodny.

Dwa piętra nad Meg, za nie oznakowanymi, zamkniętymi drzwiami na półpiętrze telefonistka odłożyła robótkę na drutach i wykonała pierwsze poranne budzenie. Była to pani Eunice Ball, wdowa, babcia i tej nocy przełożona trzech telefonistek, które pracowały na psiej zmianie. Od czasu do czasu między piątą a siódmą rano trzy telefonistki budziły gości. Ich zlecenia zostały zanotowane w umieszczonej przed nimi, podzielonej na kwadrans kartotece.

Po siódmej ilość zamówień wzrośnie.

Wprawne palce pani Ball przerzuciły fiszki kartoteki. Jak zwykle, zauważyła, szczyt nastąpi o 7.45 - wtedy trzeba będzie zrealizować prawie sto osiemdziesiąt zleceń. Nawet najsprawniejsze, ale jednak tylko trzy telefonistki, będą miały poważne trudności z wykonaniem tego zadania w ciągu zaledwie dwudziestu minut. Oznaczało to, że będą musiały rozpocząć jego realizację wcześniej, o 7.35 - zakładając oczywiście, iż do tej pory załatwią już wezwania z 7.30 - i łączyć do 7.55, kiedy natychmiast zderzą się z falą o 8.00.

Pani Ball westchnęła. Z całą pewnością goście znowu poskarżą się w dyrekcji, że jakaś głupia telefonistka, która pewnie śpi w centrali, obudziła ich albo za wcześnie, albo za późno.

Miało to również swoją dobrą stronę. O tej porze niewielu gości miało ochotę rozmawiać czy romansować. W nocy zdarzało się to nader często. Dlatego właśnie centrala telefoniczna znajdowała się za nie oznakowanymi, zamkniętymi drzwiami. O ósmej rano pojawiają się wreszcie telefonistki z dziennej zmiany - w porze szczytu będzie ich razem piętnaście. A o dziewiątej cała nocna zmiana, w tym również pani Ball, będzie już w domu, w łóżku.

Pora na kolejne budzenie. Pani Ball odłożyła znowu robótkę i wcisnęła przycisk. Wysoko nad nią, dzwonek w hotelowym pokoju zaczął brzęczeć natarczywie.

Dwa piętra pod poziomem ulicy, na stanowisku kontrolnym maszynowni, technik trzeciej klasy Wallace Santopadre odłożył kieszonkowy egzemplarz „Cywilizacji greckiej” Toynbee’go i skończył kanapkę z masłem orzechowym, którą nadgryzł już wcześniej. W ciągu ostatniej godziny panował spokój i Wallace czytał bez przerwy. Teraz nadeszła pora na ostatni obchód po swoich włościach w czasie jego zmiany. Kiedy otworzył drzwi stanowiska kontrolnego, powitał go szum maszynierii.

Sprawdził system zasilania gorącą wodą i zauważył, że temperatura jest wystarczająco wysoka. Sterowany zegarem termostat działał więc dobrze. W okresie dużego zużycia, który wkrótce nastąpi, będzie potrzeba dużo gorącej wody. Zbliżała się bowiem pora, gdy na górze osiemset osób niemal jednocześnie będzie brało poranną kąpiel lub prysznic.

Potężne klimatyzatory - dwa i pół tysiąca ton wyspecjalizowanej aparatury - pracowały o wiele sprawniej dzięki wyraźnemu spadkowi temperatury, jaki nastąpił w nocy. Względne ochłodzenie pozwoliło wyłączyć jedną sprężarkę i stopniowo będzie można wyłączać na zmianę pozostałe. Umożliwi to wykonanie bieżących prac konserwacyjnych, zawieszonych w czasie trwającej przez ostatnie kilka tygodni fali upałów. Kierownik techniczny, pomyślał Wallace Santopadre, będzie z tego zadowolony.

Stary będzie jednak mniej zachwycony wiadomością o przerwie w zasilaniu z miejskiej sieci energetycznej, jaka nastąpiła około drugiej w nocy i trwała mniej więcej jednaście minut. Najprawdopodobniej przyczyną była burza na północy.

W St. Gregorym nie powodowało to jakichś szczególnych problemów. Wyłączenie światła było krótkie i większość gości, którzy w tym czasie smacznie spali, w ogóle go nie zauważyła. Santopadre przełączył sieć na zasilanie awaryjne z generatorów hotelowych. Uruchomienie i doprowadzenie generatorów do pełnej mocy trwało jednak trzy minuty, co sprawiło, że wszystkie elektryczne zegary w St. Gregorym, a było ich około dwustu, spóźniły się obecnie o trzy minuty. Żmudna praca związana z ręcznym ustawieniem ich wszystkich zajmie pracownikom obsługi prawie cały następny dzień.

Niedaleko od maszynowni, w gorącym i cuchnącym pomieszczeniu, Booker T. Graham podsumował rezultaty całonocnej pracy pośród hotelowych śmieci. Wokół niego, na okopconych ścianach tańczyły refleksy płomieni.

Niewielu ludzi w hotelu, nie wyłączając kierownictwa, kiedykolwiek widziało królestwo Bookera T., a ci, którzy mieli ku temu okazję twierdzili, że wygląda ono jak wizja piekła. Booker T., dzięki połyskującym oczom i błyskającym zębom w lśniącej od potu czarnej twarzy, sam przypominał trochę sympatycznego diabła. Lubił swoją pracę, w tym również żar bijący od spalarki.

Jednym z bardzo niewielu członków kierownictwa, z którym Booker T. Graham się zetknął, był Peter McDermott. Wkrótce po swoim przybyciu do St. Gregory'ego, Peter postanowił poznać topografię i działalność hotelu - nawet po najbardziej oddalone jego miejsca. W czasie kolejnej ekspedycji odnalazł pomieszczenie, w którym palono śmieci.

Od tej pory - ponieważ traktował wszystkie działy na równi - Peter zaglądał tu od czasu do czasu, żeby dowiedzieć się z pierwszej ręki, co się dzieje. Z tego powodu, a może również dzięki instynktownej, wzajemnej sympatii, w oczach Bookera T. Grahama młody pan McDermott był niemal bogiem.

Peter zawsze przeglądał brudny i zatłuszczony zeszyt, w którym Booker T. z dumą notował rezultaty swojej pracy. Polegała ona na odzyskiwaniu rzeczy, które inni wyrzucili. Najczęściej - hotelową srebrną zastawę stołową.

Booker T., z natury nieskomplikowany człowiek, nigdy nie zastanawiał się, w jaki sposób srebra trafiały do śmieci. Właśnie Peter McDermott wyjaśnił mu kiedyś, że jest to odwieczny problem dyrekcji wszystkich wielkich hoteli. Winowajcami byli najczęściej śpieszący się kelnerzy, pomywacze i inni, którzy albo nie wiedzieli, albo ich nie obchodziło, że razem z resztkami jedzenia znika w pojemnikach również nie kończący się strumień

sztuiców.

Przed kilkoma zaledwie laty w St. Gregorym odpadki prasowano i mrożono, a następnie wywożono je na miejskie wysypisko. Kiedy jednak straty srebrnej zastawy stały się olbrzymie, zainstalowano spalarkę i zatrudniono Bookera T. Grahama, aby ją obsługiwał.

Jego praca była prosta. Śmieci z różnych miejsc składano do pojemników umieszczonych na wózkach. Booker T. wciągał każdy wózek do swojego pomieszczenia, po trochu rozsypywał zawartość pojemnika na wielkim, płaskim blacie, a następnie przerzucał śmieci grabiami tam i z powrotem, jak ogrodnik przygotowujący grządkę. Kiedy pojawiała się jakaś zdobycz - kaucjowana butelka, nie uszkodzone szklane nakrycie, sztućce, a czasami nawet jakiś wartościowy przedmiot należący do gościa - Booker T. wydobywał go. Wreszcie to, co pozostało wrzucał do ognia i rozsypywał na blacie nową porcję.

Z dzisiejszego podsumowania wynikało, że kończący się miesiąc, był dość przeciętny jeżeli chodzi o odzyskane przedmioty. Do tej pory Booker T. uratował - ogólnie rzecz biorąc - prawie dwa tysiące sztuiców, każdy o wartości dolara. A także cztery tysiące butelek o wartości dwóch centów każda, osiemset całych szklanek po ćwierć dolara każda i obfitą kolekcję innych przedmiotów, wśród których - aż trudno uwierzyć - znalazła się srebrna waza na zupę. Roczne oszczędności netto wyniosły dla hotelu około czterdziestu tysięcy dolarów.

Booker T. Graham, który tygodniowo otrzymywał na rękę trzydzieści osiem dolarów, założył wyszmelcowaną marynarkę i poszedł do domu.

Stopniowo narastał ruch przy służbowym wejściu usytuowanym w zaułku prowadzącym od Common Street. Pojedynczo, po dwóch, pracownicy nocnej zmiany wychodzili, a tymczasem pierwsza dzienna zmiana przybywała tu z całego miasta.

W rejonie kuchni światła zapalały się jedno po drugim. Pomocnicy kuchenni przygotowywali miejsca pracy kucharzom. Ci zaś przebierali się w znajdujących się nieopodal szatniach w świeże, białe stroje robocze. Za parę minut kucharze zaczną przygotowywać tysiąc sześćset hotelowych śniadań. Potem - na długo przed podaniem, późnym rankiem, ostatniego jajka na bekonie - przystąpią do robienia dwóch tysięcy porcji przewidywanych w grafiku żywienia na lunch.

Wśród gotujących się kotłów, potężnych piekarników i innych akcesoriów żywienia zbiorowego pojedyncza paczka płatków owsianych „Quaker Oats” sprawiała dziwnie domowe wrażenie. Były one przeznaczone dla tych nielicznych zdeklarowanych konserwatystów, którzy żądali na śniadanie gorących płatków owsianych bez względu na to, czy na zewnątrz panowała temperatura poniżej zera, czy czterdzieści stopni powyżej zera w cieniu.

W części kuchni przeznaczonej do sporządzania potraw wymagających głębokiego smażenia, szesnastoletni pomocnik, Jeremy Boehm, sprawdził wielką, składającą się z kilku pojemników smaźalnicę, którą włączył przed paroma minutami. Nastawił ją zgodnie z instrukcją na dziewięćdziesiąt pięć stopni. Później bez trudu można będzie podnieść temperaturę do wymaganych przy smażeniu dwustu stopni. Będzie to pracowity dzień dla smaźalnicy, w głównym menu bowiem podano, że specjalnością lunchu mają być kurczaki smażone na sposób południowy.

Jeremy stwierdził, że tłuszcz w smaźalnicy rozgrzewa się we właściwy sposób. Może dymił bardziej niż zwykle i widać to było mimo okapu i włączonego wyciągu. Zastanawiał się, czy powinien o tym komuś zameldować. Przypomnił sobie jednak, że wczoraj zastępca szefa kuchni objechał go ostro za interesowanie się recepturą sosów. Zwrócił mu wtedy uwagę, że nie jest to jego sprawą. Jeremy wzruszył ramionami. To również nie było jego sprawą. Niech się martwią inni. Ktoś jednak rzeczywiście się martwił - chociaż nie z powodu dymu - w położonej pół przecznicy dalej pralni hotelowej.

Pralnia, zawsze pełna pary i ruchu, zajmowała osobny stary, piętrowy budynek połączony szerokim tunelem z głównym gmachem St. Gregory'ego. Jej kierowniczką - szpakowatą, nie przebijającą w słowach pani Isles Schulder przeszła tunelem parę minut wcześniej, jak zwykle wyprzedzając większość swojego personelu. Powodem zaś jej zatroskania była sterta brudnych obrusów.

W ciągu dnia pracy do pralni dostarczano około dwudziestu pięciu tysięcy sztuk bielizny - poczynając od ręczników i prześcieradeł, kończąc zaś na białych kitlach kucharzy i kurtkach kelnerów oraz zielonych kombinezonach techników. Zazwyczaj wymagały one zwykłej procedury. Ostatnio jednak pojawił się nowy, nieprzyjemny i irytujący kłopot. Sprawiali go biznesmeni, którzy robili obliczenia, pisząc długopisem na obrusie.

- Czy taki sukinsyn zrobiłby to w domu? - warknęła pani Schulder do pracującego na nocnej zmianie mężczyzny, wyjmującego pomazane długopisem obrusy z wielkiego stosu zwyczajnie zabrudzonych. - Gdyby zrobił coś takiego, to jak Boga kocham - jego żona obnosiła by mu dupę na kopach wokół całego domu. Ile razy mówiłam tym palantom kelnerom, żeby uważali i nie dopuszczali do tego, ale czy oni się czymś przejmują? - Ściszyła głos i zaczęła przedrzeźniać szyderczo: - „Ależ tak, pszepana, owszem, pszepana. Pocałuję pana w oba półdupki, pszepana. Ależ oczywiście, niech pan pisze na obrusie pszepana, proszę, oto drugi długopis, pszepana. Jeżeli tylko dostanę fajny, duży napiwek, to co mnie obchodzi ta cholerna pralnia!”

Pani Schulder przerwała. Spojrzała na pracownika z nocnej zmiany, który obserwował

ją z otwartymi ustami i rzuciła z irytacją:

- Idź do domu! Wystarczy, że na dzień dobry zafundowałeś mi ból głowy.

No cóż, pomyślała po jego odejściu, przynajmniej udało się im przechwycić tę partię, zanim poszła do namoczenia. Gdyby tusz rozpuścił się w wodzie, trzeba by było wyrzucić cały obrus. Co prawda Neville, najlepszy fachowiec od wywabiania plam w całej pralni, będzie musiał cały dzień posługiwać się czterochlorkiem węgla. Ale w ten sposób może uda im się ocalić większą część stosu obrusów. Warto by jednak, rozmyślała ponuro pani Schulder, zamienić kilka słów z flejtuchami, którzy byli tego przyczyną.

Tak toczyły się wydarzenia w całym hotelu. Na pierwszym planie i na zapleczu - w wydziałach obsługi, biurach, stolarni, drukarni, piekarni, gospodarczym, zaopatrzenia, hydraulicznym, projektowania i zdobnictwa wewnątrz, w magazynach, garażu, serwisie telewizyjnym i innych. Budził się nowy dzień.

2.

W prywatnym sześciopokojowym apartamencie, mieszczącym się na piętnastym piętrze hotelu, Warren Trent wstał z fryzjerskiego fotela, na którym golił go Aloysius Royce. Poczuł, że ischiasowy ból przeszywa mu lewe udo jak gorący lancet. Było to ostrzeżenie, że rozpoczął się kolejny dzień, wymagający szczególnej samokontroli. Jego prywatny salon fryzjerski urządzony został w niewielkim pomieszczeniu usytuowanym koło obszernej łazienki, gdzie znajdowała się kabina łaźni parowej, wpuszczona w podłogę wanna w japońskim stylu i wbudowane w ścianę akwarium; pływające w nim tropikalne ryby patrzyły zamyślonym wzrokiem przez grube, klejone szkło. Warren Trent ruszył sztywnym krokiem do łazienki i zatrzymał się na chwilę przed lustrem, żeby sprawdzić, jak został ogolony. Odbicie potwierdziło wysoki kunszt fryzjerski młodego Royce'a.

Widział w lustrze pobrużdżoną twarz o wąskich wargach, które niekiedy potrafiły się uśmiechać, orli nos i głęboko osadzone, z tajemniczym nieco błyskiem oczy. Jego włosy, kruczoczarne w młodości, teraz były szlachetnie siwe - wciąż jednak gęste i kędzierzawe. Wysoki kołnierzyk i starannie zawiązany krawat dopełniały obrazu wytwornego dżentelmena z Południa.

Kiedy indziej ten starannie podtrzymywany wygląd sprawiłby mu przyjemność. Ale nie dzisiaj. Uczucie przygnębienia narastające w nim od kilku tygodni, przysłańało wszystko inne. Mamy wtorek ostatniego tygodnia, przypomniał sobie. Jak każdego ranka, zaczął obliczać: razem z dzisiejszym dniem, pozostały mu już tylko cztery. Cztery dni, w czasie

których musiał zapobiec rozplynięciu się w nicość dzieła całego życia.

Właściciel hotelu skrzywił się pod wpływem swoich posępnych myśli, a potem pokuśtykał do jadalni, gdzie Aloysius Royce nakrył już do śniadania. Koło dębowego stołu przykrytego wykrochmalonym obrusem, na którym leżały lśniące sztuce, stał wózek z podgrzewaczem błyskawicznie dostarczony z kuchni hotelowej. Warren Trent usiadł niezgrabnie w fotelu odsuniętym przez Royce'a, a potem wskazał krzesło stojące z drugiej strony stołu. Młody Murzyn postawił nakrycie dla siebie i usiadł. Na wózku stało drugie śniadanie, przygotowane na wypadek, gdyby Trent nie miał ochoty jeść samotnie.

Podając obie porcje jajecznicy na kanadyjskim bekonie z kaszą kukurydzianą Royce nie odzywał się, czekał aż pracodawca sam rozpocznie rozmowę. Na razie Warren Trent nie robił żadnych komentarzy na widok pokancerowanej twarzy Royce'a, ani dwóch kawałków plastra, którymi zakleił największe obrażenia odniesione w czasie nocnej bójki. Wreszcie odsunął od siebie talerz.

- Lepiej korzystaj z tego, póki możesz - stwierdził. - Żaden z nas nie będzie się już cieszył tym zbyt długo.

- Ludzie z funduszu powierniczego nie zmienili zdania na temat prolongaty? - spytał Royce.

- Nie i tego nie zrobią. Nie teraz. - Stary człowiek niespodziewanie uderzył pięścią w blat stołu. - Na Boga! Kiedyś to ja dyktowałem muzykę i nie musiałem tańczyć tak jak oni mi zagrają. Kiedyś stali w kolejce - banki, trusty i cała reszta - i próbowali pożyczyć mi pieniądze, namawiali, żebym je wziął.

- Czasy się zmieniają dla wszystkich - stwierdził Aloysius Royce nalewając kawę. - Pewne sprawy układają się lepiej, inne gorzej.

- Dla ciebie sprawa wygląda prosto i łatwo - stwierdził kwaśno Warren Trent. - Jesteś młody. Nie dożyłeś sytuacji, kiedy wszystko co zrobiłeś, rozpada się.

Do tego doszło, pomyślał z przygnębieniem. Za cztery dni od dzisiaj - do końca godzin roboczych w piątek - należało wykupić liczący dwadzieścia lat dług hipoteczny ciężący na hotelu. Dysponująca nim spółka inwestycyjna odmówiła jego dalszej prolongaty. Początkowo, kiedy dowiedział się o tej decyzji, poczuł zdziwienie, ale nie obawę. Przypuszczał, że znajdzie się wystarczająco dużo innych pożyczkodawców, którzy - bez wątpienia na większy procent - dostarczą mu niezbędne dwa miliony dolarów. Kiedy jednak spotkał się z odmową każdego, do kogo się zwrócił - banków, funduszy powiernicznych, spółek ubezpieczeniowych i prywatnych finansistów - jego pewność siebie zaczęła znikać. Jeden z dobrze mu znanych bankierów poradził po przyjacielsku:

- Takie hotele jak twój, Warren, nie cieszą się obecnie popularnością. Wiele osób uważa, że czasy wielkich niezależnych hoteli skończyły się i tylko działające w sieci są w stanie przynosić jakiś sensowny zysk. A poza tym, przeanalizuj swój bilans. Systematycznie ponosisz straty. Jak możesz się spodziewać, że ktoś w takiej sytuacji pójdzie ci na rękę?

Zapewnienia, że obecne straty są chwilowe i zostaną wyrównane, kiedy tylko interesy zaczną iść lepiej, nie odniosły żadnego skutku. Po prostu nikt mu nie wierzył.

W czasie tego impasu zadzwonił Curtis O'Keefe proponując, żeby spotkali się w tym tygodniu w Nowym Orleanie.

- Chodzi mi wyłącznie o przyjacielską pogawędkę, Warren - oznajmił hotelowy magnat swoją rozwlekłą teksańską wymową. - Jesteśmy w końcu parą starzejących się hotelarzy. Powinniśmy się czasami spotykać.

Ale Warren Trent nie dał się zwieść jego gładką wymówką. Sieć O'Keefego już wcześniej wykonywała różne manewry. Sępy zaczynają krążyć, pomyślał. Curtis O'Keefe przybędzie dziś i z całą pewnością jest doskonale poinformowany o finansowych kłopotach St. Gregory'ego.

Warren Trent westchnął w duchu i zajął się bardziej aktualnymi problemami.

- Piszą o tobie w raporcie z nocy - oznajmił.

- Wiem - odparł Royce. - Czytałem go.

Przejrzał raport, kiedy tylko przyszedł wcześniej rano i zauważył notatkę: *Skarga na hałasy w pokoju 1126. Obok znajdował się dopisek sporządzony ręką Petera McDermotta: Załatwione przez A. Royce'a i P. McD. Oddzielna informacja zostanie złożona później.*

- Niedługo - mruknął Warren Trent - pewnie zaczniesz czytać moją prywatną pocztę.

- Jeszcze tego nie robiłem - uśmiechnął się Royce. - Czy chce pan, żebym zaczął?

Taka wymiana zdań była częścią prywatnej gry, którą prowadzili nie przyznając się do tego. Royce doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby nie przeczytał raportu, Trent oskarżyłby go, że nie interesuje się sprawami hotelu.

- Skoro wszyscy inni świetnie wiedzą, co się stało - zaczął sarkastycznym tonem Warren Trent - to czy będę niedyskretny, jeżeli poproszę o podanie mi kilku szczegółów?

- Ależ proszę - Royce dolał kawy swemu pracodawcy. - Panna Marsha Preyscott, córka t e g o Preyscotta, omal nie została zgwałcona. Czy chce pan, żebym o tym opowiedział?

Gdy rysy twarzy Trenta stężały nagle, młody Murzyn zastanowił się przez chwilę, czy nie posunął się za daleko. Ich nie określone, luźne stosunki opierały się przede wszystkim na precedensach stworzonych wiele lat temu przez ojca Aloysiusa Royce'a. Royce senior, który

początkowo służył u Trenta jako kamerdyner, potem zaś stał się towarzyszem i zaufanym przyjacielem, zawsze wypowiadał się z pogodą ducha i humorem, lekceważąc ewentualne konsekwencje. Początkowo doprowadzało to Trenta do furii, a potem, kiedy zaczął odpłacać mu się pięknym za nadobne, stali się nierozłączni. Aloysius był właściwie jeszcze chłopcem, kiedy jego ojciec zmarł ponad dziesięć lat temu, nigdy jednak nie zapomniał pełnej żalu, zapłakanej twarzy Warrena Trenta, uczestniczącego w pogrzebie starego Murzyna. Szli obaj z cmentarza na Mount Olivet za murzyńską orkiestrą jazzową grającą „Oh, Didn't He Ramble”. Warren Trent trzymał Aloysiusa za rękę i w pewnym momencie mruknął do niego: „Zostaniesz ze mną w hotelu. Potem coś wymyślimy.” Chłopiec zgodził się, ufając mu całkowicie. Po śmierci ojca został zupełnie sam, matka bowiem zmarła w czasie porodu. W rezultacie owe „coś” okazało się collegem, a potem studiami na wydziale prawa. Miał je za parę tygodni ukończyć. Jednocześnie, kiedy chłopiec stał się mężczyzną, przejął opiekę nad apartamentem, i chociaż większość fizycznych prac wykonywali inni pracownicy hotelowi, Aloysius obsługiwał Warrena Trenta. Jego starania przyjmowane były albo bez komentarza, albo - kiedy Warrena ogarniał kiepski nastrój - zaczepnie i kłótliwie. Kiedy indziej zażarcie się sprzeczali, zwłaszcza gdy Aloysius dał się złapać, zgodnie zresztą z oczekiwaniami, w zastawione przez Trenta pułapki.

Zdając sobie jednak sprawę z zażyłości i faktu, że może pozwolić sobie na rzeczy, których Warren Trent nie tolerowałby u innych, Aloysius Royce wiedział również, że istnieje cieniutka jak włos granica, której przekroczyć mu nie wolno.

- Dziewczyna wołała o pomoc. Przypadkiem ją usłyszałem - powiedział. Opisał swoje działania nie dramatyzując ich wcale, a także interwencję Petera McDermotta, nie chwając jej ani nie krytykując.

Warren Trent wysłuchał go, a w końcu powiedział:

- McDermott załatwił wszystko we właściwy sposób. Dlaczego go nie lubisz?

Nie po raz pierwszy Royce był zaskoczony spostrzegawczością starszego pana.

- Może to po prostu konflikt naszych związków chemicznych. Albo może nie lubię wielkich, białych futbolistów, którzy starają się pokazać, jacy potrafią być mili dla kolorowych chłopaków.

Warren Trent spojrzał kąpiąco na Royce'a.

- Jesteś skomplikowanym człowiekiem. Czy przyszło ci do głowy, że traktujesz McDermotta niesprawiedliwie?

- Jak już powiedziałem, może to konflikt związków chemicznych?

- Twój ojciec znał się na ludziach. I był o wiele bardziej tolerancyjny od ciebie.

- Pies lubi ludzi, którzy głaszczą go po głowie. Dlatego, że jego myślenie nie jest obciążone wiedzą i wykształceniem.

- Nawet gdyby było, wątpię czy wybrałby takie właśnie słowa. - Trent spojrzął Royce'owi w oczy i Aloysius umilkł. Wspomnienie ojca zawsze wywoływało w nim niepokój. Royce senior, urodzony jeszcze w czasach niewolnictwa był - jak przypuszczał jego syn - tym, kogo współcześni Murzyni określali pogardliwie mianem „czarnucha Wuja Toma”. Stary człowiek zawsze pogodnie, bez pytań czy skarg, przyjmował wszystko, co przynosił mu los. Sprawy wykraczające poza jego dość ograniczone horyzonty bardzo rzadko zaprzętały mu umysł. Posiadał jednak niezależność ducha, czego świadectwem były jego stosunki z Warrenem Trentem a także znajomość ludzkiej natury, której nie można było zbyć lekceważąco jako mędrkowania chłopka-roztropka. Aloysius kochał ojca głęboką miłością i dlatego w chwilach takich jak ta ogarniało go niezwykle wzruszenie.

- Prawdopodobnie użyłem niewłaściwych słów - powiedział - ale nie zmienia to ich sensu.

Warren Trent skinął bez słowa głową i wyciągnął staroświecki zegarek z dewizką.

- Lepiej powiedz młodemu McDermottowi, że chcę go widzieć. Poproś, aby przyszedł tutaj. Jestem trochę zmęczony dziś rano.

*

- Mark Preyscott jest w Rzymie, prawda? Sądzę, że powinienem do niego zatelefonować - powiedział z namysłem właściciel hotelu.

- Jego córka nalegała, żebyśmy tego nie robili - odparł Peter McDermott.

Obydwaj znajdowali się w elegancko umeblowanym saloniku apartamentu Warrena Trenta. Starszy mężczyzna spoczywał rozluźniony w głębokim, miękkim fotelu, trzymając stopy na podnóżku, a Peter siedział na stojącym przed nim krześle.

- Ja podejmuję decyzje - burknął Warren Trent. - Jeżeli dała się zgwałcić w moim hotelu, musi ponieść konsekwencje.

- Przecież zapobiegliśmy gwałtowi. Co prawda, bardzo bym chciał się dowiedzieć, co naprawdę tam się działo.

- Czy widziałeś ją dzisiaj rano?

- Kiedy zajrzałem do niej, panna Preyscott jeszcze spała. Zostawiłem wiadomość, że chciałbym się z nią zobaczyć, zanim wyjdzie z hotelu.

Trent westchnął i machnął ręką.

- Załatw to.

Ton jego głosu wyraźnie świadczył, że czuje się już zmęczony tym problemem. Peter

z ulgą skonstatował, że nie będzie telefonu do Rzymu.

- Chciałbym jeszcze załatwić coś w sprawie recepcjonistów.

Peter opisał przypadek Alberta Wellsa i zobaczył, jak na wieść o samowolnie dokonanej zamianie pokoiów twarz Warrena Trenta gwałtownie tężeje.

- Powinniśmy zlikwidować to pomieszczenie już dawno. Może lepiej zrobimy to od razu.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli go aż likwidować. Potraktujmy ten pokój jako ostatnią deskę ratunku i będziemy uprzedzali gościa o jego mankamentach.

Warren Trent skinął głową.

- Dopilnuj tego.

Peter zawahał się.

- Chciałbym wydać parę konkretnych poleceń w sprawie zasad dotyczących zamiany pokoiów. Były już inne tego typu wypadki i sądzę, że powinniśmy zwrócić uwagę recepcjonistom, że nasi goście nie mogą być przesuwani z miejsca na miejsce jak figury na szachownicy.

- Załatw ten konkretny przypadek. Jeżeli uznam, że ogólne instrukcje są konieczne, wydam je.

Ta odprawa, pomyślał z rezygnacją Peter, jest doskonałym przykładem błędów popełnianych w zarządzaniu hotelem. Skutki niewłaściwych decyzji były naprawiane doraźnie, po zaistnieniu jakiegoś incydentu. Nie robiono jednak nic, aby usunąć ich przyczynę.

- Sądzę, że powinien pan dowiedzieć się o księciu i księżnej Croydonu - powiedział. - Księżna domagała się pańskiej osobistej wizyty. - Opowiedział historię rozlanych krewetek po kreolsku i poinformował o odmiennej wersji kelnera, Sola Natcheza.

- Znam tę cholerną kobietę - mruknął Warren Trent. - Nic jej nie zadowoli, poza zwolnieniem kelnera z pracy.

- Nie sądzę, żeby trzeba było go zwalniać.

- No to powiedz mu, żeby na kilka dni pojechał na ryby, oczywiście z pełnym wynagrodzeniem... ale ma się trzymać z daleka od hotelu. A ode mnie mu powiedz, że jeżeli następnym razem ma zamiar cokolwiek rozlewać, niech to będzie coś wrzącego i niech to wylewa prosto na głowę księżnej. Przypuszczam, że ona wciąż trzyma te cholerne psy?

- Tak - uśmiechnął się Peter.

Surowo przestrzegane prawo stanu Luizjana zabraniało wprowadzania zwierząt do pokoiów hotelowych. W przypadku Croydonów, Warren Trent zgodził się, aby przymykano

oko na obecność bedlingtonów, pod warunkiem jednak, że będą wyprowadzane i przyprowadzane tylnym wyjściem. Księżna jednak ostentacyjnie paradowała z nimi codziennie przez główny hol. Rozwścieczyło to dwóch innych miłośników psów, którym zabroniono wprowadzić ich zwierzęta.

- Minionej nocy miałem trochę kłopotu z Ogilviem.

Peter poinformował Trenta o nieobecności głównego detektywa i wymianie zdań, jaka później nastąpiła.

Reakcja Trenta była natychmiastowa.

- Już ci mówiłem, żebyś zostawił Ogilwiego w spokoju. Jest odpowiedzialny wyłącznie przede mną.

- To bardzo utrudnia sytuację, jeżeli trzeba coś zrobić...

- Słyszałeś, co powiedziałem?! Zapomnij o Ogilviem! - Twarz Warrena Trenta poczerwieniała, nie tyle jednak z gniewu, przypuszczał Peter, co z zakłopotania. Zasada „nie czepiać się Ogilwiego” nie miała sensu i właściciel hotelu dobrze o tym wiedział. Jakiego haka, zastanawiał się Peter, ma być policjant na swojego pracodawcę?

Warren Trent raptownie zmienił temat i oznajmił:

- Dzisiaj wprowadza się Curtis O’Keefe. Chce zająć dwa przyległe apartamenty i wydałem już odpowiednie instrukcje. Lepiej upewnij się, czy wszystko jest w porządku. Chcę, aby mnie natychmiast poinformowano o jego przyjeździe.

- Czy pan O’Keefe zatrzyma się dłużej?

- Nie wiem. To zależy od wielu okoliczności.

Peter przez chwilę poczuł przyływ współczucia do starego człowieka. Niezależnie od tego, jak krytyczną opinię można było mieć na temat sposobu zarządzania St. Gregorym, dla Warrena Trenta znaczył on coś więcej niż hotel: był dziełem całego jego życia. Był świadkiem, jak z nic nie znaczącego hotelu staje się powszechnie znanym, jak ze skromnego początkowo budynku wyrasta wysoki gmach zajmujący sporą parcelę. Renoma hotelu przez wiele lat również była wysoka i jego nazwa porównywana była w całym kraju z takimi sławami jak Biltmore, albo Chicago’s Palmer House lub St. Francis w San Francisco. Trudno było pogodzić się z faktem, że St. Gregory bez względu na prestiż i sławę, którymi niegdyś się cieszył, obecnie przestał nadążać za zachodzącymi zmianami. Ale to nie opóźnienie było przyczyną katastrofy, pomyślał Peter. Nowy sposób finansowania i zdecydowana kontrola zarządzania mogłyby sprawić cuda, a nawet przywrócić hotelowi jego dawną, prestiżową pozycję. Ale w obecnej sytuacji, zarówno kontrola jak i finanse będą musiały przyjść z zewnątrz - zapewne ze strony Curtisa O’Keefego. Po raz kolejny przypomniało się Peterowi,

że również i jego dni mogą być policzone.

- Jak wygląda sytuacja z naszymi zjazdami? - zapytał właściciel hotelu.

- Około połowa inżynierów z przemysłu chemicznego już się wymeldowała, pozostali zrobią to do końca dnia. Zaczyna się zjazd Golden Crown Cola. Są już w komplecie i wszystko zostało zorganizowane. Wzięli trzysta dwadzieścia pokoi, czyli więcej niż się spodziewaliśmy i już odpowiednio zwiększyliśmy ilość porcji na lunch i bankiet.

- Trent kiwnął z aprobatą głową i Peter ciągnął dalej - Kongres Dentystów Amerykańskich zaczyna się jutro, ale część uczestników sprowadziła się wczoraj i dzisiaj będzie ich jeszcze więcej. Powinni zająć około dwustu osiemdziesięciu pokoi.

Warren Trent mruknął z zadowoleniem. Przynajmniej nie wszystkie wiadomości są złe, pomyślał. Zjazdy stanowiły życiodajną krew hotelarstwa i dwa urządzone w tym samym czasie bardzo pomagały poprawić sytuację, choć nie wystarczały, aby pokryć inne, poniesione niedawno straty. Mimo wszystko kongres dentystów był dużym osiągnięciem. Młody McDermott zareagował natychmiast na poufną informację, że wcześniejsze ustalenia organizacyjne Kongresu Dentystycznego stały się nieaktualne. Polecił do Nowego Jorku i udało mu się sprzedać Nowy Orlean i St. Gregory'ego organizatorom zjazdu.

- Mieliśmy wczoraj wieczorem komplet - oznajmił Warren Trent. Potem dodał - W tym biznesie albo się ucztuje, albo cierpi głód. Czy zdołamy załatwić dzisiejsze zgłoszenia?

- Z samego rana sprawdziłem wszystkie dane. Powinno być wystarczająco dużo wyjazdów, choć właściwie nie mamy żadnego marginesu bezpieczeństwa. Nasza nadwyżka rezerwacji jest trochę za duża.

Podobnie jak wszystkie inne hotele, St. Gregory przyjmował więcej zgłoszeń niż miał wolnych pokoi. Jak wszystkie inne hotele wychodził bowiem z założenia, że niektórzy nie wykorzystają złożonych zamówień. Problem sprowadzał się do odgadnięcia procentu owych nie zrealizowanych zgłoszeń. Zazwyczaj doświadczenie i szczęście pozwalały hotelowi wyjść na swoje i wykorzystać wszystkie miejsca. Ale raz na jakiś czas prognozy zawodziły i wtedy zaczynały się poważne kłopoty.

Najbardziej koszmarnym momentem w życiu dyrektora hotelu była konieczność tłumaczenia oburzonym niedoszłym gościom, którzy posiadali potwierdzone rezerwacje, że nie ma dla nich wolnych pokoi. Nie tylko znosił wówczas katusze, ale miał również świadomość, że noga żadnego z tych gości nigdy już tu nie postanie.

Najgorszym doświadczeniem w zawodowym życiu Petera stał się zjazd piekarzy, który odbywał się w Nowym Jorku i jej uczestnicy postanowili pozostać jeszcze jeden dzień, bo niektórym z nich zachciało się urządzić przejażdżkę przy księżycu po Manhattanie. Nagle

dwustu pięćdziesięciu piekarzy wraz z żonami nie zwolniło pokoi, nie uprzedziwszy o tym administracji hotelu, która liczyła na to, że się wyprowadzą. Na ich miejsce mieli być zakwaterowani uczestnicy zjazdu inżynierów. Wspomnienie powstałego wówczas bałaganu, setek wściekłych inżynierów ze swoimi damami biwakujących w holu - z których niektórzy wymachiwali rezerwacjami zrobionymi dwa lata wcześniej - wciąż wywoływały u Petera gęsią skórę. W końcu, nowo przybyłych rozmieszczono w motelach wokół Nowego Jorku, ponieważ hotele w całym mieście były już zajęte. Przebywali tam do następnego dnia, dopóki piekarze nie wyprowadzili się. Ale gigantyczny rachunek za taksówki inżynierów oraz poważne odszkodowania wypłacone przez hotel w celu uniknięcia powództwa sądowego, pochłonęły dochody z obu zjazdów.

Warren Trent zapalił cygaro, zapraszając jednocześnie gestem Petera, żeby poczęstował się papierosem ze stojącego obok niego pudełka. Peter sięgnął po papierosa i powiedział:

- Rozmawiałem z Rooseveltem. Gdybyśmy mieli dziś wieczorem kłopoty, mogą nam udostępnić trzydzieści pokoi.

Świadomość tego, pomyślał, pozwala czuć się pewniej. Ale z propozycji skorzysta tylko w ostateczności. Nawet zażarcie konkurujące ze sobą hotele pomagały sobie wzajemnie w czasie takich kryzysowych sytuacji. Nigdy bowiem nie było wiadomo, kiedy role ulegną odwróceniu.

- Zgoda - oznajmił Warren Trent ze spowijającej go chmury dymu z cygara. - Jaka jest prognoza na jesień?

- Nie zachęcająca. Wysłałem panu notatkę o dwóch wielkich zjazdach związkowych, które z nas zrezygnowały.

- Dlaczego?

- Z tego samego powodu, o którym informowałem pana już wcześniej. W dalszym ciągu dyskryminujemy. Nie respektujemy Karty Praw Obywatelskich, a związkom się to nie podoba.

Peter mimowolnie spojrzał na Aloysiusa Royce'a, który wszedł do pokoju i układał stos czasopism.

Młody Murzyn, nie podnosząc głowy, odezwał się z taką samą przesadnie południową wymową jak ubiegłej nocy:

- Niech się pan nie martwi, panie McDermott, że urazi pan moje uczucia, bo my, kolorowi, jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

Warren Trent, krzywiąc się w zamyśleniu, skarcił go kwaśno:

- Nie błaznuj...

- Tak jest, proszę pana!

Royce przestał porządkować czasopisma i odwrócił się w stronę obu mężczyzn. Kiedy odezwał się, jego głos brzmiał zupełnie normalnie:

- Ale powiem panu jedno. Związki postąpiły w ten sposób, ponieważ mają społeczną świadomość. I nie tylko oni. Coraz więcej zjazdów, a także zwykli ludzie, będą nas unikali, dopóki ten hotel i takie jak ten nie przyznają, że czasy się zmieniły.

Warren Trent skinął dłonią w stronę Royce'a.

- Odpowiedz mu - zwrócił się do McDermotta. - Nie bawimy się tu u mnie w niedomówienia.

- Tak się składa - odparł spokojnie Peter - że zgadzam się z tym, co on powiedział.

- Dlaczego, panie McDermott? - zapytał sarkastycznie Royce. - Uważa pan, że będzie to miało pomyślny wpływ na interesy? Ułatwi panu pracę?

- Być może - stwierdził McDermott. - Jeżeli tak pan uważa, to proszę bardzo.

Warren Trent uderzył dłonią o podłokietnik fotela:

- Mniejsza o powody! Bez względu na wszystko, jesteście obaj cholernymi głupcami.

Był to odwieczny, powtarzający się problem. W Luizjanie hotele należące do sieci, już przed wieloma miesiącami przeprowadziły przynajmniej formalnie działania integracyjne. Natomiast niektóre niezależne, pod przewodem Warrena Trenta i St. Gregory'ego, opierały się przemianom. Większość na krótko podporządkowała się Kartce Praw Obywatelskich, a potem, kiedy sprawa przestała znajdować się w centrum zainteresowania, po cichu wracała do dawnej, tradycyjnej polityki segregacji rasowej. Wszystko wskazywało na fakt, że opór ten cieszy się silnym, miejscowym poparciem. Grupa ta była więc w stanie prowadzić działania opóźniające nawet przez kilka lat, mimo nękania sprawami sądowymi.

- Nie! - Warren Trent ze złością zduśił cygaro. - Bez względu na to, co dzieje się gdziekolwiek indziej uważam, że my nie jesteśmy przygotowani na zmiany. A więc straciliśmy zjazdy związkowe. W porządku. W takim razie najwyższa pora, żebyśmy podnieśli tyłki i spróbowali czegoś innego.

Warren Trent siedział w saloniku. Słyszał, jak McDermott zamyka za sobą drzwi, a Aloysius Royce wraca do gabinetu zastawionego regałami z książkami, który stanowił prywatne królestwo młodego Murzyna. Za kilka minut Royce, jak zawsze o tej porze, wyjdzie na uczelnię.

W wielkim salonie było cicho. Słyszać było jedynie szum klimatyzatora i od czasu do czasu jakiś przypadkowy dźwięk z zewnątrz przenikający przez grube mury i uszczelnione

okna. Promienie porannego słońca przesuwają się po pokrytej grubym dywanem podłodze. Warren Trent obserwował je czując jak, pod wpływem gniewu, który przeżył kilka minut temu, tłucze mu się serce. Uznał, że stanowi to ostrzeżenie i powinien na nie zwracać uwagę. Uświadomił sobie, że obecnie tak wiele spraw go denerwuje, że z coraz większym trudem może nad sobą panować i zachowywać milczenie. Być może, takie wybuchy wynikały ze zrzędlivosti - ubocznego efektu jego wieku. Mówiąc jednak szczerze, były raczej rezultatem faktu, że coraz więcej spraw wymykało mu się spod kontroli. Zresztą, zawsze łatwo wybuchał gniewem - poza tymi kilkoma latami, kiedy Hester nauczyła go czegoś innego: cierpliwości i poczucia humoru. Gdy tak siedział spokojnie w fotelu, obudziły się w nim wspomnienia. Ponad trzydzieści lat temu - jakże dawno temu! - przeniósł ją, swoją nowo poślubioną żonę, przez próg tego właśnie pokoju. I jakże niewiele czasu dane im było spędzić razem. Kilka krótkich, szczęśliwych ponad miarę lat. A potem zdradziecki, bez ostrzeżenia, atak choroby Heinego-Medina. Zabił Hester w ciągu dwudziestu czterech godzin i do końca życia pozostawił Warrena Trenta pogrążonego w żałobie, samotnego. Na pocieszenie pozostał mu tylko St. Gregory.

Niewiele osób w hotelu pracowało tu za życia Hester, a i ta garstka weteranów zapewne pamiętała ją jak przez mgłę, podczas gdy dla Warrena Trenta była wciąż jak delikatny, wiosenny kwiat, dzięki któremu jego dni stały się pełne i bogate jak nigdy przedtem.

W ciszy panującej w pokoju miał wrażenie, że słyszy dobiegający od drzwi za jego plecami szybki, delikatny ruch i szelest jedwabiu. Obrócił głowę, ale to tylko zwiódła go własna wyobraźnia pobudzona wspomnieniami. Pokój był pusty i Warren Trent nieoczekiwanie poczuł, jak łzy napływają mu do oczu.

Podniósł się niezgrabnie z fotela, czując przeszywający ból rwy kulszowej. Podszedł do okna i spojrzał na strome dachy French Quarter - Vieux Carré, jak nazywano obecnie tę część miasta - na Jackson Square i lśniące w promieniach słońca wieże katedry. Dalej widać było mętne wody Mississipi, a pośrodku rzeki - szereg zacumowanych do boi statków, oczekujących na swoją kolejkę przy zatłoczonych nabrzeżach. To znak czasów, pomyślał. Od osiemnastego wieku losy Nowego Orleanu zawsze oscylowały między bogactwem i ubóstwem. Statki parowe, kolejki, bawelna, niewolnictwo, emancypacja, kanały, wojny, turyści... wszystko to powodowało albo napływ bogactwa, albo klęski. Obecnie, koleje losu przyniosły miastu rozkwit - miał tylko wrażenie, że St. Gregory jest wyjątkiem od reguły.

Czy miało to jednak znaczenie - przynajmniej dla niego? Czy hotel był tego wart, aby o niego walczyć? Dlaczego nie miałyby się poddać, sprzedać wszystko, wykorzystać

nadarzającą się w tym tygodniu szansę, i pozwolić, aby czas i przemiany pochłonęły hotel i jego samego? Curtis O'Keefe potraktuje go uczciwie. Sieć hoteli O'Keefego cieszyła się dobrą opinią i Trent może dobrze na tym wyjść. Po zapłaceniu wysokiego zastawu hipotecznego i zabezpieczeniu interesów drobnych akcjonariuszy będzie miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby utrzymać się na odpowiednim poziomie do końca życia.

Poddać się - może to była odpowiedź na wszystko? Poddać się czasom, które ulegają zmianie. Przecież hotel to w końcu tylko cegły i zaprawa murarska. Próbował uczynić z niego coś więcej, ale w końcu przegrał. Niech więc tak będzie!

Ale jednak... Jeżeli tak zrobi, co mu pozostanie?

Nic. Nawet duchy, które wędrują po tym piętrze. Stał, pogrążony w myślach, ogarniając spojrzeniem rozpościerającą się przed nim panoramę miasta. Ono również ulegało przeobrażeniom. Było francuskie, hiszpańskie i amerykańskie, a jednak jakoś przetrwało - otoczone morzem wszechogarniającej uniformizacji - i pomimo to zachowało swój niepowtarzalny charakter.

Nie! Nie sprzeda hotelu. Jeszcze nie. Dopóki jest jakaś nadzieja, będzie starał się wytrwać. Wciąż miał jeszcze cztery dni na zdobycie skądś pieniędzy, którymi będzie mógł spłacić kredyt hipoteczny. Obecne straty są zjawiskiem przejściowym. Wkrótce sytuacja się zmieni i St. Gregory pozostanie niezależny i wiarygodny finansowo.

Zdecydowanym krokiem przeszedł przez pokój i zatrzymał się przy przeciwległym oknie. Wysoko na niebie na północy dostrzegł lśniąca plamkę samolotu. Pasażerski odrzutowiec zniżał się, podchodząc do lądowania na lotnisku Moisant. Przez chwilę zastanawiał się, czy leci nim Curtis O'Keefe.

3.

Christine znalazła Sama Jakubca tuż po 9.30. Krępy, łysiejący kierownik działu rozliczeń stał w głębi recepcji dokonując codziennej kontroli kartoteki gości hotelowych. Jakubiec pracował jak zwykle szybko, z nerwowym pośpiechem, który niekiedy mylił postronnych obserwatorów, sugerując im, że jest chaotyczny i niedokładny. Tymczasem jego precyzyjny, encyklopedyczny umysł dostrzegał i zapamiętywał niemal wszystko i była to umiejętność, dzięki której hotel uniknął zamrożenia wielu tysięcy dolarów w „złych długach”.

Palce Sama tańczyły teraz, przerzucając karty rozrachunkowe każdego gościa i pokoju. Spoglądał przez okulary o grubych szklach na nazwiska, potem na pozycje rachunku i od czasu do czasu zapisywał coś w leżącym obok niego notatniku. Nie przerywając pracy

zerknął w górę na Christine, a potem znowu spuścił wzrok.

- To zajmie mi jeszcze tylko parę minut, panno Francis.

- Mogę poczekać. Jest coś ciekawego dzisiaj rano?

Jakubiec skinął głową.

- Parę rzeczy.

- Na przykład?

Zrobił nowy zapis w notesie.

- Pokój 512, H. Baker. Wprowadził się o 8.10. O 8.20 zamówił butelkę whisky wpisaną na rachunek.

- Może lubi płukać nią zęby po myciu.

Nie podnosząc głowy, Jakubiec skinął potakująco.

- Może.

Christine jednak dobrze wiedziała, że bardziej prawdopodobne jest to, iż H. Baker jest naciągaczem. Gość zamawiający w kilka minut po przybyciu butelkę whisky automatycznie wzbudza podejrzenia kierownika działu rozliczeń. Większość nowo przybyłych, którzy chcieli się czegoś szybko napić - po podróży albo męczącym dniu - prosi o koktajl z baru. Człowiek żądający natychmiastowego przyniesienia całej butelki bardzo często zaczyna się natychmiast upijać i potem nie ma zamiaru, albo po prostu nie może zapłacić.

Wiedziała również, jakie kroki zostaną podjęte. Jakubiec poprosi jedną z pokojówek, aby pod jakimś pretekstem weszła do 512 i obejrzała gościa oraz jego bagaże. Pokojówki wiedziały, na co zwracać uwagę - na porządne walizki i ubrania. Jeżeli gość je miał, kierownik działu rozliczeń najprawdopodobniej nie podejmie żadnych kroków, będzie jedynie obserwował stan rachunku. Niekiedy solidni, szanowani obywatele wynajmowali pokój w hotelu po to, żeby się upić i jeżeli płacili i nie sprawiali nikomu kłopotów, była to ich prywatna sprawa.

Ale jeżeli H. Baker nie posiada bagażu, ani nic, co świadczyłoby o jego wypłacalności, Jakubiec wpadnie osobiście na pogawędkę. Będzie się zachowywał dyskretnie i przyjaźnie. Jeżeli gość okaże się solidny albo zgodzi się złożyć zabezpieczenie finansowe na poczet rachunku, rozstaną się w serdecznej zgodzie. Ale jeśli podejrzenia Sama potwierdzą się, stanie się wówczas bezwzględny i brutalny, a gość zostanie usunięty, zanim rachunek wzrośnie.

- Jeszcze jeden - oznajmił Sam Jakubiec. - Sanderson. Pokój 1207. Przesadnie wysokie napiwki.

Spojrzała na kartę, którą trzymał w ręku. Znajdowały się na niej dwie opłaty za

obsługę w pokoju: jedna w wysokości półtora dolara, druga - dwóch. W obu przypadkach gość dodał do podpisanego przez siebie rachunku dwudolarowy napiwek.

- Ludzie, którzy nie mają zamiaru płacić, często wpisują wyższe napiwki - stwierdził Jakubiec. - W każdym razie, trzeba to sprawdzić.

Christine wiedziała, że zarówno w tym jak i w podobnych przypadkach kierownik działu rozliczeń będzie postępował ostrożnie. Nie mógł - i było to równie ważne jak zapobieżenie oszustwu - urazić uczciwego gościa. Doświadczony pracownik działu rozliczeń zazwyczaj potrafił instynktownie odróżnić wilki od owiec, ale od czasu do czasu mógł popełnić błąd - na szkodę hotelu. Christine wiedziała, że właśnie dlatego kierownicy działu rozliczeń niekiedy poruszali się po przysłowiowej linii i ryzykowali przedłużenie kredytu albo przyjęcie czeku w nieco wątpliwych sytuacjach. Większość hoteli - nawet te renomowane - nie dbała o moralną postawę zatrzymujących się w nich ludzi zdając sobie sprawę, że gdyby to robiły, omijałaby je spora część gości. Ich zainteresowanie ograniczało się do jednego, podstawowego pytania: Czy gość będzie mógł zapłacić?

Jednym szybkim ruchem Sam Jakubiec ustawił karty rozrachunkowe i wsunął na miejsce szufladkę, w której się znajdowały.

- A teraz - zapytał - co mam zrobić?

- Wynajęliśmy prywatną pielęgniarkę dla 1410. - Christine krótko opisała wydarzenia ubiegłej nocy związane z Albertem Wellsem. - Trochę się obawiam, czy pana Wellsa na to stać. Nie jestem też pewna, czy zdaje on sobie sprawę, jakie koszty z tym się wiążą.

Mogła również dodać, ale nie zrobiła tego, że bardziej martwi się o interesy starszego pana niż hotelu.

Jakubiec skinął głową.

- Prywatna opieka pielęgniarska może sporo kosztować.

Wyszli razem z recepcji i przeszli przez hol pełen już ludzi w stronę gabinetu kierownika działu rozliczeń, mieszczącego się tuż obok kontuaru portiera. W małym, kwadratowym pokoju sekretarka, krępa brunetka, pracowała przy ścianie zastawionej w całości szafkami kartotekowymi.

- Madge - zwrócił się do niej Jakubiec. - Zobacz, co mamy o Wellsie, Albercie.

Bez słowa zamknęła jedną szufladkę, wyciągnęła drugą i przerzuciła fiszki. Przerwała na chwilę i rzuciła jednym tchem.

- Do wyboru do koloru: z Albuquerque, Coon Rapids i Montrealu.

- Jest z Montrealu - wyjaśniła Christine i Jakubiec wziął kartę podaną mu przez sekretarkę. Przebiegł ją wzrokiem i powiedział.

- Wygląda na to, że jest w porządku. Zatrzymywał się u nas sześć razy. Płacił gotówką. Jedna niewielka reklamacja, chyba wyjaśniona.

- Znam tę sprawę - stwierdziła Christine. - To była nasza wina.

Jakubiec kiwnął głową.

- Mam wrażenie, że nie ma się czym martwić. Uczciwi ludzie zostawiają ślad, podobnie jak nieuczciwi. - Oddał kartę sekretarce, która odłożyła ją na miejsce obok innych, zawierających dane o wszystkich gościach mieszkających tutaj w ostatnich latach. - Ale dopilnuję wszystkiego. Najpierw zorientuję się, jak wysokie może być honorarium pielęgniarki, a potem porozmawiam z panem Wellsem. Jeżeli ma problemy z pieniędzmi, może będziemy mogli mu pomóc, odkładając nieco termin uregulowania należności.

- Dzięki, Sam.

Christine poczuła ulgę. Wiedziała, że Jakubiec może być w równym stopniu wyrozumiały i chętny do przyjęcia z pomocą w przypadku prawdziwego, nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, jak twardy i bezwzględny wobec naciągaczy i oszustów.

Ruszyła już do drzwi, gdy kierownik rozliczeń zawołał:

- Panno Francis, jak wygląda sytuacja na górze?

Christine uśmiechnęła się.

- Wystawili hotel na loterię, Sam. Nie chciałam ci o tym mówić, ale zmusiłeś mnie do tego.

- Jeżeli wyciągną mój numer - odparł Jakubiec - powiedz, żeby ciągnęli jeszcze raz. Mam dosyć kłopotów i bez tego.

Christine podejrzewała, że jego żartobliwy ton maskuje w gruncie rzeczy taki sam niepokój przed utratą pracy, jaki dręczy wiele pozostałych osób. Finansowe sprawy hotelu zasadniczo były poufne, ale trudno było zapobiec lawinowemu rozprzestrzenianiu się wiadomości o obecnych kłopotach.

Przeszła ponownie przez główny hol odpowiadając na pozdrowienia chłopców hotelowych, kwiaciarza i jednego z zastępców kierownika recepcji siedzącego za swoim biurkiem. Minęła windy i wbiegła lekko na antresolę po biegnących łukiem centralnych schodach.

Widok zastępcy kierownika przypomniał jej o Peterze McDermottcie. Christine zorientowała się, że od ubiegłej nocy sporo myśli o Peterze. Zastanawiała się, czy wspólnie spędzone chwile Peter wspomina tak samo jak ona. Kilka razy uświadomiła sobie, że bardzo by tego chciała. Po czym natychmiast udzielała sobie sama ostrzeżenia, aby za szybko nie angażować się emocjonalnie. Przez lata, kiedy Christine uczyła się samotnej egzystencji, w jej

życiu pojawiali się mężczyźni, ale żadnego z nich nie traktowała poważnie. Niekiedy myślała, że po prostu instynkt chronił ją przed ponownym nawiązaniem z kimś tak bliskich stosunków jak te, których pięć lat temu w tak okrutny sposób pozbawił ją los. Jednocześnie zastanawiała się, gdzie jest Peter i co robi. No cóż - doszła do rozsądnego wniosku - wcześniej czy później w ciągu dnia ich drogi się skrzyżują.

Gdy wróciła do swojego biura w części administracyjnej, przez jakiś czas czekała na Warrena Trenta, ale właściciel hotelu nie przybył jeszcze ze swojego mieszkania na piętnastym piętrze. Poranna poczta leżała na jej biurku, Christine powinna wkrótce zająć się kilkoma telefonami. Postanowiła jednak zająć się najpierw sprawą, w związku z którą zesłała na dół. Podniosła słuchawkę i poprosiła o połączenie z pokojem 1410.

Odpowiedział jej kobiecy głos - zapewne pielęgniarki, zaangażowanej do opieki nad chorym. Christine przedstawiła się i grzecznie zapytała o zdrowie pacjenta.

- Pan Wells spędził spokojną noc - poinformowała ją pielęgniarka - i jego stan ulega poprawie.

Zastanawiając się, dlaczego niektóre pielęgniarki uważają, że powinny odpowiadać tak, jakby wygłaszały oficjalny komunikat, Christine powiedziała:

- W takim razie, może mogłabym do niego zajrzeć.

- Obawiam się, że przez jakiś czas będzie to niemożliwe. - Christine niemal widziała uniesioną zabraniającym gestem dłoń. - Doktor Aarons ma rano odwiedzić pacjenta, muszę więc przygotować się do jego wizyty.

Zabrzmiało to, jakby spodziewała się odwiedzin głowy państwa. Myśl o tym, że pompatyczny doktor Aarons będzie przyjmowany przez równie pompatyczną pielęgniarkę, rozbawiła ją.

- W takim razie - powiedziała do słuchawki - proszę powtórzyć panu Wellsowi, że dzwoniłam i że zobaczę się z nim dzisiaj po południu.

4.

Konferencja w apartamencie właściciela hotelu wprawiła Petera McDermotta w stan frustracji, nie doprowadziła bowiem do żadnych rozstrzygnięć. Kiedy Aloysius Royce zamknął za nim drzwi, Peter ruszył zamaszyście ku windzie. Doszedł do wniosku, że jego rozmowy z Warrenem Trentem niezmiennie kończą się w taki sam sposób. Po każdej z nich marzył, aby dano mu do dyspozycji sześć miesięcy i wolną rękę w zarządzaniu hotelem.

Zatrzymał się przy windach, żeby skorzystać ze służbowego telefonu. Zadzwoił do

repcji i zapytał, jakie pokoje zarezerwowane zostały dla pana Curtisa O'Keefego i osób mu towarzyszących. Recepcjonista poinformował go, że są to dwa połączone apartamenty na dwunastym piętrze. Peter służbową klatką schodową zszedł dwa piętra w dół. Podobnie jak we wszystkich większych hotelach, w St. Gregorym udawano, że nie ma trzynastego piętra i po dwunastym było od razu czternaste.

Czworo drzwi do dwóch zarezerwowanych apartamentów stało otworem. Podchodząc, słyszał dobiegające ze środka wycie odkurzacza. W apartamencie pilnie pracowały dwie pokojówki pod krytycznym nadzorem pani Blanche du Quesnay, obdarzonej ostrym językiem, ale wysoce kompetentnej zarządzającej służbą pokojową. Kiedy Peter wszedł, odwróciła się z błyskiem w oku.

- Mogłam się domyślić, że któryś z was, mężczyzn, będzie chciał sprawdzić, czy potrafię wykonać swoją pracę. Zupełnie jakbym sama nie potrafiła się domyślić, co należy zrobić w przypadku przyjazdu takiego gościa.

Peter uśmiechnął się.

- Spokojnie, pani Q. Pan Trent prosił mnie, żebym tu zajrzał.

Lubił tę rudowłosą kobietę w średnim wieku, jedną z najbardziej odpowiedzialnych kierowników wydziału. Obie pokojówki uśmiechały się. Mrugnął do nich i dodał, zwracając się raczej do pani du Quesnay:

- Gdyby pan Trent wiedział, że pani nadzoruje osobiście tę pracę, przestałby sobie tym zaprzętać głowę.

- A jeżeli skończy się nam w pralni mydło w płynie, pošlemy po pana - stwierdziła z uśmiechem Blanche du Quesnay, zręcznie wzbijając poduszki na dwóch sofach.

Roześmiał się, a potem zapytał:

- Czy zamówiono kwiaty i kosz z owocami?

Magnatowi hotelowemu, pomyślał Peter, zapewne znudził się wieczny kosz z owocami - standardowy wyraz szacunku hotelu dla wprowadzającej się ważnej osobistości. Ale jego brak mógłby zostać zauważony.

- Jadą już na górę. - Pani du Quesnay podniosła głowę znad sof, będącej przedmiotem jej zainteresowania. - Z tego co słyszałam, pan O'Keefe przywozi własne kwiaty i to bynajmniej nie wazonie - oznajmiła znaczącym tonem.

Była to aluzja do faktu, że Curtis O'Keefe rzadko podróżował bez damskiego towarzystwa, którego skład często ulegał zmianie. Peter doskonale ją rozumiał, ale dyskretnie nie skomentował.

Pani du Quesnay zerknęła na niego kpiarsko.

- Niech się pan rozejrzy. To nic nie kosztuje.

Peter przeszedł przez apartamenty i zorientował się, że wysprzątało je gruntownie. Meble - białe-złote z wzorzystymi obiciami - zostały odkurzone i porządnie ustawione. W sypialniach i łazienkach bielizna pościelowa i ręczniki były nienagannie czyste i dokładnie złożone, umywalki oraz wanny - suche i lśniące, sedesy - wypucowane i z zamkniętymi pokrywami. Lustra i szyby błyszczały. Wszystkie światła działały, podobnie jak telewizory i radia. Klimatyzator reagował na zmianę nastawienia termostatu, chociaż temperatura w chwili obecnej była przyjemna i wynosiła zaledwie 20 C. Nie ma tu już nic do zrobienia, pomyślał Peter, stojąc pośrodku drugiego apartamentu i lustrując go uważnie.

Nagle przypomniał sobie, że Curtis O'Keefe jest znany ze swojej pobożności, graniczącej niekiedy z ostentacją. Hotelarz modlił się często, niekiedy nawet publicznie. W pewnym raporcie znajdowała się nawet wzmianka, że gdy interesuje go nowy hotel, modli się o niego tak, jak dziecko modli się o bożonarodzeniowy prezent. W innym natomiast informowano, że przed negocjacjami zamawiał prywatne nabożeństwo, w którym miała obowiązek uczestniczyć cała administracja O'Keefego. Jeden z właścicieli konkurencyjnej sieci zauważył kiedyś brutalnie: „Curtis nigdy nie traci okazji, żeby się pomodlić. Nawet sika na klęczkach.”

Ta myśl skłoniła Petera do sprawdzenia Biblii Gideona, której egzemplarz znajdował się w każdym pokoju. Był zadowolony, że wpadł na ten pomysł.

Okazało się, że jak zwykle w przypadku użytkowanych przez dłuższy czas Biblii, ich pierwsze strony były upstrzone numerami telefonów call girls, bo jak dobrze wiedzieli doświadczeni podróżnicy, przede wszystkim tutaj należało szukać podobnych informacji. Peter bez słowa pokazał je pani du Quesnay. Pokręciła głową.

- Pan O'Keefe chyba nie będzie ich potrzebował, prawda? Zaraz każę przysłać nowe.

Wzięła pod pachę egzemplarze Biblii i spojrzała pytająco na Petera.

- Chyba upodobania pana O'Keefego będą miały wpływ na możliwość zachowania pracy w tym hotelu?

Wzruszył ramionami.

- Słowo honoru, że nie wiem, pani Q. Mogę zgadywać tak samo jak pani.

Zdawał sobie sprawę, że gdy wychodził z apartamentu, kierowniczka służby pokojowej odprowadzała go pytającym spojrzeniem. Wiedział, że pani du Quesnay utrzymuje kalekiego męża i jakkolwiek perspektywa utraty zatrudnienia stanowi powód niepokoju. Szczerze jej współczuł.

W przypadku zmiany właściciela, największe szanse na pozostanie mieli, zdaniem

Petera, młodszy i zdolniejsi pracownicy. Zdawał sobie sprawę, że większość skorzysta z tej propozycji, więc O'Keefego bowiem znana była z dobrego traktowania personelu. Starsi natomiast, często mniej już sprawni, gorzej spełniający swoje obowiązki, mieli o wiele większe powody do zmartwienia.

Gdy Peter McDermott zbliżał się do części biurowej, wychodził z niej właśnie główny technik hotelu, Doc Vickery. Peter zatrzymał się:

- Ostatniej nocy winda numer cztery sprawiała trochę kłopotów. Czy pan o tym wie?

Naczelnny technik posępnie skinął łysą głową.

- Tak się dzieje, gdy nie dostaje się pieniędzy na konserwację maszyn.

- Sytuacja jest aż tak zła?

Peter wiedział, że budżet na obsługę techniczną został ostatnio okrojony, ale po raz pierwszy dowiedział się o poważnych problemach z windami.

Doc Vickery pokręcił głową.

- Jeżeli chodzi panu o to, czy grozi nam jakiś poważny wypadek, odpowiedź brzmi „nie”. Obserwuję zabezpieczenia, jakby to było moje rodzone dziecko. Na razie mieliśmy tylko drobne awarie, ale wkrótce na pewno zdarzy się większa. Zatrzymanie zaś paru wind na kilka godzin wystarczy, żeby cały ten budynek stanął na głowie.

Peter przytaknął. Jeżeli to była najgorsza ewentualność, nie musiał się jeszcze specjalnie martwić.

- Czego pan potrzebuje? - zapytał.

Naczelnny technik spojrział na niego spod okularów w grubej oprawie.

- Na początek sto tysięcy dolarów. Dzięki temu mógłbym wypatroszyć większość bebeczów z maszyn i zastąpić je nowymi, a potem jeszcze zrobić parę innych rzeczy.

Peter gwizdnął cicho.

- Jedno panu powiem - zauważył Doc. - Dobre maszyny to wspaniała rzecz i czasami są niemal jak człowiek. Bardzo często pracują więcej, niż jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, a potem można je naprawić, podregulować i będą pracować jeszcze dłużej. Ale w pewnym momencie osiągają punkt krytyczny, którego nie da się przekroczyć i nic już wtedy nie zrobimy.

Gdy Peter wchodził do swojego gabinetu, ciągle myślał o słowach głównego technika. Zastanawiał się, jaki jest punkt krytyczny dla całego hotelu? Dla St. Gregory'ego jeszcze nie nadszedł, ale podejrzewał, że dla obecnej administracji hotelu został już przekroczony.

Na biurku leżał już spory stos porannej poczty, notatek służbowych i telefonogramów. Wziął kartkę z wierzchu i przeczytał: *Panna Marsha Preyscott przyjęła wiadomość od pana i*

będzie czekała w pokoju 555, aż pan się z nią skontaktuje. Przypomniało mu to, że chciał dowiedzieć się więcej o nocnych wydarzeniach w 1126-7.

Jeszcze jedno. Musiał spotkać się jak najszybciej z Christine. Kilka drobiazgów wymagało decyzji Warrena Trenta, ale nie były aż tak istotne, aby poruszać je w czasie porannej rozmowy. Uśmiechnął się nagle i pomyślał kpiąco: przestań szukać usprawiedliwienia! Chcesz się z nią zobaczyć i cóż w tym złego?

Kiedy zastanawiał się, co zrobić najpierw, rozległ się przenikliwy sygnał telefonu. Dzwonił jeden z pracowników recepcji.

- Sądzę, że chciałby pan o tym wiedzieć - oznajmił. - Pan Curtis O'Keefe właśnie się wprowadził.

5.

Curtis O'Keefe wkroczył do tętniącego ruchem holu niczym strzała wbijająca się w miąższ jabłka. Może w nieco nadpsute jabłko, pomyślał krytycznie. Rozejrzał się wokoło i jego doświadczony wzrok hotelarza odnalazł charakterystyczne oznaki. Niewielkie, ale znaczące: gazeta pozostawiona na fotelu i nie uprzątnięta, pół tuzina niedopałków w wypełnionej piaskiem popielnicy przy windach, brak guzika przy kurtce windziarza, dwie przepalone żarówki w żyrandolu. Przy wejściu od St. Charles Avenue odźwierny w liberii plotkował ze sprzedawcą gazet, a strumień gości opływał ich naokoło. Nieco bliżej, starszy wiekiem zastępca kierownika siedział przy swoim biurku, zamyślony, z opuszczoną głową.

W hotelu sieci Curtisa O'Keefe, gdyby wszystkie te zaniedbania zdarzyły się jednocześnie, natychmiast nastąpiłyby dyscyplinujące działania, ostre nagany, a nawet zwolnienia. Ale St. Gregory nie jest moim hotelem, zwrócił sobie uwagę. Jeszcze nie jest.

Skierował się w stronę recepcji. Szczupły i wytworny, w starannie wyprasowanym, ciemnoszarym garniturze poruszał się niemal tanecznym, drobnym krokiem. Poznawano go po nim zarówno na boisku do piłki ręcznej, w którą często grywał, na parkiecie sali balowej, czy też na kołyszącym się pokładzie jego oceanicznego jachtu motorowego „Innkeeper IV”. Muskularne, atletyczne ciało stanowiło jego dumę od pięćdziesięciu sześciu lat, w czasie których wydostał się z anonimowej masy niższej klasy średniej i stał się jednym z najbogatszych - i najbardziej niespokojnych - ludzi w kraju.

Stał przy kontuarze z marmurowym blatem i recepcjonista podsunął mu kartę meldunkową. Hotelarz zignorował ją całkowicie.

- Nazywam się O'Keefe - oznajmił dobitnie. - Zarezerwowałem tu dwa apartamenty,

jeden dla mnie, drugi na nazwisko panny Dorothy Lash. - Kątem oka zauważył wchodzącą do holu Dodo. Robiła wrażenie, jakby składała się wyłącznie z nóg i biustu i zdawała się cała promieniować seksem. Jak zawsze, odwracano się za nią wstrzymując oddech. Pozostawił ją w samochodzie, żeby pilnowała wyładunku bagaży. Od czasu do czasu lubiła zająć się czymś takim. Natomiast wszystko, co wymagało nieco większego wysiłku umysłowego, zdecydowanie ją nudziło.

Jego słowa wywarły efekt przypominający eksplozję zręcznie rzuconego granatu. Recepcjonista zeszytniał i wyprostował się, stając niemal na baczność. Kiedy spojrzał w chłodne, szare oczy, które zdawały się bez wysiłku przewiercać go na wylot, jego obojętność prawie natychmiast zmieniła się w pełną szacunku uwagę. Nerwowym gestem poprawił krawat.

- Proszę mi wybaczyć, sir. Pan Curtis O'Keefe?

Hotelarz skinął głową. Na jego skupionej twarzy malował się dyskretny uśmiech. Ta sama rozpromieniona przyjaźnie twarz widniała na okładkach pół miliona książek „Jesteś moim gościem”. Jej egzemplarz leżał na widocznym miejscu w każdym pokoju hotelowym w sieci O'Keefego. *(Książka ta ma Państwa rozerwać i sprawić Wam przyjemność. Jeżeli zechcecie ją państwo zatrzymać, prosimy powiadomić recepcję i suma 1,25\$ zostanie dodana do Państwa rachunku.)*

- Oczywiście, sir. Jestem pewien, że apartamenty państwa są gotowe, sir. Jeżeli zechce pan chwilę poczekać, sir.

Gdy recepcjonista przekładał rezerwacje i karty pokojów, O'Keefe cofnął się o krok, pozwalając podejść innym przybywającym gościom. Recepcja, przed chwilą przeżywająca okres względnego spokoju, znowu zaczęła być oblegana. Był to niezmienny element hotelowej codzienności. Przed budynkiem, z wynajmowanych na lotnisku limuzyn i taksówek wysiadali ludzie, którzy - podobnie jak on - przylecieli porannym rejssem z Nowego Jorku. Zauważył, że zbierają się uczestnicy kongresu. Na transparencie podwieszonym pod sklepieniem widniał napis:

WITAMY DELEGATÓW

NA KONGRES AMERYKAŃSKICH STOMATOLOGÓW

Dodo podeszła do niego wraz z dwoma obładowanymi boyami podążającymi za nią jak akolici za boginią. Pod wielkim kapeluszem z opuszczonym rondem, który nie był w stanie przykryć w pełni fali długich platynowo-blond włosów, widać było dziecinną twarzyczkę o nienagannych rysach i szeroko otwartych błękitnych oczach.

- Curtie, słyszałam, że zatrzymało się tutaj mnóstwo dentystów.

- Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś - oznajmił sucho. - Bez twojej pomocy pewnie bym się nie zorientował.

- O jejku, może powinnam zrobić sobie tę plombę. Ciągle mam zamiar i jakoś zawsze...

- Oni tu przyjechali, bo sami chcą otwierać usta, a nie zaglądać w zęby innym ludziom.

Dodo sprawiała wrażenie zdezorientowanej, jak zazwyczaj, kiedy zdawała sobie sprawę, że powinna rozumieć wydarzenia rozgrywające się wokół niej, ale jakoś jej się to nie udawało. Dyrektor Hoteli O'Keefego - nie wiedząc że szef go słucha - skomentował intelektualne zdolności Dodo: „Cały mózg ma w biuście, ale w żaden sposób nie jest on podłączony do reszty.”

Zdawał sobie sprawę, że niektórzy z jego znajomych zastanawiali się, dlaczego wybrał na towarzyszkę podróży właśnie Dodo, skoro przy swoim bogactwie i wpływach mógł w granicach rozsądku wybrać kogoś ciekawszego. Pewnie się domyślali, ale i tak nie byli w stanie docenić dzikiego erotyzmu, który Dodo potrafiła odpowiednio do jego potrzeb albo włączyć na pełen regulator, albo pozostawić na jałowym biegu. Jej łagodna głupota, podobnie jak liczne gafy, którymi tak bardzo przejmowali się inni, Curtis O'Keefe uważał jedynie za zabawne. Czasami bowiem czuł się zmęczony stałą obecnością w jego otoczeniu czujnych, wybitnych umysłów, zawsze starających się rywalizować z jego intelektem.

Podejrzewał jednak, że wkrótce rozstanie się z Dodo. Towarzyszyła mu już niemal od roku - dłużej niż większość kobiet. Było wystarczająco dużo gwiazdek z hollywoodzkiej konstelacji i miał w czym wybierać. Oczywiście mógłby o nią zadbać, wykorzystać swoje rozległe wpływy, aby załatwić jej jedną czy dwie drugoplanowe role i kto wie, może nawet udałoby się jej wybić. Miała ciało i twarz. W końcu innym dziewczynom z takimi atrybutami udało się zrobić zupełnie niezłe kariery.

Recepcjonista podszedł ponownie do kontuaru.

- Wszystko jest już gotowe, sir.

Curtis O'Keefe skinął głową. A potem, ich mała procesja prowadzona przez kierownika boyów, Herbiego Chandlera, który zmaterializował się nagle obok niego, ruszyła w stronę oczekującej windy.

6.

Wkrótce po tym, jak Curtis O'Keefe i Dodo zostali odprowadzeni do swoich

połączonych apartamentów, Julius „Kluczyk” Milne otrzymał pojedynczy pokój.

„Kluczyk” zatelefonował o 10.45, korzystając z bezpośredniego połączenia portu lotniczego Moisant z hotelem („Dzwoń do nas za darmo”), aby potwierdzić rezerwację, dokonaną kilka dni temu spoza miasta. W odpowiedzi zapewniono go, że wszystko jest w porządku i jeżeli pośpieszy się z przyjazdem, zostanie niezwłocznie zameldowany.

„Kluczyka” ucieszyła ta wiadomość, bowiem decyzję o zatrzymaniu się w St. Gregorym podjął zaledwie parę minut wcześniej. Nie był jednak zdziwiony tym faktem, ponieważ planując swoje działania dokonał rezerwacji we wszystkich większych hotelach Nowego Orleanu, w każdym podając inne nazwisko. W St. Gregorym występował jako „Byron Meader”. Wybrał nazwisko z gazety. Jego prawowity właściciel był znanym mistrzem plotkarskim. Wyglądało to na dobry omen, a „Kluczyk” bardzo poważnie je traktował.

Rzeczywiście, sprawdziło się to w kilku przypadkach. Na przykład wtedy, gdy ostatni raz stanął przed sądem. Kiedy przyznał się do winy, promień słońca padł na stół sędziowski i w ogłoszonym wyroku - a słońce wciąż oświetlało stół - skazano go zaledwie na trzy lata, podczas gdy „Kluczyk” spodziewał się pięciu. A zanim do tego doszło, udało mu się przecież zrobić wiele udanych skoków. Jego nocne wejścia do rozmaitych pokoi hotelowych w Detroit odbywały się gładko i przynosiły spore zyski. Zapewne dlatego, że wszystkie numery pokoiów poza ostatnim zawierały cyfrę dwa, która zawsze przynosiła mu szczęście. Niestety, w ostatnim pokoju - jego numer nie zawierał szczęśliwej dwójki - lokatorka obudziła się i zaczęła przeraźliwie krzyczeć w momencie, kiedy po załadowaniu gotówki i biżuterii do specjalnie obszernych kieszeni płaszcza, właśnie pakował do walizki jej futro z norek.

Dopełnieniem pecha - spowodowanym zapewne przez brak szczęśliwej cyfry - był fakt, że hotelowy detektyw usłyszał jej krzyki i zareagował natychmiast. „Kluczyk” z filozoficznym spokojem przyjął nieuniknione, nie zadając sobie nawet trudu wdawania się w skomplikowane, choć w innych sytuacjach zupełnie skuteczne wyjaśnienia, dlaczego znajduje się w nie swoim pokoju. Po prostu, było to zawodowe ryzyko, brane pod uwagę przez każdego, kto żył dzięki swoim zręcznym palcom - nawet przez specjalistę tak wysokiej klasy jak „Kluczyk”. Teraz, po odsiedzeniu wyroku (maksymalnie skróconego ze względu na nienaganne zachowanie) i przeprowadzeniu pomyślnego dziesięciodniowego wypadu do Kansas City, już cieszył się na samą myśl o sukcesach w Nowym Orleanie.

Początek był dobry.

Tuż po 7.30 zjawił się na lotnisku Moisant. Przyjechał z taniego motelu przy autostradzie Chef Menteur, gdzie zatrzymał się na noc. Bardzo piękny, nowoczesny budynek, pomyślał „Kluczyk”, dużo w nim szkła, chromu i tak istotnych dla jego zamierzeń

śmietniczek.

Z tablicy pamiątkowej dowiedział się, że port lotniczy otrzymał imię Johna Moisantha, orleańczyka, światowego pioniera lotnictwa. Zauważył również, że inicjały Moisantha są identyczne z jego własnymi, co również mogło być bardzo pomyślnym znakiem. Do takiego portu lotniczego najchętniej przyleciałby wielkim, grzmiącym odrzutowcem. Być może wkrótce to się spełni, jeżeli wszystko przebiegać będzie tak samo jak wtedy, zanim ostatni wyrok uniemożliwił mu na jakiś czas praktykowanie jego rzemiosła. Na pewno szybko wracał do formy, chociaż czasami zdarzało mu się, że tracił pewność siebie w momentach, w których dawniej działałby zimno, niemal z obojętnością.

Nic dziwnego. Niepewność ta wynikała przecież ze świadomości, że gdyby go złapano i posadzono ponownie, tym razem dostałby od dziesięciu do piętnastu lat. Byłoby to trudne do zniesienia. Kiedy ma się pięćdziesiąt dwa lata, raczej trudno jest już przetrwać takie długie odsiadki.

Nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń, „Kluczyk” spacerował w holu dworca lotniczego, przez cały czas czujny i skupiony. Szczupły, dobrze ubrany, ze złożoną gazetą pod pachą, sprawiał wrażenie odprężonego, pewnego siebie biznesmena. Jedyne jego oczy poruszały się bez przerwy obserwując wchodzących do dworca wczesnych podróżnych, dostarczanych limuzynami i taksówkami z hoteli mieszczących się w śródmieściu. Był to pierwszy szczyt rejsów na północ - bardzo duży, bo United, National Eastern i Delta miały w rozkładach poranne rejsy do Nowego Jorku, Waszyngtonu, Chicago, Miami i Los Angeles.

Dwukrotnie dostrzegał sytuację, na którą czekał. Okazało się jednak, że nic z tego nie wynikło. Dwaj mężczyźni, sięgający do kieszeni po bilet albo drobne, odnaleźli zabrany przez pomyłkę klucz do pokoju hotelowego. Pierwszy zadał sobie trud odnalezienia skrzynki pocztowej, a potem zastosował się do prośby umieszczonej na plastikowej tabliczce przy kluczu i wrzucił go do skrzynki. Drugi przekazał klucz pracownikowi linii lotniczej, który schował go do szuflady, zapewne w celu zwrócenia hotelowi.

Obydwa przypadki sprawiły mu zawód, ale nie stanowiły niczego nowego. „Kluczyk” dalej obserwował. Był bardzo cierpliwy. Wiedział, że wkrótce zdarzy się to, na co czeka.

Dziesięć minut później jego wytrwałość została nagrodzona.

Rumiany, łysiejący mężczyzna z płaszczem przerzuconym przez ramię, wypchaną torbą podróżną i aparatem fotograficznym, idąc w stronę korytarza prowadzącego do stanowisk samolotów, zatrzymał się, aby wybrać jakieś czasopismo. Przy kasie kiosku odnalazł w kieszeni klucz hotelowy i parsknął ze złością. Jego żona - szczupła, łagodna kobieta - zaproponowała mu coś po cichu, na co odwarknął gniewnie:

- Nie ma na to czasu!

Usłyszawszy odpowiedź „Kluczyk” ruszył tuż za nimi. Świetnie! Kiedy małżeństwo miało kosz na śmieci, mężczyzna wrzucił do niego klucz.

Reszta była już dla „Kluczyka” zwykłą rutyną. Przechodząc koło kosza, włożył do niego swoją złożoną gazetę, a potem, jakby nagle zmieniwszy zdanie, zawrócił i wziął ją z powrotem. Jednocześnie zajrzał do środka, wypatrzył wyrzucony przedmiot i niepostrzeżenie ukrył go w dłoni. Kilka minut później, w ustroniu męskiej toalety zorientował się, że jest to klucz do pokoju 641 w hotelu St. Gregory.

Nastąpił chyba wyraźny przełom, pół godziny później bowiem podobna sytuacja też zakończyła się sukcesem. Drugi klucz również pochodził z St. Gregory’ego, co zmobilizowało go, aby zadzwonić do hotelu i potwierdzić dokonaną rezerwację. Postanowił nie wystawiać dłużej szczęścia na próbę i nie kręcić się już po lotnisku. Zrobił dobry początek i dzisiaj wieczorem sprawdzi jeszcze stację kolejową, a za parę dni może ponownie zajrzy na lotnisko. Są również inne sposoby zdobycia kluczy hotelowych i jedną z takich operacji rozpoczął właśnie ubiegłej nocy.

Nie bez powodu nowojorski prokurator stwierdził swego czasu w sądzie: „U oskarżonego wszystko sprowadza się do problemu klucza. Mówiąc szczerze, coraz częściej myślę o nim jako o „Kluczyku” Milne.” Uwaga ta została uwieczniona w aktach policyjnych i przezwisko przyjęło się. Nawet sam „Kluczyk” używał go obecnie z niejaką dumą. Była to zawodowa duma oparta na świadomości, że jeśli poświęci dużo czasu, okaże cierpliwość i będzie miał szczęście, szanse zdobycia klucza do czegokolwiek staną się niezwykle wysokie.

Jego obecna „wąska specjalizacja” wynikała z pewnej obserwacji. Zauważył bowiem, z jakim lekceważeniem ludzie odnoszą się do kluczy hotelowych. Stanowiło ono wieczne źródło utrapień wszystkich hotelarzy. Teoretycznie, kiedy wyjeżdżający gość opłacał rachunek, powinien jednocześnie oddać klucz do pokoju. Ale ogromna ilość osób opuszczała hotel zapominając, że ma go w kieszeni albo torebce. Niektórzy, bardziej obowiązkowi, wrzucali je do skrzynki pocztowej i wielkie hotele, takie jak St. Gregory regularnie płaciły pięćdziesiąt albo nawet więcej dolarów tygodniowo za koszty przesyłki zwracanych kluczy. Byli jednak i tacy, którzy albo je zatrzymywali, albo wyrzucali je bez troski.

Dzięki tej ostatniej grupie, zawodowi złodzieje hotelowi tacy jak Milne mogli prowadzić swoją działalność.

Z budynku portu lotniczego „Kluczyk” wrócił na parking do swego pięcioletniego forda. Zakupił go w Detroit, przejechał do Kansas City, a dopiero stamtąd udał się do Nowego Orleanu. Był to idealny samochód - nie rzucający się w oczy, szary, niezbyt stary,

ale też niezbyt nowy. Martwiły go jedynie tablice rejestracyjne ze stanu Michigan - zielone na białym tle. Tablice rejestracyjne z innych stanów nie były w Nowym Orleanie niczym szczególnym, ale zawsze starał się unikać nawet takich charakterystycznych szczegółów. Zastanawiał się, czy nie skorzystać z fałszywych tablic z Luizjany, ale uznał, że jest to zdecydowanie większe ryzyko. „Kluczyk” posiadał w końcu dość sprytu, aby nigdy nie zajmować się działaniami wykraczającymi poza jego specjalność.

Silnik samochodu zaskoczył od pierwszego dotknięcia startera i zamruczał łagodnie. Był to rezultat osobiście przeprowadzonego przeglądu - umiejętności tej nauczył się na koszt władz federalnych w czasie kolejnej odsiadki.

Pokonał czternaście mil dzielących go od miasta, starannie przestrzegając wszystkich ograniczeń prędkości i wreszcie podjechał pod St. Gregory’ego. Jego lokalizację i układ poznał już dzień wcześniej. Zaparkował niedaleko Canal Street, w odległości paru przecznic od budynku i wyjął z bagażnika dwie walizki. Pozostała część bagażu znajdowała się w dalszym ciągu w opłaconym za kilka dni z góry pokoju motelowym. Utrzymywanie dodatkowego lokalu było niewątpliwie kosztownym, ale jednocześnie przezornym krokiem. Motel mógł mu przecież posłużyć jako kryjówka na wszystko, co ewentualnie zdobędzie, a w razie katastrofy może przecież z niego w każdej chwili zrezygnować. Zadbał, aby nie pozostawić w nim nic, dzięki czemu można by go zidentyfikować. Klucz do pokoju motelowego leżał starannie ukryty w filtrze powietrza gaźnika forda.

Wszedł z pewną miną do St. Gregory’ego, oddał bagaże portierowi i zarejestrował się jako B.W. Meader z Ann Arbor w Michigan. Recepcjonista, widząc dobrze skrojone ubranie i stanowczą, władcą twarz o ostrych rysach, potraktował przybysza z szacunkiem i przydzielił mu pokój 830. Teraz, pomyślał z przyjemnością Milne, będę miał trzy klucze z St. Gregory’ego - jeden, o którym hotel wie i dwa, o których nie ma pojęcia.

Pokój 830, do którego kilka minut później wprowadził go boy hotelowy, okazał się idealny. Był obszerny, wygodny, a także (jak zauważył „Kluczyk”) znajdował się w odległości zaledwie paru jardów od służbowej klatki schodowej.

Kiedy był już sam, rozpakował się starannie. A potem postanowił się przespać, aby być gotowy do czekającej go w nocy poważnej pracy.

7.

Kiedy Peter McDermott dotarł do holu, Curtis O’Keefe był już w swoich apartamentach. Peter postanowił, że nie pójdzie za nim, bo niekiedy nadmiar uwagi mógł być

równie męczący dla gościa jak jej brak. Poza tym, to Warren Trent powita O'Keefego w St. Gregorym. Peter najpierw upewnił się, że właściciel hotelu wie już o przyjeździe oczekiwanego gościa i dopiero potem poszedł odwiedzić Marshę Preyscott w pokoju 555.

- Cieszę się, że pan przyszedł - powiedziała, otwierając mu drzwi.

- Martwiłam się już, że nie będzie pan mógł.

Miała na sobie suknię bez rękawów koloru moreli, po którą najwidoczniej posłała dziś rano. Lekko przylegała do jej ciała. Długie, czarne włosy dziewczyny spadały na ramiona i w niczym nie przypominały wymyślnej fryzury z ubiegłej nocy. Było coś prowokującego w jej wyglądzie - na wpół dziecinnym, na wpół kobiecym.

- Przepraszam, że przychodzę dopiero teraz. - Spojrzał na nią z uznaniem. - Ale widzę, że pani dobrze wykorzystała ten czas.

Uśmiechnęła się.

- Pomyślałam, że może będzie pan potrzebował pizamy.

- Jest tu tylko na wyjątkowe sytuacje, podobnie jak ten pokój. Bardzo rzadko korzystam z jednego i drugiego.

- Tak mi właśnie powiedziała pokojówka - stwierdziła Marsha. - Jeżeli więc nie będzie pan miał nic przeciwko temu, chciałabym zostać tu przynajmniej na jeszcze jedną noc.

- Och? Czy mógłbym wiedzieć, dlaczego?

- Nie bardzo wiem - odparła z wahaniem. - Może dlatego, że chciałabym otrząsnąć się z tego, co się wczoraj stało. Uważam, że to miejsce najlepiej się do tego nadaje.

Prawdziwym jednak powodem, przyznała w duchu, była chęć odsunięcia chwili powrotu do wielkiego i pustego domu w Garden District. Pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Jak się pani czuje?

- Lepiej.

- Bardzo mnie to cieszy.

- Niełatwo mi zapomnieć o tym, co się stało - przyznała Marsha. - Uważam, że przyjście tutaj było z mojej strony głupotą. Co zresztą sam pan stwierdził.

- Nie powiedziałem tego.

- Nie, ale tak pan pomyślał.

- Jeżeli nawet tak było, powinienem również pamiętać, że niekiedy wszyscy znajdujemy się w trudnych sytuacjach. - Zapadła cisza, a potem Peter zaproponował: - Usiądźmy.

Kiedy oboje siedzieli już wygodnie, ciągnął dalej:

- Miałem nadzieję, że opowie mi pani o wszystkim, co się wczoraj zdarzyło.

- Przypuszczałam, że będzie się pan tym interesował - powiedziała. A potem dodała z bezpośredniością, do której zaczął się już przyzwyczajać. - Zastanawiałam się, czy powinnam to zrobić.

Ubiegłej nocy, myślała Marsha, czuła przede wszystkim szok, urażoną dumę i fizyczne wyczerpanie. Teraz jednak szok minął i podejrzewała, że jej duma mniej ucierpi, jeżeli będzie milczała, niż gdy zacznie protestować. Być może, iż otrzeźwieni światłem poranka Lyle Dumaire i jego kumple nie będą mieli szczególnej ochoty chwalić się swoim nocnym wyczynem.

- Nie mogę pani zmuszać. Jeżeli postanowiła pani milczeć, nie będę nalegał - zapewnił ją Peter. - Ale z drugiej strony, chciałbym zwrócić uwagę na to, że ludzie, którym raz udało się wykręcić od odpowiedzialności, będą próbowali znowu... Zapewne nie z panią, z kimś innym. - W jej oczach pojawiła się troska, Peter zaś ciągnął dalej. - Nie wiem, czy mężczyźni, znajdujący się w tamtym pokoju ubiegłej nocy, byli pani przyjaciółmi czy też nie. Ale nie widzę najmniejszego powodu, dla którego miałyby pani ich osłaniać.

- Jeden był przyjacielem. Przynajmniej za takiego go uważałam.

- Przyjaciel czy nie - kontynuował Peter - ważne jest to, co próbowali zrobić. I pewnie by się im udało, gdyby nie przyszedł Royce. Poza tym, gdy się zorientowali, że mogą zostać schwytani, cała czwórka uciekła jak szczury pozostawiając panią samą.

- W nocy - powiedziała z namysłem Marsha - słyszałam, że zna pan nazwiska dwóch z nich.

- Pokój został wynajęty przez Stanleya Dixona. Drugie znane mi nazwisko brzmi Dumaire. Czy to byli oni?

Skinęła głową.

- Kto był przywódcą?

- Myślę, że... Dixon.

- A teraz proszę mi odpowiedzieć, co się stało przedtem.

Marsha uświadomiła sobie, że w jakiś sposób odebrał jej inicjatywę.

Miała wrażenie, że całkowicie ją zdominował. Stanowiło to zupełnie nowe doświadczenie i co dziwniejsze, poczuła, że się jej to podoba. Posłusznie opisała kolejne wydarzenia, które nastąpiły od chwili wyjścia z sali balowej do momentu szczęśliwego pojawienia się Aloysiusa Royce'a.

Przerwał jej tylko dwa razy. Zapytał, czy w sąsiednim pokoju widziała którąś z kobiet, o których wspominali Dixon i inni? Czy zauważyła któregoś z pracowników hotelowych? Przy obu pytaniach pokręciła przecząco głową.

Nagle poczuła chęć powiedzenia mu więcej. Wszystko, wyjaśniła Marsha, najprawdopodobniej nie zdarzyłoby się, gdyby nie jej urodziny.

Zdziwił się.

- Wczoraj były pani urodziny?

- Skończyłam dziewiętnaście lat.

- I była pani sama?

Skoro powiedziała już tak wiele, rozumiała, że nie ma sensu milczeć o reszcie. Powtórzyła mu swoją rozmowę z Rzymem i wyjaśniła, jak bardzo czuła się rozczarowana, kiedy okazało się, że jej ojciec nie zdoła wrócić na czas.

- Bardzo mi przykro - stwierdził, gdy skończyła. - Teraz łatwiej mogę zrozumieć całą sprawę.

- To już się nigdy nie powtórzy. Nigdy.

- Jestem tego pewien. - Zaczął mówić dalej bardziej rzeczowym tonem. - Chciałbym wykorzystać pani relację.

- W jaki sposób? - zapytała z powątpiewaniem.

- Wezwę cztery osoby, Dixona, Dumaire'a i pozostałych dwóch, do hotelu na rozmowę.

- Mogą nie przyjść.

- Przyjdą. - Peter już wiedział, co zrobić, żeby ich do tego zmusić. - Czy w ten sposób nie dowie się o wszystkim zbyt wiele osób? - spytała niepewnie.

- Obiecuję, że kiedy skończymy sprawę, prawdopodobieństwo, że ktokolwiek zacznie mówić, będzie jeszcze mniejsze.

- Dobrze - zgodziła się Marsha. - I dziękuję panu za wszystko, co pan dla mnie zrobił.

Poczuła ulgę, od której dziwnie zakręciło się jej w głowie.

Udało się lepiej niż oczekiwał, pomyślał Peter. A skoro dysponował już potrzebnymi informacjami, chciał jak najszybciej z nich skorzystać. Może jednak powinien zostać jeszcze kilka minut, choćby tylko po to, żeby ją uspokoić.

- Jest coś, co powinienem pani wyjaśnić, panno Preyscott - powiedział.

- Marsho.

- Dobrze, ja mam na imię Peter.

Miał wrażenie, że rezygnacja z oficjalnego sposobu bycia jest usprawiedliwiona, chociaż pracowników dyrekcji hotelu zawsze uczono, aby tego unikali, chyba że w kontaktach z dobrze znanymi gośćmi.

- W hotelach dzieje się wiele rzeczy, Marsho, na które przyzymykamy oczy. Ale kiedy

zdarza się coś takiego jak w tym wypadku, potrafimy być wyjątkowo bezwzględni. Dotyczy to wszystkich naszych pracowników, jeśli okaże się, że w jakiś sposób są współodpowiedzialni.

Peter dobrze wiedział, że w sprawie, która rzutowałaby na opinię hotelu stanowisko Warrena Trenta byłoby równie katarygoryczne jak jego. Wszelkie zaś działania podjęte przez Petera, pod warunkiem, że potrafiłby udowodnić swoją rację, uzyskałyby zdecydowane poparcie właściciela hotelu.

Peter wiedział, że rozmowa osiągnęła zamierzony cel. Wstał z fotela i podszedł do okna. Z tej części hotelu widać było ruchliwą o tej porze dnia Canal Street. Jej sześć pasów zatłoczonych było pojazdami, szerokie chodniki pełne były kupujących. Grupki przejeżdżających tranzytem podróżnych czekały na obsadzonej palmami centralnej części bulwaru, gdzie zajeżdżały bezgłośnie klimatyzowane autobusy połyskując w słońcu aluminiowymi burtami. Zauważył, że NAACP znowu pikietuje jakieś sklepy. Na jednym transparencie widniało wezwanie: TU DYSKRYMINUJĄ. NIE KUPUJ W TYM SKLEPIE. Były tam również inne hasła. Niosący je ludzie chodzili niewzruszenie wkoło, przeciskając się przez strumień opływających ich przechodniów.

- Jesteś od niedawna w Nowym Orleanie, prawda? - zapytała Marsha. Podeszła i stanęła obok niego przy oknie. Poczul delikatny, łagodny zapach jej perfum.

- Stosunkowo od niedawna. Niegdyś miałem nadzieję, że poznam go lepiej.

- Bardzo dobrze znam historię miasta - odpowiedziała z nagłym entuzjazmem. - Może mogłabym cię z nią zapoznać?

- No cóż... Kupiłem parę książek. Nie miałem jednak czasu.

- Możesz je przeczytać później. O wiele lepiej będzie, jeżeli ktoś cię oprowadzi.

Chciałabym okazać moją wdzięczność...

- Nie ma takiej potrzeby.

- Ale mimo wszystko, chciałabym. Proszę! - Położyła mu dłoń na ramieniu.

- To ciekawa propozycja - odparł zastanawiając się, czy postępuje rozsądnie.

- Doskonale! W takim razie załatwione. Jutro wieczorem urządza proszony obiad.

Takie staroświeckie, nowoorleańskie spotkanie. A potem będziemy mogli porozmawiać o historii.

- Powoli! - zaprotestował.

- Czy jesteś już zajęty?

- No cóż, niezupełnie.

- W takim razie, postanowione - odparła stanowczo Marsha.

Wspomnienia wydarzeń z przeszłości, jak też świadomość, że nie powinien nawiązywać bliższych kontaktów z młodą dziewczyną, która przecież jest gościem hotelowym, sprawiły, że Peter zawahał się. Doszedł jednak do wniosku, że odmowa byłaby niegrzeczna. A poza tym, w zaproszeniu na obiad nie było nic nagannego. W końcu będą na nim jeszcze inni.

- Jeżeli obiecuję, że przyjdę - powiedział - chciałbym, żebyś zrobiła coś dla mnie.

- Co?

- Wróć do domu, Marsho. Wyjdź z hotelu i jedź do domu.

Spojrzeni sobie w oczy. Znowu uświadomił sobie, jak bardzo jest dziewczęca i delikatna.

- Dobrze - odparła. - Skoro tak chcesz.

Kilka minut później Peter McDermott wszedł zamyślony do swego gabinetu. Niepokoiło go wyraźnie, że pozostawiono bez opieki tak młodą dziewczynę jak Marsha Preyscott, mimo że przy jej pozycji społecznej nie byłoby to takie trudne. Nawet jeżeli jej ojciec przebywał za granicą, a matka w ogóle opuściła dom - Peter słyszał o licznych małżeństwach byłej pani Preyscott - aż trudno było uwierzyć, że nie zrobiono niczego, aby zapewnić Marshy bezpieczeństwo. Gdybym był jej ojcem, pomyślał... Albo bratem...

Rozmyślania przerwała mu Flora Yates, jego piegowata, skromna sekretarka. Krótkie palce, którymi potrafiła szybciej niż ktokolwiek inny stukać w klawisze maszyny do pisania, ścisnęły plik telefonogramów. Wskazał je i zapytał:

- Czy jest coś pilnego?

- Kilka spraw. Ale mogą poczekać do popołudnia.

- Niech więc czekają. Prosiłem, żeby biuro płatnika przysłało mi rachunek za pokój 1126-7. Był wynajęty na nazwisko Stanleya Dixona.

- Mam go tutaj. - Flora wzięła jedną z teczek leżących na jego biurku. - Jest również wycena zniszczeń w apartamencie zrobiona przez nasz warsztat stolarski. Spięłam je razem.

Przejrzał oba dokumenty. Rachunek, w którym kilkakrotnie pojawiała się również pozycja „obsługa w pokoju”, opiewał na sumę siedemdziesięciu pięciu dolarów, natomiast wycena warsztatu stolarskiego wynosiła sto dziesięć dolarów. Peter wskazał rachunek i powiedział:

- Znajdź mi numer telefonu. Tutaj masz adres. Przypuszczam, że będzie na jego ojca.

Na biurku leżała złożona gazeta. Jeszcze nie zdążył jej przeczytać. Był to poranny „Times-Picayune”. Kiedy Flora wyszła, otworzył pismo i jego wzrok padł na wielkie, czarne litery nagłówka. Wypadek drogowy z ubiegłej nocy okazał się podwójną tragedią, gdyż matka

zabitego dziecka zmarła wcześniej rano w szpitalu. Peter przeczytał artykuł. Był właściwie powtórzeniem relacji policjanta, który ich zatrzymał ubiegłej nocy. Chwilowo, stwierdzał dalej autor artykułu, nie ma wyraźnych poszlak, które pozwoliłyby zidentyfikować pojazd lub jego kierowcę. Policja jednak przywiązuje duże znaczenie do zeznań nie wymienionego z nazwiska świadka. Stwierdził on, że widział opuszczający miejsce wypadku „niski, czarny samochód, który jechał bardzo szybko”. Policja miejska oraz stanowa, dodawał „Times-Picayune”, prowadzą na terenie całego stanu ściśle skoordynowane poszukiwania auta noszącego zapewne ślady uszkodzeń i odpowiadającego powyższemu opisowi.

Peter był ciekaw, czy Christine czytała gazetę. Artykuł wywarł na nim tak wielkie wrażenie chyba dlatego, że przez krótką chwilę oboje znajdowali się w miejscu tragedii.

Powrót Flory z numerem telefonu, o który ją poprosił, sprawił, że Peter zaczął myśleć o bardziej aktualnych sprawach.

Odłożył gazetę i sam zadzwonił z bezpośredniego telefonu. Odezwał się niski, męski głos:

- Rezydencja państwa Dixonów.
- Chciałbym mówić z panem Stanleyem Dixonem. Czy jest w domu?
- Czy mogę wiedzieć, z kim mówię, proszę pana?

Peter podał swoje nazwisko i dodał:

- Z hotelu St. Gregory.

W ciszy, która zapadła w słuchawce rozległ się odgłos nieśpiesznych kroków. Najpierw oddaliły się, a potem powróciły w tym samym tempie.

- Bardzo mi przykro, proszę pana, ale pan Dixon junior jest w tej chwili nieosiągalny.
- Mam więc dla niego wiadomość. - Peter z premedytacją nadał swojemu głosowi ostre brzmienie. - Proszę mu powiedzieć, że jeśli nie podejdzie do telefonu, zadzwonię bezpośrednio do jego ojca.

- Być może, gdyby pan to zrobił...
- Niech mu pan powtórzy, co powiedziałem.

Wahanie rozmówcy było nieomal słyszalne. Zgodził się wreszcie:

- Tak jest, proszę pana.

I odgłos oddalających się kroków.

W słuchawce rozległo się szczęknięcie i odezwał się opryskliwy głos.

- Tu Stan Dixon. O co ten cały szum?
- Szum dotyczy wydarzeń ubiegłej nocy - rzucił ostrym tonem Peter. - Czy dziwi to pana?

- Kim pan jest?

Peter powtórzył swoje nazwisko i dodał:

- Rozmawiałem z panną Preyscott. A teraz chciałbym pomówić z panem.

- Więc niech pan mówi - odparł Dixon. - Masz pan, czego chciałeś.

- Nie przez telefon. W hotelu, u mnie w gabinecie. - W słuchawce rozległ się okrzyk, który Peter puścił mimo uszu. - Jutro o czwartej z pozostałymi trzema. Niech ich pan przyprowadzi.

Odpowiedź była szybka i stanowcza.

- Jeszcze czego! Kimkolwiek pan jesteś, cwaniaku, jesteś zwykłym hotelowym urzędasem i nie będziesz mi rozkazywać. I lepiej uważaj na zakrętach, bo mój stary zna Warrena Trenta.

- Jeżeli chce pan wiedzieć, właśnie omawiałem tę sprawę z panem Trentem. Dał mi całkowicie wolną rękę w jej załatwieniu, w tym również prawo decyzji, czy złożymy zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Powiem mu jednak, że woli pan, abyśmy załatwili tę sprawę z pańskim ojcem. Podejmiemy więc takie właśnie kroki.

- Chwileczkę! - Peter usłyszał ciężki oddech, a potem głos, który nie brzmiał już tak wojowniczo jak przed chwilą. - Mam wykłady jutro czwartej.

- To niech się pan zwolni - odparł McDermott - i dopilnuje, żeby pozostali zrobili to samo. Mój gabinet znajduje się na głównej antresoli. Proszę pamiętać - punktualnie o czwartej.

Kiedy odłożył słuchawkę, zorientował się, że z niecierpliwością oczekuje na jutrzejsze spotkanie.

8.

Wokół łóżka księżnej Croydonu leżały rozrzucone w nieładzie kartki porannej gazety. Księżna przeczytała dokładnie prawie wszystkie doniesienia i teraz na wpół leżała, oparta na poduszkach. Myślała gorączkowo. Uświadomiła sobie, że nigdy dotąd jej inteligencja i pomysłowość nie były aż tak bardzo potrzebne.

Na stoliku przy łóżku stała taca z resztkami jedzenia. Nawet w sytuacjach krytycznych księżna miała zwyczaj jeść solidne śniadania. Był to zwyczaj wywodzący się jeszcze z dzieciństwa spędzonego w posiadłości rodzinnej w Fallingbrook Abbey. Podawane tam śniadania były obfite, składały się z kilku dań i często jedzono je po szybkiej, konnej jeździe.

Księżę, który jadł sam w saloniku, przed paroma chwilami wrócił do sypialni.

Również gorączkowo przeczytał gazetę, gdy tylko przyniesiono ją do apartamentu. Teraz, ubrany w pizamę i szkarłatny szlafrok ściągnięty paskiem, niespokojnie krążył po pokoju. Od czasu do czasu przeciągał dłonią po wciąż potarganych włosach.

- Na litość boską, przestań się miotać! - W głosie jego żony słychać było napięcie, które czuli oboje. - Nie mogę zebrać myśli, gdy paradujesz tu jak ogier w Ascot.

Odwrócił się. W świetle poranka widać było jego pobrużdżoną i pełną rozpaczony twarz.

- Co dobrego wyjdzie z twojego myślenia? Nic się nie zmieni.

- Myślenie zawsze pomaga... zwłaszcza jeżeli myśli się odpowiednio dużo i we właściwy sposób. Dlatego niektórzy odnoszą jakieś sukcesy, a inni nie.

Ponownie przeciągnął dłonią po włosach.

- Sytuacja wcale nie wygląda lepiej niż ubiegłej nocy.

- Ale przynajmniej nie jest gorsza - stwierdziła księżna rzeczowo. - Choćby za to możemy być wdzięczni. Wciąż jeszcze jesteśmy tutaj... i nic się nie dzieje.

Pokręcił zmęczony głową. Niewiele spał tej nocy.

- A w czym to może pomóc?

- Według mnie, chodzi tu o czas. Czas działa na naszą korzyść. Im dłużej będziemy czekali i nic się nie zdarzy... - Przerwała i po chwili znowu zaczęła mówić, wolno, jakby myśląc na głos. - Musimy koniecznie zwrócić w jakiś sposób na ciebie uwagę. Do tego stopnia, że wszystko inne będzie się wydawało tak nieprawdopodobne, że nawet nie zostanie wzięte pod uwagę.

Jakby realizując jakąś nie sformułowaną na głos umowę, żadne z nich nie wspomniało o kłótni z ubiegłej nocy.

Księżę znowu zaczął krążyć po pokoju.

- Taki efekt mogłoby wyrzucić jedynie potwierdzenie mianowania mnie ambasadorem w Waszyngtonie.

- Właśnie.

- Ale nie możesz tego przyspieszyć. Jeżeli Hal poczuje, że się go naciska, urządzi piekło na Downing Street. Cała ta sprawa jest cholernie delikatna...

- Będzie jeszcze bardziej, jeżeli...

- Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy?! Czy sądzisz, że nie zastanawiałem się nad tym, czy nie powinniśmy się zgłosić?

W głosie księcia Croydonu brzmiała histeria. Dygocącymi rękami zapalił papierosa.

- Nie zgłosimy się! - W przeciwieństwie do męża, księżna Croydonu mówiła suchym, rzeczowym tonem. - Nawet premier ulegnie naciskom, jeżeli będą pochodziły z właściwej

strony. Hal nie jest wyjątkiem. Mam zamiar zadzwonić do Londynu.

- Po co?

- Porozmawiam z Geoffreyem. Poproszę go o przyśpieszenie twojej nominacji.

Księżę pokręcił z powątpiewaniem głową, ale nie odrzucił pomysłu. W przeszłości niejednokrotnie przekonał się, jakimi niezwykłymi wpływami dysponuje rodzina jego żony. Jednocześnie ostrzegł ją:

- Możemy sami sobie zaszkodzić.

- Niekoniecznie. Jeżeli Geoffrey zechce, potrafi bardzo dobrze nacisnąć. A poza tym, jeżeli będziemy tu tylko siedzieli i czekali, sytuacja może się jeszcze bardziej pogorszyć.

Księżna wprowadziła słowa w czyn. Podniosła słuchawkę aparatu stojącego przy jej łóżku i poleciła telefonistce z centrali:

- Zamawiam rozmowę z Londynem. Chcę mówić z lordem Selwynem. - Podała numer w Mayfair.

Połączono ją po dwudziestu minutach. Kiedy księżna Croydonu wyjaśniła powód swego telefonu, jej brat, lord Selwyn, nie przejawiał szczególnego entuzjazmu. Księżę, który stał w drugim końcu sypialni, słyszał jak szwagier protestuje swoim niskim głosem, wprawiając w drżenie membranę słuchawki.

- Słowo daję, siostrzyczko, przecież w ten sposób poruszysz gniazdo szerszeni. I w końcu, dlaczego miałbym to zrobić? Poza tym muszę ci powiedzieć, że nominacja Simona na ambasadora w Waszyngtonie stoi obecnie pod cholernie dużym znakiem zapytania. Niektórzy członkowie gabinetu mają wrażenie, że się nie nadaje na to stanowisko. Nie mówię, iż podzielam ich zdanie, ale w końcu nie można udawać, że się tego nie widzi, prawda?

- Jeżeli pozwolimy, aby sprawa biegła zwykłym trybem, to jak szybko może zapaść decyzja?

- Trudno stwierdzić cokolwiek na pewno, moja droga. Z tego co wiem, przypuszczam, że w ciągu kilku tygodni.

- Przecież nie możemy czekać tygodniami - nalegała księżna. - Uwierz mi na słowo, Geoffreyu. To będzie koszmarny błąd, jeżeli natychmiast nie przyśpieszy się biegu wydarzeń.

- Nie jestem o tym przekonany. - Głos z Londynu był wyraźnie poirytowany.

- Proszę cię o to nie tylko dla naszego dobra, ale i ze względu na interes całej rodziny - oświadczyła księżna zdecydowanie ostrzejszym tonem. - Zapewniam cię o tym.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, a potem padło pytanie..

- Czy Simon jest z tobą?

- Tak.

- Co się za tym wszystkim kryje? O co mu chodzi?

- Nawet gdyby istniała na to odpowiedź - stwierdziła księżna Croydonu - na pewno nie byłabym aż tak szalona, żeby mówić o tym przez publiczny telefon.

Znowu zapadła cisza, a potem niechętnie stwierdzenie:

- No cóż, zazwyczaj wiesz, co robisz. Poruszę tę sprawę.

Księżna dostrzegła skierowany na siebie wzrok męża. Skinęła ledwo zauważalnie głową, po czym znowu zapytała brata:

- Czy mam przez to rozumieć, że nam pomożesz?

- Cała sprawa mi się nie podoba, siostrzyczko. Mimo wszystko to mi się nie podoba...
No dobrze - dodał. - Zrobię, co będę mógł.

Wymienili jeszcze kilka słów i pożegnali się.

Kiedy tylko odłożyła słuchawkę, aparat przy łóżku zadzwonił ponownie. Oboje Croydonowie drgnęli, księżę nerwowo oblizwał wargi. Jego żona odebrała telefon.

- Tak?

Nosowy, beznamiętny głos zapytał:

- Księżna Croydonu?

- Przy telefonie. Słucham?

- Mówi Ogilvie. Główny detektyw hotelowy.

W słuchawce przez chwilę słychać było tylko ciężki oddech. Sprawiało to wrażenie, jakby rozmówca chciał w ten sposób podkreślić znaczenie swoich słów.

Księżna czekała. Gdy nie usłyszała już nic więcej, zapytała sarkastycznie:

- Czegóż pan sobie życzy?

- Prywatnej rozmowy. Z pani mężem i panią.

Było to proste, beznamiętne stwierdzenie faktu, przekazane takim samym, nosowym głosem.

- Jeżeli w związku z jakąś sprawą hotelową, to sądzę, że pomylił pan adres. Jesteśmy przyzwyczajeni do załatwiania wszelkich spraw bezpośrednio z panem Trentem.

- Jeżeli postąpią tak państwo i tym razem, na pewno tego pożałują.

W zimnym, beczelnym głosie brzmiała niezachwiana pewność siebie.

Księżna zawahała się. Nagle uświadomiła sobie, że drżą jej ręce.

Zdobyła się jednak na odpowiedź:

- W tej chwili niezbyt nam to odpowiada.

- Kiedy? - Znowu chwila ciszy, przerywanej ciężkim oddechem. Uświadomiła sobie, że bez względu na to, czego ten człowiek chce, albo co wie, jest mistrzem w utrzymywaniu

psychologicznej przewagi.

- Może później - odparła.

- Będę za godzinę. - Brzmiało to jak oświadczenie, nie zaś pytanie.

- Może nas nie...

Odgłos odkładanej słuchawki przerwał w pół zdania jej protest.

- Kto to był? Czego chcieli?

Książę podszedł nerwowo. Jego szczupła twarz wydawała się jeszcze bledsza niż zazwyczaj.

Księżna na chwilę zamknęła oczy. Rozpaczliwie zapragnęła uwolnić się od roli tej, która przewodzi i bierze na siebie odpowiedzialność za ich oboje. Miała już dość podejmowania ważnych decyzji. Zdawała sobie jednak sprawę, że to próżna nadzieja. Kiedy człowiek rodzi się z najsilniejszym charakterem w całym otoczeniu, nie ma przed tym ucieczki. Choć w jej rodzinie silny charakter był czymś zwyczajnym, wszyscy spoglądali instynktownie w jej stronę, poddawali się jej woli i słuchali jej rad. Nawet Geoffrey, naprawdę zdolny i uparty, zawsze w końcu postępował według jej sugestii, tak jak i teraz. Chwila słabości przeszła, księżna wróciła do rzeczywistości. Otworzyła oczy.

- Dzwonił detektyw hotelowy. Oznajmił, że przyjdzie za godzinę.

- W takim razie wie! Na litość boską, on wie!

- Najwyraźniej o coś mu chodzi. Nie powiedział, o co.

Niespodziewanie książę Croydonu wyprostował się i podniósł głowę.

Ręce przestały mu drżeć, usta zacisnęły się mocniej. Była to identyczna, gwałtowna przemiana, jaką zademonstrował ubiegłej nocy.

- Może będzie lepiej, jeżeli pójdę, choćby teraz... Jeżeli się przyznam...

- Nie! Stanowczo i zdecydowanie, nie! - Oczy jego żony błysnęły.

- Zrozum jedno. Niczego nie jesteś już w stanie naprawić.

Na chwilę zapadła cisza, a potem księżna powiedziała ponurym tonem:

- Nie będziemy niczego robili. Poczekamy, aż ten człowiek przyjdzie i zorientujemy się, co wie i zamierza.

Przez chwilę książę sprawiał wrażenie, że chce zaprotestować. Potem najwidoczniej zmienił zdanie i skinął głową. Otulił się mocniej szkarłatnym szlafrokiem i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Gdy wrócił po kilku minutach, niósł dwie szklaneczki szkockiej bez wody. Podał jedną żonie.

- Przecież wiesz, że to za wcześnie... - obruszyła się.

- Mniejsza o to. Potrzebujesz tego.

Wcisnął jej szklaneczkę do ręki z troskliwością, do której nie była przyzwyczajona.

Zaskoczona, podniosła posłusznie whisky do ust i wypła. Nie rozcieńczony alkohol zapiekł w gardle, odbierając jej na chwilę oddech, ale w chwilę później poczuła, że ogarnia ją tak pożądane ciepło.

9.

- Cokolwiek to jest, nie może być aż tak złe.

Christine Francis siedziała przy swoim biurku w sekretariacie dyrektora naczelnego i ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na trzymany w ręku list. Podniosła głowę i ujrzała wesołą twarz Petera McDermotta zaglądającego do pokoju.

Rozpromieniła się na jego widok i odpowiedziała:

- Kolejne ciosy i strzały. Ale skoro dręczy nas ich już tyle, co znaczy jeszcze jeden?

- To mi się podoba.

Wysoka postać Petera wsunęła się przez uchylone drzwi. Christine spojrzała na niego z uznaniem.

- Wyglądasz na zupełnie nieźle rozbudzonego, jak na kogoś, kto tak mało spał tej nocy.

- Miałem poranną konferencję z twoim szefem. - Uśmiechnął się szeroko. - Skutek taki sam jak po zimnym prysznicu. Czy zszedł już na dół?

Pokręciła głową, a potem znowu spojrzała na list.

- Kiedy się tu pojawi, na pewno nie będzie tym uszczęśliwiony.

- Czy to tajemnica?

- Niezupełnie. Jak sądzę, dotyczy również i ciebie.

Peter usiadł w skórzanym fotelu stojącym przed biurkiem.

- Pamiętasz? Miesiąc temu - zaczęła Christine - mężczyzna, który szedł po Carondelet Street został trafiony spadającą butelką. Miał poważnie poranioną głowę.

Peter skinął głową.

- Paskudna sprawa! Butelka niewątpliwie została wyrzucona z jednego z naszych pokojów. Nie zdołaliśmy jednak ustalić, który z gości jest winny.

- Jakim człowiekiem był ten poszkodowany?

- O ile dobrze sobie przypominam, miłym, niedużym facetem. Rozmawiałem z nim później i opłaciliśmy mu koszty leczenia szpitalnego. Nasi prawnicy napisali pismo, w którym wyraźnie stwierdzono, że jest to gest dobrej woli, nie zaś uznanie naszej

odpowiedzialności.

- Dobra wola nie wystarczyła. Zaskarżył hotel o odszkodowanie w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Za wstrząs psychiczny, uszkodzenie ciała, utratę zarobków. Innymi słowy obciąża nas odpowiedzialnością za wypadek spowodowany naszą niedbałością.

- Nic nie dostanie - stwierdził stanowczo McDermott. - Chociaż muszę przyznać, że w jakiś sposób jest to niesprawiedliwe. Ale nie ma najmniejszej szansy.

- Skąd masz tę pewność?

- Ponieważ odbyło się już sporo procesów dotyczących podobnych spraw. obrońcy dysponują więc mnóstwem najrozmaitszych precedensów, na które mogą powoływać się w czasie procesu.

- I mogą mieć wpływ na decyzję sądu?

- Najczęściej tak - zapewnił ją. - W ciągu minionych lat orzecznictwo było właściwie jednakowe. Na przykład, istnieje klasyczny przypadek z Pittsburgha... sprawa dotyczy hotelu William Penn. Mężczyzna został trafiony butelką wyrzuconą z okna pokoju hotelowego. Przebiła dach jego samochodu i zraniła go. Wytoczył proces hotelowi.

- I nie wygrał?

- Nie. Przegrał w niższej instancji i apelował do Sądu Najwyższego stanu Pensylwania. Apelacja została oddalona.

- Dlaczego?

- Sąd w uzasadnieniu wyroku stwierdził, że hotel... jakkolwiek hotel... nie ponosi odpowiedzialności za poczynania swoich gości. Jedynym wyjątkiem może być sytuacja, w której ktoś z administracji, powiedzmy dyrektor hotelu, wiedział wcześniej, co ma się zdarzyć, ale nie zapobiegł temu. Był też inny przypadek - ciągnął z namysłem Peter. - Chyba w Kansas City. Kilku uczestników zjazdu wyrzucało ze swoich pokoi wypełnione wodą torby na brudną bieliznę. Ludzie na chodnikach zaczęli uciekać, chcąc uniknąć zmożenia i jedna z osób została wepchnięta pod przejeżdżający samochód. Doznała poważnych obrażeń. Później procesowała się z hotelem, ale również nic nie wskórała. Było sporo decyzji w innych sprawach i wszystkie zakończyły się podobnie.

- Skąd tyle o tym wiesz? - zapytała ze zdziwieniem Christine.

- W Cornell studiowałem między innymi prawne aspekty hotelarstwa.

- No cóż. Nie uważam takiego rozwiązania za specjalnie sprawiedliwe.

- Z punktu widzenia poszkodowanego, na pewno. Ale dla hotelu jest to korzystne. Oczywiście, powinno się pociągać do odpowiedzialności ludzi, którzy spowodowali wypadek. Problem polega jednak na tym, że przy tylu pokojach z oknami wychodzącymi na

ulicę, właściwie nie sposób ustalić tożsamość sprawcy. Najczęściej są więc bezkarni.

Christine słuchała uważnie. Oparła łokieć o blat biurka i podpierała brodę dłonią. Promienie słoneczne, padające przez uchylone żaluzje spoczęły na rudych włosach dziewczyny i rozświetliły je nagle. Na chwilę zamyśliła się marszcząc czoło i Peter poczuł, że ma ochotę wyciągnąć rękę i wygładzić je delikatnie.

- Wyjaśnijmy coś - powiedziała. - Jednym słowem, hotel nie ponosi odpowiedzialności prawnej za to, co jego goście mogą zrobić? Nawet innym gościom?

- W odniesieniu do spraw, o których mówimy, na pewno nie. Prawo od dawna stwierdza bardzo wyraźnie ów fakt. W gruncie rzeczy, wiele naszych przepisów prawnych wywodzi się z czternastego wieku i angielskich gospód.

- Opowiedz mi o tym.

- Podam ci skróconą wersję. Zaczęło się to w czasach, kiedy gospody w Anglii posiadały jedną wielką salę, ogrzaną i oświetloną, w której wszyscy spali. Wtedy obowiązkiem gospodarza było chronić wszystkich nocujących przed złodziejami i mordercami.

- Brzmi sensownie.

- I było. Obowiązki gospodarza pozostały nie zmienione nawet wtedy, kiedy zaczęto korzystać z kilku mniejszych komnat, ponieważ również i wtedy zawsze były, albo mogły być użytkowane wspólnie przez całkowicie obce sobie osoby.

- Wygląda na to - mruknęła Christine - że w tych czasach nie przywiązywano specjalnego znaczenia do prywatności.

- Sytuacja zmieniła się, kiedy zaczęto używać pojedynczych pokoi, a goście mieli do nich klucze. Wtedy prawo zaczęło dostosowywać się do nowych warunków. Na właścicielu gospody spoczywał obowiązek zabezpieczenia pokoi przed ewentualnym włamaniem. W dalszym ciągu nie ponosił jednak odpowiedzialności ani za to, co dzieje się z gośćmi w ich pokojach, ani za ich zachowanie tam.

- A więc posiadanie klucza wszystko zmieniło?

- Stan ten obowiązuje do chwili obecnej - potwierdził Peter. - Pod tym względem nic nie uległo zmianie. Gdy dajemy gościowi klucz, czynimy symboliczny gest o prawnym znaczeniu, podobnie jak to się działo w angielskich gospodach. Oznacza to bowiem, że hotel nie może już korzystać z tego pokoju, ani ulokować w nim nikogo innego. Z drugiej strony, hotel nie ponosi już odpowiedzialności za gościa, który zamknął za sobą drzwi pokoju. - Wskazał list, który trzymała Christine. - I dlatego nasz przyjaciel z ulicy musiałby ustalić, kto spuścił na niego tę butelkę. W przeciwnym razie, ma pecha.

- Nie wiedziałam, że dysponujesz tak encyklopedyczną wiedzą.

- Nie chciałem, żeby zabrzmiało to w ten sposób - odparł Peter z uśmiechem. - Wydaje mi się, że W.T. sam doskonale zna prawo, ale jeżeli chciałby dysponować listą precedensów, mogę ją odnaleźć.

- Pewnie będzie zadowolony. Dołączę do listu notatkę. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Lubisz to, prawda? Zarządzanie hotelem i wszystko, co się z tym łączy.

- Tak, lubię - odpowiedział szczerze. - Chociaż lubiłbym to jeszcze bardziej, gdybym mógł zmienić tu parę rzeczy. Może gdybyśmy wprowadzili te zmiany wcześniej, nie potrzebowalibyśmy obecnie Curtisa O'Keefego. A skoro o tym mowa, zapewne wiesz, że się już pojawił.

- Jesteś siedemnastą osobą informującą mnie o tym. Przypuszczam, że telefon zaczął dzwonić od chwili, gdy O'Keefe stanął na trotuarze przed hotelem.

- Nic dziwnego. Wiele osób zastanawia się dlaczego tu przyjechał. Albo raczej, kiedy nam o tym oficjalnie powiedzą.

- Załatwiłam na dzisiaj wieczór prywatny obiad w apartamentach W.T. - oznajmiła Christine. - Dla pana O'Keefego i jego przyjaciółki. Widziałeś ją? Słyszałam, że jest zupełnie wyjątkowa.

Pokręcił głową.

- Bardziej mnie interesują moje własne plany obiadowe. Dotyczą również ciebie i dlatego tu jestem.

- Jeżeli zapraszasz mnie na wieczór, to jestem wolna i głodna.

- Doskonale! - Zerwał się z fotela. - Przyjadę po ciebie o siódmej. Do mieszkania.

Peter wychodził, kiedy jego wzrok padł na leżący na stoliku przy drzwiach złożony egzemplarz „Times-Picayune”. Zatrzymał się i zobaczył to samo wydanie - z czarnymi nagłówkami artykułu na temat wypadku drogowego - które sam wcześniej przeglądał.

- Przypuszczam, że już czytałaś? - zapytał ponuro.

- Tak. To straszne, prawda? Kiedy to czytałam, wydawało mi się, że widzę całe zdarzenie. Pewnie dlatego, że ubiegłej nocy przejeżdżaliśmy tamtędy.

Spojrzał na nią dziwnie.

- Ciekawe, że tak właśnie myślisz. Ja również odniosłem takie wrażenie. Dręczyłem się tym ubiegłej nocy, a także dzisiaj rano.

- Jakie wrażenie?

- Nie jestem pewien. Wydaje mi się, jakbym coś wiedział, ale jednak nie wiem, co. - Peter wzruszył ramionami. - Masz rację. Wszystko dlatego, że przejeżdżaliśmy tamtędy.

Odłożył gazetę na miejsce. Wychodząc odwrócił się w drzwiach i pomachał do niej z uśmiechem.

Christine często się zdarzało, że zamiast iść na lunch zlecała obsłudze pokoiów, aby przynoszono jej do gabinetu kanapkę i kawę. Zrobiła tak i tym razem. Gdy jadła przy biurku, zjawił się Warren Trent. Zatrzymał się jednak tylko na chwilę, przeczytał pocztę, a potem wyruszył na jedną ze swoich wędrówek po hotelu, które, jak Christine dobrze wiedziała, potrafiły trwać godzinami. Z troską spostrzegła napięcie widoczne na twarzy właściciela hotelu oraz jego sztywny chód - wyraźne świadectwo bólu, którego źródłem była rwa kulszowa.

O wpół do trzeciej Christine zostawiła wiadomość u jednej z sekretarek i poszła odwiedzić Alberta Wellsa.

Wjechała windą na czternaste piętro. Gdy szła długim korytarzem, zobaczyła zmierzającą ku niej krępa postać. Był to Sam Jakubiec, kierownik działu rozliczeń. Gdy podszedł nieco bliżej, zauważyła, że kierownik działu rozliczeń ma kwaśną minę i trzyma w dłoni kawałek papieru.

Zobaczył Christine i stanął.

- Byłem z wizytą u pani chorego przyjaciela, pana Wellsa.

- Jeżeli wyglądał pan tak jak w obecnej chwili, to chyba niezbyt podniósł go pan na duchu.

- Prawdę mówiąc - stwierdził Jakubiec - on mnie również niezbyt pocieszył. Wydostałem od niego coś takiego, ale Bóg raczy wiedzieć, ile to warte.

Christine wzięła podany jej przez Jakubca przybrudzony arkusz z papeterii hotelowej, dodatkowo ozdobiony w rogu tłustą plamą. Albert Wells wypisał na nim szerokimi, kanciastymi literami zlecenie dla banku w Montrealu wypłaty dwustu dolarów.

- Na swój cichy i spokojny sposób - stwierdził Jakubiec - jest z niego kawał starego uparciucha. Początkowo nie chciał mi nic dać. Powiedział, że zapłaci swój rachunek, kiedy go otrzyma i nie wydawał się być zainteresowany propozycją ewentualnej krótkiej prolongaty płatności.

- Ludzie są czuli na punkcie pieniędzy - oznajmiła Christine. - Szczególnie, jeżeli mają ich niewiele.

Jakubiec skrzywił się ze zniecierpliwieniem.

- Do licha! Przecież większość z nas nie ma ich za dużo. Ja na pewno. Ale ludzie wstydzą się przyznać, że mają kłopoty, gdy tymczasem niejednokrotnie można by im pomóc.

Christine z powątpiewaniem spojrzała na prowizoryczny czek.

- Czy jest prawomocny?

- Oczywiście, że tak, jeżeli na koncie w banku są jakieś pieniądze. Jeżeli ktoś ma taką ochotę, może wypisać czek na papierze nutowym albo skórcie od banana. Ale większość ludzi, z pieniędzmi na koncie, przynajmniej posiada druki czeków. Pani przyjaciel stwierdził, że nie może żadnego znaleźć.

Kiedy Christine oddawała mu kartkę, Jakubiec powiedział:

- Wie pani, co przypuszczam? Przypuszczam, że jest uczciwy i dysponuje pieniędzmi. Ale ma ich dokładnie tyle, ile trzeba i wpakuje się w kabałę wydając je. Kłopot polega na tym, że jego zadłużenie przekracza już sto dolarów, a honorarium za opiekę pielęgniarską wkrótce pożre całą resztę.

- Co ma pan zamiar zrobić?

Kierownik działu rozliczeń potarł dłonią łysinę.

- Przede wszystkim mam zamiar zainwestować w telefon do Montrealu i dowiedzieć się od nich, czy czek w ogóle ma pokrycie.

- A jeżeli nie ma, Sam?

- Będzie musiał się wyprowadzić. Przynajmniej takie jest moje zdanie. Oczywiście, jeżeli zechce pani poinformować pana Trenta i postanowi on coś innego - Jakubiec wzruszył ramionami - wtedy sprawa będzie wyglądać zupełnie inaczej.

Christine pokręciła głową.

- Nie chcę zawracać tym głowy W.T. Ale będę wdzięczna, jeżeli przed podjęciem jakichś kroków porozumie się pan ze mną.

- Z przyjemnością, panno Francis.

Jakubiec skinął głową i drobnym, energicznym krokiem ruszył dalej korytarzem.

Chwilę później Christine zastukała do drzwi pokoju 1410.

Otworzyła je ubrana w fartuch pielęgniarka w średnim wieku. Miała poważną minę i okulary w grubej, rogowej oprawie. Christine przedstawiła się i usłyszała w odpowiedzi:

- Proszę poczekać. Dowiem się, czy pan Wells zechce panią przyjąć.

Z wnętrza pokoju dobiegł stanowczy głos:

- Oczywiście, że zechcę się z nią zobaczyć. Niech jej pani nie każe czekać.

Gdy pielęgniarka powróciła do przedpokoju, Christine zaproponowała:

- Gdyby pani chciała wyskoczyć na parę minut, mogłabym poczekać do pani powrotu.

- No cóż... - Starsza kobieta zawahała się, łagodniejąc nieco.

Głos z pokoju zawołał:

- Niech pani idzie. Panna Francis wie, jak się mną zająć. Gdyby nie ona, ubiegłej nocy

wyciągnąłbym już nogi.

- Dobrze - odparła pielęgniarka. - Wyjdę tylko na dziesięć minut, a gdyby mnie pan potrzebował, proszę zadzwonić do kawiarni.

Albert Wells rozpromienił się na widok wchodzącej Christine. Drobny mężczyzna leżał oparty o wysoko spiętrzone poduszki. Jego szczupła postać spowita w czystą, staroświecką nocną koszulę, wciąż przypominała wróbla. Dzisiaj jednak był pełen życia, a nie rozpaczliwie chory jak ubiegłej nocy. Twarz wciąż miał bladą, ale zniknął już ów szary odcień. Czasami oddychał jeszcze z lekkim poświstem, ale już regularnie i bez wyraźnego wysiłku.

- To miłe, że przyszła mnie pani odwiedzić.

- Chciałam zorientować się, jak się pan czuje - wyjaśniła Christine.

- Dzięki pani, o wiele lepiej. - Wskazał ręką drzwi, za którymi zniknęła pielęgniarka. - Ale ona pilnuje mnie jak żandarm.

- Mam jednak wrażenie, że dobrze się panem opiekuje. Christine z aprobatą rozejrzała się po pokoju. Wszystko, co w nim się znajdowało, w tym również osobiste przedmioty starszego pana, było starannie ułożone. Tacka z lekarstwami znajdowała się pod ręką na stoliku koło łóżka. Butla tlenowa, z której korzystano ubiegłej nocy, ciągle stała w pokoju, ale zaimprovizowana maska została już zastąpiona przez normalną.

- Och, rzeczywiście ta kobieta zna się na rzeczy - przyznał Albert Wells. - Ale następnym razem wolałbym ładniejszą.

Christine uśmiechnęła się.

- Widzę, że naprawdę czuje się pan lepiej.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna opowiedzieć mu o swojej rozmowie z Samem Jakubcem, ale uznała, że nie wspomni o tym.

- Ubiegłej nocy powiedział pan, że te ataki zaczęły się, kiedy był pan górnikiem, prawda?

- No tak, od zapalenia oskrzeli.

- Długo był pan górnikiem, panie Wells?

- Dłużej niż chciałbym o tym pamiętać, panienko. Ale zawsze jest coś, co mi o tym przypomina... jak nie oskrzela, to chociażby ręce...

Wyciągnął je i położył przed sobą, odwracając grzbietami ku górze. Zobaczyła, że są zniekształcone i pełne odcisków spowodowanych wieloletnią, fizyczną pracą.

Odruchowo dotknęła jego dłoni.

- To jest coś, z czego może być pan dumny. Chciałabym, aby mi pan opowiedział o

tym, co pan robił.

Pokręcił głową.

- Może kiedyś, kiedy będzie pani miała dużo wolnego czasu i dużo cierpliwości. Najczęściej jednak są to opowieści staruszka, a staruszkowie potrafią zanudzić na śmierć, jeżeli da się im sposobność.

Christine usiadła na krześle przy łóżku.

- Jestem cierpliwa i nie wierzę, że może pan być nudny.

Zachichotał cicho.

- Jest parę osób w Montrealu, które wcale by się z panią nie zgodziły.

- Często zastanawiałam się, jak wygląda Montreal. Nigdy tam nie byłam.

- Takie pomieszane miejsce. Na swój sposób bardzo przypomina Nowy Orlean.

- Czy dlatego przyjeżdża tu pan co roku? - spytała z zaciekawieniem. - Dlatego, że są takie podobne?

Starszy pan zastanawiał się przez chwilę, wtulając swe kościste ramiona w poduszki.

- Nigdy o tym nie myślałem, panienko. Myślę, że lubię tu przyjeżdżać, bo lubię staroświeckie rzeczy, a niewiele miejsc pozostawiono w takim stanie, w jakim były. Jak na przykład ten hotel. Trochę się w niektórych miejscach sypie... dobrze pani o tym wie. Ale przede wszystkim jest przytulny i to w najlepszym znaczeniu tego słowa. Nienawidzę hoteli należących do sieci. Wszystkie są takie same, gładkie i lśniące, ale ma się uczucie, że mieszka się w fabryce.

Christine zawahała się, ale uznawszy, że wydarzenia dnia nie wymagają już zachowania tajemnicy, powiedziała mu:

- Mam dla pana wiadomość, która pewnie się panu nie spodoba. Obawiam się, że St. Gregory może niedługo stać się częścią sieci.

- Jeżeli tak się stanie, będzie mi żal - odparł Albert Wells. - Z drugiej strony, zdaję sobie jednak sprawę, że macie kłopoty finansowe.

- Skąd pan wie?

Starszy mężczyzna myślał przez chwilę.

- Kiedy byłem tu ostatnio, zorientowałem się, że zaczynacie mieć trudności. A jakie teraz są problemy? Bank przykręca wam śrubę, macie kłopoty z długiem hipotecznym, czy coś w tym rodzaju?

Dość zaskakujące obserwacje jak na starego górnika, pomyślała Christine, zwłaszcza to jego instynktowne wyczucie prawdy. Uśmiechnęła się.

- Chyba powiedziałam już zbyt dużo. Ale z całą pewnością i tak pan się dowie, że dziś

rano przyjechał Curtis O'Keefe.

- O nie! Tylko nie on! - Na twarzy Alberta Wellsa pojawił się wyraz szczerego zatroskania. - Jeżeli położy łapy na tym hotelu, zrobi z niego kopię wszystkich swoich hoteli. Przerobi go na fabrykę. Ten hotel wymaga zmian, ale nie takich.

- Jakiego rodzaju zmian, panie Wells? - zapytała z zainteresowaniem Christine.

- Dobry hotelarz lepiej by to pani wyjaśnił niż ja, ale mam kilka pomysłów. Wiem jedno, panienko... publika zawsze daje się złapać na jakiś lep. Teraz chcą mieć wokół siebie gładki chrom i wszystko jednakowe. Ale za jakiś czas znudzą się tym i zechcą wrócić do dawnych rzeczy... takich jak prawdziwa gościnność, trochę indywidualności i atmosfery. Coś, co nie przypomina tego, co widzieli już w pięćdziesięciu miastach i zobaczą w pięćdziesięciu następnych. Kłopot polega jednak na tym, że zanim zdążą sobie ten fakt uświadomić, większość dobrych hoteli - być może również i wasz - zniknie. - Przerwał na chwilę, a potem zapytał: - Kiedy będą podejmować decyzję?

- Doprawdy nie wiem - odparła Christine. Zaskoczyła ją gwałtowność reakcji Wellsa.

- Nie sądzę jednak, aby pan O'Keefe zatrzymał się tu na długo.

Albert Wells skinął głową.

- Z tego co wiem, nigdzie nie zatrzymuje się długo. Kiedy już coś sobie postanowi, działa szybko. Cóż, powtarzam, że szkoda, jeżeli do tego dojdzie i jeżeli tak się stanie, jeden z waszych gości już nigdy tu nie wróci.

- Będzie nam pana brakowało, panie Wells. Przynajmniej mnie... oczywiście, jeżeli przeżyję tę zmianę.

- Przeżyje pani i będzie pani tam, gdzie pani chce, panienko. Chociaż jeżeli pewien młody człowiek ma dość oleju w głowie, nie będzie to hotel.

Roześmiała się w odpowiedzi i potem rozmawiali o innych sprawach do chwili, gdy rozległo się ostre pukanie do drzwi i wróciła pielęgniarka. Oznajmiła sztywno:

- Dziękuję, panno Francis. - Potem spojrzała znacząco na zegarek i dodała: - Już czas, aby mój pacjent wziął lekarstwa i odpoczął.

- I tak muszę już iść - odparła Christine. - Jeżeli można, wpadnę do pana znowu jutro rano, panie Wells.

- Bardzo się ucieszę.

Kiedy wychodziła, mrugnął do niej.

*

Christine znalazła na biurku notatkę od Sama Jakubca, który prosił, aby zadzwoniła do niego. Zrobiła to i usłyszała w słuchawce głos kierownika działu rozliczeń.

- Uważałem, że będzie pani chciała o tym wiedzieć - oznajmił. - Zadzwoń do banku w Montrealu. Wszystko wskazuje, że pani przyjaciel jest w porządku.

- To dobra wiadomość, Sam. Co powiedzieli?

- No cóż, zareagowali dość dziwnie. Nie chcieli mi nic powiedzieć o jego wiarygodności kredytowej, a banki zazwyczaj to robią. Po prostu oświadczyli, żeby przesłać im czek do realizacji. Podałem im sumę i wcale się nie zaniepokoiłi. Przypuszczam więc, że ma pokrycie.

- Cieszę się - stwierdziła Christine.

- Ja też, ale będę śledził jego rachunek, żeby za bardzo nie wzrósł.

- Jesteś wspaniały, Sam - roześmiała się. - I dziękuję za wiadomość.

10.

Curtis O'Keefe razem ze swoją towarzyszką rozlokowali się już w połączonych ze sobą apartamentach i Dodo rozpakowała ich bagaże, co zresztą zawsze lubiła robić. Teraz, w większym z dwóch salonów, hotelarz studiował raport finansowy, jeden z kilku znajdujących się w niebieskiej teczce z napisem *Poufne - St. Gregory, Ocena wstępna*.

Dodo starannie obejrzała wspaniały kosz z owocami, dostarczony do apartamentu na polecenie Petera McDermotta. Wybrała jabłko i właśnie je kroїła na plasterki, kiedy telefon stojący obok łokcia O'Keefego zadzwonił po raz drugi w ciągu ostatnich kilku minut.

Najpierw telefonował Warren Trent. Powitał uprzejmie swego gościa i zapytał, czy wszystko jest w porządku. O'Keefe potwierdził jowialnie: „Nie mogłoby być lepiej, drogi Warrenie, nawet w hotelu O'Keefego”. A kiedy właściciel St. Gregory'ego zaprosił go wraz z Dodo na obiad w swoich prywatnych apartamentach, wyraził oczywiście zgodę.

- Będziemy niezmiernie szczęśliwi - oznajmił szarmancko hotelarz. - A przy okazji chciałbym stwierdzić, że ogromnie podoba mi się twój hotel.

- Tego właśnie się obawiałem - odparł Warren Trent.

O'Keefe roześmiał się głośno.

- Porozmawiamy dzisiaj wieczorem, Warrenie. Może trochę o interesach, jeżeli będziemy musieli, ale przede wszystkim z niecierpliwością oczekuję spotkania z wielką osobowością przemysłu hotelarskiego.

Kiedy odłożył słuchawkę, spostrzegł, że Dodo marszczy z wysiłku czoło.

- Skoro jest taką wielką osobą w hotelarstwie, Curtie, to dlaczego sprzedaje ci St. Gregory'ego? - zapytała.

Odpowiedział jej jak zawsze poważnie, chociaż z góry zdawał sobie sprawę, że i tak nie zrozumie jego wyjaśnień.

- Przede wszystkim dlatego, że wkroczyliśmy już w inny wiek, a on nie zdaje sobie z tego sprawy. W dzisiejszych czasach nie wystarczy być dobrymi gospodarzem. Trzeba również umieć doskonale obliczyć koszty i zyski.

- O jejku - westchnęła Dodo. - Ależ to wielkie jabłka!

Drugi telefon nastąpił prawie natychmiast po rozmowie z Trentem. Dzwoniono z holu hotelowego.

- Witaj, Ogdenie - powiedział Curtis O'Keefe, gdy jego rozmówca się przedstawił. - Właśnie czytam twój raport.

Jedenaście pięter niżej, w holu hotelowym, łysiejący mężczyzna o ziemistej cerze, wyglądający jak księgowy, którym zresztą między innymi był, skinął potakująco głową do swojego młodszego towarzysza stojącego obok przeszklonej budki telefonicznej. Był to Ogden Bailey, zamieszkały na stałe w Long Island. Wprowadził się do hotelu dwa tygodnie temu pod nazwiskiem Richarda Fountaina z Miami. Z typową dla siebie ostrożnością nie skorzystał z wewnętrznego telefonu, ani też nie zadzwonił ze swego pokoju na czwartym piętrze.

- Chciałbym wyjaśnić kilka spraw, panie O'Keefe - oświadczył zwięźle. - Mam także kilka najświeższych informacji i sądzę, że chciałby je pan poznać.

- Doskonale. Niech mi pan da piętnaście minut i potem przyjdzie do mnie na górę.

O'Keefe odłożył słuchawkę i z rozbawieniem zwrócił się do Dodo:

- Cieszę się, że owoce ci smakują. Gdyby nie ty, dawno kazałbym zakończyć te ogrodnicze orgie.

- No cóż, wcale nie jem ich dlatego, żebym jakoś specjalnie lubiła owoce. - Spojrzała na niego szeroko otwartymi błękitnymi oczyma. - Ale ty nigdy ich nawet nie tkniesz, a przecież szkoda, żeby się marnowały.

- W hotelach bardzo mało rzeczy się marnuje - zapewnił ją. - Jeden zostawi, weźmie drugi. I pewnie wyniesie tylnymi drzwiami.

- Moja mama ma fioła na punkcie owoców. - Dodo oderwała kawałek winnego grona. - Gdyby dostała taki kosz, chyba by oszalała.

Curtis trzymał już w ręku raport finansowy, teraz jednak odłożył go z powrotem.

- Może by jej wobec tego taki posłać?

- Już teraz?

- Oczywiście.

Znowu podniósł słuchawkę telefonu i poprosił o połączenie z hotelową kwiaciarnią.

- Tu mówi O'Keefe. O ile wiem, dostarczyliście do mojego apartamentu kosz z owocami.

- Tak jest, proszę pana - odparł zaniepokojony kobiecy głos. - Czy coś jest nie w porządku?

- Ależ nie. Chciałbym jednak, aby identyczny kosz z owocami został zamówiony telegraficznie w Akron, w stanie Ohio i wpisany na mój rachunek. Chwileczkę - przekazał słuchawkę Dodo. - Podaj im adres swojej matki i powiedz, co chciałabyś żeby napisali.

Kiedy skończyła mówić, impulsywnie rzuciła mu się na szyję.

- Jejku, Curtie, jesteś najśłodszy pod słońcem!

Rozkoszował się jej nieklamana radością. To dziwne, pomyślał. Chociaż Dodo równie chętnie przyjmowała kosztowne prezenty jak każda z jej poprzedniczek, miał jednak wrażenie, że największą przyjemność sprawiały jej drobiazgi, takie jak ten.

Skończył czytać dokumenty znajdujące się w teczce. Dokładnie po piętnastu minutach rozległo się pukanie do drzwi. Dodo poszła je otworzyć i wpuściła dwóch mężczyzn z aktówkami. Był to Ogden Bailey, który niedawno do niego telefonował oraz towarzyszący mu w holu Sean Hall. Hall był młodszą kopią swojego przełożonego i za dziesięć lat, pomyślał O'Keefe, pewnie będzie takim samym bladym, wiecznie skupionym mężczyzną. Stanie się nim w rezultacie ślęczenia nad niekończącymi się raportami finansowymi i przygotowywanymi opiniami.

Hotelarz przywitał serdecznie obu przybyszów. Ogden Bailey - obecnie Richard Fountain - był ważną postacią w organizacji O'Keefego. Posiadał nie tylko zwykłe umiejętności księgowego, ale również pewien nadzwyczajny talent. Dzięki niemu potrafił wejść do dowolnego hotelu i po tygodniu albo dwóch dyskretnych obserwacji, prowadzonych zazwyczaj bez wiedzy administracji hotelowej, przedstawić finansową analizę. Okazywała się ona zazwyczaj niezwykle zbliżona do oceny sporządzonej przez administrację hotelową. Wszystko wskazywało, że Hall (którego Bailey wyszukał i szkolił) posiada podobne umiejętności.

Obydwaj mężczyźni grzecznie odmówili drinka i O'Keefe wiedział, że tak zrobią. Usiedli obaj przed nim na sofie, nie otwierając aktówek, jakby wiedzieli, że najpierw należy wypełnić inne formalności. Dodo, stojąca po drugiej stronie pokoju, zajęła się znowu koszem z owocami i zaczęła obierać banana.

- Bardzo się cieszę, że panowie przyszliście - oznajmił Curtis O'Keefe, zupełnie jakby spotkanie to nie zostało zaplanowane już wiele tygodni wcześniej. - Może jednak, zanim

przystąpimy do interesów, będzie dla nas wszystkich pożyteczne, jeżeli poprosimy o pomoc Wszechmogącego.

Mówiąc to, hotelarz ze zręcznością świadcząca o wieloletniej praktyce ukląkł szybko i złożył ręce do modlitwy. Z wyrazem twarzy graniczącym niemal z rezygnacją, Ogden Bailey, zapewne wielokrotnie uczestniczący już w takiej ceremonii, zrobił to samo i po chwili wahania jego młodszy kolega poszedł za jego przykładem. O'Keefe zerknął na Dodo, która zajadała właśnie banana.

- Moja droga - powiedział cicho - chcemy właśnie prosić o błogosławieństwo dla naszego przedsięwzięcia.

Dodo odłożyła banana.

- Dobra - stwierdziła posłusznie i zsunęła się z fotela. - Już się podłączam.

Wiele miesięcy wcześniej zdarzało się, że częste modlitewne sesje jej dobroczyńcy, odbywane niejednokrotnie w zupełnie nieprawdopodobnych momentach, niepokoiły Dodo z jakichś nie do końca uświadamianych przez nią powodów. Wreszcie jednak, jak to zwykle z nią było, przystosowała się i przestały jej przeszkadzać. „W końcu” - zwierzyła się kiedyś przyjaciółce - „Curtie jest fajny i uważam, że jeśli mogę się dla niego kłaść na wznak, to równie dobrze mogę uklęknąć, żeby mu sprawić przyjemność”.

- Wszechmogący Boże - zaintonował Curtis O'Keefe. Oczy miał zamknięte, a na jego twarzy o różowych policzkach malował się absolutny spokój. - Jeżeli taka jest Twoja wola, zapewnij nam sukces w naszych poczynaniach. Prosimy cię o Twe błogosławieństwo i pomoc w uzyskaniu tego hotelu nazwanego imieniem Twojego świętego, świętego Jerzego. Błagamy cię pokornie, abyśmy mogli dodać go do posiadanych już przez naszą firmę i aby mówiący te słowa Twój pokorny sługa mógł zarządzać nim na większą Twoją chwałę.

Nawet prowadząc interesy z Bogiem, Curtis O'Keefe był zdania, że należy od razu przechodzić do sedna sprawy.

Unosząc twarz ku górze, ciągnął dalej i słowa płynęły z jego ust jak majestatycznie tocząca swe wody rzeka.

- A poza tym, jeżeli będzie taka Twoja wola, a błagamy, aby tak się stało - żebyśmy mogli uczynić to z rozwagą i oszczędnie, aby nie uszczuplać zbytecznie finansowych zasobów Twych pokornych sług, ale abyśmy mogli je zachować dla Twoich przyszłych potrzeb. Prosimy Cię także o błogosławieństwo, Wszechmogący Boże, dla tych, którzy będą prowadzili z nami negocjacje ze strony hotelu. Niechaj ich działania będą zawsze zgodne z Twoim duchem, a także spraw, aby okazali rozsądek i rozwagę we wszystkich swoich poczynaniach. Wreszcie, o Panie, bądź z nami zawsze, popieraj naszą sprawę i wspomagaj

nasze działania, abyśmy ze swojej strony mogli ich owoce poświęcić na większą Twoją chwałę. Amen. A teraz, panowie, ile powinienem dać za ten hotel?

O'Keefe zgrabnie usiadł znowu w swoim fotelu. Minęła jednak sekunda albo dwie, zanim wszyscy pozostali uświadomili sobie, że ostatnie zdanie nie stanowi części modlitwy lecz rozpoczęcie konferencji poświęconej interesom. Bailey pierwszy zorientował się w sytuacji, poderwał się z kolan i usiadł na sofie, wyciągając z aktówki jej zawartość. Hall z oszołomioną miną szybko przyłączył się do niego.

Ogden Bailey zaczął z szacunkiem.

- Nie chciałbym mówić o konkretnej cenie, panie O'Keefe. Oczywiście, jak zawsze, to pan w końcu podejmie decyzję. Nie ma jednak wątpliwości, że płacone w piątek dwumilionowe zadłużenie hipoteczne powinno bardzo ułatwić, przynajmniej nam, prowadzenie negocjacji.

- A więc sytuacja nie uległa żadnej zmianie? Nic nie słyhać o prolongacie albo o przejęciu zadłużenia przez kogoś innego?

Bailey pokręcił głową.

- Zaczerpnałem wiadomości w tutejszych, stosunkowo wiarygodnych źródłach i zapewniono mnie, że nie bierze się tego pod uwagę. Nikt w kręgach finansowych o tym nie myśli, przede wszystkim ze względu na ponoszone przez St. Gregory'ego bieżące straty. Dałem panu ich przybliżoną ocenę. Są one przede wszystkim rezultatem złego zarządzania, o czym powszechnie wiadomo.

O'Keefe skinął z namysłem głową, a potem otworzył teczkę, której zawartość wcześniej studiował. Wyjął zapisaną na maszynie kartkę papieru.

- Widzę, że niezwykle optymistycznie ocenia pan potencjalne dochody.

Popatrzył na Baileya jasnymi, przenikliwymi oczyma.

Księgowy uśmiechnął się nieznacznie.

- Jak pan wie, nie jestem zwolennikiem ekstrawaganckich marzeń. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że bardzo szybko można będzie uzyskać wysoką rentowność, zarówno dzięki tworzeniu nowych źródeł dochodu, jak również modyfikacji już istniejących. Kluczowym problemem jest tutaj sprawa zarządzania. Przedstawia się niewiarygodnie źle. - Skinął głową w stronę Halla. - Sean przeprowadził tu pewne badania.

Zaglądając do notatek i trochę nieśmiało, Hall zaczął mówić:

- Nie istnieje efektywna droga służbowa, w wyniku czego kierownicy działów uzyskali w niektórych wypadkach nieprawdopodobnie wielką władzę. Przykładem może tu być zakup żywności, gdzie...

- Chwileczkę.

Słyszając pracodawcę, Hall przerwał gwałtownie.

- Nie musi mnie pan wprowadzać we wszystkie szczegóły - oznajmił stanowczo O'Keefe. - Zdaję się w tych sprawach na was, panowie. W czasie tych konferencji pragnę uzyskać ogólny obraz.

Mimo że upomnienie wypowiedziane zostało stosunkowo łagodnym tonem, Hall zaczerwienił się i Dodo zerknęła na niego ze współczuciem.

- Domyślam się - stwierdził O'Keefe - że obok niedociągnięć w zarządzaniu jest również sporo kradzieży popełnianych przez personel, a także przywłaszczanie sobie wpływów.

Młodszy księgowy skinął energicznie głową.

- Bardzo dużo kradzieży, sir, zwłaszcza jeśli chodzi o żywność i napoje alkoholowe.

Miał już zamiar opisać rezultaty swoich dyskretnych wywiadów, które prowadził w najrozmaitszych barach i salach klubowych hotelu, ale powstrzymał się. Tym można się zająć później, kiedy kupno zostanie sfinalizowane i do działania przystąpi „grupa rozbiórkowa”.

Na podstawie swojego krótkiego doświadczenia Hall wiedział, że procedura zdobywania nowego obiektu sieci hoteli O'Keefego niezmiennie toczyła się tym samym torem. Najpierw, na wiele tygodni przed rozpoczęciem negocjacji, „zespół szpiegowski”, zazwyczaj kierowany przez Ogdena Baileya, wprowadzał się do hotelu, a jego członkowie meldowali się w nim jako normalni goście. Dzięki wytrwałym i systematycznym obserwacjom, wspomaganym od czasu do czasu przekupstwem, zespół opracowywał studium dotyczące finansów i działalności. Ustalał także słabe punkty i oceniał potencjalne, nie wykorzystane źródła dochodu. Jeżeli, podobnie jak w obecnej sytuacji, zachodziła taka potrzeba, przeprowadzano dyskretny wywiad poza hotelem w kręgach finansowych miasta. Magia nazwiska O'Keefego oraz możliwość prowadzenia w przyszłości interesów z największą siecią hotelową w kraju zazwyczaj wystarczała, aby zdobyć potrzebną informację. Sam Hall już dawno zorientował się, że w tym środowisku lojalność zdecydowanie ustępowała praktycznej trosce o własne interesy.

Następnie, O'Keefe, uzbrojony w zgromadzoną wiedzę, przystępował do negocjacji, najczęściej uwieńczonych sukcesem. A potem do akcji wkraczała grupa rozbiórkowa.

Kierowana była przez wiceprezesa Hotelu O'Keefego i stanowiła ekipę zdecydowanych i szybko pracujących ekspertów zarządzania. Potrafiła skutecznie i w zadziwiająco krótkim czasie doprowadzić każdy hotel do standardowego wzoru O'Keefego. Pierwsze zmiany dokonywane przez zespół obejmowały zazwyczaj obsługę i administrację. Bardziej gruntowne kroki, takie jak przebudowa i zmiana wyposażenia technicznego,

następowały później. Przede wszystkim jednak pracowano z uśmiechem, zapewniając wszystkim, że nie będzie żadnych poważnych zmian, nawet jeżeli je wprowadzano. Jeden z członków ekipy określił to tak: „Kiedy przychodzimy, przede wszystkim oznajmiamy, że nie będzie żadnych zmian personalnych. A potem tniemy po skrzydłach”.

Sam Hall przypuszczał, że wkrótce tak samo będzie się działo w hotelu St. Gregory.

Niekiedy Hall, który był myślącym młodym człowiekiem o kwakerskim wychowaniu, zastanawiał się nad swoim własnym udziałem w tych sprawach. Choć pracował u O’Keefego stosunkowo niedługo, widział już, jak kilka hoteli o przyjemnie zindywidualizowanym charakterze zostało pochłoniętych przez zuniformizowaną sieć. W pewien sposób proces ten go zasmucał. Nękało go również uczucie pewnego niepokoju co do strony etycznej metod, którymi osiągnano te cele.

Zawsze jednak uczucia te odsuwane były w cień przez osobiste ambicje i fakt, że Curtis O’Keefe bardzo dobrze płacił za świadczone na jego rzecz usługi. Czek z miesięczną wypłatą oraz rosnący rachunek w banku były dla Sama Halla źródłem satysfakcji, nawet w chwilach moralnego niepokoju.

Wiązały się z tym również inne możliwości, o których pozwalał sobie myśleć jedynie w najśmielszych marzeniach. Od chwili, kiedy wszedł dzisiaj rano do tego apartamentu, niezwykle ostro zdawał sobie sprawę z obecności Dodo, mimo że starał się nie patrzeć wprost na nią. Jej wyzywający erotyzm, wypełniający cały pokój, robił na Samie Hallu wrażenie, jakiego nigdy nie była w stanie wywołać w nim jego przystojna żona - wspaniała brunetka, wyczyniająca cuda na korcie tenisowym i zarazem urzędujący sekretarz PTA: Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli. Kiedy myślał o Curtisie O’Keefem i jego wspaniałej fortunie, przychodziło mu do głowy, że na początku swojej działalności ów wielki człowiek również był tylko młodym, ambitnym księgowym.

Jego rozmyślenia przerwało pytanie O’Keefego.

- Czy pańskie wrażenia dotyczące niesprawnej metody zarządzania dotyczą całej administracji?

- Niezupełnie, sir.

Sean Hall zajrzał do notatek, skupiając się na zagadnieniu, które w ciągu minionych dwóch tygodni dokładnie poznał.

- Jest jeden człowiek, zastępca naczelnego dyrektora, McDermott, który wygląda na wyjątkowo kompetentnego. Ma trzydzieści dwa lata, ukończył Cornell-Statler. Niestety, w jego aktach personalnych jest pewien haczyk. Nasze biuro sprawdziło tę sprawę. Mam pełen raport.

O'Keefe przebiegł wzrokiem podaną przez młodego księgowego kartkę papieru. Zawierała ona podstawowe dane dotyczące zwolnienia Petera McDermotta z Waldorfa oraz jego późniejszych prób znalezienia nowego zatrudnienia, uwieńczonych powodzeniem dopiero w St. Gregorym.

Magnat hotelowy oddał Hallowi dokument bez słowa komentarza. Decyzja w sprawie McDermotta zostanie podjęta przez „grupę rozbiórkową”. Jej członkowie jednak doskonale znali stawiany przez O'Keefego wymóg, aby wszyscy jego pracownicy byli ludźmi o nieposzlakowanej moralności. Niezależnie od tego, jak niezwykle kompetentnym człowiekiem był McDermott, należało wątpić, czy nowa władza zechce go zatrzymać.

- Jest tu również parę innych dobrych osób - ciągnął Sean Hall. - Na niższych stanowiskach.

Rozmowa trwała jeszcze przez piętnaście minut. W końcu Curtis O'Keefe oznajmił:

- Dziękuję panom. Proszę dać mi znać, jeżeli pojawią się jakieś nowe, istotne wiadomości. W przeciwnym razie, ja nawiążę z wami kontakt.

Dodo wyprowadziła ich z apartamentu.

Kiedy wróciła, Curtis O'Keefe leżał na sofie, którą przed chwilą zajmowali dwaj księgowi. Oczy miał zamknięte. Niemal od samego początku swojej działalności wykształcił w sobie umiejętność drzemania o różnych porach dnia i odnawiania w ten sposób zasobów energii, które jego podwładni uważali niekiedy za niewyczerpane.

Dodo pocałowała go delikatnie w usta. Poczul ich wilgoć i dotykające go lekko jej bujne ciało. Długie palce dziewczyny spoczęły na jego karku i zaczęły masować go łagodnie. Pasma miękkich, jedwabistych włosów przesunęło się pieszczotliwie po jego twarzy. Otworzył oczy i uśmiechnął się.

- Ładuję akumulatory - powiedział. A potem dodał z zadowoleniem. - To co robisz, bardzo mi pomaga.

Palce dziewczyny przesuwały się po jego karku. Po dziesięciu minutach czuł się wypoczęty i odświeżony. Przeciągnął się, znowu otworzył oczy i usiadł na sofie. Potem wstał i wyciągnął ramiona w stronę Dodo.

Zbliżyła się z oddaniem i przywarła do niego mocno całym ciałem. Natychmiast poczuł, że jej wiecznie tłący się erotyzm wybuchnął gwałtownym płomieniem.

Czując ogarniające go podniecenie poprowadził dziewczynę w stronę sypialni.

Główny detektyw hotelowy Ogilvie, który miał przyjść do apartamentu Croydonów godzinę po swoim tajemniczym telefonie, w rzeczywistości zjawiał się dopiero po dwóch. W rezultacie, gdy wreszcie rozległ się przytłumiony dzwonek do drzwi, nerwy księcia i księżnej były już niemal w strzępach.

Księżna otworzyła drzwi osobiście. Nieco wcześniej wysłała pokojówkę w jakiejś wymyślonej sprawie i sadystycznie poleciła krągłolicemu sekretarzowi, panicznie bał się psów, aby wyprowadził jej bedlingtony na spacer. Świadomość, że oboje mogą wrócić lada moment, jeszcze bardziej potęgowała jej napięcie nerwowe.

Ogilvie pojawił się otoczony chmurą dymu z cygara. Gdy wszedł za księżną do salonu, spojrzała znacząco na wypalone do połowy cygaro, które tęgi mężczyzna trzymał w ustach.

- Mój mąż i ja nie znosimy dymu z cygar. Czy byłby pan łaskaw je zgasić?

Świńskie oczka detektywa spojrzały na nią ironicznie. Ogilvie zlustrował obszerny, elegancko umeblowany pokój i wreszcie spojrzał na stojącego tyłem do okna księcia.

- Zupełnie nieźle się tu urządziliście.

Bez pośpiechu wyjął cygaro z ust, strącił popiół i rzucił niedopałek w stronę kominka, znajdującego się z prawej strony pokoju. Chybił i niedopałek wylądował na dywanie, grubas jednak zignorował go całkowicie.

Księżna zacisnęła usta.

- Sądzę, że nie przyszedł pan tutaj, aby omawiać architekturę wnętrza.

Ciało tłuściocha zadygotało lekko w pełnym uznania chichocie.

- Nie, psze pani, raczej nie. Ale lubię ładne rzeczy. - Przyciszył swój zaskakująco wysoki, niemal falsetowy głos. - Takie, jak na przykład wasz samochód. Ten, który trzymacie w garażu hotelowym. To jaguar, prawda?

- Aach! - Z ust księcia wyrwało się właściwie nie słowo, ale raczej głębokie tchnienie. Jego żona rzuciła mu krótkie, ostrzegawcze spojrzenie.

- A co to pana obchodzi?

Sposób bycia detektywa uległ gwałtownej zmianie. Zupełnie jakby słowa księżnej stały się jakimś sygnałem.

- Kto poza wami jest jeszcze w apartamencie?

Tym razem odpowiedział księżę.

- Nie ma nikogo. Wysłaliśmy wszystkich do miasta.

- Takie rzeczy oplaca się sprawdzać.

Tłuścioch z zaskakującą szybkością obszedł apartament, otwierając wszystkie drzwi

po kolei i zaglądną do kolejnych pomieszczeń. Najwyraźniej doskonale znał rozplanowanie apartamentu. Kiedy na końcu otworzył i zamknął drzwi prowadzące na zewnątrz, powrócił do salonu najwyraźniej usatysfakcjonowany.

Księżna usiadła w fotelu z wysokim, prostym oparciem. Ogilvie stanął dalej.

- A teraz do rzeczy - stwierdził. - Mieliście państwo wypadek i uciekliście z miejsca zdarzenia.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- O czym pan mówi?

- Daj pani spokój z tymi gierkami. To żadna lipa. - Wyjął nowe cygaro i odgryzł jego koniec. - Czytaliście gazety. W radio też dużo się o tym mówi.

Na bladych policzkach księżnej Croydonu pojawiły się dwie wyraźne, czerwone plamy.

- Jak pan śmie sugerować nam najobrzydliwszą, najbardziej nikczemną...

- Powiedziałem, żeby dała sobie pani spokój! - warknął z nagłą furią Ogilvie, odrzucając wszelkie pozory. Nie zwracając uwagi na księcia, pomachał nie zapalonym cygarem przed nosem swojej przeciwniczki.

- Lepiej niech mnie pani posłucha, wasza wielmożna wysokość. Całe miasto jest wściekle jak cholera... gliny, burmistrz, wszyscy. Jeżeli dopadną tego, kto ubiegłej nocy przejechał dzieciaka i jego matkę, a potem zwiął, władają mu maksymalny wyrok i nie będą się oglądali na nic... ani na to, kim jest winowajca, ani jaki ładny tytuł posiada. Ja wiem co wiem i gdybym postąpił tak jak powinienem, pluton policji zjawiłby się tu tak szybko, że nawet nie zdążylibyście mrugnąć okiem. Najpierw przyszedłem jednak uczciwie do was, żebyście mogli przedstawić mi swoją wersję sprawy. - Jego świńskie oczka najpierw zamrugały, a potem stwardniały nagle. - Ale jeżeli chcecie załatwić sprawę inaczej, powiedzcie od razu.

Księżna Croydon, za którą stało, bądź co bądź, trzy i pół wieku wrodzonej buty, nie poddała się łatwo. Zerwała się gwałtownie z gniewną miną i popatrzyła na grubego detektywa miotając błyskawice z szarozielonych oczu. Ton zaś głosu wprawiłby w drżenie każdego, kto znał ją dobrze.

- Ty łajdaku! Jak śmiesz!

Nawet niewzruszona pewność siebie Ogilwiego osłabła na chwilę. Nieoczekiwanie jednak wtrącił się sam książę Croydonu.

- Obawiam się, że przegraliśmy, moja droga. - Odwrócił się w stronę Ogilwiego i rzekł - To, o co nas pan oskarża, jest prawdą. Wina leży całkowicie po mojej stronie. Ja

prowadziłem samochód i to ja zabiłem tę dziewczynkę.

- No, teraz już lepiej - stwierdził Ogilvie. Zapalił nowe cygaro. - Zaczynamy do czegoś dochodzić.

Księżna Croydonu, zmęczona i zrezygnowana, opadła na fotel. Zaciśnęła ręce, chcąc ukryć ich drżenie i zapytała:

- Co pan wie?

- No cóż, może więc opowiem wszystko po kolei.

Detektyw bez pośpiechu otoczył się chmurą błękitnego dymu i ironicznie spojrzał na księżnę, jakby czekał na jej sprzeciw. Ale zmarszczyła jedynie z pogardą nos i nie powiedziała ani słowa. Ogilvie wskazał palcem księcia.

- Wczoraj, wczesnym wieczorem pojechał pan do „Lindy’s Place” w Irish Bayou. Prowadził pan tego bajeranckiego jaguara i wziął pan ze sobą swoją przyjaciółkę. Przypuszczam, że tak możemy ją nazywać, jeżeli nie będziecie bardzo skrupulatni.

Ogilvie zerknął, uśmiechając się pod nosem, na księżnę, a księżę rzucił ostro:

- Niech pan gada do rzeczy!

- No więc - Bezczelna, tłusta twarz odwróciła się znowu w jego stronę. - Dowiedziałem się, że wygrał pan setkę przy stołach, a potem stracił ją w barze. Przerabiał pan właśnie drugą setkę - ubaw był rzeczywiście niezły - kiedy pańska żona przyjechała tam taksówką.

- Skąd pan o tym wie?

- Powiem panu, księżę... Jestem w tym mieście i w tym hotelu od dawna. Wszędzie mam przyjaciół. Wyświadczam im przysługi, a oni odwdzięczają mi się, na przykład mówiąc mi, co i gdzie. Niewiele jest rzeczy, których nie wiedziałbym o ludziach zatrzymujących się w naszym hotelu. Większość z nich nigdy się o tym nie dowiaduje, ani nawet nie widzi mnie na oczy. Myślę, że dobrze ukryli swoje maleńkie tajemnice i tak też się dzieje. Chyba że zaistnieje taka sytuacja jak ta...

- Rozumiem - skonstratował chłodnym tonem księżę.

- Chciałbym usłyszeć tylko jedno. Jestem z natury ciekawski, madame. Jak się pani zorientowała, dokąd mąż pojechał?

- Wie pan już tyle... - odparła księżna. - Sądzę, że i tak nie ma to już znaczenia. Telefonując, mój mąż ma zwyczaj robić notatki. Często zapomina później je zniszczyć.

Detektyw pokręcił z dezaprobatą głową.

- Taka mała nieostrożność, księżę i proszę, w jaką kabałę pan się wpędził. A teraz, oto jak sobie wyobrażam dalszy rozwój wypadków. Pan i pańska żona pojechaliście do domu.

Pan prowadził, chociaż biorąc pod uwagę, co się zdarzyło, lepiej by było, gdyby raczej księżna siedziała za kierownicą.

- Żona nie prowadzi.

Ogilvie skinął ze zrozumieniem głową.

- No tak, to wyjaśnia sprawę. W każdym razie sędzę, że był pan dobrze zalany, ale mógł...

Księżna przerwała mu gwałtownie.

- A więc pan nie w i e! Nie wie pan nic na pewno! Nie może pan udowodnić...

- Księżno, mogę udowodnić wszystko co trzeba.

- Daj mu lepiej skończyć - poradził księżę.

- I słusznie - przytaknął Ogilvie. - Niech pani spokojnie siedzi i słucha. Ubiegłej nocy widziałem was jak wracaliście: przez suterynę, żeby nie widzieli was w holu. Oboje wyglądaliście na wstrząśniętych. Właśnie sam wróciłem i zacząłem zastanawiać się, co się stało. Jak już powiedziałem, jestem ciekawski z natury.

- Niech pan mówi dalej - powiedziała ledwo słyszalnym szeptem.

- W późnych godzinach nocnych zaczęto mówić o tym wypadku. Coś mnie tknęło. Poszedłem do garażu i spokojnie obejrzałem sobie wasz samochód. Może nie wiecie o tym, ale stoi w kącie, za kolumną, dzięki czemu pomocnicy parkingowi wprowadzając nowe samochody nie są w stanie go zobaczyć.

Księżę obliznął wargi.

- Mam wrażenie, że nie ma to już znaczenia.

- Może jest w tym trochę racji - przyznał Ogilvie. - W każdym razie, to co znalazłem, sprawiło, że zrobiłem maleńki wywiad... w komendzie policji, gdzie również mnie znają. - Przerwał i przez chwilę wypuszczał kłęby dymu z cygara, podczas gdy jego słuchacze czekali w milczeniu. Kiedy czubek cygara rozżarzył się, obejrzał je uważnie i zaczął mówić dalej: - Okazało się, że zdobyli tam trzy poszlaki. Znaleźli oprawkę reflektora, która musiała spaść w momencie, kiedy kobieta i dziecko zostali potrąceni. Mają trochę szkła z reflektora, a kiedy obejrzeliby ubranie dziecka, uznali, że powinny pozostać ślady otarcia.

- Co?

- Jeżeli mocno otrze się o coś ubraniami, księżno, a szczególnie o lśniącą powierzchnię, powiedzmy błotnika, pozostawi ono ślad, taki sam jak odciski palców. Laboratorium policyjne może je odnaleźć w taki sam sposób, jak robią to z odciskami palców. Oprószą przedmiot specjalnym proszkiem i ślady staną się widoczne.

- Bardzo to ciekawe - oznajmił księżę takim tonem, jakby mówił o czymś, co zupełnie

go nie dotyczy. - Nie wiedziałem o tym.

- Niewiele osób o tym wie. W tym przypadku nie miałyby to jednak szczególnego znaczenia. Pański samochód ma rozbity reflektor, przy którym brakuje oprawki. Nie ma żadnej wątpliwości, że policja zdołałaby go dopasować, nawet gdyby nie było śladów otarcia o r a z krwi. Aha, powinienem być chyba to wam powiedzieć. Na samochodzie jest dużo krwi, chociaż nie widać jej zbyt dobrze na czarnym lakierze.

- O mój Boże! - Księżna ukryła twarz w dłoniach i odwróciła się.

- I co pan proponuje? - zapytał jej mąż.

Tęgi mężczyzna zatarł ręce i popatrzył na swoje grube, mięsiste palce.

- Jak już powiedziałem, przyszedłem wysłuchać waszej wersji.

- Cóż mogę powiedzieć? - oznajmił zrezygnowanym tonem księżę.

- Wie pan wszystko. - Bezskutecznie spróbował się wyprostować. - Lepiej niech pan wezwie policję i skończmy tę sprawę.

- Spokojnie, nie musimy się śpieszyć. - W falsetowym głosie detektywa zabrzmiały nieco inne tony. Brzmiało to, jakby myślał na głos.

- Co się stało, już się nie odstanie. Jeżeli pobiegnie się na policję, nie przywróci życia ani dziecku, ani matce. A poza tym, nie spodoba się panu, księżę, to co z panem zrobią w komendzie. O nie, na pewno się panu nie spodoba.

Księżę i księżna powoli podnieśli na niego oczy.

- Miałem nadzieję - oznajmił Ogilvie - że będziecie mi mogli przedstawić jakąś propozycję.

- Nie rozumiem - stwierdził niepewnie księżę.

- A ja tak - odparła księżna Croydonu. - Chce pan pieniędzy, prawda? Przyszedł nas pan szantażować.

Jeżeli sądziła, że jej słowa wstrząsną Ogilviem, to zawiodła się. Detektyw wzruszył tylko ramionami.

- Nic mnie nie obchodzi, jakich słów pani używa, madame. Przyszedłem tu tylko pomóc wam wygrzebać się z kłopotów. Ale muszę też z czegoś żyć.

- Przyjmie pan pieniądze za milczenie?

- Chyba mógłbym.

- Ale z pana poprzednich słów wynikało, że i tak odnajdą samochód - oznajmiła księżna, odzyskując swoją poprzednią zimną krew.

- Sądzę, że moglibyście zaryzykować. Jest bowiem jeszcze pewien sposób, żeby tego uniknąć. O tym jeszcze nie wspominałem.

- No to proszę powiedzieć nam o nim.

- Sam jeszcze nie przemyślałem tego do końca - oznajmił Ogilvie. - Ale kiedy potrąciliście to dziecko, jechaliście z miasta, a nie do śródmieścia.

- Pomyliliśmy drogę - wyjaśniła księżna. - Pojechaliśmy nie w tym kierunku, co trzeba. W Nowym Orleanie to nietrudne, ulice są takie kręte. Potem zawróciliśmy bocznymi uliczkami.

- Tak sobie właśnie pomyślałem - stwierdził Ogilvie kiwając głową. - Policja jeszcze się nie zorientowała. Szukają kogoś wyjeżdżającego. I dlatego w chwili obecnej sprawdzają przedmieścia i okolice. Mogą się zabrać również za śródmieście, ale to dopiero później.

- Ile czasu potrzebują?

- Trzy, może cztery dni. Mają jeszcze mnóstwo miejsc do sprawdzenia w pierwszej kolejności.

- W jaki sposób to opóźnienie może nam pomóc?

- Zakładam, że nikt nie natknie się na samochód. Biorąc pod uwagę miejsce, w którym stoi, możecie mieć szczęście. Przede wszystkim jednak musielibyście go usunąć - wyjaśnił Ogilvie.

- Myśli pan o innym stanie?

- Nie... o usunięciu go z Południa.

- To chyba nie będzie łatwe?

- Nie, madame. W każdym sąsiednim stanie - w Teksasie, Arkansas, Mississipi, Alabamie i innych - policja jest uprzedzona, że poszukiwany jest samochód z takimi właśnie uszkodzeniami.

- Czy nie można by go najpierw wyreperować? - podsunęła księżna. - Gdyby dyskretnie przeprowadzono taką naprawę, dobrze byśmy zapłacili.

Detektyw pokręcił stanowczo głową.

- Jeżeli podejmiecie taką próbę, możecie równie dobrze zgłosić się na policję. Każdy warsztat w Luizjanie ma obowiązek wezwać gliny natychmiast, gdy tylko pojawi się samochód wymagający podobnych napraw. I zrobią to, jestem pewien. Ludzie są wkurzeni.

Księżna Croydonu starała się za wszelką cenę zapanować nad kłębiącymi się w jej głowie myślami. Zdawała sobie sprawę, że musi rozumować spokojnie i precyzyjnie. W ciągu ostatnich kilku minut rozmowa zaczęła toczyć się tak, jakby omawiano jakieś nieistotne, domowe problemy, a nie kwestię przeżycia. Miała zamiar zachować tę konwencję. Uświadomiła sobie, że po raz kolejny jest zmuszona sama pokierować wszystkim, jej mąż stał się bowiem wprawdzie czujnym, ale biernym obserwatorem pojedynku, jaki prowadziła z tym

złośliwym grubasem. To nieważne; Trzeba pogodzić się z tym, co nieuniknione. Najważniejsze, żeby rozważyć wszystkie ewentualności. Nagle przysła jej do głowy pewna myśl.

- Chodzi mi o tę część, którą według pana znalazła policja. Jak się ona nazywa?

- Oprawka reflektora.

- Czy da się ją zidentyfikować?

Ogilvie skinął głową.

- Mogą ustalić, z jakiego jest samochodu, typ, model, nawet rok produkcji, choćby w przybliżeniu. Podobnie szkło. Ale ponieważ samochód państwa jest zagranicznej produkcji, poszukiwania zajmą im kilka dni.

- Ale potem - nalegała - policja zorientuje się, że musi szukać jaguara?

- Sądzę, że tak.

Dzisiaj był wtorek. Z tego, co detektyw mówił, wynikało, że mają czas do piątku, najwyżej soboty. Innymi słowy, sytuacja sprowadzała się do jednej, zasadniczej kwestii. Zakładając, że przekupią detektywa hotelowego, jedyną minimalną szansę dawało im tylko usunięcie samochodu. Gdyby tylko udało się go przetrzymać na północ, do jednego z wielkich miast, w których nikt nie słyszał o tragedii w Nowym Orleanie. Można by tam było przeprowadzić po cichu remont i usunąć obciążające ich dowody rzeczowe. A wtedy, nawet w razie podejrzeń, nie można by Croydonom niczego udowodnić. Ale jak to zrobić?

To, co powiedział ten gruby detektyw, jest niewątpliwie prawdą. W Luizjanie i w innych stanach, przez które samochód musiałby przejechać, wszyscy będą czujni. Każdy patrol na autostradzie wypatruje wozu z rozbitym szkłem i brakującą oprawką reflektora. Najprawdopodobniej zorganizowano również blokady na drogach. Łatwo wpaść w oko jakiemuś bystremu policjantowi.

Mimo wszystko jednak m o ż n a tego dokonać. Pod warunkiem, że samochód jechałby w nocy, a w dzień stał ukryty. Istniało mnóstwo miejsc, w których można zjechać z autostrady i pozostać nie zauważonym. Niewątpliwie to ryzyko, nie większe jednak niż oczekiwanie tutaj na nieuniknione wykrycie. Istnieją przecież boczne drogi. Wystarczyłoby wybrać jakąś nieprawdopodobną trasę i nikt nie zwróci uwagi.

Są jeszcze inne komplikacje... i teraz właśnie warto je rozważyć. Trudno będzie podróżować bocznymi drogami, jeżeli nie zna się okolicy. A oni jej nie znają. Żadne z nich nie miało też doświadczenia w posługiwaniu się mapą. Poza tym, trzeba będzie zatrzymywać się, aby zatankować. Wtedy ich sposób bycia i mówienia mogłyby kogoś zainteresować. Z drugiej jednak strony... musieli podjąć takie ryzyko.

Czy rzeczywiście?

Księżna spojrzała na Ogilwiego.

- Ile pan chce?

Jej bezpośredniość zbiła go z tropu.

- No cóż... Sądzę, że jesteście państwo dość zamożni.

- Pytałam, ile pan chce - powtórzyła zimno.

Zamrugnął świńskimi oczkami.

- Dziesięć tysięcy dolarów.

Dwukrotnie więcej niż się spodziewała. Wyraz jej twarzy nie uległ jednak zmianie.

- Załóżmy, że zapłacimy tę groteskową sumę. Co otrzymamy w zamian?

Grubas wyglądał na zaskoczonego.

- Tak jak już powiedziałem. Będę milczał o tym, co wiem.

- A jaka jest alternatywa?

Wzruszył ramionami.

- Zejdę do holu i podniosę słuchawkę telefonu.

- Nie. - Odpowiedź księżnej była kategoryczna. - Nie zapłacimy panu.

Księżę Croydonu poruszył się niespokojnie w fotelu, a nalana twarz detektywa poczerwieniała gwałtownie.

- Posłuchaj no pani...

Przerwała mu natychmiast.

- Nie mam zamiaru słuchać. Zamiast tego pan wysłucha m n i e.

Wpatrywała się w detektywa, a na jej przystojnej twarzy o wysokich kościach policzkowych malowała się najbardziej władcza mina, na jaką było ją stać.

- Płacąc panu niczego nie zyskujemy, poza kilkudniową zwłoką. Wy tłumaczył pan to nam niezwykle jasno.

- Stwarza jednak szansę, którą...

- Cicho! - Głos księżnej zabrzmiał jak trzaśnięcie bicia. Jej oczy przewiercały go na wylot.

Przełknął ślinę i niechętnie podporządkował się.

Księżna Croydonu wiedziała, że podejmuje w tej chwili najważniejszą, być może, decyzję w całym życiu. Nie wolno jej popełnić najmniejszej pomyłki czy okazać wahania. Jeżeli gra się o najwyższą stawkę, gra się *va banque*. Zamierzała postawić na chciwość tego grubasa. I zrobić to w taki sposób, aby rezultat nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości.

- Nie zapłacimy panu dziesięciu tysięcy dolarów, ale dwadzieścia pięć tysięcy -

oznajmiła stanowczo.

Detektyw wybałuszył oczy.

- W zamian za to - oświadczyła spokojnie - to pan odprowadzi samochód na północ.

Ogilvie w dalszym ciągu gapił się na nią bez słowa.

- Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów - powtórzyła. - Dziesięć tysięcy teraz. Piętnaście tysięcy, kiedy spotkamy się z panem w Chicago.

Tłuścioch bez słowa oblizwał wargi. Z niedowierzaniem wpatrywał się w nią swoimi paciorkowatymi oczyma. Zapadła cisza.

Wreszcie zauważyła, jak niemal niedostrzegalnie skinął głową.

Wciąż panowała cisza.

- Czy dym cygara przeszkadza pani, księżno? - odezwał się wreszcie Ogilvie.

Kiedy skinęła głową, natychmiast je zgasił.

12.

- To zabawne - Christine odłożyła olbrzymie wielobarwne menu. - Mam przeczucie, że w tym tygodniu zdarzy się coś niezwykłego.

Peter McDermott uśmiechnął się do niej nad stołem, na którym płonęły świece i na wykrochmalonej, śnieżnobiałej serwecie lśniły srebrne sztuce.

- Może już się zdarzyło.

- Nie - odparła Christine. - A przynajmniej nie to, o czym myślisz. Bardzo chciałabym uwolnić się od tej natrętnej myśli.

- Dobre jedzenie i picie czynią cuda.

Roześmiała się, poddając się jego nastrojowi i zamknęła kartę dań.

- Zamów coś dla nas obojga.

Siedzieli w restauracji „U Brennana” we French Quarter. Godzinę wcześniej Peter podjechał pod dom Christine samochodem wynajętym w punkcie Hertza w holu St. Gregory’ego. Zaparkowali w Iberville, tuż na obrzeżu Quarter i przespacerowali się Royal Street oglądając umieszczoną w witrynach antykwariatów przedziwną mieszankę dzieł sztuki, importowanych bibelotów i konfederackiej broni: *Każda szabla w tej skrzynce kosztuje dziesięć dolarów*. Noc była ciepła i parna, wokół nich tętnił życiem Nowy Orlean: rozlegał się niski ryk autobusów przeciskających się przez wąskie uliczki, stukot końskich kopyt i pobrękiwanie upręży fiakra i dobiegający znad Mississippi melancholijny ryk syreny odpływającego frachtowca.

„U Brennana” pełno było gości. Można się było tego spodziewać po najlepszej w mieście restauracji. Peter i Christine czekając na swój stolik, na cichym, dyskretnie podświetlonym patio, popijali *Old Fashioned* o lekkim, ziołowym smaku.

Peter czuł się doskonale w towarzystwie Christine. Uczucie to nie opuściło go również wtedy, gdy doprowadzono ich do stolika w chłodnej głównej sali.

Uznał słuszność propozycji Christine i przywołał kelnera.

Zamówił dla nich obojga: 2-2-2 *huitres* - specjalność kuchni, na którą składały się ostrygi *Rockefeller*, *Bienville* i *Roffignac*, flądre *Nouvelle Orleans* faszerowaną przyprawionym mięsem krabów, kalafior *polonaise*, *pommes au four*, a u stojącego tuż obok kelnera win wybrał butelkę *Montrachet*.

- To miłe - oznajmiła z uznaniem Christine - gdy nie musi się podejmować decyzji.

Postanowiła, że stanowczo spróbuje uwolnić się od męczącego ją niepokoju, wywołanego być może zbyt krótkim snem.

- Mają tu świetną kuchnię - powiedział Peter. - Wybór potraw nie ma więc szczególnego znaczenia. Wszystko jest właściwie równie dobre.

- Widać twoje hotelarskie skrzywienie zawodowe - zakpiła.

- Przepraszam. Mam nadzieję, że nie wyłazi ze mnie zbyt często.

- Nie. I jeżeli chcesz wiedzieć, podoba mi się to. Chociaż czasami zastanawiałam się, jak trafiłeś do tego zawodu.

- Do hotelarstwa? Byłem boyem hotelowym, który miał pewne ambicje.

- Czy to rzeczywiście odbyło się tak prosto, jak o tym mówisz?

- Oczywiście, że nie. Miałem też trochę szczęścia. Mieszkałem w Brooklynie i w lecie, w czasie przerwy wakacyjnej, pracowałem jako boy na Manhattanie. Pewnej nocy, w czasie moich drugich wakacji, położyłem pijaka spać... Pomogłem mu wejść na schody, przebrałem w piżamę i okryłem kołdrą.

- Czy wszyscy byli tak przez ciebie obsługiwani?

- O, nie. Akurat noc była spokojna, a ja już nieźle dawałem sobie radę w takich sytuacjach. Tak samo układałem meble ojca... i to przez wiele lat. - Przez chwilę w oczach Petera pojawił się smutek. - W każdym razie - ciągnął dalej - okazało się, że człowiek, którego położyłem spać, był felietonistą w „New Yorkerze”. Po tygodniu albo dwóch napisał o tym, co mu się zdarzyło. Chyba nazwał nas wtedy „hotelem opiekuńczym jak matka”. Nieźle się z nas nabijano, ale wyrobiliśmy sobie dobrą opinię.

- Awansowano cię?

- W pewien sposób. Ale przede wszystkim, zauważono mnie.

- Oto i nasze ostrygi - oznajmiła Christine. Postawiono przed nimi dwa aromatyczne, podgrzewane półmiski z zapieczonymi muszlami, leżącymi na warstwie grubej soli.

Peter spróbował i skinieniem głowy zaakceptował *Montrachet*.

- Dlaczego w Luizjanie możecie jeść ostrygi przez cały rok - spytała Christine - bez względu na to czy nazwa miesiąca zawiera „r”, czy nie?*

- Możesz jeść ostrygi wszędzie i zawsze - odparł zdecydowanym tonem. - Pomysł z literą „r” w nazwie miesiąca jest starym przesądem, wymyślonym czterysta lat temu przez angielskiego wiejskiego proboszcza. Nazywał się chyba Butler. Naukowcy wyśmiali go, rząd Stanów Zjednoczonych oświadczył, że zasada jest nonsensowna, ale ludzie wciąż w to wierzą.

Christine spróbowała ostrygę *Bienville*.

- Zawsze sądziłam, że chodzi o ich okres rozmnażania.

- Niektóre ostrygi rzeczywiście rozmnażają się w określonych porach roku... w Nowej Anglii i Nowym Jorku. Ale nie w Zatoce Chesapeake, w której znajdują się największe ich skupiska na świecie. Tutaj i na całym południu rozród ostryg może przypadać na dowolną porę roku. A więc nie ma żadnego sensownego powodu, dla którego mieszkańcy Północy nie mieliby jeść ostryg przez cały rok, podobnie jak my w Luizjanie.

Milczeli przez chwilę, a potem Christine zapytała:

- Kiedy uczysz się czegoś, zawsze udaje ci się wszystko zapamiętać?

- Najczęściej tak. Mam taką dziwną pamięć, do której wszystko się przyczepia, jak do staroświeckiego lepu na muchy. I czasami to się przydaje.

Otworzył ostrygę *Rockefeller*, napawając się jej delikatnym, anyżkowym aromatem.

- Dlaczego?

- No cóż. Tego samego lata pozwolono mi wykonywać inne prace w hotelu, w tym również pomagać w barze. Zainteresowało mnie to i pożyczyłem parę książek. Jedna dotyczyła sporządzania koktajlów. - Peter przerwał, przywołując w pamięci niemal zapomniane wydarzenia. - Byłem akurat sam w barze, kiedy przyszedł jakiś klient. Nie wiedziałem, kim jest, on jednak zapytał: „Słyszałem, że jesteś bystrym chłopakiem, o którym napisali w „New Yorkerze”. Możesz mi zrobić „Zardzewiały Gwóźdź?”

- Chyba żartował?

- Nie. Ale też tak bym podejrzewał, gdybym kilka godzin wcześniej nie przeczytał,

* Oczywiście, chodzi o nazwy miesięcy w języku angielskim. Litery nie ma w nazwach maja, czerwca, lipca oraz sierpnia i rzekomo wtedy nie należy spożywać ostryg (przyp. tłum.)

jakie są składniki tego koktajlu: drambuie i szkocka. To właśnie miałem na myśli, kiedy mówiłem o szczęściu. W każdym razie przygotowałem mu koktajl, a później klient powiedział mi: „Dobre, ale nie nauczysz się hotelarstwa w ten sposób. Wiele się zmieniło od czasów »Work of Art«”. Odpowiedziałem, że nie widzę się w roli Myron Weagle, ale nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zostać Evelyn Orcham. Roześmiał się. Sądzę, że również czytał Arnolda Bennetta. Potem dał mi swój bilet wizytowy i zaproponował, żebym przyszedł do niego następnego dnia.

- Przypuszczam, że był właścicielem pięćdziesięciu hotelów.

- Jak się okazało, nie był właścicielem niczego. Nazywał się Herb Fischer i był komiwojażerem. Sprzedawał hurtowo wyroby konserwowane. A poza tym był chwalipiętą i natrętem, usiłującym przez cały czas zagadać rozmówcę. Ale znał hotelarstwo i wielu ludzi, którzy się tym zajmowali, bo z nimi przede wszystkim prowadził interesy.

Półmiski z ostrygami zostały zabrane. Następnie kelner, któremu towarzyszył kierownik sali w czerwonej liberii, postawił przed nimi parującą flądrę.

- Boję się jeść - oznajmiła Christine. - Nic już nie może smakować tak bosko jak ostrygi. - Spróbowała soczystą, wspaniale przyrządzoną rybę. - Ooo! Niewiarygodne, ale to jest jeszcze lepsze.

Po upływie kilku minut odezwała się:

- Opowiedz mi o panu Fischerze.

- No cóż, początkowo myślałem, że jest tylko gadułą. W barach można spotkać takich na pęczki. Ale zmieniłem zdanie, kiedy dostałem list z Cornell. Napisano w nim, żebym się zgłosił w Statler Hall - w Szkole Administracji Hotelowej, na rozmowę kwalifikacyjną. Tak się w końcu złożyło, że zaproponowano mi stypendium i przeszedłem tam z uczelni, w której dotąd studiowałem. Potem dowiedziałem się dzięki temu, że Herb nękał kilku hotelarzy, aby mnie zarekomendowali. Mam wrażenie, że był dobrym sprzedawcą.

- Masz wrażenie?

- Nigdy nie byłem całkiem pewny - odparł z namysłem Peter. - Wiele zawdzięczam Herbowi Fischerowi, ale czasami zastanawiam się, czy ludzie nie robili różnych rzeczy, w tym również czy nie załatwiali z nim interesów tylko po to, żeby się od niego odczepić. Kiedy sprawa Cornell została już załatwiona, widziałem się z nim tylko raz. Próbowałem mu podziękować, tak samo zresztą, jak próbowałem go polubić. Ale nie pozwolił mi ani na jedno, ani na drugie. Wciąż tylko się chwalił i opowiadał o interesach, które zrobił albo ma zamiar zrobić. A potem powiedział, że do koledżu muszę mieć nowe ubranie, oczywiście miał rację, i zmusił mnie, żebym pożyczył od niego dwieście dolarów. Musiało to wiele dla niego

znaczyć, bo jak się później dowiedziałem, jego zarobki wcale nie były takie wysokie. Spłacałem dług, wysyłając mu чеки na niewielkie sumy. Większości nie zrealizował.

- Ależ to wspaniała historia. - Christine słuchała go z napięciem. - Dlaczego już się z nim nie widziałeś?

- Umarł - odparł Peter. - Próbowałem kilkakrotnie dotrzeć do niego, ale nigdy mi się nie udało. A mniej więcej rok temu zadzwonił do mnie jego adwokat, Herb najwidoczniej nie miał żadnej rodziny. Poszedłem na pogrzeb. I zobaczyłem, że było nas ośmiu, ośmiu chłopaków, którym pomógł w identyczny sposób. I co najciekawsze, mimo że ciągle tak się chwalił, nigdy żadnemu z nas nie wspomniał o pozostałych.

- Chce mi się płakać - powiedziała Christine.

- Wiem. - Skinął głową. - Ja też miałem na to ochotę. Mam wrażenie, że czegoś się wtedy nauczyłem, chociaż nie jestem zupełnie pewien, czego. Może tego, że niektórzy ludzie odgradzają się wielkim murem, ale przez cały czas pragną, abyś tę przegrodę zburzył. Jeżeli tego nie zrobisz, nigdy do końca ich nie poznasz.

Christine piła kawę w milczeniu, wspólnie bowiem postanowili zrezygnować z deseru.

- Czy ktokolwiek z nas wie, czego pragniemy sami dla siebie? - zapytała.

- Sądzę, że nie do końca - odparł po chwili zastanowienia Peter. - Ale wiem, co chciałbym osiągnąć, przynajmniej w przybliżeniu.

Skinął na kelnera i poprosił o rachunek.

- Powiedz mi.

- Zrobię coś lepszego - odparł. - Pokażę ci.

Po wyjściu od „Brennana” zatrzymali się, aby przyzwyczać się do panującego na zewnątrz upału. Miasto było cichsze niż godzinę temu. Kilka okolicznych świateł przygasало, w miarę jak nocne życie French Quarter przenosiło się w inne rejony. Peter wziął Christine pod rękę i poprowadził ją na ukos przez Royal Street. Zatrzymali się na południowo zachodnim rogu St. Louis i spojrzeli prosto przed siebie.

- To właśnie chciałbym stworzyć - oznajmił. - Coś równie dobrego, a może i lepszego.

Za eleganckimi balustradami balkonów i żelaznymi kolumnami migoczące, gazowe latarnie rzucały światła i cienie na biało-szarą, klasycystyczną fasadę hotelu Royal Orleans. Zza ostrołukowych okien przedzielonych kolumnkami sączyło się ciepłe, bursztynowe światło. Przed wejściem do hotelu przechadzał się odźwierny w bogato złożonej liberii i okrągłej czapce z daszkiem. Wysoko w górze trzepotały szarpane nagłym porywem wiatru flagi i transparenty. Podjechała taksówka. Odźwierny podszedł szybko i otworzył drzwiczki. Zastukały kobiece obcasy, rozległ się męski śmiech i para wsiadła. Trzasnęły drzwi i

taksówka odjechała.

- Są ludzie - stwierdził Peter - którzy uważają, że Royal Orleans jest najlepszym hotelem w Ameryce Północnej. Nieważne, czy się z tym zgadzasz. Ale na pewno stanowi przykład, jak dobry może być hotel.

Przeszli St. Louis, kierując się w stronę miejsca, w którym już dawno temu stał hotel, stanowiący punkt, wokół którego ogniskowało się życie kreolskiego społeczeństwa. Potem był tam targ niewolników, szpital w czasie wojny domowej, stanowy Kapitol, a obecnie znowu hotel. Peter mówił dalej, z nie słabnącym entuzjazmem:

- Wszystko tu jest - historia, styl, nowoczesne wyposażenie i wyobraźnia. W projektowaniu brały udział dwa zespoły architektów - jeden, lansujący tradycyjne wzorce, drugi - ukierunkowany na nowoczesność. Udowodniły, że można budować od nowa, zachowując przy tym dawny charakter.

Gdy wchodzili do środka, odźwierny przestał spacerować i otworzył przed nimi główne drzwi. Gigantyczne rzeźby Murzynów pilnowały schodów z białego marmuru, prowadzących do głównego holu.

- Najśmieszniejsze z tego wszystkiego jest to - stwierdził Peter - że Royal Orleans, zachowując swój indywidualny charakter, należy jednak do sieci. Ale nie takiej jak Curtisa O'Keefego - stwierdził kąśliwie.

- Bardziej w stylu Petera McDermotta?

- Daleko mi jeszcze do tego. Zwłaszcza, że jak pewnie wiesz, zrobiłem spory krok wstecz.

- Tak - odparła Christine. - Wiem. Ale mimo wszystko dokonasz tego. Zakładam się o tysiąc dolarów, że w końcu ci się uda.

Uścisnął jej ramię.

- Jeżeli masz tyle pieniędzy, to lepiej zainwestuj je w akcje Hotelu O'Keefego.

Przeszli przez cały hol Royal Orleans - dominował w nim biały marmur i utrzymane w białych, cytrynowych i śliwkowych odcieniach gobeliny - a potem wyszli na Royal Street.

Przez półtorej godziny spacerowali po French Quarter. Zatrzymali się w Preservation Hall, aby mimo wielkiego upału i zatłoczonych ławek cieszyć się najczystszy jazzem dixieland. Odpoczęli na względnie chłodnym Jackson Square, popijając kawę na francuskim rynku od strony rzeki, obejrzeni trochę złych dzieł sztuki, których pełno można znaleźć w Nowym Orleanie. Aż w końcu usiedli pod gwiazdami i przyćmionymi przez drzewa światłami Court of Two Sisters i pili przez słomkę zimny, miętowy napój.

- To było cudowne - powiedziała Christine. - Teraz mogę już iść do domu.

Kiedy szli w stronę Iberville i zaparkowanego samochodu, zaczepił ich mały Murzynek z tekturowym pudłem i szczotkami.

- Wyczyścić buty, psze pana?

Peter pokręcił głową.

- Za późno, synu.

Chłopiec stał, zagradzając im drogę i błyszczącymi oczyma wpatrywał się w buty Petera. - Założę się o dwadzieścia pięć centów, że dokładnie określę, gdzie pan trzyma te buty. Jeżeli mi się uda, płaci mi pan dwadzieścia pięć centów. Jeżeli nie - ja płacę panu.

Peter przechowywał tę parę butów w swoim pokoju w hotelu. Zawahał się, przekonany, że chłopak nigdy na to nie wpadnie, ale mimo wszystko skinął głową.

- Dobra.

Chłopak podniósł wzrok.

- Masz pan te buty na nogach i trzymasz je pan teraz na betonowym chodniku Royal Street w mieście Nowy Orlean w stanie Luizjana. Proszę pamiętać, miałem powiedzieć, gdzie pan te buty trzyma, a nie przechowuje.

Roześmieli się, i gdy Peter dawał chłopakowi ćwierć dolara, Christine wzięła go pod ramię. Jadąc na północ, w stronę mieszkania Christine, śmiali się przez całą drogę.

13.

W jadalni apartamentu Warrena Trenta, Curtis O'Keefe z przyjemnością rozpałał cygaro, które wybrał z humidora podsuniętego przez Aloysiusa Royce'a. Bogaty aromat dymu przyjemnie łączył się ze smakiem koniaku louis XIII. Po lewej ręce O'Keefego, szczytu dębowego stołu, przy którym jedli wspaniały pięciodaniowy obiad serwowany przez Royce'a, zasiadał majestatycznie jak patriarcha Warren Trent. Dodo, w obcisłej czarnej sukni, zaciągnęła się tureckim papierosem, podanym i przypalonym przez młodego Murzyna.

- O jejku - westchnęła. - Czuję się, jakbym zjadła całą świnię.

O'Keefe uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Doskonały obiad, Warrenie. Podziękuj, proszę, swojemu szefowi kuchni.

Właściciel St. Gregory'ego kiwnął głową.

- Będzie zaszczycony, jeżeli dowie się, od kogo pochodzi pochwała. A przy okazji mogę cię zapewnić, że dokładnie te same dania podawano dzisiaj wieczorem w głównej restauracji.

Informacja ta nie wywarła na gościu szczególnego wrażenia. Jego zdaniem, wielkie,

wymyślne menu równie dobrze pasowało do restauracji hotelowej, jak pasztet z gęsich wątróbek do baru szybkiej obsługi. Opinię tę zdawały się potwierdzać dokonane obserwacje. Gdy nieco wcześniej wieczorem zajrzał do głównej restauracji St. Gregory'ego, okazało się, że w porze, kiedy powinna przeżywać największy natłok gości, jej wielka sala zajęta była zaledwie w jednej trzeciej.

W imperium O'Keefego obiady były standardowe i uproszczone, a liczba dań ograniczona do kilku najbardziej popularnych. Zasada ta wynikała z opartego na doświadczeniach przekonaniu O'Keefego, że konsumpcyjne gusty publiczności są wszędzie takie same i zazwyczaj nie odznaczają się oryginalnością. W każdym hotelu O'Keefego jedzenie przygotowywano i podawano w idealnie aseptycznych warunkach, ale na pewno nie było ono przeznaczone dla smakoszy. Curtis uważał ich za nie przynoszącą zysku mniejszość.

- Niewiele jest hoteli, które prowadzą taką kuchnię - zauważył. - Większość musiała zmienić zasady postępowania.

- Ale nie wszystkie. Dlaczego miałyby to obowiązywać każdego?

- Dlatego, że od lat naszej młodości, Warrenie, sposób prowadzenia tego interesu uległ zmianie. I nieważne, czy się to nam podoba, czy nie. Czasy „mojego gościa” i spełniania osobistych życzeń minęły. Może kiedyś ludziom na tym zależało, ale to już przeszłość.

Stanowczość brzmiąca w głosie obu mężczyzn zdawała się oznaczać, że z chwilą zakończenia posiłku zniknęła również potrzeba zachowywania pozorów. Dodo ze zdziwieniem spoglądała swymi błękitnymi oczyma na rozmawiających. Sprawiała wrażenie, jakby śledziła jakąś nie do końca zrozumiałą akcję na scenie teatralnej. Aloysius Royce stał, odwrócony tyłem, przy kredensie.

- Nie wszyscy się z tym zgadzają - odparł ostro Warren Trent.

O'Keefe popatrzył uważnie na żarzący się czubek cygara.

- Każdy, kto jest innego zdania, może się o tym przekonać porównując swoje bilanse z moimi wynikami finansowymi. Ty także.

Trent zaczerwienił się i zacisnął usta.

- Obecna sytuacja jest tylko przejściowa. Zdarzyła się już kilkakrotnie. Minie, tak samo jak poprzednie.

- Nie. Jeżeli tak uważasz, sam wkładasz głowę w pętlę. A po tylu latach, Warrenie, zasługujesz na lepszy los.

Zapadła chwila ciszy, a potem rozległo się niechętnie mruknięcie.

- Nie po to poświęciłem całe życie na stworzenie z tego hotelu symbolu gościnności, żeby teraz być świadkiem, jak zamienia się go w tani dom noclegowy.

- Jeżeli mówisz o moich placówkach, to muszę stwierdzić, że żadna z nich nie jest tanim domem noclegowym. - Tym razem O'Keefe zaczerwienił się ze złości. - I wcale nie jestem pewien, czy St. Gregory jest rzeczywiście symbolem gościnności.

Lodowate milczenie przerwała Dodo:

- Czy to będzie prawdziwa walka, czy tylko gadanie?

Obydwaj mężczyźni roześmieli się, ale śmiech Trenta brzmiał nieco mniej szczerze. Wreszcie Curtis O'Keefe uniósł dłonie pojednawczym gestem.

- Dodo ma rację. To bez sensu, żebyśmy się kłócili. Nawet jeśli działamy każdy na swój sposób, możemy przecież w dalszym ciągu być przyjaciółmi.

Trent przytaknął. Już się opanował. Zresztą, jego wybuch sprzed paru minut spowodowany był raczej atakiem ischiasowego bólu, który na szczęście już minął. Jednak trudno, pomyślał z goryczą, żebym nie czuł niechęci do tego szczęściarza, którego finansowe sukcesy tak bardzo różnią się od moich wyników.

- Wymagania dzisiejszych klientów hoteli - stwierdził O'Keefe - można sprowadzić do trzech słów: wydajna, ekonomiczna oferta. Możemy ją jednak realizować tylko wtedy, gdy przeprowadzimy precyzyjne wyliczenie kosztów każdego działania: naszych gości i naszego. Wydajne zaplecze techniczne, a przede wszystkim minimalna lista płac. Co oznacza automatyzację eliminującą wszędzie, gdzie to możliwe ludzką obsługę i staroświecką gościnność.

- Tylko tyle? Odrzucasz wszystko, co zawsze było cechą dobrego hotelu? Czyżbyś także twierdził, że dobry hotelarz nie odciska indywidualnego piętna na swojej firmie? - Właściciel St. Gregory'ego parsknął pogardliwie. - Gość w twoim hotelu wcale nie odczuwa, że jest mile widziany, że jest kimś szczególnym, otaczanym sympatią i uwagą niezależną od płaconego przezeń rachunku.

- Złudzenie, na którym wcale mu nie zależy - zaprotestował stanowczo O'Keefe. - Hotel jest gościnny tylko dlatego, że się to opłaca i w ostatecznym rachunku gościnność jest bez znaczenia. Ludzie dostrzegają fałsz i wcale go sobie nie życzą. Ale szanują otwarte stawianie sprawy: uczciwy zysk dla hotelu i uczciwa cena dla gościa. Właśnie na tych zasadach funkcjonują moje obiekty. Oczywiście, zapewniam cię, że dla tych, którzy mają szczególne wymagania i chcą zapłacić za dodatkowe usługi, zawsze znajdą się odpowiednie apartamenty. Ale jest ich niewiele i nie dla każdego. Jeżeli właściciele wielkich hoteli, takich jak twój, chcą wyjść obronną ręką ze współzawodnictwa, muszą kierować się identycznymi kryteriami.

- Chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, że sam zadbam o siebie - mruknął

Trent.

O'Keefe pokręcił ze zniecierpliwieniem głową.

- Nie traktuj tego jako osobistej aluzji. Mówię o tendencjach, a nie o szczegółach.

- Do diabła z tendencjami! Mój instynkt mówi mi, że wciąż jest wiele osób, które lubią podróżować pierwszą klasą. A ci oczekują czegoś więcej niż tylko pomieszczeń z łózkami.

- Niedokładnie mnie cytujesz, ale mniejsza o to. - Curtis O'Keefe uśmiechnął się chłodno. - Posłużę się jednak przykładem, którego użyłeś, Poza sporadycznymi przypadkami, pierwsza klasa stała się przeżytkiem, przestała istnieć.

- Dlaczego?

- Bo odrzutowce pasażerskie sprawiły, że podróże pierwszą klasą stały się anachroniczne, a razem z nimi zniknął pewien sposób myślenia. Przedtem, ten sposób podróżowania wyróżniał człowieka spośród innych. Ale odrzutowiec skrócił czas przemieszczania się z miejsca na miejsce, przestała się więc opłacać nadmierna rozrzutność. Coraz mniej ludzi korzystało z pierwszej klasy i coraz więcej zaczęło wciskać się w fotele w klasie turystycznej, nie przejmując się wcale prestiżem. Jego cena była bowiem zbyt wysoka. Podróżujący turysta uzyskał swój odrębny status i z klasy turystycznej zaczęli korzystać najbogatsi ludzie. Pierwsza klasa, mówili do siebie nad standardowymi tackami z lunchem, jest dla głupców i utracjuszy. W rezultacie, wydajność i oszczędność, które stały się atutem odrzutowców, powinny również kierować interesami hotelowymi.

Dodo bez powodzenia usiłowała stłumić ziewnięcie, przykrywając usta dłonią, a potem zgasila papierosa. Aloysius Royce natychmiast znalazł się przy niej, podał nowego i zgrabnie go przypalił. Uśmiechnęła się ciepło i młody Murzyn odpowiedział przyjaznym, dyskretnym gestem. Niepostrzeżenie zmienił brudne popielniczki na czyste, ponownie napełnił kawą filiżankę Dodo, a potem filiżanki obu mężczyzn. Kiedy wyszedł cicho, O'Keefe zauważył:

- Masz dobrego pracownika, Warren.

- Pracuje u mnie długo - odparł z roztargnieniem Trent.

Kiedy obserwował Royce'a, zastanawiał się, w jaki sposób ojciec Aloysiusa zareagowałby na wiadomość, że hotel wkrótce może przejść w inne ręce. Pewnie wzruszyłby ramionami. Pieniądze, własność niewiele dla niego znaczyły. Trent niemal go słyszał, jak mówi ochryple, energicznym tonem. „Chociaż starasz się robić wszystko po swojemu, może się zdarzyć, że coś ci się ułoży nie tak. Ale stanie się tak dla twojego własnego dobra. Bóg schyla nasze karki i karci naszą pychę przypominając, że niezależnie od tego, jak wielkie

mamy mniemanie o sobie, jesteśmy jedynie jego zbłąkanymi dziećmi.” Potem jednak z wyrachowaną przekorą mógłby dodać: „Ale kiedy w coś wierzysz, musisz o to walczyć. Kiedy polegiesz, na pewno nikogo już nie zastrzelisz, bo nie zdołasz przecież wycelować.”

- Postępując w ten sposób - stwierdził w końcu, kontynuując ten nierówny pojedynek - sprawiasz, że wszystko w hotelu staje się takie cholernie aseptyczne. Twoim hotelom brak ciepła i człowieczeństwa. Nadają się tylko dla robotów z kartami zegarowymi zamiast mózgów i smarem zamiast krwi.

O’Keefe wzruszył ramionami.

- Takie właśnie hotele przynoszą zyski.

- Może finansowe, ale nie w kategoriach stosunków między ludźmi.

O’Keefe puścił mimo uszu tę uwagę i powiedział:

- Mówiłem o hotelarstwie w chwili obecnej. A teraz sięgnijmy myślą nieco dalej. W biurze mam opracowany plan przyszłych kierunków rozwoju. Niektórzy mogą określić go mianem wizji, chociaż jest to raczej udokumentowana koncepcja, czym hotele - a w każdym razie sieć O’Keefego - staną się za parę lat.

Przed wszystkim uprościmy system recepcji i rejestrowania - wszystko będzie trwało zaledwie kilka sekund. Większość naszych gości będzie przylatywać śmigłowcami z portów lotniczych i dlatego główny punkt recepcyjny znajdzie się koło lądowiska usytuowanego na dachu budynku. Poza tym na parterze umieszczone zostaną punkty przyjęć, do których będą mogły podjeżdżać taksówki i limuzyny. Dzięki temu wyeliminowana zostanie konieczność przechodzenia przez główny hol. We wszystkich punktach przyjęć zainstalujemy dyspozytornie sterowane komputerem, do którego mamy już gotowy program.

Jeżeli gość zamówi rezerwację, wyślemy mu kartę kodową, zastępującą klucz. Włożenie jej do odpowiedniej ramki uruchomi indywidualny system transportowy przewożący go prosto do wynajętego pokoju, być może przygotowanego do użytku zaledwie przed kilkoma sekundami. Jeżeli zdarzy się, że obsługa jeszcze go nie przygotowuje... a taka sytuacja jest możliwa również w przyszłości - przyznał O’Keefe - oddamy gościowi do użytku jedną z naszych małych, ruchomych poczekalni. Będą to małe pokoiki z kilkoma krzesłami, umywalką i miejscem na bagaż. Wystarczą, aby przyjeżdżający mógł się odświeżyć po podróży i jednocześnie miał zapewnioną pewną prywatność. Moi inżynierowie opracowują sposób przemieszczania tych poczekalni tak, aby można je było łączyć z odpowiednim pokojem. Dzięki temu gość otworzy jedynie odblokowane przez komputer drzwi i wejdzie do środka własnego numeru.

Ci, którzy przyjadą samochodami, zostaną obsłużeni w podobny sposób. Zakodowane,

ruchome światła skierują ich na odpowiednie miejsce parkowania, z którego inny indywidualny system transportowy dowiezie ich bezpośrednio do pokoju. We wszystkich przypadkach uprościmy obsługę bagażową, stosując wydajne sortowniki i transportery, dzięki którym wszystko znajdzie się na miejscu jeszcze przed gościem.

Projektujemy również zautomatyzowanie innych usług hotelowych. Dostarczanie napojów i posiłków, kwaciarnia, apteka i kiosk gazetowy. Nawet końcowy rachunek będzie przesłany i uregulowany za pośrednictwem pokojowego terminalu dostawczego. Dzięki temu, na przykład, zlikwidujemy cały system napiwków, stanowiący przekleństwo dzisiejszych hoteli i jego gości.

W jadalni o ścianach wyłożonych boazerią zapadła cisza. Magnat hotelowy, wciąż panując niepodzielnie nad uwagą słuchaczy, wypił łyk kawy z filiżanki.

- Projekt budynku i automatyzacji sprowadzi do minimum konieczność wchodzenia do pokoju gościa kogokolwiek z pracowników hotelowych. Chowane w ściany łóżka będą obsługiwane przez maszynę znajdującą się z drugiej strony ściany. Sposoby filtrowania powietrza zostały udoskonalone do tego stopnia, że kurz i brud przestały być problemem. Na przykład dywany można będzie układać na podłogach sporządzonych z drobnej siatki metalowej umieszczonej nad pustą przestrzenią i odkurzane podciśnieniowo raz dziennie.

Wszystko to, a nawet jeszcze więcej, można wprowadzić choćby dzisiaj. Inne nasze problemy, które oczywiście zostaną rozwiązane - Curtis O'Keefe wykonał dłonią znany, pełen lekceważenia gest - dotyczą przede wszystkim spraw koordynacji, budownictwa i inwestycji.

- Mam nadzieję - oznajmił stanowczo Warren Trent - że nie dożyję chwili, w której zobaczę, że coś takiego dzieje się w moim hotelu.

- Oczywiście, że nie zobaczysz - zapewnił go O'Keefe. - Zanim do tego dojdzie, będziemy musieli rozebrać ten budynek i postawić wszystko na nowo.

- Rzeczywiście byś to zrobił? - zapytał wstrząśnięty Trent.

O'Keefe wzruszył ramionami.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie mogę zdradzać długofalowych planów. Ale koncepcja, którą ci przedstawiłem, wkrótce zostanie ogłoszona oficjalnie. Jeżeli sobie zażyczysz, obiecuję ci, że na nowym budynku zostanie umieszczona tablica upamiętniająca St. Gregory'ego i twoje nazwisko.

- Tablica! - parsknął właściciel St. Gregory'ego. - I gdzie ją wmurujesz? W męskiej toalecie?

Dodo zachichotała nagle. Kiedy obydwaj mężczyźni obejrzel się mimowolnie,

zapytała:

- A może toalety też nie będzie? Przecież przy tych wszystkich transporterach nie będzie nikomu potrzebna...

Curtis O'Keefe spojrział na nią ostro. Czasami zastanawiał się, czy Dodo jest rzeczywiście aż tak głupia, na jaką wygląda.

Warren Trent, widząc reakcję Dodo, zaczerwienił się gwałtownie. Odezwał się do niej z wielką galanterią:

- Najmocniej panią przepraszam za niefortunny dobór słów.

- O jejku, niech się pan nie przejmuje. - Dodo była wyraźnie zaskoczona. - Mimo wszystko, to bardzo fajny hotel. - Popatrzyła szeroko otwartymi i niewinnymi oczyma na O'Keefego. - Curtie, czemu musisz go zburzyć?

- Po prostu omawiałem taką możliwość - odparł z irytacją. - W każdym razie, nadeszła już pora, Warrenie, żebyś wycofał się z interesów hotelowych.

Zaskoczył go nieoczekiwanie spokojny ton odpowiedzi Trenta, zwłaszcza że pamiętał jego niedawny wybuch gniewu.

- Nawet gdybym miał na to ochotę, muszę brać pod uwagę inne osoby. Wielu moich starych pracowników ufa mi w takim samym stopniu, jak ja im ufałem. Powiedziałeś, że masz zamiar zastąpić ludzi automatami. Ponieważ o tym wiem, nie mogę tak po prostu odejść. Przynajmniej tyle jestem winien mojemu personelowi w zamian za lojalność, z jaką u mnie pracowali.

- Doprawdy? Czy personel hotelowy kiedykolwiek jest lojalny? Czy wszyscy, albo przynajmniej większość z nich nie sprzedałaby cię natychmiast, gdyby tylko dostrzegli w tym jakąś korzyść dla siebie?

- Zapewniam cię, że nie. Prowadzę ten hotel ponad trzydzieści lat i przez ten czas wytworzyło się w nich poczucie więzi. Być może masz inne doświadczenie pod tym względem.

- W sprawie lojalności zdołałem już sobie wyrobić opinię - odparł z roztargnieniem O'Keefe. Kartkował właśnie w myśli czytany wcześniej raport Ogdena Baileya i jego młodego pomocnika, Seana Halla. To właśnie Halla upomniął, że zbyt widać się w szczegóły, ale jeden mógł się teraz okazać przydany. Hotelarz skoncentrował się. W końcu powiedział:

- Masz starego pracownika, który prowadzi twój bar „Pontalba”, prawda?

- Tak, Toma Earlsore. Pracuje tu równie długo jak ja.

Na swój sposób, pomyślał Trent, Tom Earlsore jest symbolem dawnych

pracowników St. Gregory'ego, których nie mogę opuścić. Osobiście zatrudnił Earlshore'a, kiedy obaj byli jeszcze młodymi ludźmi i obecnie, chociaż główny barman zaczął się już garbić i pracował wolniej, uważał go za jednego ze swoich osobistych przyjaciół. I pomógł Tomowi Earlshore'owi tak, jak dopomógłby przyjacielowi. Dawno temu córeczka Earlshore'ów urodziła się z wrodzonym zwknięciem stawu biodrowego. Przy wydatnej pomocy Trenta została wysłana do Kliniki Mayo, gdzie wykonano udaną operację korekcyjną. Potem Trent po cichu płacił rachunki, a Tom Earlshore wszem i wobec deklarował dozgonną wdzięczność i przywiązanie. Córka Earlshore'a była już mężatką i sama miała dzieci, ale więź między jej ojcem a właścicielem hotelu pozostała bez zmian.

- Jeżeli istnieje człowiek, któremu mógłbym zaufać bez reszty - oznajmił Curtisowi O'Keefemu - jest nim na pewno Tom.

- I byłbyś głupcem - odparł O'Keefe. - Dysponuję informacjami, że naciąga cię, jak może.

W zapadłej nagle ciszy zaczął wymieniać fakty. Istniało mnóstwo sposobów, dzięki którym nieuczciwy barman mógł okradać pracodawcę: nie dolewając do pełna, dzięki czemu uzyskiwał dodatkowego drinka albo dwa z każdej butelki, nie wprowadzając każdej należności do automatycznej kasy, a także sprzedając w barze swój prywatny alkohol, dzięki czemu rimanent nie wykazywał braków, ale zyski szły do jego kieszeni. Wydaje się, że Tom Earlshore stosował wszystkie trzy metody. Zgodnie z obserwacjami, które Sam Hall prowadził przez kilka tygodni, dwaj pomocnicy Earlshore'a byli jego współnikami.

- Pozbawiają cię sporej części dochodu - stwierdził O'Keefe. - Na podstawie moich obserwacji uważam, że proceder ten trwa od dawna.

Warren Trent przez cały czas siedział nieruchomo, z twarzą bez wyrazu, ale jego myśli były pełne goryczy. Mimo, że od tak dawna wierzył w przyjaźń Toma Earlshore'a i czuł do niego zaufanie, nie miał najmniejszej wątpliwości, że informacja, którą mu przekazano jest prawdziwa. Zbyt dobrze znał szpiegowskie metody sieci hotelowych, aby ludzi się, że jest inaczej, bo Curtis O'Keefe nie rzucałby oskarżeń, nie dysponując niepodważalnymi dowodami. Warren Trent od dawna przypuszczał, że zakonspirowani ludzie O'Keefego przeniknęli do jego hotelu na długo przed przybyciem szefa. Nie oczekiwał jednak tak bolesnego, osobistego upokorzenia.

- Powiedziałeś „na podstawie moich obserwacji”. Co to znaczyło? - zapytał.

- Twój rzekomo lojalny personel jest skorumpowany do cna. Nie ma chyba działu, w którym nie oszukiwano by cię i nie okradano. Oczywiście, nie znam wszystkich szczegółów, ale chętnie podzielę się z tobą tymi, które posiadam. Jeżeli zechcesz, mogę kazać

przygotować dla ciebie raport.

- Dziękuję.

Szept Trenta był ledwo słyszalny.

- Pracuje u ciebie zbyt wielu tęgich ludzi. Takie było moje pierwsze spostrzeżenie. Zawsze uważałem, że jest to sygnał ostrzegawczy. Brzuchy mają pełne hotelowego jedzenia i tuczą się twoim kosztem w każdy możliwy sposób.

W małej, przytulnej jadalni panowała cisza, przerywana jedynie stłumionym cykaniem wiszącego na ścianie holenderskiego zegara. Wreszcie wolno i ze zmęczeniem w głosie Warren Trent oznajmił:

- Twoje informacje mogą wpłynąć na zmianę mojej decyzji.

- Tak myślałem. - Curtis O'Keefe miał ochotę zatrzeć ręce, ale opanował się. - Uważam, że nadszedł odpowiedni moment, abyś rozważył moją propozycję.

- Obawiałem się, że dojdiesz do tego - oznajmił sucho Trent.

- Moja propozycja jest uczciwa, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę okoliczności. Mówiąc szczerze, znam dobrze twoją aktualną sytuację finansową.

- Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

- Pozwól, że podsumuję. Posiadasz pięćdziesiąt jeden procent akcji hotelu, dzięki czemu posiadasz pakiet kontrolny.

- Zgadza się.

- W 1939 roku dokonałeś refinansowania hotelu zaciągając dług hipoteczny w wysokości czterech milionów dolarów. Jesteś winien jeszcze dwa miliony, których płatność przypada w najbliższy piątek. Jeżeli nie uda ci się uregulować tego długu, wejdą ci na hipotekę.

- Zgadza się.

- Cztery miesiące temu wystąpiłeś o prolongatę długu. Wniosek został odrzucony. Zaproponowałeś dogodniejsze warunki, które również zostały odrzucone. Od tej pory poszukujesz innych źródeł finansowania. Nie znalazłeś ich. Biorąc pod uwagę, jak niewiele czasu ci zostało, dalsze próby nie mają szans powodzenia.

- Jestem innego zdania - mruknął Trent. - Czasem można uzyskać pożyczkę bardzo szybko...

- Ale nie tak dużą, zwłaszcza, jeżeli weźmie się pod uwagę twój ogromny deficyt budżetowy.

Trent bez słowa zacisnął tylko usta.

- Proponuję ci za ten hotel cztery miliony dolarów - oznajmił Curtis O'Keefe. - Dwa

miliony z powyższej sumy zostaną uzyskane z odnowienia kredytu hipotecznego, co - mogę cię zapewnić - przyjdzie mi bez trudu.

Warren Trent skinął głową, doskonale zdając sobie sprawę z możliwości swojego rozmówcy.

- Jeden milion zostanie wypłacony w gotówce, będziesz więc w stanie spłacić drobnych akcjonariuszy, a drugi w akcjach Hotelu O'Keefego... Wkrótce będzie następna emisja. Dodatkowo, jako wyraz mojego szacunku, będziesz mógł dożywotnio zachować ten apartament. Zapewniam cię również, że w momencie rozpoczęcia prac budowlanych, uzgodnimy inne, równie atrakcyjne rozwiązanie.

Warren Trent siedział nieruchomo. Na jego twarzy nie widać było ani zaskoczenia, ani też innych ogarniających go uczuć. Warunki były lepsze niż oczekiwał. Jeżeli je przyjmie, pozostanie mu mniej więcej milion dolarów - niezłe osiągnięcie jak na odejście w stan spoczynku po trwającej całe życie pracy. Ale będzie to jednak odejście od wszystkiego, co stworzył i co było mu drogie, albo przynajmniej, pomyślał ponuro, co przed chwilą jeszcze było mu drogie.

- Myślę - oznajmił jowialnie O'Keefe - że życie tutaj, bez zmartwień i pod opieką swojego lokaja, będzie raczej do zniesienia.

Nie było sensu tłumaczyć Curtisowi, że Aloysius Royce wkrótce skończy wydział prawa i najprawdopodobniej będzie miał inną wizję swojej przyszłości. Tak więc życie na najwyższym piętrze już nie należące do niego hotelu będzie bardzo samotne.

- Załóżmy, że nie zechcę ci go sprzedać - oznajmił gwałtownie Trent. - Co wtedy zrobisz?

- Poszukam innej nieruchomości i zacznę się budować. Mam wrażenie, że utracisz swój hotel, zanim do tego dojdzie. A nawet gdyby tak się nie stało, nasza konkurencja zmusi cię do wycofania się z interesów.

O'Keefe świadomie mówił zupełnie obojętnym tonem. Ale w tym samym czasie myślał intensywnie. Prawda była nieco inna. Korporacja Hotelu O'Keefego bardzo potrzebowała St. Gregory'ego i to szybko. Brak obiektu w Nowym Orleanie bardzo uszczuplał udział w zyskach z obsługi podróżnych. Sieć nie była w stanie zapewnić podróżnemu miejsca w swoim hotelu w każdym większym mieście, a było to dla niej jednym z warunków powodzenia. Napawało go również niepokojem, że konkurujące z nim sieci hotelowe zdołały wypełnić tę lukę. Sheraton-Charles umocnił się w Nowym Orleanie od dawna. Hilton posiadał hotel lotniskowy i budował drugi w Vieux Carré. Hotelowa Korporacja Ameryki miała Royal Orleans.

Zresztą, warunki proponowane przez Curtisa O'Keefego były całkowicie realistyczne. Jego emisariusze wybadali już wierzycieli St. Gregory'ego, którzy okazali się niechętni do współpracy. Okazało się wkrótce, że mieli zamiar przejąć kontrolę nad hotelem i odczekać, aż pojawi się możliwość dużego zarobku. Był to odpowiedni moment, aby kupić St. Gregory'ego za rozsądną cenę.

- Ile czasu dajesz mi do namysłu? - zapytał Trent.

- Wolałbym, żebyś mi odpowiedział natychmiast.

- Nie jestem na to przygotowany.

- No dobrze - zgodził się O'Keefe. - Jestem umówiony w sobotę w Neapolu. Chciałbym wyjechać tam nie później niż w czwartek wieczorem. Może ustalimy termin na czwartek w południe.

- To mniej niż czterdzieści osiem godzin!

- Nie ma sensu, żeby czekać dłużej.

Warren Trent miał ochotę nalegać, żeby Curtis dał mu trochę więcej czasu. Ale zdrowy rozsądek przypomniał mu, że jest to zaledwie dzień przed piątkowym terminem.

- Zresztą, jeżeli nalegasz... - zgodził się.

- Wspaniale! - O'Keefe uśmiechnął się wylewnie, wstał z fotela i skinął głową Dodo, która spoglądała na Warrena Trenta niemal ze współczuciem. - Musimy już iść, moja droga. Warrenie, dziękujemy ci za gościnność. - Uznał półtoradniową zwłokę za drobną niedogodność. Nie miał przecież wątpliwości, jaki będzie ostateczny rezultat pertraktacji.

Przy drzwiach Dodo zatrzymała się i spojrzała na gospodarza swoimi wielkimi, błękitnymi oczyma.

- Bardzo panu dziękuję, panie Trent.

Ujął jej dłoń i pochylił się.

- Te pokoje nigdy dotąd nie dostąpiły takiego zaszczytu.

O'Keefe spojrzał na niego ostro podejrzewając kpinę, ale uświadomił sobie, że Trent mówi zupełnie szczerze. Dodo miała niesłychany dar nawiązywania kontaktu z niekiedy zupełnie zaskakującymi ludźmi.

W korytarzu palce Dodo dotknęły jego ramienia i Curtis O'Keefe poczuł, że puls zaczyna mu bić szybciej.

Postanowił, że zanim jednak zrobi cokolwiek, pomodli się, dziękując Bogu za wszystko, co przyniósł mu ten dzień.

- Widok dziewczyny szukającej w torebce klucza do mieszkania - zauważył Peter McDermott - jest szalenie podniecający.

- Bo to podwójny symbol - odparła Christine, nie przestając grzebać w torebce. - Mieszkanie oznacza niezależność kobiety, ale zgubienie klucza dowodzi jej kobiecości. O, jest! Znalazłam go.

- Poczekaj! - Peter położył dłonie na ramionach Christine, a potem pocałował ją. Był to długi pocałunek, w czasie którego Peter objął dziewczynę i przytulił mocno do siebie.

Wreszcie, nie mogąc jeszcze złapać tchu, powiedziała:

- Czynnysz mam zapłacony. Nie musimy całować się publicznie.

Peter wziął od niej klucz i otworzył drzwi do mieszkania.

Christine odłożyła torebkę na stolik i opadła na głęboką sofę. Z ulgą zsunęła ze stóp dopasowane, skórzane pantofelki.

Usiadł obok niej.

- Papierosa?

- Tak. Poproszę.

Czuł radość i uniesienie widząc, że Christine znajduje się tu, koło niego. Był pewien, że gdyby tylko zapragnął, mogłoby się zdarzyć to, co byłoby po prostu logiczną konsekwencją ich więzi.

- Bardzo to miło - stwierdziła Christine - tak sobie siedzieć i rozmawiać.

Wziął ją za rękę.

- Przecież nie rozmawiamy.

- To zacznijmy.

- Nie to miałem...

- Wiem. Musimy się zastanowić, Peter, dokąd zmierzamy i dlaczego.

- Czy nie moglibyśmy po prostu rzucić monetą?

- Nie możemy zdawać się na przypadek. Musimy mieć pewność. - Zamyśliła się przez chwilę. - Może to, co stało się przed chwilą, było wynikiem jakiejś reakcji chemicznej?

- Mam wrażenie, że pod względem chemicznym wszystko jest w porządku.

- A więc wydarzenia powinny się rozwijać...

- Ja cię wyprzedzam.

- Pewnie jesteś już w łóżku.

- Leżę po lewej stronie - powiedział rozmarzony. - A ty od ściany.

- Muszę cię rozczarować.

- Nic nie mów. Sam się domyślę. Zapomniałaś umyć zęby. Nie szkodzi. Poczekam.

- Trudno z tobą rozmawiać... - roześmiała się.

- Przyznam się, że nie o mówienie mi...

- Od tego zaczęliśmy.

Peter odchylił się do tyłu i puścił kółko z dymu. Potem drugie i trzecie.

- Zawsze chciałam umieć to zrobić - westchnęła Christine. - Ale nigdy mi się nie udało.

- O jakim rozczarowaniu wspomniałaś? - zapytał.

- Sądzę, że jeżeli to by się zdarzyło... zdarzy, powinno mieć dla nas obojga jakieś znaczenie.

- A dla ciebie by miało?

- Sądzę, że mogłoby mieć. Ale nie jestem pewna.

Miała też inne wątpliwości - jak się będzie czuła potem?

Zgasił oba papierosy. Wziął ją za rękę. Dziewczyna zrozumiała, że nie może już ufać samej sobie.

- Musimy się lepiej poznać. - Wpatrywał się w nią uparcie. - Słowa nie zawsze są do tego najlepsze.

Objął ją, a ona przytuliła się do niego, najpierw ostrożnie, a potem z narastającym podnieceniem. Mówiła jakieś niewyraźne słowa bez związku, a całe opanowanie ulotniło się bez śladu. Drżąca, zasłuchana w bicie swojego serca, powiedziała w myśli: Niech się dzieje, co chce. Wątpliwości, rozważa nie mają już szans. Słyszała przyspieszony oddech Petera. Zamknęła oczy.

Jeszcze chwila. A potem, nieoczekiwanie, nie byli już tak blisko siebie.

- Niekiedy - powiedział Peter - człowiek sobie coś przypomina. Te wspomnienia pojawiają się w najmniej odpowiednim momencie. - Objął ją ponownie, ale tym razem bardziej czule.

- Miałaś rację - szepnął. - Trzeba nam trochę czasu.

Poczuła, jak całuje ją delikatnie, a potem usłyszała oddalające się kroki. Potem otworzyły się i zamknęły drzwi wejściowe.

- Peter, najdroższy - szepnęła. - Nie musisz odchodzić. Proszę cię, nie idź.

Odpowiedziała jej jedynie cisza, a potem odległy szum zjeżdżającej windy.

15.

Do końca wtorkowego dnia pozostało już tylko kilka minut.

W lokalu ze striptisem na Bourbon Street szerokobiodra blondyna przycisnęła się mocniej do towarzyszącego jej mężczyzny. Jedną dłoń opierała na jego biodrze, palce drugiej gładziły go po karku.

- Jasne - powiedziała. - Jasne, że chcę iść dzisiaj z tobą do łóżka, kochanie.

Powiedział, że nazywa się Stan Jakiśtam, z jakiegoś zadupia w Iowa, o którym nawet nie słyszała. A jeżeli jeszcze raz na mnie chuchnie, pomyślała, puszcze pawia. To nie paskudny oddech, ale wyziew wprost ze ścieku.

- Na co więc czekamy? - zapytał bełkotliwie mężczyzna. Ujął jej dłoń i przesunął wyżej po swoim biodrze. - Mam tu dla ciebie coś specjalnego, dziecinko.

Wszyscy są tacy sami, pomyślała z pogardą. Świntuszące chwalipięty. Przychodzą tu i są święcie przekonani, że mają między nogami coś wyjątkowego, o czym marzą wszystkie kobiety. Są z tego tacy dumni, jakby sami to wyhodowali niby jakiś rekordowy ogórek. Najprawdopodobniej, gdyby tego faceta poddać prawdziwej próbie ogniowej, okazałoby się, że jest równie kiepski i mazgajowaty jak inni. Ale nie miała zamiaru przekonywać się o tym. Boże! - ten cuchnący oddech!

Kilka stóp od stolika niezgrana jazzowa kapela, zbyt marna, żeby występować w lepszych lokalach na Bourbon Street, takich jak „Famous Doors” albo „Paddock”, kończyła nierówno swój akompaniament. Towarzyszył tańcowi - jeżeli niewprawne kołysanie się w biodrach można było nazwać tańcem - niejaki Jane Mansfield. Na Bourbon Street często stosowano ten chwyt polegający na nadawaniu lekko przekręconego nazwiska głośnej aktorki jakiejś zupełnie nieznannej striptiserce w nadziei, że któryś z przechodniów da się na to nabrać.

- Słuchaj no ty - powiedział ze zniecierpliwieniem facet z Iowy. - Czemu stąd nie spadamy?

- Już ci powiedziałam, kochany. Pracuję tutaj. Jeszcze nie mogę wyjść. Mam później swój numer.

- Pieprzę twój numer!

- Oj, kochanie, nie jesteś miły.

Biodrzasta blondyna zrobiła minę jakby nagle ją olśniło i zapytała:

- W którym hotelu mieszkasz?

- W St. Gregorym.

- Niedaleko stąd.

- Możesz wyskoczyć z majtek za pięć minut.

- Czy nie postawisz mi najpierw drinka? - zwróciła mu uwagę.

- Jasne, że postawię! Chodźmy!

- Stanley, kochanie, poczekaj! Mam pomysł.

Mówię swój tekst gładziutko, pomyślała, jak z nut. Nic dziwnego. W końcu to już chyba tysięczny występ, parę setek w tę lub w tamtą stronę. Przez ostatnie półtorej godziny Stan Jakiśtam posłusznie dreptał utartym szlakiem. Pierwszy drink - za czterokrotnie wyższą cenę, niż zapłaciłby w uczciwej knajpie. Potem kelner przyprawdza ją do stolika. Piją kilka drinków, chociaż podobnie jak inne dziewczyny, które pracują na procencie, ona dostaje zimną herbatę zamiast taniej whisky przeznaczonej dla gości. Potem daje znak kelnerowi, że może iść na całego i podać butelkę miejscowego szampana, za którą rachunek wyniesie czterdzieści dolarów. Stanley Fujara jeszcze o tym nie wie, ale niech tylko spróbuje nie zapłacić!

Została więc już tylko jedna rzecz do zrobienia. Musi splawić faceta, choć może przy okazji i na tym uda się jej trochę zarobić. W końcu należy się jej mała premia za znoszenie tego cuchnącego oddechu.

- Jaki masz pomysł, dziecino?

- Zostaw mi swój klucz do pokoju. Dostaniesz w recepcji drugi. Zawsze mają zapasowe. Kiedy tylko skończę tutaj, przyjdę do ciebie. - Zacisnęła palce na udzie mężczyzny. - Możesz już zacząć szykować się na bal.

- Będę gotów.

- Świetnie! Daj mi klucz.

Miał go już w ręku. Ale trzymał mocno.

- Hej, czy na pewno... - zapytał z powątpiewaniem w głosie.

- Kochanie, obiecuję ci, że zaraz przylecę. - Jej palce poruszyły się obiecująco. Ten obrzydliwy palant zaraz zmoczy sobie gacie. - Stan, która dziewczyna by tego dla ciebie nie zrobiła?

Wcisnął klucz do jej dłoni.

Zanim zdążył zmienić zdanie, odeszła od stolika. Kelner załatwi resztę, a jeżeli Śmierdzący Chuch zacznie się awanturować na widok rachunku, kelnerowi pomoże bramkarz. Ale chyba nie będzie się stawiał, po prostu nigdy tu nie wróci. Jelenie zawsze są tacy.

Zastanawiała się, jak długo będzie leżał i czekał na nią w swoim pokoju hotelowym i kiedy w końcu się domyśli, że nie będzie upojnej nocy.

Mniej więcej dwie godziny później, pod koniec dnia równie ponurego jak pozostałe, choć może bardziej korzystnego finansowo, biodrzasta blondyna sprzedała klucz za dziesięć dolarów.

Kupił go „Kluczyk” Milne.

Środa

1.

Kiedy pierwsze szare przebliski świtu zaczęły nieśmiało pojawiać się nad Nowym Orleanem, „Kluczyk” Milne siedział na łóżku w swoim pokoju w St. Gregorym. Był wypoczęty, czujny i gotów do pracy.

Przez całe minione popołudnie i wieczór smacznie spał. Potem poszedł na krótki spacer i wrócił o drugiej w nocy. Znowu spał przez półtorej godziny i obudził się dokładnie o zaplanowanym czasie. Wstał, ogolił się, wziął prysznic, włączając na ostatnią minutę zimną wodę. Najpierw poczuł szczypanie, a potem całe ciało zaczęło go palić, kiedy energicznie rozcierał je ręcznikiem.

Jednym z obowiązkowych rytuałów przed wyruszeniem na zwiady było założenie czystej bielizny i wykrochmalonej koszuli. Teraz czuł przyjemną świeżość materiału, dodatkowo wzmagającą wrażenie niezbędnego napięcia. Jeżeli nawet pojawiła się krótka, nieprzyjemna myśl - cień obawy, że w razie wpadki wsadzą go na piętnaście lat - odpędził ją natychmiast.

Sprawność, z jaką udało mu się przeprowadzić przygotowania, bardzo podniosła go na duchu.

Od chwili przyjazdu powiększył swoją kolekcję kluczy z trzech do pięciu.

Jeden z dwóch dodatkowych kluczy uzyskał poprzedniego wieczoru w najprostszy sposób - poprosił o niego w recepcji. Jego pokój miał numer 830. Zażądał klucza do 803.

Zanim to zrobił, podjął pewne środki ostrożności. Upewnił się, że klucz 803 jest w swojej przegródce, ale oprócz niego nie ma tam żadnej korespondencji. Gdyby ją zobaczył, poczekałby. Recepcjonista, podając list czy pozostawioną informację zazwyczaj pytał o nazwisko. Milne czekał więc, aż przy recepcji będzie więcej osób i przyłączył się do kolejki. Otrzymał klucz bez słowa. Gdyby pojawiły się jakieś problemy, mógłby zawsze powiedzieć, że pomylił numer.

Fakt, że tak łatwo zrealizował swój plan, uznał za dobry znak. Miał zamiar później, gdy rozpocznie pracę następną zmianą recepcjonistów, tą samą metodą zdobyć również klucze od 380 i 930.

Zastosował też skutecznie drugi sposób. Dwie noce wcześniej, dzięki godnym zaufania kontaktom, dokonał pewnych uzgodnień z dziewczyną z Bourbon Street. Dostarczyła mu piąty klucz i obiecała następne.

Jedynie dworzec kolejowy, na którym asystował przy odjeździe kilku pociągów, zawiódł jego oczekiwania. Podobne sytuacje zdarzyły się już przy innych okazjach i „Kluczyk” postanowił wyciągnąć z tego wnioski. Najwidoczniej podróżujący pociągami byli bardziej konserwatywni niż korzystający z samolotów i być może ostrożniej obchodzili się z hotelowymi kluczami. Postanowił więc w swojej zawodowej działalności zrezygnować z dworców kolejowych.

Spojrzał na zegarek. Nie było sensu dalej zwlekać, chociaż uświadomił sobie nagle dziwną niechęć do wstania z łóżka. Zmusił się jednak i rozpoczął następne przygotowania.

W łazience nalał jedną trzecią szklaneczki szkockiej whisky. Wypłukał nią usta, potem gardło i wypłuł do umywalki, nie przelękając ani kropelki.

Potem wziął egzemplarz gazety, wczesne wydanie „Times-Picayune”, które kupił w nocy - i włożył pod pachę.

Wreszcie sprawdził, czy jego kolekcja kluczy jest odpowiednio rozmieszczona w różnych kieszeniach i wyszedł z pokoju.

W butach na miękkiej podeszwie stąpał bezszelestnie, gdy schodził służbową klatką schodową z ósmego piętra na szóste. Szedł lekko, bez pośpiechu. Na korytarzu szóstego piętra spojrzał najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Ponieważ ktoś mógł go akurat obserwować, postarał się zrobić to dyskretnie.

Korytarz był pusty i cichy.

„Kluczyk” zapoznał się już z planami hotelu i systemem numeracji pokoi. Wyjął klucz od 641 z wewnętrznej kieszeni i trzymając go niedbale w dłoni, ruszył bez pośpiechu w kierunku, w którym znajdował się pokój.

Klucz ten jako pierwszy zdobył w Porcie Lotniczym Moisant. Milne niewątpliwie był człowiekiem systematycznym.

Drzwi 641 znajdowały się na wprost niego. Zatrzymał się. Nie widać światła. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk. Wyjął rękawiczki i włożył je na ręce.

Czuł, jak jego zmysły stają się jeszcze bardziej wyczulone. Bezszelestnie wsunął klucz do zamka i przekręcił. Drzwi otworzyły się cicho. Wyjął klucz i wszedł do środka, przysmykając je za sobą.

Panującą w środku ciemność rozświetlała nieco blada szarość przedświt. „Kluczyk” stał przez chwilę nieruchomo, starając się zorientować w rozkładzie pokoju, a tymczasem

jego wzrok przyzwyczajął się do półmroku. Między innymi właśnie dlatego doświadczeni złodzieje hotelowi woleli działać o tej porze. Światła było wystarczająco dużo, aby można było dostrzec i ominąć przeszkody, ale jednocześnie przy pewnej dozie szczęścia, samemu pozostać nie zauważonym. Innym, nie mniej istotnym powodem był fakt, że o tej porze życie w każdym hotelu właściwie zamierało. W miarę jak zbliżał się koniec służby, nocna zmiana stawała się coraz mniej czujna, a dzienni pracownicy jeszcze się nie pojawiali. Goście - nawet ci, którzy wracali z zabaw albo późno kładli się spać - znajdowali się w swoich pokojach i najprawdopodobniej smacznie chrapali. Świt dawał również wrażenie bezpieczeństwa sugerując, że nocne zagrożenia już minęły.

„Kluczyk” dostrzegł bezpośrednio przed sobą zarys toaletki. Po prawej stronie majaczyło łóżko. Dobiegał stamtąd miarowy oddech świadczący o tym, że leżący w nim mężczyzna śpi głęboko.

Toaletka była pierwszym miejscem, w którym należało szukać pieniędzy.

Poruszał się ostrożnie. Najpierw zataczał stopą łuk, badając, czy nie ma przed nim jakichś przedmiotów, o które mógłby się potknąć. Wyciągnął rękę i dotknął brzegu toaletki. Przesunął czubkami palców po jej blacie.

Palce w rękawiczkach napotkały niewielki stos monet. Trzeba zostawić je w spokoju! Zabierając drobne narobi hałasu. Ale tam gdzie jest bilon, powinien leżeć i portfel. Jest! Znalazł go. Był sympatycznie pękaty.

Nagle cały pokój zalało jaskrawe światło.

Nastąpiło to tak niespodziewanie, bez żadnego ostrzeżenia, że refleks „Kluczyka”, z którego był zawsze taki dumny, tym razem zawiódł go całkowicie.

Zareagował odruchowo. Upuścił portfel i z miną winowajcy obrócił się w stronę światła. Mężczyzna w piżamie zapalił nocną lampę i usiadł wyprostowany na łóżku. Był młody, muskularny i wściekły.

- Co, u diabła, pan robi? - zapytał agresywnie.

„Kluczyk” stał, wytrzeszczając głupio oczy. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

Najprawdopodobniej, uznał później „Kluczyk”, rozbudzony mężczyzna potrzebował sekundy lub dwóch, żeby zebrać myśli i dlatego nie zauważył reakcji niespodziewanego gościa. Milne uświadomił sobie, że tracił bezcenną przewagę. Swoją manewr rozpoczął z opóźnieniem.

Kołysząc się jak pijany odpowiedział bełkotliwie:

- Jak to, co ja robię? To ja się pytam, co pan robisz w moim łóżku?

Niepostrzeżenie zsunął z dłoni rękawiczki.

- Do cholery! To przecież moje łóżko! I mój pokój!

„Kluczyk” podszedł bliżej i jego przesycony oparami whisky oddech prawił, że mężczyzna w łóżku odsunął się z niesmakiem. Myśli Milne’a pracowały teraz ze zwykłą sprawnością i absolutnym spokojem. Już przedtem udawało mu się wyłgać z podobnych, niebezpiecznych sytuacji.

Zdawał sobie sprawę, że przede wszystkim musi przejść do defensywy, porzucić agresywny ton, w przeciwnym bowiem razie gość może się przestraszyć i wezwać pomoc. Chociaż ten wyglądał na faceta, który sam byłby w stanie poradzić sobie z niebezpieczeństwem.

„Kluczyk” zrobił głupią minę.

- Pański pokój? Jesteś pan pewien?

Mężczyzna w łóżku był jeszcze bardziej wściekły.

- Cholerny moczymordo! Jasne, że jestem pewien!

- To 614?

- Ty głupi palancie! 641.

- Przepraszam, stary! Chyba się pomyliłem.

„Kluczyk” wyjął spod pachy gazetę. Nosił ją, aby spotęgować wrażenie, że wszedł prosto z ulicy.

- Masz tu pan poranną gazetę. Specjalna dostawa.

- Nie chcę twojej cholernej gazety. Weź ją sobie i wynocha!

Udało się! Po raz kolejny opłaciło się przygotować sobie drogę odwrotu.

Szedł już w stronę drzwi.

- Powiedziałem, że przepraszam, stary. Nie ma co się wściekać. Już idę.

Był już prawie za drzwiami, a mężczyzna w łóżku wciąż patrzył wściekle w jego stronę. Przekreślił gałkę klamki, ujmując ją przez złożoną rękawiczkę. Udało się. „Kluczyk” zamknął drzwi za sobą.

Usłyszał, że mężczyzna w środku wstaje z łóżka. Dobiegł go odgłos kroków zmierzających do drzwi, a potem szcęk zakładanego łańcucha. „Kluczyk” czekał.

Przez całe pięć minut tkwił bez ruchu w korytarzu, aby się zorientować, czy mężczyzna zatelefonuje na dół. W takim przypadku, Milne powinien jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju, zanim zostanie podniesiony alarm. Na szczęście nie rozległ się żaden dźwięk, ani odgłos rozmowy telefonicznej. Niebezpieczeństwo minęło.

Ale później sprawa może wyglądać inaczej.

Kiedy gość z 641 znowu się obudzi, przypomni sobie wszystko, co się zdarzyło. Być

może zacznie sobie zadawać pytania. Na przykład: w jaki sposób, jeżeli nawet ktoś pomylił pokoje, zdołał wejść do środka i jakim cudem jego klucz pasował? A skoro już wszedł, to dlaczego stał w ciemności zamiast zapalić światło? Była również sprawa początkowej reakcji Milne'a i jego miny winowajcy. Inteligentny i w pełni obudzony człowiek może odtworzyć tę część sceny i zacząć mieć pewne wątpliwości. W każdym razie, będzie miał dość powodów, żeby zadzwonić z oburzeniem do kierownictwa hotelu.

Kierownictwo zapewne oddeleguje detektywa hotelowego, a ten szybko zorientuje się w sytuacji. Oczywiście, przeprowadzi rutynową kontrolę. Skontaktuje się z mieszkańcem pokoju 614 i prawdopodobnie lokatorzy obu pokoi zostaną skonfrontowani. Każdy z nich oznajmi, że nie widział tego drugiego na oczy. Detektyw nie będzie tym wcale zdziwiony, bo potwierdzą się jego przypuszczenia, że w budynku grasuje zawodowy złodziej hotelowy. Wiadomość szybko się rozniesie i już na samym początku zaplanowanej przez „Kluczyka” kampanii cały personel hotelu będzie o wiele bardziej czujny.

Bardzo też prawdopodobne, że hotel skontaktuje się z miejscową policją. Ta z kolei poprosi FBI o informacje na temat znanych złodziei hotelowych. A kiedy nadejdzie taka lista, z całą pewnością znajdzie się na niej nazwisko Juliusa „Kluczyka” Milne'a. Będą również fotografie policyjne, które zostaną pokazane pracownikom hotelowym - w recepcji i innym.

Na dobrą sprawę, powinien się spakować i uciec. Jeżeli się pośpieszy, zdoła zwiać z miasta w niecałą godzinę. Wszystko było jednak bardziej skomplikowane. Zainwestował przecież pieniądze: w samochód, motel, pokój hotelowy, dziwkę z baru. A jego fundusze były prawie na wyczerpaniu. Zanim wyjedzie z Nowego Orleanu, musiał zdobyć łup i to dobry. Pomyśl jeszcze raz, powiedział sobie „Kluczyk”. Pomyśl dobrze.

Na razie brał pod uwagę najgorszy wariant wydarzeń. A przecież można spojrzeć na wszystko jeszcze z innej strony.

Nawet jeżeli wypadki potoczą się zgodnie z jego przewidywaniami, będzie to kwestia kilku dni. Nowoorleańska policja miała przecież inną sprawę na głowie. Według informacji zawartych w porannych gazetach, wszyscy detektywi zostali zmobilizowani do poszukiwania sprawcy wypadku drogowego - podwójnego zabójstwa, którym całe miasto było wstrząśnięte. Mało więc prawdopodobne, aby nagle przestali się tym zajmować - tym bardziej, że tu, w hotelu, nie została popełniona żadna zbrodnia. W końcu jednak zainteresują się i tą sprawą. Jak zawsze.

Ile ma czasu? Ostrożnie licząc, jeden dzień spokoju, może dwa. Przemyślał wszystko bardzo starannie. Chyba tyle powinno wystarczyć.

Do piątku rano należy wszystko załatwić i wynieść się z miasta, zacierając po sobie

ślady.

Decyzja została podjęta. Pozostało pytanie, od czego zacząć? Wrócić do własnego pokoju na ósmym piętrze, odłożyć dalsze działania do jutra, czy kontynuować? Pokusa, żeby zrezygnować, była bardzo silna. Musiał uczciwie przyznać, że incydent, który zdarzył się przed chwilą, wstrząsnął nim o wiele silniej niż wcześniejsze sytuacje. Jego własny pokój wydawał się wygodną, bezpieczną przystanią. Potem niechętnie uznał, że nie może się wycofać. Czytał kiedyś, że jeśli pilot wojskowy miał nie zawinioną przez siebie krakę, natychmiast wysyłano go znowu w powietrze, zanim rozklei się psychicznie. Musi postąpić dokładnie tak samo.

Pierwszy zdobyty klucz zawiódł go. Być może był to omen, wskazówka, że powinien odwrócić porządek i wypróbować ostatni. Dziwka z baru przy Bourbon Street dała mu 1062. Kolejny znak - szczęśliwa dwójka! „Kluczyk” wszedł na górę służbową klatką schodową, licząc kolejne piętra.

Mężczyzna o imieniu Stanley, który na Bourbon Street dał się nabrać na najstarszy w świecie trick, wreszcie zasnął. Czekał na biodrzastą blondynę, najpierw z nadzieją, a potem w miarę upływu godzin z coraz mniejszą wiarą w powodzenie i ze wzrastającym przeświadczeniem, że nieźle go nabrano. Wreszcie, kiedy nie mógł już powstrzymać zamykających się powiek, padł na łóżko w głębokim, pijackim śnie.

Nie słyszał wchodzącego „Kluczyka”, ani tego, jak ostrożnie i metodycznie przeszukał cały pokój. Spał głęboko również wtedy, gdy Milne wyciągał pieniądze z jego portfela, schował do kieszeni zegarek, sygnet, złotą papierośnicę i zapalniczkę oraz spinki do mankietów z diamentami. Nie poruszył się także, kiedy złodziej równie bezszelestnie wyszedł z pokoju.

Stanley z Iowy obudził się późnym rankiem i dopiero po godzinie - męczony potwornym kacem - uświadomił sobie, że został okradziony. Kiedy dotarły do niego rozmiary nowej katastrofy i dodał do tego swoje obecne fatalne samopoczucie oraz kosztowne, ale mało produktywne doświadczenie z ubiegłego wieczoru, usiadł na krześle i rozplakał się jak dziecko.

O wiele wcześniej „Kluczyk” obliczył swoje zyski.

Opuściwszy numer 1062 doszedł do wniosku, że jest już zbyt jasno, aby ryzykować jeszcze jedną próbę wejścia gdzie indziej. Powrócił do swojego pokoju 830. Przeliczył pieniądze. Zdobył zadowalającą sumę dziewięćdziesięciu czterech dolarów, w używanych, a więc niemożliwych do zidentyfikowania banknotach pięcio- i dziesięciodolarowych. Z radością przełożył je do własnego portfela.

Z zegarkiem i innymi przedmiotami sprawa nie przedstawiała się równie prosto. Początkowo miał wątpliwości, czy zabranie ich będzie rozsądne, ale w końcu chciwość i pragnienie wykorzystania szansy zwyciężyło. Oczywiście, oznaczało to, że jeszcze tego samego dnia podniesiony zostanie alarm. Ludzie, tracąc pieniądze nie zawsze pamiętają okoliczności, ale brak cennych przedmiotów w niepodważalny sposób świadczy o kradzieży. Możliwość, że policja od razu zwróci na to uwagę, stawała się o wiele bardziej realna. Czas, który sobie wyznaczył mógł - chociaż wcale nie musiał - ulec skróceniu. Poczł, że wraca mu pewność siebie i chęć podjęcia ryzyka.

Wśród jego bagaży znajdowała się niewielka dyplomatką. Można z nią było swobodnie i nie zwracając niczyjej uwagi wchodzić do hotelu i wychodzić. „Kluczyk” zapakował do niej skradzione przedmioty. Miał nadzieję, że u zaufanego pasera dostanie za nie przynajmniej sto dolarów, chociaż ich prawdziwa wartość była niewątpliwie wyższa.

Począł, aż hotel się obudzi, a w holu pojawi się więcej osób. Potem zjechał windą na dół i z dyplomatką w ręku dotarł na parking przy Canal Street, gdzie stał jego samochód. Stamtąd pojechał do wynajętego pokoju w motelu przy autostradzie Chef Menteur. Po drodze zatrzymał się, podniósł maskę forda i udając, że ma kłopoty z silnikiem, wyjął z filtra powietrza klucz do pokoju. W motelu zatrzymał się jedynie na czas potrzebny do przeniesienia kosztowności do następnej, zamkniętej walizki. Wracając do miasta powtórzył przedstawienie z naprawą samochodu, umieszczając ponownie klucz w filtrze. Kiedy odstawił samochód, tym razem na innym parkingu, nie miał nic - ani przy sobie, ani w pokoju, co mogłoby wskazać na jego związek z kradzieżą.

Czuł się tak dobrze, że poszedł do hotelowej kawiarni na śniadanie.

Opuszczając kawiarnię zobaczył księżną Croydonu.

Właśnie zjechała windą do hotelowego holu. Bedlingtony - trzy z jednej strony, dwa z drugiej, kręciły się wokół jej nóg. Księżna trzymała mocno i zdecydowanie ich smycze, ale najwyraźniej myślała o czymś innym. Szła z zapatrzoną przed siebie, jakby sięgając wzrokiem gdzieś daleko, poza mury hotelu i demonstrowała charakterystyczną dla siebie wyniosłość. Jedynie bardzo uważny obserwator mógł dostrzec malujące się na jej twarzy oznaki napięcia i zmęczenia, których nie były w stanie do końca ukryć ani kosmetyki, ani siła woli.

Milne zatrzymał się zaskoczony i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ale w końcu upewnił się - to rzeczywiście była księżna Croydonu. „Kluczyk”, namiętny czytelnik dzienników i tygodników, widział wystarczająco dużo jej fotografii i nie miał żadnych wątpliwości. Wszystko wskazywało na fakt, że księżna zatrzymała się w tym hotelu.

Zaczął intensywnie myśleć. Kolekcja klejnotów księżnej Croydonu należała do

najsłynniejszych w świecie. Przy najrozmaitszych okazjach księżna pojawiała się zawsze obsypana kosztownościami. Milne mimowolnie przymrużył oczy widząc pierścienie na jej palcach i niedbale przypiętą szafirową, bezcenną broszkę. Przyzwyczajenia księżnej pozwalały przypuszczać, że ma przy sobie przynajmniej część swej kolekcji.

Zuchwały, nieprawdopodobny, niemożliwy do wykonania - czy rzeczywiście? - nie do końca jeszcze skonkretyzowany plan zaczął kształtować się w myślach „Kluczyka”.

Patrzył, jak poprzedzana przez teriery księżna Croydonu majestatycznie przecięła hol St. Gregory’ego i wyszła na zalaną słońcem ulicę.

2.

Herbie Chandler przyszedł do hotelu wcześniej. Chodziło mu o dopilnowanie własnych interesów, a nie o firmę.

Wśród dodatkowych źródeł dochodów szefa boyów była tak zwana „przeróbka zlewek”, zabieg stosowany w wielu hotelach.

Goście, którzy urządzali przyjęcia w swoich pokojach, albo nawet pili samotnie, gdy nadchodziła pora wyjazdu, bardzo często mieli jeszcze w butelce cal albo dwa alkoholu. Większość z nich nie decydowała się brać ze sobą tych resztek, obawiając się, że rozleją się im w podróży, lub że w samolocie będą musieli płacić za nadbagaż. Mieli jednak psychiczne opory przed wylewaniem dobrego alkoholu i najczęściej pozostawiali butelkę na toalecie zwalnianego pokoju.

Jeżeli boy, którego wezwano, aby zniósł bagaże wyprowadzającego się gościa, zauważył takie resztki, zazwyczaj wracał po kilku minutach, żeby je zabrać. Niestety, często się zdarzało, że gość sam znosił swoje walizki. Wtedy pokojówka informowała boya o wyprowadzce. W zamian brano ją pod uwagę przy podziale zysku.

Wszystkie te niewielkie ilości alkoholu wędrowały do składziku w kącie sutereny. Był on udziałnym księstwem Herbiego Chandlera. Pomieszczenie zawdzięczał magazynierowi, któremu z kolei dopomagał w jego własnych oszustwach.

Butelki najczęściej przynoszono do składziku w workach na brudną bieliznę, ponieważ w rękach boyów nie wzbudzały one żadnych podejrzeń. W ciągu całego dnia zbierała się ich zadziwiająco duża ilość.

Co dwa lub trzy dni - a nawet częściej, jeżeli w hotelu odbywał się właśnie jakiś zjazd - kierownik boyów przychodził, aby przygotować swój łup.

Herbie ustawił butelki zawierające dzin w jednym miejscu. Wybrał dwie z etykietkami

najdroższych gatunków i przy użyciu bardzo zużytego lejka przelał do nich zawartość pozostałych. W rezultacie miał jedną butelkę wypełnioną w całości, a drugą w trzech czwartych. Zakręcił je i odstawił niepełną na bok, aby czekała na następną okazję. Powtórzył operację z burbonem, szkocką i żytnią. Zgromadził w ten sposób siedem butelek pełnych i kilka wymagających uzupełnienia. Parę bezpiecznych uncji wódki, po chwili wahania wlał do dzinu.

Tego samego dnia siedem pełnych butelek zostanie dostarczonych do baru oddalonego o kilka przecznic od St. Gregory'ego. Jego właściciel niezbyt przejmował się jakością serwowanych napitków i dawał Herbienu połowę ceny oryginalnych wyrobów. Od czasu do czasu Herbie wypłacał swoim współpracownikom w hotelu dywidendę - najmniejszą, jaką odważył się im zaproponować.

W ostatnich czasach zbiórka alkoholi nieźle prosperowała. Dzisiejsze zdobycze stałyby się dla Herbiego powodem do zadowolenia, gdyby nie dręczyły go inne myśli. Późno w nocy zatelefonował do niego Stanley Dixon. Młody człowiek przekazał mu własną wersję rozmowy z Peterem McDermottem. Poinformował go także o spotkaniu, które McDermott wyznaczył jemu i jego kumplom w swoim gabinecie na czwartą po południu następnego, to znaczy dzisiejszego dnia. Dixon chciał się też dowiedzieć, co właściwie McDermott wie?

Herbie Chandler nie mógł udzielić mu odpowiedzi, ostrzegł jedynie Dixona, żeby był dyskretny i do niczego się nie przyznawał. Wciąż jednak zastanawiał się, co konkretnie zdarzyło się dwie noce temu w apartamencie 1126-7 i jak dobrze poinformowany jest zastępca naczelnego dyrektora o roli, jaką szef boyów odegrał w całej tej aferze.

Do czwartej zostało jeszcze dziewięć godzin. Herbie podejrzewał, że czas będzie mu się dłużyć.

3.

Jak prawie każdego ranka, Curtis O'Keefe najpierw wziął prysznic, a potem się pomodlił. Kolejność czynności była starannie przemyślana. Nie tylko bowiem stawał przed Bogiem czysty, ale również wysychał dokładnie, klęcząc w płaszczu kąpielowym przez mniej więcej dwadzieścia minut.

Jasne promienie słońca wpadające do wygodnego, klimatyzowanego apartamentu dawały magnatowi hotelowemu poczucie komfortu psychicznego. Wylewne modlitwy bardzo szybko nabrały charakteru prywatnej rozmowy w cztery oczy. Curtis O'Keefe nie pomijał żadnej okazji, aby przypomnieć Panu Bogu o swoim niezmiennym zainteresowaniu hotelem

St. Gregory.

Śniadanie jedli w apartamencie Dodo. Zamówiła je dla nich obojga. Najpierw dokładnie studiowała menu, a potem zatelefonowała do obsługi pokoi i przeprowadziła długą rozmowę, kilkakrotnie zmieniając w jej trakcie całe zamówienie. W dniu dzisiejszym najwięcej kłopotów zdawał się jej sprawiać wybór soku. W czasie trwającej kilka minut konsultacji z niewidzialnym rozmówcą przyjmującym zamówienie, rozważała skrupulatnie walory ananasa, grapefruta i pomarańczy. Curtis O'Keefe z rozbawieniem wyobrażał sobie potworne zamieszanie, jakie ta przeciągająca się dyskusja wywoływała w mieszczącym się jedenaście pięter niżej, zawalonym pracą biurze przyjmowania zamówień.

Czekając na dostarczenie posiłku przeglądał poranną prasę - nowoorleański „Times-Picayune” i przesłany pocztą lotniczą nowojorski „Times”. Zauważył, że nie było nowych ustaleń w sprawie śmiertelnego wypadku drogowego, który przyćmił wszystkie inne informacje w Mieście Półksiężycy. Przeczytał również, że w Nowym Jorku, na giełdzie, akcje Hotelu O'Keefego spadły o trzy czwarte punktu. Nie był to znaczący spadek, zwykłe wahanie i Curtis O'Keefe był pewien, że akcje zaczną zwyżkować, kiedy nastąpi przeciek o nowym nabytku sieci w Nowym Orleanie. Miał nadzieję, że sytuacja wkrótce się zmieni.

Przypomniał sobie o irytujących dwóch dniach oczekiwania na potwierdzenie zakupu. Żałował, że nie nalegał, aby Trent podjął decyzję od razu, ubiegłej nocy. Dał jednak słowo i musiał teraz uzbroić się w cierpliwość. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że odpowiedź Warrena Trenta będzie pozytywna. W gruncie rzeczy nie było rozsądnej alternatywy.

Pod koniec śniadania odezwał się telefon, który odebrała Dodo. Dzwonił Hank Lemnitzer, osobisty przedstawiciel Curtisa O'Keefego na Zachodnim Wybrzeżu. Podejrzewając, o czym będzie rozmowa, magnat hotelowy przeszedł do swojego apartamentu i zamknął drzwi za sobą.

Temat, którego się spodziewał, został poruszony po omówieniu rozmaitych zagadnień natury finansowej - nie związanych z biznesem hotelowym - którymi intensywnie zajmował się Lemnitzer.

- Jeszcze jedna sprawa, panie O'Keefe - rozległ się w słuchawce jego nosowy głos. - Chodzi o Jenny La Marsh, tę laleczkę... eee, młodą damę, którą się pan łaskawie zainteresował swego czasu w hotelu Beverley Hills. Czy pan ją pamięta?

O'Keefe pamiętał doskonale. Efektowna, długonoga brunetka o wspaniałej figurze, chłodnym uśmiechu i błyskotliwym, złośliwym poczuciu humoru. Wywarła na nim wrażenie zarówno swoją oczywistą kobiecością jak i szerokim kręgiem zainteresowań. O ile dobrze sobie przypominał, ktoś mu powiedział, że Jenny La Marsh jest absolwentką Vasaru. Miała

podobno kontrakt z jakąś małą wytwórnią filmową.

- Tak, pamiętam.

- Rozmawiałem z nią, panie O'Keefe - i to kilka razy. W każdym razie z przyjemnością będzie panu towarzyszyć w podróży. Albo dwóch.

Nie musiał pytać, czy panna La Marsh zdaje sobie sprawę, z jakiego rodzaju układami wiąże się taka podróż. Hank Lemnitzer z całą pewnością zadbał o to. Curtis O'Keefe przyznał w duchu, że perspektywy zapowiadają się bardzo obiecująco. Panna La Marsh na pewno doskonale da sobie radę w towarzystwie ludzi, z którymi będą się spotykali. I nie będzie miała trudności z podjęciem decyzji w sprawie tak prostej jak wybór soku owocowego.

Ze zdziwieniem zauważył jednak, że się waha.

- Jest jednak problem przyszłości panny Lash.

Z drugiej strony kontynentu dobiegł go pewny siebie głos Hanka Lemnitera.

- Niech pan nie zaprzęta sobie tym głowy. Zaopiekuję się Dodo, tak jak jej poprzedniczkami.

- Nie o to chodzi - odparł ostro Curtis O'Keefe. Lemnitzer był wprawdzie użyteczny, ale czasami brakowało mu subtelności.

- A o co, panie O'Keefe?

- Chciałbym, żebyś znalazł pannie Lash coś wyjątkowego. Szczególnie dobrego. I chcę wiedzieć, co załatwiłeś, zanim się rozstaniemy.

- Chyba mi się uda - odparł z powątpiewaniem głos w słuchawce. - Oczywiście, Dodo nie jest najbardziej lotna...

- Nie żadne byle co, rozumiesz - nalegał O'Keefe. - I poświęć temu tyle czasu, ile trzeba.

- A co z Jenny La Marsh?

- Nie ma obecnie niczego innego?..

- Chyba nie. - W jego głosie zabrzmiały nutki, świadczące, że niechętnie ulega kaprysowi, a potem znowu odezwał się dziarsko. - Dobrze, panie O'Keefe, jak pan sobie życzy. Odezwę się.

Kiedy wrócił do saloniku drugiego apartamentu, Dodo ustawiała brudną zastawę śniadaniową na wózku obsługi pokojowej.

- Nie rób tego! - warknął z irytacją. - Pracownicy hotelu biorą za coś pensję.

- Ale ja to lubię robić, Curtie.

Popatrzyła na niego swoimi wielkimi oczyma i natychmiast zorientował się, że jest urażona i zaskoczona. Ale przestała sprzątać.

Nie bardzo rozumiał, dlaczego jest w tak złym humorze...

- Przejdę się teraz po hotelu - powiadomił ją. Później, postanowił, przeprosi Dodo, zabierając ją na zwiedzanie miasta. Mogli na przykład wziąć udział w wycieczce po porcie na pokładzie starego tylnokołowca SS „President”. Zazwyczaj pełno było na nim turystów i wiedział, że Dodo będzie zadowolona.

Kiedy stanął w drzwiach, obrócił się pod wpływem nagłego impulsu i powiedział jej o swoim pomysłe. W odpowiedzi zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Curtie, cudownie. Zrobię sobie trwałą, żeby wiatr nie rozwiewał mi włosów. Uwielbiam to!

Uniosła ramię i odsunęła z twarzy kosmyk popielato-blond włosów, a potem nawinęła go na palec tworząc luźny, spiralny lok. Rezultat - jej uniesiona w górę twarz, nieklamana radość - był tak oszałamiająco piękny w swej prostocie, że aż miał ochotę zmienić swoje najbliższe plany. Zamiast tego mruknął jednak, że wróci szybko i zamknął drzwi za sobą.

Zjechał windą na dół na główną antresolę, stamtąd zszedł schodami do holu i stanowczo usunął Dodo ze swoich myśli. Spacerował pozornie bez celu, zdając sobie sprawę z ukradkowych spojrzeń, jakie rzucali na niego przechodzący obok pracownicy hotelu. Sam jego widok zdawał się nagle dodawać ich działaniom nieoczekiwanej energii. Nie zwracał na nich uwagi i w dalszym ciągu lustrował stan budynku, porównując swoje obserwacje z tymi, które przeczytał w raporcie Ogdena Baileya. Potwierdzały jego wczorajszą opinię. St. Gregorym powinna kierować jakaś mocna ręka. Podzielał również poglądy Baileya na temat potencjalnych, nowych źródeł dochodu.

Na przykład, z doświadczenia wiedział, że masywne kolumny w holu najprawdopodobniej niczego nie podtrzymują. A skoro tak, łatwo będzie usunąć fragment każdej z nich i wynająć uzyskaną powierzchnię miejscowym kupcom na witryny wystawowe.

W arkadach poniżej holu dostrzegł wspaniałe miejsce, zajmowane teraz przez kwiaciarnię. Czysz, który hotel otrzymywał za tę powierzchnię wynosił zapewne około trzystu dolarów miesięcznie. Ale ta sama przestrzeń, zaadaptowana z wyobraźnią na współczesny cocktail bar (wystrój rzeczno parowca! - czemu nie?), może z łatwością przynieść w tym samym czasie piętnaście tysięcy dolarów. A kwiaciarnię bez trudu można umieścić gdzie indziej.

Kiedy wracał do holu, zauważył jeszcze więcej miejsc, które z łatwością można było lepiej wykorzystać. Wyłączając część powierzchni przeznaczoną dla publiczności można będzie dodać kolejne pół tuzina stanowisk - dla przedstawicielstw linii lotniczych, wynajmu samochodów, biura wycieczkowego, sklepu jubilera, może apteki, które dadzą dodatkowy

dochód. Oczywiście zmieni to charakter wnętrza, zniknie ozdobna roślinność i grube dywany, a razem z nimi wrażenie spokojnego komfortu. A jaskrawo oświetlony hol z reklamami rozmieszczonymi wszędzie, gdzie padnie oko, miał obecnie bardzo poważny wpływ na korzystny stan finansów hotelu.

Kolejna sprawa: trzeba będzie usunąć większość foteli. Jeżeli ludzie będą chcieli gdzieś usiąść lepiej, jeżeli uczynią to w barach lub restauracjach hotelowych. Rentowność hotelu zdecydowanie na tym zyska.

Lekcję na temat ogólnie dostępnych miejsc do siedzenia przerobił bowiem wiele lat temu. W pierwszym swoim hotelu, w małym miasteczku na Południowym Zachodzie. Został pośpiesznie wybudowany, przez co był bardzo niebezpieczny w przypadku pożaru, miał fałszywy fronton i jedną osobliwość: tuzin płatnych toalet, które w różnych okresach czasu były - albo raczej powinny być - używane przez każdego farmera i pracownika rolnego, zamieszkałego w promieniu stu mil. Młody Curtis O'Keefe z zaskoczeniem zorientował się, że aczkolwiek dochód z tego źródła jest pokaźny, istnieje poważna przeszkoda w jego zwiększeniu. Otóż prawo stanowe wymagało, aby jedna z dwunastu toalet była bezpłatna. Oszczędni farmerzy mieli więc zwyczaj czekać nawet w kolejce, aby skorzystać właśnie z tej. Rozwiązał problem wynajmując miejscowego pijaczka. Za dwadzieścia centów od godziny i butelkę taniego wina siedział on codziennie w bezpłatnej toalecie. Dochody z pozostałych natychmiast zwiększyły się wielokrotnie.

Curtis O'Keefe uśmiechnął się do swoich wspomnień.

Zauważył, że w holu jest coraz więcej ludzi. Pojawiła się grupa nowo przybyłych i załatwiała formalności meldunkowe, podczas gdy inni wciąż sprawdzali bagaże wyładowywane z lotniskowej limuzyny. Przed recepcją uformowała się niewielka kolejka. O'Keefe stanął w pobliżu i zaczął obserwować.

I właśnie wtedy dostrzegł coś, co umknęło uwadze innych. Do hotelu wszedł z walizką w ręku dobrze ubrany Murzyn w średnim wieku. Leniwym krokiem, zupełnie jakby wybrał się na przedpołudniową przechadzkę, podszedł do recepcji, postawił bagaż i czekał. Był trzeci w kolejce. Kiedy zaczął rozmawiać z recepcjonistą, słychać było wyraźnie każde słowo.

- Dzień dobry - powiedział Murzyn. Miał sympatyczny głos wykształconego człowieka. - Jestem doktor Nicholas. Macie państwo rezerwację na moje nazwisko. - Zdjął już swój czarny kapelusz, odsłaniając starannie wyszczotkowane, siwe włosy.

- Tak jest, proszę pana. Może zechce się pan wpisać. - Recepcjonista powiedział to, zanim podniósł wzrok. Kiedy jednak spojrzął na gościa, jego twarz nagle skamieniała.

Wyciągnął rękę i zabrał kartę meldunkową, którą przed sekundą położył na kontuarze.

- Bardzo mi przykro - oznajmił stanowczym tonem. - Miejsc nie ma.

Murzyn, nie przejmując się, odparł z uśmiechem:

- Mam rezerwację. Hotel przysłał mi list z potwierdzeniem.

Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni, wyjął portfel ze sterczącymi z niego papierami i wybrał spośród nich jeden.

- Musiała zająć jakaś pomyłka. Bardzo mi przykro. - Recepcjonista nawet nie spojrzął na położony przed nim list. - Mamy tu zjazd.

- Wiem. - Murzyn skinął głową. Uśmiechał się już trochę słabiej niż przed chwilą. - To zjazd dentystów. Tak się składa, że jestem jednym z nich.

Recepcjonista pokręcił głową.

- Nie mogę nic dla pana zrobić.

Murzyn schował dokumenty.

- W takim razie chciałbym pomówić z kimś innym.

W czasie, kiedy rozmawiali, do kolejki przed kontuarem dołączyli nowi przyjezdni. Mężczyzna w ściągniętym paskiem płaszczu przeciwdeszczowym zapytał zniecierpliwiony:

- Co się tam dzieje? Dlaczego stoimy?

O'Keefe czekał. Miał wrażenie, że w zatłoczonym holu cyka bomba zegarowa, gotowa eksplodować lada chwila.

- Może pan porozmawiać z zastępcą kierownika zmiany. - Recepcjonista przechylił się przez kontuar i zawołał ostro - Panie Bailey!

Z drugiej strony holu starszy mężczyzna siedzący przy umieszczonym we wnęce biurku podniósł głowę.

- Panie Bailey, czy mógłby pan tu przyjść, z łaski swojej?

Zastępca kierownika skinął głową i z widocznym zmęczeniem wyprostował się. Kiedy szedł bez pośpiechu przez hol, na jego pobrużdżonej twarzy z obwisłymi policzkami pojawił się zawodowy, powitalny uśmiech.

Weteran, pomyślał O'Keefe. Po wielu latach pracy w recepcji dostał samodzielne stanowisko w holu i uprawnienia pozwalające mu na rozstrzyganie drobniejszych problemów dotyczących gości. Tytuł zastępcy kierownika, podobnie jak w większości hoteli, służył przede wszystkim do zaspokojenia próżności petentów, pozwalając im wierzyć, że mają do czynienia z osobą usytuowaną wyżej w hierarchii służbowej niż było to w rzeczywistości. Prawdziwa władza w hotelu mieściła się, niewidoczna, w gabinetach części administracyjnej.

- Panie Bailey - oznajmił recepcjonista. - Właśnie tłumaczę temu panu, że wszystkie

miejsca w hotelu są zajęte.

- A ja wyjaśniłem - zareplikował Murzyn - że mam potwierdzoną rezerwację.

Zastępca kierownika uśmiechnął się przyjaźnie, demonstrując swoją dobrą wolę całej oczekującej kolejce.

- No cóż - stwierdził - zaraz zobaczymy, co można zrobić. - położył pulchną, poplamioną nikotyną dłoń na rękawie drogiego, szytego ta miarę garnituru doktora Nicholasasa.

- Może zechce pan przejść tam spocząć? - Gdy jego rozmówca dał się pokierować w stronę wnęki, zastępca kierownika wyjaśniał dalej - Czasami takie rzeczy się zdarzają. Oczywiście, staramy się wówczas naprawić nasz błąd.

Curtis O'Keefe stwierdził, że zastępca kierownika zna się na swojej pracy. Sprawnie, bez zamieszania, zlikwidował potencjalnie kłopotliwą sytuację, usuwając ją ze sceny za kulisy. Jednocześnie nowo przybyli goście zostali szybko przyjęci przy pomocy drugiego recepcjonisty, jedynie młody, barczysty mężczyzna w grubych okularach, dzięki którym przypominał nieco sowę, wyszedł z kolejki i obserwował rozwój wydarzeń. No cóż, pomyślał O'Keefe, może jednak eksplozji nie będzie. Czekał, co będzie dalej.

Zastępca kierownika wskazał fotel doktorowi Nicholasowi i zajął swoje miejsce za biurkiem. Słuchał uważnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, podczas gdy doktor powtarzał to, co powiedział już recepcjoniście.

W końcu skinął głową.

- No cóż, doktorze - oznajmił energicznym, urzędowym tonem. - Najmocniej przepraszam za nieporozumienie, ale jestem pewien, że zdołamy znaleźć dla pana miejsce w innym hotelu. - Przysunął telefon i podniósł słuchawkę. Drugą ręką wyjął z biurka kartkę papieru ze spisem telefonów.

- Chwileczkę. - Po raz pierwszy łagodny głos Murzyna zabrzmiał ostro. - Twierdzi pan, że wszystkie miejsca w hotelu są zajęte, ale pańscy podwładni wciąż przyjmują innych gości. Czy mają oni jakiś specjalny rodzaj rezerwacji?

- Chyba można to tak określić. - Zawodowy uśmiech zniknął z twarzy jego rozmówcy.

- Jim Nicholas! - W holu rozległ się radosny, powitalny okrzyk. W ślad za nim pojawił się niski, starszy mężczyzna o rumianej twarzy, nad którą piętrzyła się grzywa rozwichrzonych, siwych włosów. Szybkimi, drobnymi krokami zaczął zmierzać w stronę wnęki.

Murzyn wstał.

- Doktor Ingram! Jakże miło mi pana widzieć!

Wyciągnął rękę, którą nowo przybyły uściśnął mocno.

- Jim? Jak się masz, mój chłopcze? Nie, nie odpowiadaj! Sam widzę, że doskonale. I wszystko wskazuje, że dobrze ci się powodzi. Sądzę, że twoja praktyka świetnie się rozwija.

- Owszem, dziękuję. - Doktor Nicholas uśmiechnął się. - Oczywiście, moje zajęcia na uniwersytecie wciąż pochłaniają bardzo wiele czasu.

- Komu to mówisz! Komu to mówisz! Całe życie uczę takich jak ty, a potem odchodzicie i załatwiacie sobie te świetnie płatne praktyki.

- Widząc szeroki uśmiech rozmówcy, ciągnął dalej - W każdym razie widzę, że doskonale ci się powiodło i cieszysz się wspaniałą opinią naukową wśród lekarzy. Twój artykuł na temat złośliwych guzów jamy ustnej wywołał wiele dyskusji i oczekujemy na informację z pierwszej ręki. A przy okazji będę miał przyjemność przedstawić cię na naszym zjeździe. Czy wiesz, że w tym roku wybrano mnie przewodniczącym?

- Tak, słyszałem. Nie wyobrażam sobie nikogo bardziej odpowiedniego.

W trakcie ich rozmowy zastępca kierownika wstał ze swojego fotela. Niepewnie spoglądał to na jednego, to drugiego.

Niski, siwowłosy doktor Ingram śmiał się i jowialnie poklepywał kolegę po ramieniu.

- Daj mi swój numer pokoju, Jim. Nieco później mamy zamiar spotkać się w kilka osób na drinka. Bardzo bym chciał, żebyś przyłączył się do nas.

- Niestety - odparł doktor Nicholas. - Właśnie mi oznajmiono, że nie dostanę pokoju. Podejrzewam, że chodzi o kolor mojej skóry.

Zapadła cisza i przewodniczący kongresu dentystów zaczerwienił się. Po czym jego twarz stężała.

- Jim, załatwię tę sprawę - zapewnił. - Obiecuję ci przeprosiny o r a z pokój. Jeżeli nie zrobią tego, przyrzekam, że wszyscy dentyści opuszczą ten hotel.

Już wcześniej zastępca kierownika przywołał gestem boya hotelowego.

- Sprowadź pana McDermotta. Szybko! - polecił mu teraz.

4.

Dla Petera McDermotta dzień zaczął się od drobnej sprawy organizacyjnej. W porannej poczcie znalazł notkę z działu rezerwacji, w której informowano go, że następnego dnia zamieszkają w hotelu państwo Justinostwo Kubek z Tuscaloosy. Okazało się, że państwo Kubekowie zasługują na specjalną uwagę, pani Kubek informowała bowiem w liście, że jej mąż ma dwa metry szesnaście centymetrów wzrostu.

Peter siedział przy swoim biurku i marzył, aby wszystkie hotelowe problemy były

równie proste.

- Zadzwoń do stolarni - polecił sekretarce, Florze Yates. - Powinni jeszcze mieć łóżko i materace, których używaliśmy w czasie wizyty generała de Gaulle'a. Jeżeli nie, niech przygotowują coś innego. Jutro niech prędko ustalą, który pokój zostanie przydzielony Kubekom, wstawią do niego łóżko i pościelą je, zanim oni się wprowadzą. Powiadom również służbę pokojową. Będą im potrzebne specjalne prześcieradła i koce.

Flora siedziała spokojnie po drugiej stronie biurka i jak zwykle - bez pytań i wątpliwości - robiła notatki. Peter wiedział, że instrukcje zostaną przekazane dokładnie i nie będzie musiał przypominać Florze, żeby następnego dnia sprawdziła wykonanie poleceń.

Odziedziczył Florę, kiedy przyszedł do St. Gregory'ego i od razu przekonał się, że jest ona ideałem sekretarki - kompetentna, niezawodna, około czterdziestki, równie urodziwa jak betonowa ściana, ale mimo to szczęśliwa w małżeństwie. Ma bardzo cenną zaletę, pomyślał. Można ją było ogromnie lubić bez żadnych ewentualnych komplikacji. Gdyby Christine pracowała dla niego, a nie dla Warrena Trenta, rezultat byłyby zupełnie inny.

Od chwili, kiedy tak szybko opuścił jej mieszkanie ubiegłej nocy, myślał o niej niemal bez przerwy. Nawet kiedy spał, śniła mu się. Płynęli razem spokojnie po rzece o zielonych brzegach (nie był pewien, czym), przy akompaniamencie upojnej muzyki, w której (jak sobie przypominał) niezwykle wyraźnie słychać było harfy. Zadzwoił do Christine wcześniej rano i opowiedział jej swój sen. Zapytała go: „Czy płynęliśmy w górę, czy w dół rzeki? to może być ważne.” Ale nie mógł sobie przypomnieć tego właśnie szczegółu, wiedział jedynie, że wszystko sprawiało mu ogromną przyjemność i powiedział Christine, iż ma nadzieję, że później będą mogli kontynuować przerwane wczoraj spotkanie.

Ustalili, że później omówią gdzie i kiedy spotkają się wieczorem.

- Będę miał pretekst, żeby do ciebie zadzwonić - oznajmił Peter.

- A po co ci pretekst? - odpowiedziała. - Poza tym, dziś rano postanowiłam, że wymyślę jakiś bardzo ważny dokument, który nagle będę musiała dostarczyć ci osobiście.

Jej głos tętnił radością, zupełnie jakby odnalezione ubiegłej nocy uczucia musiały znaleźć sobie ujście.

Ciesząc się nadzieją, że Christine wkrótce przyjdzie, znowu zwrócił uwagę na Florę i poranną pocztę.

Była to normalna mieszanka, w tym również kilka pytań na temat organizowania zjazdu. Jak zwykle, Peter dyktował w swojej ulubionej pozycji - z nogami opartymi na wysokim skórzanym koszu na śmieci i prawie leżąc w maksymalnie przechylnym do tyłu fotelu obrotowym. Metodą licznych eksperymentów ustalił, że może myśleć właściwie tylko

w tej pozycji i dlatego też jego fotel stale balansował na granicy oddzielającej równowagę od katastrofy. Często się zdarzało, że Flora w czasie przerw w robieniu notatek przyglądała mu się w napięciu, powstrzymując się jednak od komentarzy.

Dzisiaj był jeszcze jeden list wymagający odpowiedzi. Przysłał go mieszkaniec Nowego Orleanu, którego żona przed kilkoma tygodniami uczestniczyła w uroczystości weselnej w hotelu. W czasie przyjęcia położyła kurtkę z norek na tapczanie, obok okryć innych gości. Kiedy po zakończonym weselu założyła ją na siebie, zobaczyła wypaloną w niej papierosem dużą dziurę. Zacerowanie jej kosztowało sto dolarów. Mąż chciał, aby hotel zwrócił mu tę sumę i jego ostatni list zawierał ostro sformułowaną groźbę wystąpienia na drogę sądową.

Odpowiedź Petera była uprzejma, ale utrzymana w stanowczym tonie. Wyjaśnił w niej, podobnie zresztą jak w poprzednich listach, że hotel dysponuje szatniami, z których żona nadawcy listu nie uznała za stosowne skorzystać. Gdyby oddała futro do szatni, hotel mógłby ewentualnie pokryć koszty reperacji. W zaistniałej jednak sytuacji St. Gregory nie ponosi żadnej odpowiedzialności.

Peter podejrzewał, że list męża poszkodowanej był po prostu kolejną próbą wyłudzenia pieniędzy, chociaż istotnie sprawa mogła zakończyć się w sądzie. Podobnych naiwniaków było już wielu. Wprawdzie sąd zazwyczaj oddalał wszelkie roszczenia pod adresem hotelu, ale pociągały one za sobą irytującą stratę czasu i energii. Czasami mam wrażenie, pomyślał Peter, że ludzie uważają hotele za dojną krowę albo róg obfitości.

Wybrał właśnie kolejny list, kiedy rozległo się lekkie pukanie do drzwi. Podniósł głowę, spodziewając się zobaczyć Christine.

- To tylko ja - powiedziała Marsha Preyscott. - W sekretariacie nie było nikogo, więc... O mój Boże! - zawołała na widok Petera. - Przecież się pan przewrócił!

- Dotąd nie upadłem - odparł. I natychmiast runął jak długi.

Rozległ się głośny łomot, a potem zapadła nagła cisza.

Leżąc na podłodze za biurkiem, zaczął oceniać szkody. Lewa kostka, którą uderzył o nogę przewracającego się fotela, bolała paskudnie. Podobnie tył głowy, chociaż w tym przypadku dywan na szczęście osłabił siłę uderzenia. No i nadwyrężone poczucie godności osobistej, czego dowodem był perlisty śmiech Marshy i dyskretny uśmiech Flory.

Obeszły biurko i pomogły mu wstać. Był zmieszany, ale mimo to znowu dostrzegł promienną, świeżą urodę Marshy. Dzisiaj ubrana była w prostą niebieską sukienkę, podkreślającą jej na poły dziecinny, na poły kobiecy wygląd. Długie, czarne włosy spadały na ramiona dziewczyny.

- Powinieneś używać siatki bezpieczeństwa - powiedziała Marsha. - Takiej jak w cyrku.

Peter uśmiechnął się kwaśno.

- Może warto by było również pożyczyć od nich kostium kłowna?

Flora ustawiła ponownie ciężki, obrotowy fotel. Kiedy Peter wstawał niezgrabnie, podtrzymywany przez Florę i Marshę, weszła Christine, trzymając w dłoni plik papierów. Zatrzymała się w drzwiach i uniosła brwi.

- Nie przeszkadzam?

- Nie - odparł Peter. - Ja... właśnie spadłem z fotela.

Christine spojrzała na stojący fotel.

- Przewrócił się do tyłu - wyjaśnił Peter.

- Oczywiście, one wciąż się przewracają, prawda?

Christine zerknęła na Marshę. Flora wyszła po cichu. Peter przedstawił jej sobie nawzajem.

- Dzień dobry, panno Preyscott - powiedziała Christine. - Słyszałam o pani.

Marsha spojrzała uważnie na Petera, a potem na Christine.

- Mam wrażenie, że pracując w hotelu słyszy pani rozmaite plotki, panno Francis. Pani tu pracuje, prawda?

- Nie miałam na myśli plotek - odparła Christine. - Ale ma pani rację, pracuję tutaj. Mogę więc przyjść, gdy nie będę przeszkadzała.

Peter zauważył wrogość, jaką Marsha i Christine natychmiast do siebie poczuły. Zastanawiał się, co może być tego przyczyną.

Marsha, jakby odgadując jego myśli, uśmiechnęła się słodko.

- Proszę nie wychodzić z mojego powodu, panno Francis. Wpadłam tylko, żeby przypomnieć Peterowi o obiedzie dzisiaj wieczorem. - Odwróciła się pytając:

- Nie zapomniałeś, prawda?

Peter poczuł, jak coś ściska go w dołku.

- Nie - skłamał. - Nie zapomniałem.

Zapadła cisza. Przerwała ją Christine.

- Dzisiaj wieczorem.

- Ojej - zawołała Marsha. - Czyżby miał jakąś pracę, czy coś w tym rodzaju?

Christine pokręciła zdecydowanie głową.

- Nie będzie miał żadnych zajęć. Sama tego dopilnuję.

- Bardzo to miłe z pani strony - Marsha znowu uśmiechnęła się promiennie. - No cóż,

lepiej już pójdę. Ach tak. Bądź o siódmej - zwróciła się do Petera. - Mieszkam na Prytania Street, dom z czterema wielkimi kolumnami. Do widzenia, panno Francis. - Pomachała ręką i wyszła zamykając drzwi za sobą.

Christine zapytała z nieprzeniknioną miną.

- Mam ci to zapisać? Dom z czterema wielkimi kolumnami. Żebyś nie zapomniała.

Podniósł dłonie w bezradnym geście.

- Wiem, mieliśmy się spotkać. Umawiając się z tobą, zapomniałem o tamtej sprawie, bo ostatnia noc... z tobą... sprawiła, że wszystko inne wyleciało mi z głowy. W czasie porannej rozmowy byłem chyba roztargniony.

- Cóż, doskonale cię rozumiem - odparła lekko Christine. - Każdy byłby roztargniony mając tyle kobiet u swoich stóp.

Postanowiła traktować wszystko lekko i nawet ze zrozumieniem, choćby miało ją to wiele kosztować. W końcu, pomyślała, ubiegła noc nie daje mi żadnego prawa do dysponowania czasem Petera. Najprawdopodobniej rano rzeczywiście był niezbyt przytomny.

- Mam nadzieję, że spędzisz wspaniały wieczór - dodała.

Przestąpił z zażenowaniem z nogi na nogę.

- Przecież Marsha jest tylko dzieckiem.

Są jednak granice wyrozumiałości. Christine spojrzała mu prosto w oczy.

- Chyba istotnie wierzysz w swoje słowa. Pozwól jednak, że jako kobieta zwrócę ci uwagę, że mała panna Preyscott w równym stopniu przypomina dziecko co kociak tygrysa. Sądzę jednak, że z męskiego punktu widzenia może być zupełnie przyjemnie dać się zjeść.

Potrząsnął ze zniecierpliwieniem głową.

- Bardzo się mylisz. Umówiłem się z nią dlatego, że dwie noce temu przeżyła bardzo trudne chwile i...

- I potrzebuje przyjaciela.

- Masz rację.

- A więc pojawiłeś się właśnie ty!

- Rozmawialiśmy. I zgodziłem się pójść dziś wieczorem do jej domu na proszony obiad. Przecież będą tam inni ludzie.

- Jesteś tego pewien?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon na biurku. Zniecierpliwionym gestem podniósł słuchawkę.

- Panie McDermott - usłyszał natarczywy głos. - Mamy kłopoty w holu i zastępca kierownika prosi, żeby przyszedł pan jak najszybciej.

Kiedy odłożył słuchawkę, Christine już nie było.

5.

Są momenty, pomyślał ponuro Peter McDermott, gdy trzeba podejmować szczególnie kłopotliwe decyzje, które na dodatek powodują konflikt sumienia. Sytuacja przypominała koszmarny sen, który stał się jawą.

W niecałą minutę zrozumiał, co dzieje się w holu i właściwie dalsze wyjaśnienia nie były mu już potrzebne. Widok dystyngowanego Murzyna w średnim wieku, siedzącego spokojnie przy biurku we wnęce, oburzonego doktora Ingrama - szacownego przewodniczącego kongresu dentystów i obojętnego zastępcy kierownika, który właśnie zrzucił ze swoich barków ciężar odpowiedzialności, wyjaśnił mu wszystko.

Było oczywiste, że powstały nagle kryzys trzeba rozwiązać błyskawicznie i we właściwy sposób, likwidując możliwość wybuchu poważnego konfliktu.

Zdawał sobie sprawę, że patrzy na niego dwóch ludzi. Dostrzegł znaną z wielu fotografii twarz Curtisa O'Keefego, obserwującego uważnie rozwój wydarzeń z dyskretnej odległości. Drugim widzem był młody, barczysty mężczyzna w okularach w grubej oprawie, ubrany w szare, flanelowe spodnie i tweedową marynarkę. Stał z mocno zużytą walizką koło nogi i pozornie obojętnie lustrował hol. Żaden szczegół dramatycznej sceny rozgrywającej się przy biurku zastępcy kierownika zmiany nie uchodził jednak jego uwagi.

Przewodniczący kongresu dentystów wyprostował się, jego krągła twarz z wojowniczo zaciśniętymi ustami płonęła oburzeniem.

- McDermott, jeżeli pan i pański hotel będziecie w dalszym ciągu traktowali doktora Nicholasa w tak niewiarygodnie obelżywy sposób, ostrzegam uczciwie, że będziecie mieli mnóstwo kłopotów. - W oczach lekarza błysnęła złość i wyraźnie podniósł głos. - Doktor Nicholas jest wysoce szanowanym przedstawicielem naszego zawodu. Jeżeli nie zgodzi się pan, aby tu zamieszkał, fakt ten potraktuję jako osobistą obrazę zarówno ja, jak też każdy delegat na nasz kongres.

Gdybym obserwował ten incydent z boku, a nie musiał się z nim uporać, pomyślał Peter, pewnie bym mu pogratulował. Uświadomił sobie jednak, że problem ten dotyczy go bezpośrednio i ma obowiązek go rozwikłać. Powiniennem więc znaleźć sposób na przeniesienie całej sceny z holu, do bardziej ustronnego miejsca.

- Może pan i doktor Nicholas - zaproponował spoglądając z szacunkiem na Murzyna - bylibyście łaskawi przejść do mojego gabinetu. Tam omówimy całą sprawę spokojnie.

- O nie, łaskawco! Omówimy ją tutaj! Nie mamy zamiaru kryć się gdzieś po kątach. -
Wojowniczy, niski doktor, tupnął stanowczo nogą.

- Do rzeczy! Zamelduje pan mojego przyjaciela i kolegę, doktora Nicholasa, czy też nie?

Ludzie oglądali się w ich stronę. Parę osób przechodzących przez hol zatrzymało się. Mężczyzna w tweedowej marynarce, który wciąż udawał całkowity brak zainteresowania, przysunął się bliżej.

Doprawdy, ironią losu jest, pomyślał Peter McDermott, że muszę przeciwstawić się doktorowi Ingramowi, którego na dobrą sprawę podziwiam. A przecież zaledwie wczoraj Peter krytykował te właśnie przepisy wydane przez Warrena Trenta, które stały się przyczyną całego incydentu. Oczekujący niecierpliwie lekarz zapytał go: „Czy zamelduje pan mojego przyjaciela?” Przez chwilę Peter miał ochotę powiedzieć: „Tak, i do diabła z konsekwencjami”. Wiedział jednak, że to nie miało sensu.

Mógł wprawdzie wydać recepcjonistom określone polecenia, ale nie miał prawa kazać im przyjąć Murzyna. Wręcz przeciwnie, istniały rygorystycznie sformułowane instrukcje i mógł je uchylić tylko właściciel hotelu. Wdawanie się w dyskusję z recepcjonistami jedynie przedłużyłoby konflikt, nie przynosząc konkretnych rezultatów.

- Jest mi równie przykro jak panu, doktorze Ingram - stwierdził - że jestem zmuszony panu odmówić. Niestety, przepisy obowiązujące w tym hotelu uniemożliwiają mi przyjęcie doktora Nicholasa. Bardzo bym chciał zmienić ten stan rzeczy, ale nie mam takich uprawnień.

- A więc potwierdzona rezerwacja nie ma tu żadnego znaczenia?

- Owszem, ma. Są jednak pewne sprawy, które powinny być wyjaśnione, zanim przyjęto zamówienie na zorganizowanie kongresu. Nasze niedopatrzenie, że nie zrobiliśmy tego.

- A gdybyście zrobili - odparł ostro doktor - nie mielibyście zjazdu. Zresztą, i tak możecie go jeszcze utracić.

- Zaproponowałem, że znajdę miejsce w innym hotelu, panie McDermott! - wtrącił się zastępca kierownika.

- Takie rozwiązanie nas nie interesuje! - Doktor Ingram ponownie odwrócił się w stronę Petera. - McDermott, jest pan młodym, inteligentnym człowiekiem. Jak się pan czuje w tej sytuacji?

Po co się wykręcać? - pomyślał Peter.

- Powiem panu uczciwie, doktorze - odparł głośno. - Bardzo mi wstyd. - Gdybym miał cywilną odwagę, dodał w myśli, wyszedłbym z hotelu i rzucił tę pracę w diabły. Czy w ten

sposób zmieni jednak stan rzeczy? Doktor Nicholas i tak nie dostanie pokoju, Peter zaś skutecznie pozbawi się możliwości protestowania przeciwko decyzji Trenta - możliwości, z której skorzystał wczoraj i miał zamiar korzystać dalej. Czy nie był to wystarczający powód, żeby nie rezygnować i nadal walczyć o uchylenie tego przepisu? Szkoda jednak, że to wewnętrzne przekonanie nie było silniejsze.

- Do diabła, Jim - powiedział Ingram pełnym bólu tonem. - Przecież nie mogę się z tym pogodzić.

Murzyn pokręcił głową.

- Nie będę udawał, że mnie to nie zabolalo i jak sądzę, moi wojowniczy przyjaciele powiedzieliby, że powinienem walczyć w bardziej zdecydowany sposób. - Wzruszył ramionami. - Wolę jednak zająć się badaniami. Jest popołudniowy samolot na północ. Postaram się na niego dostać.

- Czy pan nie rozumie?! - Doktor Ingram zwrócił się do Petera.

- Ten człowiek jest ogólnie szanowanym naukowcem i wykładowcą. Na tej konferencji miał wygłosić jeden z najważniejszych referatów.

Przecież musi być jakieś wyjście, pomyślał z udręką Peter.

- Zastanawiam się - powiedział głośno - czy nie zechcieliby panowie rozważyć pewien kompromis. Gdyby doktor Nicholas zgodził się zamieszkać w innym hotelu, dopilnuję, aby mógł być obecny na posiedzeniach.

Zaczynam być nieostrożny, uświadomił sobie. Będzie to trudne do przeprowadzenia i może wywołać ostrą scysję z Warrenem Trentem. Ale musiał wybrać - albo tak postąpić, albo odejść samemu.

- A co ze spotkaniami towarzyskimi, takimi jak obiad czy lunch? - Murzyn patrzył mu prosto w oczy.

Peter pokręcił wolno głową. Nie miało sensu czynić obietnic, których nie byłby w stanie dotrzymać.

Doktor Nicholas wzruszył ramionami. Jego twarz stężała.

- To do niczego nie prowadzi, doktorze Ingram. Prześlę mój referat, aby można go było rozprzecznić wśród kolegów. Mam wrażenie, że znajdują się w nim pewne problemy, które powinny pana zainteresować.

- Jim. - Drobny, siwowłosy mężczyzna był wyraźnie wzburzony. - Jim, nie wiem, co mam ci powiedzieć, ale obiecuję, że jeszcze usłyszysz o tej sprawie.

Doktor Nicholas poszukał wzrokiem swojej walizki.

- Zawołam boya - zaproponował Peter.

- Nie! - Doktor Ingram odsunął go na bok. - Sam zaniosę walizkę doktora Nicholasa i nie oddam nikomu tego zaszczytu.

- Przepraszam, panowie - rozległ się głos mężczyzny w tweedowej marynarce. Kiedy odwrócili się, trzasnęła migawka aparatu fotograficznego. - Doskonale - oznajmił. - Spróbujmy jeszcze raz. - Spojrzał w celownik rolleiflexa i migawka szczęknęła ponownie. Opuścił aparat i oznajmił - Te wysokoczułe filmy są wspaniałe. Jeszcze nie tak dawno temu musiałbym użyć flesza.

- Kim pan jest? - zapytał ostro Peter McDermott.

- Kim czy czym?

- Znajduje się pan na terenie prywatnym. Hotel...

- Daj pan spokój! Nie bawmy się w te stare gierki! - Fotograf sprawdzał ustawienie aparatu. Kiedy Peter zrobił krok w jego kierunku, podniósł głowę. - I nie radziłbym próbować jakichś numerów, cwaniaku. Gdy opublikuję ten materiał, będzie wystarczająco dużo smrodu wokół waszego hotelu i jeżeli masz pan ochotę, żeby było w nim również o brutalnym traktowaniu fotoreportera, droga wolna. - Widząc wahanie Petera, uśmiechnął się ironicznie. - Muszę przyznać, że szybko pan myśli.

- Czy jest pan dziennikarzem? - zapytał doktor Ingram.

- Dobre pytanie. - Mężczyzna w okularach uśmiechnął się. - Czasami mój wydawca mówi, że nie, chociaż dzisiaj sędzę, że będzie innego zdania. Zwłaszcza kiedy prześlę mu z wakacji tę maleńką perełkę.

- Z jakiej gazety? - zapytał Peter. Miał nadzieję, że będzie to jakaś mało znana.

- Nowojorska „Herald Tribune”.

- Doskonale! - Przewodniczący konferencji dentystów skinął z aprobatą głową. - Wykorzystają najlepiej ten materiał. Mam nadzieję, że widział pan, co się stało.

- Można powiedzieć, że mam ogólny obraz - odparł dziennikarz. - Będę potrzebował kilku szczegółów, a przede wszystkim chcę zapisać prawidłowo nazwiska. Ale najpierw chciałbym zrobić jeszcze jedno zdjęcie na zewnątrz, obydwu panów razem.

Doktor Ingram ujął kolegę pod ramię.

- Tak trzeba z tym walczyć, Jim. Obsmarujemy ten hotel w każdej gazecie.

- Ma pan absolutną rację - przytaknął dziennikarz. - Sędzę, że agencje prasowe chętnie wezmą mój artykuł, razem ze zdjęciami.

Doktor Nicholas wolno pokiwał głową.

Nic na to nie poradzę, pomyślał posepnie Peter. Zupełnie nic.

Zauważył, że Curtis O’Keefe zniknął.

Kiedy trzech mężczyzn odchodziło, doktor Ingram oznajmił:

- Chciałbym załatwić tę sprawę jak najszybciej. Gdy tylko zrobi pan zdjęcia, mam zamiar rozpocząć wyprowadzanie naszej konferencji z tego hotelu. Powinno się ich zranić w najboleśniejszy dla nich sposób - finansowo. - Jego głos odbijał się echem w wielkim holu.

6.

- Czy policja ma jakieś nowe informacje? - zapytała księżna Croydonu.

Zbliżała się już jedenasta rano. W zaciszu Apartamentu Prezydenckiego księżna i jej mąż ponownie z niepokojem spoglądali na głównego detektywa hotelowego. Tłuste cielsko Ogilviego wypełniało trzcinowy fotel, który trzeszczał ostrzegawczo przy każdym jego ruchu.

Znajdowali się w obszernym, oświetlonym słońcem saloniku apartamentu. Drzwi były zamknięte. Podobnie jak wczoraj, księżna wysłała sekretarza i pokojówkę z wymyślnymi naprędce poleceniami.

Po chwili zastanowienia Ogilvie odpowiedział:

- Znają mnóstwo miejsc, w których może znajdować się poszukiwany samochód. Zdołałem się dowiedzieć, że na razie działają poza miastem i na przedmieściach. Skierowali do akcji wszystkich ludzi, jakimi dysponują. Mają jeszcze duży teren do sprawdzenia, ale przypuszczam, że jutro zaczną węszyć bliżej.

Stosunki między Croydonami i Ogilviem uległy od wczorajszego dnia subtelnej zmianie. Przedtem byli przeciwnikami. Obecnie byli spiskowcami, chociaż wciąż jeszcze w ich zachowaniu było sporo niepewności. Sprawiało to wrażenie, jakby ostrożnie, z niezdecydowaniem badali możliwość zawarcia sojuszu.

- Skoro mamy tak mało czasu - powiedziała księżna - absolutnie nie powinniśmy go marnować.

Detektyw spojrzał na nią ostro.

- Uważa pani, że należy wyprowadzić samochód teraz? W środku dnia? A potem może zaparkować go na Canal Street?

Niespodziewanie po raz pierwszy odezwał się książę Croydonu.

- Moja żona jest bardzo wyczerpana psychicznie. Czy musi pan być wobec niej tak opryskliwy?

Pełna sceptycyzmu mina Ogilviego nie uległa zmianie. Wyjął cygaro z kieszeni marynarki, obejrzał, a potem nagle je schował.

- Chyba wszyscy jesteśmy trochę zmęczeni. I tak będzie, dopóki wszystko się nie

skończy.

- To nie ma znaczenia - stwierdziła zniecierpliwionym tonem księżna. - Bardziej interesuje mnie stan śledztwa. Czy policja wie, że poszukiwanym samochodem jest jaguar?

Potężna głowa z obwisłymi policzkami wolno zakołysała się z boku na bok.

- Zorientują się, a wtedy szybko o tym usłyszymy. Jak już powiedziałem, samochód państwa jest zagranicznej produkcji i może minąć kilka dni, zanim zdobędą zupełną pewność.

- Czy nie ma oznak świadczących... że sprawa przestała być w centrum uwagi? Czasami, kiedy przez dzień albo dwa nic się nie dzieje, ludzie przestają się nią interesować.

- Zwariowała pani? - Grubas popatrzył na nią ze zdziwieniem. - Nie czytała pani porannych gazet?

- Owszem - powiedziała księżna. - Przypuszczam, że moje pytanie było czymś w rodzaju pobożnego życzenia.

- Nic się nie zmieniło - stwierdził Ogilvie. - Poza tym, że gliniarze stają się coraz bardziej zawzięci. Od rozwiązania tej sprawy zależy cała ich reputacja i wiedzą, że jeżeli nie znajdą winowajcy, zaczną spadać głowy i to poczynając od najwyższych stanowisk. Burmistrz powiedział to wprost. Sprawa nabrała niemal politycznego charakteru.

- A więc usunięcie samochodu z miasta będzie jeszcze trudniejsze?

- Ma pani rację, księżno. Każdy gliniarz pełniący służbę patrolową wie, że jeżeli znajdzie poszukiwany samochód - samochód państwa - za godzinę będzie przyszywał do rękawa dodatkowe paski. Wytrzeszczają oczy, jak mogą. Stąd ta trudność.

Zapadła cisza. Rozlegał się w niej jedynie ciężki oddech Ogilwiego. Wiadomo było, jakie będzie następne pytanie, ale zwlekano z jego zadaniem, zupełnie jakby odpowiedź na nie miała stać się wyrokiem, albo też pogrzebaniem wszelkich nadziei.

Wreszcie księżna Croydonu spytała:

- Kiedy ma pan zamiar odprowadzić nasz samochód na północ?

- Dziś w nocy - odparł Ogilvie. - Dlatego przyszedłem się z państwem zobaczyć.

Z ust księcia wyrwało się wyraźnie słyszalne westchnienie.

- W jaki sposób wydostanie się pan niepostrzeżenie? - spytała księżna.

- Nie mogę gwarantować, że mi się uda. Ale coś wykombinowałem.

- Słucham.

- Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli wyruszę koło pierwszej.

- Pierwszej w nocy?

Ogilvie skinął głową.

- Mało ludzi kręci się o tej porze. Niewielki ruch na ulicy. Ale nie jest z b y t

spokojnie.

- Ale przecież ktoś jednak może pana zobaczyć?

- Mogą mnie zobaczyć o każdej porze. Pozostaje nam tylko wierzyć, że będziemy mieli szczęście.

- Jeżeli uda się panu opuścić Nowy Orlean, jak daleko pan dojedzie?

- Koło szóstej będzie jasno. Chyba będę w Mississipi. Pewnie w okolicy Macon.

- Niezbyt daleko - zaprotestowała księżna. - Tylko połowa drogi przez Mississipi.

Nawet nie ćwierć drogi do Chicago.

Tęgi mężczyzna poruszył się gwałtownie w fotelu, który zaskrzypiał ostrzegawczo.

- Myśli pani, że powinienem jechać szybciej? Może pobić kilka rekordów? Po to, żeby jakiś gorliwy gliniarz zaczął mnie ścigać?

- No nie, chyba nie. Po prostu zależy mi, aby samochód znalazł się jak najdalej od Nowego Orleanu. Co pan będzie robił w ciągu dnia?

- Zatrzymam się gdzieś na uboczu. W Mississipi jest mnóstwo takich miejsc.

- A potem?

- Kiedy się ściemni, ruszę dalej. Na północ, przez Alabamę, Tennessee, Kentucky, Indianę.

- Kiedy będzie pan bezpieczny? Ale tak naprawdę bezpieczny?

- Chyba w Indianie.

- I zatrzyma się pan w Indianie w piątek?

- Tak sędzę.

- A do Chicago dotrze pan w sobotę?

- W sobotę rano.

- Doskonale - stwierdziła księżna. - Polecimy wraz z mężem do Chicago w piątek wieczorem. Zatrzymamy się w hotelu Drake i będziemy czekali, aż pan się z nami skontaktuje.

Księżę oglądał swoje ręce, starając się nie patrzeć Ogilviemu w oczy.

- Zgłoszę się do państwa - oznajmił sucho detektyw.

- Czy potrzebuje pan czegoś?

- Lepiej, żebyście mi państwo dali pisemko do garażu. Na wszelki wypadek. Informację, że mogę wziąć wasz samochód.

- Zaraz to napiszę. - Księżna przeszła przez pokój i stanęła przy sekretarzyku. Przez chwilę pisała szybko, a potem wróciła z arkuszem papieru listowego z nadrukiem hotelu. - To powinno chyba wystarczyć.

Ogilvie nawet nie spojrzął na dokument i wsunął go do wewnętrznej kieszeni marynarki. Nie spuszczał wzroku z twarzy księżnej.

Zapadła niezręczna cisza. Wreszcie księżna odezwała się niepewnie.

- Czy ma pan jeszcze jakieś życzenie?

Książę Croydonu wstał i odszedł sztywno w drugi koniec pokoju. Wreszcie odwrócił się i rzucił sarkastycznie:

- On chce pieniędzy. Czeka na pieniądze.

Twarz Ogilwiego skrzywiła się w czymś zbliżonym do uśmiechu.

- No właśnie, księżno. Dziesięć tysięcy teraz, jak ustaliliśmy. I dodatkowe piętnaście w sobotę w Chicago.

Księżna pełnym zmieszania gestem uniosła do skroni upierścienione palce.

- Nie wiem, w jaki sposób... Zapomniałam. Tyle było innych spraw.

- Nic mnie to nie obchodzi. Ja bym pamiętał.

- To trzeba by załatwić dzisiaj po południu. W naszym banku...

- Gotówką - przypomniał grubas. - W banknotach nie większych niż dwudziestki. I żeby nie były nowe.

Spojrzała na niego surowo.

- Dlaczego?

- Nie można wtedy ich zidentyfikować.

- Nie ufa nam pan?

Pokręcił głową.

- W takich sprawach niemądrze byłoby wierzyć komukolwiek.

- W takim razie, dlaczego my mamy mieć zaufanie do pana?

- Należy mi się jeszcze piętnaście kawałków. - W falsetowym głosie detektywa zabrzmiało zniecierpliwienie. - I proszę pamiętać. Gotówką, a banki są zamknięte w sobotę.

- Załóżmy - odezwała się księżna - że nie zapłacimy panu w Chicago.

Z twarz grubasa zniknął uśmiech.

- Bardzo się cieszę, że poruszyła pani tę sprawę. Dzięki temu będziemy się lepiej rozumieli.

- Myślę, że wiem o co chodzi, ale niech mi pan to jednak wyjaśni.

- W Chicago rzecz będzie wyglądała następująco. Postawię samochód w pewnym nieznanym państwu miejscu. Przyjdę do hotelu po moje piętnaście kawałków. Kiedy je dostanę, oddam wam kluczyki i powiem, gdzie jest samochód.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Właśnie do tego zmierzam. - Świńskie oczka detektywa zabłyśły.

- Jeżeli coś będzie nie tak, na przykład powiecie mi, że gotówki nie ma, bo zapomnieliście, że banki są zamknięte w soboty, zawołam gliny. Tam w Chicago.

- Będzie musiał się pan bardzo tłumaczyć. Na przykład z tego, że przyprowadził pan nasz samochód na północ.

- Żadna tajemnica! Powiem tylko, że zapłaciliście mi kilka setek... będę je miał przy sobie... żebym przyprowadził samochód, bo dla was to zbyt długa jazda. Pani i księżę wolicie lecieć samolotem. Dopiero kiedy znalazłem się w Chicago, obejrzałem samochód dokładniej i zrozumiałem, o co chodzi. A więc... - Wzruszył potężnymi ramionami.

- Nie mieliśmy najmniejszego zamiaru nie dotrzymać naszej części umowy - zapewniła księżna Croydonu. - Ale podobnie jak pan chciałam, żebyśmy się dobrze nawzajem rozumieli.

Ogilvie skinął głową.

- I chyba się zrozumieliśmy.

- Proszę przyjść o piątej - oznajmiła księżna. - Pieniądze będą czekały.

*

Gdy Ogilvie wyszedł, księżę Croydonu wrócił z dobrowolnego odosobnienia w drugim końcu pokoju. Podeszedł do kredensu, na którym stała taca ze szklankami i butelkami. Nalał solidną porcję szkockiej, dolał odrobinę wody sodowej i wypił wszystko jednym haustem.

- Widzę, że znowu wcześniej zaczynasz - stwierdziła kwaśno księżna.

- Rodzaj środka oczyszczającego. - Nalał sobie drugiego drinka i tym razem wypił go powoli. - Przebywanie z tym człowiekiem w jednym pokoju sprawia, że czuję się brudny.

- Najwyraźniej on nie jest tak wrażliwy - odparła jego żona. - W przeciwnym razie, mógłby nie chcieć przebywać w jednym pokoju z pijanym zabójcą dziecka.

Twarz księcia zbieleła jak płótno. Kiedy odstawiał szklankę, jego dłonie drżały.

- Cios poniżej pasa, moja droga.

- Który także uciekł z miejsca wypadku - dodała bezlitośnie.

- Na Boga! Nie powinnaś poruszać tej sprawy - krzyknął ze złością. Jego pięści zacisnęły się i przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał ją uderzyć. - To przecież ty! Ty błagałaś, żebym się nie zatrzymywał, a potem żebym tam nie wracał. Gdyby nie ty, na pewno bym tak właśnie postąpił! To nic nie da, powiedziałaś, co się stało, już się nie odstanie. Wczoraj chciałem iść na policję. Byłaś temu przeciwna! I teraz mamy do czynienia z tym... tym trędowatym, który obędzie nas z resztek godności... - Zamilkł.

- Czy mam uważać - zapytała księżna - że skończyłeś już swój historyczny występ? - Nie usłyszała odpowiedzi, ciągnęła więc dalej. - Czy mam ci przypomnieć, że nie musiałam cię szczególnie przekonywać, żebyś tak właśnie postąpił? Gdybyś postanowił inaczej, żadne moje namowy nie zmieniłyby twojej decyzji. A jeżeli chodzi o trąd, wątpię, czy zdołałbyś się nim zarazić, ponieważ starannie trzymałeś się na uboczu pozwalając, abym wszystko załatwiała z tym człowiekiem sama.

Książę westchnął.

- Nie powinienem był zaczynać tej dyskusji. Przepraszam.

- Jeżeli jej potrzebowałeś, żeby się opanować - odparła obojętnie - to wszystko w porządku.

Książę podniósł szklankę i przez chwilę obracał ją bezmyślnie w rękę.

- Śmieszne - powiedział wreszcie. - Mam wrażenie, że ten paskudny wypadek zbliżył nas jednak do siebie.

Jego słowa tak bardzo przypominały błaganie, że księżna zawahała się. Dla niej również rozmowa z Ogilviem była upokarzająca i męcząca. Czowała ukrytą gdzieś w głębi duszy potrzebę choć chwili spokoju.

Ale w jakiś przewrotny sposób nie chciała zaakceptować próby pogodzenia się.

- Dziwne, ale zupełnie tego nie zauważyłam - odparła. I dodała jeszcze bardziej brutalnie - W każdym razie, nie mamy teraz czasu na sentymenty.

- Słusznie! - Książę, zupełnie jakby słowa żony były oczekiwanym sygnałem, wypił whisky do końca i nalał sobie następną porcję.

Spojrzała na niego z pogardą.

- Byłabym ci bardzo zobowiązana, gdybyś przynajmniej nie upił się do utraty przytomności. Sądzę, że zdołam załatwić sprawy w banku, ale może będziesz musiał podpisać jakieś dokumenty.

7.

Warrena Trenta czekało załatwienie dwóch spraw, które sam sobie wyznaczył i żadna z nich nie była przyjemna.

Przede wszystkim musiał przekazać Tomowi Earlshore'owi oskarżenie przedstawione ubiegłego wieczoru przez Curtisa O'Keefego. „Okrada cię straszliwie”, powiedział o leciwym głównym barmanie. A potem dodał: „Wszystko wskazuje na to, że ciągnie się to od dawna.”

Zgodnie z obietnicą, O'Keefe udokumentował swoje zarzuty. Tuż po dziesiątej rano

młody człowiek, który przedstawił się jako Sean Hall z Korporacji Hoteli O'Keefego dostarczył Trentowi raport, w którym podane były fakty, konkretne daty i godziny. Sean Hall, który przyszedł bezpośrednio do apartamentów Warrena Trenta, robił wrażenie zakłopotanego. Właściciel hotelu podziękował mu, usiadł i zaczął czytać siedmiostronicowe sprawozdanie.

Zaczął lekturę w ponurym nastroju, narastającym w miarę zagłębiania się w raport. W dokumentacji pojawiało się nie tylko nazwisko Toma Earlshore'a, ale również innych zaufanych pracowników. Trent z bólem uświadamiał sobie, że jest oszukiwany przez tych właśnie ludzi, na których najbardziej polegał. A także tych, których (jak Toma Earlshore'a) uważał za osobistych przyjaciół.

Złożył starannie dokument i wsunął go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Wiedział, że jeżeli nie będzie nad sobą panował, może wpaść we wściekłość, zacznie demaskować i karać po kolei wszystkich, którzy zawiedli jego zaufanie. Może da mu to nawet jakąś smutną satysfakcję. Ale wybuchy gniewu bardzo go wyczerpywały, postanowił, że osobiście porozmawia z Tomem Earlshorem i z nikim więcej.

Uświadomił sobie przy okazji, że raport odniósł jednak pewien pozytywny skutek. Zwolnił go mianowicie ze zobowiązań.

Do wczoraj, kiedy zastanawiał się nad przyszłością St. Gregory'ego, poważnie brał pod uwagę sprawę lojalności swoich pracowników. Teraz gdy dowiedział się, jak naprawdę wygląda sytuacja, już nie musiał brać tego pod uwagę.

Tym samym pojawiła się możliwość zachowania kontroli nad hotelem. Unikał jej poprzednio i nawet teraz myślał o niej z niechęcią. Dlatego właśnie postanowił wykonać najpierw łatwiejszy z nieprzyjemnych kroków i załatwić sprawę Toma Earlshore'a. Pontalba Longue znajdował się na parterze hotelu. Wchodziło się do niego z holu przez podwójne, wahadłowe drzwi ozdobione skórą i brązem. W środku, trzy stopnie pokryte chodnikiem prowadziły do sali w kształcie litery L. Znajdowały się w niej stoliki i boksy z wygodnymi, wyściełanymi ławami.

W przeciwieństwie do większości koktajl barów Pontalba był rzęsiście oświetlony. Dzięki temu goście mogli widzieć siebie nawzajem, jak również bar znajdujący się w miejscu połączenia obu części L. Przed kontuarem znajdowało się sześć wyściełanych, obrotowych stołków dla samotnych klientów.

Była za dwadzieścia pięć dwunasta, kiedy Warren Trent otworzył drzwi prowadzące z holu do baru. W środku panowała cisza. W boksie siedział chłopak z dziewczyną, a przy znajdującym się nie opodal stole, dwaj mężczyźni ze znaczkami zjazdu w klapach rozmawiali

półgłosem. Tłum pragnących wypić drinka w czasie lunchu pojawi się za jakieś piętnaście minut i wtedy nie będzie już okazji do prowadzenia spokojnej rozmowy. Właściciel hotelu uznał jednak, że do realizacji jego zamierzeń wystarczy dziesięć minut.

Kelner zauważył go i ruszył w jego stronę, ale Trent odesłał go skinieniem ręki. Spozstrzegł, że Tom Earlshore stoi za barem odwrócony plecami do sali i studiuje uważnie gazetę rozłożoną na automatycznej kasie. Warren Trent przeszedł sztywnym krokiem i usiadł na jednym z barowych stołków. Widział już wyraźnie, że leciwy barman studiuje „Biuletyn wyścigowy”.

- Na to wydajesz moje pieniądze? - zapytał.

Zaskoczony Earlshore odwrócił się raptownie. Kiedy jednak zobaczył, kim jest jego rozmówca, wyraz jego twarzy uległ zmianie. Najpierw pojawiło się na niej zdziwienie, a potem wyraźna radość.

- O rany, panie Trent, ależ potrafi pan napędzić człowiekowi strachu. - Barman, którego łysinę otaczał wianuszek siwych włosów, zgrabnie złożył biuletyn i wsunął go do tylnej kieszeni spodni. Na jego pomarszczonej twarzy pojawił się uśmiech. Warren Trent przez chwilę zastanawiał się, dlaczego nigdy dotąd nie zauważył, że jest to uśmiech lizusa. - Dawno pana u nas nie było, panie Trent.

- Chyba nie narzekasz z tego powodu, prawda?

- No cóż, nie - odparł z wahaniem Earlshore.

- Powinienem był się domyślić, że kiedy pozostawię ci swobodę działania, znajdziesz mnóstwo możliwości dorobienia sobie.

Na twarzy barmana pojawił się niepokój. Potem Earlshore roześmiał się, jakby chcąc dodać sobie ducha.

- Zawsze lubił pan żartować, panie Trent. Och, skoro pan tu jest, chciałbym panu coś pokazać. Miałem zamiar przyjść do pana do biura, ale nigdy mi jakoś nie wyszło. - Otworzył szufladę pod kontuarem, wyjął z niej kopertę, a z niej kolorowe zdjęcie. - To Derek, mój trzeci wnuk. Zdrowy chłopak, podobnie jak jego matka, dzięki panu i temu, co pan dla niej kiedyś zrobił. Ethel, pamięta pan moją córkę, często pyta o pana. Zawsze bardzo serdecznie pana wspomina, podobnie jak my wszyscy. - Położył fotografię na barze.

Warren Trent podniósł zdjęcie i nawet nie zerknąwszy na nie oddał mu je z powrotem.

- Czy coś się stało, panie Trent? - zapytał zmieszany Earlshore. Gdy nie usłyszał odpowiedzi, dodał: - Może coś panu przygotować?

Trent początkowo chciał odmówić, zmienił jednak zdanie.

- Ramos z ginem.

- Tak jest! Już się robi!

Tom Earlshore zgrabnie sięgnął po składniki. Trent zawsze z przyjemnością obserwował jego pracę. Czasami, w przeszłości, kiedy przyjmował gości w swoim apartamencie, prosił Toma żeby zajął się drinkami. Widok Earlshore'a za barem był czymś, co dawało się porównać jedynie z doskonałością sporządzanych przez niego napojów. Ruchy barmana były oszczędne, a jednocześnie wykonywał wszystko ze zręcznością zawodowego żonglera. Demonstrował swoje umiejętności również i teraz, aż wreszcie eleganckim gestem postawił drinka przed właścicielem hotelu.

Warren Trent upił łyk i skinął głową.

- Dobry? - spytał barman.

- Tak - odparł Trent. - Dobry, jak zawsze. - Spojrzał Earlshore'owi prosto w oczy. - Bardzo się z tego cieszę, jest to bowiem ostatni drink, jaki zrobiłeś w moim hotelu.

Zmieszanie, widoczne na twarzy Earlshore'a, zmieniło się w lęk. Barman oblizywał nerwowo wargi.

- Nie mówi pan tego serio, panie Trent, prawda?

Hotelarz zignorował jego słowa i odstawivszy szklaneczkę na bok zapytał:

- Dlaczego tak robiłeś, Tom? Dlaczego właśnie ty?

- Klnę się na Boga, że nie wiem...

- Nie oszukuj mnie, Tom. Zajmowałeś się tym wystarczająco długo.

- Mówię panu, panie Trent...

- Przestań kłamać!

W panującej ciszy ostry rozkaz zabrzmiał niezwykle głośno. Łagodny szmer rozmów w barze ucichł gwałtownie. Widząc zaniepokojenie w oczach barmana, Trent domyślił się, że za jego plecami głowy gości zaczynają odwracać się w ich stronę. Uświadomił sobie, że wzbiera w nim gniew, nad którym przecież postanowił zapanować.

Earlshore przełknął głośno ślinę.

- Proszę pana, panie Trent. Pracowałem tu ponad trzydzieści lat. Nigdy dotąd nie rozmawiał pan ze mną takim tonem.

Jego głos był ledwo słyszalny.

Warren Trent wyjął z kieszeni raport obserwatorów O'Keefego. Przewrócił dwie strony i pokazał Earlshore'owi trzecią, przysłaniając jej część dłonią.

- Czytaj! - polecił.

Barman wyciągnął trzęsącymi się rękami okulary i założył je. Przeczytał kilka linijek i przerwał. Podniósł wzrok. Już nie zaprzeczał. W oczach Toma pojawił się strach osaczonego

zwierzęcia.

- Nie może pan nic udowodnić.

Warren Trent trzasnął dłonią o blat baru. Nie bacząc już na to, że mówi podniesionym głosem, dał upust swojej złości.

- Jeżeli zechcę, na pewno zdołam. Możesz mi wierzyć. Oszukiwałeś i kradłeś, i jak wszyscy oszuści i złodzieje zostawiałeś za sobą ślad.

Przerażony Tom Earlshore pocił się. Miał wrażenie, że świat, który uważał za bezpieczny, rozpadł się gwałtownie. Dłużej niż mógł sięgnąć pamięcią okradał swego chlebodawcę, aż wreszcie sam uwierzył, że jest całkowicie bezpieczny. Nawet w najbardziej koszmarnych snach nie mógł wyobrazić sobie, że kiedyś może nastąpić taki dzień jak dzisiaj. Zastanawiał się, przerażony, czy właściciel hotelu jest w stanie dojść do tego, jak wielką sumę barman zdołał sobie przywłaszczyć.

Palec Warrena Trenta wbił się w dokument leżący między nimi na barze.

- Ci ludzie wyczuli korupcję dlatego, że nie popełnili błędu, mojego błędu, i nie zaufali ci, nie uwierzyli, że jesteś przyjacielem. - Wzburzenie na chwilę odebrało mu głos. - Ale jeżeli zacznę szukać, na pewno znajdę dowody - ciągnął dalej. - Jest wiele innych spraw, które nie są tu nawet wspomniane. Prawda?

Tom Earlshore skinął z rezygnacją głową.

- No cóż, nie musisz się martwić. Nie mam zamiaru wzywać policji. Gdybym tak zrobił, miałbym wrażenie, że niszczę część siebie.

Na twarzy leciwego barmana pojawił się na chwilę wyraz ulgi. Earlshore postarał się jednak szybko go ukryć.

- Przysięgam, że jeśli da mi pan jeszcze jedną szansę, nigdy się to już nie powtórzy - oznajmił błagalnym tonem.

- Chcesz mi dać do zrozumienia, że po tylu latach złodziejstwa i oszustwa nagle łaskawie przestaniesz kraść?

- W moim wieku będzie mi bardzo trudno, panie Trent, znaleźć nową pracę. Mam rodzinę...

- Wiem, Tom - powiedział Trent cicho. - Pamiętam o tym.

Earlshore miał wystarczająco dużo poczucia przyzwoitości, żeby się zaczerwienić.

- Zapłata za moją pracę nigdy mi nie wystarczała - rzekł niezgrabnie. - Zawsze były rachunki do zapłacenia, rzeczy dla dzieci...

- I bukmacherzy, Tom. Nie zapomnij o nich. Deptali ci po piętach, prawda? Chcieli, żebyś im zapłacił.

Strzał oddany został w ciemno, ale milczenie Earlshore'a dowiodło, że Trent trafił celnie.

- Dosyć już zostało powiedziane - stwierdził stanowczo. - A teraz wyjdź z hotelu i nigdy tu nie wracaj.

Do Pontalba Longue wchodziło z holu coraz więcej osób. Narastał gwar głosów. Młody pomocnik barmana stanął za kontuarem i realizował zamówienia kelnerów, starannie unikając wzrokiem swojego chlebodawcy i byłego przełożonego.

Tom Earlshore zamrugnął oczyma.

- Jest przecież pora lunchu... - zaprotestował z niedowierzaniem.

- Nie twoja sprawa. Już tu nie pracujesz.

Powoli, w miarę jak były barman uświadamiał sobie nieodwołalny charakter decyzji Trenta, wyraz jego twarzy ulegał zmianie. Dotychczasowa maska pokory i uniżoności zniknęła. Na jej miejscu pojawił się krzywy, ironiczny uśmiešek.

- Dobrze, pójdę sobie - oznajmił. - Ale pan niedługo pójdzie w moje ślady, wasza wspaniałość, panie Trent. Pana też wyrzucą i wszyscy wokoło dobrze o tym wiedzą.

- A co konkretnie?

Oczy Earlshore'a błysnęły.

- Wiedzą, że jest pan bezradnym, splukanym, starym półgłówkiem, który nie dałby sobie rady ze sprzedażą papierowej torby, a co dopiero z prowadzeniem hotelu. I dlatego straci pan ten hotel jak amen w pacierzu, a ja będę jednym z wielu, którzy pękną wtedy ze śmiechu. - Przerwał, dysząc ciężko. Wciąż wahał się między zachowaniem ostrożności a brawurą. Zwyciężyła jednak chęć zemsty. - Od niepamiętnych czasów zachowywał się pan jakby wszyscy, którzy tu pracują, stanowili pańską własność. Owszem, może płacił pan kilka centów więcej niż inni i obdzielał nas ochłapami swojej wspaniałomyślności, tak jak zrobił pan w stosunku do mnie. Odgrywał pan rolę Jezusa Chrystusa i Mojżesza w jednej osobie. Ale nikogo z nas pan nie oszukał. Płacił pan wyższe pensje, żeby trzymać związek z daleka, a ta łaskawość pozwalała panu czuć się wielkim i wspaniałym. Ale ludzie doskonale wiedzieli, że działa pan przede wszystkim w swoim własnym interesie. Dlatego śmiali się z pana i dbali o własną kieszeń tak jak ja. Może mi pan wierzyć, dzieje się tu dużo ciekawych rzeczy, o których nie ma i nie będzie pan miał pojęcia. - Earlshore przerwał. Miał minę człowieka, który nagle uświadomił sobie, że posunął się za daleko.

Za plecami Trenta bar szybko wypełniał się ludźmi. Dwa sąsiednie stołki były już zajęte. Warren Trent z namysłem bębnił coraz szybciej palcami po obitym skórą blacie kontuaru. Dziwne, ale gniew sprzed kilku minut zniknął. Zamiast niego pojawiła się

stanowczość. Nie będzie się wahał przed zrobieniem następnego zaplanowanego kroku.

Podniósł wzrok. Przez trzydzieści lat uważał, że dobrze zna tego człowieka.

- Nigdy się nie dowiesz, Tom, jak i dlaczego, ale wyświadczyłeś mi właśnie ostatnią przysługę. A teraz idź, zanim zmienię decyzję i wyślę cię do więzienia.

Tom Earlsore odwrócił się i wyszedł, nie patrząc ani w prawo ani w lewo.

*

Przechodząc przez hol w stronę drzwi prowadzących na Carondelet Street, Warren Trent unikał spojrzeń obserwujących go pracowników. Nie czuł się w nastroju na wymianę uprzejmości, dowiedział się bowiem dziś rano, że zdrada bardzo często przybiera uśmiechniętą serdeczną maskę, pod którą może kryć się pogarda. Informacja, że wyśmiewano jego próby dobrego traktowania podwładnych zraniła go głęboko, zwłaszcza że wyczuwał w niej prawdę. No cóż, pomyślał, poczekajcie dzień albo dwa. Zobaczmy, kto się będzie wtedy śmiał.

Kiedy dotarł na zatłoczoną, pełną słońca ulicę, portier zbliżył się z szacunkiem.

- Sprowadź mi taksówkę - polecił Trent. Miał zamiar przejść się trochę, ale odzywający się ischiasowy ból sprawił, że zmienił zdanie.

Portier dmuchnął w gwizdek. Spomiędzy zapelniających ulicę samochodów wyjechała taksówka i zatrzymała się przy krawężniku. Warren Trent wsiadł do niej sztywno. Portier przytrzymał drzwiczki, a potem zaszalutował z szacunkiem. Trent podejrzewał, że był to kolejny pusty gest. Zdawał sobie sprawę, że od tej pory będzie z podejrzliwością spoglądał na wiele spraw, które do tej pory przyjmował jako coś oczywistego.

Taksówka ruszyła. Polecił przyglądającemu się mu w lusterku kierowcy:

- Niech mnie pan zawiezie parę przecznic dalej. Chcę znaleźć budkę telefoniczną.

- Przecież w hotelu ma pan mnóstwo telefonów, szefie - zdziwił się taksówkarz.

- Nie szkodzi. Niech mnie pan zawiezie do jakiegoś automatu.

Nie miał ochoty wyjaśniać, że rozmowa, którą zamierzał przeprowadzić ma zbyt poufny charakter, aby posłużyć się którymkolwiek z hotelowych połączeń.

Kierowca wzruszył ramionami. Po przejechaniu dwóch przecznic zakręcił na południe na Canal Street i jeszcze raz przyjrzał się w lusterku swemu pasażerowi.

- Ładny dzień - powiedział. - Jest mnóstwo telefonów koło portu.

Warren Trent kiwnął głową, zadowolony z paru chwil wytchnienia.

Kiedy minęli Tchoupitoulas Street, ruch uliczny osłabł wyraźnie.

Chwilę później taksówka zatrzymała się na parkingu przed budynkiem kapitanatu portu. Budka telefoniczna znajdowała się w odległości kilku kroków.

Dał kierowcy dolara i nie wziął reszty. Ruszył w stronę budki, ale zmienił nagle decyzję, przeszedł przez Eads Plaza i stanął nad brzegiem rzeki. Czuł żar południa spływający na niego z góry i przenikający przyjemnie do jego stóp z płyt chodnika. Słońce, przyjaciel starych kości, pomyślał.

Po drugiej stronie szerokiej na pół mili Mississippi, na drugim brzegu widniały w drżącym powietrzu zabudowania Algiers. Od rzeki płynął dziś ciężki odór i nie było w tym nic dziwnego. Był on, podobnie jak powolny nurt i muł, nieodłączną częścią Ojca Wód. Zupełnie jak w życiu, pomyślał, zawsze otacza nas błoto i brud.

Nie opodal przepłynął w stronę morza frachtowiec, porykując syreną na zmierzającą w górę rzeki karawanę barek. Zmieniły kurs, a statek podążał dalej, nie zmniejszając prędkości. Wkrótce zamieni samotność rzeki na jeszcze większą samotność oceanu. Zastanawiał się, czy ludzie na jego pokładzie zdają sobie z tego sprawę, czy się tym przejmują. Pewnie nie. A może, podobnie jak on, wiedzą już, że na całym świecie nie ma takiego miejsca, w którym człowiek nie byłby samotny.

Wrócił do budki telefonicznej i starannie zamknął za sobą drzwi.

- Rozmowa na kartę kredytową - powiadomił telefonistkę. - Z Waszyngtonem D.C.

Oczekiwanie na rozmowę trwało kilka minut, w czasie których padło również pytanie, w jakiej sprawie dzwoni. Wreszcie połączono go z odpowiednim człowiekiem. W słuchawce rozległ się głuchy, szorstki głos najpotężniejszego i jak powszechnie sądzono, jednego z najbardziej skorumpowanych przywódców związkowych.

- Słucham. Proszę mówić.

- Dzień dobry - odezwał się Trent. - Miałem nadzieję, że nie będzie pan akurat na lunchu.

- Ma pan trzy minuty - odparł ostro rozmówca. - I stracił pan już piętnaście sekund.

- Niegdyś - zaczął szybko Trent - w czasie naszego spotkania, złożył mi pan pewną nie zobowiązującą propozycję. Może pan nie pamięta...

- Zawsze pamiętam. Chociaż niektórzy woleliby, abym miał krótką pamięć.

- Bardzo mi przykro, że byłem wtedy nieco nieuprzejmy.

- Mam przed sobą stoper. Minęło już pół minuty.

- Mam zamiar omówić warunki.

- Ja stawiam warunki. Inni je przyjmują.

- Skoro czas jest tak ważny - odciął się Warren Trent - przestańmy dzielić włos na czworo. Od wielu lat chciał pan wejść do interesu hotelowego. Chciał pan również umocnić pozycję swojego związku w Nowym Orleanie. Daję panu szansę rozwiązania obu tych

problemów.

- Za jaką cenę?

- Dwa miliony dolarów pod zastaw hipoteczny. W zamian za to dostaje pan okręg związkowy i sporządza pan swój własny kontrakt. Moim zdaniem, to bardzo sensowne rozwiązanie, a zarazem bardzo dobra inwestycja.

- No, no, no - odparł z namysłem rozmówca.

- A teraz - zapytał Trent - zatrzyma pan wreszcie ten swój cholerny stoper?

W słuchawce rozległ się cichy śmiech.

- Wcale go nie mam. Ale zdziwiłby się pan widząc, jak bardzo takie postawienie sprawy mobilizuje ludzi. Kiedy będą panu potrzebne te pieniądze?

- Do piątku. Pańska decyzja, do jutra w południe.

- A więc przyszedł pan do mnie na końcu? Gdy inni odmówili?

Nie było sensu kłamać.

- Tak - odparł lakonicznie.

- Traci pan pieniądze?

- Nie tak wiele, aby nie można było zmienić tej sytuacji. Ludzie O'Keefego mają zamiar tego dokonać. Zaproponowali mi kupno.

- Może byłoby rozsądnie przyjąć ich ofertę.

- Wtedy nie będzie pan miał u nich najmniejszej szansy.

Zapadła cisza, której Warren Trent nie przerywał. Czuł, jak jego rozmówca zastanawia się, oblicza. Nie wątpił, że jego propozycja została potraktowana poważnie. Od dziesięciu lat Międzynarodowe Bractwo Pracowników Najemnych usiłowało przeniknąć do hotelarstwa. Na razie, w przeciwieństwie do kierowanych gdzie indziej rekrutacyjnych kampanii członkowskich związku, wszelkie podejmowane tutaj próby kończyły się klęską. Przyczyną takiego stanu rzeczy była - przynajmniej w tej jednej kwestii - solidarność hotelarzy, którzy obawiali się Pracowników Najemnych. Z hotelarzami współdziałały inne, uczciwsze związki zawodowe, które Bractwem pogardzały. Dla MBPN, kontrakt z St. Gregorym, który do tej pory nie miał żadnych powiązań związkowych, stanowiłby wyłom w murze zorganizowanego oporu.

Z finansowego punktu widzenia, dwumilionowa inwestycja - jeżeli Bractwo zechce jej dokonać - byłaby zaledwie drobnym uszczupleniem ogromnego majątku związkowego. Od wielu lat tracili o wiele większe sumy na nieudane akcje stworzenia własnego przyczółku w hotelarstwie.

Trent uświadomił sobie, że jeśli proponowany przez niego układ dojdzie do skutku, w

środkowemu hotelarzy zostanie obrzucony obelgami i uznany za zdrajcę. Także pracownicy potępiają go zdecydowanie - przynajmniej ci, którzy zdadzą sobie sprawę z tego, że zostali oszukani.

Najwięcej bowiem stracą zatrudnieni w hotelu. Jeżeli zostanie podpisana umowa ze związkiem zawodowym, uzyskają zapewne niewielką podwyżkę płac. Zwyczajowy, normalny w takich sytuacjach gest. Ale podwyżka miała nastąpić tak czy owak, była zresztą już nawet spóźniona. Miał zamiar sam ją przyznać, jeżeli w jakiś sposób uda mu się przeprowadzić refinansowanie hotelu. Istniejący plan emerytalny pracowników zostanie zamieniony na związkowy, ale skorzysta na tym jedynie kasa Bractwa. A co najważniejsze, składki związkowe - prawdopodobnie sześć do dziesięciu dolarów miesięcznie - staną się obowiązkowe. Nie tylko pochłonie to całą podwyżkę, ale nawet zmniejszy płacę netto.

No cóż, doszedł do wniosku Trent, trzeba będzie znieść pogardę kolegów. A jeżeli chodzi o resztę, przypomniał sobie Toma Earlsore'a i pozostałych, jemu podobnych i przestał mieć wyrzuty sumienia.

Szorstki głos w słuchawce przerwał jego rozmyślenia.

- Przyślę dwóch moich księgowych. Przylecą dzisiaj po południu. W ciągu nocy sprawdzą dokładnie pańskie księgi. Niech pan więc nie próbuje ukrywać niczego, o czym powinniśmy wiedzieć.

Wyraźna pogroźka miała mu przypomnieć, że jedynie bohater albo głupiec może próbować jakichś sztuczek ze Związkiem Pracowników Najemnych.

- Nie mam przed wami nic do ukrycia - odparł z irytacją właściciel hotelu. - Będziecie mieli dostęp do każdej informacji.

- Jeżeli jutro rano moi ludzie dadzą mi znać, że wszystko jest w porządku, podpisze pan umowę na trzyletnią działalność organizacji związkowej.

Było to stwierdzenie faktu, nie pytanie.

- Oczywiście, chętnie podpiszę. Pracownicy będą głosować, ale jestem pewien, że wynik będzie pomyślny.

Warren Trent miał przez chwilę wątpliwości, czy nie jest zbyt wielkim optymistą. Sojusz z Bractwem spotka się z protestami, tego był zupełnie pewien. Jednak wielu pracowników postąpi zgodnie z jego zaleceniem, zwłaszcza, jeżeli sformułuje je wystarczająco kategorycznie. Pytanie tylko, czy zdobędzie tą metodą wystarczającą większość.

- Nie będzie żadnego głosowania - oznajmił przewodniczący Bractwa.

- Ale przecież prawo...

Głos w słuchawce warknął ze złością:

- Niech mnie pan nie próbuje uczyć prawa związkowego! Znam je lepiej i dokładniej niż pan.

Po chwili Trent usłyszał wyjaśnienie:

- Będzie to umowa zawarta za porozumieniem stron. Żaden przepis nie wymaga wtedy głosowania. Więc go nie będzie.

Warren Trent uznał, że istotnie, można załatwić sprawę w ten właśnie sposób. Będzie on nieetyczny, niemoralny, ale niewątpliwie w pełni legalny. W tej sytuacji jego podpis na umowie stanie się wiążący dla wszystkich pracowników hotelu bez względu na to, czy im się to spodoba, czy nie. No cóż, pomyślał ponuro, niech tak będzie. Dzięki temu wszystko stanie się o wiele prostsze, a rezultat końcowy i tak będzie taki sam.

- Jak załatwi pan pożyczkę hipoteczną? - zapytał. Wiedział, że jest to delikatny problem. W przeszłości senacka komisja ostro potępiła Bractwo za inwestowanie dużych sum w przedsiębiorstwa, z którymi zawarło umowy związkowe.

- Wystawi pan weksel na sumę dwóch milionów dolarów na osiem procent rocznie, płatny na Fundusz Emerytalny. Jego zabezpieczeniem będzie pierwsza hipoteka hotelu. Zostanie ona obciążona na dobro Południowego Zrzeszenia Pracowników Najemnych występującego jako pełnomocnik Funduszu.

Warren Trent uświadomił sobie, że cała kombinacja jest diabelnie sprytna. Naruszała ducha każdego przepisu dotyczącego wykorzystywania funduszy związkowych, przy czym formalnie respektowała ich literę.

- Weksel będzie płatny po trzech latach i skierowany do protestu, jeżeli nie ureguluje pan dwóch kolejnych płatności oprocentowania.

- Zgadzam się na wszystko, ale chcę, aby okres spłaty wynosił pięć lat - zaprotestował Trent.

- Ma pan trzy.

Warunki były trudne, ale trzy lata dadzą mu przynajmniej czas na przywrócenie konkurencyjności hotelu.

- Dobrze - stwierdził niechętnie.

Rozległ się trzask i w słuchawce zapadła cisza.

Mimo że znowu dręczył go atak ischiasu, Warren Trent uśmiechał się wychodząc z budki telefonicznej.

Po awanturze w holu, zakończonej wyjściem doktora Nicholasa, Peter McDermott zastanawiał się, co jeszcze może się zdarzyć. W końcu doszedł do wniosku, że nic nie zyska podejmując natychmiastową interwencję u władz Kongresu Dentystów Amerykańskich. Jeżeli przewodniczący, doktor Ingram, będzie dążył do zrealizowania groźby wyprowadzenia całego kongresu z hotelu, nie zdoła zrobić tego wcześniej niż jutro rano. Oznacza to, że rozsądnie będzie poczekać godzinę lub dwie, do popołudnia, aż emocje opadną. Dopiero wtedy, w razie potrzeby, pójdzie do doktora Ingrama, albo innych członków kongresu.

Obecność dziennikarza w czasie tej nieszczęsnej sceny była już faktem dokonanym i nie da się już temu zaradzić. Peter miał jednocześnie nadzieję, że opisane wydarzenie zostanie uznane za lokalny, mało istotny incydent.

Wrócił do swojego gabinetu na głównej antresoli i przez resztę poranka zajmował się rutynowymi sprawami. Odegnął pokusę natychmiastowego spotkania się z Christine, instynkt bowiem podpowiedział mu, że dobrze będzie, jeżeli pozwoli jej trochę ochłonąć. Wkrótce jednak uświadomił sobie, że będzie musiał załagodzić popełnioną dziś rano wielką gafę.

Postanowił wpaść do Christine tuż po południu. Realizację tego zamiaru uniemożliwił mu jednak telefon zastępcy kierownika zmiany, który poinformował Petera, że okradziono pokój zajmowany przez pana Stanleya Kilbricka z Marshalltown w stanie Iowa. Chociaż kradzież zgłoszono niedawno, zdarzyła się najwidoczniej w nocy. Zgłoszono zniknięcie dużej sumy gotówki oraz wielu cennych przedmiotów, a gość według opinii zastępcy kierownika - sprawiał wrażenie niezwykle przygnębionego. Detektyw hotelowy już jest na miejscu zdarzenia.

Peter wydał przez telefon polecenie, aby znaleziono głównego detektywa. Nie miał pojęcia, czy Ogilvie znajduje się w hotelu, gdyż godziny pracy tłuszciocha były jego osobistą tajemnicą. Wkrótce otrzymał wiadomość, że Ogilvie przejął dochodzenie i zamelduje się u niego najszybciej, jak to możliwe. Jakies dwadzieścia minut później zjawił się w gabinecie Petera McDermotta.

Detektyw usiadł ostrożnie w głębokim, skórzanym fotelu stojącym przed biurkiem.

- Jak wygląda sprawa? - zapytał Peter, próbując stłumić swoją instynktowną niechęć.

- Facet, którego okradziono, to jeleń. Dał się nabrać. A oto, co mu zginęło. - Ogilvie położył na biurku zapisaną ręcznie kartkę. - Zatrzymałem jeden spis dla siebie.

- Dziękuję. Przekażę ją naszym agentom ubezpieczeniowym. Jak wygląda pokój? Czy są jakieś ślady włamania?

Detektyw pokręcił głową.

- Na pewno robota z kluczem. Wszystko się zgadza. Kilbrick przyznaje, że ubiegłej

nocy balował w Quarter. Chyba powinien przez cały czas pozostawać pod opieką mamuśki. Twierdzi, że zgubił klucz. Za nic nie chce zmienić swojej wersji. Uważam, że najprawdopodobniej dał się nabrać dziwce.

- Czy nie uświadamia sobie, że jeśli opowie nam wszystko szczerze, będziemy mieli większą szansę odzyskania tego, co mu skradziono?

- Mówiłem mu o tym. Ale nic z tego. Chyba czuje się w tej chwili bardzo głupio. Poza tym, wydaje mu się, że hotelowe ubezpieczenie wynagrodzi mu straty. A może nawet na tym zarobi. Twierdzi, że miał w portfelu czterysta dolarów.

- Wierzy mu pan?

- Nie.

No cóż, pomyślał Peter, gościa czeka przykra niespodzianka. Ubezpieczenie hotelowe pokrywa stratę przedmiotów o wartości do stu dolarów, ale nie gotówki.

- A co pan sądzi o tym wypadku? Czy przypuszcza pan, że to odosobniony przypadek?

- Nie - odparł Ogilvie. - Uważam, że mamy do czynienia z zawodowym złodziejem hotelowym, który działa na naszym terenie.

- Na jakiej podstawie wyciąga pan takie wnioski?

- Na podstawie tego, co zdarzyło się dzisiaj rano. Była skarga z pokoju 641. Chyba jeszcze do pana nie dotarła.

- Chyba nie - powiedział Peter. - Nie przypominam sobie.

- Wcześniej rano, o ile dobrze się zorientowałem - o świcie, jakiś typ otworzył kluczem drzwi do 641. Lokator pokoju obudził się. Ten drugi jegomość zachowywał się, jakby był pijany i powiedział, że się pomylił. Myślał, że to 614. Gość z 641 poszedł znowu spać, ale kiedy się obudził, zaczął się zastanawiać, dlaczego klucz do 614 pasował do 641. Dlatego się o tym dowiedziałem.

- Recepcja mogła dać zły klucz.

- Mogła, ale tego nie zrobiła. Recepcjonista z nocnej zmiany przysięga, że nie dawał żadnego z tych kluczy. A w 614 mieszka małżeństwo. Położyli się wcześniej i nigdzie nie wychodzili.

- Czy mamy opis człowieka, który wszedł do 641?

- Niedokładny i nic nam nie da. Żeby się upewnić, skonfrontowałem lokatorów z 614 i 641. To nie gość z 614 wszedł do 641. Sprawdziłem również klucze. Żaden z nich nie pasuje do drugiego zamka.

- Ma pan chyba rację twierdząc, że w hotelu pracuje zawodowy złodziej - powiedział z

namysłem Peter. - W takim razie, musimy opracować jakiś plan działania.

- Coś już zrobiłem w tej sprawie - oznajmił Ogilvie. - Poleciłem recepcjonistom, aby przez kilka następnych dni pytali o nazwisko każdego, komu wydają klucze. Jeżeli zauważą coś dziwnego, mają wydać klucz, ale przyjrzeć się biorącej go osobie i natychmiast poinformować jednego z moich ludzi. Poleciłem też pokojówkom i boyom, aby zwracali uwagę na kręcące się po hotelu osoby oraz na wszelkie podejrzane sytuacje. Moi ludzie będą pełnili dodatkowe dyżury, patrolując przez całą noc wszystkie piętra.

Peter skinął z aprobatą głową.

- W porządku. Bardzo dobrze. Czy nie uważa pan, że dobrze by było, aby przeniósł się pan do hotelu na dzień lub dwa? Jeżeli pan chce, mogę załatwić panu pokój.

Przez chwilę Peter miał wrażenie, że jego rozmówca jest nieco zmieszany. Potem jednak tłuścioch pokręcił głową.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Ale będzie pan do dyspozycji?

- Oczywiście, że tak. - Ton Ogilwiego był stanowczy, ale jego słowa nie zabrzmiały przekonująco. Jakby zdając sobie z tego sprawę, dodał: - Nawet gdyby mnie akurat nie było, moi ludzie wiedzą, co mają robić.

Peter zapytał, wciąż pełen wątpliwości:

- A jak została załatwiona sprawa z policją?

- Będzie tutaj dyżurowało paru policjantów w cywilu. Powiem im o tej drugiej historii i przypuszczam, że postarają się sprawdzić, kto jest w mieście. Jeżeli to jakiś notowany ptaszek, może będziemy mieli szczęście i uda się nam go przyłapać.

- A tymczasem, oczywiście, nasz przyjaciel, kimkolwiek jest, nie będzie siedział z założonymi rękami.

- Na pewno. A jeżeli jest taki sprytny jak podejrzewam, domyśli się, że siedzimy mu na karku. Najprawdopodobniej więc będzie się starał działać szybko i zniknąć.

- I dlatego wolałbym - stwierdził Peter - aby był pan cały czas na miejscu.

- Uważam, że pomyślałem o wszystkim - zaprotestował Ogilvie.

- Też mi się tak zdaje. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co jeszcze można by zrobić. Niepokoję się tylko tym, że w czasie pana nieobecności ktoś inny może nie być tak dokładny lub równie szybki.

Peter wiedział, że bez względu na to, co myśli o głównym detektywie, Ogilvie - jeśli chce - potrafi dobrze wykonywać swój zawód. McDermotta doprowadzał jednak do szalu fakt, że musi go prosić o coś tak oczywistego.

- Nie ma się pan czym martwić - oświadczył Ogilvie. Kiedy jednak podniósł swoje cielsko z fotela i ruszył w stronę drzwi, Peter wyczuł, że z jakiegoś powodu tłścioch sam jest czymś poważnie zaniepokojony.

Po paru minutach McDermott również wyszedł. Poleciał sekretarce, aby zawiadomiła firmę ubezpieczeniową o kradzieży i przekazała jej spis skradzionych przedmiotów.

Zajrzał do gabinetu Christine, ale okazało się, że nie ma jej w pokoju. Był zawiedziony, postanowił, że wróci tuż po lunchu.

Zszedł do holu i udał się do głównej sali jadalnej. Kiedy wszedł do środka, spostrzegł, że ruch w restauracji jest duży, proporcjonalny do ilości wykorzystanych miejsc hotelowych.

Kiwnął przyjaźnie głową zbliżającemu się głównemu kelnerowi, Maxowi.

- Dzień dobry, panie McDermott. Stolik dla pana?

- Nie, dziękuję. Dołączę do karnej kolonii.

Peter rzadko korzystał z należnego mu jako zastępcy naczelnego dyrektora przywileju zajmowania osobnego stolika. Najczęściej przyłączał się do pozostałych członków kierownictwa, którzy zasiadali przy dużym, okrągłym stole, zarezerwowanym do ich wyłącznego użytku, usytuowanym niedaleko drzwi do kuchni.

Rewident księgowy St. Gregory'ego, Royall Edwards oraz Sam Jakubiec - krępy, łysiejący kierownik działu rozliczeń - już jedli. Kierownik techniczny, Doc Vickery, który przyszedł przed paroma minutami, studiował kartę dań.

- Co dziś dobrego? - zapytał Peter, siadając na krześle odsuniętym przez Maxa.

- Spróbuj zupy z rzeżuchy - poradził Jakubiec. - Nie taka, jaką robiła moja matka. Ta jest o niebo lepsza.

- Specjalnym daniem dnia jest dziś smażone kurczę - dodał Royall Edwards. - Właśnie na nie czekamy.

Max odszedł, a przy stole pojawił się młodszy kelner. Wbrew instrukcjom, „karna kolonia” kierownictwa zawsze była najlepiej obsługiwana częścią sali jadalnej. Peter i inni już dawno zrezygnowali z tłumaczenia personelowi, iż płacący rachunki goście są o wiele ważniejsi od ludzi, którzy zarządzają hotelem.

Kierownik techniczny zamknął menu, spojrzął znad jak zwykle ześlizgujących się na sam czubek nosa okularów w grubej oprawce:

- Dla mnie to samo, synu.

- Decyzja jednogłówna - stwierdził Peter oddając kartę, której nawet nie otworzył. - To samo dla wszystkich.

Kelner zawahał się.

- Nie jestem przekonany do tych kurcząt, proszę pana. Może wybierze pan coś innego.

- Ładne rzeczy - stwierdził Jakubiec. - W samą porę nas uprzedziłeś.

- Mogę zmienić pańskie zamówienie bez trudu, panie Jakubiec. Pańskie także, panie Edwards.

- Co jest z tymi smażonymi kurczętami? - zapytał Peter.

- Może nie powinienem tego mówić. - Kelner zmieszany przestąpił z nogi na nogę. - Rzecz w tym, że mamy już reklamacje. Wygląda na to, że gościom nie smakują. - Na chwilę odwrócił głowę spoglądając na gwarną jadalnię.

- W takim razie - odezwał się Peter - jestem ciekaw, dlaczego. Niech pan więc pozostawi moje zamówienie. - Inni też, choć z niejakimi oporami, skinęli głowami.

Gdy kelner odszedł, Jakubiec zapytał:

- Słyszałem plotki, że nasz kongres dentystów może się wyprowadzić.

- Dobrze słyszałeś, Sam. Po południu dowiem się, czy to tylko plotki.

Peter zaczął jeść zupę, która pojawiła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a potem odłożył łyżkę i opowiedział o scenie, jaka rozegrała się w holu przed godziną. Twarze słuchających stopniowo poważniały.

- Zauważyłem, że katastrofy rzadko kiedy zdarzają się pojedynczo - stwierdził Royall Edwards. - Sądząc na podstawie dobrze panom znanych ostatnich wyników finansowych hotelu, szykuje się nam następne nieszczęście.

- Jeżeli wszystko będzie zmierzać w tym kierunku - zauważył kierownik techniczny - nie mam najmniejszych wątpliwości, że przede wszystkim obetniecie budżet działu technicznego.

- Lub w ogóle go zlikwidujemy - pocieszył go rewident.

Niezbyt ubawiony jego żartem Doc tylko mruknął w odpowiedzi.

- Może wszyscy zostaniemy usunięci - stwierdził Sam Jakubiec - jeżeli władza przejdzie w ręce ludzi O'Keefego.

Spojrzał pytająco na Petera, ale Royall Edwards ostrzegł ich lekkim ruchem głowy, że zbliża się kelner. Cała grupa milczała w czasie, gdy młody człowiek zręcznie obsługiwał rewidenta i kierownika działu rozliczeń. Wokół nich wciąż rozlegał się gwar jadalni, przytłumiony brzęk naczyń i kroki kelnerów przechodzących do kuchni.

Po odejściu młodego człowieka Jakubiec zapytał ponownie:

- No cóż, jak brzmią wiadomości?

Peter pokręcił głową.

- Nic nie wiem, Sam. Poza tym, że zupa była cholernie dobra.

- Może pan pamięta - stwierdził Royall Edwards - że ją zalecaliśmy, a teraz dam panu jeszcze jedną dobrą radę. Niech pan na tym obiad zakończy. - Przed chwilą spróbował smażonego kurczaka, którego postawiono przed nim i Samem Jakubcem. Odłożył nóż i widelec. - Proponuję, aby następnym razem uważniej słuchać rad naszego kelnera.

- Rzeczywiście jest taki niedobry? - spytał Peter.

- Da się zjeść - odparł rewident. - Zwłaszcza, jeżeli ktoś lubi śmierdzące jedzenie.

Jakubiec ostrożnie spróbował swoje danie, podczas gdy pozostali obserwowali go uważnie. Wreszcie oznajmił:

- Powiedzmy tak. Gdybym miał za to zapłacić, na pewno bym tego nie zrobił.

Peter uniósł się z krzesła, odszukał wzrokiem stojącego po drugiej stronie sali głównego kelnera i przywołał go gestem.

- Max, czy szef kuchni, Hebrand, jest obecny?

- Nie, panie McDermott. O ile wiem, jest chory. Zastępuje go zastępca szefa, Lemieux. Jeżeli chodzi o smażonego kurczaka - dodał z niepokojem główny kelner - zapewniam pana, że już podjęto odpowiednie kroki. Zaprzestaliśmy podawać to danie, a tam, gdzie zgłaszano zażalenie, zamieniamy całe danie. - Spojrzał na stół. - Panom również.

- W tej chwili - odparł Peter - bardziej mi zależy na ustaleniu, co się właściwie stało. Czy mógłby pan poprosić pana Lemieux, żeby łaskawie tu przyszedł?

Drzwi do kuchni są tak blisko, pomyślał Peter, że ma się ochotę przejść przez nie i zapytać bezpośrednio, co się stało z daniem specjalnym. Ale nie byłoby to rozsądne.

W kontaktach z wyższym personelem kuchennym kierownictwo hotelu przestrzegało protokołu równie rygorystycznego i uświęconego tradycją jak ten, który obowiązuje na dworach królewskich. Na terenie kuchni jej szef, albo w razie jego nieobecności - zastępca był niekwestionowanym królem. Nie do pomyslenia było, aby dyrektor hotelu wszedł do kuchni bez zaproszenia.

Szefa kuchni można było zwolnić i niekiedy to się zdarzało. Ale dopóki nie zaistniała taka sytuacja, do ich królestwa nikt nie miał prawa wstępu.

Poproszenie zaś szefa kuchni, aby gdzieś przyszedł - na przykład, podszedł do stołu w głównej sali jadalnej - było czymś normalnym. W gruncie rzeczy, prośba ta stanowiła niemal rozkaz, w czasie bowiem nieobecności Warrena Trenta najstarszym rangą członkiem kierownictwa hotelu był właśnie Peter McDermott. Peter mógłby również stanąć w drzwiach kuchni i czekać, aby zaproszono go do środka. Ale w tych okolicznościach, kiedy w kuchni najwidoczniej coś się zdarzyło, Peter uznał, że właściwszy będzie pierwszy sposób.

- Według mnie - stwierdził Jakubiec - dla starego Hebranda dawno już minęła pora

pójścia spać.

- Gdyby przeszedł na emeryturę - dodał Royall Edwards - czy ktokolwiek odczułby jego brak?

Wszyscy rozszyfrowali tę aluzję do częstych nieobecności szefa kuchni. Dzisiaj prawdopodobnie znowu nie było go w pracy.

- Taki koniec czeka wkrótce nas wszystkich - burknął kierownik techniczny. - To oczywiste, że nikt nie chce sam tego przyśpieszać. - Nie było dla nikogo tajemnicą, że powściągliwość rewidenta często grała na nerwach jowialnego zazwyczaj Doca.

- Jeszcze nie spotkałem się z naszym nowym zastępcą szefa kuchni - oznajmił Jakubiec. - Chyba w ogóle nie wychyla nosa z kuchni.

Royall Edwards spojrział na niemal nietknięte danie.

- Jeśli to prawda, musi mieć wyjątkowo niewrażliwy organ powonienia.

Drzwi do kuchni otworzyły się ponownie. Pikolak, który miał właśnie przez nie przejść, cofnął się z szacunkiem na widok głównego kelnera, Maxa. Kilka kroków za nim szedł szczupły, wysoki mężczyzna w olśniewająco białym, wykrochmalonym kitlu i czepcu kucharskim. Miał bardzo nieszczęśliwą minę.

- Panowie - oznajmił Peter zebrany przy stole - jeżeli jeszcze się nie znacie, mam zaszczyt przedstawić wam naszego zastępcę szefa kuchni, pana André Lemieux.

- Messieurs! - Młody Francuz zatrzymał się i rozłożył bezradnie ręce. - To, co się stało... Jestem niepokieszony. - Głos mu się załamał.

W ciągu sześciu tygodni, które minęły od chwili zatrudnienia w St. Gregorym zastępcy szefa kuchni, Peter McDermott kilkakrotnie się już z nim spotykał. I za każdym razem przekonywał się, że lubi go coraz bardziej.

Przyjęcie do pracy André Lemieux poprzedziło dość gwałtowne rozstanie się z jego poprzednikiem, który po wielu miesiącach frustracji i wewnętrznych zmaganiach zrobił dziką awanturę swojemu przełożonemu, leciwemu panu Hèbrandowi. W normalnych warunkach nic by się nie stało. W każdej większej kuchni bardzo często zdarzały się tego rodzaju emocjonalne konflikty między szefami kuchni i kucharzami. Ten incydent można było jednak uznać za wyjątkowy, ponieważ były zastępca szefa kuchni cisnął w zwierzchnika wazą pełną zupy. Na szczęście, była to *vichysoisse*, gdyż w innym przypadku konsekwencje mogły być o wiele poważniejsze. W czasie pamiętnej sceny szef kuchni, odziany w ociekający zupą kitel, doprowadził byłego pomocnika do służbowych drzwi prowadzących na ulicę i z zadziwiającą jak na jego wiek energią wyrzucił go z hotelu. Tydzień później przyjęto do pracy André Lemieux.

Miał doskonałe referencje. Uczył się w Paryżu, pracował w Londynie - u Pruniera i w Savoyu - potem krótko w nowojorskim Le Pavillon, aż wreszcie zdobył swoje pierwsze poważniejsze stanowisko w Nowym Orleanie. Peter podejrzewał jednak, że nawet po tak jeszcze krótkim pobycie w St. Gregorym młody zastępca szefa kuchni już przeżywał te same rozterki, które spowodowały załamanie nerwowe jego poprzednika. Pan Hèbrand bowiem stanowczo przeciwstawiał się jakimkolwiek zmianom, mimo iż w czasie jego częstych nieobecności kierowanie kuchnią spoczywało na barkach zastępcy. Pod wieloma względami, pomyślał ze współczuciem Peter, sytuacja Lemieux przypominała jego własne układy z Warrenem Trentem.

Peter wskazał wolne krzesło przy stole.

- Czy nie zechciałby pan się do nas przyłączyć?

- Dziękuję, monsieur. - Młody Francuz usiadł dostojnie na odsuniętym przez Maxa krześle.

Natychmiast pojawił się kelner. Nie czekając na polecenie, zamienił cztery zamówione dania na *veal scallopini*. Zabrał obie obrażające zmysł smaku porcje kurczęcia, a stojący w pobliżu pikolak zaraz wyniósł je do kuchni. Czterej członkowie dyrekcji zabrali się do jedzenia, natomiast zastępca szefa kuchni zamówił jedynie czarną kawę.

- To rozumiem - stwierdził z aprobatą Sam Jakubiec.

- Czy zorientował się pan - zapytał Peter - co było przyczyną kłopotów?

Zastępca szefa kuchni zerknął zatroskany w stronę kuchni.

- Kłopoty, one mogą mieć wiele przyczyn. Tutaj nią jest frytura, która źle smakuje. Ale to ja muszę nieść odpowiedzialność - frytura nie została zmieniona, jak wierzyłem. I ja, André Lemieux, ja dopuściłem, żeby takie jedzenie wyszło z mojej kuchni. - Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Trudno być we wszystkich miejscach naraz - oznajmił kierownik techniczny. - Wszyscy o tym dobrze wiemy.

- Zapewne nie wszyscy złożyli reklamacje, ale wielu z gości na pewno już nie przyjdzie do naszej restauracji - Royall Edwards wyraził obawy nurtujące również Petera.

André Lemieux kiwnął głową i odstawił filiżankę z kawą.

- Messieurs mi wybaczą. Monsieur McDermott, kiedy pan już skończy, może my ze sobą porozmawiamy, tak?

Po piętnastu minutach Peter wszedł do kuchni. André Lemieux pośpieszył mu na spotkanie.

- Dobrze, że pan przyszedł, monsieur.

Peter pokręcił głową.

- Uwielbiam kuchnie. - Rozglądając się wkoło spostrzegł, że krzątająca z wydawaniem lunchu zaczyna wyraźnie słabnąć. Wprawdzie kelnerzy wychodzili jeszcze z daniami mijając po drodze dwie kobiety w średnim wieku, które siedziały przy ustawionych na podwyższeniu maszynach do fakturowania. Obie damy miały surowe miny podejrzliwych inspektorek szkolnych. Więcej jednak talerzy wnoszono do kuchni niż ich wynoszono, ponieważ w miarę jak ilość gości na sali zmniejszała się, pikolakowie i kelnerzy zaczęli uprzętać stoły. W tylnej części kuchni sześciu odzianych w gumowe fartuchy pomocników kuchennych pracowało zgodnie przy wielkiej myjni, ledwo dając sobie radę z talerzami docierającymi tu z kilku restauracji hotelowych i sali zajętej przez członków kongresu. Peter zauważył, że dodatkowy pomocnik zbierał nie wykorzystane masło, wrzucając je do wielkiego chromowanego pojemnika. Potem, zgodnie z procedurą stosowaną w większości kuchni restauracyjnych, odzyskane w ten sposób masło zostanie wykorzystane do smażenia.

- Chciałem rozmawiać z panem sam na sam, monsieur. Kiedy inni są obecni, pan rozumie, są rzeczy, które powiedzieć trudno.

- Nie jestem pewien jednej sprawy - powiedział z namysłem Peter. - Czy dobrze zrozumiałem, że wydał pan polecenie, aby zamieniono fryturę, ale nie zrobiono tego?

- Zgadza się.

- Jak to się stało?

Młody szef kuchni był wyraźnie zmartwiony.

- Tego ranka kazałem go zmienić. Mój nos, on mi powiedział, że frytura jest niedobra. Ale pan Hèbrand nie powiedział mi, iż zmienił moją decyzję. Potem pan Hèbrand poszedł do domu i ja jestem zostawiony nic nie wiedząc i ze śmierzącym tłuszczem na głowie.

Peter uśmiechnął się mimowolnie.

- Jaki był powód nie uwzględnienia pańskiego zalecenia?

- Tłuszcz jest drogi, bardzo drogi, tu ja zgadzam się z panem Hèbrand. Ostatnio wymienialiśmy go wiele razy. Za wiele.

- Czy próbował pan ustalić tego przyczynę?

André Lemieux podniósł ręce w geście rozpaczy.

- Ja proponowałem w każdym dniu chemiczny test na wolne kwasy tłuszczowe. Można je zrobić w laboratorium, nawet tutaj. A potem, inteligentnie, moglibyśmy zrozumieć, dlaczego tłuszcz robi się zły. Pan Hèbrand się nie zgodził, tak jak na wiele innych rzeczy.

- Uważa pan, że wiele spraw jest tu niewłaściwie prowadzonych?

- Wiele. - Odpowiedź była krótka, niemal niechętna i przez chwilę Peter miał

wrażenie, że na tym rozmowa się zakończy. Potem jednak, jakby zerwane zostały jakieś tamy, z ust młodego Francuza zaczęły płynąć słowa - Monsieur McDermott, mówię panu, że wiele rzeczy jest złych. To nie kuchnia, w której człowiek pracuje z dumą. Tu wszystko jest, jak to mówicie... byle jakie. Złe jedzenie, niektóre stare sposoby złe, niektóre nowe są złe i wszędzie tyle się marnuje. Jestem dobrym szefem kuchni, inni mogą to panu powiedzieć. Ale dobry szef musi być zadowolony z tego, co robi, bo już nie będzie dobry. Tak, monsieur, zrobiłbym zmiany, wiele zmian, lepiej dla hotelu, dla pana Hebrand, dla innych. Ale mnie się mówi - jak dziecku - żeby nie próbować niczego.

- Możliwe - powiedział Peter - że wkrótce wszystko ulegnie zmianie.

André Lemieux wyprostował się dumnie.

- Jeżeli mówi pan o monsieur O'Keefem, to bez względu na jego modyfikacje nie będzie mnie tu, żeby je oglądać. Nie mam zamiaru być kucharzem do szybkich dań w hotelu sieci.

- Czy ma pan jakieś konkretne propozycje udoskonalenia pracy w St. Gregorym, gdyby hotel pozostał niezależny? - zapytał z zaciekawieniem Peter.

Przeszli przez całą niemal kuchnię - długi prostokąt, ciągnący się przez całą szerokość budynku hotelowego. Znajdujące się w każdej ścianie drzwi prowadziły do kilku hotelowych restauracji, służbowych wind i sal wstępnej obróbki produktów. McDermott i Lemieux ominęli szereg bulgoczących kotłów na zupę i podszli do przeszklonego gabinetu, który (przynajmniej teoretycznie) należał do dwóch głównych kucharzy: szefa kuchni i jego zastępcy. Peter zauważył, że obok znajduje się powód dzisiejszych kłopotów - duże, czterokomorowe naczynie do głębokiego smażenia. Pomocnik kuchenny wylewał z niego cały tłuszcz. Kiedy widziało się tę ilość, łatwo było zrozumieć, dlaczego zbyt częste zmiany były aż tak kosztowne. Zatrzymali się, a André Lemieux zaczął zastanawiać się nad pytaniem Petera.

- Czy mam koncepcję, pan pyta, monsieur? Najważniejsze jest jedzenie. Dla kogoś, kto przygotowuje jedzenie wygląd dania jest o wiele ważniejszy niż jego smak. W tym hotelu tracimy bardzo dużo pieniędzy na ozdobę. Pietruszka jest wszędzie naokoło. Ale w sosie jej za mało. Rzeżucha leży na półmisku, podczas gdy trzeba jej włożyć więcej do zupy. A te zabawy z kolorem galarety! - Młody Lemieux podniósł ręce w geście rozpaczy. Peter uśmiechnął się współczująco.

- A jeżeli chodzi o wina! *Dieu merci*, wina na szczęście już nie mój kłopot.

- Tak - zgodził się Peter. Sam również miał krytyczną opinię o zaopatrzeniu piwnic St. Gregory'ego.

- Mówiąc krótko, monsieur, tu są wszystkie koszmary niskiej jakości *table d'hôte*. Taki straszny brak szacunku dla jedzenia, takie wyrzucanie pieniędzy na wygląd, że chce mi się płakać. Płakać, monsieur! - Przerwał, wzruszył ramionami i ciągnął dalej. - Przy mniejszym marnotrawstwie moglibyśmy mieć kuchnię, która rozbudza smak i czyni zaszczyt podniebieniu. A teraz jest nudna, ekstrawagancka i zwyczajna.

Peter zastanawiał się, czy Lemieux realistycznie ocenia szanse St. Gregory'ego. Zastępca szefa kuchni, jakby wyczuwając jego wątpliwości, zaczął tłumaczyć dalej:

- Wiem, że hotel ma swoje specyficzne problemy. Nie jest miejscem dla smakoszy. Nie może być. Musimy przygotowywać szybko wiele porcji, obsłużyć dużo ludzi, którzy się za bardzo po amerykańsku śpieszą. Ale nawet przy tych ograniczeniach, można osiągnąć jakąś doskonałość. Taką, z którą można żyć. Ale monsieur Hèbrand, on mi mówi, że moje pomysły kosztują za drogo. To wcale nie jest tak, ja to udowodniłem.

- W jaki sposób?

- Proszę za mną.

Młody Francuz zaprowadził go do oszklonego gabinetu. Pomieszczenie było niewielkie i ciasne. Stały w nim dwa biurka, szafki kartotekowe i szafy ustawione jedne obok drugich. André Lemieux podszedł do mniejszego biurka, otworzył szufladę, wyjął dużą brązową kopertę, a z niej tekturową teczkę. Podał ją Peterowi.

- Pyta pan, jakie zmiany. Wszystko jest tutaj.

Peter Mcdermott otworzył teczkę z ciekawością. Zawierała plik kartek zapisanych drobnym, starannym pismem. Kilka większych, złożonych arkuszy okazało się planami - ręcznie rysowanymi i opisanymi tym samym starannym charakterem pisma. Uświadomił sobie, że trzyma w ręku generalny plan organizacji kuchni hotelowej. Na kolejnych stronicach wymienione były przewidywane koszty, menu, plany kontroli jakości i projekt reorganizacji personelu. Nawet taki pobieżny przegląd dowodził, że cała koncepcja i dopracowanie szczegółów są imponujące.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Lemieux wpatruje się w niego.

- Jeżeli można, chciałbym przestudiować pańskie propozycje dokładniej.

- Proszę to wziąć. Nie ma pośpiechu. - Młody zastępca szefa kuchni uśmiechnął się smętnie. - Powiedziano mi, że mało prawdopodobne, aby z mojej mąki był chleb.

- Jestem zdumiony, że udało się panu tak szybko opracować tak szczegółowy plan.

André Lemieux wzruszył ramionami.

- Nietrudno było spostrzec, co jest złe.

- Może powinniśmy zastosować podobną metodę do rozwiązania zagadki, co się stało

z naczyniem do głębokiego smażenia.

W oczach Francuza błysnęło rozbawienie, po czym pojawił się w nich znowu smutek.

- *Touché!* Ma pan rację. Patrzyłem na to, a nie dostrzegłem złej frytury pod samym nosem.

- Nie - zaprotestował Peter. - Z tego, co pan mówi wynika, że wykrył pan, iż tłuszcz jest zły, ale nie zmieniono go, choć pan to zalecił.

- Powiniennem jednak zorientować się, dlaczego się zepsuł. Zawsze jest przyczyna. Większy może być kłopot, jeżeli nie znajdziemy jej szybko.

- Jaki kłopot?

- Dzisiaj, szczęśliwym trafem, bardzo mało używaliśmy frytury. Jutro, monsieur, mamy sześćset smażonych porcji na lunch dla kongresu.

Peter gwizdnął cicho.

- Otóż to.

Wyszli obaj z gabinetu i stanęli koło smażalnicy, z której właśnie usuwano resztki tłuszczu.

- Oczywiście, jutro będzie świeży tłuszcz. A kiedy ostatnio go zmieniano?

- Wczoraj.

- Tak niedawno?

André Lemieux potwierdził.

- Monsieur Hèbrand nie kłamał, kiedy skarżył się, że koszt jest wysoki. Ale tajemnicą jest dzisiejsze zdarzenie.

- Próbuję sobie przypomnieć to i owo z zakresu chemii spożywczej - powiedział wolno Peter. - Temperatura dymienia nowego świeżego tłuszczu wynosi...

- Dwieście trzydzieści sześć stopni. Nie powinno się go rozgrzewać bardziej, bo zacznie się rozkładać.

- I kiedy tłuszcz ulega rozkładowi, temperatura dymienia obniża się stopniowo.

- Bardzo wolno, jeżeli wszystko jest w porządku.

- Tutaj smaży pan przy...

- Dwustu stopniach. To najlepsza temperatura, dla kuchni restauracyjnych i domowych.

- A więc dopóki punkt dymienia wynosi około dwustu stopni, tłuszcz powinien spełnić swoje zadanie. Poniżej, już nie.

- Ma pan rację, monsieur. Tłuszcz daje wtedy jedzeniu zły, zjełczały smak, tak jak dzisiaj.

W umyśle Petera zaczęły się pojawiać informacje, niegdyś zapamiętane, ale nie wykorzystywane od dawna. W Cornell były zajęcia z chemii spożywczej dla studentów Administracji Hotelowej. Przypominał sobie mgliście pewien wykład... Siedział w Statler Hall, zapadał zmierzch, szyby okienne pokrywał szron. Na dworze wiał ostry, zimowy wiatr, a w środku było ciepło. Monotonny głos wykładowcy mówił o... tłuszczach i czynnikach katalizujących.

- Są pewne substancje - zaczął Peter z namysłem - które przy zetknięciu z tłuszczem działają jako katalizatory i powodują jego szybki rozkład.

- Tak, monsieur - André Lemieux zaczął je wyliczać, zaginając palce. - Wilgoć, sól, miedziane lub mosiężne elementy smaźalnicy, zbyt wysoka temperatura, oliwa z oliwek. Wszystko sprawdziłem. Wszystko było w porządku.

Peter poczuł, że świta mu w głowie pewien pomysł. Nasunęła mu go podświadoma obserwacja poczyniona, kiedy przed chwilą czyszczono smaźalnicę.

- Z jakiego metalu zrobione są kosze, w których smaży się potrawy?

- Z chromu - odparł ze zdziwieniem Lemieux. Obydwaj wiedzieli, że chrom nie wchodzi w reakcję z tłuszczem.

- Ciekaw jestem - rzekł Peter - czy powłoka galwanizacyjna na nich jest w dobrym stanie. A jeżeli nie, to co jest pod spodem i czy warstwa chromu w niektórych miejscach się nie starła?

Lemieux zawahał się. Źrenice jego oczu rozszerzyły się lekko. Bez słowa podniósł jeden z koszy i wytarł go starannie szmatką. Potem uniósł go pod światło i obydwoj dokładnie zbadali powierzchnię metalu.

Częste, długie użytkowanie porysowało chromowaną powierzchnię. W niektórych miejscach powłoka była całkowicie starta. A w rysach i wytartych miejscach połyskiwał żółty metal.

- Mosiądz! - Młody Francuz uderzył się dłonią w czoło. - Niewątpliwie on powodował psucie się frytury. Byłem wielkim głupcem.

- Nie rozumiem, czemu obarcza się pan winą? - zauważył Peter. - Najwidoczniej, na długo przedtem, zanim zaczął pan tutaj pracować, ktoś poczynił oszczędności i kupił tanie kosze. Niestety, w ostatecznym rachunku, straty przewyższyły zyski.

- Powinienem sam się zorientować... tak jak pan to zrobił, monsieur. - André Lemieux był bliski łez. - Tymczasem pan, monsieur, przychodzi do kuchni ze swojej *paperasserie*, żeby mi powiedzieć, co tu jest nie w porządku. Będę pośmiewiskiem.

- Tylko wtedy - oznajmił Peter - gdy pan, będzie o tym opowiadał. Ode mnie nikt nie

usłyszy ani słowa.

- Inni mi mówili, że jest pan dobrym człowiekiem i inteligentnym - powiedział powoli Lemieux. - Teraz przekonałem się, że tak jest naprawdę.

Peter uniósł trzymaną w dłoni teczkę.

- Przeczytam pański plan i powiem, co o nim myślę.

- Dziękuję, monsieur. A ja zażądam nowych koszy. Z nierdzewnej stali. Będą tu już dzisiaj wieczorem, nawet jeżeli miałbym wbić to komuś do głowy młotkiem.

Peter uśmiechnął się.

- Monsieur, jest jeszcze jedna rzecz, o której myślę.

- Słucham?

Młody zastępca szefa kuchni zawahał się.

- Może pan uważać, że jak to się mówi, jestem zarozumiały. Ale gdybyśmy pan i ja, monsieur McDermott, mieli wolne ręce, zrobilibyśmy tu świetny hotel.

Peter McDermott w pierwszej chwili roześmiał się, ale kiedy szedł do swojego gabinetu, przez całą drogę myślał o tym, co powiedział mu Francuz.

9.

Sekundę po tym, gdy Christine Francis zapukała do drzwi pokoju 1410, zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie tu przyszła. Wczoraj, po uratowaniu Alberta Wellsa, wizyta u niego była czymś zupełnie oczywistym. Teraz jednak o Wellsa doskonale dbali inni i w miarę jak powracał do zdrowia, stawał się znowu zwykłym gościem, jednym z półtora tysiąca zamieszkujących ten hotel. Nie mam więc, tłumaczyła sobie Christine, przekonującego powodu, aby go odwiedzać.

W niskim, starszym mężczyźnie było jednak coś, co ją przyciągało. Może, zastanawiała się, wynikało to z jego ojcowskiego zachowania i tego, że odnajdywała w nim cechy ojca, z którego stratą nigdy do końca się nie pogodziła, mimo upływu pięciu długich lat. Ale nie! Przecież najważniejszym w jej stosunkach z ojcem był fakt, że zawsze mogła na nim polegać. Tymczasem, w przypadku Alberta Wellsa sytuacja kształtowała się zupełnie inaczej - to ona odgrywała rolę opiekunki, tak jak choćby wczoraj starała się uchronić go przed skutkami jego własnej decyzji: zaangażowanie prywatnej opieki pielęgniarskiej.

A może, pomyślała Christine, czuje się po prostu samotna i chce jakoś zatrzeć uczucie rozczarowania, które ogarnęło ją na wieść, że nie spotka się wieczorem z Peterem. A może jeszcze więcej - była rozgoryczona, bo zdecydował się pójść na obiad do Marshy Preyscott.

Rano przecież ogarnęła ją wściekłość, chociaż miała nadzieję, że udało jej się to ukryć. Nie potrafiła jednak się powstrzymać od nieco złośliwego komentarza i irytacji. Byłoby wielkim błędem zarówno okazać zaborczość w stosunku do Petera, jak też dać pannie Marcepanik satysfakcję z odniesienia kobiecego zwycięstwa, choć tak się właściwie stało.

Wciąż nikt nie reagował na jej pukanie. Christine wiedziała, że pielęgniarka powinna być na dyżurze, zapukała więc jeszcze raz, mocniej. Tym razem rozległ się odgłos przesuwanej krzesła i zbliżających się kroków.

Drzwi otworzyły się i stanął przed nią Albert Wells. Całkowicie ubrany. Wyglądał dobrze, miał lekkie kolory na twarzy. Rozpromienił się na widok Christine.

- Miałem nadzieję, że pani przyjdzie. Gdyby pani tego nie zrobiła, sam zacząłbym pani szukać.

- Myślałam... - powiedziała, zaskoczona.

Podobny do wróbla człowieczek zachichotał.

- Myślała pani, że będą mnie trzymali w łóżku? No cóż, nie udało im się. Czułem się świetnie, dlatego poprosiłem naszego doktora, aby posłał po specjalistę - tego lekarza z Illinois, doktora Uxbridge. Ma dużo zdrowego rozsądku. Powiedział, że jeżeli ktoś dobrze się czuje, to najczęściej się nie myli. Wysłaliśmy więc siostrzyczkę do domu i już. - Uśmiechnął się szeroko. - No, panienko, proszę wejść.

Christine poczuła ulgę, że skończyły się poważne wydatki związane z zatrudnieniem pielęgniarki. Być może, pan Wells podjął tę decyzję, uświadomiwszy sobie, jakie koszty są z tym związane.

Ruszyła za nim w głąb pokoju, on zaś zapytał:

- Czy pukała pani wcześniej?

Przytaknęła.

- Zdawało mi się, że coś słyszę. Chyba miałem zaprzątnięte myśli tym. - Wskazał stół koło okna. Leżała na nim wielka, skomplikowana łamigłówka, ułożona już prawie w dwóch trzecich. - A może - dodał - pomyślałem, że to Bailey?

- Kim jest Bailey? - zapytała ze zdziwieniem Christine.

Oczy starego człowieka błysnęły.

- Jeżeli poczeka pani minutkę, zobaczy go pani. Albo jego, albo Bamuma.

Pokręciła głową nic nie rozumiejąc. Podeszła do okna i pochyliła się nad łamigłówką. Było już w niej wystarczająco dużo dopasowanych części, aby mogła rozpoznać scenerię Nowego Orleanu - widziane z wysokości miasto o zmierzchu i wijącą się przez nie rzekę.

- Kiedyś, dawno temu, również je układałam. Ojciec mi pomagał.

Stojący obok niej Albert Wells powiedział:

- Wiele osób nie uważa tego za odpowiedni sposób spędzania czasu dla dorosłego mężczyzny. A ja rozkładam jedną z nich, kiedy chcę o czymś pomyśleć. Czasami odnajduję kluczowy element łamigłówki i jednocześnie rozwiązanie problemu, nad którym się zastanawiałem.

- Kluczowy element? Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

- Bo to ja go wymyśliłem, panienko. Zawsze ma się z nim do czynienia. Czasami myślimy, że już go znaleźliśmy, ale potem okazuje się, że to nieprawda. Kiedy mamy już ten kluczowy element, nagle zaczynamy widzieć wszystko o wiele jaśniej, w tym również wzajemne powiązania różnych rzeczy.

Nagle rozległo się ostre, władcze pukanie do drzwi. Albert Wells poinformował ją szeptem:

- Bailey!

Zdziwiła się, kiedy w otwartych drzwiach stanął hotelowy lokaj w liberii. Przez ramię miał przerzucone garnitury na wieszakach, a przed sobą trzymał wyprasowany, niebieski garnitur o staroświeckim kroju. Niewątpliwie, ubranie należało do Alberta Wellsa. Zgrabnie powiesił je w szafie i wrócił do drzwi, przy których czekał Wells. Prawa ręka lokaja wysunęła się do przodu.

- Przecież już ci podziękowałem - obruszył się Albert Wells. W jego oczach błyszczało rozbawienie. - Kiedy dzisiaj rano zabierałeś garnitur.

- Nie, wcale mi pan nie dziękował, sir. - Lokaj pokręcił zdecydowanie głową.

- Jeżeli nie tobie, to twojemu koledze. Na jedno wychodzi.

- Nic o tym nie wiem - oświadczył ze stoickim spokojem posługacz.

- Chcesz powiedzieć, że się z tobą nie dzieli?

Wyciągnięta ręka opadła w dół.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Daj spokój! - Albert Wells uśmiechał się szeroko. - Jesteś Bailey. Dałem napiwek Bamumowi.

Lokaj zerknął na Christine. Poznał ją i na jego twarzy pojawiło się zmieszanie. Uśmiechnął się głupio. - Tak jest, proszę pana. - Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Co tu się, na litość boską, dzieje?

Wells zachichotał.

- Pracuje pani w hotelu i nie zna pani numeru „Bamum i Bailey”?

Christine pokręciła głową.

- Bardzo prosty, panienko. Lokaje hotelowi pracują parami i ten, który odbiera garnitur, nigdy nie przynosi go z powrotem. Dzięki temu dostają napiwki dwukrotnie. Potem zbierają je razem i dzielą się równo.

- Teraz wszystko rozumiem - stwierdziła Christine. - Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

- Podobnie jak większości ludziom. I dlatego dają podwójny napiwek za jedną usługę.
- Albert Wells potarł z namysłem swój przypominający ptasi dziób nos. - Nawet zabawny pomysł. Ciekaw jestem, w ilu hotelach robią ten sam numer.

- W jaki sposób pan się zorientował? - roześmiała się.

- Wytłumaczył mi to pewien lokaj, gdy dałem mu do zrozumienia, że nie pozwolę się dalej naciągać. Zwrócił mi uwagę na jeszcze jedną możliwość, która dotyczy hoteli dysponujących telefonami z tarczą numerową, a nie łączonych przez centralę. Z niektórych aparatów można tam dzwonić bezpośrednio do pokoi. Dzięki temu Barnum lub Bailey - w zależności od tego, na którego wypada kolejka - może zatelefonować do pokoju i zorientować się, czy właściciel ubrania jest obecny. Jeśli nikt nie podnosi słuchawki, po pewnym czasie dzwoni powtórnie. Gdy ktoś się odezwie - lokaj wie, że ktoś jest i odkłada słuchawkę bez słowa. Wtedy przynosi garnitur do pokoju i po raz drugi bierze napiwek.

- Nie lubi pan dawać napiwków, panie Wells?

- Nie o to chodzi, panienko. Dawanie napiwków jest jak śmierć. Nie można ich uniknąć, po co więc się nimi martwić? W każdym razie dałem Bamumowi dobry napiwek dzisiaj rano... swego rodzaju zapłatę awansem za zabawę, którą przed chwilą zapewnił nam Bailey. Nie lubię jednak, żeby brano mnie za durnia.

- Nie sądzę, aby ktoś często popełniał ten błąd.

Christine zaczęła podejrzewać, iż Albert Wells wymaga o wiele mniej opieki, niż początkowo przypuszczała. Ale w dalszym ciągu nie przestawała go lubić.

- Możliwe - zgodził się. - Jest pewna sprawa i chciałbym o niej pani powiedzieć. W tym hotelu robią o wiele więcej kantów niż w innych.

- Dlaczego tak pan sądzi?

- Dlatego, że mam oczy otwarte i rozmawiam z ludźmi. Mówią mi o sprawach, o których być może nie powiedzieliby wam.

- O jakich, na przykład?

- Cóż, wiele osób uważa, że wszystko ujdzie im bezkarnie. Może po prostu macie kiepskie metody zarządzania. Dlatego wasz pan Trent ma obecnie kłopoty.

- Zdumiewające, Peter McDermott jest tego samego zdania. - Wzrok dziewczyny

spoczął na twarzy drobnego mężczyzny. Brakowało mu może światowego wyglądu, ale niewątpliwie posiadał zdrowy rozsądek, który pozwalał mu dotrzeć do prawdy.

Albert Wells skinął z aprobatą głową.

- Rzeczywiście, mądry młody człowiek. Porozmawialiśmy sobie wczoraj.

Wiadomość ta wyraźnie ją zaskoczyła.

- Peter tu przyszedł?

- Owszem.

- Nie wiedziałam.

Takie zachowanie bardzo pasowało do Petera. Konsekwentnie doprowadzał do końca sprawę, która w jakiś sposób dotyczyła go osobiście. Zauważyła już wcześniej, że potrafi zająć się wieloma problemami jednocześnie, nie tracąc przy okazji z pola widzenia szczegółów.

- Czy ma pani zamiar za niego wyjść?

Postawione tak bezpośrednio pytanie zaskoczyło ją.

- Skąd przyszedł panu do głowy ten pomysł? - zaprotestowała. Zmieszała się jednak, czując rumieńce na twarzy.

Albert Wells zaśmiał się cicho. Niekiedy, pomyślała Christine, zachowuje się jak złośliwy elf.

- Chyba się domyśliłem - słysząc, jak wymienia pani jego imię. Poza tym mam wrażenie, że pracując tu razem, musicie się często spotykać. A jeżeli ten młody człowiek ma choć trochę rozumu w głowie, a uważam, że ma go sporo, przekona się, że nie musi szukać swojego szczęścia gdzieś daleko.

- Panie Wells, jest pan okropny! Pan... pan czyta myśli innych osób i można się przy panu poczuć bardzo nieswojo. - Jednak ciepło jej uśmiechu przeczyło wymówce. - I proszę, niech pan nie mówi już do mnie „pani”. Mam na imię Christine.

- Dla mnie jest to szczególnie ważne imię - powiedział cicho. - Tak samo miała na imię moja żona.

- Miała?

Kiwnął głową.

- Umarła, Christine. Tak dawno temu, że niekiedy myślę, iż chwile, kiedy byliśmy razem nigdy się nie zdarzyły. Ani te dobre, ani te złe, a było ich dużo - jednych i drugich. Z drugiej jednak strony, mam czasami wrażenie, że wszystko działo się zaledwie wczoraj. Wtedy ogarnia mnie znużenie, przede wszystkim dlatego, że jestem tak samotny. Nie mieliśmy dzieci. - Przerwał i zamyślił się. - Nigdy nie potrafimy kogoś właściwie docenić,

dopóki tej drugiej osoby nie zabraknie. A więc razem ze swoim młodym człowiekiem staraj się chwycić każdą minutę. Nie traćcie czasu. Nie odzyskacie go nigdy.

- Wciąż panu powtarzam, że to nie jest mój młody człowiek - roześmiała się. - Przynajmniej, jeszcze nie.

- Jeżeli postąpisz jak należy, będzie nim.

- Możliwe. - Spojrzała na częściowo ułożoną łamigłówkę. - Zastanawiam się - powiedziała wolno - czy rzeczywiście we wszystkim istnieje ten kluczowy element, o którym mi pan mówił. A kiedy go znajdziemy, czy wiemy o tym, czy tylko się domyślamy i mamy nadzieję. - Nagle, prawie nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła zwierzać się drobnemu mężczyźnie, opowiadając mu o minionych wydarzeniach - tragedii w Wisconsin, samotności, przeprowadzeniu się do Nowego Orleanu, o latach przystosowywania się i wreszcie o obecnej, nadarzającej się po raz pierwszy możliwości zorganizowania sobie pełnego, owocnego życia. Opowiedziała mu również o wieczornym spotkaniu, które nie dojdzie do skutku i swoim rozczarowaniu.

W końcu Albert Wells odezwał się.

- Bardzo często wszystko samo się układa. Ale niekiedy trzeba kogoś popchnąć, żeby wykonał pierwszy ruch.

- Ma pan jakieś pomysły? - spytała lekkim tonem.

Pokręcił głową.

- Jesteś kobietą, znasz się więc na tym lepiej niż ja. Mam jednak pewną radę. Po tym co się stało, wcale bym się nie zdziwił, gdyby ten młody człowiek zaprosił cię jutro.

- Może to zrobi - uśmiechnęła się Christine.

- A więc umów się z kimś innym, zanim się odezwie. Jeżeli poczeka jeszcze jeden dzień, bardziej cię doceni.

- Będę musiała coś wymyślić.

- Nie ma takiej potrzeby, chyba że tego chcesz. W każdym razie, miałem zamiar zaprosić panią... przepraszam, zaprosić cię, Christine. Chciałbym, żebyśmy zjedli razem obiad, ty i ja. Coś w rodzaju podziękowania za wszystko, co zrobiłaś dla mnie poprzedniej nocy. Jeżeli zdołasz ścierpieć towarzystwo staruszka, chętnie wystąpię w roli zastępcy.

- Z przyjemnością zjem z panem obiad - odparła - ale obiecuję, że nie będę pana traktowała jako zastępcy.

- Doskonale! - Maleńki mężczyzna rozpromienił się. - Chyba najlepiej będzie pójść do hotelowej restauracji. Obiecałem doktorowi, że nie będę przez kilka dni wychodził na dwór.

Christine zawahała się przez moment. Zastanawiała się, czy Albert Wells zdaje sobie

sprawę z tego, jak wysokie są ceny wieczorem w głównej sali restauracyjnej St. Gregory'ego. Chociaż wydatki na pielęgniarkę już się skończyły, nie chciała jeszcze bardziej uszczuplać funduszy, jakie pozostały staruszkowi. Nagle wymyśliła sposób, jak temu zapobiec. Postanowiła wprowadzić pomysł w życie później.

- Doskonale - zapewniła go. - Hotel będzie doskonałym miejscem. Ale to przecież będzie szczególna okazja. Będzie musiał mi pan dać czas, żebym mogła pojechać do domu i włożyć na siebie coś oszałamiającego. Umówmy się na ósmą, jutro wieczorem.

*

Po wyjściu z pokoju Alberta Wellsa, Christine zauważyła, że dźwign numer cztery nie działa. Prowadzono prace konserwacyjne przy jego drzwiach i kabinie.

Zjechała na główną antresolę inną windą.

10.

Doktor Ingram, przewodniczący kongresu dentystów, spojrzał groźnie na gościa, który zjawił się w jego apartamencie na siódmym piętrze.

- Panie McDermott, jeżeli przyszedł tu pan, żeby jakoś załagodzić sprawę, to muszę stwierdzić, że traci pan czas. A przecież taki jest cel pańskiej wizyty?

- Owszem - przyznał Peter.

- Przynajmniej pan nie kłamie - burknął dentysta.

- Nie mam najmniejszego powodu. Jestem pracownikiem tego hotelu, doktorze Ingram. Dopóki w nim pracuję, mam obowiązek robić wszystko dla dobra firmy.

- Czy uważa pan, że incydent z doktorem Nicholasem wpłynie korzystnie na renomę St. Gregory'ego?

- Nie, proszę pana. Sądzę, że była to najgorsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć. A fakt, że nie dysponuję pełnomocnictwami, które pozwalałyby mi zmieniać istniejące zarządzenia, wcale nie poprawia mojego samopoczucia.

Prezes dentystów parsknął.

- Jeżeli pan rzeczywiście tak uważa, powinien mieć pan dosyć odwagi, żeby rzucić tę pracę i zacząć gdzie indziej. Może tam, gdzie płaca jest mniejsza, ale normy etyczne wyższe.

Peter zaczerwienił się, powstrzymując się od ostrej odpowiedzi. Przypomniawszy sobie swój poranny podziw dla stanowczości leciwego dentysty. Nic się nie zmieniło od tej pory.

- A więc? - Doktor uważnie patrzył mu prosto w oczy.

- Założmy, że się zwolnię - odparł Peter. - Ktoś, kto przyjdzie na moje miejsce, może

całkowicie akceptować istniejący tu stan rzeczy. Ja przynajmniej z nim się nie zgadzam. Mam zamiar zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby zmienić obowiązujące tu zasady.

- Zasady! Cholerne wymówki! Wykręty! - Kragła twarz doktora spurpurowiała. - Słyszałem już je wszystkie! Niedobrze mi się robi, kiedy o nich myślę. Niektórzy ludzie budzą we mnie obrzydzenie i jest mi za nich wstyd.

Zapadła cisza.

- Dobrze. - Doktor Ingram zaczął mówić normalnym tonem, jego gniew już minął. - Przyznam, że jest pan mniej zakłamanym niż inni, McDermott. Ma pan kłopoty i jak sądzę, moje wrzaski niczego nie załatwią. Czy ty nie rozumiesz, synu? Najczęściej właśnie przez cholerny zdrowy rozsądek ludzi takich jak pan i ja, Jim Nicholas jest traktowany w taki sposób jak dzisiaj.

- Rozumiem, doktorze. Chociaż przypuszczam, że cała sprawa nie jest tak prosta, jak pan to przedstawia.

- Wiele rzeczy nie jest łatwych - burknął starszy mężczyzna. - Słyszał pan, co powiedział Nicholasowi. Jeżeli nie zostanie przeproszony i nie dacie mu pokoju, wyprowadzę stąd cały kongres.

- O ile się orientuję, celem kongresu - zapytał ostrożnie Peter - jest przeprowadzenie dyskusji zawodowych, pokazów i tego rodzaju spraw, które mają przynieść pożytek innym ludziom?

- Oczywiście.

- Czy wobec tego pana decyzja jest słuszna? Czy zerwanie kongresu będzie dla kogokolwiek korzystne? Na pewno nie dla doktora Nicholasa... - Przerwał gwałtownie, czując, jak w jego rozmówcy narasta wrogość.

- Niech mi pan tu nie opowiada takich rzeczy, McDermott - warknął doktor Ingram. - Byłem wystarczająco inteligentny, żeby o tym pomyśleć.

- Przepraszam.

- Zawsze są powody, żeby czegoś nie robić. Często bardzo przekonujące. Dlatego właśnie tak mało osób broni tego, w co wierzy albo twierdzi, że wierzy. Przewiduję, że za parę godzin, kiedy niektórzy z moich działających w najlepszych intencjach kolegów dowiedzą się co planuję, użyją takich samych argumentów. - Starszy mężczyzna przerwał i odetchnął ciężko. Popatrzył Peterowi prosto w oczy. - Pozwoli pan, że o coś zapytam. Dzisiaj rano przyznał pan, iż jest zawstydzony tym, że hotel odmówił przyjęcia Jima Nicholasa. Gdyby znalazł się pan na moim miejscu, jak pan by postąpił?

- Doktorze, to hipotetyczne...

- Daj pan spokój tym głupotom! Zadałem proste, bezpośrednie pytanie.

Peter zastanowił się. Miał wrażenie, że jeżeli chodzi o interes hotelu, jego zdanie nie będzie miało szczególnego znaczenia. Dlaczego więc nie miałby odpowiedzieć szczerze?

- Sądzę, że zrobiłbym dokładnie to, co pan zamierza. Wyprowadziłbym się - odpowiedział.

- Dobrze! - Przewodniczący kongresu cofnął się o krok i spojrzał z uznaniem na Petera. - Widzę, że choć mówi pan te hotelowe bzdury, jest pan uczciwym człowiekiem.

- Który wkrótce może zostać bezrobotnym.

- Zachowaj pan czarny garnitur, synu! Może pan dostać robotę jako pomocnik przedsiębiorcy pogrzebowego. - Po raz pierwszy doktor Ingram roześmiał się. - Mimo wszystko, McDermott, lubię pana. Czy ma pan jakieś zęby do nareperowania?

Peter pokręcił głową.

- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym jak najszybciej dowiedzieć się, jakie są pańskie plany.

Gdy tylko odwołanie rezerwacji zostanie potwierdzone, należy natychmiast podjąć określone działania. Jak wspomniał Royall Edwards w czasie lunchu, dla hotelu będzie to katastrofalna strata. Ale przynajmniej można będzie bezzwłocznie odwołać pewne przygotowania na jutro i pojutrze.

- Był pan ze mną szczerzy - oznajmił rzeczowo doktor Ingram. - Odwzajemnię się więc panu tym samym. Zwołałem nadzwyczajne posiedzenie zarządu na piątą po południu. - Spojrzał na zegarek. - Czyli za dwie i pół godziny. Do tej pory przyjedzie już większość jego członków.

- Nie wątpię, że będziemy w kontakcie.

Doktor Ingram skinął głową. Jego posępny nastrój powrócił.

- McDermott, niech pana nie zwiedzie to, że przez chwilę rozmawialiśmy swobodniej. Nic się nie zmieniło i mam zamiar kopnąć was tam, gdzie najbardziej was zaboli.

*

Dziwne, ale Warren Trent niemal obojętnie przyjął wiadomość, że Kongres Dentystów Amerykańskich może zrezygnować ze zorganizowania swojego zjazdu i na znak protestu opuścić hotel.

Gdy Peter McDermott wyszedł od doktora Ingrama, udał się natychmiast do części administracyjnej. Christine - chyba trochę chłodno, pomyślał - poinformowała go, że właściciel hotelu jest u siebie.

Peter poczuł, że Warren Trent jest wyraźnie mniej zdenerwowany niż zwykle. Siedział

w wielkim gabinecie naczelnego dyrektora za swoim biurkiem z czarnym, marmurowym blatem i nie okazywał irytacji, tak wyraźnie widocznej poprzedniego dnia. Kiedy słuchał raportu Petera, momentami na jego ustach pojawiał się chwilami uśmiezek, który jednak zdawał się nie mieć nic wspólnego z zaistniałą sytuacją. Sprawia to wrażenie, pomyślał Peter, jakby jego pracodawca rozkoszował się jakąś prywatną, znaną tylko jemu przyjemnością.

Wreszcie, właściciel hotelu pokręcił zdecydowanie głową.

- Nie wyprowadzą się. Będą gadać, ale na tym wszystko się zakończy.

- Doktor Ingram był dość stanowczy.

- Może i jest, ale inni nie będą. Wspomniał pan, że po południu będą mieli spotkanie.

A ja panu powiem, co zrobią. Przez jakiś czas będą dyskutowali, a potem powołają komitet w celu uchwalenia rezolucji. Później - może jutro - komitet przekaże zarządowi informację. Zarząd może ją przyjąć albo odrzucić, w każdym razie będą dyskutować dalej. Jeszcze później - może pojutrze - przedyskutują rezolucję na zjeździe. Już to widziałem nie raz - wielka demokracja w działaniu. Będą wciąż dyskutowali, nawet kiedy zjazd już się skończy.

- Sądzę, że może mieć pan rację - stwierdził Peter. - Chociaż muszę powiedzieć, że jest to niezbyt budujący punkt widzenia.

Powiedział te słowa bez zastanowienia i natychmiast ugryzł się w język, oczekując gwałtownej reakcji przełożonego. Ale nie nastąpiła. Zamiast tego Warren Trent mruknął:

- Po prostu staram się myśleć praktycznie. Ludzie mogą sobie mówić o tak zwanych zasadach, aż im zaschnie w gardle. Ale dopóki nie dotyczą ich bezpośrednio, nie będą chcieli przysparzać sobie żadnych kłopotów.

- Może jednak byłoby prościej zmienić nasz regulamin - odparł niepewnie Peter. - Nie wierzę, żeby przyjęcie doktora Nicholasa nadwyrężyłoby reputację naszego hotelu.

- J e g o może nie. Ale ta hałastrą, która zacznie się sprowadzać - tak. A wtedy na pewno będziemy mieli problemy.

- O ile dobrze się orientuję, już je mamy.

Peter zdawał sobie sprawę, że jest nieostrożny. Zastanawiał się, jak wiele może jeszcze powiedzieć. I dlaczego właśnie dzisiaj jego pracodawca jest w stosunkowo dobrym humorze?

Patrycjuszowska twarz Warrena Trenta skrzywiła się w sardonicznym uśmiechu.

- Może mamy przejściowe trudności. Ale w ciągu dnia lub dwóch wszystko się zmieni. Czy Curtis O'Keefe jest jeszcze w hotelu? - zapytał nagle.

- O ile wiem, tak. Słyszałbym, gdyby się wyprowadził.

- Doskonale! - Z twarzy hotelarza nie zniknął lekki uśmiezek. - Mam pewne

informacje, które mogą go zainteresować. Jutro będę mógł mu powiedzieć, żeby razem ze swoją siecią hotelową skoczył do jeziora Pontchartrain.

11.

Ze swojego punktu obserwacyjnego na stanowisku kierownika boyów hotelowych, Herbie Chandler obserwował ukradkiem czterech młodych ludzi, którzy weszli z ulicy do St. Gregory'ego. Było kilka minut przed czwartą.

Dwóch z nich Herbie rozpoznał natychmiast. Był to Lyle Dumaire i Stanley Dixon, który z wściekłą miną prowadził całą grupę w stronę wind. Kilka sekund później zniknęli mu z pola widzenia.

We wczorajszej rozmowie telefonicznej Dixon zapewnił Herbiego, że jego udział w wydarzeniach ubiegłej nocy zostanie utrzymany w tajemnicy. Ale Dixon, uświadomił sobie z niepokojem Herbie, jest tylko jednym z całej czwórki. Zagadką było, w jaki sposób zareagują inni - a może i sam Dixon - na zadawane pytania, a nawet groźby.

Od dwudziestu czterech godzin pełnych nieprzerwanych, posępnych rozmyślań, Chandler czuł coraz większy lęk.

Kiedy wyszli z windy na głównej antresoli, Stanley Dixon poprowadził całą czwórkę. Zatrzymali się przed drzwiami, na których wisiał delikatnie podświetlony napis ADMINISTRACJA. Dixon powtórzył swoje wcześniejsze ostrzeżenie:

- Pamiętajcie! To ja będę mówił.

Flora Yates zaprowadziła ich do gabinetu McDermotta. Spojrzał na nich zimno, wskazał krzesła i zapytał:

- Który z panów nazywa się Dixon?

- Ja.

- Dumaire?

Lyle Dumaire skinął głową. Był o wiele mniej pewny siebie niż Dixon.

- Nie znam nazwisk dwóch pozostałych panów.

- Wielka szkoda - odparł Dixon. - Gdybyśmy wiedzieli, moglibyśmy przynieść nasze bilety wizytowe.

Trzeci chłopak przerwał mu:

- Nazywam się Gladwin. A to Joe Waloski.

Dixon spojrział na niego z irytacją.

- Wszyscy niewątpliwie sobie uświadamiacie - stwierdził Peter - że wysłuchałem

informacji panny Marshy Preyscott na temat wydarzeń, które miały miejsce podczas poniedziałkowej nocy. Jeżeli panowie sobie życzyacie, jestem gotów wysłuchać waszej wersji.

- Niech pan posłucha - odezwał się szybko Dixon, zanim któryś z kolegów zdążył się wtrącić. - Znaleźliśmy się tutaj na pańskie życzenie. Nie mamy panu nic do powiedzenia. A więc, jeżeli ma pan ochotę na prowadzenie rozmowy, to proszę bardzo.

Peter poczuł, jak napinają mu się mięśnie twarzy. Z najwyższym wysiłkiem opanował się.

- Bardzo dobrze. Proponuję, żebyśmy najpierw załatwili najmniej ważną sprawę. - Przełożył papiery na biurku i zwrócił się do Dixona. - Apartament 1126-7 został wynajęty na pańskie nazwisko. Uciekając - zaakcentował ostatnie słowo - zapomnieliście się wymeldować, zrobiłem to więc za was. Pozostał nie zapłacony rachunek na siedemdziesiąt pięć dolarów i parę centów. Jest również drugi, za spowodowane w apartamencie zniszczenia, opiewający na sto dziesięć dolarów.

Chłopak, który przedstawił się jako Galdwin, gwizdnął cicho.

- Zapłacimy siedemdziesiąt pięć - odparł Dixon. - Ani centa więcej.

- Ma pan prawo poddawać w wątpliwość wysokość drugiego rachunku - poinformował go Peter. - Ale chciałbym pana uprzedzić, że nie zrezygnujemy z wyegzekwowania tej sumy. Jeżeli trzeba będzie, wystąpimy na drogę sądową.

- Posłuchaj, Sam... - odezwał się czwarty chłopak, Joe Waloski. Dixon uciszył go ruchem dłoni.

Siedzący koło niego Lyle Dumaire zaczął się wiercić na krześle.

- Stan - powiedział cicho. - Bez względu na to, co się zdarzy, mogą nam narobić sporo kłopotów. Jeżeli już musimy, możemy podzielić tę sumę na cztery. Jeżeli postanowimy zapłacić - zwrócił się do Petera - te sto dziesięć dolarów, możemy mieć trudności ze zgromadzeniem od razu całej sumy. Czy możemy spłacić ją ratami?

- Oczywiście. - Peter uznał, że nie ma powodu, aby nie pójść im na rękę. - Jeden z panów, albo wszyscy razem możecie spotkać się z kierownikiem działu rozliczeń i uzgodnić z nim wszystko. - Popatrzył na siedzącą przed biurkiem czwórkę. - Czy możemy uznać tę sprawę za uzgodnioną?

Po kolei skinęli głowami.

- Pozostaje więc sprawa usiłowania gwałtu, czterech tak zwanych mężczyzn przeciwko jednej dziewczynie. - Peter nie zadał sobie trudu ukrycia tonu pogardy dźwięczącego w jego głosie.

Waloski i Galdwin zaczerwienili się. Lyle Dumaire unikał spojrzenia Petera. Tylko

Dixon zachował dotychczasową pewność siebie.

- To jej wersja. W razie czego, moglibyśmy przedstawić zupełnie inną.

- Już powiedziałem, że chętnie wysłucham waszej.

- Bzdura!

- W takim razie nie mam wyboru i muszę wierzyć pannie Preyscott.

- Pewnie chciałbyś sam tam być, cwaniaku - parsknął szyderczo Dixon. - A może później sam skorzystałeś z okazji?

- Uspokój się, Stan - mruknął Waloski.

Peter mocno zacisnął dłonie na poręczach fotela. Opanował chęć zerwania się z biurka, trzaśnięcia w uśmiechniętą bezczelnie twarz siedzącego przed biurkiem chłopaka. Wiedział jednak, że w ten sposób dałby Dixonowi wymarzoną przewagę. Nie może, pomyślał, dać się sprowokować i stracić zimnej krwi.

- Zakładam - powiedział lodowatym tonem - że orientujecie się panowie, iż mamy podstawy do wszczęcia sprawy kryminalnej.

- Gdybyście mieli taki zamiar - zareplikował Dixon - ktoś już by to zrobił. Niech więc nie wciska nam pan kitu.

- Czy zechce pan powtórzyć to panu Markowi Preyscottowi? Kiedy wróci z Rzymu dowiedziawszy się, co spotkało jego córkę?

Lyle Dumaire podniósł gwałtownie głowę, wyraźnie zaniepokojony. Po raz pierwszy niepewność pojawiła się również w oczach Dixona.

- Czy go poinformowano? - zapytał niespokojnie Gladwin.

- Zamknij się! - polecił ostro Dixon. - To podstęp. Nie daj się złapać! - Ale był już nieco mniej pewny siebie niż przed chwilą.

- Sami możecie ocenić, czy to rzeczywiście tylko podstęp. - Peter otworzył szufladę, wyciągnął teczkę i otworzył ją. - Mam tu sporządzone przez siebie oświadczenie, w którym zapisałem dokładnie wszystko, o czym poinformowała mnie panna Preyscott i co zaobserwowałem po przyjeździe do apartamentu 1126-7 w nocy z poniedziałku na wtorek. Nie zostało jeszcze przedstawione pannie Preyscott, ale jesteśmy w stanie zrobić to w każdej chwili. Wtedy też panna Preyscott może uzupełnić je o wszystkie szczegóły, które uzna za stosowne. Jest również następne oświadczenie sporządzone i podpisane przez Aloysiusa Royce'a, napadniętego przez was pracownika hotelowego, podtrzymujące moje zeznanie i opisujące wydarzenia, które nastąpiły po jego przybyciu do apartamentu.

Pomysł, aby uzyskać oświadczenie Royce'a przyszedł Peterowi do głowy wczoraj wieczorem. Porozmawiał z nim przez telefon i młody Murzyn przyniósł je dzisiaj wcześniej

rano. Starannie napisany na maszynie dokument był precyzyjnie sformułowany i wyraźnie świadczył o prawniczym wykształceniu Royce'a. Jednocześnie Aloysius ostrzegł Petera:

- W dalszym ciągu przypominam panu, że żaden sąd w Luizjanie nie przyjmie zeznań czarnego chłopaka w sprawie o gwałt na białej dziewczynie.

Petera irytowała ciągła agresywność Murzyna, ale mimo to zapewnił go:

- Jestem pewien, że nie dojdzie do procesu, ale potrzebuję amunicji.

Stan Jakubiec również bardzo mu pomógł. Na prośbę Petera, kierownik działu rozliczeń dyskretnie zebrał informacje o Stanleyu Dixonie i Lyle Dumaire. Następnie powiedział mu:

- Ojciec Dumaire'a, jak wiesz, jest prezesem banku, ojciec Dixona prowadzi dobrze prosperujące przedsiębiorstwo handlu samochodami, ma duży dom. Obaj chłopcy mają najwyraźniej dużo swobody i chyba, jak sądzę, pobłażliwych rodziców. Dysponują dużymi, choć nie nie ograniczonymi sumami pieniędzy. Z tego, co słyszałem, obaj ojcowie nie wyraziliby dezaprobaty na wieść o tym, że ich synowie przespali się z dziewczyną czy dwoma. Najprawdopodobniej stwierdziliby, że kiedy byli młodzi, zachowywali się podobnie. Ale usiłowanie gwałtu to już co innego. Zwłaszcza, jeżeli dotyczyło ono córki Preyscotta. Mark Preyscott jest jedną z najbardziej wpływowych osobistości w tym mieście. Obraca się w tych samych kręgach, choć Preyscott zapewne jest plasowany wyżej w hierarchii towarzyskiej. Z całą pewnością, gdyby Mark Preyscott oskarżył ich synów o zgwałcenie lub próbę zgwałcenia swojej córki, wybuchłoby piekło, a synalkom nieźle by się oberwało. - Peter podziękował Jakubcowi i postanowił wykorzystać tę informację w razie potrzeby.

- Te wszystkie oświadczenia - stwierdził młody Dixon - wcale nie są aż tak ważne, jak usiłuje nam to pan wmówić. Pana tam nie było i całe pańskie oświadczenie opiera się jedynie na plotkach.

- Być może - odparł Peter. - Nie jestem prawnikiem i nic na ten temat nie wiem. Ale nie lekceważyłbym go do końca. Poza tym, bez względu na wynik, nie wyszlibyście z sądu czyści jak łąza. Wasze rodziny mogłyby niektórym z was trochę uprzykrzyć życie.

Ujrzał, jak Dixon i Dumaire wymieniają spojrzenia i zorientował się, że cios był celny.

- Chryste! - odezwał się Gladwin, spoglądając na pozostałych. - Nie chcemy stawać przed żadnym sądem.

- Co mamy zrobić? - zapytał ponuro Dumaire.

- Jeżeli okażecie chęć współpracy, nie mam zamiaru podejmować wobec was żadnych kroków. Z drugiej jednak strony, jeżeli w dalszym ciągu będziecie robić trudności, mam

zamiar wysłać do pana Preyscotta w Rzymie telegram i przekazać jego prawnikom wspomniane dokumenty.

- Co ma znaczyć „chęć współpracy”? - zapytał nieprzyjemnym tonem Dixon.

- Propozycja brzmi następująco: Sporządźcie zaraz pełny opis wydarzeń, jakie zaszły w nocy z poniedziałku na wtorek, w tym również wszystko, co miało miejsce wczesnym wieczorem. Chcę także wiedzieć, czy w tę sprawę był wmieszany pracownik hotelu, a jeśli tak, to kto.

- Nigdy w życiu! - odparł Dixon. - Może pan sobie wetknąć te...

Gladwin przerwał mu niecierpliwie:

- Dostyc, Stan! - Potem zwrócił się do Petera - Załóżmy, że napiszemy te oświadczenia. Co pan z nimi zrobi?

- Chociaż bardzo bym chciał wykorzystać je zgodnie z przeznaczeniem, daję wam słowo, że nie zobaczy ich nikt i zostaną wykorzystane jedynie do uregulowania wewnętrznych spraw hotelu.

- Skąd możemy wiedzieć, czy możemy panu ufać?

- Nie możecie. Musicie zaryzykować.

W gabinecie zapadła cisza, w której słychać było jedynie skrzypienie krzesła i przytłumiony stukot maszyny do pisania.

Waloski nagle oznajmił:

- Zaryzykuję. Proszę mi dać coś do pisania.

- Ja chyba też - odezwał się Gladwin.

Lyle Dumaire zrobił nieszczęśliwą minę i również kiwnął głową.

Dixon skrzywił się i wzruszył ramionami.

- Widzę, że wszyscy nagle poczuli ochotę do pisania. Co mi więc zostało? Chciałbym - zwrócił się do Petera - dostać pióro z szeroką stalówką. Pasuje do mego stylu.

Pół godziny później Peter McDermott przeczytał uważnie kilka stron, z którymi zapoznał się pobieżnie, zanim młodzi ludzie wyszli z gabinetu.

Cztery wersje wydarzeń poniedziałkowego wieczoru - chociaż różniły się w kilku szczegółach - w jednakowy sposób relacjonowały podstawowe fakty. Wszystkie zaś wypełniały luki w informacjach, jakie do tej pory zebrał. Polecenie Petera, aby chłopcy zidentyfikowali pracownika hotelowego, zostało skrupulatnie wypełnione.

Przełożony boyów hotelowych, Herbie Chandler, został przygwożdżony jednoznacznie i niepodważalnie.

12.

Początkowo mglisty pomysł, jaki przemknął przez głowę „Kluczycy” Milne’a, nabrał konkretnych kształtów.

Instynkt podpowiadał mu, że pojawienie się księżnej Croydonu w tej samej chwili, kiedy on sam przechodził przez hol, było niewątpliwie czymś więcej niż tylko zbiegiem okoliczności. Oczywisty omen nad omenami, wskazujący mu drogę, którą ma podążać, albowiem na jej końcu można zdobyć błyszczące klejnoty Croydonów.

Oczywiście, słynna kolekcja zapewne nie znajduje się w Nowym Orleanie w całości. Dobrze wiadano, że księżna - udając się w podróż - zabiera zaledwie część swoich skarbów ze skarbcza Aladyna. Jednak potencjalny łup najprawdopodobniej byłby duży i chociaż niektóre kosztowności niewątpliwie zostały umieszczone w skarbcu hotelowym, pozostałe z całą pewnością znajdowały się pod ręką.

Najważniejszym zadaniem było, jak zawsze, zdobycie klucza do apartamentów księcia i księżnej. Milne rozpoczął więc systematyczne działania.

Przejechał się kilkakrotnie windami i żeby nie wywołać podejrzeń, za każdym razem wybierał inną. Wreszcie, kiedy znalazł się sam na sam z windziarzem, zadał mu pozornie niewinne pytanie:

- Czy to prawda, że księżstwo Croydonu mieszkają w tym hotelu?

- Owszem, proszę pana.

- Przypuszczam, że dla takich gości hotel ma specjalne pokoje. - „Kluczyk” uśmiechnął się niewinnie. - Nie takie jak dla nas, zwykłych ludzi.

- No cóż, proszę pana, księżstwo mieszkają w Apartamencie Prezydenckim.

- O, rzeczywiście? Na którym piętrze?

- Dziewiątym.

„Kluczyk” zaznaczył w myśli, że właśnie załatwił punkt pierwszy i wysiadł z windy na swoim, ósmym piętrze.

Punktem drugim było ustalenie dokładnego numeru pokoju. Zadanie okazało się proste. Przeszedł jedną kondygnację do góry, a potem krótki spacer! Podwójne, obite skórą drzwi ze złotymi liliami burbońskimi prowadziły do Apartamentu Prezydenckiego. „Kluczyk” odczytał numer: 973-7.

Zjechał ponownie do holu i przespacerował się, pozornie bez celu, obok recepcji. Zerknął kątem oka i zorientował się, że 973-7, podobnie jak pokoje „plebsu”, posiadał zwykłą

przegródkę na listy. Klucz do pokoju znajdował się w przegródce.

Byłoby błędem od razu poprosić o klucz. „Kluczyk” usiadł i zaczął cierpliwie się przyglądać. Podjęte środki ostrożności okazały się słuszne.

Po kilkuminutowej obserwacji przekonał się, że pracownicy hotelowi zostali już zaalarmowani. Poprzednio recepcjoniści wydawali klucze bez problemów, teraz jednak zachowywali się ostrożnie. Gdy ktoś prosił o klucz, pytali o nazwisko i sprawdzali listę gości. „Kluczyk” doszedł do wniosku, że niewątpliwie doniesiono już o jego porannym wyczynie i zaostrzono środki bezpieczeństwa.

Zimne ukłucie lęku przypomniało mu, że wydarzenia te miały jeszcze jeden, równie łatwy do przewidzenia efekt - nowoorleańska policja została poinformowana i w ciągu kilku godzin rozpocznie poszukiwania właśnie „Kluczyka” Milnego. Jeżeli można było wierzyć porannej gazecie, sprawa wypadku z ubiegłej nocy wciąż absorbowała jej uwagę. Ale z całą pewnością ktoś w komendzie policji znajdzie dość czasu, aby wysłać dalekopis do FBI. „Kluczyk” przypomniał sobie, jak straszne byłyby konsekwencje jeszcze jednego wyroku i po raz kolejny miał ochotę zachować się przezornie, wyprowadzić z hotelu i uciec. Ciągle jednak nie mógł się zdecydować. Wreszcie - odsuwając na bok wątpliwości - pocieszył się wspomnieniami pomyślnej, porannej wróżby.

W końcu oczekiwanie przyniosło rezultaty. Jeden z recepcjonistów, młody człowiek o lekko falistych włosach, zachowywał się niepewnie i chwilami nerwowo. „Kluczyk” przypuszczał, że jest nowym pracownikiem.

Jego pojawienie się stwarzało pewną szansę, choć wykorzystanie jej wiązało się z ryzykiem i, jak uznał „Kluczyk”, będzie trudnym przedsięwzięciem. Być może jednak sytuacja ta - podobnie jak inne wydarzenia dzisiejszego dnia - była sama w sobie znakiem losu. Postanowił więc ją wykorzystać, stosując dawno wypróbowaną metodę.

Przygotowania zajmą mu przynajmniej godzinę. Ponieważ było już wczesne popołudnie, musiał wszystko zrobić, zanim młody człowiek skończy swoją zmianę. „Kluczyk” szybko wyszedł z hotelu. Skierował się w stronę domu towarowego „Maison Blanche” na Canal Street.

Tam, oszczędnie posługując się swoimi funduszami, zakupił niezbyt drogie, ale duże przedmioty - głównie zabawki dziecięce - i poczekał, aż zapakują mu je w charakterystyczne pudełka „Maison Blanche”, albo owiną w papier. Wreszcie, niosąc w objęciach paczki, które ledwie był w stanie utrzymać, wyszedł ze sklepu. Zatrzymał się jeszcze raz, w kwaciarni, uzupełniając zakupy doniczką z wielką, kwitnącą azalią i wrócił do hotelu.

Przy wejściu od Carondelet Street portier w liberii podbiegł do drzwi i otworzył je

szeroko. Uśmiechnął się do „Kluczyka”, częściowo ukrytego za pakunkami i kwitnącą azalią.

W hotelu „Kluczyk” marudził, pozornie oglądając witryny, naprawdę jednak czekając na określoną sytuację. Składała się ona z dwóch jednoczesnych zdarzeń. Jednym było zgromadzenie się większej ilości osób przy kontuarze recepcji i wydawania poczty, drugim - ponowne pojawienie się widzianego wcześniej młodego człowieka. Cierpliwość została wynagrodzona - oczekiwany moment nastąpił.

Spięty, czując jak łomocze mu serce, „Kluczyk” skierował się w stronę recepcji.

Był trzeci w kolejce do młodego człowieka z lekko falistymi włosami. Po chwili przed Milnem stała już tylko kobieta w średnim wieku, która przedstawiła się i otrzymała klucz. Kiedy miała już odejść, przypomniała sobie, że chciała zapytać o sprawę przeadresowania poczty. Jej pytania zdawały się trwać bez końca, a odpowiedzi młodego człowieka padały z coraz większym wahaniem. Czekający niecierpliwie „Kluczyk” zdawał sobie sprawę, że otaczająca go grupa ludzi stopniowo staje się coraz mniej liczna. Jeden z recepcjonistów był już wolny i spojrzał na niego. „Kluczyk” starannie unikał jego wzroku i modlił się, aby tocząca się rozmowa wreszcie się skończyła.

W końcu kobieta odeszła. Młody urzędnik odwrócił się w stronę „Kluczyka” i podobnie jak portier uśmiechnął się mimowolnie, widząc nieporęczny stos pakunków zwieńczony dodatkowo kwiatami.

Poirytowanym tonem Milne wypowiedział przygotowane zawczasu zdanie:

- Jestem pewien, że to bardzo śmieszne. Ale jeśli nie sprawię kłopotu, chciałbym dostać klucz do 973.

Młody człowiek zaczerwienił się i uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy.

- Oczywiście, proszę pana. - Odwrócił się, speszony i zdjął klucz z półeczki.

„Kluczyk” zauważył, że gdy podał numer Apartamentu Prezydenckiego, jeden z recepcjonistów spojrzał w ich stronę. Była to najważniejsza chwila. W końcu numer Apartamentu Prezydenckiego jest znany i gdyby w rozmowę włączył się bardziej doświadczony recepcjonista, wpadka byłaby nieunikniona. Milne zaczął się pocić.

- Pańskie nazwisko?

- Co ma oznaczać to przesłuchanie? - warknął gniewnie „Kluczyk”, upuszczając jednocześnie dwie paczki. Jedna wylądowała na kontuarze, druga odbiła się i spadła po drugiej stronie. Coraz bardziej zmieszany młody recepcjonista podał mu obie. Jego starszy kolega uśmiechnął się pobłaźliwie i odwrócił głowę.

- Najmocniej pana przepraszam.

- Mniejsza o to. - „Kluczyk” wziął paczki, ułożył je ponownie i wyciągnął dłoń po

klucz.

Młody człowiek wahał się przez chwilę. Potem jednak zwyciężył obraz, który „Kluczyk” miał zamiar stworzyć - zmęczonego, zdenerwowanego człowieka, który wraca idiotycznie obciążony zakupami w znanych opakowaniach szanowanego domu towarowego „Maison Blanche”. Innymi słowy - poirytowany gość, z którym lepiej nie zadzierać...

Recepcjonista z szacunkiem wręczył mu klucz do pokoju 973.

Gdy „Kluczyk” bez pośpiechu ruszył w stronę wind, ruch przy recepcji zaczął się od nowa. Zerknął do tyłu i zauważył, że recepcjoniści znowu są zajęci. Dobrze! To zmniejszyło prawdopodobieństwo, że zaczną rozmawiać na jego temat i zastanawiać się nad tym, co się zdarzyło. Mimo wszystko, musi zwrócić klucz jak najszybciej. Jego brak może zostać zauważony, spowodować pytania i wywołać podejrzenia - szczególnie niebezpieczne teraz, gdy hotel został już zaalarmowany.

Polecił windziarzowi, żeby zawiózł go na dziewiąte piętro. Ten środek ostrożności przedsięwziął na wypadek, gdyby ktoś usłyszał, że prosił o klucz z pokoju na dziewiątym piętrze. Gdy winda zatrzymała się, wysiadł i zwlekał, poprawiając paczki do momentu zamknięcia drzwi. Potem skierował się szybko w stronę służbowej klatki schodowej. Na półpiętrze stał pojemnik na śmieci. Otworzył go i wcisnął do środka kwiat, który spełnił już swoje zadanie. Po kilku sekundach „Kluczyk” był już w swoim pokoju.

Szybko wrzucił pakunki do szafy. Jutro zanieś je do sklepu i zażąda zwrotu pieniędzy. Wydatek nie był duży, zwłaszcza jeżeli porównać go ze spodziewaną zdobyczą, ale zabranie ich byłoby kłopotliwe, a pozostawienie ich w hotelu mogłoby stać się niebezpiecznym śladem.

Szybko otworzył walizkę i wyjął z niej małe, obciążone skórą pudełko. Znajdowało się w nim kilka białych kart, ostro zatemperowane ołówki, suwmiarka i mikrometr. „Kluczyk” wybrał jedną kartę i położył na niej klucz do Apartamentu Prezydenckiego. Potem, trzymając go nieruchomo, starannie odrysował krawędź, a następnie przy pomocy suwmiarki i mikrometru sprawdził grubość oraz dokładne wymiary każdej poziomej bruzdy i pionowego wycięcia, starannie je notując. W metalu odcisnięty był cyfrowo-literowy kod producenta. Przepisał go, mogło to bowiem pomóc w wybraniu odpowiedniego wtórnika. Wreszcie, trzymając klucz pod światło, sporządził precyzyjny, odręczny szkic jego końcówki.

Dysponował teraz wykonanym fachowo opisem, który każdy wykwalifikowany ślusarz zdoła bezbłędnie odtworzyć. Cały ten proces, pomyślał z rozbawieniem „Kluczyk”, bardzo odbiega od ukochanego przez autorów powieści kryminalnej odcisku w wosku, ale jest o wiele bardziej skuteczny.

Odłożył pudełko na miejsce i wsunął kartkę do kieszeni. W chwilę później znowu był w głównym holu.

Tak samo jak przedtem, poczekał aż recepcjoniści będą zajęci. Potem podszedł niedbale do kontuaru recepcji i położył na nim klucz od 973.

Obserwował przez chwilę. W czasie następnej przerwy w napływie gości, recepcjonista zauważył klucz. Bez najmniejszego zainteresowania podniósł go, sprawdził numer i położył we właściwym miejscu.

„Kluczyk” poczuł wewnętrzną satysfakcję z odniesionego sukcesu zawodowego. Dzięki swojej pomysłowości i umiejętnościom pokonał wszystkie przeszkody, które postawił przed nim hotel i zrealizował pierwsze zadanie.

13.

Peter McDermott wybrał z wiszących w szafie krawatów ciemnoniebieski i zawiązał go starannie. Znajdował się w swoim mieszkaniu położonym w centrum, niedaleko od hotelu. Wyszedł z pracy godzinę temu, a za dwadzieścia minut powinien zjawić się na przyjęciu u Marshy Preyscott. Zastanawiał się, kim będą pozostali goście. Zapewne, poza jakimiś przyjaciółmi Marshy - miał nadzieję, że nieco innych od kwartetu Dixon-Dumaire - znajdą się tam również jacyś starsi ludzie.

Poczuł, że perspektywa takiego spędzenia wieczoru zupełnie mu nie odpowiada i wolałby raczej spotkanie z Christine. Miał ochotę zadzwonić do niej przed wyjściem, ale uznał, że lepiej będzie zrobić to jutro.

Miał niejasne wrażenie, że jest zawieszony w czasie pomiędzy przeszłością a przyszłością. Wciąż dręczyła go sprawa, jak rozstrzygnie się los samego St. Gregory’ego. Czy przejmie go Curtis O’Keefe? Jeżeli to nastąpi, wtedy wszystkie inne sprawy staną się mniej istotne. Nawet kongres dentystów, którego zarząd wciąż dyskutował, czy mają na znak protestu opuścić hotel, czy też nie? Narada, zwołana przed godziną przez zapalczego przewodniczącego dentystów, doktora Ingrama, wciąż jeszcze trwała i wszystko wskazywało na to, że nieprędko się skończy. Tak przynajmniej twierdził główny kelner z obsługi pokoiów. Jego pracownicy kilkakrotnie już uzupełniali lód i napoje. Peter interesował się jedynie tym, czy są jakieś oznaki świadczące o tym, że zebranie wkrótce się zakończy i główny kelner powiadomił go, że dyskusja jest zażarta. Przed wyjściem z hotelu McDermott zostawił wiadomość u zastępcy kierownika zmiany, że gdyby na konferencji dentystów podjęto jakąś decyzję, mają natychmiast do niego zatelefonować. Do tej pory nie było żadnej wiadomości.

Był ciekaw, czy wygra punkt widzenia doktora Ingrama, czy też rację będzie miał Warren Trent przepowiadając, że nic się nie zdarzy.

Ta sama niepewność powstrzymała Petera - przynajmniej do jutra rana - od podejmowania dyscyplinarnych kroków w sprawie Herbiego Chandlera. Doskonale wiedział, że powinno się natychmiast zwolnić nieuczciwego kierownika boyów, a tym samym uwolnić hotel od złego ducha. Oczywiście, Chandlera nie można było wyrzucić za stręczycielstwo call girls - gdyby on nie zorganizował tego systemu, zrobiłby to ktoś inny - ale za to, że pozwolił, aby chciwość zwyciężyła nad jego zdrowym rozsądkiem.

Gdyby oszczędził Chandler, można by było wykorzenić wiele innych nieprawidłowości. Biorąc pod uwagę troskę Trenta o dobre imię hotelu, można było przypuszczać, że zaakceptuje taką akcję oczyszczającą.

W każdym razie, pomyślał ponownie Peter, musi się upewnić, że oświadczenia grupy Dixona-Dumaire'a będą przechowywane w bezpiecznym miejscu i nie wydostaną się poza obręb hotelu. Pod tym względem należy dotrzymać danego słowa.

Przypomniał sobie Marshę i zaczął się śpieszyć. Kilka minut później wyszedł z mieszkania i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

- Czy to ten dom? - spytał Peter.

- Oczywiście. - Taksówkarz z zaciekawieniem spojrzął na swojego pasażera. - Pod warunkiem, że podałeś mi właściwy adres.

- Na pewno. - Peter popatrzył na wielki dwór z białym frontonem. Widok samej tylko fasady zapierał dech w piersi. Za cisowym żywopłotem i wielkimi drzewami magnoliowymi, zgrabne kolumny ganku podtrzymywały rozległą galerię z wysokimi balustradami, a z galerii strzelały wyżej, pod zwieńczającą całość tympanon o klasycznych proporcjach. Lewe i prawe skrzydło powtarzały w zminiaturyzowanej skali elementy głównego budynku. Cały fronton był w doskonałym stanie, stolarka była zakonserwowana i wszystko świeżo pomalowane. Wokół domu, unosił się w wieczornym powietrzu łagodny zapach kwitnących drzew oliwnych.

Peter zapłacił taksówkarzowi i podszedł do metalowej, ażurowej bramy. Otworzyła się lekko. Kręta ścieżka wymoszczona starymi, czerwonymi ceglami wiła się wśród drzew i trawników. Choć zapadł dopiero zmierzch, zapalono już dwie wysokie latarnie umieszczone po obu stronach ścieżki. Podszedł do schodów prowadzących na ganek i usłyszał głośny szcęk zamka. Podwójne drzwi otworzyły się szeroko i stanęła w nich Marsha. Poczekala, aż wejdzie na schody i ruszyła w jego kierunku.

Była ubrana w prostą białą suknię, z którą zaskakująco kontrastowały jej kruczoczarne

włosy. Bardziej niż kiedykolwiek uświadamiał sobie prowokujący kobieco-dziecinny charakter jej urody.

- Witam! - zawołała wesoło Marsha.

- Dziękuję. - Ruchem ręki wskazał otoczenie. - Muszę przyznać, że jestem nieco oszołomiony.

- Jak zresztą wszyscy. - Wzięła go pod rękę. - Zanim się ściemni, zapraszam cię na oficjalną wycieczkę po posiadłości Preyscottów.

Zeszli ze schodów, a potem ruszyli przez trawnik, elastycznie uginający się pod ich nogami. Marsha szła obok niego i przez materiał marynarki czuł ciepło jej ciała. Palce dziewczyny dotykały delikatnie jego dłoni. Do aromatu kwiatów oliwnych dołączył się jej subtelny zapach.

- Tutaj! - Marsha odwróciła się gwałtownie. - Tutaj najlepiej ją zobaczysz. Stąd zawsze robią zdjęcia.

Z tej części trawnika widok rzeczywiście był jeszcze bardziej imponujący.

- Ten dom wybudował uwielbiający zabawy Francuz - oznajmiła. - W 1840 roku. Kochał architekturę greckiego Odrodzenia, uśmiechniętych niewolników, a także lubił mieć pod ręką swoją kochankę, co było powodem wybudowania dodatkowego skrzydła. Mój ojciec dodał drugie. Woli, żeby wszędzie panowała równowaga - i w rachunkach, i architekturze.

- Czy to nowy styl oprowadzania: łączenie filozofii z faktami?

- Och, dysponuję jednym i drugim. Chcesz faktów? Spójrz na dach. - Spojrzeli oboje do góry. - Widzisz, jak wysunięty jest do przodu tworząc okap nad górną galerią? Styl grecko-luizjański, większość starych domów budowano tutaj w ten sposób. Niezłe pomysły, bo w tym klimacie dawało cień i zapewniało dopływ świeżego powietrza. Bardzo często taka galeria była miejscem, na którym spędzano najwięcej czasu. Często stawała się więc centrum życia rodzinnego i towarzyskiego.

- Domy i rodziny, współdział w dobrym życiu, w postaci zarazem pełnej i samowystarczalnej - zacytował.

- Kto tak powiedział?

- Arystoteles.

Marsha kiwnęła głową.

- Znał się na galeriach. - Przerwała i zamyśliła się na chwilę. - Mój ojciec wykonał tu wiele prac konserwatorskich. Teraz dom jest lepszy, ale nam wcale nie żyje się w nim lepiej.

- Musisz bardzo kochać tę posiadłość.

- Nienawidzę jej - odparła Marsha. - Zawsze nienawidziłam tego domu.

Spojrzał na nią pytająco.

- Och, nie byłoby tak, gdybym tylko przyszła tutaj go zwiedzać, jako gość, który zapłacił pięćdziesiąt centów i ogląda go sobie. Jak wtedy, gdy otwieramy dom na Wiosenną Fiestę. Podziwiam go, bo kocham stare rzeczy. Ale nie lubię mieszkać tu stale, zwłaszcza sama i po ciemku.

- Zaczyna się już zmierzchać - zauważył.

- Wiem - odparła. - Ale jesteś tutaj. I na tym polega cała różnica.

Poszli z powrotem przez trawnik. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z panującą wokół ciszy.

- Czy nie zaniedbujesz innych gości?

Zerknęła na niego kpiarsko.

- Jacy inni goście?

- Powiedziałaś...

- Powiedziałam, że urządzam proszony obiad i mówiłam prawdę. Dla ciebie. Jeżeli martwisz się o przyzwoitkę, jest tu Anna.

Weszli do domu. W ciemnych pokojach z wysokimi sufitami było chłodno. Stojąca w głębi starsza kobieta ubrana w czarną, jedwabną suknię na ich widok uśmiechnęła się.

- Powiedziałaś o tobie Annie i wyraziła zgodę - oznajmiła Marsha. - Mój ojciec ma do niej pełne zaufanie, wszystko więc jest w zupełnym porządku. A to Ben.

Poruszający się bezszelestnie czarnoskóry służący poszedł za nimi do niewielkiego gabinetu, którego ściany zastawione były regałami z książkami. Wziął z kredensu tacę z karafką i kieliszkami do sherry. Marsha odmówiła. Peter wziął kieliszek i upił łyk. Dziewczyna usiadła na kozetce i wskazała mu miejsce obok siebie.

- Spędzasz tu dużo czasu sama? - zapytał.

- Ojciec zjawia się w domu w przerwach między podróżami. Niestety, podróże stają się coraz dłuższe, a jego pobyty w domu coraz krótsze. Dlatego właśnie wolałabym mieszkać w brzydkim, współczesnym bungalowu. Przynajmniej czułabym, że żyję.

- Zastanawiam się, czy byłoby tak rzeczywiście.

- Wiem, że tak - odparła zdecydowanie. - Gdybym dzieliła go z kimś, na kim naprawdę mi zależy. Albo może lepiej byłoby mieszkać w hotelu. Czy dyrektorzy dostają w nich własne mieszkania... na najwyższym piętrze?

Spojrzał na nią, zaskoczony i zobaczył, że uśmiecha się.

Chwilę później służący oznajmił cicho, że obiad został podany.

W sąsiednim pokoju stał niewielki, okrągły stół, nakryty dla dwóch osób. Światło

świec odbijało się na nakryciach i na boazeriach ścian. Z portretu wiszącego nad czarnym marmurowym kominkiem spoglądał na nich patriarcha o surowej twarzy. Peter miał wrażenie, że przygląda mu się krytycznym wzrokiem.

- Nie przejmuj się pradziadkiem - powiedziała Marsha, siadając przy stole. - To na mnie patrzy tak surowo. Kiedyś napisał w pamiętniku, że chciał założyć dynastię, a ja jestem jego ostatnią, płonną nadzieją.

W czasie obiadu rozmawiali z coraz większą swobodą, obsługiwani dyskretnie przez służącego. Jedzenie było wspaniałe. Główne danie stanowiła znakomicie przyrządzona *jambalaya*, a po niej podano doskonały *crème brûlée*. Peter zauważył, że początkowe obawy związane z zaproszeniem minęły i teraz bawi się doskonale. W miarę upływu czasu Marsha stawała się coraz bardziej ożywiona i czarująca, on zaś świetnie czuł się w jej towarzystwie. Uświadomił sobie, że jest to dość zaskakujące, bo przecież dzieląca ich różnica wieku była jednak duża. A w blasku świec, rozpraszającym otaczający ich mrok starego pokoju, coraz bardziej zdawał sobie sprawę, jak wyjątkowo piękna jest Marsha.

Zastanawiał się, czy francuski szlachcic i jego kochanka jadal tu niegdyś takie obiady we dwoje? A może tę myśl wywołało oczarowanie tym miejscem i sytuacją.

Pod koniec obiadu Marsha powiedziała:

- Wypijemy kawę na galerii.

Przytrzymał jej krzesło. Wstała szybko i jak poprzednio, impulsywnie wzięła go pod rękę. Rozbawiony, pozwolił się poprowadzić wzdłuż holu i do góry po szerokich, spiralnych schodach. Na piętrze - szeroki, słabo oświetlony korytarz ze ścianami pokrytymi freskami, prowadził na otwarty balkon, z widokiem na położony w dole ciemny ogród.

Na wiklinowym stoliku stały niewielkie filiżanki i srebrny serwis do kawy. Nad głowami paliła się migocząca lampa gazowa. Z filiżankami podeszli do wiszącej otomany. Zakołysała się lekko, gdy siadali. Nocne powietrze było przyjemnie rześkie, czuło się w nim lekkie powiewy wieczornego wietrzyka. Z ogrodu dobiegało bzykanie nocnych owadów, z daleka - przygłuszony odgłos ruchu ulicznego na St Charles Avenue. Peter czuł obecność Marshy, siedzącej obok niego w milczeniu.

- Czemu tak nagle umilkłaś? - zapytał.

- Zastanawiałam się, jak mam ci coś powiedzieć.

- Możesz spróbować powiedzieć wprost. Czasem to zdaje egzamin.

- Dobrze. - Nagle jakby zabrakło jej tchu. - Doszłam do wniosku, że chcę wyjść za ciebie za męża.

To co wydawało mu się długimi minutami, trwało zapewne ledwie kilka sekund. Peter

siedział nieruchomo, ustało nawet lekkie kołysanie otomany. Wreszcie pochylił się i ostrożnie postawił filiżankę.

Marsha kaszlnęła, a potem zaśmiała się nerwowo.

- Jeżeli chciałbyś uciec, schody znajdują się tam.

- Nie - odparł. - Gdybym tak zrobił, nigdy bym się nie dowiedział, dlaczego to powiedziałaś.

- Sama nie bardzo wiem. - Patrzyła prosto przed siebie, w ciemność, odwrócona do niego profilem. Czuł, że drży. - Nagle chciałam ci o tym powiedzieć. I jestem zupełnie pewna, że dobrze zrobiłam.

Czuł, że jego odpowiedź będzie miała dla tej impulsywnej dziewczyny niezwykle znaczenie i musi zachować się ze zrozumieniem i delikatnością. Z niepokojem uświadomił sobie również, że czuje skurcz w gardle i zupełnie irracjonalnie przypomniał sobie słowa, które wypowiedziała dziś rano Christine: „Mała panna Preyscott w równym stopniu przypomina dziecko, co tygrys kociątko. Ale sądzę, że może być zabawnie - przynajmniej dla mężczyzny - dać się zjeść”. Oczywiście, to co powiedziała było niesprawiedliwe, nawet brutalne. Niewątpliwie jednak panna Marsha nie jest już dzieckiem i nie powinna być tak traktowana.

- Marsha, przecież bardzo mało mnie znasz, a ja ciebie.

- Czy wierzysz w przeczucie?

- Do pewnego stopnia.

- Miałam przeczucie na twój temat. Od pierwszej chwili. - Początkowo jej głos się załamywał, teraz jednak nabrał siły. - Najczęściej nigdy mnie nie zawiodło.

- Czy w przypadku Stanleya Dixona i Lylego Dumaire'a również? - przypomniał jej łagodnie.

- Oczywiście. Tylko, niestety, nie posłuchałam go. Tym razem będzie inaczej.

- Ale przeczucie może cię jednak mylić.

- Zawsze można się pomylić, nawet jeśli bardzo długo się czeka - Marsha odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. Nagle zdał sobie sprawę z nie dostrzeganej dotąd siły jej charakteru. - Mój ojciec i matka znali się piętnaście lat, zanim się pobrali. Matka powiedziała mi kiedyś, że wszyscy znajomi uważali ich za wspaniałą parę. Okazali się najgorszą. Wiem o tym dobrze. Tkwiłam w samym środku.

Milczał, nie wiedząc, co ma jej odpowiedzieć.

- Wyciągnęłam więc z tego wnioski. I mam zamiar zrobić coś innego. Widziałeś dziś Annę, prawda?

- Tak.

- Kiedy miała siedemnaście lat wydano ją za człowieka, którego widziała przedtem zaledwie jeden raz. W ramach umowy między rodzinami, wówczas praktykowano takie rzeczy.

Przyglądając się uważnie jej twarzy, powiedział:

- Mów dalej.

- Przed ślubem Anna prześlakała całą noc. Ale jednak wyszła za tego człowieka i małżeństwo ich przetrwało czterdzieści sześć lat. Mieszkali tu oboje, jej mąż zmarł w ubiegłym roku. Był to najbardziej cudowny, czarujący człowiek jakiego kiedykolwiek znałam. Jeżeli istnieje idealne małżeństwo, oni byli nim na pewno.

Zawahał się, nie chcąc zdobywać punktu w tej dyskusji, mimo to jednak zaoponował:

- Anna nie postąpiła zgodnie ze swoim przeczuciem. Gdyby tak zrobiła, nie wyszłaby za mąż.

- Wiem. Po prostu chciałam powiedzieć, że nie ma żadnych gwarancji i przeczucie może być równie dobrym drogowskazem jak wszystko inne. - Marsha umilkła na chwilę, a potem dodała. - Wiem, że mogłabym sprawić, żebyś mnie pokochał.

Nieoczekiwanie, zupełnie absurdalnie poczuł, że ogarnia go podniecenie. Oczywiście, cały pomysł był niewiarygodny, stanowił wynik romantycznej, dziewczęcej imaginacji. Ponieważ w przeszłości sam cierpiał na tę dolegliwość, dobrze ją znał. Czy jednak rzeczywiście? Czy każda sytuacja musiała być powtórzeniem tego, co raz już przeszedł? Czy propozycja Marshy była rzeczywiście tak niezwykła? Wydawało mu się przez moment, że słowa dziewczyny mogą być prawdą.

Zastanawiał się przez chwilę, jak mógłby zareagować na ten pomysł nieobecny Mark Preyscott.

- Jeżeli myślisz o moim ojcu...

- Skąd wiesz? - spytał, zaskoczony.

- Zaczynam cię już poznawać.

Nabrał głęboko powietrza w płuca. Nagle miał wrażenie, że stało się dziwnie rozrzedzone.

- Co więc chciałaś powiedzieć o ojcu?

- Przypuszczam, że najpierw trochę się zmartwi i natychmiast przyleci do domu. - Marsha uśmiechnęła się. - Zawsze słucha rozsądnych argumentów i potrafię go przekonać. Poza tym, na pewno cię polubi. Wiem, jacy ludzie najbardziej mu się podobają i ty do nich należysz.

- No cóż - powiedział, nie bardzo wiedząc czy ma być rozbawiony, czy potraktować wszystko poważnie. - Przynajmniej jeden kłopot spadł mi z głowy.

- Jest jeszcze coś. Zupełnie nieistotne dla mnie, ale dla niego na pewno. Widzisz, ja wiem i mój ojciec również się zorientuje, że któregoś dnia odniesiesz wielki sukces i będziesz miał swój własny hotel. Chociaż ja o to nie dbam. Chcę tylko ciebie. - Skończyła, niemal bez tchu.

- Marsho - powiedział poważnym tonem. - Ja... Ja po prostu nie wiem, co powiedzieć.

Zapadła cisza. Czuł, jak Marshę opuszcza pewność siebie. Jakby wszystkie jej rezerwy energii i siły woli wyczerpały się, a razem z nimi opuściła ją odwaga. Cichym, niepewnym głosem powiedziała:

- Pewnie myślisz, że jestem głupia. Lepiej powiedz to i skończmy sprawę.

- Wcale tak nie myślę - zapewnił ją. - Gdyby inni ludzie, ze mną włącznie, byli równie szczerzy jak ty...

- A więc nie gniewasz się na mnie?

- Oczywiście, że nie. Mało tego, jestem wzruszony i oszołomiony.

- W takim razie nic już nie mów! - Marsha zerwała się i wyciągnęła do niego rękę. Ujął jej dłonie i stał patrząc na nią. Ich palce splatały się. Uświadomił sobie, że Marsha potrafiła błyskawicznie otrząsnąć się z niepewności, nawet jeżeli jej wątpliwości zostały rozwiane jedynie częściowo. - Po prostu idź i myśl - powiedziała. - Myśl, myśl, myśl! A zwłaszcza o mnie.

- Trudno by mi było tego nie robić - odparł zupełnie szczerze. Uniosła twarz do pocałunku i pochylił się nad nią. Chciał pocałować ją w policzek, ale nadstawiła usta i gdy ich wargi zetknęły się, objęła go mocno. Gdzieś w głębi jego umysłu zadźwięczał sygnał alarmowy. Jej ciało przywarło do niego i dotknięcie to wywarło na nim elektryzujące wrażenie, natychmiast odbierając mu oddech. W tej chwili nie mógł myśleć o Marshy inaczej niż jak o kobiecie. Czuł, jak jego ciało reaguje podnieceniem. Zaczęło mu się kręcić w głowie. Dzwonek alarmowy umilkł. Przypominał sobie tylko: „Mała panna Preyscott... może być zabawnie... dla mężczyzny - dać się zjeść”.

Uwolnił się delikatnie, ale zdecydowanie. Ujął Marshę za rękę.

- Muszę iść - powiedział.

Zeszła z nim na ganek. Pogładził ją po włosach.

- Peter, kochanie - szepnęła.

Zszedł po stopniach ganku, niemal ich nie zauważając.

14.

O 10.30 wieczorem główny detektyw hotelowy, Ogilvie, przeszedł służbowym tunelem z głównego budynku St. Gregory'ego do położonego w sąsiedztwie garażu hotelowego.

Wybrał tunel zamiast bardziej wygodnego pasażu na parterze z tego samego powodu, dla którego zdecydował się na tę właśnie porę - aby jak najmniej rzucać się w oczy. O 10.30, goście korzystający wieczorem z samochodów już wyjechali, a było jeszcze za wcześnie na powroty. Również mało było prawdopodobne, aby w tym czasie jakiś nowy gość przyjechał samochodem do hotelu.

Plan Ogilviego, w którym zakładał, że rozpocznie podróż na północ jaguarem Croydonów o pierwszej w nocy - to znaczy za niecałe trzy godziny - nie uległ zmianie. Przed wyjazdem grubas musiał jednak wykonać pewne przygotowania i niepotrzebni mu byli żadni świadkowie.

Wszystkie niezbędne rekwizyty znajdowały się w papierowej torbie, którą trzymał w ręku. Dotyczyły czegoś, co Croydonowie przeoczyli, opracowując swój skomplikowany plan. Ogilvie dostrzegł to od razu, ale postanowił zachować informację dla siebie.

W czasie podwójnego, śmiertelnego wypadku w poniedziałek w nocy jeden z reflektorów jaguara został rozbity. Poza tym, na skutek utraty oprawki, która znajdowała się obecnie w posiadaniu policji, mocowanie reflektora obluźowało się. Jeżeli miał prowadzić samochód po ciemku, należało to naprawić - choćby prowizorycznie. Oczywiście, oddanie samochodu do któregoś z warsztatów w mieście nie wchodziło w grę, podobnie zresztą jak powierzenie remontu mechanikowi hotelowemu.

Wczoraj, ustalając moment największego spokoju w garażu, Ogilvie obejrzał również samochód, ustawiony dyskretnie za filarem. Doszedł do wniosku, że jeśli uda mu się zdobyć odpowiednie szkło, sam zdoła dokonać wszelkich napraw.

Rozważał ryzyko zakupienia całego reflektora u jedynego w Nowym Orleanie przedstawiciela jaguara i zrezygnował z tego pomysłu. Choć policja jeszcze nie знаła marki poszukiwanego samochodu, wystarczy identyfikacja rozbitych fragmentów szkła, aby ją błyskawicznie rozszyfrowali. Ktoś mógłby go zapamiętać i poinformować policję o dokonanym zakupie. Wybrał kompromisowe rozwiązanie. W samoobsługowym sklepie z częściami samochodowymi kupił standardowy, dwużarnikowy wkład reflektorowy North American. Miał wrażenie, że będzie pasował. Teraz chciał sprawdzić swój pomysł...

Zakup reflektora był tylko jedną z wielu czynności w wypełnionym zajęciami dniu, po którym główny detektyw czuł zarówno satysfakcję, jak też pewien niepokój. Czuł się również fizycznie zmęczony, co stanowiło niezbyt dobry początek czekającej go długiej jazdy na północ. Pocieszył się myślą o dwudziestu pięciu tysiącach dolarów, z których dziesięć otrzymał już, zgodnie z umową, od księżnej. Rozegrała się przy tym pełna napięcia scena, w czasie której księżna zachowywała się bardzo oficjalnie. Ogilvie, nie zwracając na to uwagi, chciwie wpychał do teczki pliki banknotów, a stojący obok niego książę chwiał się pijany na nogach i spoglądał szklanymi oczyma, niezbyt chyba dobrze zdając sobie sprawę z wszystkiego, co się wokół niego dzieje.

Posiadanie pieniędzy sprawiało grubasowi przyjemność. Schował je dobrze, a przy sobie miał zaledwie dwieście dolarów. Środek ostrożności na wypadek, gdyby w czasie podróży powstały jakieś komplikacje.

Niepokój wywoływały natomiast dwie sprawy. Przede wszystkim - świadomość konsekwencji, gdyby nie udało mu się wyprowadzić jaguara z Nowego Orleanu, a potem przejechać nim nieopatrzenie przez Luizjanę, Mississippi, Tennessee i Kentucky. Drugą zaś - stanowczość, z jaką Peter McDermott podkreślał, że Ogilvie powinien przez cały czas być w pobliżu hotelu.

Kradzież z ubiegłej nocy oraz możliwość, że w St. Gregorym działa zawodowy złodziej zdarzyły się w najmniej odpowiednim momencie. Ogilvie zrobił, co było w jego mocy. Poinformował miejską policję i detektywi przeprowadzili rozmowę z okradzionym gościem. Personel hotelowy, w tym również inni detektywi zostali zaalarmowani, a zastępca Ogilwiego otrzymał instrukcje, jak ma postępować w rozmaitych sytuacjach. Ogilvie doskonale zdawał sobie jednak sprawę, że powinien znajdować się na miejscu i osobiście nadzorować zabezpieczenie hotelu. Kiedy McDermott dowie się o jego nieobecności, a stanie się to zapewne jutro, wybuchnie gigantyczna awantura. Wcale mu to jednak nie zaszkodzi, bo McDermott i tacy jak on będą przychodzili i odchodzili, podczas gdy Ogilvie z powodów znanych tylko jemu i Warrenowi Trentowi - wciąż zajmował swoje stanowisko. Ale awantura może zwrócić uwagę wszystkich na jego osobę - a tego detektyw za wszelką cenę chciał uniknąć.

Kradzież i jej następstwa były pożyteczne tylko pod jednym względem. Dały mu bowiem doskonały pretekst, aby odwiedzić komendę policji i mimochodem zagadnąć o postępy dochodzenia w sprawie wypadku. Okazało się, że uwaga policji wciąż jest skupiona na tej sprawie i wszyscy oczekują na jakiś przełom. W popołudniowym wydaniu „States-Item” policja opublikowała nowy apel z prośbą o informacje na temat każdego samochodu z

uszkodzonym błotnikiem lub reflektorem. Oznaczało to zmniejszenie szans na dyskretny wyjazd jaguarem z miasta. Ogilvie poczuł, że poci się na samą myśl o tym.

Dotarł do końca tunelu i znalazł się w podziemnej części garażu.

W skąpo oświetlonym pomieszczeniu panował spokój. Ogilvie zawahał się. Nie mógł podjąć decyzji, czy ma iść od razu do stojącego kilka kondygnacji wyżej samochodu Croydonów, czy też do biura, gdzie pełnił służbę nocny dyżurny. Postanowił, że lepiej będzie udać się najpierw do biura.

Dyszząc ciężko, wspiął się z trudem piętro wyżej. Dyżurny - pedantyczny, starszy mężczyzna o nazwisku Kulgmer - siedział samotnie w jaskrawo oświetlonym, przeszklonym pomieszczeniu koło rampy prowadzącej na ulicę. Kiedy główny detektyw podszedł bliżej, dyżurny odłożył wieczorną gazetę.

- Chciałem pana zawiadomić - oznajmił Ogilvie - że wkrótce zabiorę samochód księcia Croydonu. Jest na stanowisku 371. Wyświadczam mu pewną przysługę.

Kulgmer zmarszczył brwi.

- Nie wiem, czy mogę panu na to pozwolić, panie O. Zwłaszcza bez odpowiedniego upoważnienia.

Ogilvie podał mu notatkę, którą księżna sporządziła rano na jego prośbę.

- Sądzę, że to powinno panu wystarczyć.

Nocny dyżurny przeczytał dokładnie dokument i odłożył go.

- Chyba jest w porządku.

Główny detektyw wyciągnął pulchną rękę, aby zabrać z powrotem upoważnienie.

Kulgmer pokręcił głową.

- Mam obowiązek je zatrzymać. Muszę mieć podkładkę.

Tłuścioch wzruszył ramionami. Wolałby mieć dokument przy sobie, ale bał się nalegać. Zwróciłby w ten sposób uwagę na całą sprawę. Podniósł papierową torbę.

- Pójdę zanieść paczkę. Zabiorę samochód za kilka godzin.

- Proszę bardzo, panie O. - Dyżurny skinął głową i zagłębił się ponownie w swoją gazetę.

Kilka minut później Ogilvie podszedł do stanowiska 371. Rozejrzał się z pozorną nonszalancją. Zajęte w połowie niskie pomieszczenie parkingowe było ciche i bezludne. Nocni pomocnicy garażowi znajdowali się na pewno w swojej dyżurce na parterze i wykorzystywali chwile spokoju na drzemkę albo grę w karty. Musiał jednak pracować szybko.

Za stojącym w odległym kącie jaguarem i zasłaniającym go częściowo filarem,

Ogilvie wyjął z papierowej torby reflektor, śrubokręt, kombinerkę, izolowany przewód i rolkę taśmy izolacyjnej.

Jego pozornie niezgrabne palce poruszały się z zaskakującą zręcznością. Założył rękawiczki, aby chronić dłonie i usunął resztki rozbitego reflektora. Od razu zorientował się, że zastępczy reflektor wprawdzie będzie pasował do jaguara, ale nie końcówki przewodów elektrycznych. Przewidział tę sytuację. Przy pomocy kombinerek, przewodu i taśmy izolacyjnej szybko wykonał prymitywne, ale dobrze działające połączenie. Dodatkowym kawałkiem drutu umocował reflektor na właściwym miejscu, zapelniając wyciągniętym z kieszeni kartonem szczelinę, która powstała na miejscu zgubionej oprawki i pokrył wszystko czarną taśmą. Przeciągnął ją potem do środka i umocował od wewnętrznej strony. Prowizorka ta będzie wyraźnie widoczna przy lepszym oświetleniu, ale wystarczająca w ciemności. Cała praca zajęła mu piętnaście minut. Otworzył drzwi od strony kierowcy i włączył światła. Oba reflektory działały.

Odetchnął z ulgą. W tej samej chwili na dole rozległy się ostre sygnały klaksonu i ryk samochodowego silnika. Ogilvie zamarł w bezruchu. Warkot rozlegał się coraz bliżej i jego spotęgowane echo odbijało się od betonowych ścian i niskiego pułapu. Potem rozbłysły ostro reflektory, omiatając rampę prowadzącą na wyższą kondygnację. Pisnęły opony, silnik ucichł i trzasnęły drzwi. Ogilvie odetchnął. Wiedział, że pomocnik parkingowy wróci do dyżurki windą.

Kiedy kroki ucichły, włożył narzędzia, przewód i taśmę z powrotem do papierowej torby, a potem wrzucił do niej również kilka większych fragmentów rozbitego szkła reflektora. Odłożył torbę na bok, żeby zabrać ją później.

Kiedy szedł na górę, zauważył piętro niżej pomieszczenie sprzątaczy. Zszedł po rampie w dół.

Miał nadzieję, że znajdzie tam przybory do czyszczenia i nie pomylił się. Wziął szczotkę, śmietniczkę, ścierkę i wiadro, które napełnił do połowy letnią wodą. Nasłuchując dobiegających z dołu odgłosów, poczekał, aż miną go dwa samochody, a potem wrócił szybko do jaguara.

Przy pomocy szczotki i śmietniczki dokładnie posprzątał naokoło samochodu. Nie można było pozostawić żadnych dających się zidentyfikować fragmentów szkła, które policja mogłaby porównać ze znalezionymi na miejscu wypadku.

Zostało mu już bardzo mało czasu. Do garażu przyjeżdżało coraz więcej samochodów. Dwukrotnie przerywał zmiatanie w obawie, że ktoś może go zobaczyć, a kiedy jeden z samochodów wjechał na stanowisko oddalone zaledwie o kilka jardów od jaguara,

mimowolnie wstrzymał oddech. Na szczęście, pomocnik nie rozglądał się wokoło, ale był to sygnał ostrzegawczy, który skłaniał do pośpiechu. Gdyby któryś z pomocników go zobaczył i podszedł bliżej, na pewno zainteresowałby się jego obecnością i zaczął zadawać pytania. Wyjaśnienia, udzielone nocnemu dyżurnemu mogłyby się okazać niezbyt przekonujące. Poza tym, szanse na nie zauważony przejazd na północ zależały w dużej mierze od pozostawienia jak najmniejszej ilości śladów.

Jeszcze tylko jedna sprawa. Przy pomocy ciepłej wody i szmaty starannie umył uszkodzony błotnik i przyległe do niego miejsca. Gdy wykręcił szmatę, woda zrobiła się brązowa. Starannie obejrzał swoje dzieło i mruknął z zadowoleniem. Na samochodzie nie było już zaschniętej krwi.

Po dziesięciu minutach, spocony z wysiłku wrócił do głównego budynku hotelowego. Poszedł bezpośrednio do swojego gabinetu, gdzie miał zamiar przespać się godzinę przed rozpoczęciem długiej podróży do Chicago. Spojrzał na zegarek. Była 11.15 w nocy.

15.

- Może mógłbym być bardziej pomocny - oznajmił Royall Edwards - gdybym wiedział, o co chodzi.

Słowa rewidenta skierowane były do dwóch mężczyzn siedzących po przeciwnej stronie długiego stołu w gabinecie księgowego. Między nimi leżały rozłożone księgi rachunkowe i skoroszyty, a całe pomieszczenie, o tej porze pogrążone zazwyczaj w ciemności, było jaskrawo oświetlone. Edwards sam włączył lampy godzinę temu, kiedy przyszedł tu wraz z niespodziewanymi gośćmi prosto z apartamentów Warrena Trenta.

Polecenie właściciela hotelu były wyraźne.

- Ci panowie sprawdzą nasze księgi. Będą pracowali nad nimi zapewne do jutra rana. Chciałbym, żeby został pan z nimi. Proszę im dać wszystko, czego sobie zażyczą. Niech pan nie zataja przed nimi żadnej informacji.

Royall Edwards przypomniał sobie, że jego pracodawca - przekazując mu te instrukcje - zdawał się być niezwykle pogodny. Od dawna nie widział go w takim nastroju. Jego dobry humor nie udzielił się jednak rewidentowi, wystarczająco poirytowanemu faktem, że wezwano go z domu, gdzie zajmował się swoim zbiorem znaczków. Dodatkowym powodem rozdrażnienia było to, że nie podzielono się z nim informacją, o co właściwie chodzi. Bardzo mu się również nie podobał pomysł całonocnych zajęć, był bowiem jednym z najbardziej konsekwentnych zwolenników pracy wyłącznie od dziewiątej do piątej.

Oczywiście, doskonale wiedział o przypadającym na piątek ostatecznym terminie spłaty długu hipotecznego oraz o nasuwającej określone skojarzenia obecności w hotelu Curtisa O'Keefego. Najprawdopodobniej, ta nocna wizyta w jakiś sposób wiązała się z obydwoma sprawami, choć trudno mu było zgadnąć, jak. Pewną poszlaką mogły być przywieszki lotnicze na walizkach obu przybyszów. Informowały one, że przylecieli z Waszyngtonu. Instynkt jednak podpowiadał mu, że ci ludzie, którzy najprawdopodobniej byli księgowymi, nie mają nic wspólnego z rządem. No cóż, zapewne wkrótce pozna odpowiedzi na te pytania. Tymczasem bardzo irytowało go, że jest traktowany jak jakiś drobny urzędnik.

Jego uwaga, że gdyby go lepiej poinformowano, może mógłby być bardziej pomocny, pozostała bez odpowiedzi, powtórzył ją więc raz jeszcze.

Jeden z gości, krępy mężczyzna w średnim wieku o nieruchomej twarzy, uniósł do ust filiżankę kawy i wypił ją do dna.

- Zawsze powtarzam, panie Edwards, że nie ma to jak filiżanka kawy. W większości hoteli już jej nie parzą we właściwy sposób. A w tym owszem. Wydaje mi się, że nie może być jakichś specjalnych nieprawidłowości w hotelu, w którym podają taką kawę. Co powiesz, Frank?

- Powiem, że jeżeli mamy do rana zakończyć robotę, to musimy mniej czasu tracić na gadanie - odpowiedział kwaśno drugi mężczyzna nie podnosząc głowy znad zestawienia bilansowego.

Amator kawy zrobił uspokajający gest.

- Widzi pan, jak to jest, panie Edwards? Myślę, że Frank ma rację, często mu się to zdarza. Zamiast więc wyjaśniać całą sprawę, może lepiej zabierzmy się do roboty.

Royall Edwards uświadomił sobie, że go upomniano.

- Doskonale - odparł sztywno.

- Dziękuję panu, panie Edwards. A teraz chciałbym zapoznać się z pańskim systemem inwentaryzacyjnym: zakupy, karty kontroli magazynowej, obecny stan asortymentowy, ostatnia kontrola dostawy i tak dalej. Rzeczywiście, znakomita kawa. Można prosić o jeszcze?

- Zadzwoń na dół - odparł rewident. Spostrzegł z przygnębieniem, że nadeszła już niemal północ. Najwidoczniej mieli zamiar siedzieć tu jeszcze przez wiele godzin.

Czwartek

1.

Peter McDermott doszedł do wniosku, że jeżeli ma być rano w miarę przytomny, powinien pójść do domu i trochę się przespać.

Było wpół do pierwszej w nocy. Pomyślał, że spacerował chyba parę godzin, może dłużej. Czuł się odprężony i przyjemnie zmęczony.

Długie spacerowanie były jego dawnym przyzwyczajeniem. Wybierał się na nie, gdy musiał coś przemyśleć, lub miał szczególnie trudny do rozwiązania problem.

Wyszedłszy wieczorem od Marshy, wrócił od razu do domu. Trudno mu było jednak usiedzieć w zamknięciu, nie miał ochoty spać, postanowił więc przejść się w stronę rzeki. Wędrował wzdłuż nabrzeży przy Poydras and Julia Street, obok zacumowanych statków. Niektóre z nich były słabo oświetlone i ciche, na innych wrzał ruch i przygotowywano się do odpłynięcia. Potem, promem z Canal Street przepłynął na drugą stronę Mississippi i tam przechadzał się po pustych groblach, przypatrując się światłom miasta odbijającym się w czarnej wodzie rzeki. Przepłynął promem z powrotem i poszedł do Vieux Carré. Teraz siedział na starym Francuskim Rynku i popijał *café au lait*.

Przed kilkoma minutami przypomniał sobie hotelowe sprawy i zadzwonił do St. Gregory'ego. Zapytał, czy są jakieś nowe wiadomości z narady uczestników Kongresu Dentystów Amerykańskich. Owszem, poinformował go kierownik nocnej zmiany, tuż po północy główny kelner z sali, gdzie odbywała się narada, zostawił informację. Wynikało z niej, że po sześciogodzinnych dyskusjach zarząd Kongresu nie podjął żadnych konkretnych postanowień. O 9.30 w Salonie Dauphine odbędzie się nadzwyczajne zebranie delegatów. Spodziewany jest udział około trzystu osób. Spotkanie odbędzie się przy drzwiach zamkniętych, przewidziane zostaną szczególne środki bezpieczeństwa, a hotel poproszono o stworzenie warunków zachowania pełnej dyskrecji.

Peter wydał polecenie, aby realizowano wszelkie prośby i postanowił zapomnieć o wszystkim aż do rana.

Poza tym jednym krótkim momentem, większość jego myśli dotyczyła Marshy i wydarzeń z ubiegłego wieczoru. Pytania krążyły mu po głowie jak rój natrętnych pszczoł. Jak

rozwiązać cały problem uczciwie, a zarazem tak, aby nie zranić Marshy? Oczywiście, jej propozycja była absolutnie nie do przyjęcia. Nie może jednak potraktować dziewczyny brutalnie. Nie zasłużyła na to. Powiedział jej: „Gdyby więcej osób było równie uczciwych jak ty...”

Istniało coś jeszcze - i musiał się do tego przyznać. Uczciwość bowiem powinna obowiązywać obie strony. Marsha niewątpliwie pociągała go jako kobieta. Gdy zamykał oczy, powracał jej widok. Czuł, że kręci mu się w głowie jak po mocnym winie.

Ale miał już okazję pić takie wino i wiedział, jak gorzko może smakować. Dał sobie słowo, że nigdy już nie wplącze się w taką historię. Czy tego rodzaju doświadczenie ma wpływ na podejmowanie decyzji, czy sprawia, że mężczyzna ostrożniej dokonuje wyboru partnerki? Bardzo w to wątpił.

Ale przecież jest mężczyzną, który żyje i czuje. Żadna narzucona samemu sobie samotność nie może, ani nie powinna trwać wiecznie. Pozostawało pytanie, kiedy i w jaki sposób ma ją przerwać?

Co więc robić dalej? Czy powinien spotkać się jeszcze z Marshą? Miał wrażenie, że o ile nie postanowi w zdecydowany sposób zerwać znajomości, będzie to nieuniknione. W takim razie - na jakich warunkach? A poza tym, co z różnicą wieku między nimi?

Marsha ma dziewiętnaście lat. On - trzydzieści dwa. Różnica ogromna, ale czy rzeczywiście ma takie znaczenie? Oczywiście, gdyby oboje mieli o dziesięć lat więcej, romans, albo nawet małżeństwo nie byłyby niczym niezwykłym. Tym bardziej, że wątpił, czy między Marshą a chłopakiem w jej wieku mogła się wytworzyć nic bliższego porozumienia.

Pytań było wiele. Musi się więc poważnie zastanowić, czy ma się znowu spotkać z Marshą i w jaki sposób.

W tych rozważaniach pojawiała się również Christine. W ciągu ostatnich paru dni stali się sobie bardziej bliscy. Przypomniał sobie, że wychodząc wieczorem do Preyscottów o niej właśnie myślał. I nawet teraz z niecierpliwością oczekiwał chwili, gdy wreszcie się z nią zobaczy.

Dziwne, pomyślał. Jeszcze tydzień temu był zupełnie wolny, a dziś na jego osobie zależy dwóm kobietom.

Uśmiechnął się pod nosem, zapłacił za kawę i ruszył do domu.

St. Gregory był mniej więcej po drodze i nic dziwnego, że Peter znalazł się wkrótce obok hotelu. Było już kilka minut po pierwszej.

Spostrzegł, że w holu wciąż panuje ruch. St Charles Avenue była pusta, w zasięgu wzroku znajdowała się jedynie przejeżdżająca wolno w poszukiwaniu pasażera taksówka i

jeden albo dwóch pieszych. Przeciął jezdnię, aby skrócić sobie drogę obchodząc hotel od tyłu. Tu było jeszcze bardziej spokojnie. Mijał właśnie wjazd do garażu hotelowego, kiedy usłyszał odgłos silnika samochodowego i zobaczył światła reflektorów posuwające się wzdłuż wewnętrznej rampy. Zatrzymał się i chwilę później pojawił się nisko zawieszony, czarny samochód. Jechał szybko i zahamował ostro, z piskiem opon, zatrzymując się na jezdni w plamie światła padającego z latarni. Peter spostrzegł, że jest to jaguar. Zauważył również, że wóz wygląda, jakby miał wgnieciony błotnik. Coś nie w porządku było także z jego reflektorami. Miał nadzieję, że uszkodzenia te nie zostały spowodowane przez obsługę hotelową. W przeciwnym razie wkrótce o tym usłyszy.

Odruchowo spojrzął, kto siedzi za kierownicą i ze zdziwieniem zorientował się, że jest to Ogilvie. Główny detektyw również dostrzegł Petera i również był tym wyraźnie zaskoczony. Wreszcie samochód ruszył gwałtownie i pojechał dalej.

Peter zastanawiał się, dlaczego i gdzie wybiera się Ogilvie i dlaczego używa w tym celu jaguara, a nie swojego poobijanego chevroleta? Doszedł jednak do wniosku, że właściwie nie powinno go obchodzić, co pracownicy hotelowi robią w wolnym czasie. Ruszył w stronę swojego mieszkania.

Zasnął jak kamień.

2.

W przeciwieństwie do Petera McDermotta, „Kluczyk” Milne nie spał dobrze. Wprawdzie udało mu się bardzo szybko sporządzić dokładny rysunek klucza do Apartamentu Prezydenckiego, ale próba sporządzenia duplikatu nie została uwieńczona podobnym sukcesem. Kontakty, jakie „Kluczyk” nawiązał po przyjeździe do Nowego Orleanu, okazały się mniej przydatne niż się spodziewał. W końcu, polecony mu jako godny zaufania ślusarz na paskudnej uliczce koło Irish Channel, zgodził się wykonać pracę. Mruczał co prawda pod nosem, że musi posługiwać się rysunkiem i opisem, a nie może skopiować oryginalnego klucza. Oznajmił też, że klucz będzie gotowy dopiero na czwartek w południe, a suma jakiej zażądał za usługę była oszałamiająca.

„Kluczyk” zaakceptował jedno i drugie. Zdawał sobie sprawę, że nie ma alternatywy. Oczekiwanie było szczególnie uciążliwe, obawiał się bowiem, że każda godzina zwłoki zwiększa możliwość aresztowania.

Zanim położył się spać zastanawiał się, czy podjąć wczesnym rankiem kolejną wyprawę. Miał w swojej kolekcji jeszcze dwa nie wykorzystane klucze: 449 - drugi, który

zdobył w porcie lotniczym we wtorek rano i 803 - o który poprosił i otrzymał w recepcji zamiast swojego własnego. Zrezygnował jednak ze swoich zamiarów. Uznał, że rozsądniej będzie odczekać i skoncentrować się na planach dotyczących księżnej Croydonu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że największy wpływ na tę decyzję miał mimo wszystko strach.

W nocy, gdy sen nie nadchodził, lęk nasilał się coraz bardziej. Postanowił jednak, że następnego dnia maksymalnie się opanuje i odnajdzie w sobie dawną odwagę.

Wreszcie zapadł w niespokojną drzemkę. Przyśniły mu się żelazne drzwi, które pomалу zamykają się za nim, odgradzając go od światła i słońca. Próbował uciec, dopóki w drzwiach pozostała jeszcze szczelina, ale nie był w stanie się ruszyć. Gdy zatrzasnęły się, zapłakał wiedząc, że nigdy się już nie otworzą.

Obudził się w ciemności, dygocąc. Twarz miał mokrą od łez.

3.

Jakieś siedemdziesiąt mil na północ od Nowego Orleanu Ogilvie wciąż myślał o swoim nieoczekiwanym spotkaniu z Peterem McDermottem. Wstrząs, jakiego wtedy doznał, nie minął i Ogilvie jeszcze w ciągu następnej godziny prowadził w tak ogromnym napięciu, że chwilami nie zdawał sobie sprawy, iż jaguar w ogóle się posuwa - najpierw przez miasto, potem po autostradzie Pontchartrain i wreszcie po Autostradzie Międzystanowej 59.

Bez przerwy spoglądał we wsteczne lusterko. Obserwował każdą parę reflektorów pojawiającą się za nim. Ciągle spodziewał się, że wyprzedzą go szybko przy akompaniamencie wycia syreny. Niemal oczekiwał, że za każdym następnym zakrętem zobaczy przed maską samochodu policyjną blokadę.

W pewnym momencie skłonny był nawet przypuszczać, że Peter McDermott pojawił się przed garażem z zamiarem przyłapania go w chwili odjazdu. Nie mógł jednak zrozumieć, w jaki sposób mógł dowiedzieć się, jaki ma plan. Jakoś jednak zdołał się dowiedzieć i detektyw hotelowy jak nowicjusz wpadł w zastawioną pułapkę.

Dopiero potem, podążając dalej w mroku przez pustą okolicę, zaczął myśleć spokojniej i zadał sobie pytanie, czy jednak nie był to mimo wszystko po prostu zbieg okoliczności?

Przecież gdyby McDermott znalazł się przed garażem w tym właśnie konkretnym celu, rozpoczęto by już pościg za jaguarem albo zorganizowano blokadę na drodze. Tymczasem najwyraźniej nic się nie działo. Podniosło go to zdecydowanie na duchu. Zaczął z rozkoszą myśleć o dwudziestu pięciu tysiącach dolarów, które po zakończeniu podróży staną

się jego własnością.

Ponieważ do tej pory wszystko układało się tak dobrze, zastanawiał się, czy nie byłoby rozsądniej jechać dalej? Za godzinę będzie już jasno. Według pierwotnego planu powinien zjechać wtedy z drogi i przecześć do zmierzchu. Ale strata całego dnia może być niebezpieczna. Przejechał dopiero połowę stanu Mississippi i wciąż był stosunkowo blisko Nowego Orleanu. Jeżeli postanowi kontynuować podróż, musi liczyć się z ryzykiem, że ktoś go zauważy. Zastanawiał się jednak nad stopniem tego ryzyka. Przeciwno pomysłowi kontynuowania jazdy przemawiało również zmęczenie spowodowane minionym dniem. Czuł się bowiem wykończony i coraz bardziej chciało mu się spać.

I nagle zdarzyło się to, czego tak się obawiał przez kilka minionych godzin. Jak za dotknięciem magicznej różdżki, z tyłu pojawiło się migoczące czerwone światło i rozległo się wycie syreny.

Zdażył się już rozluźnić i teraz szok był dwukrotnie silniejszy.

Odruchowo przycisnął pedał gazu aż do końca i jaguar ruszył do przodu jak strzała wypuszczona z łuku. Wskazówka prędkościomierza odchyliła się gwałtownie... 70, 80, 85. Przy dziewięćdziesięciu, Ogilvie zwolnił, wchodząc w zakręt. Czerwone, migające światło zbliżyło się jeszcze bardziej, a syrena, która umilkła na chwilę, znowu zaczęła wyć.

Potem czerwony migacz przesunął się w bok, gdy jadący z tyłu samochód zaczął go wyprzedzać.

Ogilvie wiedział, że ucieczka nie ma sensu. Nawet jeżeli zdołałby oderwać się od swego prześladowcy, nie uniknie blokady, która zostanie zorganizowana po ogłoszeniu alarmu. Z rezygnacją zdjął stopę z pedału gazu.

Przez ułamek sekundy widział przemykającą obok niego maszynę. Była długa, o jasnej karoserii, a w słabo oświetlonym wnętrzu jedna postać pochylała się nad drugą. A potem karetka pogotowia pomknęła dalej i w miarę jak odległość się zwiększała, czerwony migacz błyskał coraz słabiej.

Incydent wstrząsnął Ogilviem i dobitnie uświadomił mu, jak bardzo jest zmęczony. Postanowił, że bez względu na związane z tym ryzyko, musi zjechać z autostrady i odpocząć przez cały dzień. Właśnie minął Macon, małe miasteczko, które miało być metą jego pierwszego, nocnego etapu. Na niebie zaczęła pojawiać się pierwsza szarość brzasku. Zatrzymał się, żeby spojrzeć na mapę i w parę minut później zjechał z autostrady na jedną z bocznych dróg.

Wkrótce jej nawierzchnia zmieniła się w wyboisty, zarośnięty trawą szlak. Robiło się coraz jaśniej. Ogilvie zatrzymał samochód, wysiadł i rozejrzał się po okolicy.

Wokoło widać było pojedyncze drzewa. Miejsce robiło wrażenie całkowicie bezludnego, nigdzie też nie spostrzegł śladu zabudowań. Najbliższa główna droga znajdowała się w odległości ponad mili. Nie opodal rosła kępa drzew. Ogilvie poszedł w jej kierunku i przekonał się, że gruntowa droga, którą jechał, tutaj właśnie się kończy.

Grubas mruknął z aprobatą. Wrócił do jaguara i ostrożnie wjechał między drzewa. Kilkakrotnie sprawdził, czy liście dobrze skrywają samochód i można go dostrzec jedynie z bliska. Wreszcie wsiadł do jaguara, ułożył się na tylnym siedzeniu i zasnął.

4.

Obudziwszy się tuż przed ósmą Warren Trent stwierdził ze zdumieniem, że jest w doskonałym nastroju. Natychmiast przypomniał sobie - dzisiaj rano zrealizuje umowę, którą uzgodnił wczoraj z Bractwem Pracowników Najemnych. Pomimo nacisków, ponurych prognoz i stawianych mu przeszkód, w ostatniej chwili ocalił St. Gregory'ego przed pochłonięciem go przez sieć O'Keefego. Był to jego osobisty triumf. Odsunął od siebie myśl, że dziwaczny sojusz, jaki zawarł ze związkiem zawodowym, może spowodować jeszcze większe problemy. Jeżeli tak się stanie, będzie się martwił we właściwym czasie. Najważniejsze było usunięcie bezpośredniego zagrożenia.

Wstał z łóżka i spojrzał na miasto z okna swojego apartamentu na piętnastym piętrze. Zapowiadał się kolejny piękny dzień. Stojące już wysoko słońce świeciło z prawie bezchmurnego nieba.

Gdy brał prysznic i był golony przez Aloysiusa Royce'a, nucił cicho pod nosem. Pogoda ducha pracodawcy zdumiała młodego Murzyna. Uniósł ze zdziwieniem brwi. Dla Warrena Trenta było jeszcze jednak zbyt wcześnie na codzienną konwersację i pryncypał nie udzielił mu żadnych wyjaśnień.

Trent ubrał się, przeszedł do saloniku i natychmiast zadzwonił do Royalla Edwardsa. Rewident, którego telefonistka odnalazła w domu, zdołał przekonać swojego szefa, że pracował całą noc i dzwonek telefonu oderwał go od zasłużonego śniadania. Trent zignorował delikatne tony skargi brzmiące w jego głosie. Zapytał, jakie wrażenie z nocnej kontroli odnieśli przysłani księgowi. Według rewidenta goście, którzy wiedzieli o obecnym kryzysie finansowym hotelu, nie znaleźli nic szczególnego i wydawali się być usatysfakcjonowani wszystkimi wyjaśnieniami Edwardsa.

Trent uspokoił się i wreszcie pozwolił rewidentowi zjeść śniadanie. Może właśnie w tej chwili, pomyślał, raport potwierdzający jego własną ocenę sytuacji, jest przekazywany

telefonicznie na północ, do Waszyngtonu. Przypuszczał, że wkrótce otrzyma odpowiedź.

Niemal w tej samej chwili zadzwonił telefon.

Royce miał właśnie podawać śniadanie. Właściciel hotelu dał mu znak, żeby poczekał.

Telefonistka zapowiedziała rozmowę międzymiastową. Gdy się przedstawił, następną telefonistka poprosiła go, żeby poczekał. Wreszcie w słuchawce zabrzmiał ostry głos przewodniczącego Bractwa.

- Trent?

- Tak. Dzień dobry!

- Ostrzegałem pana, do cholery, żeby nie ukrywał pan żadnych informacji. Ale był pan na tyle głupi, że spróbował. A teraz coś panu powiem: ludzie, którzy mnie nabierają, gorzko tego później żałują. Masz pan szczęście, że tym razem dostałem cynk, zanim zawarto umowę. Ale ostrzegam - nie próbuj pan tego nigdy więcej!

Zaskoczonym ostrym, zimnym tonem Warrenowi Trentowi odebrało mowę. Kiedy wreszcie zdołał się odezwać, zaprotestował:

- Na litość boską! Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi.

- Nie ma pan pojęcia o zamieszkach rasowych w pańskim cholernym hotelu? A tymczasem ta historia znalazła się we wszystkich nowojorskich i waszyngtońskich gazetach!

Dopiero po kilku sekundach Trent skojarzył jego pełne wściekłości słowa z wczorajszym raportem Petera McDermotta.

- Owszem, mieliśmy wczoraj drobny incydent. Na pewno nie można tego nazwać zamieszkami na tle rasowym. Kiedy rozmawialiśmy, nie wiedziałem jeszcze, że coś takiego się zdarzyło. Ale nawet gdybym wiedział, nie przyszłoby mi do głowy, że cała sprawa w ogóle zasługuje na uwagę. A jeżeli chodzi o nowojorskie dzienniki, to jeszcze ich nie widziałem.

- Ale zobaczą je moi członkowie. Jeżeli nie te, to inne w całym kraju. Na pewno prasa roztrąbi tę historię w ciągu najbliższej doby. A co więcej, jeżeli wpakuję forszę w hotel nie wpuszczający czarnuchów, byle kongresmen za pięć groszy, któremu zależy na głosach kolorowych, podniesie wrzask pod niebiosami.

- Ale przecież nie miał pan zastrzeżeń do tych zasad. Nie obchodziło pana, co robimy.

- Obchodzą mnie moje interesy! W jaki sposób inwestuję związkowe fundusze.

- Nasza transakcja może zostać utrzymana w tajemnicy.

- Jeżeli pan w coś takiego wierzy, jest pan większym głupcem niż myślałem.

Istotnie, przyznał ponuro Warren Trent. Prędzej czy później nastąpi przeciek i wszyscy dowiedzą się o sojuszu. Spróbował inaczej.

- Wczorajszy incydent nie jest niczym niezwykłym. Podobne sytuacje zdarzały się w hotelach na Południu już wcześniej. Za dzień lub dwa ludzie zaczną się interesować czymś innym.

- Być może. Ale jeżeli hotel jutro uzyska wsparcie finansowe Bractwa, znowu zwróca uwagę na tę sprawę. A na tym zupełnie mi nie zależy.

- Chciałbym uzyskać konkretną odpowiedź. Czy mam rozumieć, że bez względu na wyniki kontroli przeprowadzonej przez pańskich księgowych, poprzednie uzgodnienia są już nieaktualne?

- Problem nie polega na pańskich księgach - odparł głos z Waszyngtonu. - Raport moich ludzi jest pozytywny. Muszę wszystko odwołać z innych powodów.

A więc, pomyślał z goryczą Trent, radość zwycięstwa została mi odebrana. Świadom tego, że następne słowa nie będą już miały wpływu na bieg wydarzeń, oznajmił ironicznie:

- Nie zawsze był pan tak skrupulatny w sprawie użycia funduszy związkowych.

W słuchawce zapadła cisza. Wreszcie przewodniczący Bractwa powiedział sucho:

- Kiedyś pan tego pożałuje.

Warren Trent odłożył wolno słuchawkę. Na pobliskim stoliku Aloysius Royce rozłożył przesłane pocztą lotniczą nowojorskie gazety. Murzyn wskazał „Herald Tribune”.

- Najwięcej jest tutaj. Nie zauważyłem niczego w „Timesie”.

- W Waszyngtonie są późniejsze wydania.

Trent przebiegł wzrokiem nagłówek w „Herald Tribune” i zerknął na zamieszczone pod nim zdjęcie. Zarejestrowano na nim wczorajszą scenę w holu St. Gregory’ego. Doktor Nicholas i doktor Ingram byli tam centralnymi postaciami. Postanowił przeczytać prasę później. Na razie nie miał na to najmniejszej ochoty.

- Czy życzy pan sobie, abym podał teraz śniadanie?

Trent pokręcił głową.

- Nie jestem głodny. - Uniósł wzrok i napotkał spojrzenie młodego Murzyna. - Pewnie uważasz, że mam na co zasłużyłem, prawda?

Royce zastanowił się i po chwili rzekł:

- Chyba coś w tym rodzaju. Przede wszystkim powiedziałbym, że nie bierze pan pod uwagę, w jakich czasach żyjemy.

- Być może. Nie musisz się zresztą już tym martwić. Wątpię, czy od jutra moja opinia będzie brana pod uwagę.

- Bardzo mi przykro.

- Tak więc, hotel zostanie przejęty przez O’Keefego. - Stary mężczyzna podszedł do

okna i popatrzył w dół. Stał w milczeniu przez chwilę, a potem rzucił ostro: - Mam wrażenie, że słyszałeś, jakie oferowano mi warunki. Między innymi zaproponowano mi, że mogę dalej zajmować ten apartament.

- Tak.

- Pewnie tak się stanie, więc gdy w przyszłym miesiącu zrobisz dyplom, będę mógł cię zatrzymać przy sobie. Chociaż na dobrą sprawę powinienem cię wylać.

Aloysius Royce zawahał się. W normalnych okolicznościach natychmiast rzuciłby ostrą, kąśliwą replikę. Zdawał sobie jednak sprawę, że ten stary, przegrany człowiek właśnie prosi go, żeby został.

Konieczność podjęcia tej decyzji była kłopotliwa dla Royce'a. Przez prawie dwanaście lat Trent traktował go pod wieloma względami jak syna. Jeżeli zostanie, jego obowiązki sprowadzą się właściwie jedynie do roli zaufanego towarzysza, spędzającego z Trentem chwile wolne od praktyki prawniczej. Takie życie byłoby zupełnie przyjemne. Ale istniały również inne istotne problemy, które miały wpływ na podjęcie decyzji.

- Jakoś się nad tym nie zastanawiałem - skłamał. - Muszę mieć czas to przemyśleć.

Wszystkie sprawy, wielkie i małe, ulegają zmianie, pomyślał Trent, a większość tych przemian następuje gwałtownie. W głębi duszy nie wątpił, że Royce opuści go natychmiast, gdy władza nad St. Gregorym przejdzie w inne ręce. Poczul się samotny i odsunięty na margines wydarzeń. Doszedł do wniosku, że być może jest to typowe dla ludzi, którzy żyją zbyt długo.

- Możesz odejść, Aloysiusie - powiedział Royce'owi. - Chciałbym na jakiś czas zostać sam.

Postanowił za kilka minut zadzwonić do O'Keefego i zgodzić się na warunki kapitulacji.

5.

Po przeczytaniu porannych gazet redaktorzy tygodnika „Time” natychmiast wyczuli dobry temat i z zapalem rzucili się na „konflikt rasowy” w St. Gregorym. Zaalarmowano miejscowego współpracownika - stażystę w nowoorleańskim „States-Item” i polecono mu zebrać wszystkie materiały dotyczące miejscowych stosunków. Również kierownik oddziału „Time'a” w Houston został telefonicznie poinformowany w nocy o całej sprawie. Poleciał więc najwcześniejszym rejssem do Nowego Orleanu.

Teraz obaj mężczyźni siedzieli zamknięci razem z Herbiem Chandlerem w ciasnym

pomieszczeniu na parterze, które trochę na wyrost nazywano pokojem prasowym. Było skromnie umeblowane. Znajdowało się w nim jedynie biurko, telefon i wieszak na kapelusze. Dziennikarz z Houston, z racji swojego stanowiska zajmował jedyne krzesło.

Chandler, doskonale wiedząc o hojności „Time’a”, z szacunkiem przekazywał rezultaty zwiadu, z którego właśnie powrócił.

- Sprawdziłem, jak przedstawia się sprawa zebrania dentystów. Chcą zapewnić sobie absolutną tajność obrad. Powiedzieli kierownikowi sali, że prawo wstępu mają jedynie członkowie kongresu. Nie wpuszczają nawet żon i sprawdzają przy wejściu nazwiska. Przed rozpoczęciem narady wszyscy pracownicy hotelu muszą wyjść i dopiero wtedy zamkną drzwi sali.

Kierownik oddziału - ostrzyżony na jeża młody człowiek o nazwisku Quaratone, skinął głową. Przeprowadził już rozmowę z prezesem dentystów, doktorem Ingramem. Informacja Chandlera potwierdzała to, co od niego usłyszał.

„Oczywiście, że mamy nadzwyczajne zebranie - oświadczył doktor Ingram. - Zostało zwołane przez nasz zarząd ubiegłej nocy, ale ma się odbyć za zamkniętymi drzwiami. Gdyby to ode mnie zależało, synu, powitałbym ciebie i wszystkich innych z otwartymi rękami. Ale niektórzy moi koledzy widzą sprawę inaczej. Uważają, że ludzie będą się swobodniej wypowiadać, jeżeli na sali nie będzie prasy. A więc sądzę, że musicie się z tym pogodzić.”

Quaratone, który nie miał zamiaru z niczym się godzić, podziękował Ingramowi uprzejmie. Ponieważ zapewnił już sobie pomoc Herbiego, najpierw wpadł na pomysł, żeby zastosować stary podstęp i wejść na salę obrad w pożyczonej liberii boya hotelowego. Ostatni komunikat Chandlera spowodował jednak konieczność zmiany planu.

- Czy pomieszczenie, w którym ma się odbyć zebranie - zapytał Quaratone - to duża sala?

Chandler potwierdził.

- Tak. Salon Dauphine, proszę pana, ma trzysta miejsc. I tylu osób się spodziewają.

Dziennikarz z „Time’a” zaczął się zastanawiać. Wszystko, o czym będą mówili na spotkaniu, w którym bierze udział trzysta osób, przestanie być tajemnicą natychmiast po zakończeniu obrad. Później bez trudu zdoła się wmieszać między wychodzących delegatów i udając jednego z nich, dowiedzieć się, o czym była mowa. Ten sposób jednak odbierze sprawozdaniu prawie cały dramatyzm i „osobiste, ludzkie tło”, tak lubiane przez „Time’a” i jego czytelników.

- Czy ten cały salon ma jakiś balkon?

- Owszem, maleńki, ale już o nim pomyśleli. Sprawdziłem. Będzie tam kilku ludzi ze

zjazdu. Poza tym, odłączono również mikrofony...

- Do diabła! - zaklął miejscowy dziennikarz. - Czego się ci faceci boją? Sabotażystów?

- Niektórzy z nich chcą powiedzieć swoje, ale poza protokołem - wyjaśnił Quaratone.
- Ludzie o silnych motywacjach zawodowych zazwyczaj starają się nie zajmować zdecydowanego stanowiska, w każdym razie w sprawach rasowych. A tutaj już wpakowali się w tarapaty, muszą bowiem wybierać pomiędzy drastycznymi działaniami, takimi jak opuszczenie hotelu, a wykonaniem jakiegoś symbolicznego gestu dla zachowania pozorów. Pod tym względem sądzę, że jest to wyjątkowa sytuacja. - Może się również okazać, pomyślał, że cała historia jest ciekawsza, niż początkowo przypuszczał. Bardziej niż kiedykolwiek był zdecydowany znaleźć sposób na to, aby uczestniczyć w zebraniu.

- Potrzebuję planów piętra, na którym odbywają się konferencje i planów następnej kondygnacji - zwrócił się nagle do Chandlera. - Nie planów samych pokoi, ale techniczny - taki, na którym zaznaczone są ściany, przewody, konstrukcja sufitów, i temu podobne. Rozumie pan? Jak najszybciej, bo jeżeli chcemy cokolwiek zrobić, mamy na to niecałą godzinę.

- Doprawdy nie wiem, gdzie mógłbym znaleźć coś takiego. W każdym razie... - Chandler przerwał widząc, jak Quaratone zaczyna odliczać dwudziestodolarowe banknoty.

Dziennikarz z „Time’a” podał Herbiemu pięć dwudziestek.

- Pogadaj pan z kimś z obsługi, z działu technicznego, obojętne. Skorzystaj pan z tej forszy. O pana zadbam później. Spotkamy się tu za pół godziny, albo wcześniej, jeżeli to możliwe.

- Tak jest! - Szczurza twarz Chandlera skrzywiła się w przypochlebnym uśmiechu.

- A pan niech załatwi ujęcie miejscowe, dobrze? - polecił Quaratone reporterowi z Nowego Orleanu. - Oświadczenia z ratusza, znanych obywateli. Dobrze by było, gdyby porozmawiał pan z NAACP. Sam pan wie, o co chodzi.

- Mogę coś takiego napisać przez sen.

- Tylko nie to. I niech pan zwraca uwagę na osobiste ujęcie tematu. Może byłoby nieźle, gdyby dopadł pan burmistrza w umywalni. Niech da panu oświadczenie, myjąc ręce. Symbol. Będzie się dobrze czytać.

- Spróbuję ukryć się w toalecie. - Reporter wyszedł zadowolony. Doskonale zdawał sobie sprawę, że i on również zostanie hojnie wynagrodzony za swoją pracę.

Quaratone usadowił się w kawiarni St. Gregory’ego. Zamówił mrożoną herbatę i popijał ją z roztargnieniem, myśląc jednocześnie o coraz wyraźniej rysującym się artykule.

Nie będzie duży, ale jeżeli uda mu się znaleźć jakiś nowy, interesujący punkt widzenia, może zajmie półtorej kolumny w następnym numerze. Sprawiłoby mu to dużą przyjemność, bo w ostatnich tygodniach ponad tuzin jego starannie opracowanych materiałów zostało albo odrzuconych przez Nowy Jork, albo spadło w czasie planowania numeru. Nie było w tym nic nadzwyczajnego i współpracownicy „Time-Life” musieli umieć pogodzić się z takim irytującym pisaniem w próżnię. Ale Quaratone lubił, kiedy go drukowano i zauważano jego artykuły.

Wrócił do maleńkiego pokoju prasowego. Po kilku minutach pojawił się Herbie Chandler, prowadząc młodego człowieka w kombinezonie. Kierownik boyów przedstawił go:

- Ches Ellis z technicznej obsługi hotelowej. - Przybysz z szacunkiem uściśnął dłoń Quaratone’a, a potem dotknął planów, które trzymał pod pachą.

- Muszę odnieść je jak najszybciej - powiedział z niepokojem.

- Nie zajmę panu dużo czasu. - Quaratone pomógł Ellisowi rozwinąć plany i przycisnął ich rogi. - Gdzie jest ten Salon Dauphine?

- Dokładnie tutaj.

- Powiedziałem mu o zebraniu, proszę pana - wtrącił się Chandler. - Że chce pan usłyszeć, o czym tam mówią, nie będąc w środku.

- Jak wyglądają ściany i sufit? - zapytał Ellisa dziennikarz z „Time’a”.

- Ściany są pełne. Między sufitem a podłogą następnego piętra jest przerwa, ale jeżeli uważa pan, że można się przedostać tamtędy, to nic z tego. Tynk się zarwie pod panem.

- Odpada - stwierdził Quaratone, który właśnie rozważał tę możliwość. Dotknął palcem planu. - A co oznaczają te linie?

- Przewody odprowadzające gorące powietrze z kuchni. Wszędzie w ich pobliżu upiekłby się pan żywcem.

- A to?

Ellis pochylił się i popatrzył uważnie na plan. Spojrzał na drugi arkusz.

- Kanały wentylacyjne. Przechodzą przez sufit Salonu Dauphine.

- Czy są w nich otwory prowadzące do sali?

- Trzy. Pośrodku i na każdym końcu. Są tu zaznaczone.

- Jak szeroki jest ten kanał?

Technik zamyślił się.

- Ma chyba około trzy stopy kwadratowe.

- Chciałbym, żeby wpuścił mnie pan do tego kanału - oznajmił stanowczo Quaratone.

- Chciałbym do niego wejść i przeczłogać się do miejsca, w którym mógłbym widzieć i

słyszeć wszystko, co dzieje się na dole.

Realizacja planu zajęła im zaskakująco mało czasu. Ellis, który początkowo miał opory, został w końcu namówiony przez Chandlera, aby dostarczył drugi kombinezon i torbę z narzędziami. Dziennikarz szybko się przebrał i zarzucił na ramię torbę. Potem zdenerwowany Ellis, bez żadnych kłopotów, przeprowadził go do pomieszczenia przylegającego do kuchni na piętrze, obsługującej sale konferencyjne. Herbie dyskretnie zniknął. Quaratone nie miał pojęcia, jaka część wręczonej Chandlerowi setki dolarów trafiła do rąk Ellisa. Przypuszczał, że wystarczająca.

Nikt nie zwrócił uwagi na przechodzących przez kuchnię dwóch pracowników technicznych. W sąsiadującym pomieszczeniu Ellis wcześniej wyjął metalową kratkę, zamontowaną wysoko na ścianie i przystawił wysoką drabinkę. Quaratone wszedł po niej bez słowa i wcisnął się do środka. Przekonał się, że ma wystarczająco dużo miejsca, aby czołgać się, pomagając sobie łokciami. Ciemność, nie licząc przypadkowych refleksów padających z kuchni, była absolutna. Czuł na twarzy powiew chłodnego powietrza, którego napór na jego ciało blokujące wąski kanał zwiększał się, w miarę jak czołgał się do przodu.

- Niech pan przepuści trzy otwory - szepnął w ślad za nim Ellis.

- Czwarty, piąty i szósty będą prowadziły do Salonu Dauphine. Niech pan się stara nie hałasować, bo pana usłyszą. Wrócę za pół godziny, jeżeli nie będzie pan jeszcze gotów, wrócę po następnych trzydziestu minutach.

Quaratone próbował odwrócić głowę i nie udało mu się to. Zorientował się, że o ile wejść było łatwo, trudniej będzie wyjść.

- Zawołał cicho - Dobra! - i ruszył dalej.

Metalowa powierzchnia pod jego łokciami i kolanami była twarda, a jej ostre występy sprawiały mu ból. Quaratone skrzywił się, gdy stercząca część śruby rozerwała kombinezon i wbiła mu się boleśnie w nogę. Sięgnął do tyłu, odczepił ubranie i ruszył ostrożnie dalej.

Otwory wentylacyjne łatwo było zauważyć, ponieważ padało przez nie światło. Przeszedł przez trzy, mając nadzieję, że kratki są dobrze umocowane. Kiedy zbliżał się do czwartego, usłyszał głosy. Zebranie najwyraźniej już się zaczęło. Quaratone był zachwycony, bo głosy dobiegały go wyraźnie, a kiedy się pochylił, mógł dostrzec fragment położonej niżej sali. Doszedł do wniosku, że przez następny otwór będzie miał lepszy widok. Rzeczywiście. Teraz w polu widzenia miał ponad połowę wypełnionego ludźmi pomieszczenia, a nawet podium, z którego przemawiał właśnie przewodniczący konferencji, doktor Ingram. Dziennikarz sięgnął do kieszeni, wyciągnął notes i długopis z umocowaną na końcu małą latarką.

- ...nalegam - kontynuował swoją wypowiedź doktor Ingram - abyśmy podjęli jak najbardziej stanowcze kroki. - Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej: - Ludzie, którzy poświęcają się zawodowi tak jak my, z natury rzeczy są umiarkowani w swoich poglądach, ale uważam, że zbyt długo patrzyliśmy przez palce na sprawę praw człowieka. W naszym środowisku nie stosujemy dyskryminacji, w każdym razie nie z reguły, a w przeszłości uważaliśmy, że na tym można poprzestać. Do tej pory ignorowaliśmy wydarzenia i naciski spoza naszego środowiska. Wychodziliśmy z założenia, że jesteśmy przede wszystkim profesjonalistami, lekarzami, którzy muszą zajmować się głównie sprawami zawodowymi. No cóż, może to i prawda, choć wygodna prawda. Ale teraz, czy się nam to podoba, czy nie, siedzimy w tym po górne zęby mądrości.

Dentysta przerwał, wpatrując się w twarze słuchaczy.

- Słyszeliście już panowie o niewybaczalnej obrazie, jaka spotkała w tym hotelu naszego szanownego kolegę, doktora Nicholasa. Obrazie, która jest zarazem bezpośrednim naruszeniem praw obywatelskich. W odpowiedzi, jako wasz przewodniczący, zalecam podjęcie drastycznych kroków. Uważam, że powinniśmy odwołać naszą rezerwację i solidarnie opuścić ten hotel.

W kilku miejscach rozległy się okrzyki zdziwienia. Doktor Ingram mówił dalej:

- Większość z panów zna już moją propozycję. Inni, którzy przybyli dzisiaj rano, jeszcze nie. Muszę stwierdzić, że proponowane przeze mnie pociągnięcie związane jest z kłopotami i rozczarowaniem - nie mniejszymi dla mnie niż dla panów. Będzie to również duża strata zawodowa i towarzyska. Ale są sytuacje, związane ze sprawami sumienia, które wymagają najbardziej stanowczych działań. Uważam, że mamy właśnie do czynienia z takim przypadkiem. Jest to również jedyny sposób zademonstrowania naszych uczuć, dzięki czemu niewątpliwie udowodnimy, że w sprawie praw człowieka nasz zawód nie pozostaje w tyle i nie wolno jego stanowiska lekceważyć.

Z sali padło kilka okrzyków: „Brawo!”, ale jednocześnie rozległ się pomruk niezadowolenia.

W audytorium wstał krępy mężczyzna. Quaratone ze swojego punktu obserwacyjnego zauważył, że ma on lekko obwisłe policzki, wydatne wargi i okulary w grubej oprawce.

- Jestem z Kansas City - oznajmił. Rozległy się wesołe okrzyki, które uciszył gestem pulchnej ręki. - Mam tylko jedno pytanie do doktora Ingrama. Czy zechce łaskawie osobiście wytłumaczyć mojej pani, która jak wiele innych żon cieszyła się z tej podróży, dlaczego mamy zaraz po przybyciu wziąć graty pod pachę i zmykać do domu?

- Nie o to chodzi! - rozległ się czyjś oburzony głos. Zagłuszyły go ironiczne okrzyki i

śmiej pozostałych zebranych.

- Tak jest, panowie - powtórzył krępy mężczyzna. - Bardzo bym chciał, żeby pan doktor sam wyjaśnił wszystko mojej żonie. - Usiadł z zadowoloną miną.

Doktor Ingram zerwał się, czerwony z oburzenia.

- Panowie, sprawa jest bardzo poważna. Opóźniliśmy już nasze działania o dwadzieścia cztery godziny, co według mnie i tak jest o dwanaście godzin za dużo.

Rozległy się oklaski, krótkie jednak i rozproszone. Kilka osób zaczęło mówić jednocześnie. Siedzący obok doktora Ingrama przewodniczący zebrania zaczął stukać młotkiem w stół prezydialny.

Wystąpiło kilku mówców, którzy potępiali usunięcie z hotelu doktora Nicholasa, ale nie ustosunkowali się do propozycji doktora Ingrama. A potem, jakby na dany znak, całą uwagę skupiła szczupła, elegancka postać, która podniosła się z przednich rzędów. Quaratone nie dosłyszał nazwiska wymienionego przez przewodniczącego, ale dotarła do niego końcowa część zdania:

- ...drugi wiceprzewodniczący i członek naszego zarządu.

Nowy mówca zaczął suchym, ostrym głosem:

- Właśnie na skutek moich nalegań, popartych przez kilku członków naszego zarządu, nasze zebranie odbywa się przy drzwiach zamkniętych. Możemy więc wypowiadać się swobodnie wiedząc, że cokolwiek tu powiemy, nie zostanie zaprotokołowane i, być może, zniekształcone. Przeciwno temu warunkowi, muszę stwierdzić, bardzo stanowczo oponował nasz szanowny przewodniczący, doktor Ingram.

Doktor Ingram warknął z podium:

- A czego się pan obawia? Kłopotów?

Elegancki mężczyzna zignorował pytanie i ciągnął dalej:

- Nikt nie żywi większej ode mnie osobistej niechęci do dyskryminacji. Niektórzy z moich najlepszych... - zawahał się - współpracowników są przedstawicielami innych ras czy wyznań. W równym stopniu jak doktor Ingram wyrażam ubolewanie z powodu wczorajszego incydentu. W tej chwili nie zgadzamy się jedynie w sprawach proceduralnych. Doktor Ingram, jeżeli mogę posłużyć się jego rodzajem metafory, woli posłużyć się metodą ekstrakcji. Osobiście jestem zwolennikiem mniej radykalnego postępowania w celu zlokalizowania infekcji.

Rozległy się śmiechy.

- Nie mogę uwierzyć, że nasz w pożałowania godny sposób nieobecny kolega, cokolwiek zyska na odwołaniu naszej konferencji. Z całą pewnością, jako grupa zawodowa,

wszyscy stracimy. Poza tym, ponieważ nasze zebranie ma charakter prywatny, mogę wypowiedzieć się szczerze - nie uważam, aby nadanie szerokiego rozgłosu problemowi stosunków rasowych leżało w naszym interesie.

Pojedynczy głos z tyłu sali zaprotestował:

- Oczywiście, że jest! To sprawa chyba nas wszystkich? - Ale pozostała część sali zachowała milczenie.

Mówca pokręcił głową.

- Bez względu na to, czy podejmiemy jakieś kroki czy nie, powinniśmy to zrobić w trybie indywidualnym. Oczywiście, musimy wspierać w razie potrzeby naszych ludzi i mam nawet propozycję określonych działań w sprawie doktora Nicholasa. Jednocześnie zgadzam się również z doktorem Ingramem, że jesteśmy ludźmi o określonych zobowiązaniach zawodowych i mamy niewiele czasu na cokolwiek innego.

Doktor Ingram zerwał się z miejsca.

- Nie powiedziałem tego! Zwróciłem jedynie uwagę, że był to pogląd, który reprezentowano w przeszłości. Osobiście stanowczo się z nim nie zgadzam.

Elegancki mężczyzna wzruszył ramionami.

- Mimo wszystko, jednak słowa te padły.

- Ale nie w tym znaczeniu. Nie pozwolę na przekręcanie mojej wypowiedzi! - Oczy dentysty błysnęły gniewnie.

- Panie przewodniczący, mówimy tutaj ogólnikami, używamy takich eufemizmów jak „godny pożałowania”, czy „niefortunny”. Czyż nikt nie widzi, że sprawa jest o wiele poważniejsza? Że rozważamy problem ludzkich praw i przyzwoitości? Gdyby pan, jak ja, był świadkiem znieważenia kolegi, przyjaciela, dobrego człowieka...

Rozległy się okrzyki.

- Zachować porządek! - Gdy prowadzący zebranie ponownie zastukał młotkiem, zaczerwieniony doktor Ingram usiadł niechętnie.

- Czy mogę kontynuować? - zapytał uprzejmie elegancki mężczyzna. Przewodniczący skinął głową.

- Dziękuję. Panowie, chciałbym w zwięzły sposób przedstawić moje sugestie. Po pierwsze, proponuję, aby nasze przyszłe konferencje odbywały się w miejscach, w których doktor Nicholas i inni przedstawiciele jego rasy byliby przyjmowani bez trudności i kłopotów. Jest wiele tego typu hoteli. Po drugie, proponuję również, abyśmy uchwalili rezolucję potępiającą niewpuszczenie doktora Nicholasa do tego hotelu, a następnie przystąpili do przeprowadzenia naszej konferencji zgodnie z planem.

Siedzący na podium doktor Ingram pokręcił z niedowierzaniem głową.

Mężczyzna spojrzął na trzymaną w ręku kartkę papieru.

- W porozumieniu z kilkoma członkami naszego zarządu sporządziłem szkic rezolucji...

Quaratone przestał słuchać dalej. Tekst uchwały sam w sobie nie był już ważny. Łatwo go można było przewidzieć, a zdobycie go, w razie potrzeby, nie stanowiło problemu. Zaczął się więc przyglądać twarzom słuchaczy. Raczej przeciętne oblicza wykształconych ludzi. Malowała się na nich ulga. Ulga, pomyślał Quaratone, że nie trzeba będzie podejmować nieprzyjemnych działań, do jakich nie byli przyzwyczajeni, a które zaproponował doktor Ingram. Kojący balsam słów, podany w majestacie demokratycznej procedury, stanowił furtkę, drogę ucieczki. Sumienie zostanie uspokojone, a wygody pozostaną. Rozległy się wprawdzie słabe głosy protestu - ktoś z sali popierał doktora Ingrama - ale trwały krótko. Zebranie zaczęło przekształcać się w rozwlekłą dyskusję proceduralną.

- Sporządziłem szkic uchwały...

Dziennikarz z „Time’a” zadygotał. Zimno, niewygodna pozycja przypomniały mu, że już prawie godzinę tkwi w przewodzie wentylacyjnym. Ale warto było cierpieć. Miał ostry temat, który redaktorzy w Nowym Jorku wspaniale opracują. Miał również przecucie, że tym razem materiał nie spadnie z numeru.

6.

Niemal natychmiast po zakończeniu zebrania za zamkniętymi drzwiami Peter McDermott dowiedział się, że Kongres Dentystów podjął decyzję, aby nie przerywać zjazdu. Ponieważ narada miała ze zrozumiałych względów ogromne znaczenie dla hotelu, postawił urzędnika z działu organizacji kongresów pod drzwiami Salonu Dauphine i polecił mu, aby natychmiast go o wszystkim informował. Przed chwilą urzędnik zatelefonował z wiadomością, że z rozmów wychodzących delegatów wynika, iż wniosek o odwołanie kongresu został odrzucony.

Peter pomyślał, że ze względu na interesy hotelu powinien poczuć ulgę. Był jednak raczej przygnębiony. Zastanawiał się, jaki wpływ będzie miała ta decyzja na doktora Ingrama, którego szlachetne motywy i prostolinijność zostały najwyraźniej zlekceważone.

Stwierdził również, że poczyniona wczoraj przez Warrena Trenta cyniczna ocena sytuacji okazała się jednak słuszna. Postanowił powiadomić właściciela hotelu o rozwoju sytuacji.

Gdy Peter wszedł do biura dyrektora naczelnego, Christine spojrzała na niego i uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Przyjęcie było miłe? - zapytała. Kiedy zawahał się, popatrzyła na niego z rozbawieniem. - Chyba już nie zapomniałeś o nim?

- Nie. - Pokręcił głową. - Doskonale. Ale brakowało mi ciebie i wciąż było mi strasznie głupio, że tak mi się wszystko poplątało.

- Minęła już cała doba. Możesz przestać się dręczyć.

- Jeżeli nie masz innych planów, może spotkalibyśmy się dziś wieczorem?

- Cóż za obfitość zaproszeń! - odparła Christine. - Dziś wieczorem jem obiad z panem Wellsem.

Peter uniósł brwi.

- Chyba rzeczywiście wyzdrowiał.

- Jeszcze nie do tego stopnia, żeby wyjść z hotelu i dlatego pójdziemy do restauracji tutaj. Jeżeli będziesz pracował do późna, może byś się do nas przyłączył?

- Jeżeli będę mógł, przyjdę. - Wskazał zamknięte podwójne drzwi prowadzące do gabinetu właściciela hotelu. - Czy W.T. jest wolny?

- Możesz wejść. Mam jednak nadzieję, że nie przychodzisz z jakimiś kłopotami. Sprawia wrażenie dość przygnębionego.

- Mam wiadomość, która może poprawi mu humor. Dentyści odrzucili projekt zerwania konferencji. Przypuszczam, że czytałaś już nowojorskie gazety - dodał.

- Tak. Muszę stwierdzić, że mamy to, na co zasłużyliśmy.

Skinął potakująco głową.

- Czytałam również miejscowe gazety - powiedziała Christine. - Nie ma nic nowego w sprawie tego koszmarne wypadku. Ciągle o nim myślę.

- Ja też - oświadczył Peter. Jeszcze raz w jego pamięci pojawił się obraz widziany trzy noce temu - ogrodzony, oświetlony reflektorami fragment szosy i policjantów poszukujących na nim jakichś śladów. Zastanawiał się, czy policyjne śledztwo doprowadzi do odnalezienia samochodu i jego kierowcy. Być może znajdował się już bezpieczny, poza zasięgiem sprawiedliwości? Peter miał nadzieję, że tak nie jest. Jedno przestępstwo przypomniało mu inne. Musi dowiedzieć się od Ogilviego, czy śledztwo w sprawie kradzieży dało jakieś rezultaty. Nagle uświadomił sobie, że nie miał jeszcze żadnych wiadomości od głównego detektywa.

Jeszcze raz uśmiechnął się do Christine, zapukał do drzwi Warrena Trenta i wszedł do środka.

Przyniesiona przez Petera wiadomość wywarła jednak niewielkie wrażenie na Trencie. Właściciel hotelu kiwnął z roztargnieniem głową, jakby nie mogąc oderwać się od swoich prywatnych myśli. Przez chwilę wydawało się, że chce coś powiedzieć - chyba na inny temat, pomyślał Peter - a potem raptownie zmienił zdanie. Po krótkiej rozmowie McDermott wyszedł.

*

Albert Wells miał rację, pomyślała Christine, przewidując, że Peter McDermott będzie chciał zaprosić ją na dziś wieczór. Żałowała przez chwilę swojej decyzji o rezygnacji ze spotkania.

Rozmowa przypomniała jej natomiast o planie, aby dzisiaj wieczorem oszczędzić panu Wellsovi dużych wydatków. Zadzwoiła do Maksa, kierownika sali w głównej restauracji.

- Posłuchaj, Maks - powiedziała. - Nasze wieczorne ceny dań są koszarne.

- To nie ja je ustalałem, panno Francis. Chociaż czasami żałuję tego.

- Nie macie ostatnio szczególnego tłoku?

- Są takie wieczory, kiedy czuję się jak Livingstone czekający na Stanleya. Mówię pani, panno Francis, ludzie robią się coraz sprytniejsi. Wiedzą, że hotel taki jak ten ma jedną, centralną kuchnię i bez względu na to, w której naszej restauracji jedzą, dostają takie same dania, przygotowane tak samo, przez tych samych kucharzy. Dlaczego więc nie mają pójść tam, gdzie ceny są niższe, nawet jeżeli nie będą obsłużeni tak szykownie jak u nas.

- Mam znajomego - powiedziała Christine - który lubi dobrą obsługę. Taki starszy pan o nazwisku Wells. Przyjdziemy dzisiaj wieczorem na obiad. Niech pan dopilnuje, Maks, aby jego rachunek nie był wysoki, ale nie aż tak niski, żeby zwrócił na to uwagę. Różnicę niech pan zapisze na moje konto.

- O rany! - zachichotał kelner. - Jest pani dziewczyną, jaką sam chciałbym poznać.

- Z panem bym tak nie postąpiła, Maks - odparła. - Wszyscy wiedzą, że jest pan jednym z dwóch najbogatszych ludzi w hotelu.

- A kim jest ten drugi?

- Czyż nie Herbie Chandler?

- Nie jest pani miła zestawiając moje nazwisko z jego.

- Ale zadba pan o rachunek pana Wellsa?

- Panno Francis, kiedy dostanie rachunek, pomyśli, że zjadł obiad z automatu.

Roześmiała się i odłożyła słuchawkę. Była pewna, że Maks załatwi wszystko taktownie i zgodnie ze zdrowym rozsądkiem.

*

Peter McDermott z niedowierzaniem i narastającym gniewem powtórnie przeczytał notatkę służbową Ogilviego.

Kiedy wrócił z krótkiego spotkania z Warrenem Trentem, notatka leżała na biurku.

Datowana i ze stemplem godzinowym z ubiegłej nocy, najprawdopodobniej została zostawiona przez Ogilviego w gabinecie po to, aby zabrano ją razem z wewnętrzną korespondencją biurową. Nie ulegało wątpliwości, że czas i metoda doręczenia zostały specjalnie wybrane w taki sposób, aby McDermott otrzymał notatkę w chwili, kiedy będzie już za późno na podjęcie jakichkolwiek działań.

Do

Pana P. McDermotta

W sprawie: Urlopu

Niżej podpisany pragnie poinformować, że wykorzystuje od zaraz cztery dni urlopu, z pilnych powodów osobistych.

W. Finegan, zastępca głównego detektywa, został wprowadzony w problem kradzieży, rozpoczętego śledztwa, itd. Może również podejmować działania we wszystkich innych sprawach.

Niżej podpisany stawia się do pracy w poniedziałek.

Z poważaniem

T.I. Ogilvie

Główny Detektyw Hotelowy

Peter przypomniał sobie z oburzeniem, że minęła niecała doba od chwili, kiedy Ogilvie przyznał, że najprawdopodobniej w St. Gregorym działa zawodowy złodziej hotelowy. Peter namawiał wówczas detektywa, aby na kilka dni przeniósł się do hotelu, ale grubas odrzucił tę propozycję. Musiał już wtedy wiedzieć, że wyjedzie w ciągu kilku najbliższych godzin, ale umyślnie przemilczał ten fakt. Dlaczego? Najprawdopodobniej zdawał sobie sprawę, że Peter ostro przeciw temu zaprotestuje, a widać, nie miał ochoty wdawać się w sprzeczki i narażać być może na opóźnienie.

W notatce było sformułowanie „pilne powody osobiste”. No cóż, zastanawiał się Peter, pewnie to prawda. Nawet Ogilvie, korzystający z poparcia i ochrony Trenta, musiał zdawać sobie sprawę, że jego nie zapowiedziana absencja w tym właśnie momencie stanie się przyczyną poważnej awantury.

Ale o jakie „osobiste sprawy” może tu chodzić? Z całą pewnością nic takiego, co można by przedstawić wprost i szczerze omówić. W przeciwnym razie nie załatwiałby tego w

podobny sposób. Przecież było wiadomo, że bez względu na kłopoty hotelu prawdziwe problemy osobiste pracownika zawsze traktowano ze zrozumieniem.

A więc prawdopodobnie Ogilvie chciał zataić powód swego wyjazdu.

Ale nawet w takiej sytuacji, pomyślał Peter, powinno mnie to obchodzić tylko w takim stopniu, w jakim koliduje z interesami firmy. Ponieważ to właśnie miało miejsce, Peter postanowił dowiedzieć się, jakie są prawdziwe przyczyny nieobecności detektywa. Zadzwoił po Florę i kiedy weszła, pokazał jej notatkę. Skrzywiła się.

- Czytałam. Przypuszczałam, że pan się zdenerwuje.

- Jeżeli może pani się tym zająć - powiedział - chciałbym, aby się pani zorientowała, gdzie jest Ogilvie. Niech pani zadzwoni do domu, i potem do miejsc, gdzie może przebywać. Niech się pani dowie, czy ktoś go dzisiaj widział albo czy z kimś się umówił. Niech pani zostawia dla niego informacje. Jeżeli pani zlokalizuje Ogilwiego, chciałbym z nim rozmawiać osobiście.

Flora zapisała wszystko w notatniku.

- Jeszcze jedno. Niech pani zadzwoni do garażu. W nocy przechodziłem przypadkiem koło hotelu. Nasz przyjaciel wyjeżdżał właśnie... jaguarem. Możliwe, że powiedział komuś, dokąd się wybiera.

Po wyjściu Flory posłał po zastępcę głównego detektywa hotelowego, Finegana. Szczupły, wolno mówiący mężczyzna z Nowej Anglii długo zastanawiał się, zanim odpowiedział na niecierpliwe pytania Petera.

Nie, nie ma pojęcia, dokąd pojechał pan Ogilvie. Dopiero wczoraj, późnym wieczorem został poinformowany przez swojego przełożonego, że przez kilka następnych dni będzie pełnił jego obowiązki. Tak, ubiegłej nocy hotel był stale patrolowany, nie zaobserwowano jednak żadnych podejrzanych działań. Tego ranka nie było też żadnych skarg dotyczących kradzieży w pokojach hotelowych. Nie, z komendy policji w Nowym Orleanie nie było również dodatkowych informacji. Oczywiście, jeżeli otrzyma jakąkolwiek wiadomość od pana Ogilwiego, natychmiast ją przekaże.

Peter pozwolił Fineganowi odejść. Nie było już nic więcej do zrobienia, chociaż wściekłość Petera z powodu zachowania się Ogilwiego nie ustępowała.

Wcale nie była mniejsza kilka minut później, gdy Flora odezwała się przez interkom biurowy:

- Panna Marsha Preyscott na drugiej linii.

- Niech jej pani powie, że jestem zajęty. Zadzwonię później. - Po sekundzie przywołał się jednak do porządku. - Albo nie, porozmawiam z nią.

Podniósł słuchawkę i usłyszał rzeński głos Marshy.

- Słyszałam.

Z irytacją postanowił przypomnieć Florze, że używając interkomu, powinna wcisnąć odpowiedni guzik na aparacie telefonicznym.

- Przepraszam - powiedział. - W przeciwieństwie do wspaniałego wieczoru, mam tu bardzo paskudny ranek.

- Założę się, że pierwszą rzeczą, jakiej uczą się dyrektorzy hotelowi jest umiejętność nie przejmowania się czymś takim.

- Może niektórzy. Ale nie ja.

Poczuł, że Marsha się waha. A potem zapytała go:

- Czy rzeczywiście... Czy rzeczywiście wieczór był wspaniały?

- Od początku do końca.

- Doskonale! W takim razie jestem gotowa dotrzymać obietnicy.

- Mam wrażenie, że już to zrobiłaś.

- Nie - odparła Marsha. - Obiecałam ci opowiedzieć historię Nowego Orleanu. Możemy zacząć dziś po południu.

Miał zamiar odmówić, powiedzieć jej, że nie może opuścić hotelu, ale nagle uświadomił sobie, iż ma ochotę na proponowane spotkanie. Czemu nie? Rzadko wykorzystywał dwa wolne dni, które należały mu się co tydzień, a ostatnio przecież bardzo często pracował po godzinach. Bez trudu uda mu się wyskoczyć na krótko.

- Dobrze - powiedział. - Zobaczymy, ile wieków uda nam się zaliczyć między drugą a czwartą.

7.

Przed śniadaniem, w czasie dwudziestominutowej modlitwy w swoim apartamencie, Curtis O'Keefe zorientował się, że dwukrotnie zaczął myśleć o czymś innym. Była to dobrze mu znana oznaka niecierpliwości, za którą zwięźle przeprosił Boga. Nie rozwodził się nad tą kwestią, bowiem potrzeba ciągłego działania była częścią jego natury.

Uświadomił sobie jednak z ulgą, że jest to jego ostatni dzień w Nowym Orleanie. Dzisiaj wieczorem poleci do Nowego Jorku, a jutro do Włoch. Punktem przeznaczenia dla niego i Dodo był „Neapolitański O'Keefe”. Dzięki temu, nie tylko zmieni miejsce pobytu, ale również znowu znajdzie się w jednym ze swoich domów. Curtis O'Keefe nigdy nie rozumiał zarzutu stawianego mu niekiedy przez krytyków, że podróżując naokoło świata i zatrzymując

się wyłącznie w hotelach sieci O'Keefego, podróżujący na dobrą sprawę nie opuszcza Stanów Zjednoczonych. Mimo że O'Keefe lubił wyjazdy za granicę, lubił również mieć wokół siebie znajome rzeczy - amerykańskie wyposażenie wnętrz z niewielkimi jedynie zmianami kolorystyki, wynikającymi z miejscowych tradycji, amerykańską instalację sanitarną, amerykańską kuchnię i najczęściej - Amerykanów wokół siebie. Przedsiębiorstwa O'Keefego realizowały te upodobania.

Nie miało też znaczenia, że za tydzień z niecierpliwością będzie oczekiwał momentu opuszczenia Włochy, podobnie jak obecnie chciał wyjechać już z Nowego Orleanu. Jego imperium składało się z wielu takich miejsc - Taj Mahal O'Keefe, Lizboński O'Keefe, Adelajda O'Keefe, Kopenhaski O'Keefe i inne - w których wizyta „najgłówniejszego szefa”, chociaż nie była już niezbędnym czynnikiem efektywnego zarządzania, zawsze sprawiała, że interes zaczynał kręcić się szybciej.

Później, oczywiście, powróci do Nowego Orleanu, prawdopodobnie za miesiąc lub dwa, kiedy St. Gregory - wtedy już „St. Gregory O'Keefe” - zostanie przebudowany i zuniformizowany według standardów sieci O'Keefego. Jego przybycie na uroczystości inauguracyjne będzie miało wspaniałą oprawę - z fanfarami, powitaniem przez władze miasta, artykułami w prasie, radio i telewizji. Jak zwykle przy takich okazjach, sprowadzi cały orszak znakomitości, w tym również gwiazd z Hollywoodu, zawsze chętnie przyjmujących zaproszenia na darmowe przyjęcia.

Pomyślał, że brak mu cierpliwości na czekanie i chciałby, aby już było po wszystkim. Irytowało go również, że Trent do tej pory oficjalnie nie przyjął przedstawionych mu dwa dni wcześniej warunków. Było już czwartkowe przedpołudnie. Od wyznaczonego na dwunastą ostatecznego terminu dzieliło go zaledwie dwadzieścia minut. Najwidoczniej, ze znanych sobie tylko powodów właściciel St. Gregory'ego miał zamiar czekać ze swoją abdykacją do ostatniej chwili.

O'Keefe nie mógł usiedzieć na miejscu i przez cały czas przechadzał się po apartamencie. Pół godziny temu Dodo poszła na zakupy, zaopatrzona przez O'Keefego w kilkaset dolarów w banknotach o dużych nominałach. Zasugerował jej, aby postarała się między innymi o jakieś lekkie ubrania, w Neapolu bowiem jest pewnie jeszcze bardziej gorąco niż w Nowym Orleanie, a w Nowym Jorku nie będzie czasu na bieganie po sklepach. Dodo jak zawsze podziękowała mu wylewnie, chociaż ze zdziwieniem zauważył, że nie okazywała już takiego entuzjazmu, jak choćby w czasie wycieczki motorówką po porcie, która kosztowała zaledwie sześć dolarów. Kobiety, doszedł do wniosku, są zagadkowymi istotami.

Stanął przy oknie i patrzył na miasto. Nagle, w drugim końcu saloniku zadzwonił telefon. Przeszedł przez pokój sześcioma dużymi krokami.

- Słucham?

Spodziewał się usłyszeć głos Warrena Trenta. Telefonistka zapowiedziała jednak rozmowę międzymiastową. Chwilę później w słuchawce rozległ się nosowy głos Hanka Lemnitzera.

- Czy to pan, panie O'Keefe?

- Tak. - O'Keefe wolałby, aby jego przedstawiciel na Zachodnim Wybrzeżu nie uważał za stosowne dzwonić do niego dwukrotnie w ciągu jednej doby.

- Mam dla pana wspaniałą wiadomość.

- Jaką?

- Załatwiłem coś dla Dodo.

- Mam wrażenie, że wyraziłem się wczoraj wystarczająco jasno, że dla panny Lash trzeba znaleźć coś specjalnego.

- Do jakiego stopnia specjalnego, panie O'Keefe? To co mam, jest najlepsze, prawdziwa bomba. Dodo jest szczęściarą.

- Proszę mi powiedzieć.

- Walt Curzon nakręca powtórkę „You Can't Take It With You”. Pamięta pan? Włożyliśmy sporo pieniędzy w ten interes.

- Pamiętam.

- Wczoraj dowiedziałem się, że Walt potrzebuje dziewczyny, która zagrałaby dawną rolę Ann Miller. Znacomita drugoplanowa rola. Pasuje do Dodo jak ciasny stanik.

Curtis O'Keefe skonstatował z rozdrażnieniem, że Lemnitzer mógłby nieco subtelniej dobierać słów.

- Sądzę, że najpierw będą próbne zdjęcia.

- Oczywiście.

- Skąd więc mamy wiedzieć, że Curzon zgodzi się na jej obsadzenie?

- Żartuje pan? Niech pan nie lekceważy swojego wpływu, panie O'Keefe. Dodo jest pewniakiem. Poza tym, nawiązałem kontakt z Sandrą Straughan, żeby nad nią popracowała. Słyszał pan o Sandrze?

- Tak.

O'Keefe wiedział, kim jest Sandra Straughan. Znano ją jako jedną z najlepszych i odnoszących największe sukcesy filmowych korepetytorek.

Mogła się pochwalić tym, że z mnóstwa całkowicie nieznanymi dziewczyn, które

jednak posiadały wpływowych sponsorów, zrobiła kasowe gwiazdy.

- Bardzo się cieszę z takiego załatwienia sprawy Dodo - powiedział Lemnitzer. - Zawsze ją bardzo lubiłem. Jest tylko jeden problem. Musimy działać szybko.

- Jak szybko?

- Muszą mieć ją już jutro, panie O'Keefe. Wtedy można będzie dobrze zgrać wszystko, co panu załatwiłem.

- Co takiego?

- Jenny La Marsh - odpowiedział zdziwionym tonem Lemnitzer. - Chyba pan nie zapomniał?

- Nie. - O'Keefe z całą pewnością nie zapomniał inteligentnej i pięknej brunetki z Vassar, która wywarła na nim tak wielkie wrażenie przed miesiącem czy dwoma. Ale po wczorajszej rozmowie z Lemnitzerem uznał, że Jenny La Marsh to sprawa przyszłości.

- Wszystko zorganizowałem, panie O'Keefe. Jenny poleci do Nowego Jorku dzisiaj w nocy i jutro będzie już z panem. Przeniesiemy rezerwację Dodo na Jenny i Dodo będzie mogła przylecieć tu bezpośrednio z Nowego Orleanu. Proste, prawda?

Rzeczywiście bardzo proste. Do tego stopnia, że nawet O'Keefe nie był w stanie znaleźć w tym rozumowaniu żadnego błędu. Zastanawiał się, dlaczego właściwie ma na to ochotę.

- Może dać mi pan gwarancję, że panna Lash dostanie tę rolę?

- Panie O'Keefe, przysięgam na grób mojej matki.

- Pańska matka jeszcze żyje.

- W takim razie babki. - Zapadła cisza, a potem nagle olśniony Lemnitzer zapytał - Jeżeli nie ma pan ochoty sam powiedzieć o tym Dodo, może pana wyręczyć? Niech pan wyjdzie na kilka godzin. Zadzwońię do niej i wszystko zorganizuję. Nie będzie żadnych kłopotów, żadnych pożegnań.

- Dziękuję. Doskonale potrafię sam załatwiać swoje sprawy.

- Oczywiście, panie O'Keefe. Chciałem tylko pomóc.

- Panna Lash wyśle depezę z zawiadomieniem o terminie przylotu do Los Angeles. Odbierze ją pan z lotniska?

- Tak jest. Cieszę się, że zobaczę Dodo. No cóż, życzę panu, panie O'Keefe, wspaniałej zabawy w Neapolu. Zazdroszczę panu Jenny.

O'Keefe bez słowa odwiesił słuchawkę.

Dodo wróciła zdyszana i obładowana paczkami. Za nią szedł uśmiechnięty i tak samo obciążony boy hotelowy.

- Muszę jeszcze raz wyjść, Curtie. Na dole zostało ich jeszcze więcej.
- Mogłaś kazać komuś dostarczyć wszystko do pokoju - burknął O'Keefe.
- Och, w ten sposób jest to bardziej podniecające! Zupełnie jak na Boże Narodzenie.

Jedziemy do Neapolu - powiedziała do boya. - To we Włoszech.

O'Keefe dał mu dolara i poczekał, aż wyjdzie z pokoju.

Dodo uwolniła się od swoich pakunków. Pod wpływem nagłego impulsu zarzuciła O'Keefemu ramiona na szyję i pocałowała go w oba policzki.

- Tęskniłeś? O jejku, Curtie, jaka ja jestem szczęśliwa!

O'Keefe uwolnił się delikatnie z jej ramion.

- Usiądźmy na chwilę. Chcę ci powiedzieć o zmianie planów. Mam też pewne dobre wiadomości.

- Wyjeżdżamy wcześniej!

Pokręcił głową.

- Dotyczą one w większym stopniu ciebie niż mnie. Rzecz w tym, moja droga, że dostałaś rolę w filmie. Zajmowałem się tą sprawą już od jakiegoś czasu. Dzisiaj rano dowiedziałem się, że wszystko zostało załatwione.

Czuł wpatrzony w siebie niewinne, niebieskie oczy Dodo.

- Zapewniono mnie, że to bardzo dobra rola. Prawdę mówiąc, nalegałem, żeby tak było. Jeżeli wszystko pójdzie tak, jak się tego spodziewam, ten kontrakt może stać się dla ciebie początkiem czegoś wielkiego. - Curtis O'Keefe przerwał, uświadamiając sobie, jak pusto brzmią jego słowa.

- Przypuszczam, że... - powiedziała wolno Dodo. - Że muszę odejść.

- Niestety, moja droga, masz rację.

- Czy prędko?

- Obawiam się, że tak. Jutro rano. Polecisz prosto do Los Angeles. Hank Lemnitzer odbierze cię na lotnisku.

Dodo wolno przytaknęła. Z roztargnieniem uniosła dłoń i odrzuciła kosmyk włosów spadający na twarz. Prosty, zwyczajny ruch, ale jak wiele gestów Dodo, przesycony zmysłowością. O'Keefe poczuł irracjonalny przypływ zazdrości. Pomyślał o Hanku Lemnitzerze i Dodo. Hank, który potrafił przygotować grunt pod większość damskich znajomości Curtisa, miał dość sprytu, żeby nie próbować podrywać faworyt szefa. Nie kiedy przestawały być faworytami... Wtedy sytuacja zaczynała wyglądać zupełnie inaczej. Odpędził tę myśl od siebie.

- Martwię się, że mnie opuszczasz, moja droga. Ale przede wszystkim musimy myśleć

o twojej przyszłości.

- Curtie, wszystko jest w porządku. - Dodo wciąż patrzyła na niego. Mimo naiwności dziewczyny miał absurdalne wrażenie, że widzi na wskroś jego kłamstwa. - W porządku. Nie musisz się przejmować.

- Miałem nadzieję... Że ta rola filmowa... Że bardziej się z niej ucieszysz.

- Ależ naprawdę się cieszę, Curtie! O jejku, naprawdę! Myślę, że ty zawsze wspaniale potrafisz załatwiać takie słodkie sprawy.

Jej reakcja poprawiła mu samopoczucie.

- Nadarza ci się rzeczywiście niesłychana okazja. Jestem pewny, że ci się powiedzie i oczywiście będę się interesował twoją karierą. - Postanowił skoncentrować swoje myśli na Jenny La Marsh.

- Chyba... - Głos Dodo zadrżał. - Chyba będziesz musiał polecieć dzisiaj w nocy. Przede mną.

Podjął natychmiast decyzję i odpowiedział:

- Nie. Odwołam moją rezerwację i polecę jutro rano. A dzisiaj spędzimy oboje nasz zupełnie wyjątkowy wieczór.

Dodo spojrzała na niego z wdzięcznością i w tej samej chwili zadzwonił telefon. Czując niezmierną ulgę, że może zająć się czymś innym, podniósł słuchawkę.

- Pan O'Keefe? - usłyszał przyjemny kobiecy głos.

- Tak.

- Mówi Christine Francis, asystentka pana Warrena Trenta. Pan Trent chciałby się dowiedzieć, czy może mu pan poświęcić teraz trochę czasu.

O'Keefe spojrział na zegarek. Do dwunastej brakowało kilku minut.

- Tak - odparł. - Bardzo chętnie zobaczę się z panem Trentem. Niech pani łaskawie poprosi go, aby przyszedł.

Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do Dodo.

- Być może oboje będziemy mieli powód do radości... ty swoją wspaniałą przyszłość, a ja - nowy hotel.

8.

Mniej więcej godzinę wcześniej Warren Trent siedział w posępnym zamyśleniu za zamkniętymi podwójnymi drzwiami swojego gabinetu. Już kilkakrotnie sięgał po słuchawkę telefonu, żeby zadzwonić do Curtisa O'Keefego i przyjąć jego warunki. Na dobrą sprawę, nie

było już żadnego powodu, aby wciąż jeszcze zwlekać. Bractwo Pracowników Najemnych było ostatnią nadzieją na pozyskanie innego źródła finansowania. Ostra odmowa zniszczyła ostatnie możliwości oporu przed wchłonięciem przez lewiatana, Curtisa O'Keefego.

Za każdym razem jednak Trent cofał wyciągniętą po słuchawkę rękę. Czuł się jak więzień, którego skazano na śmierć, wyznaczono już godzinę egzekucji, ale pozostawiono mu jeszcze możliwość popełnienia przedtem samobójstwa. Przyjął nieuniknione. Uświadomił sobie, że powinien zakończyć swoje panowanie w St. Gregorym, bo po prostu nie ma innego wyjścia. Zwykły ludzki odruch kazał mu czekać do ostatniej chwili, kiedy już decyzji nie będzie można odkładać.

Od podjęcia decyzji o kapitulacji powstrzymała go wizyta Petera McDermotta i informacja, że Kongres Dentystów Amerykańskich postanowił kontynuować zjazd. Wcale go to nie zdziwiło, przewidział bowiem taki rozwój sytuacji już wczoraj. Teraz ta sprawa właściwie już go nie obchodziła, wydawała się mało ważna. Był zadowolony, kiedy McDermott wyszedł.

Zamyślił się, wspominając dawne triumfy i uczucie satysfakcji, które im towarzyszyło. Czasy - i to wcale nie tak dawne - gdy o miejsca w jego hotelu starali się wielcy tego świata: prezydenci, koronowane głowy, arystokracja, cudowne kobiety i wspaniali mężczyźni, ludzie posiadający władzę i bogactwo, słynni i osławieni. Wszyscy oni mieli jedną wspólną cechę - żądali doskonałej obsługi i otrzymywali ją. A przecież za elitą podążali inni, aż w końcu St. Gregory stał się Mekką i zarazem maszyną do robienia pieniędzy.

Kiedy wspomnienia są jedynym dobrodziejstwem, którym można się cieszyć, należy je doceniać. Warren Trent miał nadzieję, że w tej ostatniej godzinie, w czasie której był jeszcze właścicielem hotelu, nikt nie będzie mu przeszkadzał.

Ale nadzieja okazała się płonna.

Christine Francis weszła po cichu do gabinetu. Jak zwykle, wyczuła jego nastrój.

- Pan Emile Dumaire chciałby z panem porozmawiać. Nie chciałam panu przeszkadzać, ale nalegał twierdząc, że to pilne.

Warren Trent mruknął. Sępy się zbierają, pomyślał. Po zastanowieniu jednak uznał, że porównanie jest niesprawiedliwe. Bank Przemysłowo-Handlowy, którego prezesem był Emile Dumaire, miał zamrożonych w St. Gregorym sporo pieniędzy. Ten sam bank kilka miesięcy temu odmówił przedłużenia kredytu, a także większej pożyczki na refinansowanie. No cóż, Dumaire i jego koledzy dyrektorzy nie muszą o nic się martwić. Po załatwieniu interesu, otrzymają swoje pieniądze. Warren Trent uznał, że powinien to potwierdzić.

Sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Nie - powstrzymała go Christine. - Pan Dumaire jest tutaj, czeka w sekretariacie.

Warren Trent spojrział na nią ze zdziwieniem. Opuszczenie swojej fortecy w banku po to, żeby przeprowadzić rozmowę osobiście, było czymś absolutnie nietypowym dla Emile'a Dumaire'a.

Chwilę później Christine wprowadziła gościa i zamknęła za sobą drzwi.

Emile Dumaire - niski, krępy, z grzywą kędzierzawych, siwych włosów był Kreolem w prostej linii. Wyglądał jednak, jakby wyszedł z kart „Klubu Pickwicka”. Jego pompatyczny sposób bycia stanowił doskonale uzupełnienie tego skojarzenia.

- Przepraszam cię, Warrenie, za to najście bez uprzedzenia. Jednakże specyfika interesu, z którym przyszedłem, nie pozwala na zachowanie należnych form towarzyskich.

Uścisnęli sobie ręce. Właściciel hotelu wskazał gościowi krzesło.

- Jakiego interesu?

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym zachować pewną kolejność wyjaśnień. Przede wszystkim pozwól, iż wyrażę swoje ubolewanie, że nie byłem w stanie spełnić twojej prośby o pożyczkę. Niestety, sumy i terminy stanowczo przekraczały nasze możliwości i były sprzeczne z ustalonymi w banku zasadami polityki finansowej.

Warren Trent skinął z rezerwą głową. Nie lubił bankiera, choć nigdy nie popełniał tego błędu, aby go nie doceniać. Za tym pocziwym, niezaradnym wyglądem, na który tak wielu dało się nabrać, krył się przebiegły, błyskotliwy umysł.

- Jestem tu dzisiaj jednak w sprawie, która - mam nadzieję - zrekompensuje pewne, dość pechowe aspekty poprzedniej sytuacji.

- Chyba to raczej niemożliwe - stwierdził Trent.

- Zobaczymy. - Bankier wyciągnął z cienkiej aktówki kilka arkuszy poliniowanego papieru, na którym znajdowały się zrobione ołówkiem notatki. - O ile wiem, otrzymałeś od Korporacji O'Keefego ofertę kupna hotelu.

- Nie musiałeś zatrudniać FBI, żeby się o tym dowiedzieć.

Bankier uśmiechnął się.

- Czy nie zechciałbyś mnie poinformować, jakie są warunki?

- A dlaczego?

- Dlatego - odparł ostrożnie Emile Dumaire - że przyszedłem złożyć ci kontrproponycję.

- W takim przypadku mam jeszcze mniej powodów, żeby je podawać. Powiem ci tylko, że mam dać O'Keefemu odpowiedź dzisiaj do godziny dwunastej.

- Właśnie. Taką właśnie informację otrzymałem i dlatego też zjawiłem się tu tak niespodziewanie. Przy okazji, bardzo przepraszam, że nie przyszedłem wcześniej, ale przekazanie mi informacji i instrukcji zajęło trochę czasu.

Oferta za pięć dwunasta i to z tego źródła, nie wprawiła Trenta w szczególnie entuzjazm. Przypuszczał, że jakaś lokalna grupa inwestorów, której rzecznikiem był Dumaire, chciała dokonać taniego zakupu, aby potem sprzedać hotel z dużym zyskiem. Bez względu na to, jakie zaproponują warunki, mało prawdopodobne, żeby mogły się one równać z ofertą O'Keefego. Tym bardziej, że pozycja samego Warrena Trenta nie byłaby wtedy tak korzystna.

Bankier zajął do swoich notatek.

- O ile wiem, cena zakupu wymieniona w ofercie złożonej przez Korporację O'Keefego wynosi cztery miliony dolarów. Z tego dwa miliony zostaną wykorzystane na odnowienie obecnej pożyczki hipotecznej, z pozostałej części jeden milion zostanie wypłacony gotówką, a jeden w nowej emisji akcji O'Keefego. Krąży również pogłoska, że osobiście otrzymasz swego rodzaju dożywotnie użytkowanie dotychczasowego mieszkania w hotelu.

Twarz Warrena Trenta poczerwieniała z gniewu. Trzasnął zaciśniętą pięścią w blat biurka.

- Do diabła, Emile! Nie baw się ze mną w kotka i myszkę.

- Jeżeli odniosłeś takie wrażenie, to przepraszam.

- Na litość boską! Jeżeli znasz szczegóły, to po co pytasz?

- Mówiąc szczerze - odparł Dumaire - miałem nadzieję, że otrzymam od ciebie potwierdzenie i tak właśnie się stało. Poza tym, oferta, do złożenia której zostałem upoważniony, jest lepsza.

Warren Trent uświadomił sobie, że dał się złapać w starą jak świat pułapkę. Był jednak oburzony, że Dumaire uznał za stosowne ją zastawić.

Stało się również oczywiste, że Curtis O'Keefe miał zdrajcę w szeregach własnej organizacji. Najprawdopodobniej, był to ktoś w jego centrali, kto miał dostęp do wszystkich tajemnic. Kryła się w tym jakaś ironia, że Curtis O'Keefe, posługujący się chętnie szpiegostwem w prowadzeniu interesów, sam padł jego ofiarą.

- W jakim stopniu nowe warunki są lepsze? I kto składa tę ofertę?

- Odpowiem ci najpierw na drugie pytanie. W chwili obecnej nie mogę ci tego ujawnić.

- Prowadzę interesy z konkretnymi ludźmi, a nie z duchami - parsknął Trent.

- Ja nie jestem duchem - zauważył Dumaire. - Poza tym, masz gwarancję banku, że składana oferta jest pełnowartościowa, a strona, którą reprezentuje bank, posiada nienaganne referencje.

Trent, wciąż poirytowany fortem Dumaire'a, powiedział:

- Przejdźmy do rzeczy.

- Właśnie mam ten zamiar. - Bankier przełożył notatki. - Zasadniczo, dokonana przez moich zleceniodawców ocena wartości hotelu pokrywa się z dokonaną przez Korporację O'Keefego.

- Trudno się dziwić, skoro ją znasz.

- Pod innymi względami jednak istnieją poważne różnice.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy Trent uświadomił sobie, że coraz bardziej interesuje go, co bankier ma mu do powiedzenia.

- Po pierwsze, moi zleceniodawcy nie wyrażają życzenia, abyś zerwał swoje osobiste więzi z St. Gregorym, ani też, aby ustały twoje osobiste związki z jego strukturami finansowymi. Po drugie, ich intencją jest, aby tak długo, jak będzie to ekonomicznie uzasadnione, hotel zachował swoją niezależność i obecny charakter.

Warren Trent schwycił mocno oparcia fotela. Spojrzał na zegar wiszący po prawej stronie. Była za kwadrans dwunasta.

- Wyrażają jednak zdecydowaną wolę nabycia pakietu kontrolnego akcji - jest to całkowicie zrozumiały warunek w zaistniałej sytuacji - aby w ten sposób zapewnić sobie skuteczną kontrolę zarządzania. Ty zostałbyś największym udziałowcem w grupie mniejszościowej. Następnie żądają, abyś natychmiast złożył rezygnację ze stanowiska prezesa i dyrektora naczelnego. Czy mógłbym poprosić cię o szklankę wody?

Trent napelnił szklankę wodą z termosu stojącego na biurku.

- O co tu właściwie chodzi? - zapytał. - Mam zostać boyem hotelowym? A może zastępcą odźwiernego?

- Raczej nie. - Emile Dumaire upił łyk wody, a potem spojrzął na szklankę. - Nieustannie się dziwię, jakim cudem błotnista zawartość naszej Mississippi może przekształcić się w tak smaczną wodę.

- Wracaj do rzeczy!

Bankier uśmiechnął się.

- Moi zleceniodawcy proponują, abyś natychmiast po złożeniu rezygnacji został mianowany przewodniczącym rady nadzorczej, początkowo na okres dwóch lat.

- Przypuszczam, że jako zwykły figurant!

- Być może. Wydaje mi się jednak, że są gorsze rzeczy. Ale może wolisz, żeby tym figurantem był O'Keefe?

Właściciel hotelu nie odezwał się.

- Moi zleceniodawcy upoważnili mnie również, abym poinformował cię, że są skłonni przebić każdą propozycję złożoną ci przez Korporację O'Keefego, dotyczącą warunków twojego zamieszkania w hotelu. Przechodząc teraz do sprawy refinansowania i przekazania akcji, chciałbym poruszyć kilka szczegółów.

Bankier mówił, często spoglądając w notatki, a Warrena Trenta ogarnęło uczucie zmęczenia i jakiejś nierealności. Nagle przypomniał sobie coś, co wydarzyło się bardzo dawno. Kiedyś, gdy był jeszcze małym chłopcem, poszedł do wesołego miasteczka, zaciskając w garści kilka zaoszczędzonych centów. Wybrał sobie jedną atrakcję - ścieżkę śmiechu. Urządzenie chyba już dawno zniknęło w otchłani niepamięci. Przypomniał sobie, że była to platforma podwieszona na stałe poruszających się uchwytych - unosiła się do góry i opadała w dół, pochylała do przodu, do tyłu, znowu do przodu... Poruszała się ustawicznie, nie można było zachować równowagi i za swojego centa można się było spodziewać nieuchronnego upadku przed dojściem do końca. Zanim stanął na platformie, wszystko wyglądało szalenie podniecająco, ale pamiętał, że w miarę zbliżania się do końca ścieżki śmiechu, marzył już tylko o tym, aby z niej zejść.

Kilka minionych tygodni przypominało mu ten pobyt w wesołym miasteczku. Początkowo był pewny siebie, ale potem podłoga uciekła mu spod nóg. Gdy pojawiła się nadzieja, odzyskał znowu równowagę, ale potem ponowny wstrząs niemal spowodował jego upadek. Kiedy wędrowka zbliżała się do końca, szansą stabilizacji stało się Bractwo pracowników Najemnych, ale i ta nadzieja przepadła.

Aż nagle i nieoczekiwanie, „ścieżka śmiechu” znowu się ustabilizowała i pragnął jedynie zejść z niej jak najszybciej.

Warren Trent zdawał sobie sprawę, że jego uczucia ulegną zmianie, i osobiste zainteresowanie hotelem odżyje. Teraz jednak odczuwał raczej ulgę spowodowaną faktem, że w taki czy inny sposób zdjęto z niego ciężar odpowiedzialności. Towarzyszyła temu wzmożona ciekawość.

Kto, spośród notabli miejscowego biznesu, stał za Emilem Dumairem? Komu mogło aż tak zależeć na utrzymaniu St. Gregory'ego jako tradycyjnie niezależnego hotelu, by godzić się na ponoszenie finansowego ryzyka? Może Mark Preyscott? Czy właściciel domów towarowych mógłby dążyć do tego, aby jeszcze bardziej rozszerzyć swoje i tak już rozległe interesy? Warren Trent przypomniał sobie, że Mark Preyscott jest w Rzymie. To mogło

wyjaśnić, dlaczego załatwiał sprawy przez plenipotentę. No cóż, miał nadzieję, że wkrótce pozna nazwisko nabywcy St. Gregory'ego.

Sprawa sprzedaży akcji, o której mówił bankier, została przedstawiona uczciwie. W porównaniu z ofertą Curtisa O'Keefego, Warren Trent miał otrzymać mniej żywej gotówki, ale w rzeczywistości uzyska więcej w akcjach hotelu. Warunki stawiane przez O'Keefego całkowicie odizolowałyby go od spraw hotelu.

Poza tym, jego nominacja na prezesa rady nadzorczej, chociaż mogła być jedynie czczym gestem nie dającym żadnej władzy, pozwalała mu pozostać w centrum działań, choćby tylko w roli uprzywilejowanego widza. Nie należało też lekceważyć związanego z tym stanowiskiem prestiżu.

- Tak przedstawia się istota sprawy - stwierdził na zakończenie Emile Dumaire. - Jeżeli zaś chodzi o wiarygodność tej propozycji, chciałbym ci przypomnieć, że jest ona gwarantowana przez bank. Jestem ponadto upoważniony do przekazania ci dziś po południu odpowiedniego, poświadczanego notarialnie, listu intencyjnego.

- A kiedy nastąpi sfinalizowanie umowy, jeżeli wyrażę zgodę?

Gość wydał wargi i zastanowił się przez chwilę.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, aby szybko sporządzić odpowiednie dokumenty, zwłaszcza że do pośpiechu powinien nas skłaniać upływający termin płatności długu hipotecznego. Powiedzmy, że sfinalizowanie nastąpi jutro o tej samej porze.

- I niewątpliwie jednocześnie dowiem się, kim jest nabywca.

- Będzie to - przyznał Emil Dumaire - konieczne w tej transakcji.

- Jeżeli może nastąpić to jutro, dlaczego nie można tego zrobić już dzisiaj?

Bankier pokręcił głową.

- Takie otrzymałem instrukcje.

Warren Trent poczuł nowy przypływ energii. Miał ochotę stwierdzić, że wyjawienie, kim jest nabywca stanowi warunek zgody. Ale w tej samej chwili do akcji wkroczył zdrowy rozsądek: czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, zwłaszcza jeżeli zostaną spełnione warunki umowy? Poza tym, taka dyskusja wymagałaby wysiłku, do którego nie był w tej chwili zdolny. Ponownie ogarnęło go takie samo zmęczenie jak przed kilkoma minutami.

Westchnął, a potem stwierdził po prostu:

- Zgadzam się.

Curtis O'Keefe z niedowierzaniem i gniewem patrzył na Warrena Trenta.

- Masz czelność mówić mi prosto w oczy, że sprzedałeś komuś innemu?!

Znajdowali się w saloniku apartamentu O'Keefego. Natychmiast po wyjściu Emile'a Dumaire'a, Christine Francis zadzwoniła i umówiła Trenta na tę rozmowę. Dodo z niepewną miną trzymała się za plecami O'Keefego.

- Jeżeli wolisz, możesz tak to nazwać - odparł Warren Trent. - Po prostu informuję cię o swojej decyzji. Może również chciałbyś wiedzieć, że nie wyzbyłem się wszystkiego, ale zatrzymałem pokazny pakiet akcji hotelu.

- Ale go stracisz! - Twarz O'Keefego była czerwona z wściekłości. Od wielu już lat nie zdarzyło mu się, aby nie zdołał kupić tego, na co miał ochotę. Nawet teraz, rozgoryczony i zawiedziony, nie mógł uwierzyć, że odmowa rzeczywiście miała miejsce. - Wykończę cię. Jak Boga Kocham!

Dodo wyciągnęła dłoń i dotknęła ramienia O'Keefego.

- Curtie!

Wyszarpnął rękę.

- Zamknij się! - Na jego skroni pulsowała wyraźnie widoczna żyła. Zaciśnął pięści.

- Jesteś podniecony, Curtie. Nie powinieneś...

- Do diabła! Nie wtrącaj się!

Dodo spojrzała błagalnie na Trenta. Wyraz jej oczu spowodował, że Trent opanował wzbierający w nim gniew.

- Możesz robić, na co masz ochotę - zwrócił się do O'Keefego. - Chciałbym ci jednak przypomnieć, że nie dysponujesz żadnym prawem wyłączności zakupu. Poza tym, przyjechałeś tutaj z własnej inicjatywy, bez mojego zaproszenia.

- Pożałujesz tego dnia! Ty i oni, kimkolwiek są. Wybuduję swój własny! I zniszczę St. Gregory'ego. Zrobię wszystko, aby doprowadzić do bankructwa ciebie i twój hotel!

- Jeżeli któryś z nas tego dożyje. - Trent pohamował się już, czuł, jak odzyskuje panowanie nad sobą w miarę jak tracił je O'Keefe. - Możemy nie doczekać, bo to co zamierzasz, będzie wymagało czasu. A poza tym, ci nowi ludzie mogą sprawić, że sam będziesz miał kłopoty.

Proroctwo nie miało żadnych podstaw, ale miał nadzieję, że okaże się prawdziwe.

- Wynoś się! - eksplodował O'Keefe.

- To wciąż jest mój hotel - przypomniał mu Trent. - Dopóki jesteś moim gościem, cieszysz się oczywiście określonymi przywilejami. Ale radziłbym ci ich nie nadużywać. - Z szacunkiem uklonił się Dodo i wyszedł.

- Curtie! - zawołała dziewczyna.

O'Keefe wydawał się jej nie słyszeć. Oddychał ciężko.

- Curtie, czy dobrze się czujesz?

- Czy musisz zadawać głupie pytania? Oczywiście, że tak! - Z pasją zaczął chodzić z kąta w kąt.

- Przecież to tylko hotel, Curtie. Masz tyle innych.

- Chcę mieć ten!

- Ten stary człowiek ma tylko ten jeden...

- O tak! Oczywiście, jesteś zdolna tylko do takiego rozumienia sprawy. Nielojalność! Głupota! - Jego głos stawał się wysoki, histeryczny. Przerazona Dodo uświadomiła sobie, że nie widziała go jeszcze w takim stanie.

- Curtie. Proszę cię!

- Jestem otoczony przez głupców! Głupców, głupców, głupców! Ty też jesteś głupia! I dlatego mam już ciebie dość. Zastępuję cię kimś innym.

Pożałował swoich słów w tej samej chwili, gdy je wypowiedział. Przez chwilę panowała cisza, a potem O'Keefe wymamrotał:

- Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić.

Oczy Dodo zaszczyły łzami. Poprawiła włosy tym samym odruchowym gestem, na który zwrócił już wcześniej uwagę.

- Chyba się domyślałam, Curtie. Nie musiałeś mi tego mówić.

Weszła do sąsiedniego apartamentu, zamykając za sobą drzwi.

10.

Nieoczekiwana zdobycz podniosła „Kluczyka” na duchu.

Rankiem zawiózł swoje wczorajsze nabytki do domu towarowego „Maison Blanche”. Nie robiono mu żadnych trudności i natychmiast uprzejmie zwrócono mu pieniądze. Uwolniło go to od zbytecznego bagażu i wypełniło wolny czas. Musiał czekać jeszcze kilka godzin, aż będzie mógł odebrać klucz zamówiony wczoraj u ślusarza na Irish Channel.

Miał właśnie wyjść ze sklepu, kiedy zdarzył się ten szczęśliwy przypadek.

Przy jednym ze stoisk na parterze stała dobrze ubrana kobieta i szperała właśnie w torebce szukając karty kredytowej. Upuściła przy okazji pęk kluczy na kółku. Nikt oprócz „Kluczyka” nie zauważył zguby. Milne zaczął więc kręcić się w pobliżu i oglądał krawaty przy sąsiednim stoisku, dopóki kobieta nie poszła dalej.

Podszedł do stoiska i wtedy, jakby po raz pierwszy dostrzegł klucze, zatrzymał się, aby je podnieść. Natychmiast spostrzegł, że obok kluczyków do samochodu jest kilka innych, wyglądających jak klucze do domu. Doświadczonym okiem zauważył jeszcze jedno: do kółka z kluczami przymocowany był również miniaturowy dowód rejestracyjny samochodu. Były to numery rejestracyjne Luizjany.

Trzymając ostentacyjnie klucze za kółko Milne ruszył szybkim krokiem za kobietą wychodzącą ze sklepu. Gdyby ktoś go obserwował, uznaliby, że śpieszy, aby oddać zgubę właścicielce.

Kiedy jednak wmieszał się w tłum pieszych na Canal Street, natychmiast ukrył klucze w dłoni, a potem włożył je do kieszeni.

Wciąż nie tracąc kobiety z pola widzenia, szedł za nią w bezpiecznej odległości. Minęła dwie przecznice i weszła do salonu kosmetycznego. „Kluczyk” zobaczył przez szybę, że zwróciła się do recepcjonisty, który zajrzał do książki zamówień, a potem poprosił ją, żeby poczekała. Milne z radosnym uniesieniem popędził do telefonu.

Po krótkiej rozmowie miejscowej dowiedział się, że informację, która była mu potrzebna, może uzyskać w stolicy stanu, w Baton Rouge. „Kluczyk” zamówił rozmowę międzymiastową i poprosił o połączenie z Wydziałem Komunikacyjnym. Telefonista z centrali od razu wiedział, z jakim numerem wewnętrznym go połączyć.

Trzymając przed sobą kółko, Milne odczytał z przywieszki numer rejestracyjny. Znudzony urzędnik oznajmił, że samochód jest zarejestrowany na nazwisko F. R. Drummond i podał adres w dzielnicy Lakeview w Nowym Orleanie.

W Luizjanie, podobnie jak w innych stanach i prowincjach Ameryki Północnej, informacja o tym, kto jest posiadaczem pojazdu mechanicznego jest ogólnie dostępna i można ją uzyskać bez specjalnego wysiłku, dzięki jedynie rozmowie telefonicznej. Była to perełka wiedzy, z której „Kluczyk” już nie raz korzystał.

Wykonał jeszcze jeden telefon, tym razem wybierając znaleziony w książce telefonicznej numer F. R. Drummond. Zgodnie z oczekiwaniami, nikt nie podnosił słuchawki.

Teraz musiał działać szybko. Obliczył sobie, że ma do dyspozycji godzinę, może trochę więcej. Zawołał taksówkę, która szybko dowiozła go do miejsca, w którym miał zaparkowany swój samochód. Przy pomocy planu miasta dojechał do Lakeview i bez trudu odnalazł zanotowany adres.

Z pewnej odległości dokładnie przyjrzał się domowi. Była to dobrze utrzymana piętrowa rezydencja z podwójnym garażem i rozległym ogrodem. Dzięki wielkiemu cyprysowi rosnącemu obok podjazdu, był on całkowicie niewidoczny z sąsiednich domów.

„Kluczyk”, zupełnie się nie ukrywając, zaparkował samochód pod drzewem i podszedł do drzwi frontowych. Otworzył je bez trudu pierwszym kluczem.

W domu było cicho. Zawołał głośno: „Czy jest tu ktoś?” Gdyby usłyszał odpowiedź, miał przygotowane wytłumaczenie, że zastał drzwi otwarte i trafił pod zły adres. Nikt się jednak nie odezwał.

Szybko obejrzał pokoje na parterze, a potem wszedł na piętro. Znajdowały się tam cztery sypialnie. W największej z nich, w szafie, wisiały dwa futra. Wyjął je i rzucił na łóżko. W następnej szafie znalazł walizki. Wybrał największą i wepchnął do niej futra. Na toaletce stała szkatułka na klejnoty. Opróżnił ją wrzucając zawartość do walizki. Wrzucił tam jeszcze kamerę filmową, lornetkę i przenośne radio. Zamknął walizkę i zszedł z nią na dół, gdzie dołożył do niej srebrną wazę i sosjerkę. Wrócił do samochodu, niosąc walizkę w jednym ręku, a magnetofon, który spostrzegł w ostatniej chwili - w drugim.

„Kluczyk” przebywał w tym domu zaledwie dziesięć minut. Wrzucił walizkę i magnetofon do bagażnika i natychmiast odjechał. Po godzinie chował już zdobycz w pokoju motelowym przy autostradzie Chef Menteur. Potem znowu zaparkował samochód w śródmieściu i poszedł na piechotę do St. Gregory’ego.

Po drodze, w przypiływie dobrego humoru, zastosował się do instrukcji umieszczonej na przywieszce i wrzucił klucze do skrzynki pocztowej. Bez wątpienia, zgodnie z obietnicą producenta, zostaną zwrócone właścicielce.

„Kluczyk” obliczył sobie, że nieoczekiwany łup przyniósł mu mniej więcej tysiąc dolarów czystego zysku.

Wypił kawę i zjadł kanapkę w kawiarni hotelowej, a potem przespacerował się do ślusarza. Duplikat klucza do Apartamentu Prezydenckiego był gotów. Milne zapłacił za niego z radością, mimo że cena była wygórowana.

Gdy wracał, spojrział na słońce lśniące na bezchmurnym niebie. Wraz z nieoczekiwanym porannym sukcesem było zapowiedzią powodzenia w oczekującej go wkrótce akcji. Poczł, jak powraca jego dawna pewność siebie i przeświadczenie o własnej niezwyciężoności.

11.

W całym Nowym Orleanie dzwony niezgranym chórem obwieszczały południe. Ich polifoniczna melodia słabiotko przenikała przez zamknięte i uszczelnione okna Apartamentu Prezydenckiego na dziewiątym piętrze. Książę Croydonu, który drżącą ręką nalewał sobie już

czwartą szkoeką z wodą sodową, usłyszał bicie dzwonów i spojrzął na zegarek. Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Dopiero?... Najdłuższy dzień, jaki pamiętam... - mruknął pod nosem:

- Ale wreszcie się skończy. - Uwaga, rzucona przez księżnę, która leżała na sofie i bez powodzenia usiłowała skoncentrować uwagę na „Poematach” W. H. Audena, była jej najmniej ostrą odpowiedzią w ciągu kilku ostatnich dni. Oczekiwanie, które trwało od ubiegłej nocy oraz świadomość, że Ogilvie i tak bardzo obciążający ich samochód są gdzieś w drodze na północ - gdzie? - były równie ciężkie do zniesienia i dla niej. Mijało właśnie dziewiętnaście godzin od ostatniego kontaktu Croydonów z głównym detektywem i od tej pory nie mieli już żadnych wiadomości o dalszym rozwoju sytuacji.

- Na litość boską! Czy ten człowiek nie mógłby zatelefonować? - Księżę spacerował podniecony po salonie. Zachowywał się tak od rana.

- Ustaliliśmy, że nie będzie próbował się z nami komunikować - przypomniała mu łagodnie księżna. - Tak będzie o wiele bezpieczniej. Poza tym, jeżeli samochód stoi gdzieś ukryty w ciągu dnia, Ogilvie najprawdopodobniej nie pokazuje się nikomu na oczy.

Księżę Croydonu pochylił się nad otwartą mapą drogową i kolejny raz popatrzył na nią uważnie. Zakreślił palcem koło wokół Macon w stanie Mississippi.

- Blisko, piekielnie blisko. - mruknął pod nosem. - I cały dzień... tylko czekać... czekać! - Odszedł od mapy i znowu wymamrotał. - Mogli go znaleźć.

- Najwidoczniej tak się jednak nie stało, bo już byśmy o tym usłyszeli w taki czy inny sposób.

Przed księżną leżał dzisiejszy egzemplarz „States-Item”. Wysłała sekretarza do holu, żeby przyniósł jej pierwsze wydanie. Słuchali również nadawanych co godzinę wiadomości radiowych. Radio było włączone i spiker opisywał właśnie szkody wyrządzone w Massachusetts, a poprzednią wiadomością było oświadczenie Białego Domu na temat Wietnamu. Zarówno prasa, jak i radio wspomniały o wypadku drogowym, ale donosiły jedynie, że śledztwo trwa i nie nastąpiły żadne nowe ustalenia.

- Ubiegłej nocy mógł jechać zaledwie przez kilka godzin - ciągnęła księżna, jakby przekonując sama siebie. - Dzisiejszej nocy będzie inaczej. Wyruszy, gdy tylko się ściemni i jutro rano powinniśmy być już bezpieczni.

- Bezpieczni! - Jej mąż z posępną miną znowu zajął się szklaneczką. - Chyba to jedyna rzecz, która powinna nas obchodzić. A nie to, co się stało. Ta kobieta... dziecko. Były zdjęcia... chyba je widziałaś.

- Już o tym mówiliśmy. Wracanie do tej sprawy nic nie da.

Wydawał się nie słyszeć.

- Dzisiaj jest pogrzeb... Po południu. Moglibyśmy przynajmniej pójść.

- Nie możesz i wiesz, że nie pójdziesz.

W eleganckim, obszernym pokoju zapadła ciężka cisza.

Przerwał ją gwałtownie dzwonek telefonu. Księżę i księżna patrzyli na siebie i żadne z nich nie próbowało podnieść słuchawki. Mięśnie twarzy Croydona zadrżały spazmatycznie.

Sygnal odezwał się znowu, a potem umilkł. Przez zamknięte drzwi słyszeli niewyraźnie głos sekretarza rozmawiającego z drugiego aparatu.

Chwilę później sekretarz zapukał do drzwi i z szacunkiem zajrzał do środka. Spojrzał w stronę księcia.

- Wasza Wysokość, to jedna z miejscowych gazet. Powiedzieli mi, że mają... - zawahał się przed użyciem nieznanego terminu - depeszę specjalną, która dotyczy właśnie Waszej Wysokości.

Z niezwykłym wysiłkiem księżna odzyskała zimną krew.

- Odbiorę. Niech pan się rozłączy. - Podniosła słuchawkę aparatu stojącego przy sofie. Tylko ktoś, kto stałby tuż przy niej dostrzegłby, że jej dłonie drżą.

Poczekala, aż rozlegnie się trzask informujący, że sekretarz odłożył swoją słuchawkę.

- Tu księżna Croydonu, słucham.

Odezwał się szorstki męski głos.

- Tu redakcja miejska „States-Item”. Mamy depeszę specjalną z Associated Press i właśnie otrzymaliśmy dalszy ciąg... Przepraszam. - Mężczyzna przerwał. Słysząc było, jak woła do kogoś poirytowany. - Gdzie to jest, do diabła... Hej, Andy, rzuć mi teleks.

Rozległ się szelest papieru, a potem mężczyzna odezwał się znowu:

- Przepraszam. Przeczytam pani tekst.

LONDYN (AP) Koła zbliżone do kół parlamentarnych podały dzisiaj, że księżę Croydonu, znany brytyjski dyplomata do specjalnych poruczeń, zostanie mianowany następnym ambasadorem Zjednoczonego Królestwa w Waszyngtonie. Pierwsze reakcje są pozytywne. Wkrótce oczekiwane jest oficjalne oświadczenie.

Jest tam tego jeszcze więcej, ale nie będę zwracał pani tym głowy. Zadzwoń, aby się dowiedzieć, czy pani mąż chciałby złożyć oświadczenie w tej sprawie oraz uzyskać pozwolenie państwa na przysłanie do hotelu fotografa.

Księżna na chwilę zamknęła oczy pozwalając się ogarnąć potężnej fali ulgi.

- Czy pani jeszcze mnie słucha? - odezwał się znowu głos w słuchawce.

- Tak. - Zmusiła się do myślenia.

- W sprawie tego oświadczenia, chcielibyśmy...

- Mój mąż - przerwała mu księżna - nie złoży żadnego oświadczenia ani teraz, ani w przyszłości, do chwili, kiedy jego mianowanie zostanie oficjalnie potwierdzone.

- W takim razie...

- To samo odnosi się do fotografowania.

W głosie dziennikarza brzmiało wyraźne rozczarowanie.

- Oczywiście, wydrukujemy w następnym wydaniu tylko ten tekst.

- To wasze prawo.

- A poza tym, chciałbym pozostawać z państwem w kontakcie na wypadek, gdyby został ogłoszony oficjalny komunikat.

- Jeżeli będzie to miało miejsce, mój mąż z całą pewnością chętnie spotka się z prasą.

- Czy możemy więc zatelefonować ponownie?

- Proszę bardzo.

Księżna odłożyła słuchawkę i przez chwilę siedziała bez ruchu, wyprostowana.

Wreszcie oznajmiła, uśmiechając się lekko:

- Wszystko w porządku. Geoffreyowi udało się.

Jej mąż spojrzał na nią z niedowierzaniem. Obliznął wargi.

- Waszyngton?

Powtórzyła treść depechy AP.

- Przeciek był najprawdopodobniej zamierzony - powiedziała. - Jako próbny balon.

Reakcje są pomyślne.

- Nie byłbym w stanie uwierzyć, że nawet twój brat...

- Ale jednak pomógł. Ma wpływy. Z całą pewnością chodziło również o coś innego.

Czas. Potrzebny był ktoś z twoim pochodzeniem, pozycją społeczną. Masz odpowiednie poglądy polityczne. Nie zapominaj, że wiedzieliśmy o możliwości takiej nominacji. Na szczęście, wszystko się dopasowało.

- Teraz, kiedy wreszcie to nastąpiło... - Przerwał, jakby nie chcąc kończyć myśli.

- Kiedy c o nastąpiło?

- Zastanawiam się, czy dam sobie radę?

- Musisz. Oboje musimy.

Pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Był czas...

- Ciągłe mamy taką możliwość. - W głosie księżnej zabrzmiały władcze nuty. - Będziemy musieli spotkać się dzisiaj z prasą. I załatwić mnóstwo innych spraw. Musisz się

więc opanować.

Skinął wolno głową.

- Zrobię, co w mojej mocy. - Podniósł szklaneczkę do ust.

- Nie!

Księżna wstała gwałtownie. Wyjęła szklankę z dłoni męża i poszła z nią do łazienki. Usłyszał plusk wylewanej do umywalki whisky. Wróciła do saloniku i oznajmiła.

- Ani kropli więcej. Rozumiesz? Ani kropli.

Książę sprawiał początkowo wrażenie, jakby chciał zaprotestować, ale w końcu zgodził się.

- Masz rację.

- Jeżeli chcesz, żebym zabrała butelki i wylała zawartość tej...

Pokręcił głową.

- Dam sobie radę. - Z wyraźnym wysiłkiem udało mu się skoncentrować myśli. Wyraz jego twarzy zmienił się błyskawicznie. Pojawiły się na niej siła i skupienie. Kiedy odezwał się, głos miał równy i pewny. - Ależ to bardzo dobra wiadomość.

- Tak - przyznała księżna. - Możemy wszystko rozpocząć od nowa.

Zrobił pół kroku w jej stronę, ale potem zmienił zdanie. Zdawał sobie sprawę, że ów początek nie obejmuje jego osoby.

Jego żona zastanawiała się na głos.

- Będziemy musieli zmienić nasze plany odnośnie wyjazdu do Chicago. Od tej pory wszystko, co zrobisz, będzie uważnie obserwowane. Jeżeli pojedziemy tam razem, natychmiast zainteresuje się tym miejscowa prasa. Również fakt, że oddajemy samochód do reperacji, może wywołać zbyteczne zainteresowanie.

- Musi pojechać tylko jedno z nas.

- Ja to zrobię - oznajmiła stanowczo księżna. - Zmienię trochę swój wygląd, nałożę okulary. Jeżeli będę ostrożna, nikt nie zwróci na mnie uwagi. - Popatrzyła na niewielką dyplomatkę stojącą przy sekretarzyku. - Wezmę pozostałą część pieniędzy i wszystko, co potrzeba.

- Zakładasz, że ten człowiek dojedzie bezpiecznie do Chicago. Ale jeszcze tam nie dotarł.

Wyraz jej oczu świadczył, że przypomniała sobie cały koszmar.

- O Boże! - szepnęła. - Musi to zrobić. Teraz m u s i!

Wkrótce po lunchu Peter McDermott zdołał wymknąć się do swojego mieszkania, aby zmienić urzędowy garnitur, który zazwyczaj nosił w hotelu, na płócienne spodnie i lekką kurtkę. Wrócił na chwilę do gabinetu i podpisał listy, które wychodząc położył na biurku Flory.

- Wrócę późno - poinformował ją. I dodał - Czy dowiedziałaś się czegoś o Ogilviem?
Sekretarka pokręciła głową.

- Właściwie nie. Prosił mnie pan, żebym dowiedziała się, czy pan Ogilvie powiedział komuś, dokąd się wybiera. Niestety, nie zrobił tego.

- Nie liczyłem na to - mruknął Peter.

- Dowiedziałam się tylko jednego - zawahała się Flora. - Pewnie to nic ważnego, ale jest dość dziwne.

- Co?

- Powiedział pan, że Ogilvie jechał jaguarem?

- Tak.

- Należy do księstwa Croydonu.

- Jesteś pewna, że ktoś się nie pomylił?

- Zastanawiałam się - odparła Flora. - Poprosiłam więc, aby w garażu sprawdzono dokładnie tę informację. Powiedziano mi, abym porozmawiała z człowiekiem o nazwisku Kulgmer, który jest nocnym dozorcą garażu.

- Tak, znam go.

- Był ubiegłej nocy na służbie, zadzwoniłam więc do niego do domu. Powiedział mi, że pan Ogilvie wziął samochód na podstawie pisemnego upoważnienia księżnej Croydonu.

- W takim razie chyba nie ma w tym nic złego - wzruszył ramionami Peter. Ale jest jednak coś dziwnego w tym, że Ogilvie korzysta z samochodu Croydonów, a jeszcze dziwniejsze było jakiegokolwiek porozumienie między Croydonami a grubiańskim detektywem. Najwidoczniej Flora zastanawiała się nad tym samym. - Czy samochód wrócił? - spytał.

Flora pokręciła głową.

- Zastanawiałam się, czy powinnam sprawdzić wiadomość u księżnej Croydonu. Ale potem doszłam do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli zapytam najpierw pana.

- Cieszę się, że to zrobiłaś. - Przypuszczał, że najprościej byłoby zapytać Croydonów, czy wiedzą, dokąd pojechał Ogilvie. Zawahał się jednak. Przypomniawszy sobie poniedziałkową rozmowę z księżną, Peter nie miał ochoty na kolejne nieporozumienie, tym bardziej że wszelkie pytania mogły zostać uznane za osobistą zniewagę. Poza tym, byłoby dość kłopotliwe przyznać, że hotel nie wie, gdzie podziewa się jego główny detektyw.

- Na razie dajmy temu spokój - powiedział Florze.

Peter przypomniał sobie o jeszcze jednej nie zakończonej sprawie o Herbie Chandlerze. Dzisiaj rano miał zamiar powiadomić Trenta o oświadczeniach Dixona, Dumaire'a i ich kolegów, wskazujących na udział kierownika boyów w wydarzeniach związanych z próbą gwałtu. Zmienił jednak zdanie widząc, jak bardzo właściciel hotelu pogrążony jest we własnych myślach. Teraz doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli osobiście porozmawia z Chandlerem.

- Dowiedz się, czy Herbie Chandler jest dzisiaj wieczorem na służbie - polecił sekretarce. - Jeżeli tak, powiedz mu, że chcę go widzieć o szóstej. Jeżeli nie, umów go na jutro rano.

Peter wyszedł z gabinetu i zszedł do holu. Kilka minut później wyszedł z półmroku hotelu na zalaną jaskrawym słonecznym światłem St Charles Street.

- Peter! Jestem tutaj.

Odwrócił głowę i zobaczył Marshę kiwającą do niego ręką zza kierownicy białego kabrioletu, wciśniętego w szereg czekających taksówek. Czujny odzwierny szybko wyprzedził Petera i otworzył przed nim drzwiczki wozu. Siadając obok Marshy zauważył trzech kierowców taksówek uśmiechających się szeroko. Jeden z nich gwizdnął przeciągle.

- Cześć! - powitała go Marsha. - Gdybyś nie przyszedł, miałam zamiar złapać jakiś kurs.

W lekkiej letniej sukience wyglądała rozkosznie, ale chociaż powitała go wesoło czuł, że jest zawstydzona. Być może z powodu tego, co wydarzyło się między nimi ubiegłej nocy. Pod wpływem nagłego impulsu uścisnął jej rękę.

- To mi się podoba - przyznała - mimo że obiecałam ojcu, że będę kierowała samochodem obiema rękami. - Włączyła się do ruchu przy pomocy taksówkarzy, którzy przesunęli się do przodu i tyłu, żeby zrobić jej miejsce.

Gdy stali na światłach przy Canal Street, Peter doszedł do wniosku, że po Nowym Orleanie zawsze wożą go atrakcyjne kobiety. Czyż trzy dni temu nie jechał z Christine jej volkswagenem? Tej samej nocy spotkał pierwszy raz Marshę. Miał wrażenie, że minęło więcej niż trzy dni - być może dlatego, że w ich trakcie Marsha zaproponowała mu małżeństwo. Zastanawiał się, czy w otrzeźwiająjącym świetle dnia nie zmieniła zdania. Postanowił jednak samemu nie poruszać tego tematu.

Siedząc tak blisko niej czuł podniecenie, zwłaszcza przypominając sobie ich pożegnanie ubiegłej nocy. Pocałunek - najpierw czuły, potem coraz bardziej namiętny, gdy stopniowo znikwały opory. Ten zapierający dech w piersi moment, kiedy myślał o Marshy jako

o kobiecie, nie dziewczynie. Trzymał ją mocno w objęciach, czując obietnicę jej ciała. Teraz obserwował ją ukradkiem - jej młodzieńczy wigor, gibkość, smukłą sylwetkę pod cienką suknią. Gdyby wyciągnął rękę...

Powstrzymał odruch, choć z pewnym ociąganiem. Przypomnił sobie, że w całym jego dorosłym życiu bliskość kobiet źle wpływała na jego zdolność oceny i wywoływała kłopoty.

Marsha spojrzała w bok, odwracając wzrok od samochodów jadących przed nimi.

- O czym teraz myślisz? - spytała.

- O historii - skłamał. - Od czego zaczniemy?

- Od starego cmentarza St. Louis. Nie byłeś tam jeszcze?

Peter pokręcił głową.

- Nigdy nie uważałem cmentarzy za szczególnie atrakcyjne miejsca do zwiedzania.

- W Nowym Orleanie powinienes.

Do Basin Street jechali krótko. Marsha zaparkowała zgrabnie po południowej stronie jezdni. Przeszli przez bulwar pod ogrodzony murem cmentarz - St. Louis numer jeden - i skierowali się w stronę obramowanego starą kolumnadą wejścia. - Tu się zaczyna spory fragment historii - zaczęła Marsha, biorąc Petera pod rękę. - Na początku osiemnastego wieku, kiedy Francuzi założyli Nowy Orlean, cały ten obszar był bagnem. Nawet teraz byłyby tu bagna, gdyby nie groble oddzielające miasto od rzeki.

- Wiem, że to podmokłe miasto - przytaknął. - W piwnicach hotelowych pompy pracują przez dwadzieścia cztery godziny na dobę odprowadzając podskórną wodę do kanałów.

- Ale było jeszcze bardziej mokre. Nawet w suchym miejscu woda znajdowała się ledwie trzy stopy pod powierzchnią, więc kiedy kopano mogiły, woda zapełniała jamę, zanim zdążono opuścić trumnę. Opowiadano historie o tym, jak grabarze stawali na trumnach, żeby wcisnąć je pod wodę. Czasami musieli robić dziury w wiekach, aby je zatopić. Powiadano, że jeśli ktoś nie umarł naprawdę, na pewno wtedy utonął.

- Brzmi to zupełnie jak horror.

- W niektórych książkach podają, że odór martwych ciał przedostawał się nawet do wody pitnej. - Skrzywiła się z obrzydzeniem. - W każdym razie uchwalono później przepis, że należy chować zwłoki powyżej poziomu gruntu.

Zaczęli iść między szeregami szczególnie okazałych grobowców. Cmentarz nie przypominał Peterowi żadnego, jaki dotychczas widział. Marsha zatoczyła łuk ręką.

- To właśnie zrobiono po wydaniu owego prawa. W Nowym Orleanie nazywamy

omentarze miastami umarłych.

- Teraz rozumiem, dlaczego.

Rzeczywiście przypomina miasto, pomyślał. Z nieregularnym układem ulic i grobami niczym miniaturowe domy. Były wybudowane z cegły i otynkowane, niektóre miały ażurowe balkony z kutego żelaza i miniaturowe chodniki, inne były kilkupiętrowe. Jediną odmienną cechą stanowił brak okien, na miejscu których znajdowały się liczne otwory drzwiowe. Wskazał je ręką.

- Wyglądają, jak wejścia do mieszkań.

- Bo właściwie to są mieszkania. Ale z krótkim okresem wynajmu.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Groby podzielone są na sekcje - wyjaśniła Marsha. - Zwykle groby rodzinne mają od dwóch do sześciu sekcji, obszerniejsze - jeszcze więcej. Do każdej sekcji prowadzą osobne małe drzwi. Przed pogrzebem otwiera się je nieco wcześniej. Znajdująca się wewnątrz trumna zostaje opróżniona, a szczątki przesuwa się do tyłu, gdzie przez specjalną szczelinę spadają na ziemię. Stara trumna zostaje spalona i na jej miejsce wstawiona nowa. Stoi przez rok, a potem historia się powtarza.

- Tylko rok?

- Wystarczy - odezwał się głos za jego plecami. - Czasami jednak trwa to dłużej - jeżeli się nie śpieszy następny. Trochę pomagają karaluchy.

Odwrócili się. Starszy, przysadzisty mężczyzna w poplamionym, dzinsowym kombinezonie przypatrywał się im wesoło. Zdjął słomkowy kapelusz i wytarł łysą głowę czerwoną, jedwabną chustką.

- Gorąco, prawda? - dodał. Poklepał dłonią ścianę grobowca. - Tam w środku jest o wiele chłodniej.

- Jeżeli o mnie chodzi - odparł Peter - wolę raczej upał.

Mężczyzna zachichotał.

- Każdy w końcu tam trafia. Witam, panno Preyscott.

- Dzień dobry, panie Collodi - przywitała się Marsha. - To jest pan McDermott.

Grabarz kiwnął przyjaźnie głową.

- Chce pani obejrzeć rodzinne miejsce?

- Mamy taki zamiar - odparła Marsha.

- Proszę wobec tego za mną. - Potem rzucił przez ramię - Oczyszciliśmy tam wszystko przed tygodniem czy dwoma. Teraz wygląda bardzo dobrze.

Gdy szli po wąskich niby-ulicach, Peter czytał nazwiska na grobach, zauważył też, że

daty są bardzo stare. Ich przewodnik wskazał usytuowany na otwartej przestrzeni dymiący stos.

- Wypalano tu trochę. - Peter dostrzegł w dymie fragmenty trumien.

Zatrzymali się przed sześćciosekcyjnym grobowcem wybudowanym w stylu tradycyjnych, kreolskich domostw. Był pomalowany na biało i w znacznie lepszym stanie niż grobowce w jego sąsiedztwie. Na marmurowych tablicach noszących ślady upływu czasu widniały przede wszystkim nazwiska Preyscottów.

- Jesteśmy starą rodziną - wyjaśniła Marsha. - Tam, w dole musi być już dość tłoczno.

Ukośne promienie słoneczne oświetlały jaskrawo grobowiec.

- Ładny, prawda? - Grabarz patrzył z podziwem, a potem wskazał drzwi pod samym szczytem. - Teraz kolej na otwarcie tego, panno Preyscott. To dla pani taty. - Dotknął kolejnych drzwiczek na drugiej kondygnacji. - A ten jest dla pani. Ale chyba już nie ja będę tu panią kładł. - Przerwał, a potem dodał z namysłem: - Wszystkich nas to spotyka prędzej niż byśmy chcieli. Nie można tracić czasu, o nie! - Ponownie wytarł głowę chustką i pokuśtykał dalej.

Mimo upału Peter zadrżał. Sama myśl o wyznaczeniu miejsca pochówku dla kogoś tak młodego jak Marsha sprawiła mu przykrość.

- Wcale nie jest takie okropne. - Marsha spojrzała na niego i po raz kolejny zdał sobie sprawę, że dziewczyna potrafi czytać jego myśli. - Po prostu wychowano nas tak, abyśmy uważali śmierć za część życia.

Pokiwał głową. Miał już jednak dosyć cmentarnych refleksji i tego miejsca. Szli już w stronę wyjścia na Basin Street. Nagle Marsha położyła dłoń na ramieniu Petera. Przed bramą zatrzymała się kawalkada samochodów. Drzwi aut otwierały się, wysiadali z nich ludzie. Najwidoczniej, zbierał się kondukt pogrzebowy.

- Musimy poczekać - szepnęła Marsha. Odsunęli się na bok. Wciąż stali w pobliżu bramy, mniej jednak teraz zwracali na siebie uwagę.

Grupa ludzi na chodniku rozstąpiła się, robiąc miejsce dla niewielkiej procesji. Pierwszy szedł chudy mężczyzna o wyglądzie przedsiębiorcy pogrzebowego, a za nim ksiądz. Za księdzem podążało wolno sześciu żałobników niosących na ramionach ciężką trumnę, a potem czterech następnych z małą, białą trumienką ozdobioną pojedynczą gałązką oleandru.

- O, nie! - zawołała Marsha. Peter chwycił ją mocno za rękę.

Ksiądz zaintonował:

- Niechaj anioły zaprowadzą was do raj, niechaj męczennicy witają was po drodze i poprowadzą do świętego miasta, Jeruzalem.

Za drugą trumną podążał kondukt. Na jego czele szedł młody mężczyzna w czarnym garniturze, trzymający niezgrabnie w ręku kapelusz. Jego wzrok zdawał się być przykuty do małej trumienki. Po twarzy spływały mu łzy. W idącej za nim grupie ludzi łkała starsza kobieta podtrzymywana przez sąsiadkę.

- ...Niechaj chór aniołów powita was wraz z Łazarzem i utuli do wiecznego snu.

- To ofiary tego wypadku. Zginęła matka i maleńka dziewczynka. Pisały o tym gazety - szepnęła Marsha i Peter zobaczył, że płacze.

- Wiem. - Miał wrażenie, że razem z dziewczyną współuczestniczy w tej scenie. Poniedziałkowy wypadek był dla niego ponurym wspomnieniem. Teraz tragedia ta stawała się bliższa, bardziej osobista. W chwili gdy kondukt ich mijał, poczuł, że i jemu zakręciły się łzy w oczach.

Za pograżoną w żałobie rodziną szli inni ludzie. Ze zdziwieniem Peter zobaczył w tłumie znajomą twarz. Początkowo nie mógł jej zidentyfikować, aż wreszcie poznał Sola Natcheza - starego kelnera z obsługi pokojów, zawieszzonego w obowiązkach po sprzeczce z księstwem Croydonu. Peter posłał po Natcheza we wtorek rano i przekazał polecenie Warrena Trenta, aby Sol do końca tygodnia nie pokazywał się w hotelu. Natchez spojrział w stronę Petera i Marsha, ale wydawał się nie zwracać na nich uwagi. Procesja pogrzebowa przeszła w głąb cmentarza i zniknęła z pola widzenia. Peter i Marsha stali jeszcze przez chwilę.

- Już możemy iść - powiedziała dziewczyna.

Nagle ktoś dotknął ramienia Petera. Gdy się odwrócił, zobaczył Sola Natcheza. A więc jednak ich dostrzegł.

- Zauważyłem, że pan się przygląda, panie McDermott. Czy znał pan tę rodzinę?

- Nie - odparł Peter. - Jesteśmy tu przypadkiem. - Przedstawił mu Marszę.

- Nie będzie pan uczestniczył w uroczystości do końca? - zapytała.

Starszy mężczyzna pokręcił głową.

- Czasami jest to bardzo trudne.

- A więc pan ich znał?

- Bardzo dobrze. Smutna, bardzo smutna historia.

Peter kiwnął głową. Nie było już nic do dodania.

- Nie udało mi się powiedzieć tego panu we wtorek, panie McDermott - zaczął Natchez - ale jestem bardzo wdzięczny za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Pan wstawił się za mną.

- W porządku, Sol. Nie uważałem, że jesteś winny.

- Kiedy o tym rozmyślam, mam takie dziwne wrażenie... - Starszy mężczyzna

popatrzył na Marszę, a potem na Petera. Wyraźnie nie miał ochoty odejść.

- Jakie? - zapytał Peter.

- Myślę o wypadku. - Natchez wskazał ręką kierunek, w którym zniknął kondukt. - Musiał się zdarzyć tuż przed moimi kłopotami w poniedziałkową noc. Może właśnie wtedy, gdy rozmawialiśmy...

- Tak - zgodził się Peter. Nie miał ochoty wyjaśniać, że później sam widział miejsce wypadku. - Chciałbym zapytać, panie McDermott, czy wiadomo już coś w sprawie księcia i księżnej?

- Nic.

Peter podejrzewał, że obaj z ulgą zmienili temat.

- Później dużo myślałem o tej sprawie - ciągnął dalej kelner. I coraz bardziej jestem przekonany, że całą awanturę wywołali specjalnie. Nie mogłem tego pojąć. I dalej nie mogę.

Peter przypomniał sobie, że Natchez powiedział to samo w poniedziałek w nocy. Przypomniał sobie dokładnie słowa, których Natchez użył: *Trąciła mnie w ramię. Gdybym nie wiedział, że to nonsens, pomyślałbym, że zrobiła to umyślnie.* W końcu on sam również odniósł wrażenie, że księżna chce, aby całe wydarzenie zostało dokładnie zapamiętane. Co ona wówczas powiedziała? Że spędzali spokojny wieczór w apartamencie, a potem poszli na spacer wokół hotelu. Według jej słów, właśnie niedawno wrócili. Peter przypomniał sobie, jak zastanawiał się wówczas, dlaczego tak mocno to podkreślała?

A potem księżę Croydonu wymamrotał coś o papierosach pozostawionych w samochodzie, a księżna przerwała mu ostro.

Księżę zostawił papierosy w samochodzie.

Ale skoro Croydonowie przebywali w apartamencie i jedynie przespacerowali się wokół...

Oczywiście, mógł zostawić papierosy w samochodzie wcześniej w ciągu dnia.

Peter jednak był innego zdania.

Nie zwracając uwagi na Marszę i Natcheza, zagłębił się w rozmyślaniach.

Dlaczego Croydonowie chcieli zachować w tajemnicy fakt, że korzystali w poniedziałek wieczorem z samochodu? Dlaczego chcieli wszystkim wmówić, że spędzili wieczór w hotelu? Czy skarga na rozlane krewetki w sosie kreolskim była wyreżyserowanym zdarzeniem, w które wmieszano najpierw Natcheza, a potem Petera po to, żeby podtrzymać tę fikcję? I gdyby nie przypadkowa uwaga księcia, która rozzłościła księżnę, Peter wziąłby wszystko za dobrą monetę.

Dlaczego chcieli zataić fakt, że korzystali z samochodu?

Natchez powiedział przed chwilą: - Mam takie dziwne wrażenie... wypadek... musiał się zdarzyć tuż przed moimi kłopotami.

Croydonowie mieli jaguara.

Ogilvie.

Nagle przypomniał sobie jaguara wyjeżdżającego ubiegłej nocy z garażu. Kiedy samochód zatrzymał się na chwilę w świetle latarni, w jego wyglądzie było coś dziwnego. Nie mógł sobie przypomnieć szczegółów. Co to było? I wreszcie uświadomił sobie: uszkodzony był błotnik i reflektor. Po raz pierwszy dotarł do niego sens policyjnych komunikatów nadawanych w ciągu kilku ubiegłych dni.

- Peter! - zawołała Marsha. - Zbladłeś nagle jak płótno.

Prawie jej nie usłyszał.

Musiał stąd odejść gdzieś, gdzie będzie mógł spokojnie się zastanowić. Musi wszystko starannie przemyśleć - logicznie, bez pośpiechu. Przede wszystkim, nie wolno wyciągać pochopnych wniosków.

Były to kawałki układanki. Na pierwszy rzut oka pasowały do siebie. Ale muszą być parokrotnie przeanalizowane i ułożone. I może odrzucone.

Cały pomysł był zupełnie nieprawdopodobny. Po prostu zbyt fantastyczny, żeby był prawdziwy. Ale jednak...

Usłyszał dobiegający jakby z oddali głos Marshy:

- Peter! Co się stało? Co ci jest?

Sol Natchez również spoglądał na niego ze zdziwieniem.

- Marsho - odparł Peter. - Nie mogę ci jeszcze nic powiedzieć. Muszę jednak iść.

- Dokąd?

- Muszę wracać do hotelu. Bardzo cię przepraszam. Wyjaśnię ci później.

W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie.

- Myślałam, że wypijemy razem herbatę.

- Proszę, zrozum mnie! To naprawdę ważne.

- Może wobec tego cię zawiozę?

- Nie. - Jazda z Marshą oznaczałaby konieczność rozmowy, tłumaczeń. - Proszę. Zadzwoń do ciebie później.

Odszedł, pozostawiając zdziwionych, oszołomionych Marshę i Sola. Stali, patrząc w ślad za nim.

Na Basin Street zawołał przejeżdżającą taksówkę. Powiedział Marshy, że pójdzie do hotelu, zmienił jednak zdanie i podał kierowcy adres swojego mieszkania.

Tam będzie miał większy spokój.

Lepiej będzie mógł wszystko przemyśleć. A później zdecydować, jak ma postąpić. Było już późne popołudnie, gdy Peter McDermott podsumował swoje dotychczasowe refleksje.

Gdy analizuje się fakty dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści razy i za każdym razem dochodzi się do tego samego wniosku, a ma się przy tym do czynienia ze sprawą taką, jak ta, to nie wolno uciekać przed odpowiedzialnością.

Nie opuszczał mieszkania od momentu pożegnania z Marshą. Przewyciężając podniecenie i chęć natychmiastowego działania, zmusił się do racjonalnego, precyzyjnego i pozbawionego pośpiechu myślenia. Przypomnił sobie - minuta po minucie - wydarzenia, które miały miejsce od poniedziałkowej nocy. Próbował inaczej je zinterpretować. Przekonał się, że wszelkiego rodzaju alternatywne warianty nie są spójne ani logiczne, i że w końcu pozostał jedynie ten koszmary wniosek, do którego tak nagle doszedł dzisiaj po południu.

Czas rozważań się skończył. Nadeszła pora podjęcia decyzji.

Zastanawiał się, czy nie powinien przekazać wszystkich swoich spostrzeżeń i wniosków Warrenowi Trentowi, ale odrzucił ten pomysł, oceniając go jako tchórzliwą próbę uchylenia się od odpowiedzialności. Cokolwiek należało zrobić, musi zrobić to sam.

Przebrał się szybko, zmieniając lekkie ubranie na ciemniejszy garnitur. Wyszedł i pojechał do hotelu taksówką.

Udał się do swojego gabinetu. Flora już poszła do domu. Na jego biurku leżała sterta korespondencji. Zignorował ją.

Siedział przez chwilę w bezruchu w cichym gabinecie, zastanawiając się, co powinien teraz uczynić. Potem podniósł słuchawkę, poczekał, aż uzyska połączenie z miastem i wybrał numer miejskiej policji.

13.

Natrętne brzęczenie moskita, który jakimś cudem zdołał przedostać się do wnętrza jaguara, wytrąciło Ogilviego ze snu. Budził się powoli i początkowo nie mógł zorientować się, gdzie właściwie jest. Potem zaczęły mu się przypominać kolejne wydarzenia - wyjazd z hotelu, jazda w mroku poranka, fałszywy alarm, decyzja przeczekania dnia przed podjęciem dalszej podróży na północ. A w końcu jazda wyboistą, polną drogą do kępy drzew, w której ukrył samochód.

Kryjówka została najwyraźniej dobrze wybrana. Rzut oka na zegarek przekonał go, że

spał bez przerwy prawie osiem godzin.

Wraz ze świadomością przyszło uczucie straszliwej niewygody. W samochodzie było duszno, czuł się zeszywniały i obolały od spania na tylnym siedzeniu. W ustach czuł suchość i niesmak. Chciało mu się pić i jeść.

Ogilvie usiadł i otworzył drzwi. Natychmiast otoczyły go następne moskity. Odgonił je ruchem ręki, a potem rozejrzał się wokoło. Starał się ponownie zorientować w okolicy i porównać to, co widział teraz z wrażeniem, jakie odniósł dziś rano. Wtedy panował chłód i półmrok. Teraz słońce stało wysoko i nawet w cieniu drzew było bardzo gorąco.

Przeszedł na skraj kępy drzew, skąd mógł dostrzec główną drogę i drżące nad nią gorące powietrze. Wczesnym rankiem nie było na niej żadnego ruchu... Teraz w obie strony jechało szybko kilka samochodów osobowych i ciężarówek. Dobiegał go słaby warkot ich silników.

W pobliżu rozlegało się jedynie nieustanne brzęczenie owadów. Pomiędzy nim a główną drogą widoczne były tylko łąki, pusta polna droga i kępa drzew, pod którymi ukrył jaguara.

Ogilvie załatwił się, a potem otworzył bagażnik i wyjął paczkę, którą włożył tam przed opuszczeniem hotelu. Znajdował się w niej termos z kawą, kilka puszek piwa, kanapki, salami, słoik z piklami i szarlotka. Jadł żarłocznie, popijając każdy kęs dużymi łykami piwa, a potem kawy. Kawa zdążyła już wystygnąć, ale była mocna i orzeźwiająca.

W czasie jedzenia słuchał samochodowego radia, czekając na wiadomości z Nowego Orleanu. Kiedy wreszcie je podano, okazało się, że o wypadku jedynie wspomniano. Oznaczało to, że nie ma żadnych nowych informacji.

Postanowił zbadać okolicę. Kilkaset jardów dalej, na szczycie pagórka znajdowała się druga grupa drzew, nieco większa od pierwszej. Przeszedł przez otwarte pole i z drugiej strony drzew zobaczył błotnisty, wolno płynący strumień. Ukląkł na pokrytym mchem brzegu i umył się pobieżnie. Poczul, jak go to odświeżyło. Trawa była tu o wiele bardziej zielona i gościnna niż w miejscu, w którym stał samochód. Położył się, podkładając pod głowę marynarkę.

Kiedy już ulokował się wygodnie, znowu zaczął rozmyślać o nocnych wydarzeniach i o tym, co jeszcze go czekało. Wszystko wskazywało na to, że nieoczekiwane spotkanie z Peterem McDermottem przed wejściem do garażu nastąpiło na pewno przypadkowo i teraz można już było o nim zapomnieć. Nietrudno się domyślić, że McDermott wścieknie się, gdy dotrze do niego wiadomość o nieobecności detektywa. Ale nie będzie to miało wpływu na ujawnienie celu podróży Ogilwiego.

Oczywiście, nie można było wykluczyć możliwości, że ubiegłej nocy podniesiono alarm z jakiegoś innego powodu i w chwili obecnej trwają już poszukiwania Ogilviego i jaguara. Jednak w świetle komunikatu radiowego wydawało się to mało prawdopodobne.

Ogólnie rzecz biorąc, perspektywy były niezłe. Zwłaszcza jeżeli wzięto się pod uwagę pieniądze, które znajdowały się w bezpiecznym miejscu i reszcie, którą odbierze jutro w Chicago.

Teraz musiał jedynie czekać, aż zapadnie zmrok.

14.

„Kluczyk” Milne był wesoły przez całe popołudnie. Podniosło go to na duchu i około piątej po południu ostrożnie podszedł do Apartamentu Prezydenckiego.

Jeszcze raz schodami służbowymi przeszedł z ósmego na dziewiąte piętro. Wykonany przez ślusarza z Irish Channel duplikat klucza miał w kieszeni.

Korytarz przed Apartamentem Prezydenckim był pusty. Zatrzymał się przed obitymi skórą, podwójnymi drzwiami. Nasłuchiwał uważnie, ale z wewnątrz nie dobiegł go żaden odgłos.

Rozejrzał się po korytarzu - najpierw w jedną stronę, potem w drugą, po czym jednym ruchem wyciągnął klucz i wsunął go do zamka. Przedtem oprószył go sproszkowanym grafitem, żeby zmniejszyć tarcie. Klucz wszedł z lekkim oporem. Milne przekręcił go, potem uchylił lekko drzwi. W środku było cicho. Zamknął ostrożnie drzwi i wyjął klucz.

Nie miał zamiaru teraz wchodzić do apartamentu. Na to przyjdzie pora później. Dzisiaj w nocy.

Miał zamiar jedynie przeprowadzić zwiad i sprawdzić, czy klucz pasuje. Wieczorem rozpocznie obserwację, czekając na odpowiedni moment.

Na razie wrócił do swojego pokoju na ósmym piętrze. Nastawił budzik i zasnął.

15.

Zaczynało już zmierzchać. Peter McDermott przeprosił swojego rozmówcę i wstał z za biurka, aby włączyć światło. Wrócił i usiadł znowu przed spokojnym mężczyzną w szarym garniturze - kapitanem Yollesem z Wydziału Śledczego nowoorleańskiej policji. Nie wyglądał zupełnie na policjanta. Słuchał uprzejmie Petera, kiedy ten wymieniał kolejne fakty i spostrzeżenia, i sprawiał wrażenie raczej dyrektora banku, rozważającego podanie o

pożyczkę. Tylko raz w czasie długiej rozmowy przerwał Peterowi, aby zapytać, czy może zatelefonować. Skorzystał z aparatu ustawionego w drugim końcu gabinetu i mówił tak cicho, że McDermott niczego nie usłyszał.

Brak jakiegokolwiek reakcji z jego strony wzbudził znowu wątpliwości Petera. Powiedział więc:

- Nie jestem pewien, czy to ma jakikolwiek sens. Prawdę mówiąc, zaczynam się czuć trochę głupio.

- Gdyby więcej osób chciało podjąć takie ryzyko, panie McDermott, praca policji byłaby o wiele łatwiejsza. - Po raz pierwszy w czasie całej rozmowy kapitan Yolles wyjął ołówek i notes. - Jeżeli cokolwiek z tego się potwierdzi, będziemy potrzebowali pańskich zeznań. Poza tym, chciałbym uzyskać od pana kilka szczegółów. Przede wszystkim, chodzi mi o numer rejestracyjny samochodu.

Ta informacja znajdowała się w potwierdzającej poprzedni meldunek notatce Flory. Peter odczytał numer i detektyw zapisał go w notesie.

- Dziękuję. A teraz chciałbym prosić o rysopis Ogilwiego. Oczywiście, znam go, ale chciałbym, żeby pan mi go opisał.

Po raz pierwszy od początku rozmowy Peter uśmiechnął się.

- To łatwe.

W chwili gdy kończył opis, zadzwonił telefon. Peter podniósł słuchawkę.

- Do pana - powiedział.

Tym razem słyszał odpowiedzi detektywa, ale składały się one przede wszystkim z powtarzanych „tak jest, proszę pana” i „rozumiem”.

W pewnym momencie policjant podniósł wzrok i popatrzył z uznaniem na Petera.

- Powiedziałbym, że jest godny zaufania. - Uśmiechnął się lekko. - I zatroskany.

Powtórzył numer rejestracyjny i rysopis Ogilwiego, a potem odłożył słuchawkę.

- Ma pan rację, że jestem zatroskany - powiedział Peter. - Czy zamierza pan skontaktować się z księciem i księżną Croydonu?

- Jeszcze nie. Chcielibyśmy mieć więcej danych. - Detektyw spojrzał z namysłem na Petera. - Czy widział pan dzisiejszą gazetę?

- Nie.

- Był przeciek - opublikował go „States-Item” - że księżę Croydonu ma zostać ambasadorem Wielkiej Brytanii w Waszyngtonie.

Peter gwizdnął cicho.

- Mój szef właśnie mi powiedział, że nominacja została oficjalnie potwierdzona.

- Czy to nie oznacza, że będzie go chronił immunitet dyplomatyczny?

Detektyw pokręcił głową.

- Nie za coś, co już się zdarzyło. J e ż e l i się zdarzyło.

- Ale fałszywe oskarżenie...

- Konsekwencje byłyby poważne w każdym przypadku, a szczególnie w tym. Dlatego właśnie poruszamy się ostrożnie, panie McDermott.

Peter zrozumiał, że i hotel i on sam mieliby mnóstwo kłopotów, gdyby do wiadomości publicznej przedostało się choć jedno słowo o prowadzonym śledztwie, a Croydonowie okazaliby się niewinni.

- Jeżeli to panu pomoże trochę się uspokoić - rzekł kapitan Yolles - zdradzę panu parę szczegółów. Po moim pierwszym telefonie nasi ludzie przeanalizowali kilka faktów. Doszli do wniosku, że ten pański Ogilvie może spróbować wyprowadzić samochód poza granice stanu, prawdopodobnie gdzieś na północ. Nie wiemy, niestety, w jaki sposób jest powiązany z Croydonami.

- Też nie mam pojęcia - odparł Peter.

- Możliwe, że jechał przez ubiegłą noc, od chwili gdy go pan zobaczył i zaszył się gdzieś na okres dnia. Przecież zdaje sobie sprawę, czym mu grozi próba jazdy w pełnym świetle. W tej chwili jesteśmy już przygotowani do akcji. Na terenie dwunastu stanów ogłoszony został alarm.

- A więc potraktował pan poważnie moje przypuszczenia?

- Nie powiedziałem jeszcze panu o następnej sprawie. - Detektyw wskazał telefon. - Zadzwonili do mnie przed chwilą z wiadomością, że mamy już wyniki badań znalezionych na miejscu wypadku stłuczonego szkła i oprawki reflektora. Przeprowadzono je w laboratorium stanowym. Początkowo były kłopoty z określeniem producenta. Zajęło nam to trochę czasu. Teraz już wiemy, że szkło i oprawka pochodzą z jaguara.

- Czy można mieć co do tego całkowitą pewność?

- Nawet więcej, panie McDermott. Jeżeli znajdziemy samochód, który zabił tę kobietę i dziecko, jesteśmy w stanie udowodnić ten fakt bez cienia wątpliwości.

Kapitan Yolles wstał i Peter wyszedł z nim do sekretariatu. McDermott zdziwił się, widząc czekającego tam Herbiego Chandlera, ale przypomniał sobie, że sam polecił, aby kierownik boyów zameldował się u niego wieczorem lub rano. Po popołudniowych wydarzeniach miał ochotę odwołać to najprawdopodobniej nieprzyjemne spotkanie, ale uznał, że niczego w ten sposób nie zyska.

Zauważył, że detektyw i Chandler popatrzyli na siebie.

- Dobranoc, panie kapitanie - powiedział. Ze złośliwą satysfakcją zarejestrował wyraz niepokoju, jaki na moment pojawił się na twarzy Chandlera. McDermott poprosił kierownika boyów do swojego gabinetu.

Otworzył szufladę biurka i wyjął teczkę z oświadczeniami napisanymi wczoraj przez Dixona, Dumaire'a i pozostałych dwóch chłopaków. Podał je Chandlerowi.

- Mam wrażenie, że zainteresuje pana ten dokument. A gdyby strzelił panu do głowy jakiś pomysł, uprzedzam, że pokazuję tylko kopię. Oryginały mam schowane.

Chandler spojrzał na niego z urażoną miną i zaczął czytać. W miarę jak przewracał kartki, stawał się coraz bardziej zdenerwowany. Zacisnął wargi. Peter usłyszał, jak głośno wciągnął powietrze przez zęby. Chwilę później mruknął:

- Sukinsyny!

- Dlatego - warknął Peter - że stwierdzili, iż jesteś alfonsem?

Kierownik boyów zaczerwienił się i odłożył dokumenty.

- Co ma pan zamiar z tym zrobić?

- Miałbym ochotę, zwolnić cię natychmiast. Ale ponieważ pracujesz tu od tak dawna, postanowiłem przedstawić całą sprawę panu Trentowi.

Chandler zapytał jękliwie:

- Panie Mac, czy moglibyśmy o tym trochę porozmawiać?

Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, ciągnął dalej:

- Panie Mac, w miejscach takich jak te dzieje się wiele rzeczy...

- Jeżeli ma pan zamiar mówić mi o call girls i innych kantach, to wątpię, czy jest coś, o czym bym nie wiedział. Ale wiem coś, o czym i pan dobrze wie - w pewnych sprawach kierownictwo hotelu jest stanowcze. Stręczenie kobiet nieletnim jest jedną z nich.

- Panie Mac, czy mógłby pan tym razem nie informować pana Trenta? Czy cała sprawa nie może pozostać tylko między nami?

- Nie.

Kierownik boyów obrzucił spojrzeniem cały gabinet, spojrzał na Petera. Herbie wyraźnie się nad czymś zastanawiał.

- Panie Mac, jeżeli ktoś chce jakoś żyć i da żyć innym... - Przerwał.

- Tak?

- No cóż, czasami mogłoby to być coś warte.

Zaciekawiony Peter nie odezwał się ani słowem.

Chandler zawahał się, a potem z namysłem odpiął kieszeń kurtki. Wyjął z niej złożoną na pół kopertę i położył ją na biurku.

- Zobaczmy, co to takiego - powiedział McDermott.

Chandler podsunął mu kopertę. Nie była zapieczętowana, a w środku znajdowało się pięć studolarowych banknotów. Peter przyjrzał się im ze zdziwieniem.

- Są prawdziwe?

Chandler uśmiechnął się krzywo:

- Jasne.

- Byłem ciekaw, za ile chce pan mnie kupić. - Peter rzucił mu z powrotem kopertę. - Niech pan zabiera pieniądze z powrotem i wynosi się.

- Panie Mac. Mógłbym trochę dołożyć...

- Wynocha! - rzucił cicho Peter. Uniósł się w fotelu. - Wynos się, zanim ci skręcę ten brudny kark.

Herbie Chandler zabrał pieniądze i wyszedł. Jego twarz była pełna nienawiści.

Gdy Peter McDermott pozostał sam, przez chwilę siedział zgarbiony za biurkiem. Rozmowy z policjantem i Chandlerem wyczerpały go i wprawiły w przygnębienie. Ta druga, pomyślał, była chyba najgorszym przeżyciem, zapewne dlatego, iż konieczność dotknięcia zaproponowanej łapówki pozostawiła w nim uczucie, że pobrudził sobie ręce.

Czy rzeczywiście? Bądź uczciwy wobec samego siebie, pomyślał. Był moment, że miał ochotę wziąć trzymane w ręku pieniądze. Pięćset dolarów zawsze mogło się przydać. Peter nie żywił żadnych złudzeń co do tego, jak kształtują się jego zarobki w porównaniu z dochodami kierownika boyów. Herbie zagarniał niewątpliwie o wiele więcej. Gdyby chodziło o kogoś innego, nie o Chandlera, może by nawet uległ pokusie. A może nie? Bardzo pragnął mieć pewność. W każdym razie, nie byłby pierwszym dyrektorem hotelu przekupionym przez podwładnego.

Ironia całej sytuacji polegała na tym, że Peter wcale nie był pewien, co by się stało, gdyby przedłożył Warrenowi Trentowi dowody obciążające Herbiego Chandlera. Gdyby hotel zmienił nagle właściciela, co było nader prawdopodobne, Trent już by się tymi sprawami nie zajmował. Zresztą, istniała szansa, że i Peter nie miałby tu co robić. Przed objęciem władzy przez nowe kierownictwo z całą pewnością zostaną wyciągnięte teczki personalne wszystkich pracowników wyższego szczebla zarządzania, a wtedy odgrzebana zostanie znowu stara, brzydka sprawa skandalu w Waldorfie. A może wreszcie już wszystko poszło w zapomnienie? No cóż, pomyślał Peter, najprawdopodobniej wkrótce się o tym przekonam.

Powrócił myślami do chwili obecnej.

Na biurku leżał pozostawiony przez Florę wydruk z popołudniowymi danymi

dotyczącymi liczby gości. Peter zapoznał się z liczbami. Wynikało z nich, że hotel ma coraz więcej gości, a wieczorem można znowu spodziewać się kompletu. Jeżeli St. Gregory miał polec w walce, przynajmniej będą temu towarzyszyły fanfary.

Poza wydrukiem i kilkoma telefonogramami na biurku leżała również nowa sarta poczty i not służbowych. Peter przerzucił je i uznał, że nie ma tam nic, co nie mogłoby poczekać do jutra. Pod notatkami leżała brązowa koperta. Kiedy ją otworzył, znalazł w niej generalny plan organizacji kuchni i żywienia hotelowych gości, który zastępca szefa kuchni, André Lemieux, wręczył mu wczoraj. Peter zaczął się z nim zapoznawać dziś rano.

Zerknął na zegarek i postanowił, że przed wieczornym obchodem przeczyta dalszy fragment. Usiadł wygodnie i rozłożył przed sobą kartki wypełnione starannym pismem oraz precyzyjnie sporządzonymi wykresami i planami.

W miarę jak czytał, coraz bardziej wzrastał jego podziw do młodego kuchmistrza. Plan był mistrzowski i doskonale przedstawiał zarówno problemy hotelu, jak też możliwości rozwoju działalności restauracyjnej. Peter poczuł irytację, przypominając sobie informację Lemieux, że szef kuchni, pan Hèbrand całkowicie odrzucił ten projekt.

Oczywiście, pewne wnioski były dość dyskusyjne i Peter nie zgadzał się z paroma pomysłami Lemieux. Na przykład odniósł wrażenie, że szacunkowe koszty zostały potraktowane nieco zbyt optymistycznie. Były to jednak drobiazgi. Najważniejszy był fakt, że ktoś rzeczywiście dobrze zorientowany zaproponował konkretny plan likwidacji niedociągnięć w organizacji hotelowego żywienia. Peter wiedział, że jeśli talenty André Lemieux nie zostaną wykorzystane w St. Gregorym, młody kuchmistrz prawdopodobnie znajdzie sobie miejsce, gdzie je docenią.

Odłożył plany i szkice do teczki. Było mu przyjemnie, że ktoś w hotelu z takim entuzjazmem odnosi się do swojej pracy. Postanowił, że podzieli się z Lemieux swoimi wrażeniami, mimo że w obecnej, niepewnej sytuacji hotelu niewiele sam mógł zrobić w tej sprawie.

Krótką rozmowa telefoniczna pozwoliła mu się zorientować, że szef kuchni w dalszym ciągu jest chory i jego obowiązki pełni pan Lemieux. Zgodnie z obowiązującym protokołem Peter przekazał wiadomość, że właśnie wybiera się do kuchni.

André Lemieux oczekiwał go w drzwiach prowadzących do kuchni z głównej sali restauracyjnej.

- Proszę wejść, monsieur. Witam pana serdecznie. - Młody zastępca szefa kuchni prowadził Petera przez gwarą, gorącą kuchnię i przekrzykując hałas mówił mu prosto do ucha. - W tej chwili jesteśmy, jak powiadają muzycy, blisko crescendo.

W porównaniu ze względny spokojem, jaki panował tu wczoraj po południu - teraz, wczesnym wieczorem, w kuchni rozpełtało się pandemonium. Cała wieczorna zmiana znajdowała się na służbie. Kuchmistrze, ich pomocnicy i armia kuchcików w swoich wykrochmalonych białych fartuchach i czepcach wyglądali niczym stokrotki rozkwitłe na polu. Wokół nich, przez fale gorąca i kłęby pary, przemykali pośpiesznie spoceni pomocnicy dźwigając tace, patelnie i garnki. Inni pchali przed sobą zastawione jedzeniem wózki, wymijając pędem inne wózki, jak też kelnerów i kelnerki, którzy nieśli tace z jedzeniem wysoko nad głową. Na podgrzewanych stołach porcjowano i układano na talerzach dania obiadowe, zamówione z dzisiejszej karty, które następnie dostarczano do sal restauracyjnych. Zręczni kucharze przygotowywali specjalne zamówienia z pokoi hotelowych. Kelnerzy niecierpliwie dopytywali, kiedy wreszcie zostaną zrealizowane ich zamówienia i otrzymywali burkliwe odpowiedzi od kucharzy. Inni kelnerzy, z pełnymi tacami w rękach, przechodzili przed dwiema czujnymi i surowymi rejestratorkami, które notowały ilość wynoszonych dań na automatycznych kasach. W dziale zup i sosów, kłęby pary buchały z bulgoczących garnków i kotłów. Nieco dalej, dwaj kucharze z wprawą przygotowywali kanapki i gorące zakąski. Za nimi, zaniepokojony cukiernik nadzorował przygotowanie deserów.

Od czasu do czasu, ze szczykiem otwierały się drzwi piekarników i refleksy płomieni tańczące na pochylonych nad piecami, zatroskanymi twarzami pozwalały wyobrazić sobie, jak wygląda piekło. Ponad zaś tym wszystkim, szczyk talerzy atakował uszy wszystkich, a smakowity zapach jedzenia i aromat świeżo parzonej kawy wdzierał się do nozdrzy.

- Gdy jesteśmy najbardziej zajęci, monsieur, mamy najwięcej powodów do dumy. Albo powinniśmy je mieć, póki nie zajrzy się pod liście kapusty.

- Przeczytałem pański dokument. - Peter oddał mu teczkę i poszedł za nim do przeszklonego pokoiku. Hałas nie był tu tak ogłuszający. - Podobały mi się pańskie pomysły. Co do niektórych mam pewne wątpliwości, ale jest ich niedużo.

- Chętnie bym je przedyskutował, gdyby potem nastąpiły konkretne działania.

- Chyba jeszcze nie teraz. W każdym razie nie takie, o których pan myśli.

Zanim nastąpią jakieś działania reorganizacyjne, pomyślał Peter, musi zapaść o wiele ważniejsza decyzja: kto zostanie właścicielem hotelu.

- Być może ja i mój plan musimy pójść sobie gdzie indziej. Nieważne. - André Lemieux wzruszył ramionami i dodał - Monsieur, mam właśnie odwiedzić kuchnię obsługującą zjazdy i kongresy. Czy zechce mi pan towarzyszyć?

Peter miał zamiar w czasie dzisiejszego obchodu sprawdzić również dania podawane na obiad członkom zjazdów. Równie dobrze mógł zacząć inspekcję od kuchni na tamtym

piętrze.

- Dziękuję. Chętnie pójdę - powiedział.

Wjechali służbową windą dwa piętra wyżej i wyszli w miejscu, które pod wieloma względami było wierną kopią głównej kuchni. Z tego miejsca można było jednocześnie dostarczyć dwa tysiące posiłków do trzech sal konferencyjnych oraz do tuzina prywatnych jadalni St. Gregory'ego. Tempo pracy było tutaj równie gorączkowe jak w kuchni na dole.

- Jak pan wie, monsieur, mamy dziś wieczorem dwa bankiety. W Wielkiej Sali Balowej i Sali Bienville.

Peter skinął głową.

- Tak. Kongres Dentystów i Gold Crown Cola. - Po tym, co leżało na talerzach niesionych do drzwi znajdujących się na dwóch przeciwległych krańcach długiej kuchni, mógł się zorientować, że głównym daniem dentystów był pieczony indyk, a u sprzedawców coli - flądra sauté. Grupy kucharzy i kuchcików obsługiwały obie konferencje, w równym rytmie układając na talerzach jarzyny i garnir. Potem nakładali metalowe pokrywki na napelnione talerze, które ustawiali na tacach kelnerów.

Dziewięć talerzy na tacę. Tyłu uczestników konferencji siedziało przy jednym stole. Dwa stoły na jednego kelnera. Cztery dania na jednym bankiecie, plus dodatkowo bułeczki, masło, kawa i *petits fours*. Peter obliczył sobie, że każdy kelner odbędzie co najmniej dwanaście kursów z pełnym obciążeniem. Prawdopodobnie jednak może być ich więcej, jeżeli bankiet będzie bardziej wystawny, albo - jak się to czasami zdarzało - kelnerowi wyznaczano do obsługi dodatkowe stoliki. Nic dziwnego, że niektórzy z nich pod koniec dnia robili wrażenie bardzo zmęczonych.

Maître d'hôtel, wyglądający nienagannie we fraku i muszce, będzie mniej zmęczony. W tej właśnie chwili stał pośrodku pomieszczenia jak policjant na skrzyżowaniu i regulował ruchem wędrujących w obu kierunkach kelnerów. Gdy dostrzegł André Lemieux i Petera, podszedł do nich.

- Dobry wieczór, szefie, dobry wieczór, panie McDermott. - Chociaż w hotelowej hierarchii Peter stał wyżej niż obaj jego rozmówcy, na tym terytorium, maître d'hôtel słusznie zwrócił się najpierw do zastępcy szefa kuchni.

- Jak wygląda sprawa bankietów, panie Dominie? - spytał Lemieux.

Maître d'hôtel spojrział na kartkę papieru. - Na kongresie Gold Crown zaplanowano udział dwustu czterdziestu osób i tyle też przygotowaliśmy miejsc. Wszystkie są już chyba zajęte.

- To etatowi pracownicy sieci handlowej - wyjaśnił Peter. - Muszą tu być. Z

dentystami sprawa wygląda inaczej. Są zupełnie niezależni. Najprawdopodobniej trwa między nimi konflikt i wielu z nich się nie pojawi.

Maître d'hôtel skinął potakująco głową.

- Słyszałem, że sporo piją w pokojach. Zużycie lodu jest ogromne i obsługa pokojów ma wiele zamówień na koktajle. Być może, zmniejszy się przez to zapotrzebowanie na wydawane porcje.

Planowanie ilości posiłków na konferencje zawsze było trudne i stawało się niejednokrotnie przyczyną bólu głowy całej trójki. Organizatorzy konferencji składali zazwyczaj gwarancyjne zamówienia na przewidywaną minimalną ilość uczestników, w praktyce jednak różnica sięgała stu czy dwustu porcji w jedną lub drugą stronę. Po prostu, nigdy nie było wiadomo, ilu delegatów połączy się w niewielkie grupki i opuści oficjalny bankiet, czy też w ostatniej chwili zjawiają się wszyscy.

W kuchni hotelowej ostatni moment przed rozpoczęciem wielkiego bankietu zawsze cechowało największe napięcie. Był to bowiem rodzaj testu i wszyscy zdawali sobie sprawę, że ich reakcja na wszelkie komplikacje stanowi dowód umiejętności organizacyjnych.

- Jakie były wstępne zamówienia? - zapytał Peter.

- Dla dentystów, pięćset porcji. Mamy już prawie tyle, ile trzeba i zaraz zaczniemy podawać. Ale chyba ciągle się zbierają.

- Czy można szybko ustalić, ilu dodatkowych gości przybyło?

- Wysłałem człowieka na salę. O, już jest. - Mężczyzna w czerwonej kurtce szedł szybkim krokiem, wymijając kelnerów, od strony służbowych drzwi prowadzących do Wielkiej Sali Balowej.

- Jeżeli zajdzie taka potrzeba, czy będziemy mogli dostarczyć więcej posiłków? - Peter zapytał André Lemieux.

- Oczywiście, monsieur, zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Maître d'hôtel porozmawiał chwilę ze starszym kelnerem i wrócił do Petera i Lemieux. - Prawdopodobnie mamy sto siedemdziesiąt osób ponad normę. Ciągłe ich przybywa! Dostawiamy już nowe stoliki.

Jak zawsze, kłopoty przychodziły prawie bez ostrzeżenia. Sytuacja stała się wyjątkowo trudna. Sto siedemdziesiąt dodatkowych porcji, które należało wydać natychmiast, mogło wystawić na próbę każdą kuchnię. Peter odwrócił się w stronę André Lemieux i nagle okazało się, że młodego Francuza nie ma już obok niego.

Zastępca szefa kuchni ruszył do akcji jak wystrzelony z katapulty. Już był wśród swojego personelu, wydając polecenia z szybkością karabinu maszynowego:

- Młodszy kucharz do głównej kuchni po siedem indyków przygotowanych na jutro do zimnej kolacji... Przygotowalnia! wykorzystać rezerwy! Szybciej! Kroić wszystko, co jest pod ręką!.. Więcej jarzyn! Zabrać część z drugiego bankietu, w którym chyba wykorzystują mniej niż wynosi norma! Drugi młodszy kucharz - do głównej kuchni, zebrać wszystkie wolne warzywa... I niech przekaże polecenie: przysłać natychmiast dodatkowych ludzi! Dwóch do krojenia i dwóch dodatkowych kucharzy... poinformować głównego cukiernika! Za kilka minut trzeba podać sto siedemdziesiąt dodatkowych deserów... Brać, skąd się da! Zamieniać! Nakarmić dentystów!

Młody, błyskotliwy, pewny siebie, pogodny André Lemieux dyrygował wszystkim po mistrzowsku.

Dokonano już zmian w ustawieniu kelnerów: niektórych niepostrzeżenie wycofano z obsługi mniejszego bankietu Gold Crown Coli, gdzie pozostali musieli przejąć ich obowiązki. Goście na pewno nic nie zauważą, może tylko niektórzy spostrzegą, że następne danie podaje im ktoś inny. Pozostali kelnerzy, przerzuceni już do Wielkiej Sali Balowej mieli do obsłużenia po trzy stoliki, zamiast dwóch. Najbardziej doświadczeni i sprawni potrafili pracować nawet przy czterech jednocześnie. Pewnie będzie trochę narzekania, ale niewiele. Kelnerzy na konferencjach byli najczęściej wolnonajemni, zatrudniani przez hotel w razie potrzeby. Dodatkowa praca oznaczała dodatkowe pieniądze. Cztery dolary za trzygodzinną pracę przy dwóch stołach, a każdy dodatkowy stolik oznaczał zwiększenie płacy o połowę. Napiwki, dodawane do rachunków na podstawie wcześniejszych uzgodnień, podwoją zarobek. Sprawni i szybcy kelnerzy wrócą do domu z szesnastoma dolarami, a jeśli będą mieli szczęście, przy śniadaniu lub lunchu zarobią drugie tyle.

Peter dostrzegł wózek z trzema świeżo upieczonymi indykami. Toczono go szybko od strony służbowej windy, a kucharze z przygotowalni już się rzucili w jego stronę. Pomocnik, który przyprowadził wózek, od razu wrócił po kolejne indyki.

Piętnaście porcji z indyka. Dzielono go błyskawicznie ze zręcznością chirurga. Te same proporcje na każdą porcję: białe mięso, ciemne mięso, garnir. Dwadzieścia porcji na tacę. Przenieść teraz tacę na stół obsługi. I kolejne wózki załadowane jarzynami - niczym okręty zdążające pełną parą do miejsca zbiórki.

Wysyłając swoich gońców zastępca szefa kuchni uszczuplił liczbę pracowników. Teraz sam André Lemieux wkroczył do akcji, zastępując dwóch nieobecnych kucharzy. Zespół zaczął pracować jeszcze szybciej niż poprzednio.

Talerz... mięso... pierwsza jarzyna... druga... sos... odsunąć talerz na bok... pokrywka! Jeden człowiek do każdej czynności... ręce, dłonie, chochle poruszające się jak w zgranym

chórze. Jedno danie na sekundę... wciąż coraz szybciej! Przed stołem obsługi coraz bardziej wydłużająca się kolejka kelnerów.

Z drugiej strony kuchni główny cukiernik otwiera zamrażarkę - ogląda, wybiera, zatrząskuje drzwiami. Cukiernicy z głównej kuchni śpieszą na pomoc. Przygotowują rezerwowe desery, których coraz więcej przynoszą z zamrażarek w suterenie.

Wśród tego pośpiechu chwila zamieszania.

Kelner zwrócił się do starszego kelnera, starszy kelner do kierownika sali, kierownik sali - do André Lemieux.

- Szefie, pewien dżentelmen mówi, że nie lubi indyka. Pyta, czy nie mógłby dostać pieczeni wołowej słabo wysmażonej.

Spoceni kucharze parsknęli śmiechem.

Peter wiedział jednak, że pytanie zostało zadane zgodnie z protokołem. Tylko szef kuchni mógł zatwierdzić odstępstwo od standardowego menu.

- Może ją dostać - odparł André Lemieux, uśmiechając się szeroko. - Ale obsłużcie go jako ostatniego przy tym stole.

To również był stary zwyczaj obowiązujący w każdej kuchni. W imię dobrych układów z klientami, w większości hoteli na żądanie chętnie zmieniano standardowy posiłek, nawet jeśli zastępcze danie miało być droższe. Jednak niezmiennie - podobnie jak teraz - indywidualista musiał czekać i dostawał swój talerz na końcu. Stanowiło to swego rodzaju ostrzeżenie dla wszystkich, którzy mogliby wpaść na podobny pomysł.

Szereg kelnerów czekających przy stole obsługi wyraźnie się zmniejszył. Większość gości w Głównej Sali Balowej, w tym również ci, którzy przyszli ostatni, otrzymali już główne danie. Pikolacy zaczęli już znosić brudne talerze. Najgorsze już minęło. André Lemieux opuścił posterunek wśród obsługi i spojrzał pytająco na cukiernika.

Cukiernik, chudy jak szczapa mężczyzna, który wyglądał, jakby w ogóle nie lubił słodczy, złożył razem kciuk i palec wskazujący tworząc kółko i powiedział:

- Wszystko gotowe, szefie.

Lemieux podszedł do Petera:

- Monsieur, mam wrażenie, że jesteśmy już na fali.

- Powiedziałbym, że poszło znakomicie. Jestem zachwycony.

Francuz wzruszył ramionami.

- Widział pan tylko część naszej pracy. Przepraszam, monsieur.

Odszedł na bok.

Na deser była *bombe aux marrons, cherries flambées*. Miały być podane z pełnym

ceremoniałem, przy wygaszonych światłach na sali, zapalone i trzymane na wysoko uniesionych tacach.

Kelnerzy ustawiali się już w szeregu przed drzwiami służbowymi. Cukiernik i jego pomocnicy sprawdzali tace. Na dany znak zostanie zapalony spirytus w umieszczonym pośrodku każdej tacy naczyniu. Dwaj kucharze trzymali w pogotowiu knoty do zapalania.

André Lemieux sprawdził wszystko.

Główny kelner stał z uniesioną ręką przy wejściu na salę i z napięciem obserwował twarz zastępcy szefa kuchni.

Gdy André Lemieux skinął głową, ręka głównego kelnera opadła gwałtownie w dół.

Kucharze z fidybusami przebiegli wzdłuż szeregu zapalając spirytus w naczyniach. Podwójne drzwi służbowe zostały otworzone na oścież. Na dany znak elektryk przygasił światła. Muzyka milkła stopniowo, aż nagle orkiestra urwała w pół taktu. Szum rozmów ucichł powoli.

Nagle zapłonął umieszczony za plecami uczestników bankietu reflektor, oświetlając drzwi do kuchni. Przez chwilę panowała cisza, a potem rozległy się fanfary. Kiedy ucichły, orkiestra i organy zagrzały fortissimo pierwsze takty „The Saints”. Procesja kelnerów z płonącymi tacami wmaszerowała na salę w rytm muzyki.

Peter McDermott wszedł do Wielkiej Sali Balowej, aby lepiej wszystko widzieć. Dostrzegł ogromny tłum zgromadzonych gości, szczerze zapełniających wielką salę.

Oh, when the Saints; Oh, when the Saints; Oh when the Saints go marching in... Kelnerzy w dopasowanych niebieskich uniformach maszerowali w nogę. Wszyscy poddali się nastrojowi chwili. Niektórzy z nich za parę minut wrócą do przerwanych prac w drugiej sali bankietowej. Teraz, w półmroku, niesione przez nich tace wyglądały jak pochodnie... *Oh, when the Saints; Oh, when the Saints; Oh when the Saints go marching in...* Wśród zgromadzonych gości zerwała się spontaniczna burza braw. Stopniowo zaczęto klaskać w rytm muzyki, gdy tymczasem kelnerzy okrążali salę. A więc, wszystko odbyło się zgodnie z planem. Nikt poza kuchnią nie zorientował się, że przed kilkoma minutami kuchnia przeżyła tak poważne kłopoty. *Lord, I want to be in that number, When the Saints go marching in...* Gdy kelnerzy dotarli do stołów, przy akompaniamencie oklasków i wiewatów znowu zapłonęły światła.

André Lemieux stanął przy Peterze.

- To już wszystko na dziś wieczór, monsieur. Chyba, że miałby pan ochotę na koniak. Mam odrobinę w kuchni.

- Nie, dziękuję - uśmiechnął się Peter. - To było wspaniałe widowisko. Gratuluję!

Kiedy się odwrócił, zastępca szefa kuchni zawołał:

- Dobranoc, monsieur. I proszę nie zapomnieć.

Peter zatrzymał się, zaskoczony:

- O czym?

- O tym, co już kiedyś powiedziałem. We dwóch poprowadzilibyśmy pierwszorzędnny hotel.

Peter, rozbawiony, ale i zamyślony przeszedł między stołami bankietowymi, kierując się w stronę wyjścia z sali balowej.

Był już niemal przy drzwiach, kiedy zorientował się, że coś jest nie w porządku. Zatrzymał się i rozejrzał wkoło, nie mogąc zdać sobie sprawy ze źródła niepokoju. Nagle olśniło go. Doktor Ingram - mały, bojowy przewodniczący Kongresu Dentystów powinien przewodniczyć bankietowi, który był jednym z głównych wydarzeń kongresu. Nie było go jednak widać ani na miejscu prezydyjnym, ani też nigdzie indziej.

Kilku delegatów kręciło się wokół stołów, pozdrawiając znajomych i przyjaciół. Mężczyzna z aparatem słuchowym zatrzymał się koło Petera.

- Wspaniała końcówka, prawda?

- Na pewno. Mam nadzieję, że bankiet sprawił panu przyjemność.

- Był w porządku.

- A przy okazji - stwierdził Peter. - Szukam doktora Ingrama. Nigdzie nie mogę go dostrzec.

- I nie zobaczy go pan - odparł ostro mężczyzna, patrząc na niego podejrzliwie. - Jest pan z gazety?

- Nie, z dyrekcji hotelu. Spotkałem się z doktorem Ingramem kilkakrotnie....

- Złożył rezygnację. Dzisiaj po południu. Moim zdaniem, zachował się jak skończony głupiec.

Peterowi udało się nie okazać zdziwienia.

- Nie wie pan przypadkiem, czy doktor jest jeszcze w hotelu?

- Nie mam pojęcia. - Mężczyzna z aparatem słuchowym poszedł dalej.

Na piętrze z salami kongresowymi znajdował się wewnętrzny telefon.

Centrala poinformowała Petera, że doktor Ingram wciąż znajduje się na liście gości hotelowych, ale w jego pokoju nikt nie podnosi słuchawki. McDermott zadzwonił do głównego kasjera.

- Czy doktor Ingram z Filadelfii wymeldował się już?

- Tak, panie McDermott, przed chwilą. Widzę go jeszcze w holu.

- Proszę kogoś wysłać i poprosić, aby łaskawie zaczekał. Schodzę na dół.

Kiedy Peter zjawił się w holu, doktor Ingram stał obok walizek. Na ramieniu miał płaszcz przeciwdeszczowy.

- O co tym razem chodzi, panie McDermott? Jeżeli chce pan dostać referencje dla waszego hotelu, to ma pan pecha. A poza tym, muszę zdążyć na samolot.

- Dowiedziałem się o pańskiej rezygnacji. Przyszedłem powiedzieć, że jest mi przykro z tego powodu.

- Mam wrażenie, że dadzą sobie radę beze mnie. - Z położonej dwa piętra wyżej Wielkiej Sali Balowej dobiegły ich brawa i wiwaty. - Wszystko wskazuje, że już się doskonale bawią.

- Czy bardzo pan żałuje?

- Nie. - Doktor przestąpił z nogi na nogę, spuścił głowę i w końcu warknął - Kłamię. Jest mi cholernie przykro. Nie powinno, ale jest.

- Trudno się dziwić.

Doktor Ingram podniósł gwałtownie głowę.

- Niech pan dobrze zrozumie jedno, panie McDermott. Nie jestem przegrany i nie muszę się tak czuć. Przez całe życie byłem nauczycielem i wiele wskazuje na to, że dobrym. Wychowałem wielu dobrych lekarzy - takich jak między innymi Jim Nicholas - sporo procedur zabiegowych nosi moje nazwisko, książki, które napisałem są podręcznikami. I to jest najważniejsze. A tamto - skinął głową w stronę sali bankietowej - to tylko dodatki.

- Nie zdawałem sobie sprawy...

- Ale mimo wszystko, takie dodatki są przyjemne. Można je nawet polubić. Chciałem być prezesem. Byłem zadowolony, kiedy mnie wybrali. W końcu jest to wyrazem uznania ze strony ludzi, których opinię sobie cenię. Mówiąc całkiem uczciwie, panie McDermott - i Bóg jeden raczy wiedzieć, dlaczego o tym wszystkim panu mówię - bardzo mnie boli, że nie jestem tam dzisiaj wieczór. - Przerwał i spojrzał w górę, kiedy z Wielkiej Sali Balowej ponownie dobiegły do nich odgłosy bankietu. - Ale w pewnym momencie trzeba wybrać albo to, co się chce mieć, albo to, w co się wierzy. - Doktor Ingram parsknął. - Niektórzy z moich przyjaciół uważają, że zachowałem się jak idiota.

- Obrona swoich zasad nie jest idiotyczna.

Dr Ingram spojrzał Peterowi prosto w oczy.

- Ale pan tak nie postąpił, McDermott, kiedy miał pan okazję. Za bardzo martwił się pan o ten hotel i o swoją pracę.

- Niestety, ma pan rację.

- No cóż, skoro ma pan przynajmniej tyle uczciwości, żeby się przyznać, to coś ci powiem, synu. Nie ty jeden. Były czasy, kiedy ja również zachowywałem się bardziej elastycznie. Zresztą, wszyscy tacy jesteśmy. Czasami jednak trafia nam się jeszcze jedna szansa. Jeżeli się panu przytrafi - niech się pan nie waha.

Peter przywołał boya.

- Odprowadzę pana do drzwi.

Doktor Ingram pokręcił głową.

- Nie ma potrzeby. Nie oszukujmy się, McDermott. Nie lubię ani pana, ani tego hotelu.

Boy spojrzał na niego pytająco.

- Chodźmy - oznajmił Ingram.

16.

Późnym popołudniem, Ogilvie ponownie zasnął koło kępy drzew, w której ukryty był jaguar. Obudził się o zmierzchu, kiedy pomarańczowe słońce opierało się już na zachodzie o szczyty łańcucha wzgórz. Żar dnia przeobraził się w przyjemnie rześki chłód wieczoru. Ogilvie uświadomił sobie, że wkrótce trzeba będzie ruszać w drogę i zaczął się śpieszyć.

Najpierw posłuchał radia. Nie było żadnych nowych wiadomości, jedynie powtórka tego, co słyszał już wcześniej. Zadowolony, wyłączył radio.

Wrócił do strumienia i odświeżył się polewając twarz i głowę wodą, aby odgonić resztki senności. Z pozostałego prowiantu przygotował sobie szybki posiłek, potem napełnił termosy wodą i położył je na tylnym siedzeniu obok chleba i sera. Do jutra rana nie miał zamiaru robić żadnych niepotrzebnych przystanków.

Planowana trasa prowadziła teraz na północny zachód, przez pozostałą część stanu Mississippi. Potem przetnie zachodnie odgałęzienie Alabamy i skieruje się prosto na północ przez Tennessee i Kentucky. Z Louisville skręci na zachód przez Indianę, dojeżdżając niemal do Indianapolis. Do Illinois wjechałby niedaleko Hammond, a stamtąd już bezpośrednio do Chicago.

Cała pozostała część podróży obejmowała siedemset mil. Odległość była zbyt wielka, aby pokonać ją za jednym zamachem, ale Ogilvie uznał, że o świcie powinien znaleźć się w okolicy Indianapolis, gdzie - jak sądził - będzie już raczej bezpieczny. Stamtąd od Chicago dzielić go będzie jedynie dwieście mil.

Wycofał jaguara spośród osłaniających go drzew, kiedy zapadły ciemności i

skierował go wolno w stronę głównej szosy. Potem, z pomrukiem zadowolenia, zakręcił na północ na US 45.

W Columbus w stanie Mississippi, gdzie pochowano poległych w bitwie pod Shiloh, Ogilvie zatrzymał się, aby zatankować. Przezornie wybrał niewielki sklepik na przedmieściu, obok którego stała staroświecka pompa paliwowa oświetlona pojedynczą lampą. Zatrzymał samochód możliwie najdalej od światła, dzięki czemu cały przód samochodu pogrążony był w cieniu.

Storpedował wszelkie próby nawiązania rozmowy, ignorując pytania „Przyjemna noc, prawda?” i „Daleko pan jedzie?” Zapłacił gotówką za benzynę i sześć batonów czekoladowych i pojechał dalej.

Dziewięć mil dalej na północ przekroczył granicę stanu Alabama.

Za oknem przemykały kolejno miasteczka Vernon, Sulligent, Hamilton, Russellville, Florence. Ta ostatnia miejscowość, jak poinformował go przydrożny napis, znana była z produkcji sedesów. Kilka mil dalej wjechał do Tennessee.

Ruch był stosunkowo słaby i jaguar spisywał się doskonale. Warunki jazdy były idealne, zwłaszcza, że wkrótce po zapadnięciu ciemności pojawił się księżyc w pełni. Nie było ani śladu jakichkolwiek działań policji.

Ogilvie odprężył się z zadowoleniem.

Pięćdziesiąt mil na południe od Nashville, w Columbia w stanie Tennessee, zakręcił na US 31.

Ruch się wzmaczał. Potężne ciągniki z naczepami przesywając reflektorami noc, z rykiem pędziły długim, oślepiającym szeregiem na południe - w stronę Birmingham i na północ - w kierunku uprzemysłowionego Środkowego Zachodu. W strumieniu tym od czasu do czasu pojawiały się samochody osobowe, których kierowcy odważyli się podjąć ryzyko nocnej jazdy. Ogilvie czasem wyprzedzał jadące wolno auto, ale uważał, aby nie przekroczyć dozwolonej prędkości. Nie miał ochoty zwracać na siebie uwagi, ani przekraczając szybkość, ani w jakikolwiek inny sposób. Po jakimś czasie zauważył jadący za nim samochód. Trzymał się za nim, zachowując tę samą prędkość. Ogilvie poprawił lusterko, tak aby odbłask światła tamtego nie raził go w oczy i zwolnił, żeby go przepuścić. Gdy jadący za nim nie skorzystał z okazji, gruby detektyw obojętnie wrócił do poprzedniej prędkości.

Kilka minut później zauważył, że ruch na pasmach prowadzących na północ zwalnia. Ostrzegawczo błyskały światła hamulcowe. Wyjechał nieco w lewo i dostrzegł coś, co wyglądało jak grupa reflektorów. Jadące na północ szeregi samochodów łączyły się w jeden. Cała sytuacja doskonale pasowała do sceny wypadku drogowego.

A potem, kiedy wyjechał z zakrętu, zobaczył prawdziwy powód zmniejszenia przepustowości autostrady. Po obu stronach drogi stały dwa szeregi wozów policji drogowej stanu Tennessee, migając czerwonymi światłami na dachach. Na środku centralnego pasa autostrady tkwiła wyraźnie oznakowana zapora. W tej samej chwili jadący za nim samochód również włączył policyjne migacze.

Gdy jaguar zwolnił i zatrzymał się, policjanci z wyciągniętą bronią pobiegli w jego kierunku.

Rozdygotany Ogilvie podniósł ręce nad głowę.

Barczysty sierżant otworzył drzwi wozu.

- Trzymaj łapy wysoko - ostrzegł tłuściocha - i wychodź powoli. Jesteś aresztowany.

17.

- Hej - zauważyła na głos Christine Francis. - Znowu pan tak robi. Za każdym razem kiedy nalewano kawę trzymał pan filiżankę w obu dłoniach. Zupełnie jakby sprawiało to panu jakąś ulgę.

Albert Wells jak stary, sprytny wróbel zerknął na nią ze swojego miejsca po drugiej stronie stołu.

- Jest pani bardziej spostrzegawcza niż wiele innych osób.

Znowu źle dzisiaj wygląda, pomyślała. Powróciła bladeść podobna do tej sprzed trzech dni i przez cały wieczór męczył go oskrzelowy kaszel, ale w niczym nie pomniejszało to jego wesołości. Powinien mieć kogoś, uznała Christine, kto by się nim zaopiekował.

Siedzieli w głównej sali restauracyjnej St. Gregory'ego. Od chwili ich przyścia tutaj większość gości już wyszła, paru jednak nadal siedziało przy kawie i likierach. Chociaż hotel był pełny, przez cały wieczór niewiele osób odwiedziło restaurację.

Maks, główny kelner, podszedł dyskretnie do ich stołu.

- Czy mogę czymś jeszcze służyć, sir?

Albert Wells spojrział na Christine, która pokręciła głową.

- Chyba nie. Niech pan w dogodnej chwili przyniesie rachunek.

- Oczywiście, proszę pana. - Maks skinął Christine głową, zapewniając ją spojrzeniem, że nie zapomniał o ich wcześniejszej umowie.

Gdy kelner odszedł, drobny mężczyzna wyjaśnił:

- Powiem pani coś o kawie. Kiedy prowadzi się poszukiwania na północy, jeżeli chce się utrzymać przy życiu, nie marnuje się niczego, nawet ciepła, które daje kubek trzymany w

ręku. To staje się drugą naturą. Są takie rzeczy, o których od czasu do czasu warto sobie przypomnieć.

- Dlatego, że były to dobre czasy, czy dlatego, że teraz łatwiej jest żyć?

- Po trochu jedno i drugie - odparł po chwili zastanowienia.

- Powiedział mi pan, że był górnikiem - zauważyła Christine. - Nie wiedziałam, że był pan też poszukiwaczem.

- Najczęściej, trzeba być jednym i drugim naraz. Szczególnie na Tarczy Kanadyjskiej - czyli na Terytoriach Północnozachodnich, Christine, prawie na krańcach Kanady. Kiedy jesteś sam, tylko ty i tundra - nazywają ją arktyczną pustynią - musisz robić wszystko, od wbijania palików oznaczających granice działki, po roztapianie wiecznej zmarzliny. Tak trzeba, bo po prostu nie ma nikogo innego, kto by to zrobił.

- Czego pan poszukiwał?

- Uranu, kobaltu. Przede wszystkim złota.

- Czy znalazł pan? Myślę o złocie.

Skinął głową.

- Wielu złoto znalazło. W okolicach Yellowknife, nad Wielkim Jeziorem Niewolniczym. Znajdowano je tam od 1890 po wielką gorączkę złota w 1945. Najczęściej jednak teren był zbyt trudny, żeby je wydobywać.

- To musiało być ciężkie życie - zauważyła Christine.

Wells kaszlnął, wypił łyk wody i uśmiechnął się przepraszająco.

- Wtedy ja też byłem twardszy. Jeżeli da się Tarczy choć cień szansy, zabije. - Rozejrzał się po przyjemnie urządzonej sali jadalnej oświetlonej kryształowymi kandelabrami. - Mam wrażenie, jakby wszystko działo się sto lat temu.

- Powiedział pan, że najczęściej warunki były zbyt trudne, żeby wydobywać złoto. Ale nie zawsze?

- Nie zawsze. Niektórzy mieli więcej szczęścia od innych, chociaż nawet dla nich mogło się to źle skończyć. Może w pewnym stopniu dlatego, że Tarcza i Pustkowia robią z ludźmi dziwne rzeczy. Czasami ci, których uważa się za mocnych - i to nie tylko ciałem - okazują się najsłabszymi. Człowiek uważa, że można komuś powierzyć własne życie - ale przekonuje się wkrótce, że się pomylił. I może być odwrotnie. Pamiętam, jak raz... - Przerwał, gdy kelner położył na stole tackę z rachunkiem.

- Proszę mówić dalej - poprosiła.

- To raczej długa historia, Christine. - Wziął do ręki kartkę i spojrzał na nią uważnie.

- Chciałabym ją usłyszeć - oświadczyła zupełnie szczerze Christine. Im dłużej znam

tego skromnego człowieka, pomyślała, tym bardziej go lubię.

Spojrzał na nią. Odniosła wrażenie, że dostrzega w jego oczach rozbawienie. Popatrzył na stojącego po drugiej stronie sali głównego kelnera, a potem na Christine. Szybko wyjął pióro i podpisał rachunek.

- Zdarzyło się to w 1936 - zaczął - mniej więcej w tym czasie, kiedy zaczynała się jedna z ostatnich gorączek złota w okolicach Yellowknife. Prowadziłem poszukiwania w pobliżu brzegów Wielkiego Jeziora Niewolniczego. Miałem wtedy wspólnika. Nazywał się Hymie Eckstein. Był z Ohio. Pracował w handlu konfekcją, sprzedawał używane samochody, w ogóle zajmował się wieloma rzeczami. Był nachalny i strasznie dużo mówił. Ale jakoś potrafił zadbać, żeby ludzie go lubili. Nazywa się to chyba czarem osobistym. Kiedy zjawił się w Yellowknife, miał trochę pieniędzy, a ja byłem splukany. Hymie zaopatrzył nas obu w sprzęt do poszukiwań.

Albert Wells w zamyśleniu upił łyk wody.

- Hymie nigdy w życiu nie widział rakiet śnieżnych, nie słyszał o wiecznej zmarzlinie, nie odróżniał miki od kwarcu. Ale od samego początku dobrze się nam układało. I wygrzebaliśmy się.

Byliśmy w terenie miesiąc, może dwa. Na Tarczy traci się rachubę czasu. Aż pewnego dnia, niedaleko ujścia Yellowknife River usiedliśmy, żeby skręcić sobie papierosy. Kiedy tak sobie siedziałem, zrobiłem to, co zawsze robią poszukiwacze - odłupałem kawałek zwietrzałej skały i wrzuciłem parę kawałków do kieszeni. Potem, na brzegu jeziora, przemyłem rozkruszony kamień. Myślałem, że przewrócę się z wrażenia, kiedy okazało się, że jest to złoto.

- Musi to być najbardziej podniecające uczucie na świecie - powiedziała Christine.

- Być może są rzeczy, które mogą podniecić jeszcze bardziej. Ale jeżeli istnieją, ja nigdy na nie nie trafiłem. No cóż, pobiegliśmy z powrotem na miejsce, w którym odłupałem tę skałę i pokryliśmy je mchem. Dwa dni później przekonaliśmy się, że teren został już opalikowany. Był to chyba najstraszliwszy cios dla nas obu. Okazało się, że rok wcześniej działkę zarejestrował pewien poszukiwacz z Toronto. A potem wrócił na wschód, nie mając pojęcia o tym, co posiada. Zgodnie z prawem Terytoriów, jeżeli nie pracuje się na działce, prawo do niej wygasa po roku od dnia rejestracji.

- Ile czasu brakowało?

- Dokonaliśmy naszego odkrycia w czerwcu. Gdyby sytuacja się nie zmieniła, działka stałaby się bezpańska ostatniego dnia września.

- Czy nie mogliście siedzieć cicho i po prostu przeczekać?

- Mieliśmy taki zamiar. Ale nie było to takie łatwe. Przede wszystkim, działka, którą znaleźliśmy leżała w prostej linii z działającą już kopalnią, a poza nami w tym rejonie pracowali również inni poszukiwacze. A poza tym, Hymie i ja dokładnie splukaliśmy się z pieniędzy oraz prowiantu.

Albert Wells skinął na przechodzącego obok kelnera.

- Postanowiłem mimo wszystko napić się jeszcze trochę kawy. A pani? - zapytał Christine.

Pokręciła głową.

- Nie, dziękuję. Niech pan nie przerywa. Chciałabym poznać całą resztę. - Zdumiewające, pomyślała, że taka przygoda mogła się zdarzyć komuś tak zwyczajnemu, jak ten niepozorny mężczyzna z Montrealu.

- No cóż, Christine, mam wrażenie, że te trzy miesiące były najdłuższymi, jakie obaj przeżyliśmy. I chyba najtrudniejsze. Po prostu wegetowaliśmy. Jedliśmy ryby, jakieś rośliny. Pod koniec byłem chudszy od gałazki, a nogi miałem czarne od skorbutu. Nabawiłem się zapalenia oskrzeli i zapalenia żył. Hymie był w niewiele lepszym stanie, ale nigdy nie narzekał i zacząłem lubić go coraz bardziej.

Podano kawę i Christine czekała na dalszy ciąg.

- Wreszcie nadszedł ostatni dzień września. Słyszeliśmy w Yellowknife, że kiedy wygaśnie pierwsze prawo własności działki, spróbują przejąć ją inni, postanowiliśmy więc nie ryzykować. Mieliśmy paliki w pogotowiu. Natychmiast po północy wbiliśmy je w oznaczone miejsca. Pamiętam, że była absolutnie ciemna noc, padał obfity śnieg i wiał silny wiatr.

Objął dłońmi filizankę jak poprzednio.

- I to wszystko, co zapamiętałem, w końcu bowiem natura upomniała się o swoje. Następną rzeczą, jaką zobaczyłem, była sala w szpitalu w Edmonton, niemal tysiąc mil od miejsca, gdzie palikowaliśmy naszą działkę. Dowiedziałem się potem, że Hymie wyciągnął mnie z Tarczy, chociaż zupełnie nie wyobrażam sobie, jak to zrobił. A potem samolotem przewieziono mnie na południe. Wielokrotnie, nawet już w szpitalu, uważano, że nie przeżyję. Ale nie umarłem. Kiedy jednak zacząłem porządkować swoje sprawy, żałowałem, że tak się nie stało. - Przerwał i upił łyk kawy.

- Czy okazało się, że zgłoszenie nie jest prawomocne? - spytała Christine.

- Zgłoszenie było w porządku. Kłopot był z Hymiem. - Albert Wells z namysłem pogładził się po swoim spiczastym nosie. - Może powinienem trochę się cofnąć. Kiedy czekaliśmy na Tarczy, podpisaliśmy dwa akty sprzedaży. Każdy z nas, na papierze, przekazał drugiemu pozostałą połowę działki.

- Dlaczego tak zrobiliście?

- To był pomysł Hymiego, zabezpieczenie na wypadek, gdyby któryś z nas nie przeżył. Gdyby się tak stało, ten drugi miał zatrzymać dokument stwierdzający, że cała działka należy do niego i podrzeć ten drugi. Aby uprościć procedurę prawną, jak stwierdził Hymie. Wtedy wydawało się, że jest to sensowna propozycja. Gdyby nam obu udało się przeżyć, zgodnie z umową zniszczylibyśmy oba dokumenty.

- Ale kiedy leżał pan w szpitalu... - odpowiedziała Christine.

- Hymie wziął oba dokumenty i zarejestrował je. Zanim byłem w stanie zainteresować się tym, Hymie posiadał już pełen tytuł własności i prowadził eksploatację przy użyciu odpowiednich maszyn i wynajętych pracowników. Dowiedziałem się, że jedna z dużych spółek zajmujących się przerobem rudy proponowała mu wykup za ćwierć miliona dolarów, a inni chętni ustawiali się w kolejce.

- I nie mógł pan nic zrobić?

Wells pokręcił głową.

- Sądziłem, że jestem bez szans. Mimo to, gdy tylko opuściłem szpital, zaraz pożyczyłem dosyć pieniędzy, aby dostać się na północ.

Albert Wells przerwał i pomachał na powitanie komuś po drugiej stronie sali. Christine podniosła wzrok i zobaczyła Petera McDermotta zbliżającego się do ich stołu. Zastanawiała się przed chwilą, czy Peter będzie pamiętał o jej propozycji przyłączenia się do nich. Na jego widok serce zaczęło jej mocniej bić, ale zaraz wyczuła, że Peter jest przygnębiony.

Starszy pan przywitał go ciepło. Kelner natychmiast przystawił jeszcze jedno krzesło.

Peter usiadł z wyraźną przyjemnością.

- Obawiam się, że się spóźniłem. Zdarzyło się parę rzeczy. - Cóż za łagodne określenie, pomyślał.

Christine miała nadzieję, że później uda się jej porozmawiać z Peterem na osobności.

- Pan Wells opowiadał mi właśnie wspaniałą historię. Musisz posłuchać, jak się to wszystko skończyło.

Peter wypił łyk kawy przyniesionej przez kelnera.

- Trochę to przypomina oglądanie filmu od środka. Ale nadrobię opóźnienie potem.

Wells uśmiechnął się i spojrział na swoje powykrzywiane, spracowane ręce.

- Nie ma już zbyt wiele do opowiadania, ale koniec jest rzeczywiście trochę nieoczekiwany. Pojechałem na północ i znalazłem Hymiego w Yellowknife, w czymś, co spełniało rolę hotelu. Obrzuciłem go najgorszymi wyzwiskami, jakie przysły mi do głowy.

On zaś przez cały czas uśmiechał się szeroko, co doprowadzało mnie do jeszcze większej wściekłości, aż wreszcie byłem w takim stanie, że mógłbym go zabić. Jednak tego nie zrobiłem. Znał mnie wystarczająco dobrze.

- Ależ paskudny człowiek - stwierdziła z oburzeniem Christine.

- Ja też tak uważałem. Ale kiedy się trochę uspokoiłem, Hymie powiedział, żebym poszedł za nim. Kiedy znaleźliśmy się u prawnika, okazało się, że są tam przygotowane dokumenty, przekazujące mi z powrotem moją część - uczciwie i skrupulatnie. O wiele bardziej skrupulatnie niż można się było spodziewać, bo Hymie nie wziął nic za całą tę robotę, którą wykonał w czasie kilku miesięcy mojej nieobecności.

Christine pokręciła z oszołomieniem głową.

- Nie rozumiem. Dlaczego...

- Hymie wszystko mi wyjaśnił. Powiedział, że od początku zdawał sobie sprawę, że trzeba będzie przeprowadzić wiele prawnych działań, podpisać wiele dokumentów, zwłaszcza jeżeli nie wystawimy działki na sprzedaż i postanowimy sami na niej pracować - a wiedział, że taki był mój zamiar. Trzeba było zaciągnąć pożyczki bankowe - na maszyny, pensje i całą resztę. Kiedy leżałem w szpitalu, większość czasu nie wiedząc nic o bożym świecie, nie mógłby niczego zrobić, gdyby tytuł własności opiewał na mnie. Wykorzystał więc akt sprzedaży i zaczął działać. Przez cały czas miał zamiar zwrócić mi moją część. Problem polegał tylko na tym, że nigdy nie lubił pisać i o niczym mnie nie powiadomił. Ale od samego początku załatwiał wszystko absolutnie zgodnie z prawem. Gdyby umarł, dostałbym jego udział razem z moim.

Peter McDermott i Christine patrzyli na niego w osłupieniu.

- Potem - ciągnął Albert Wells - zrobiłem to samo z moją połową. Sporządziłem testament na rzecz Hymiego. Utrzymaliśmy umowę dotyczącą tej właśnie kopalni do chwili, gdy Hymie zmarł pięć lat temu. Mam wrażenie, że mnie czegoś nauczył: jeżeli w kogoś wierzysz, nie śpiesz się ze zmianą opinii.

- A co z kopalnią? - zapytał Peter McDermott.

- No cóż, odmawialiśmy sprzedaży i okazało się, że mieliśmy rację. Hymie prowadził ją przez wiele lat. Wydobycie trwa w dalszym ciągu i jest jedną z najlepiej prosperujących na północy. Od czasu do czasu jadę sobie ją obejrzeć, żeby przypomnieć sobie dawne czasy.

Christine patrzyła na niego z otwartymi ustami, aż wreszcie zdołała wykrztusić:

- Pan... pan... ma kopalnię złota?

Albert Wells wesoło skinął głową.

- Owszem. A poza nią jeszcze parę innych drobiazgów.

- Niech mi pan wybaczy ciekawość - zapytał Peter McDermott. - Czy może mógłby pan powiedzieć, jakich?

- Nie jestem do końca pewien. - Drobny mężczyzna poprawił się na krześle. - Chyba parę gazet, kilka statków, towarzystwo ubezpieczeniowe, domy i inne temu podobne rzeczy. W ubiegłym roku kupiłem sieć sklepów spożywczych. Lubię nowe rzeczy. To pobudza moją ciekawość.

- O, tak - przyznał Peter. - Łatwo mogę to sobie wyobrazić.

Albert Wells uśmiechnął się chytrze.

- Prawdę mówiąc, miałem zamiar powiedzieć wam o tym jutro, ale równie dobrze mogę zrobić to teraz. Właśnie kupiłem ten hotel.

18.

- Oto ci panowie, panie McDermott.

Maks, główny kelner wskazał na drugą stronę holu, gdzie dwaj mężczyźni - jednym był detektyw, kapitan Yolles - czekali cierpliwie koło kiosku z gazetami.

Kilka minut temu Maks wywołał Petera z sali restauracyjnej, gdzie po oświadczeniu Alberta Wellsa siedział razem z Christine w oszołomionym milczeniu. Zdawał sobie sprawę, że oboje są zbyt zaskoczeni, aby do końca zrozumieć sytuację, albo ocenić jej znaczenie. Peter z ulgą przyjął wiadomość, że jest pilnie potrzebny. Szybko przeprosił i obiecał, powrócić później, jeżeli będzie mógł.

Kapitan Yolles podszedł do niego. Przedstawił swojego towarzysza.

- Detektyw sierżant Bennett, panie McDermott. Czy moglibyśmy gdzieś spokojnie porozmawiać?

- Proszę tędy - Peter przeprowadził mężczyzn koło stanowiska portiera do pustego w nocy biura kierownika działu rozliczeń. Gdy znaleźli się w środku, kapitan Yolles podał Peterowi złożone wczesne wydanie jutrzejszego „Times-Picayune”. Przez trzy szpalty biegł nagłówek:

CROYDON ZATWIERDZONY NA STANOWISKU

AMBASADORA W. BRYTANII

WIADOMOŚĆ DOCIERA DO NIEGO W „MIEŚCIE PÓLKSIEŻYCA”

Kapitan Yolles zamknął drzwi gabinetu.

- Panie McDermott, Ogilvie został aresztowany. Zatrzymano go godzinę temu w samochodzie, niedaleko Nashville. Policja stanowa z Tennessee ma waszego detektywa pod

kluczem i wysłaliśmy już ludzi, aby sprowadzić go z powrotem. Samochód zostanie przywieziony ciężarówką, pod przykryciem. Ale ekspertyza przeprowadzona na miejscu wykazuje, że raczej nie ma wątpliwości, że to ten, którego szukaliśmy.

Peter skinął głową. Zdawał sobie sprawę, że obaj policjanci przyglądają mu się ze zdziwieniem.

- Chyba niezbyt szybko wszystko do mnie dociera - usprawiedliwił się. - Muszę powiedzieć, że przed chwilą przeżyłem coś w rodzaju szoku.

- W związku z tą sprawą?

- Nie. Z hotelem.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Yolles rzekł:

- Może pana zainteresuje to, że Ogilvie złożył zeznanie. Twierdzi, iż nic nie wie o tym, że samochód jest poszukiwany w związku z wypadkiem. Twierdzi, że księżę i księżna Croydonu zapłacili mu dwieście dolarów za odprowadzenie go na północ. Miał przy sobie taką sumę pieniędzy.

- Czy pan mu wierzy?

- Może tak było. Albo i nie. Lepiej zorientujemy się jutro, po przeprowadzeniu przesłuchania.

Jutro, pomyślał Peter, wiele rzeczy się wyjaśni. Dzisiaj wieczorem wszystko wydaje się nierzeczywiste.

- Co panowie teraz zrobicie?

- Mamy zamiar złożyć wizytę księstwu Croydonu. Chcielibyśmy, żeby pan nam towarzyszył, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Sądzę... Jeśli uważacie panowie, że to konieczne...

- Dziękuję.

- Jest jeszcze jedna sprawa, panie McDermott - wtrącił drugi detektyw. - O ile wiemy, księżna Croydonu dała jakieś pisemne upoważnienie na zabranie samochodu z garażu hotelowego.

- Owszem, powiedziano mi o tym.

- To może być ważne, proszę pana. Jak pan myśli, czy ktoś mógłby przechować takie upoważnienie?

Peter zastanowił się chwilę.

- Możliwe. Jeżeli panowie chcą, zadzwonię do garażu.

- Chodźmy tam - oznajmił kapitan Yolles.

Kulgmer, nocny dozorca garażu, był niepokieszony:

- Wie pan, powiedziałem sobie, że może będę potrzebował tej kartki, po prostu jako podkładki na wypadek, gdyby ktoś pytał. I niech mi pan wierzy, szukałem jej dziś wieczór, aż wreszcie przypomniałem sobie, że musiałem ją wczoraj wyrzucić razem z papierem od kanapek. Naprawdę to nie moja wina. - Wskazał przeszklone biuro, z którego wyszedł. - Nie ma tam zbyt dużo miejsca. Nic dziwnego, że to i owo się zarzuci. W ubiegłym tygodniu mówiłem, że dobrze by było, gdybym miał trochę większe pomieszczenie. Niech pan sobie wyobrazi, w jakich warunkach muszę robić raport z nocy...

Peter McDermott przerwał mu.

- Co było napisane w tym upoważnieniu księżnej Croydonu?

- Tylko, że pozwala panu O. wziąć samochód. Nawet się zastanawiałem...

- Czy upoważnienie było napisane na hotelowej papeterii?

- Tak jest, proszę pana.

- Czy papier miał tłoczenia i napis „Apartament Prezydencki” na górze kartki?

- Tak jest, panie McDermott. Pamiętam doskonale. Wyglądał dokładnie tak, jak pan powiedział i był niewielkiego formatu.

- Mamy specjalną papeterię dla tego właśnie apartamentu - wyjaśnił detektywom Peter.

- Powiedział pan, że wyrzucił upoważnienie razem z papierem po kanapkach? - zapytał drugi detektyw.

- Nie mogę sobie wyobrazić, w jaki inny sposób mógł się zgubić. Rozumie pan, jestem zawsze bardzo ostrożny. Na przykład, w ubiegłym roku...

- O której mogło się to zdarzyć?

- W ubiegłym roku?

- Ubiegłej nocy - tłumaczył cierpliwie detektyw. - Kiedy wyrzucił pan papier po kanapkach. O której?

- Chyba około drugiej. Zazwyczaj zaczynam lunch o pierwszej. Trochę się wtedy uspokaja i...

- Gdzie pan go wyrzucił?

- Tu gdzie zawsze. Tam. - Kulgmer zaprowadził ich do schowka sprzątacza, w którym stał pojemnik na śmieci. Podniósł wieko.

- Czy istnieje możliwość, żeby śmieci z nocy jeszcze tu były?

- Nie, proszę pana. Opróżnia się go codziennie. Hotel bardzo o to dba. Prawda, panie McDermott?

Peter skinął głową.

- Poza tym - stwierdził Kulgmer - pamiętam, że pojemnik był już prawie pełny. A teraz, jak pan widzi, prawie nic w nim nie ma.

- Sprawdzimy. - Kapitan Yolles spojrział na Petera jakby oczekując na jego zgodę, a potem odwrócił pojemnik dnem do góry, wyrzucając zawartość na podłogę. Przeszukali wszystko dokładnie, ale nie było ani papieru z kanapek Kulgmera, ani upoważnienia księżnej.

Kulgmer pozostawił ich na chwilę, żeby obsłużyć kilka wjeżdżających i wyjeżdżających samochodów.

Yolles wytarł ręce w papierowy ręcznik.

- Co się dzieje z zabranymi stąd śmieciami?

- Przewożone są do naszej centralnej spalarni - wyjaśnił Peter. - Przewozimy je tam w dużych wózkach, i są już tam dokładnie przemieszane. Nie sposób będzie ustalić ich miejsce pochodzenia. W każdym razie to, co stąd zabrano, pewnie zostało już spalone.

- „Pewnie”, wcale nie znaczy, że na pewno - stwierdził Yolles. - Mimo wszystko, chciałbym jednak mieć to upoważnienie.

*

Winda zatrzymała się na dziewiątym piętrze.

- Nie jestem zachwycony perspektywą spotkania z Croydonami - zauważył Peter.

- Zadamy tylko kilka pytań, nic więcej - zapewnił go Yolles. - Chciałbym, żeby uważnie ich pan wysłuchał. Odpowiedzi również. Bardzo możliwe, że będziemy chcieli powołać pana później na świadka.

Peter zauważył ze zdziwieniem, że drzwi do Apartamentu Prezydenckiego są otwarte. Kiedy podeszli bliżej, dobiegł ich gwar głosów.

- Wygląda na to, że mają przyjęcie - zauważył drugi detektyw.

Zatrzymali się przy wejściu i Peter nacisnął dzwonek. Przez częściowo otwarte drzwi wewnętrzne mógł zajrzeć do obszernego salonu. Znajdowała się w nim grupa mężczyzn i kobiet, w środku której stali Croydonowie. Większość gości trzymała w jednym ręku szklaneczki z drinkami, w drugim zaś notesy lub kartki papieru.

W wewnętrznym korytarzu pojawił się sekretarz Croydonów.

- Dobry wieczór - powiedział Peter. - Ci dwaj panowie chcieliby się zobaczyć z księstwem Croydonu.

- Czy są z prasy?

Kapitan Yolles pokręcił głową.

- W takim razie przykro mi, ale to niemożliwe. Księżę ma właśnie konferencję

prasową. Dzisiaj wieczorem potwierdzono jego mianowanie na ambasadora Wielkiej Brytanii.

- Rozumiem - odparł Yolles. - Mimo wszystko jednak, mamy bardzo ważną sprawę.

W czasie rozmowy przeszli do korytarza apartamentu. Księżna Croydonu odeszła od grupy w salonie i zbliżyła do nich. Uśmiechnęła się uprzejmie.

- Dlaczego panowie nie wchodzi?

- Ci panowie nie są z prasy - wyjaśnił sekretarz.

- Och. - Popatrzyła na Petera i z jej spojrzenia zorientował się, że go poznała. Potem przeniosła wzrok na pozostałych dwóch mężczyzn.

- Jesteśmy funkcjonariuszami policji, proszę pani - powiedział kapitan Yolles. - Mam odznakę, ale może wolałaby pani, żebym jej nie pokazywał. - Spojrzał w stronę salonu, gdzie kilka osób przyglądało się im ze zdziwieniem.

Księżna dała znak sekretarzowi, który zamknął drzwi do salonu.

Czy to moja wyobraźnia, zastanawiał się przez chwilę Peter, czy też na dźwięk słowa „policja” na twarzy księżnej przez chwilę pojawił się lęk? Teraz jednak już całkowicie panowała nad sobą.

- Czy mogę zapytać o cel wizyty panów?

- Mamy kilka pytań, które chcielibyśmy zadać pani i pani małżonkowi.

- To raczej niezbyt dogodna chwila.

- Dołożymy wszelkich starań, aby rozmowa trwała jak najkrócej. - Ton Yollesa był spokojny, ale stanowczy.

- Dowiem się, czy mąż będzie mógł się z panami zobaczyć. Proszę tu poczekać.

Sekretarz zaprowadził ich do gabinetu. W chwilę później, tuż po jego wyjściu, ponownie zjawiała się księżna, tym razem w towarzystwie męża. Książę popatrzył niepewnie najpierw na nią, a potem na pozostałych.

- Powiadomiłam naszych gości - oznajmiła księżna - że opuszczamy ich zaledwie na kilka minut.

Kapitan Yolles nic nie odpowiedział i wyjął notes.

- Czy zechcieliby mi państwo powiedzieć, kiedy po raz ostatni korzystali ze swojego samochodu? To jaguar, jak sądzę. - Wymienił numer rejestracyjny.

- Naszego samochodu? - Księżna robiła wrażenie zdziwionej. - Nie jestem pewna, kiedy jeździliśmy nim ostatni raz. Nie, chwileczkę. Przypomniałam sobie. W poniedziałek rano. Od tej pory stał w garażu hotelowym. Stoi tam zresztą i teraz.

- Proszę dokładnie sobie przypomnieć. Czy pani, albo pani małżonek, osobno lub

razem, korzystaliście z samochodu w poniedziałek wieczorem?

Zadziwiająco, pomyślał Peter, Yolles odruchowo zadaje pytania księżnej, nie księciu.

Na policzkach księżnej pojawiły się dwie czerwone plamy.

- Nie przywykłam, żeby wątpiono w moje słowa. Powiedziałam już, że po raz ostatni korzystaliśmy z samochodu w poniedziałek rano. Uważam również, że winien jest nam pan wyjaśnienie, o co właściwie chodzi?

Yolles zapisał coś w notesie.

- Czy znacie państwo Theodore Ogilwiego?

- Nazwisko brzmi znajomo.

- To główny detektyw hotelowy.

- Teraz sobie przypominam. Przychodził tutaj. Nie jestem pewna, kiedy. Była jakaś sprawa związana ze znalezioną biżuterią. Ktoś wysunął przypuszczenie, że należy do mnie. Ale nie była moja.

- A pan? - Yolles zwrócił się bezpośrednio do księcia. - Czy zna pan, albo miał jakąś sprawę z Theodore Ogilviem?

Księżę Croydonu zawahał się wyraźnie. Jego żona spoglądała na niego bacznie.

- No cóż... - Przerwał. - Tylko przy okazji wspomnianej już przez moją żonę.

Yolles zamknął notes i cichym, spokojnym głosem oznajmił.

- Czy w takim razie zdziwi państwa wiadomość, że wasz samochód znajduje się obecnie w stanie Tennessee, doprowadzony tam przez Theodore Ogilwiego, który został aresztowany. Poza tym, Ogilvie złożył zeznanie, w którym stwierdził, że został opłacony przez państwa za przeprowadzenie samochodu z Nowego Orleanu do Chicago. I co więcej, wstępne badania wskazują, że samochód państwa uczestniczył w śmiertelnym wypadku drogowym, który wydarzył się w tym mieście w poniedziałek wieczorem.

- Skoro pan pyta - oznajmiła księżna Croydonu - to odpowiem, że dziwi mnie bardzo. Muszę też stwierdzić, że to najbardziej niedorzeczne zmyślenia, jakie kiedykolwiek słyszałam.

- Nie ma najmniejszego zmyślenia, proszę pani, w fakcie, że samochód państwa znajduje się w Tennessee i że prowadził go właśnie Ogilvie.

- Jeżeli to prawda, robił to bez wiedzy i upoważnienia ani mojego, ani też męża. A poza tym, jeżeli, jak pan stwierdził, nasz samochód poniedziałkowej nocy uczestniczył w wypadku, wydaje mi się zupełnie oczywistym, że właśnie ów człowiek wziął nasz samochód i wykorzystał go w sobie tylko znanych celach.

- W takim razie oskarża pani Theodore Ogilwiego...

- Oskarżenia należą do pańskich obowiązków - odparła ostro księżna. - Mam wrażenie, że są pańską specjalnością. W każdym jednak razie, muszę stwierdzić z całą stanowczością, że hotel okazał karygodne niedbalstwo w odniesieniu do własności jego gości.
- Odwróciła się w stronę Petera. - Zapewniam, że na tym sprawa się nie skończy.

- Ale przecież napisała pani upoważnienie - zaprotestował Peter. - Było w nim wyraźnie stwierdzone, że Ogilvie może wziąć państwa samochód.

Jego słowa odniosły taki sam skutek, jakby uderzył księżną w twarz. Poruszyła wargami i wyraźnie zbladła. Peter uświadomił sobie, że był to jedyny obciążający ją czynnik, o którym zapomniała.

Cisza wydawała się nie mieć końca. Wreszcie księżna podniosła głowę.

- Proszę mi je pokazać!

- Niestety, nie mam go - powiedział Peter i dostrzegł błysk szyderczego tryumfu w jej spojrzeniu.

19.

Wreszcie, po kolejnych pytaniach i banalnych odpowiedziach konferencja prasowa Croydonów skończyła się.

Gdy drzwi Apartamentu Prezydenckiego zamknęły się za ostatnim dziennikarzem, powstrzymywane długo słowa wyrwały się z ust księcia:

- Mój Boże, przecież nie możesz tego zrobić! Nie możesz próbować wykręcić się...

- Bądź cicho! - Księżna obrzuciła spojrzeniem pusty salon. - Nie tutaj. Nie mam już zaufania do tego hotelu i wszystkiego, co się w nim znajduje.

- No to gdzie? Na litość boską, gdzie?

- Wyjdziemy na zewnątrz. Tam, gdzie nikt nie będzie mógł nas podsłuchać. Kiedy jednak znajdziemy się poza hotelem, staraj się zachowywać nieco mniej nerwowo.

Otworzyła drzwi prowadzące do dwóch sypialni, w których zamknięte były bedlingtony. Wypadły podniecone i wiedząc, co to oznacza, czekały chórem, gdy księżna zapinała ich smycze. Czekający w holu sekretarz otworzył drzwi apartamentu przed wychodzącymi.

W windzie księżę miał zamiar coś powiedzieć, ale jego żona pokręciła głową. Dopiero gdy znaleźli się na wolnej przestrzeni, daleko od hotelu i innych przechodniów, mruknęła.

- Teraz!

Głos Croydona był pełen napięcia.

- Mówię ci, że to szaleństwo! Cała ta afera jest już wystarczająco paskudna. Od samego początku tylko pogarszamy naszą sytuację. Czy możesz sobie wyobrazić, co się stanie, kiedy prawda wreszcie wyjdzie na jaw?

- Owszem, trochę. J e ś l i wyjdzie na jaw.

- Poza wszystkim innym, aspektem moralnym i tak dalej - nalegał książę - nie uda ci się wywinąć.

- Dlaczego?

- Bo to niemożliwe. Niemożliwe. A my jesteśmy obecnie w gorszej sytuacji niż na samym początku. A teraz, przy tym wszystkim... - Głos mu się załamał.

- Wcale nie jesteśmy. Obecnie jesteśmy nawet w lepszej. Czy mam ci przypominać o twoim mianowaniu na ambasadora?

- Chyba nie przypuszczasz, że mamy najmniejszą szansę, żeby się tam dostać?

- Mamy mnóstwo szans.

Poprzedzani przez bedlingtony, przeszli wzdłuż St. Charles Avenue do bardziej gwarnej i jaskrawo oświetlonej Canal Street. Skręcili na południowy wschód w stronę rzeki, a kiedy mijali ich przechodnie, udawali zainteresowanie barwnymi witrynami.

- Bez względu na całą obrzydliwość tej sprawy - mówiła cicho księżna - muszę znać pewne szczegóły dotyczące poniedziałkowej nocy. Czy tę kobietę, z którą byłeś, zawiozłeś do Irish Bayou naszym samochodem?

Książę zaczerwienił się.

- Nie. Przyjechała tam taksówką. Spotkaliśmy się w środku. Miałem zamiar później...

- Oszczędź mi informacji o swoich zamiarach. A więc ona może przypuszczać, że ty również przyjechałeś taksówką.

- Nie pomyślałem o tym. Ale chyba tak.

- Kiedy przyjechałam - również taksówką, co w razie konieczności może zostać potwierdzone - kiedy szliśmy do naszego samochodu, zauważyłam, że zaparkowałeś daleko od tego koszmarne klubu. Nie było żadnego pracownika parkingowego.

- Specjalnie postawiłem go na uboczu. Sądziłem, że może dzięki temu nie dotrą do ciebie żadne plotki.

- A więc nie ma żadnych świadków na to, że w poniedziałek wieczorem prowadziłeś samochód.

- Jest garaż hotelowy. Kiedy przyjechaliśmy, ktoś mógł nas spostrzec.

- Nie! Pamiętam, że zatrzymałeś się przed wjazdem do garażu tak, jak często to robiliśmy. Nie widzieliśmy nikogo i nikt nas nie widział.

- A kiedy go zabieraliśmy?

- Wcale go nie zabieraliśmy. Nie z garażu hotelowego. W poniedziałek rano zostawiliśmy go na zewnętrznym parkingu.

- Rzeczywiście - odparł książę. - W nocy zabrałem go właśnie stamtąd.

Księżna myślała na głos:

- Możemy oczywiście powiedzieć, że w poniedziałek rano odprowadziliśmy samochód do garażu. Czas nie będzie odnotowany, ale to niczego nie dowodzi. Możemy twierdzić, że nie widzieliśmy samochodu od poniedziałku w południe.

Książę szedł dalej w milczeniu. Wyciągnął rękę i wziął od żony smycz bedlingtonów. Czując, że prowadzi je ktoś inny, zaczęły ciągnąć jeszcze bardziej energiczniej.

- Zdumiewające, jak wszystko do siebie pasuje - powiedział wreszcie.

- Więcej niż zdumiewające. To znak, że wszystko się uda. Od samego początku wszystko działa na naszą korzyść. A teraz...

- Teraz masz zamiar wpakować do więzienia kogoś innego zamiast mnie.

- Nie!

Pokręcił głową.

- Nie mogę tego zrobić. Nawet jemu.

- Jeżeli chodzi o Ogilviego, obiecuję ci, że nic mu się nie stanie.

- Skąd ta pewność?

- Dlatego, że policja musiałaby mu dowieść, że prowadził samochód w czasie, kiedy zdarzył się wypadek. Nie są w stanie tego zrobić, tak samo jak nie są w stanie dowieść tego tobie. Czy nie rozumiesz? Mogą w i e d z i e ć, że to któryś z was dwóch. Mogą przypuszczać, że wiedzą. Ale nie mają przecież dowodów.

- Wiesz - powiedział z podziwem - jesteś chwilami wprost niesamowita.

- Jestem praktyczna. A skoro już o tym mowa, jest jeszcze coś, co może pamiętać. Ten Ogilvie ma nasze dziesięć tysięcy dolarów. Przynajmniej powinniśmy coś za to otrzymać.

- A przy okazji - zapytał książę - gdzie jest pozostałe piętnaście tysięcy?

- Wciąż zamknięte w małej walizeczce w mojej sypialni. Weźmiemy je przy wyjeździe. Uznałam, że mogłoby to zwrócić czyjąś uwagę, gdybyśmy oddali je tutaj do banku.

- Rzeczywiście, myślisz o wszystkim.

- Nie przemyślałam sprawy z upoważnieniem. Gdy wyobraziłam sobie, że mogą je mieć... Chyba musiałam stracić rozum, pisząc coś takiego.

- Nie mogłaś tego przewidzieć.

Dotarli do jaskrawo oświetlonego fragmentu Canal Street. Zawrócili i skierowali się znowu w stronę centrum miasta.

- Szatański pomysł - powiedział księżę Croydonu. Ostatniego drinka wypił w południe. W rezultacie, głos miał o wiele wyraźniejszy niż ostatnimi dniami. - Znakomity, doskonały plan. I może, jednak może się udać.

20.

- Ta kobieta kłamie - oświadczył kapitan Yolles. - Ale trudno będzie tego dowieść. Nie wiem, czy w ogóle mamy szansę. - Wciąż spacerował wolno po gabinecie Petera McDermotta. Obaj detektywi przyszedli tu z Peterem po niechlubnym odwołaniu z Apartamentu Prezydenckiego. Yolles chodził z kąta w kąt, Peter z drugim detektywem czekali.

- Jej mąż mógłby puścić farbę - zauważył drugi detektyw. - Gdybyśmy tylko mogli dopaść go samego.

Yolles pokręcił głową.

- Nie uda się. Przede wszystkim ona jest za sprytna, żeby do tego dopuścić. Po drugie, biorąc pod uwagę to, kim oni są, musimy pamiętać, że chodzimy po bardzo kruchym lodzie. - Spojrzał na Petera. - Niech pan nigdy nie ma złudzeń, że taką samą procedurę policja stosuje wobec biednych i bogatych.

Stojący po drugiej stronie gabinetu Peter skinął głową z pewnym roztargnieniem. Spełnił obowiązek, uspokoił sumienie i miał wrażenie, że wszelkie dalsze działania są już wyłącznie sprawą policji. Z czystej ciekawości zadał jednak pytanie:

- A to upoważnienie, które księżna napisała...

- Gdybyśmy je mieli - stwierdził drugi detektyw - mielibyśmy punkt zaczepienia.

- Czy nie wystarczyłoby, gdyby nocny dyżurny - i Ogilvie, jak sądzę - zeznali pod przysięgą, że takie pismo istniało?

- Oświadczyłaby - rzekł Yolles - że było fałszywe i Ogilvie sam je napisał. - Zamyślił się przez chwilę, a potem dodał. - Powiedział pan, że zostało napisane na specjalnym papierze listowym. Chciałbym go zobaczyć.

Peter wyszedł z pokoju i w odpowiedniej szafie znalazł kilka arkuszy. Był to gruby, czerpany papier w delikatnym, błękitnym odcieniu, z tłoczoną nazwą i znakiem hotelu. Poniżej wytłoczone były również słowa „Apartament Prezydencki”.

Peter wrócił do gabinetu i policjanci obejrzelik dokładnie arkusze.

- Dość fikuśny - zauważył drugi detektyw.
- Ile osób ma do niego dostęp? - zapytał Yolles.
- W normalny sposób, zaledwie kilka. Sądzę jednak, że sporo mogłoby zdobyć arkusz, gdyby im na tym zależało.

- To załatwia sprawę - mruknął Yolles.
- Jest jeszcze jedna możliwość - powiedział Peter. Przyszła mu do głowy pewna myśl i nagle cała jego obojętność zniknęła.

- Jaka?
- Pamiętam, że panowie pytaliście mnie, co się dzieje ze śmieciami. Odpowiedziałem wtedy, że kiedy zostaną zabrane, tak jak stało się w garażu, nie ma szans na ich odzyskanie. Naprawdę tak myślałem... Odnalezienie kawałka papieru wydało mi się zupełnie niemożliwe. Poza tym, to pismo nie było wtedy takie ważne.

Zdawał sobie sprawę, że obaj detektywi wpatrują się w niego uważnie.

- Mamy tu człowieka - oznajmił Peter. - Pracuje przy spalarce. Dużą część śmieci segreguje ręcznie. Szansa jest niewielka i pewnie już za późno...

- Na rany Chrystusa! - warknął Yolles. - Idźmy do niego.

*

Zeszli szybko na parter i klatką schodową dotarli do windy towarowej, aby zjechać na dół. Winda stała na dole i Peter słyszał, jak wyładowują z niej paczki. Krzyknął, żeby się pośpieszyli.

Kiedy czekali, detektyw Bennett powiedział:

- Słyszałem, że mieliście w tym tygodniu jeszcze jeden kłopot.
- Wczoraj, wczesnym rankiem była kradzież. Prawie o tym zapomniałem w tym całym zamieszaniu.

- Rozmawiałem z jednym z waszych ludzi. Był z waszym głównym detektywem... Jak się nazywa?

- Finegan. Jest zastępcą głównego detektywa. - Mimo powagi sytuacji, Peter nie zdołał powstrzymać uśmiechu. - A jego przełożony jest obecnie zajęty czym innym.

- W sprawie tej kradzieży niewiele się wyjaśniło. Nasi ludzie sprawdzili listę gości, ale nic nie znaleźli. Dzisiaj zdarzyła się dziwna sprawa. Było włamanie do prywatnego domu w Lakeview. Robota z kluczem. Dziś rano właścicielka zgubiła w centrum klucze. Ktoś, kto je znalazł, musiał udać się prosto do jej domu. Okoliczności przypominają kradzież w waszym hotelu, nawet rodzaj skradzionych przedmiotów. I również nie ma odcisków palców.

- Czy aresztowaliście kogoś?

Detektyw pokręcił głową.

- Kradzież stwierdzono parę godzin później. Ale mamy trop. Sąsiad zobaczył samochód. Nie pamięta jednak żadnego szczegółu, poza tym, że tablice rejestracyjne miał zielono-białe. Tablic w tym kolorze używa pięć stanów - Michigan, Idaho, Nebraska, Vermont i Waszyngton - a także Saskatchewan w Kanadzie.

- W czym to może pomóc?

- W ciągu następnego dnia albo dwóch, nasi chłopcy będą zwracali uwagę na samochody z takimi tablicami. Zatrzymają je i sprawdzą. Może coś się wyjaśni. Mieliśmy już takie szczęśliwe przypadki przy mniejszej nawet ilości punktów zaczepienia.

Peter skinął głową z umiarkowanym zainteresowaniem. Kradzież miała miejsce dwa dni temu i nie powtórzyła się. W chwili obecnej ważne było coś zupełnie innego.

Pojawiła się winda.

Lśniąca od potu twarz Bookera T. Grahama rozpromieniła się na widok Petera McDermotta, jedyne go członka dyrekcji, który kiedykolwiek zadał sobie trud odwiedzenia położonego głęboko w piwnicy pomieszczenia ze spalarką. Te wizyty, choć rzadkie, były dla Bookera T. Grahama równie ważne jak odwiedziny samego króla.

Kapitan Yolles zmarszczył nos czując przytłaczający odór śmieci, spotęgowany jeszcze żarem spalarki. Refleksy płomieni tańczyły na okopconych ścianach. Trzeba było przekrzykiwać ryk paleniska.

- Lepiej zostawcie to mnie, panowie - uprzedził Peter. - Wyjaśnię mu, o co nam chodzi.

Yolles skinął głową. Podobnie jak wszyscy, którzy byli tu przed nim, miał wrażenie, że tak właśnie wygląda przedsiónek piekła. Zastanawiał się, jak człowiek może w ogóle tu wytrzymać chociaż chwilę.

Policjant przyglądał się Peterowi McDermottowi rozmawiającemu z wielkim Murzynem, który sortował śmieci przed wrzuceniem ich do spalarki. McDermott przyniósł ze sobą arkusz specjalnego papieru listowego z Apartamentu Prezydenckiego i pokazał go Bookerowi. Murzyn skinął głową i wziął go do ręki, ale minę miał pełną powątpiewania. Wskazał ręką stojące ciasno wokół niego tuziny przepelnionych pojemników. Yolles zauważył również, że przy wejściu, na ręcznych wózkach stoją jeszcze inne. Uświadomił sobie, dlaczego McDermott początkowo całkowicie odrzucił możliwość odnalezienia pojedynczej kartki papieru. Teraz, w odpowiedzi na pytanie, Murzyn pokręcił głową. Peter wrócił do obu detektywów.

- Większość tego, co tu stoi - wyjaśnił - to wczorajsze odpadki, które zebrano dzisiaj.

Okolo jednej trzeciej tego, co tu przyszło, zostało już spalone i nie wie, czy taki papier był wśród tej części śmieci, czy też nie. Jeżeli chodzi o pozostałe, Graham musi jeszcze je przejrzeć w poszukiwaniu takich rzeczy jak nakrycia stołowe i butelki. Kiedy będzie to robił, zwróci uwagę na papier takiego rodzaju jak mu pokazałem, ale jak panowie widzicie, to fantastyczna robota. Zanim odpadki tu dotrą, zostają zgniecione. Poza tym, duża ich część jest wilgotna i powoduje zamoczenie wszystkiego naokoło. Zapytałem Grahama, czy chce kogoś do pomocy, ale odparł, że szansa na to, aby papier znalazł ktoś inny, kto nie jest przyzwyczajony do takiej pracy, jest jeszcze mniejsza.

- Tak czy owak - powiedział drugi detektyw - za nic bym się nie założył o rezultat.

- Sądzę, że to wszystko, co mogliśmy zrobić - stwierdził Yolles.

- W jaki sposób da panu znać, jeżeli znajdzie cokolwiek?

- Zadzwoń bezpośrednio na górę. Zostawię polecenie, aby mnie zawiadomiono bez względu na porę. I przekażę panom informację.

Yolles skinął głową. Kiedy trzech mężczyzn wychodzili, Booker T. Graham miał już ręce zagłębione po łokcie w stercie śmieci leżących na wielkiej, płaskiej tacy.

21.

„Kluczyk” Milne przeżywał frustrację za frustracją.

Od wczesnego popołudnia obserwował „Apartament Prezydencki”. Koło pory obiadowej, kiedy spodziewał się, że księstwo Croydonu, podobnie jak prawie wszyscy goście wyjdą z hotelu, zajął stanowisko na dziewiątym piętrze przy wejściu na służbową klatkę schodową. Z tego miejsca dobrze widział wejście do apartamentu, sam zaś pozostawał nie zauważony, chowając się w razie potrzeby za drzwiami prowadzącymi na schody. Robił tak kilkakrotnie, kiedy windy zatrzymywały się i mieszkańcy innych pokoi przychodzili i wychodzili. Za każdym razem „Kluczyk” zdołał ich zobaczyć, zanim się schował. Uznał również, że o tej porze dnia nie będzie zbyt wielu osób z obsługi na górnych piętrach i nie pomylił się. W przypadku, gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego, bez trudu mógł się wycofać na ósme piętro, a gdyby zaistniała taka potrzeba - do własnego pokoju.

Ta część planu wypadła dobrze. Ale nieoczekiwanie przez cały wieczór księżę i księżna Croydonu nie opuścili apartamentu.

Jednak obsługa pokoi nie dostarczyła do ich apartamentu obiadu i fakt ten natchnął Milnego otuchą.

W pewnym momencie przestraszył się, że może w jakiś sposób przegapił wyjście

Croydonów. Podeszedł więc ostrożnie do drzwi apartamentu. Dobiegły go głosy, w tym również kobiecy.

Potem jego rozczarowanie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy do apartamentu zaczęli przybywać goście. Przychodzili pojedynczo, dwójkami, a potem drzwi apartamentu pozostały otwarte. Wkrótce pojawili się kelnerzy z obsługi pokoiów niosąc tace z zakąskami i w korytarzu słychać było narastający gwar głosów połączony z brzękiem szklanek i lodu.

Następnie zaskoczyło go pojawienie się barczystego młodego człowieka, którego od razu uznał za reprezentanta hotelu. Twarz mężczyzny była ponura, podobnie jak towarzyszących mu dwóch mężczyzn. „Kluczyk” wyczekał wystarczająco długo, aby obejrzeć sobie dokładnie całą trójkę i od razu zorientował się, że drugi i trzeci mężczyzna są policjantami. Próbował sobie wmówić, że jest to jedynie wytwór jego zbyt wybujałej wyobraźni.

Trzej ostatni przybysze wyszli pierwsi, a mniej więcej pół godziny później opuściła apartament cała reszta. Mimo dużego ruchu na piętrze „Kluczyk” był pewien, że przez cały wieczór nikomu nie wydał się podejrzany, wzięto go - co najwyżej - za jednego z hotelowych gości.

Po wyjściu ostatniego gościa, na korytarzu dziewiątego piętra zapanowała całkowita cisza. Zbliżała się już jedenasta i najwyraźniej dziś wieczorem nic więcej nie miało się zdarzyć. „Kluczyk” postanowił, że poczeka jeszcze dziesięć minut i pójdzie sobie.

Po wcześniejszym optymizmie nie było już śladu - „Kluczyk” poczuł przygnębienie.

Nie był pewien, czy powinien ryzykować pozostanie w hotelu jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny. Zastanawiał się nawet nad wejściem do apartamentu Croydonów w czasie nocy lub wczesnym rankiem, ale odrzucił ten pomysł. Ryzyko było zbyt wielkie. Gdyby ktoś się obudził, nie byłby w stanie wymyślić żadnego przekonującego powodu swojej obecności. Zdawał sobie od wczoraj sprawę, że musi również brać pod uwagę obecność sekretarza Croydonów i pokojówki księżnej. Dowiedział się, że pokojówka mieszka gdzie indziej w hotelu i w nocy się nie pojawia. Ale sekretarz miał swój pokój w apartamencie i był jeszcze jedną osobą, którą mogłoby obudzić nocne wtargnięcie. Poza tym, psy, które „Kluczyk” widział na spacerze z księżną, także mogły podnieść alarm.

Stał więc wobec konieczności przeczekaania jeszcze jednego dnia, albo porzucenia planu zdobycia klejnotów księżnej.

Aż nagle, kiedy miał właśnie opuścić posterunek, pojawili się księżstwo Croydonu poprzedzani przez bedlingtony.

„Kluczyk” błyskawicznie zniknął na służbowej klatce schodowej. Poczuł, że serce bije

mu mocniej. Teraz, kiedy porzucił już wszelką nadzieję, nadeszła oczekiwana okazja.

Okazja ta miała jednak swoje niedogodności. Najwidoczniej księstwo Croydonu nie mieli zamiaru oddalać się na długo. A poza tym, w apartamencie został jeszcze sekretarz. Gdzie? W oddzielnym pokoju za zamkniętymi drzwiami? Już w łóżku? Wyglądał na takiego, który wcześniej kładł się spać.

Bez względu na wszystko, musiał jednak podjąć ryzyko. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zacznie działać natychmiast, jego nerwy nie wytrzymają jeszcze jednego dnia oczekiwania.

Usłyszał jak drzwi windy otwierają się, a potem zamykają. Ostrożnie wrócił na korytarz. Był pusty i cichy. Wolnym krokiem podszedł do Apartamentu Prezydenckiego.

Dorobiony klucz obrócił się w zamku lekko i bezgłośnie. Powoli, bezszelestnie otworzył drzwi.

Miał przed sobą korytarz, za nim zaś duży pokój. Na prawo i lewo zauważył dwoje drzwi. Były zamknięte. Za drzwiami po prawej stronie grało radio, nikogo jednak nie było widać. Światła w apartamencie paliły się.

Milne wszedł do środka. Włożył rękawiczki, a następnie zamknął drzwi wejściowe.

Poruszał się ostrożnie, ale nie tracił czasu. Dywan w korytarzu i saloniku tłumiał odgłos kroków. Przeszedł do otwartych drzwi w drugim końcu pokoju. Zgodnie z oczekiwaniami „Kluczyka”, prowadziły do dwóch obszernych sypialni, w których również światła były zapalone. Nie miał wątpliwości która z nich należy do księżnej.

Znajdowała się w niej komoda, dwie toaletki i szafa w ścianie. „Kluczyk” zaczął systematycznie przeszukiwać wszystkie te miejsca. Szkatułki z kosztownościami nie było ani w komodzie, ani w pierwszej toalecie. Znajdowało się w nich sporo różnych przedmiotów - złote torebki wieczorowe, papierośnice i cenne puderniczki - które kiedy indziej i w innych okolicznościach z radością by zabrał. Teraz jednak dążył do największej zdobyczy i nie interesował się drobiazgami.

W drugiej toalecie w dolnej szufladzie nie było niczego godnego uwagi. W następnej - podobnie. W trzeciej - na samej górze - zobaczył cały stos bielizny. A pod nią wysokie, owalne pudło z tłoczonej skóry. Okazało się zamknięte.

Nie wyjmując pudełka z szuflady, „Kluczyk”, przy pomocy noża i śrubokrętu próbował wyłamać zamek. Kasetka była jednak solidnie wykonana i stawiała opór. Minęło kilka minut. Zdawał sobie sprawę z uciekającego bezpowrotnie czasu i zaczynał się pocić.

W końcu zamek ustąpił i wieko odskoczyło. Pod nim, na dwóch tacach znajdowała się migocząca, zapierająca dech w piersiach kolekcja klejnotów - pierścionki, brosze, kolie,

zapinki, diademy... Wszystkie ze szlachetnych metali, większość wysadzana drogimi kamieniami. Widząc to wszystko „Kluczyk” nabrał powietrza w płuca. A więc, mimo wszystko część słynnego zbioru księżnej Croydonu nie została złożona w hotelowym skarbcu. Po raz kolejny znak, czy też omen, okazał się prawdziwy. Wyciągnął obie ręce, aby zagarnąć łup. W tej samej chwili usłyszał, jak w zamku zewnętrznych drzwi obraca się klucz.

Milne zareagował błyskawicznie. Zatrzasnął wieko kasetki z klejnotami i wsunął szufladę z powrotem. Wchodząc do środka, pozostawił lekko uchylone drzwi do sypialni. Podbiegł do nich i przez szparę obserwował salonik. Zobaczył, że weszła do niego pokojówka hotelowa. Trzymała na ręku ręczniki i kierowała się w stronę sypialni księżnej. Pokojówka była w podeszłym wieku i szła lekko utykając. Jej powolność dawała mu szansę.

„Kluczyk” odwrócił się i sięgnął w stronę lampy stojącej na stoliku.

Namacał sznur i pociągnął mocno. Światło zgasło. Teraz musiał mieć coś w ręku, co sugerowałoby jego zajęcie. Coś! Cokolwiek!

Pod ścianą stała niewielka dyplomątka. Złapał ją i ostrożnie skierował się w stronę drzwi.

Kiedy je otworzył, pokojówka cofnęła się gwałtownie i jęknęła, kładąc rękę na sercu.

Milne zmarszczył brwi.

- Gdzie pani była? Miała pani przyjść wcześniej.

Zarzut oszołomił ją i zdezorientował. Na to zresztą liczył.

- Bardzo pana przepraszam. Widziałam, że byli tu ludzie i...

Przerwał jej ostro.

- Nieważne. Proszę robić, co do pani należy, a poza tym, trzeba naprawić lampę. - Wskazał ręką sypialnię. - Księżna życzy sobie, żeby działała jeszcze dziś w nocy. - Pamiętając o sekretarzu, mówił cicho.

- Och, dopilnuję tego, proszę pana.

- Doskonale. - „Kluczyk” skinął lekko głową i wyszedł z apartamentu.

Idąc korytarzem starał się nie myśleć. Udało mu się, dopóki nie znalazł się w swoim własnym pokoju. A potem, zrozpaczony, zawiedziony rzucił się na łóżko i ukrył twarz w poduszce.

Dopiero po godzinie zadał sobie trud wyłamania zamka w przyniesionej dyplomacie.

Wewnątrz znajdowały się paczki banknotów. Używanych i o niskich nominałach.

Trzęsącymi się rękami naliczył piętnaście tysięcy dolarów.

Peter McDermott przeprowadził obu detektywów z pomieszczenia spalarki do drzwi prowadzących na St. Charles Street.

- Chciałbym, żeby przez jakiś czas - powiedział kapitan Yolles - ta sprawa została utrzymana w jak największej tajemnicy. Będzie wystarczająco dużo pytań, gdy postawimy w stan oskarżenia waszego Ogilviego, wszystko jedno za co. Nie ma sensu ściągać sobie na kark prasy, dopóki nie będzie to konieczne.

- Z punktu widzenia interesów hotelu - zapewnił go Peter - wolelibyśmy uniknąć jakiegokolwiek rozgłosu.

- Na to niech pan nie liczy - mruknął Yolles.

Peter wrócił do głównej sali restauracyjnej i bez szczególnego zdziwienia przekonał się, że Christine i Albert Wells już wyszli.

Na stoliku leżała zaklejona koperta. Otworzył ją i przeczytał:

Pojechałam do domu. Przyjdź, jeżeli będziesz mógł.

Christine

Chyba pojedę, postanowił. Przypuszczał, że Christine chciała omówić z nim wydarzenia minionego dnia, a zwłaszcza rewelacyjne oświadczenie Alberta Wellsa.

Dziś wieczorem nie miał już w hotelu nic do roboty. A może jednak? Peter przypomniał sobie nagle obietnicę, którą złożył Marsha Preyscott w chwili, kiedy tak bezceremonialnie zostawił ją na cmentarzu. Dopiero teraz przypomniał sobie o niej. Od wydarzeń, które rozegrały się po południu, dzieliło go zaledwie parę godzin, ale miał wrażenie, że minęło już wiele dni i Marsha stała się odległą przeszłością. Doszedł do wniosku, że mimo tak późnej godziny powinien jednak do niej zatelefonować.

Jeszcze raz skorzystał z gabinetu kierownika działu rozliczeń i wybrał numer Preyscottów. Marsha podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Och, Peter! - zawołała. - Siedzę przez cały czas przy telefonie. Czekałam i czekałam, a potem zadzwoniłam i zostawiłam nazwisko.

Z poczuciem winy przypomniał sobie leżący na biurku stos nie przeczytanych kartek z wiadomościami.

- Jest mi naprawdę bardzo przykro i nie mogę wytłumaczyć się z mojego milczenia, przynajmniej na razie. Powiem tylko, że zdarzyło się mnóstwo różnych spraw.

- Opowiesz mi jutro.

- Marsha, obawiam się, że jutro będę bardzo zajęty...

- Przy śniadaniu - oświadczyła Marsha. - Skoro masz mieć trudny dzień, musisz zjeść prawdziwe, nowoorleańskie śniadanie. Są słynne. Czy kiedyś już jadłeś coś takiego?

- Zazwyczaj nie jadam śniadań.

- Jutro zrobisz wyjątek. A to, co robi Anna, jest zupełnie specjalne. Założę się, że o wiele lepsze niż w twoim hotelu.

Nie sposób było nie ulec jej entuzjazmowi. A poza tym, przecież w końcu dzisiaj zostawił ją samą.

- To będzie bardzo wcześnie.

- Jak sobie życzysz. Umówili się na 7.30.

Kilka minut później jechał taksówką do mieszkania Christine w Gentilly.

Zadzwoił z dołu. Dziewczyna czekała w otwartych drzwiach mieszkania.

- Nic nie mów - poleciła - dopóki nie wypijesz drugiego drinka. Po prostu nie mogę nic z tego wszystkiego zrozumieć.

- Poczekaj - powiedział. - Nie wiesz nawet połowy.

Przygotowała *daiquiri*, które chłodziło się w lodówce. Na stole stał kopiasty talerz kanapek z szynką i kurczakiem. W całym mieszkaniu unosił się zapach świeżo parzonej kawy.

Peter przypomniał sobie nagle, że chociaż odwiedzał dzisiaj kuchnie hotelowe, nie jadł nic od lunchu.

- Tak właśnie myślałam - odparła Christine, kiedy się jej do tego przyznał. - Do roboty!

Posłuchał jej i w czasie gdy jadł, przyglądał się, jak Christine zgrabnie porusza się po kuchni. Czuł się swobodnie i miał wrażenie, że wszystko, co może dziać się na zewnątrz jest dalekie i nieważne. Christine chyba musi na mnie zależeć, pomyślał, skoro zrobiła to wszystko. I co ważniejsze, nawet w milczeniu, takim jak teraz, istniało między nimi jakieś porozumienie.

Odstawił szklaneczkę po *daiquiri* i sięgnął po filiżankę, którą Christine przed chwilą napelniła kawą.

- No dobrze - oznajmił. - Od czego zaczynamy?

Rozmawiali bez przerwy przez prawie dwie godziny, czując jak w miarę upływu czasu stają się sobie coraz bardziej bliscy. Ostatecznie doszli jedynie do wniosku, że jutrzejszy dzień zapowiada się wyjątkowo interesująco.

- Nie zasnę - stwierdziła Christine. - Nie będę mogła. Wiem, że mi się nie uda.

- Mnie też - odparł Peter. - Ale nie z tego powodu, o którym myślisz.

Nie miał wątpliwości - pragnął jedynie, aby ta chwila trwała bez końca. Wziął ją w ramiona i pocałował.

A potem wydało się im zupełnie oczywiste i naturalne, że będą się kochać.

Piątek

1.

To zrozumiałe, pomyślał Peter McDermott, że księżna i książę Croydonu toczą związanego głównego detektywa hotelowego, Ogilwiego, ku krawędzi dachu St. Gregory'ego, a w dole widać morze spoglądających w ich stronę ludzkich twarzy. Dziwne i wstrząsające było jednak to, że w odległości zaledwie kilku jardów od nich, Curtis O'Keefe i Warren Trent toczą zażarty pojedynek zakrwawionymi szablami. Dlaczego, zastanawiał się Peter, kapitan Yolles, który stoi przy drzwiach prowadzących na schody, nie interweniuje? Nagle uświadomił sobie, że policjant obserwuje wielkie ptasie gniazdo, w którym właśnie zaczyna pękać jedno jedyne jajo. W chwilę później z jego wnętrza wyłonił się przerośnięty wróbel o twarzy Alberta Wellsa. W tejże jednak chwili jego uwagę odwrócił widok Christine, którą przywiązano do Ogilwiego oraz Marshy Preyscott pomagającej Croydonom przesuwając podwójny ciężar coraz bliżej przepaści. Tłum wciąż się gapił, podczas gdy kapitan Yolles oparł się o framugę drzwi i ziewnął.

Peter uświadomił sobie, że jeśli chce pomóc Christine, musi działać natychmiast. Gdy jednak spróbował się ruszyć, okazało się, że nogi ma ciężkie jak z ołowiu i chociaż chciał iść do przodu, odmówiły mu całkowicie posłuszeństwa. Próbował krzyknąć, ale nie zdołał wydobyć z siebie głosu. Spojrzał na Christine z niemą rozpaczą.

Nagle Croydonowie, Marsha, O'Keefe, Warren Trent znieruchomieli i zaczęli nasłuchiwać. Wróbel o twarzy Alberta Wellsa przechylił głowę. Ogilvie, Yolles i Christine zrobili to samo. Czego nasłuchują?

I Peter nagle usłyszał hałas, jakby wszystkie telefony na świecie zaczęły dzwonić jednocześnie. Dźwięk zbliżał się, narastał, aż wreszcie miał wrażenie, że pogrąża się w nim wszystko naokoło. Zakrył uszy dłońmi. Hałas narastał. Zamknął oczy, a potem je otworzył.

Był w swoim mieszkaniu. Na stojącym przy łóżku budziku była 6.30 rano.

Leżał przez kilka minut potrząsając głową, aby uwolnić się od szaleńczego, niesamowitego snu. Potem przeszedł na bosaka do łazienki, wziął prysznic i przez całą minutę z samozaparciem wytrzymał pod strumieniem zimnej wody. Wyszedł całkowicie rozbudzony. Nałożył szlafrok, nastawił kawę na kuchence, podszedł do telefonu i wybrał numer hotelu.

Połączono go z kierownikiem nocnej zmiany, który poinformował go, że nie ma dla niego żadnych wiadomości ze spalarni śmieci. Nie, odparł nieco zmęczonym głosem kierownik, nie sprawdzał tego osobiście. Tak, jeżeli McDermott sobie tego życzy, natychmiast zejdzie na dół i zadzwoni z wiadomością, Peter jednak dosłyszał w jego głosie niechęć do podejmowania tej wędrowki pod koniec długiej, męczącej zmiany. Spalarnia jest gdzieś w piwnicy, prawda?

Peter golił się, kiedy telefon zadzwonił. Kierownik nocnej zmiany oznajmił, że rozmawiał osobiście z pracownikiem spalarni, Grahamem. Jest mu bardzo przykro, ale papier, na którym zależy panu McDermottowi nie znalazł się. Nie, wygląda na to, że się nie uda. Kierownik dodał jeszcze, że nocna zmiana Grahama - podobnie jak jego - prawie dobiegła końca.

Peter postanowił, że później przekaze kapitanowi Yollesowi wiadomość o niepowodzeniu. Przypomniał sobie opinię wyrażoną ubiegłej nocy przez policjanta, że hotel wypełnił wszystkie obywatelskie obowiązki. Pozostałe sprawy należą już do policji.

Pijąc kawę i ubierając się, Peter myślał o dwóch sprawach, które całkowicie go zaprzętały. Jedną była Christine, drugą jego przyszłość w hotelu St. Gregory.

Po ostatniej nocy uświadomił sobie, że bez względu na to, co go jeszcze czeka, najbardziej pragnąłby, aby Christine stała się częścią jego życia. Coraz bardziej umacniał się w tym przekonaniu. Chyba mógłby stwierdzić, że jest zakochany, ale wciąż z dużą ostrożnością przyznawał się do głębszych uczuć, nawet przed samym sobą. Kiedyś to, co uważał za miłość, rozpadło się w proch. Może lepiej mieć na razie tylko nadzieję i powoli zmierzać do tego, czego można oczekiwać w przyszłości.

Niezbyt romantyczne, pomyślał Peter, przyznawać się do tego, że jest mu z Christine wygodnie. Ale jednak jest prawdziwe i w jakimś sensie, podnoszące na duchu. Był przekonany, że istniejące między nimi więzi w miarę upływu czasu będą coraz silniejsze. Wierzył, że uczucia Christine są podobne.

Uważał, że to, co go czeka w najbliższej przyszłości, powinno być smakowane powoli, a nie pożerane łapczywie.

Jeżeli natomiast chodzi o hotel, wciąż trudno mu było uwierzyć, że Albert Wells, którego uważali za sympatycznego, nic nie znaczącego człowieczka, nagle okazał się potentatem finansowym, który przejął, albo przejmie już dzisiaj, kontrolę nad St. Gregorym.

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że nieoczekiwane wydarzenia pozwolą Peterowi umocnić swoją pozycję. Odnosił się przyjaźnie do Wellsa i miał wrażenie, iż starszy pan go polubił. Ale sympatie i interesy nie zawsze szły w parze. Najmilsi ludzie potrafią być w razie potrzeby twardzi i bezwzględni. Mało prawdopodobne również, aby Albert Wells

chciał osobiście zająć się prowadzeniem hotelu, a osoba zarządzająca w jego imieniu może mieć bardzo sprecyzowane poglądy na przeszłość personelu.

Peter postanowił, że jak dawniej, nie będzie martwił się na zapas.

*

Kiedy Peter McDermott zajechał taksówką przed posiadłość Preyscottów na Prytania Street, w całym Nowym Orleanie zegary wydzwaniały właśnie siódmą trzydzieści.

Ukryty za elegancką, wysoką kolumnadą wielki, biały dom wyglądał niezwykle godnie w słońcu wczesnego ranka. Powietrze było świeże i chłodne, jeszcze lekko przymglone. Czuć było intensywny zapach magnolii, trawa pokryta była jeszcze rosą.

Ulica i dom były jeszcze pogrążone w ciszy, ale od strony St. Charles Avenue słychać już było odgłosy budzącego się miasta.

Peter minął trawnik idąc po łukowatej ścieżce, wyłożonej starymi, czerwonymi ceglami. Wszedł po stopniach tarasu i zapukał w podwójne, pokryte snycerką drzwi.

Ben - lokaj, który podawał im obiad w środę wieczorem, otworzył drzwi i powitał serdecznie Petera:

- Dzień dobry, sir. Proszę wejść. - Kiedy znaleźli się już w środku, oznajmił: - Panna Marsha prosiła, żebym zaprowadził pana na galerię. Przyjdzie za kilka minut.

Ben poprowadził go po szerokich, wygiętych łukiem schodach i korytarzem z freskami na ścianach. Tędy właśnie w środową noc szedł w półmroku razem z Marshą. Czy to rzeczywiście było tak niedawno? - zadał sobie pytanie.

W świetle dnia galeria wyglądała równie zadbana i gościnna. Znajdowały się tu głębokie, wyściełane fotele i wazony pełne kolorowych kwiatów. W przedniej części, w miejscu z widokiem na położony niżej ogród, stał nakryty do śniadania stół. Obok niego - dwa krzesła.

- Czy ta wczesna pobudka jest z mojego powodu? - spytał Peter.

- Ależ, nie, proszę pana - zapewnił Ben. - Zawsze wstajemy wcześnie. Pan Preyscott, kiedy jest w domu, nie lubi późno zaczynać dnia. Zawsze mówi, że dzień nie jest aż tak długi, by marnować jego początek.

- Widzisz! Mówiłam ci, że ojciec jest bardzo do ciebie podobny.

Na dźwięk głosu Marshy, Peter odwrócił się. Weszła cicho i stanęła za nim. Jej wygląd przywołał mu na myśl różę i rosę. Marsha sprawiała wrażenie, jakby wstała razem ze słońcem.

- Dzień dobry! - uśmiechnęła się. - Ben, proszę, podaj panu McDermottowi *absinthe Suisse*. - Ujęła McDermotta pod ramię.

- Nalewaj ostrożnie, Ben - poprosił Peter. - Wiem, że do nowoorleańskiego śniadania podaje się *absinthe Suisse*, ale mam nowego szefa. Wolałbym być trzeźwy na spotkaniu z nim.

- Tak, jest, proszę pana! - uśmiechnął się lokaj.

Gdy siadali przy stole, Marsha spytała: - Czy dlatego właśnie...

- Czy dlatego zniknąłem jak spłoszony królik? Nie. Wtedy była inna przyczyna.

Otworzyła szeroko oczy, kiedy opowiedział jej, ile mógł, o śledztwie w sprawie wypadku samochodowego, nie wymieniając nazwiska Croydonów. Nie mógł odpowiedzieć na pytania dziewczyny, ale zapewnił ją:

- Cokolwiek się zdarzy, dziś na pewno będą jakieś informacje w gazetach.

Pomyślał sobie, że prawdopodobnie w tej chwili Ogilvie znajduje się z powrotem w Nowym Orleanie i jest przesłuchiwany. Jeżeli będą mieli zamiar zatrzymać go w areszcie, muszą postawić go w stan oskarżenia, a jego pojawienie się w sądzie na pewno zainteresuje prasę. Z całą pewnością padnie wówczas wzmianka o jaguarze, a to z kolei zwróci uwagę na Croydonów.

Peter spróbował łyk puszystego *absinthe Suisse*, który pojawił się przed nim. Z czasów, kiedy zajmował się pracą w barze, doskonale pamiętał składniki - zioła, białko jajka, śmietanka, syrop i kropelka absyntu. Rzadko kiedy miał okazję pić lepiej przygotowany. Siedząca po drugiej stronie stołu Marsha piła sok pomarańczowy.

Zastanawiał się dalej, czy księstwo Croydonu po obciążających zeznaniach Ogilwiego będą mogli w dalszym ciągu utrzymywać, że są niewinni? Było to kolejne pytanie, na które może dzisiejszy dzień da odpowiedź.

Niestety, notatka księżnej - jeżeli w ogóle istniała - przepadła. Z hotelu nadal nie było żadnych wiadomości - przynajmniej w tej sprawie, a Booker T. Graham przecież dawno skończył już pracę.

Ben postawił przed Peterem i Marshą ozdobiony owocami kreolski ser śmietankowy, *evangeline*.

Peter zaczął jeść z apetytem.

- Na początku - powiedziała Marsha - zacząłeś coś mówić. Coś o hotelu.

- A tak. - Pomiędzy kolejnymi kęsami sera i owoców, opowiedział jej o Albercie Wellsie. - Dzisiaj zostanie ogłoszone nazwisko nowego właściciela. Tuż przed moim wyjściem dzwoniли do mnie w tej sprawie.

Telefował Warren Trent. Powiadomił Petera, że pan Dempster z Montrealu, przedstawiciel finansowy nowego właściciela hotelu St. Gregory, przybywa do Nowego

Orleanu. Pan Dempster znajduje się już w Nowym Jorku, gdzie wsiądzie do samolotu Eastern Airlines, którym przyleci przed południem. Zarezerwowano apartament i prowizorycznie uzgodniono termin spotkania starego i nowego zarządu na jedenastą trzydzieści. Peter miał znajdować się pod ręką, na wypadek gdyby okazał się potrzebny.

Dziwne, ale Warren Trent wcale nie robił wrażenia przygnębionego. Wręcz przeciwnie, był o wiele bardziej pogodny niż w ostatnich dniach. Peter zastanawiał się, czy W.T. zdaje sobie sprawę, że nowy właściciel St. Gregory'ego jest już w hotelu? Pamiętając, że dopóki nie nastąpi oficjalna zmiana władzy, obowiązuje go lojalność wobec dotychczasowego zarządu, przekazał treść rozmowy, jaka ubiegłego wieczoru toczyła się między nim, Christine i Albertem Wellsem.

- Tak - odparł Warren Trent. - Wiem. Emile Dumaire z Industrial Merchants Bank, który prowadził negocjacje w imieniu Wellsa, zadzwonił do mnie ubiegłej nocy. Wtedy jeszcze istniały jakieś tajemnice. Ale teraz już nie.

Peter wiedział również, że Curtis O'Keefe i jego towarzysza, panna Lash, mieli przed południem opuścić St. Gregory'ego. Najwidoczniej jechali każde gdzie indziej. Hotel, który załatwiał takie sprawy ważnym gościom, zamówił dla panny Lash bilet do Los Angeles, natomiast Curtis O'Keefe kierował się do Neapolu przez Nowy Jork i Rzym.

- Myślisz o wielu sprawach - powiedziała Marsha. - Chciałabym, żebyś mi o niektórych opowiedział. Mój ojciec często tak robił podczas śniadań, ale matka nigdy się tym nie interesowała. A ja tak.

Peter uśmiechnął się. Opowiedział jej, czego może się dzisiaj spodziewać.

W czasie rozmowy uprzątnięto resztki sera *evangeline* i postawiono na stole parujące, aromatyczne jajka *à la Sardou*. Dwa jajka spoczywały w wydrążonych karczochach i wyglądały niezwykle apetycznie w garnirze ze szpinaku i sosu holenderskiego. Przed talerzem Petera pojawił się również kieliszek różowego wina.

- Rozumiem, co miałeś na myśli mówiąc, że czeka cię pracowity dzień - stwierdziła Marsha.

- A ja rozumiem, co ty miałaś na myśli, mówiąc o tradycyjnym śniadaniu. - Peter dostrzegł Annę stojącą dyskretnie z tyłu. - Wspaniale! - zawołał i zobaczył, że się uśmiechnęła.

W chwilę później jęknął na widok steku z polędwicy wołowej z pieczarkami, gorącego francuskiego chleba i marmolady.

- Nie dam chyba rady tego zjeść - stwierdził z powątpiewaniem w głosie.

- Jeszcze podadzą *crêpes Suzette* i kawę z mlekiem - poinformowała go Marsha. -

Kiedy były tu jeszcze wielkie plantacje, pogardzano kontynentalnymi *petit déjeneur*. Dla nich śniadanie było świętem.

- Sprawiałaś, że było świętem - powiedział Peter. - To, i o wiele więcej. Spotkanie z tobą, moje lekcje historii, moje odwiedziny w tym domu. Nie zapomnę tego - nigdy.

- Powiedziałaś to tak, jakbyś się żegnała.

- Bo tak jest, Marsho. - Spojrzał jej prosto w oczy i uśmiechnął się. - Pójdę sobie zaraz po *crêpes Suzette*.

Przez chwilę panowała cisza, aż wreszcie Marsha powiedziała.

- Myślałam...

Wyciągnął rękę i przykrył jej dłoń.

- Może oboje śniliśmy na jawie. Pewnie tak było. Ale był to najsympatyczniejszy sen w moim życiu.

- Dlaczego tak musi być?

- Nie wszystko jestem w stanie wytłumaczyć - odparł łagodnie. - Bez względu na to jak bardzo się kogoś lubi, trzeba zawsze dokonywać wyborów. Należy postanowić..

- A mój wybór, moje postanowienie się nie liczy?

- Marsha, muszę zaufać swojemu wyczuciu. Dla dobra nas obojga. - W duchu jednak zastanawiał się, czy może sobie ufać? Przekonał się, że w przeszłości nie zawsze mógł polegać na swoim instynkcie. Być może popełnił właśnie błąd, którego za kilka lat będzie żałował. W jaki sposób może być czegokolwiek pewien, kiedy często zbyt późno przekonywał się, jak wygląda prawda?

Miał wrażenie, że Marsha za chwilę się rozplacze.

- Przepraszam - powiedziała cicho. Wstała i szybkim krokiem opuściła galerię.

Peter siedział, żałując, że mówił tak kategorycznie i nie starał się złagodzić swoich słów, przelewając w nie sympatię, jaką czuł do tej samotnej dziewczyny. Zastanawiał się, czy wróci. Kiedy po kilku minutach Marshy jeszcze nie było, przyszła Anna.

- Myślę, że będzie pan kończył śniadanie samotnie. Nie sądzę, żeby panna Marsha wróciła.

- Co robi? - zapytał.

- Płacze w swoim pokoju - Anna wzruszyła ramionami. - Nie pierwszy raz. I chyba nie ostatni. Zawsze się tak zachowuje, kiedy nie dostaje tego, czego chce. - Sprzątnęła talerze po stekach. - Ben poda panu resztę.

Pokręcił głową.

- Nie, dziękuję. Muszę już iść.

- W takim razie przyniosę kawę. - W głębi pokoju krzątał się Ben, ale Anna sama przyniosła kawę z mlekiem i postawiła ją przed Peterem. - Niech się pan tym zbytnio nie martwi, proszę pana. Kiedy Marsha już się trochę otrząśnie, zrobię, co będę mogła. Może panna Marsha ma zbyt wiele czasu na roztkliwianie się nad sobą. Gdyby jej tatuś bywał tu trochę częściej, sprawy pewnie wyglądałyby inaczej. Ale tak nie jest. Niestety, nie.

- Jest pani bardzo wyrozumiała.

Peter przypomniał sobie, co Marsha opowiedziała mu o Annie. O tym, jak w młodości rodzina zmusiła Annę do poślubienia człowieka, którego ledwo знаła, a mimo to małżeństwo przetrwało szczęśliwie przez ponad czterdzieści lat do chwili, kiedy jej mąż zmarł rok temu.

- Słyszałem o pani mężu - powiedział Peter. - Musiał być wspaniałym człowiekiem.

- Mój mąż! - zachichotała gospodyni. - Nie miałam żadnego męża. Nigdy. Jestem panną, mniej więcej.

A przecież Marsha opowiadała mu: *Mieszkali tu z nami, Anna i jej mąż. To był najmiłszy, najśladzszy człowiek, jakiego znałam. Jeżeli kiedykolwiek istniało idealne małżeństwo, to właśnie oni je tworzyli.* Najwyraźniej obraz ten miał wesprzeć jej argumentację, kiedy poprosiła Petera, żeby się z nią ożenił.

Anna wciąż chichotała.

- O mój Boże! Pewnie panna Marsha opowiedziała panu jedną ze swoich historii. Wymyśliła ich całe mnóstwo. Bardzo często gra te swoje komedie i dlatego nie musi się pan wcale martwić.

- Rozumiem. - Peter nie był wcale tego pewien, ale mimo to poczuł wyraźną ulgę.

Ben odprowadził go do wyjścia. Było już po dziewiątej i dzień zaczął robić się coraz bardziej gorący. Peter szybkim krokiem skierował się w stronę St. Charles Avenue. Miał nadzieję, że spacer pozwoli mu przewyciężyć senność, jaka mogła go ogarnąć po tak obfitym śniadaniu. Czuł szczerzy żal, że nie zobaczy już Marshy i smutek, którego istoty nie do końca pojmował. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie naprawdę znał się na kobietach. Raczej w to wątpił.

2.

Winda numer cztery znowu płatała figle. Cy Lewin, leciwy windziarz z dziennej zmiany miał już powyżej uszu kapryśków czwórki, które zaczęły się mniej więcej tydzień temu i chyba się potęgowały.

Minionej niedzieli winda kilkakrotnie odmówiła posłuszeństwa, mimo że drzwi

kabiny i drzwi na podeście były dokładnie zamknięte. Zmiennik przekazał Cy, że to samo zdarzyło się w poniedziałek w nocy, kiedy jechał nią zastępca dyrektora naczelnego, pan McDermott.

Potem, w środę, pojawiły się kłopoty, które wyłączyły czwórkę z użytkowania na kilka godzin. Wydział techniczny stwierdził, że nastąpiła awaria układu sprzęgła - obojętne, co by to miało znaczyć. Przeprowadzona naprawa nie zapobiegła jednak kolejnej przerwie w ruchu. Zdarzyły się następnego dnia, kiedy trzykrotnie winda numer cztery nie chciała zjechać z piętnastego piętra.

A dzisiaj czwórka ruszała i zatrzymywała się na każdym piętrze z wyraźnym szarpnięciem.

Ustalenie przyczyn takiego jej zachowania nie było sprawą Cy Lewina. Zresztą, raczej go to nie obchodziło, mimo że słyszał, jak kierownik działu technicznego, Doc Vickery, narzekał na „ciągłe łatanie” i mówił, że potrzebuje „stu tysięcy dolarów, aby wypatroszyć mechanizm dźwigu i wstawić nowe bebechy”. No cóż, kto by nie chciał mieć do dyspozycji takiej ilości forsy? Na pewno Cy Lewin sam nie miałby nic przeciwko temu i dlatego co roku starał się uskładać tyle, aby wystarczyło mu na abonament totalizatora. Jak dotąd, niewiele mu z tego przyszło.

Ale jako weteran St. Gregory’ego zasługiwał w końcu na pewne względy i poprosi jutro o przeniesienie do obsługi innej windy. Dlaczego nie? W hotelu pracował dwadzieścia siedem lat i obsługiwał windy, zanim niektórzy z tych młodziaków przyszli na świat. Od następnego dnia niech ktoś inny męczy się czwórką i jej kaprysami.

Zegar wskazywał tuż przed dziesiątą rano i w hotelu zaczynał pracować coraz bardziej intensywnie. Cy Lewin zabrał pasażerów z holu - przede wszystkim uczestników zjazdu z plakietkami identyfikacyjnymi powpinanymi w klapy - i zatrzymując się na kolejnych kondygnacjach dotarł na piętnaste, najwyższe piętro. Kabina była już pełna, zanim dotarła do dziewiątego piętra i Cy zjechał bezpośrednio na parter. W czasie ostatniego kursu zauważył, że szarpanie ustało. Uznał więc, że wszystko najprawdopodobniej naprawiło się samo.

Nie mógł bardziej się mylić.

Wysoko nad Cy Lewinem, na dachu hotelu znajdowało się pomieszczenie maszynowni windy. Tam, w mechanicznym sercu windy numer cztery, niewielki elektryczny przekaźnik osiągnął kres swojego pożytecznego żywota. Przyczyną, nie znaną i nie podejrzaną przez nikogo był maleńki popychacz o wymiarach zwykłego gwoźdźca.

Popychacz był przyśrubowany do miniaturowej głowicy tłoka, który z kolei uruchamiał trzy przełączniki. Pierwszy włączał i zwalniał hamulec windy, drugi dostarczał

zasilanie do silnika, trzeci kontrolował obwody generatora. Kiedy wszystkie trzy działały sprawnie, winda gładko poruszała się w górę i w dół reagując na przesunięcie dźwigni sterowniczej. Gdyby jednak działały tylko dwa z nich, a trzeci - kierujący sterowaniem silnikiem windy był zepsuty - kabina mogła runąć w dół. Istniała tylko jedna okoliczność, która mogła spowodować taką katastrofę: wydłużenie popychacza i tłoka.

Przez kilka tygodni popychacz obluzowywał się coraz bardziej. Ruchami tak maleńkimi, że setka ich równała się grubości ludzkiego włosa, głowica tłoka obracała się i powoli, ale nieuchronnie wykręcała się z gwintu popychacza. Rezultat był podwójny: popychacz i tłok coraz bardziej się wydłużały. A przełącznik silnika ledwo działał.

Podobnie jak ziarnko piasku może w końcu przechylić szalę, każde dalsze przekręcenie tłoka mogło całkowicie odciąć przełącznik silnika.

Właśnie ten defekt był przyczyną złego funkcjonowania windy numer cztery. Trudno było mieć pretensje do obsługi technicznej - w jednej windzie było ponad sześćdziesiąt przekładników, a w całym hotelu dwadzieścia wind.

A ponadto nikt nie zauważył, że dwa zabezpieczenia kabiny windy były częściowo niesprawne.

W związku z tym, o dziesiątej dziesiątej w piątek rano winda numer cztery - i w przenośni i w rzeczywistości - wisiała na włosku.

3.

Pan Dempster z Montrealu wprowadził się o wpół do jedenastej. Peter McDermott, poinformowany o jego przybyciu, zszedł do holu, aby go przywitać. Dzisiaj rano, ani Warren Trent, ani Albert Wells nie pojawili się na dolnych piętrach, ani też nic o nich nie słyszano.

Finansowy przedstawiciel Alberta Wellsa był energicznym człowiekiem i robił wrażenie doświadczonego dyrektora dużego oddziału bankowego. Gdy Peter wspomniał o zapierającym dech w piersi tempie wydarzeń, skomentował to krótko.

- Pan Wells często wywiera taki efekt. - Boy odprowadził gościa do apartamentu na jedenastym piętrze.

Dwadzieścia minut później, pan Dempster zjawił się w gabinecie Petera.

Oznajmił mu, że odwiedził pana Wellsa i rozmawiał przez telefon z panem Trentem. Spotkanie, które ustalono orientacyjnie na jedenastą trzydzieści, z całą pewnością odbędzie się w tym terminie. Tymczasem, pan Dempster chciałby porozmawiać z kilkoma osobami - między innymi z kierownikiem działu rozliczeń - a pan Trent zaproponował mu, aby

skorzystał z gabinetu dyrektora.

Przedstawiciel Wellsa sprawiał wrażenie człowieka przyzwyczajonego do sprawowania władzy.

Peter zaprowadził go do gabinetu Warrena Trenta i przedstawił Christine. Dla McDermotta było to drugie spotkanie z Christine tego ranka. Po przyjściu do hotelu odszukał ją i chociaż w pełnej krzątaniny atmosferze mogli jedynie uścisnąć sobie dłonie, natychmiast oboje odczuli, jak elektryzująco działa na nich wzajemna obecność.

Po raz pierwszy od chwili przybycia do hotelu, mężczyzna z Montrealu uśmiechnął się.

- Ach tak, panno Francis. Pan Wells wspominał o pani. I wyrażał się o pani bardzo ciepło.

- Myślę, że pan Wells jest wspaniały. Początkowo sądziłam... - Przerwała gwałtownie.

- Tak?

- Czuję się nieco zakłopotana - stwierdziła Christine - tym, co się zdarzyło wczoraj wieczorem.

Dempster wyjął okulary w grubej oprawie, wytarł je starannie i nałożył.

- Jeżeli ma pani na myśli sprawę rachunku w restauracji, panno Francis, to wcale pani nie musi. Pan Wells mi powiedział - przytaczam jego własne słowa - że była to najmilsza, najsympatyczniejsza rzecz, jaka mu się kiedykolwiek zdarzyła. Oczywiście, wiedział, co się dzieje. Jest bardzo spostrzegawczy.

- Tak - przyznała Christine. - Zaczynam to sobie uświadamiać.

Rozległo się pukanie do drzwi sekretariatu. Pojawił się w nich kierownik działu rozliczeń, Sam Jakubiec.

- Przepraszam - powiedział i widząc stojącą w gabinecie grupę ludzi, miał zamiar się cofnąć. Peter zaprosił go do środka.

- Przyszedłem sprawdzić plotkę - powiedział Jakubiec. - Rozprzestrzenia się w hotelu jak pożar. Podobno ten starszy pan, Albert Wells...

- To nie plotka - odparł Peter. - Ale fakt. - Przedstawił Jakubca Dempsterowi.

Jakubiec złapał się za głowę.

- O Boże! A ja sprawdzałem, czy on jest wypłacalny. Kwestionowałem jego czek. Nawet telefonowałem do Montrealu!

- Słyszałem o pańskim telefonie. - Dempster uśmiechnął się po raz drugi. - W banku byli bardzo rozbawieni. Ale mają wyraźne polecenie, aby nie przekazywać żadnych informacji o panu Wellsie. Tak sobie życzy.

Jakubiec niemal jęknął.

- Sądzę, że bardziej musiałby się pan martwić - stwierdził montrealczyk - gdyby nie sprawdził pan kredytu pana Wellsa. Szanuje pana za to, co pan zrobił. Ma zwyczaj pisać czeki na dziwnych kawałkach papieru, które niektórzy uznają za mało wiarygodne. Ale czeki, oczywiście, są dobre. Pewnie już pan wie, że pan Wells jest jednym z najbogatszych ludzi w Północnej Ameryce.

Oszołomiony Jakubiec zdołał tylko potrząsnąć głową.

- Może ułatwię trochę państwu sprawę - zauważył Dempster - jeżeli wyjaśnię kilka spraw dotyczących mojego pracodawcy. - Spojrzał na zegarek. - Zaraz przyjdzie tu bankier, pan Dumaire i kilku prawników, ale sądzę, że mamy trochę czasu.

Przerwało mu przybycie Royalla Edwardsa, rewidenta hotelowego, który wszedł z dokumentami i wypchaną teczką. Kolejny raz powtórzyła się prezentacja.

Pan Dempster podał rękę rewidentowi i powiedział.

- Porozmawiamy za chwilę i chciałbym, żeby został pan na spotkaniu o jedenastej trzydzieści. A przy okazji, pani również, panno Francis. Pan Trent prosił, aby pani była obecna i wiem, że pan Wells będzie zachwycony.

Po raz pierwszy Peter McDermott odniósł niepokojące wrażenie, że znalazł się na uboczu rozgrywających się wokół niego wydarzeń.

- Miałem właśnie wyjaśnić kilka spraw dotyczących pana Wellsa. - Dempster zdjął okulary, chuchnął na szkła i wytarł je jeszcze raz. - Mimo że pan Wells jest bardzo zamożny, pozostał człowiekiem o bardzo prostych gustach. Nie ma to nic wspólnego ze skąpstwem. Wręcz przeciwnie, jest wyjątkowo hojny. Po prostu woli prostotę, nawet jeżeli chodzi o ubranie, podróże, mieszkanie.

- Rozważałem możliwość przeniesienia pana Wellsa do apartamentu - wtrącił Peter. - Pan Curtis zwalnia dziś po południu jeden z naszych najlepszych.

- Lepiej niech pan tego nie robi. Przypadkiem wiem, że panu Wellswi podoba się pokój, w którym obecnie mieszka, choć nie mógłby tego powiedzieć o poprzednim.

Peter wzdrygnął się w duchu na wspomnienie „beczki śmiechu”, który Albert Wells zajmował do chwili, kiedy w poniedziałek w nocy przeniesiono go do 1410.

- Pan Wells nie ma nic przeciwko temu, żeby ktoś inny zajął ten apartament - na przykład ja - wyjaśnił Dempster. - Jego po prostu to nie bawi. Czy nie nudzę państwa?

Słuchacze jednym głosem zaprotestowali.

Royall Edwards wyraźnie był rozbawiony.

- To brzmi jak bajka Braci Grimm!

- Być może. Ale proszę nie mieć złudzeń, że pan Wells żyje w krainie ułudy. Nie. Podobnie jak i ja.

Nie wiem, czy pozostali uświadamiają sobie, że pod tymi uprzejmymi słowami kryje się stal, pomyślał Peter.

- Znam pana Wellsa od wielu lat - ciągnął Dempster. - Przez ten czas nauczyłem się szanować jego wyczucie zarówno w interesach jak i w ocenie ludzi. Jest obdarzony wrodzoną przenikliwością, której nie można się nauczyć w Harvardzkiej Szkole Biznesu.

Royall Edwards, który był absolwentem tej właśnie szkoły, zaczerwienił się. Peter zastanawiał się, czy był to przypadek, czy też przedstawiciel Alberta Wellsa przeprowadził jakiś szybki wywiad na temat przedstawicieli starszego szczebla zarządzania hotelem. W takim przypadku, znał już akta Petera McDermotta, czyli także sprawę zwolnienia go z Waldorfa i umieszczenia na czarnej liście. Czy to była przyczyna, zastanawiał się, dla której tak wyraźnie pominięto go, ustalając skład ścisłej rady?

- Przypuszczam - powiedział Royall Edwards - że możemy spodziewać się poważnych zmian?

- Bardzo prawdopodobne. - Dempster znowu przetarł szkła, co było chyba jego podświadomym nawykiem. - Pierwszą z nich stanowi mianowanie mnie prezesem spółki hotelowej. Stanowisko takie zajmuję w większości przedsiębiorstw pana Wellsa. Nigdy nie zależy mu na kolekcjonowaniu podobnych tytułów.

- A więc będziemy często pana widywali - stwierdziła Christine.

- Prawdę mówiąc, bardzo mało, panno Francis. Będę tylko figurantem, nikim więcej. Pełną władzę będzie sprawował urzędujący wiceprezes. Taka jest polityka pana Wellsa i moja również.

A więc sytuacja, pomyślał Peter, rozwinęła się tak jak przewidywałem. Albert Wells nie będzie bezpośrednio związany z zarządzaniem hotelem i znajomość z nim nie będzie przynosić żadnych korzyści. Mały mężczyzna będzie oddalony od szczebla bezpośredniego kierownictwa i przyszłość Petera będzie zależała od urzędującego wiceprezesa, ktokolwiek nim będzie. Peter zastanawiał się, czy jest to ktoś znajomy.

Zorientował się nagle, że chce bardzo pozostać w St. Gregorym. Oczywiście, Christine była jednym powodem. Innym natomiast było to, że hotel, utrzymując dotychczasową niezależność pod nowym kierownictwem, może stać się niezwykle ciekawym miejscem pracy.

- Panie Dempster - odezwał się. - Jeżeli nie jest to wielką tajemnicą, czy moglibyśmy dowiedzieć się, kto będzie urzędującym wiceprezesem?

Montrealczyk był wyraźnie zaskoczony. Spojrzał dziwnie na Petera, a potem uśmiechnął się lekko.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział. - Myślałem, że pan wie. Pan.

4.

Podczas minionej nocy, w ciągu wolno upływających godzin, w czasie których goście hotelowi smacznie spali, Booker T. Graham pracował samotnie w blasku padającym od spalarki. Jak zwykle dni i noce Bookera T. były podobne do siebie jak dwie krople wody i nigdy nie przyszło mu nawet do głowy, że mogłoby być inaczej. Potrzeby miał również niewielkie i ograniczały się one do jedzenia, mieszkania i odrobiny godności, choć to ostatnie pragnienie było instynktowne i sam nie potrafiłby go określić.

Tej nocy niezwykle było jedynie wolne tempo, w jakim posuwała się jego praca. Zazwyczaj na długo przedtem, zanim podbił kartę i szedł do domu, Booker T. zdążył zlikwidować śmieci nagromadzone przez cały poprzedni dzień, posegregować znaleźiska i posiedzieć spokojnie pół godziny paląc skręconego własnoręcznie papierosa, a potem wyłączyć spalarkę. Ale tego ranka, choć jego zmiana już się skończyła, pracował w dalszym ciągu. Kiedy powinien opuszczać już hotel, wciąż jeszcze pozostało nie sprawdzonych i nie spalonych ponad tuzin pełnych pojemników ze śmieciami.

Po prostu Booker T. próbował za wszelką cenę znaleźć papier, na którym tak zależało McDermottowi. Był ostrożny i dokładny. Nie śpieszył się. Na razie bez powodzenia.

Booker T. z zalem poinformował o tym kierownika nocnej zmiany, który przyszedł dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja. Stał rozglądając się ze zdziwieniem po ponurym otoczeniu i krzywił się czując wszechogarniający odór. Kierownik zmiany wyszedł bardzo szybko, ale sam fakt, że się tutaj pofatygował, świadczył o tym, że dla McDermotta zaginiony papier wciąż jest bardzo ważny.

Booker T. powinien był - z zalem lub bez - iść już do domu. Hotel niechętnie płacił za nadgodziny. A poza tym, Bookera T. zatrudniono tu po to, aby zajmował się śmieciami, a nie jakimiś problemami kierownictwa.

Wiedział, że jeżeli podczas dziennej zmiany pozostawione śmieci zostaną zauważone, przyślą tu kogoś, aby uruchomił na kilka godzin spalarkę i usunął je. Gdyby tak się nie stało, Booker T. sam musiałby się uporać z zaległościami następnej nocy. W przypadku pierwszej ewentualności - papier zostanie utracony na zawsze, a w drugiej - nawet jeżeli Booker znajdzie dokument, będzie już za późno.

Booker T. pragnął jedynie zrobić wszystko, co możliwe dla pana McDermotta. Gdyby go ktoś zapytał, dlaczego, nie byłby w stanie wyjaśnić motywów swojego postępowania, nie potrafił zresztą zbyt precyzyjnie się wyrażać. Po prostu, kiedy młody zastępca dyrektora naczelnego był w pobliżu, Booker T. dopiero przy nim czuł się człowiekiem.

Postanowił, że będzie szukał dalej.

Aby uniknąć kłopotów, wyszedł z pomieszczenia spalarki, podszedł do zegara kontrolnego i podbił kartę. A potem wrócił. Mało prawdopodobne, żeby ktoś go zauważył. Spalarnia nie była szczególnie często odwiedzanym pomieszczeniem.

Pracował przez następne trzy i pół godziny. Szukał wolno, dokładnie, zdając sobie sprawę z tego, że poszukiwanego papieru może już wcale nie być wśród śmieci, albo że spalił go, zanim poproszono go, aby zaczął poszukiwania.

Wczesnym popołudniem był już bardzo zmęczony i pozostał mu tylko jeden pojemnik.

Zobaczył ją prawie natychmiast po opróżnieniu zasobnika - kulę woskowanego papieru, który wyglądał jak opakowanie po kanapkach. Kiedy ją rozwinął, znalazł w środku zmięty arkusz papieru listowego - identyczny z pozostawionym mu przez McDermotta. Aby się upewnić, porównał je pod światło. Nie mylił się.

Odzyskany papier był zatłuszczony i częściowo zamoczony. W jednym miejscu napisany tekst się rozmazał. Ale tylko trochę. Pozostała część była wyraźna i czytelna.

Booker T. nałożył brudną, zatłuszczoną kurtkę. Nie zwracając sobie głowy pozostałymi śmieciami, skierował się ku górnym rejonom hotelu.

5.

W obszernym gabinecie Warrena Trenta, Dempster zakończył prywatną rozmowę z rewidentem. Wokół niego leżały raporty i zestawienia finansowe, które Royall Edwards właśnie zbierał w chwili, kiedy zaczęli się schodzić pozostali uczestnicy zebrania o jedenastej trzydzieści. Pierwszy przyszedł podobny do Pickwicka bankier, Emile Dumaire. Po nim pojawił się chudy, długonogi prawnik, który prowadził większość prawnych interesów St. Gregory'ego oraz nieco młodszy nowoorleański adwokat reprezentujący Alberta Wellsa.

Wreszcie przybył Peter McDermott, towarzyszący Warrenowi Trentowi. Chociaż właściciel St. Gregory'ego przegrał swoją długotrwałą walkę o utrzymanie kontroli nad hotelem, mimo wszystko sprawiał wrażenie bardziej odprężonego i przyjaznego niż kiedykolwiek w czasie kilku minionych tygodni. W kłapie marynarki miał goździk i przywitał

się serdecznie z wszystkimi gośćmi. Peter przedstawił mu Dempstera.

McDermott działał jak we śnie. Wszystkie czynności wykonywał mechanicznie, odpowiadał odruchowo, jakby odmawiał litanii. Miał wrażenie, że jakiś robot przejął nad nim kontrolę, dając mu w ten sposób czas na otrząśnięcie się z szoku spowodowanego wiadomością przekazaną mu przez montrealczyka.

Urzędujący wiceprezes. Dyrektor naczelny. Tytuł w gruncie rzeczy obchodził go mniej, niż wynikające ze stanowiska możliwości.

Kierowanie St. Gregorym przy zachowaniu pełnej kontroli nad nim, było pełną realizacją jego marzeń. Peter był głęboko przekonany, że St. Gregory może stać się doskonałym hotelem. Może być szanowany, dochodowy, wydajny. Najwyraźniej również Curtis O'Keefe, którego opinia zawsze się liczyła, tak uważał.

Istniały również środki niezbędne do osiągnięcia tego celu. Należały do nich - dopływ kapitału, reorganizacja połączona z wyraźnie określonymi zakresami obowiązków i władzy, a także zmiany personalne - emerytury, awanse i zatrudnianie nowych pracowników.

Kiedy Peter dowiedział się o nabyciu hotelu przez Alberta Wellsa i zachowaniu jego niezależności, miał nadzieję, że kierować nim będzie ktoś z wyobraźnią i siłą przebiccia, jakie są niezbędne do przeprowadzenia zmian. A teraz, właśnie on miał tę szansę.

Nominacja miała również duże znaczenie osobiste. Mogła oznaczać bowiem przywrócenie pozycji Petera McDermotta w hotelarstwie. Jeżeli odniesie sukces w St. Gregorym, przeszłość zostanie zapomniana, jego opinia oczyszczona. Hotelarze, jako grupa zawodowa, nie byli ani mściwi, ani krótkowzroczni. W końcu najbardziej liczyły się osiągnięcia.

W głowie Petera kłębiły się myśli. Wciąż był oszołomiony, ale zaczynał już dochodzić do siebie. Przyłączył się do uczestników zebrania, zajmujących miejsce przy długim stole pośrodku gabinetu.

Ostami przybył Albert Wells. Wszedł nieśmiało, w towarzystwie Christine. Na jego widok, wszyscy obecni wstali z miejsc.

Wyraźnie zmieszany drobny mężczyzna zaczął machać ręką.

- Ależ nie. Proszę siadać!

Warren Trent podszedł do niego z uśmiechem.

- Panie Wells, witam pana w moim hotelu. - Uścisnęli sobie dłonie. - Kiedy stanie się już pańskim, życzę panu z całego serca, aby te stare mury przyniosły panu tyle szczęścia i radości, ile swego czasu sprawiły mnie.

Było to powiedziane z kurtuazją i wdziękiem. Gdyby mówił to ktoś inny, pomyślał

Peter, te same słowa zabrzmiałyby pusto i pompatycznie. W ustach Warrena Trenta stawały się wzruszające i przekonywujące.

Albert Wells zamruął. Wciąż z taką samą kurtuazją, Warren Trent ujął go pod ramię i osobiście przedstawił wszystkich zebranych.

Christine zamknęła drzwi i również usiadła przy stole.

- Mam wrażenie, że zna pan moją sekretarkę, pannę Francis i pana McDermotta.

Albert Wells uśmiechnął się nieśmiało.

- Trochę mieliśmy ze sobą do czynienia. - Mrugnął do Petera. - I jak sądzę, jeszcze nas to czeka.

Wreszcie Emile Dumaire odchrząknął i rozpoczął zebranie.

Bankier oznajmił na wstępie, że warunki sprzedaży zostały już w swej zasadniczej części uzgodnione. Celem zebrania, które prowadzi na życzenie pana Trenta i pana Dempstera, jest uzgodnienie trybu dalszego postępowania, w tym również daty przejęcia hotelu. Nic nie wskazuje, aby miały się pojawić jakieś trudności. Przypadająca na dziś spłata pożyczki hipotecznej pod zastaw hotelu została czasowo zawieszona przez Bank Handlowo-Przemysłowy na podstawie gwarancji pana Dempstera działającego z upoważnienia pana Wellsa.

Peter dostrzegł ironiczny grymas Warrena Trenta, który od wielu miesięcy bezskutecznie próbował uzyskać prolongatę spłaty.

Bankier wyjął proponowany porządek obrad i rozdał egzemplarze wszystkim zebranych. Krótko przedyskutowano jego treść przy udziale prawników i Dempstera. Potem zaczęto rozpatrywać punkt po punkcie, Warren Trent i Albert Wells byli jedynie widzami - pierwszy zamyślony, drugi wciśnięty w fotel, jakby chciał się stać zupełnie niewidzialny. Dempster ani razu nie powołał się na Wellsa, ani nawet nie spojrzał w jego stronę. Najwyraźniej, montrealczyk doskonale wiedział, że jego pracodawca stara się jak najmniej zwracać na siebie uwagę, a jednocześnie przywykł sam podejmować decyzje.

Peter McDermott i Royall Edwards odpowiadali na pojawiające się pytania dotyczące spraw administracji i finansów. Dwukrotnie Christine wychodziła z gabinetu i przynosiła odpowiednie dokumenty z akt hotelowych.

Mimo swojej pompatyczności, bankier doskonale prowadził zebranie. W ciągu niecałej pół godziny podstawowe sprawy zostały załatwione. Ustalono, że oficjalne przekazanie hotelu nastąpi we wtorek. Wszelkie drobne sprawy pozostawiono do rozpatrzenia prawnikom.

Emile Dumaire popatrzył na siedzących przy stole.

- Jeżeli nie ma innych spraw...

- Może jedna. - Warren Trent pochylił się do przodu, skupiając na sobie uwagę wszystkich zebranych. - Między dżentelmenami, podpisanie dokumentów jest jedynie formalnością, potwierdzającą ich wzajemne zobowiązania. - Spojrzał na Alberta Wellsa. - Sądzę, że zgadza się pan ze mną.

- Oczywiście - odparł Dempster.

- W takim razie, może pan całkowicie swobodnie rozpocząć natychmiast wszelkie działania w sprawach hotelu, jakie uzna pan za stosowne.

- Dziękuję - Dempster skłonił z szacunkiem głowę. - Pewne działania chcielibyśmy podjąć natychmiast. Pan Wells życzy sobie, aby natychmiast po dokonaniu przekazania hotelu, we wtorek, odbyło się zebranie dyrektorów, na którym przede wszystkim zostanie przedstawiona pańska kandydatura na stanowisko prezesa zarządu.

Warren Trent skinął głową.

- Uważam to za zaszczyt. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby stać się godnym go elementem ozdobnym.

Dempster pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Pan Wells życzy sobie również, abym objął stanowisko dyrektora generalnego.

- Doskonale to rozumiem.

- Pan Peter McDermott natomiast zostaje mianowany dyrektorem naczelnym.

Wszyscy siedzący przy stole zaczęli gratulować Peterowi. Christine uśmiechała się. Warren Trent uściśnął mu rękę. Dempster poczekał, aż gwar ucichnie.

- Pozostaje jeszcze jedna sprawa. Kiedy w tym tygodniu byłem w Nowym Jorku, nazwa tego hotelu pojawiła się w środkach masowego przekazu w dość niefortunnym kontekście. Chciałbym uzyskać zapewnienie, że przynajmniej do chwili zmiany dyrekcji taka sytuacja się nie powtórzy.

Zapadła nagła cisza.

Starszy prawnik miał zdziwioną minę. Jego młodszy kolega wyjaśnił mu głośnym szeptem:

- Chodzi o to, że nie chciano zameldować tu kolorowego.

- Aha! - Straszny prawnik pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Chciałbym postawić jedną sprawę jasno. - Dempster zdjął okulary i zaczął je przecierać. - Nie proponuję żadnych zasadniczych zmian przyjętej polityki. Według mnie, jako człowieka interesów, musimy szanować miejscowe poglądy i zwyczaje. Zależy mi jedynie na tym, aby - jeśli zaistnieje znowu podobna sytuacja - nie wywoływała podobnych

konsekwencji.

Znowu zapadła cisza.

Peter McDermott uświadomił sobie nagle, że znalazł się w centrum zainteresowania wszystkich zebranych. Zrozumiał również, że zarazem niespodziewanie znalazł się w sytuacji kryzysowej - pierwszej i być może najważniejszej w czasie swoich rządów. Sposób jej rozegrania może mieć wpływ na przyszłość hotelu i jego własną. Czekał do momentu, gdy był już pewien, że potrafi precyzyjnie wyłożyć swoje racje.

- To co pan przed chwilą powiedział... - stwierdził spokojnie, skinąwszy głową w stronę młodszego prawnika - jest, niestety, prawdą. Delegat na odbywającą się w hotelu konferencję, mimo potwierdzonej rezerwacji, nie został przyjęty. Był dentystą - o ile wiem, nader znanym - i przypadkiem, Murzynem. Z przykrością muszę stwierdzić, że właśnie ja załatwiałem tę sprawę. Wtedy też podjąłem osobistą decyzję, że nigdy już taki incydent się nie powtórzy.

- Jako dyrektor naczelny - oznajmił Emile Dumaire - wątpię, czy będzie pan miał okazję...

- Nie dopuszczę, aby ktokolwiek postąpił podobnie w hotelu, którym zarządzam.

Bankier wyduł wargi.

- To dość stanowcze oświadczenie. Warren Trent odwrócił się z irytacją w stronę Petera.

- Przecież już omawialiśmy ten problem.

- Panowie. - Dempster ponownie nałożył okulary. - Myślę, że stwierdziłem dość jasno, iż nie proponuję żadnych zasadniczych zmian.

- Ale ja tak, panie Dempster. - Jeżeli ma rozegrać się ostateczna walka, pomyślał Peter, lepiej niech nastąpi to teraz i miejmy już wszystko poza sobą. Albo będzie prowadził ten hotel, albo nie. Ten moment był równie dobry jak każdy inny, aby się o tym przekonać.

Montrealczyk pochylił się do przodu.

- Chciałbym się upewnić, że dobrze rozumiem pańskie stanowisko. Wewnętrzny głos ostrzegał Petera, że zaczyna działać nieostrożnie.

Zignorował go.

- Moje stanowisko jest zupełnie proste. Będę nalegał na całkowitą desegregację hotelu. Jest to warunek mego zatrudnienia.

- Czy nie za szybko stawia nam pan warunki?

- Pańskie pytanie oznacza, że wiecie panowie o pewnych sprawach osobistych... - rzekł cicho Peter.

Dempster skinął głową.

- Owszem.

Peter zauważył, że Christine przypatruje mu się uważnie. Zastanawiał się, o czym myśli.

- Trudno mi ocenić, czy postępuję za szybko, czy też nie - rzekł.

- Jest jednak chyba moim obowiązkiem zapoznać panów z moim stanowiskiem w tej ważnej sprawie.

Dempster znowu zaczął przecierać okulary.

- Mam wrażenie, że wszyscy szanujemy tak głębokie przekonania - zwrócił się do wszystkich obecnych. - Mimo to uważam, że problem ten możemy rozważyć w późniejszym terminie. Jeżeli pan McDermott wyrazi zgodę, moglibyśmy na razie odłożyć podjęcie decyzji. A potem, za miesiąc lub dwa, wrócimy do tematu.

Jeżeli pan McDermott się zgodzi, pomyślał Peter. W dyplomatyczny sposób montrealczyk pozostawiał mu furtkę...

Wszystko układało się według ustalonego wzoru. Najpierw upór, który uspokajał sumienie i świadczył o dobrych intencjach. Potem łagodne ustępstwa. Rozsądny kompromis osiągnięty przez rozsądnych ludzi. *Problem zostanie rozważony w późniejszym terminie. Czyż można postąpić w bardziej cywilizowany, rozsądny sposób? Czyż nie jest to właśnie owo umiarkowane, łagodne postępowanie, tak bardzo cenione przez wiele osób? Na przykład, przez dentystów. Ich oficjalny list z uchwałą potępiającą postępowanie hotelu w sprawie doktora Nicholasa nadszedł dopiero dzisiaj.*

Niewątpliwie, hotel był w trudnej sytuacji. Zmiana kierownictwa wiąże się z mnóstwem problemów, po cóż więc wynajdywać dodatkowe? Pora na tak radykalne decyzje nie była więc odpowiednia. Może przeczekanie byłoby istotnie najmądrzejszym rozwiązaniem.

Z drugiej strony, na tak istotne przekształcenia żaden moment nie był odpowiedni. Zawsze będą powody, żeby nic nie robić w tej sprawie. Peter przypomniał sobie, że ktoś niedawno użył tych właśnie słów. Kto taki?

Doktor Ingram. Porywczy prezes dentystów, który zrezygnował ze swojej funkcji, ponieważ wierzył, że zasady moralne są ważniejsze niż oportunizm. I dlatego ubiegłej nocy opuścił St. Gregory'ego, pałając świętym oburzeniem.

Ale w pewnym momencie, powiedział doktor Ingram, trzeba wybrać albo to co się chce mieć, albo to, w co się wierzy... Ale pan tak nie postąpił, McDermott, kiedy miał pan ku temu okazję. Za bardzo martwił się pan o ten hotel i swoją pracę... Czasami jednak mamy

drugą szansę. Jeżeli się panu przytrafi - niech się pan nie waha.

- Panie Dempster - oznajmił Peter. - Prawo dotyczące swobód obywatelskich jest całkowicie jasne. Bez względu na to, czy będziemy próbowali opóźnić lub unikać wprowadzenia ich w życie, wynik w końcu będzie taki sam.

- Z tego, co wiem - zauważył montrealczyk - można wnioskować, że istnieją poważne rozbieżności na temat interpretacji tych praw w poszczególnych stanach.

Peter pokręcił ze zniecierpliwieniem głową i popatrzył na siedzących przy stole.

- Uważam, że dobry hotel musi przystosować się do zmieniających się czasów. W chwili obecnej zaczęto sobie uświadamiać w naszym kraju wagę praw ludzkich. Byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy stali się jednymi z pierwszych, którzy zaakceptowali nowy stan rzeczy i zaczęli sami wprowadzać te zasady w życie, niż aby nas do tego zmuszono. A sytuacja taka zaistnieje, jeżeli sami nie podejmiemy niezbędnych działań. Przed paroma minutami oświadczyłem, że nigdy nie dopuszczę do odmówienia miejsca w naszym hotelu kolejnemu doktorowi Nicholasowi. I nie zamierzam zmieniać zdania w tej sprawie.

- Nie wszyscy będą doktorami Nicholasami - parsknął Warren Trent.

- Przestrzegamy w tej chwili pewnych zasad, panie Trent. Będziemy trzymali się ich w dalszym ciągu, czyniąc je jedynie bardziej elastycznymi.

- Ostrzegam cię! Doprowadzisz ten hotel do ruiny.

- Mam wrażenie, że nie jest to jedyny sposób.

Warren Trent zaczerwienił się.

Dempster spoglądał na swoje dłonie.

- Z przykrością stwierdzam, że zaistniał tu konflikt. Panie McDermott, w związku z zajęciem przez pana stanowiskiem może będziemy zmuszeni ponownie rozważyć... - Po raz pierwszy okazał niezdecydowanie. Podniósł wzrok i zerknął na Alberta Wellsa.

Mały mężczyzna siedział przygarbiony w fotelu. Kiedy poczuł, że uwaga wszystkich została zwrócona na niego, skulił się jeszcze bardziej, ale spojrzał Dempsterowi prosto w oczy.

- Charlie - oznajmił. - Mam wrażenie, że powinniśmy pozwolić młodemu człowiekowi postępować w tej sprawie według własnego uznania.

Skinął głową w stronę Petera.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, Dempster oznajmił:

- Panie McDermott, przyjmujemy pańskie warunki.

*

Zebranie dobiegało końca. Panującą na jego początku atmosferę ogólnej zgody i

porozumienia zastąpiło uczucie skrępowania i niezręczności. Skwaszony Trent ignorował Petera. Starszy prawnik spoglądał z dezaprobatą, młodszy miał nieprzeniknioną minę. Emile Dumaire z ożywieniem dyskutował z Dempsterem. Tylko Albert Wells robił wrażenie lekko rozbawionego wszystkim, co działo się wokół niego.

Christine pierwsza podeszła do drzwi. Chwilę później wróciła i gestem ręki przywołała Petera. Zobaczył, że w przedpokoju czeka jego sekretarka. Znał dobrze Florę, wiedział więc, że musiało ją tu sprowadzić coś zupełnie wyjątkowego. Przeprószył zebranych i wyszedł z gabinetu.

Kiedy mijał Christine, wsunęła mu do ręki złożoną kartkę papieru.

- Przeczytaj to później - szepnęła.

Skinął głową i włożył kartkę do kieszeni.

- Panie McDermott - oznajmiła Flora - nie przeszkadzałabym panu...

- Wiem. Co się stało?

- W pana biurze czeka pewien człowiek. Powiedział, że pracuje w spalarni śmieci i ma coś ważnego, na czym panu zależy. Nie chciał mi tego dać, ani przyjść później.

Peter spojrział na nią zaskoczony.

- Przyjdę najszybciej jak mi się uda.

- Proszę, niech się pan pośpieszy! - Flora wyglądała na zakłopotaną. - Bardzo mi przykro, że to mówię, panie McDermott, ale... ten człowiek brzydko pachnie.

6.

Kilka minut przed godziną dwunastą Billyboi Noble - szczupły, powolny pracownik obsługi technicznej, zszedł do płytkiej jamy mieszczącej się na dnie szybu windy numer cztery. Miał przeprowadzić okresowy przegląd i czyszczenie - takie same, jakie przeprowadził już dziś rano w windach numer jeden, dwa i trzy. Nie wymagało to wyłączenia windy z ruchu i Billyboi, pracując widział, jak wysoko nad jego głową kabina windy numer cztery wędruje w górę i w dół.

7.

Niezwykle ważne sprawy, pomyślał Peter McDermott, mogą zależeć od drobnych uśmiechów losu.

Był już sam w swoim gabinecie. Booker T. Graham, któremu podziękował serdecznie,

wyszedł przed kilkoma minutami, promieniejąc z radości z odniesionego, maleńkiego sukcesu.

Maleńki uśmiech losu.

Gdyby Booker T. był innym człowiekiem, gdyby poszedł do domu o oznaczonej godzinie, tak jak zrobiliby inni na jego miejscu, gdyby nie poszukiwał tak uparcie - ten arkusz papieru, który teraz leżał przed Peterem na biurku, już by nie istniał.

Tych „gdyby” była nieskończona ilość. Peter również miał w tym pewien udział.

Z rozmowy wywnioskował, iż jego wizyty w spalarni wpłynęły na Bookera T. i spowodowały, że pracownik podbił kartę i pracował dalej, nie licząc na nadgodziny. Kiedy Peter wezwał Florę i polecił jej załatwić wypłatę za przepracowane godziny, uwielbienie malujące się na twarzy Bookera T. było aż krępujące.

Notatka znajdująca się na biurku nosiła datę sprzed dwóch dni. Została napisana przez księżnę Croydonu na papierze listowym z Apartamentu Prezydenckiego i upoważniała garaż hotelowy do wydania samochodu Croydonów Ogilviemu, kiedy ten uzna to za stosowne.

Peter sprawdził już charakter pisma.

Poprosił Florę o dokumenty dotyczące Croydonów. Leżały teraz przed nim na biurku. Była to korespondencja w sprawie rezerwacji, w tym również kilka notatek sporządzonych własnoręcznie przez księżnę. Na pewno ekspert-grafolog zdoła wykonać precyzyjną analizę porównawczą. Ale nawet dla kogoś, kto nie posiadał takich umiejętności, podobieństwo było niewątpliwe.

W poprzedniej rozmowie księżna żądała okazania notatki.

Teraz można było to zrobić.

Prawnicza wiedza Petera McDermotta dotyczyła głównie spraw związanych z prowadzeniem hotelu. Ale nie miał wątpliwości, że pismo księżnej obciąża ją jednoznacznie. Oczywiście było, że jego obowiązkiem jest natychmiast powiadomić o znalezisku kapitana Yollesa.

Peter położył dłoń na słuchawce telefonu i zawahał się.

Nie współczuł Croydom. Ze zgromadzonych dowodów wynikało jasno, że popełnili nikczemne przestępstwo, a potem tchórzliwie zawikłali się jeszcze w kłamstwach. Peter przypomniał sobie stary cmentarz St. Louis, procesję żałobników, dużą trumnę i maleńką, białą...

Croydonowie oszukali nawet swojego współnika, Ogilwiego. Wprawdzie gruby detektyw hotelowy był osobą godną pogardy, ale w końcu jego przestępstwo było o wiele lżejsze. A księżę i księżna byli gotowi obciążyć popełnioną przez siebie zbrodnią Ogilwiego i

narazić go na o wiele cięższą karę.

Przyczyna wahania Petera tkwiła jednak w czymś innym. Wynikała po prostu z tradycji - utrwalonej przez wieki zasady hotelarza: gość przede wszystkim. Bez względu na to, co sądził o księciu i księstwie Croydonu, byli oni gośćmi w tym hotelu. Zatelefonuje na policję. Ale najpierw zadzwoni do Croydonów. Peter podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z Apartamentem Prezydenckim.

8.

Curtis O'Keefe osobiście zamówił do pokoju późne śniadanie dla siebie oraz Dodo. Dostarczono je do apartamentu godzinę temu, ale większa część posiłku pozostała dotąd nie tknięta. Zarówno on jak i Dodo spróbowali usiąść razem do stołu, ale wszystko wskazywało na to, że żadne z nich nie mogło zmusić się do jedzenia. Po chwili Dodo przeprosiła i wróciła do swojego pokoju, aby dokończyć pakowania. Miała wyjechać na lotnisko za dwadzieścia minut, Curtis O'Keefe - godzinę później.

Napięcie między nimi utrzymywało się od wczorajszego popołudnia.

Po swoim wybuchu złości O'Keefe natychmiast poczuł szczerzy żal. W dalszym ciągu z goryczą myślał o tym, co uznał za perfidię Warrena Trenta. Ale jego zachowanie wobec Dodo było niewybaczalne i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Co gorsza, sytuacja była nie do naprawienia. Chociaż przeproszał, prawdziwe jego uczucia zostały ujawnione. Przecież rzeczywiście pozbywał się Dodo i jej samolot Delta Air Lines do Los Angeles startował dzisiaj po południu. Brał na jej miejsce kogoś innego - Jenny La Marsh, która już czekała na niego w Nowym Jorku.

Ostatniej nocy urządził dla Dodo wystawny wieczór. Najpierw zabrał ją na wspaniały obiad w Commander's Palace, a potem na tańce i występy artystyczne w Blue Room w Roosevelt Hotel. Wieczór jednak się nie udał, bynajmniej nie z winy Dodo, ale w jakiś przewrotny sposób z powodu jego własnego złego nastroju.

Dodo bowiem robiła wszystko, aby być wesołą, dobrą towarzyszką zabawy.

Po wyraźnym rozgoryczeniu, jakie przeżyła po południu, wydawało się, że postanowiła odłożyć na bok swoje zranione uczucia i zachowywać się jak zwykle czarująco.

- O rany, Curtie - zawołała podczas obiadu - mnóstwo dziewczyn oddałoby swoje pasy do pończoch za taką rolę w filmie, jaką dostałam. - Potem przykryła dłonią jego dłoń. - Wciąż jesteś słodziutki, Curtie. Zawsze taki będziesz.

Jej słowa jeszcze bardziej go przygnębiły i ten nastrój w końcu udzielił się im obojgu.

Curtis O'Keefe tłumaczył sobie, że jest on spowodowany przede wszystkim utratą hotelu, chociaż zazwyczaj w takich sytuacjach bywał bardziej odporny. W czasie swojej długiej kariery doświadczył wielu zawodowych rozczarowań. Nauczył się więc szybko stawać z powrotem na nogi i zajmować następną sprawą, nie tracąc czasu na opłakiwanie niepowodzeń.

Ale tym razem paskudne samopoczucie trwało nadal.

W konsekwencji okazał swoją irytację nawet Bogu. W jego porannych modlitwach pojawiły się pewne krytyczne tony... *Uznałeś za właściwe oddać St Gregory'ego w obce ręce... Bez wątpienia jest w tym jakiś Twój niezbadany cel, mimo iż doświadczeni śmiertelnicy, tacy jak twój sługa, nie mogą go dostrzec...*

Modlił się w samotności, krócej niż zazwyczaj, a potem zobaczył, że Dodo pakuje nie tylko swoją walizkę ale i jego.

- Curtie, przecież lubię się tym zajmować - zapewniła go kiedy zaprotestował. - A jeżeli nie zrobię tego tym razem, to kto cię spakuje?

Nie miał ochoty wyjaśniać, że żadna z poprzedniczek Dodo nigdy nie pakowała ani nie rozpakowywała jego bagaży. Zazwyczaj zlecał tę czynność jakiejś pokojówce i - jak przypuszczał - będzie od tej pory musiał już tak robić.

Wtedy właśnie zadzwonił do obsługi pokoiów i zamówił śniadanie, ale ten pomysł również nie wypalił, mimo że gdy usiedli do stołu, Dodo znowu spróbowała go uspokoić:

- O rany, Curtie, nie rób takiej żalosalnej miny. Przecież nie żegnamy się chyba na zawsze. Możemy często się spotykać w LA.

Ale O'Keefe, mając za sobą niejedno tego typu doświadczenie, doskonale zdawał sobie sprawę, że się już nie zobaczą. Poza tym, przypomniał sobie, to nie rozstanie z Dodo, ale utrata hotelu martwiła go naprawdę.

Minuty mijały. Nadeszła pora wyjazdu Dodo. Dwóch boyów wzięło już większość jej bagaży i kilka minut temu znieśli je do głównego holu. Teraz ich przełożony przyszedł zabrać pozostały bagaż ręczny i odprowadzić Dodo do specjalnie zamówionej lotniskowej limuzyny.

Herbie Chandler, doskonale zdając sobie sprawę z pozycji Curtisa O'Keefego, a tym samym wysokości potencjalnego napiwku, osobiście nadzorował realizację zlecenia. Stał w korytarzu i czekał, pilnując wejścia do apartamentu.

O'Keefe spojrzął na zegarek i podszedł do drzwi między apartamentami.

- Masz już bardzo mało czasu, moja droga.

- Muszę skończyć paznokcie, Curtie - dobiegł go leniwy głos Dodo.

Zastanawiając się, dlaczego wszystkie kobiety robią manicure dopiero w ostatniej

chwili, Curtis O'Keefe wręczył Herbiemu Chandlerowi pięciodolarowy banknot.

- Proszę podzielić się tym z kolegami.

Szczurzy pyszczek Chandlera rozpromienił się.

- Dziękuję panu bardzo. - Oczywiście, że się podzieli, z tą jednak różnicą, że dwaj boyowie dostaną po pięćdziesiąt centów, on zaś zatrzyma cztery dolary.

Dodo wyszła z przyległego pokoju.

Powinien teraz zabrzmieć akompaniament muzyczny, pomyślał O'Keefe. Trąbki i liryczne tony skrzypiec.

Miała na sobie prostą, żółtą suknię i wielki kapelusz z opuszczonym rondem - ten sam, w którym weszła do hotelu we wtorek. Jej platynowoblond włosy opadały luźno na ramiona. Spojrzała na niego wielkimi, niebieskimi oczyma.

- Do widzenia, kochany Curtie. - Objęła go za szyję i pocałowała. Mimowolnie przytulił ją mocno.

Przez chwilę miał absurdalny pomysł. Kazać kierownikowi boyów sprowadzić z powrotem walizki Dodo i powiedzieć jej, żeby została i nigdy go nie opuszczała. Ale szybko uznał to za sentymentalną głupotę. W każdym razie, miał przecież Jenny La Marsh. O tej porze jutro...

- Do widzenia, moja droga. Będę często o tobie myślał i uważnie obserwował twoją karierę.

Odwróciła się w drzwiach i pomachała mu. Wydało mu się, że płakała. Herbie Chandler zamknął drzwi za sobą.

Podeszli do windy i kierownik boyów przycisnął guzik. Kiedy czekali, Dodo poprawiła chusteczką rozmazany makijaż.

Windy jakoś wolno dziś chodzą, pomyślał Herbie. Ze zniecierpliwieniem znowu przycisnął kilkakrotnie guzik, a potem przytrzymał go przez kilka sekund. Uświadomił sobie, że wciąż jest zdenerwowany. Żył w ciągłym napięciu od wczorajszej rozmowy z McDermottem, zastanawiając się przez cały czas, kiedy i w jaki sposób otrzyma wiadomość - może będzie to bezpośrednie wezwanie do samego Warrena Trenta? - która zakończy karierę Herbiego w St. Gregorym. Do tej pory żadnych wiadomości nie miał, a od samego rana krążyły plotki o tym, iż hotel został sprzedany jakiemuś staremu facetowi, o którym Herbie nigdy nie słyszał.

Czy owe zmiany odmienią jego życiową sytuację? Chandler z żalem stwierdził, że nic chyba na nich nie skorzysta, przynajmniej jeżeli McDermott pozostanie na swoim stanowisku, co wydawało się zupełnie prawdopodobne. Zwolnienie kierownika boyów może odwlec się o

kilka dni, i to wszystko. McDermott! Czuł, że to znienawidzone nazwisko dźga go jak cierń. Gdybym miał dość odwagi, pomyślał Herbie, wbiłbym sukinsynowi nóż między łopatki.

Wpadł mu do głowy pewien pomysł. Są przecież inne, mniej drastyczne, ale zawsze nieprzyjemne sposoby, dzięki którym można komuś takiemu jak McDermott obrzydzić życie. Zwłaszcza w Nowym Orleanie. Oczywiście kosztują, ale wciąż miał te pięćset dolarów, które McDermott wczoraj tak wyniośle odrzucił. Może tego pożałować. Warto będzie wydać forszę, pomyślał Herbie, za samą przyjemną pewnością, że zastępca dyrektora będzie się wił w jakimś rynsztoku - zakrwawiony i posiniaczony. Herbie widział kiedyś faceta, który dostał taki wycisk. Nie wyglądał ładnie. Chandler oblizał wargi. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej pomysł go podniecał. Postanowił, że gdy tylko wróci na parter, zatelefonuje w odpowiednie miejsce. Takie zlecenie będzie można kazać zrealizować szybko. Może dziś w nocy.

Wreszcie zjawiła się winda. Drzwi otworzyły się.

W środku było już kilka osób, które uprzejmie cofnęły się nieco, robiąc miejsce dla Dodo. Herbie Chandler wszedł tuż za nią. Drzwi zamknęły się.

Była to winda numer cztery. Zegar wskazywał jedenaście minut po dwunastej.

9.

Księżna Croydonu miała uczucie, że czeka, aż spalający się wolno lont spowoduje wybuch niewidzialnej bomby. Jaka eksplozja nastąpi i gdzie, dowie się dopiero wtedy, gdy płomień dotrze do celu. Nie była też pewna, jak długi jest lont.

Czekała tak już od czternastu godzin.

Od momentu, gdy poprzedniego wieczoru policjanci poszli sobie, nie miała żadnej wiadomości. Kłopotliwe pytania nie doczekały się jak dotąd odpowiedzi. Co robi policja? Gdzie jest Ogilvie? A jaguar? Czy jest jakiś obciążający dowód, który przeoczyła mimo całej swojej pomysłowości? Nawet teraz nie mogła w to uwierzyć.

Jedno było niezmiernie ważne. Nie zważając na napięcie w jakim obecnie żyli Croydonowie, musieli sprawiać wrażenie osób zachowujących się zupełnie normalnie. Dlatego też zjedli śniadanie o normalnej porze. Księżę, pod naciskiem swojej żony, przeprowadził rozmowy telefoniczne z Londynem i Waszyngtonem. Zaczęli również załatwiać sprawy związane z jutrzejszym wyjazdem z Nowego Orleanu.

Późnym rankiem, księżna jak co dzień wyprowadziła na spacer bedlingtony i wróciła do Apartamentu Prezydenckiego pół godziny temu.

Było już niemal południe. I wciąż nie było żadnych informacji dotyczących tej jednej,

najistotniejszej sprawy.

Ubiegłej nocy wszystkie przesłanki zdawały się wskazywać, że stanowisko zajęte przez Croydonów jest nie do podważenia. Dzisiaj robiło jednak wrażenie bardziej wątpliwego, mniej przekonującego.

- Można przypuszczać - zastanawiał się na głos książę - że próbują zmęczyć nas milczeniem. - Stał, spoglądając przez okno saloniku. Ostatnimi dniami robił tak często. Ale w przeciwieństwie do poprzednich sytuacji, mówił wyraźnie. Od wczoraj nie przerwał swojej abstynencji, mimo że w apartamencie był alkohol.

- W takim przypadku - odparła księżna - musimy zadbać, żeby...

Przerwał jej ostry dzwonek telefonu. Podobnie jak w poprzednich przypadkach czuła, że nerwy ma napięte do ostatnich granic.

Znajdowała się najbliżej telefonu. Wyciągnęła rękę i nagle znieruchomiała. Miała przeczucie, że ten telefon będzie inny od poprzednich.

- Może wolisz, żebym ja go odebrał? - zapytał ze współczuciem książę.

Pokręciła głową, przezwyciężając chwilową słabość. Podniosła słuchawkę:

- Halo?

Przez chwilę panowała cisza. Potem księżna przytaknęła.

- Owszem, to ja. - Przykryła dłonią mikrofon i wyjaśniła mężowi - Dzwoni ten człowiek z hotelu, McDermott, który był tu ubiegłej nocy. - Tak, pamiętam - odezwała się do słuchawki. - Był pan obecny, kiedy postawiono nam te niedorzeczne zarzuty...

Przerwała. Słuchała uważnie i jej twarz bladła coraz bardziej. Zamknęła oczy i otworzyła je znowu.

- Tak - rzekła wolno. - Tak, rozumiem.

Odłożyła słuchawkę. Ręce jej drżały.

- Coś się stało - powiedział książę Croydonu. Raczej stwierdził fakt, niż zapytał.

Księżna powoli skinęła głową.

- Upoważnienie - powiedziała ledwo słyszalnym szeptem. - Znalezione upoważnienie. To, które napisałam. Ma je dyrektor hotelu.

Książę przeszedł od okna na środek pokoju. Stał nieruchomo, z opuszczonymi bezwładnie rękami czekając, aż dotrze do niego w pełni znaczenie usłyszanych słów.

- I co teraz? - zapytał wreszcie.

- Dzwoni na policję. Powiedział, że postanowił zawiadomić nas w pierwszej kolejności. - Gestem pełnym rozpaczy dotknęła dłonią czoła.

- Upoważnienie było największym błędem. Gdybym go nie napisała...

- Nie - odparł książę. - Wtedy zdarzyłoby się coś innego. Nie popełniłaś żadnego błędu. Jedyny... ten, od którego wszystko się zaczęło, był moim dziełem.

Podszedł do kredensu i nalał sobie solidną porcję szkockiej z wodą.

- Wypiję tę szklaneczkę i ani kropli więcej. Sądzę, że będę musiał długo czekać na następną. - Wypił whisky jednym haustem.

- Co zamierzasz?

- Już za późno, żeby mówić o przyzwoitości. Ale jeżeli pozostały choć resztki jej we mnie, spróbuję ją ocalić. - Wszedł do przyległej sypialni i wyszedł niemal natychmiast z lekkim płaszczem przeciwdeszczowym i kapeluszem w ręku.

- Dopóki mogę - oświadczył - chcę pójść na policję, zanim przyjdą po mnie. O ile wiem, uważa się to za dobrowolne zgłoszenie. Sądzę, że nie pozostało nam zbyt wiele czasu, powiem więc szybko to, co mam do powiedzenia.

Księżna wpatrywała się w niego. Nie była w stanie rzec ani słowa.

- Pragnę, abyś wiedziała - książę ciągnął spokojnym, opanowanym tonem - że jestem ci wdzięczny za wszystko, co zrobiłaś. Oboje popełniliśmy błąd, ale jestem ci wdzięczny. Zrobię, co w mojej mocy, żebyś nie została wmieszana w całą sprawę. Jeżeli mimo wszystko mi się nie uda, powiem, że wszystko, co wydarzyło się po wypadku, było moim pomysłem i że to ja ciebie namówiłem.

Księżna skinęła głową.

- Jest jeszcze jedna kwestia. Przypuszczam, że będę potrzebował jakiegoś adwokata. Chciałbym, abyś mi go załatwiła, jeśli łaska.

Książę nałożył kapelusz. Jak na człowieka, którego całe życie i przyszłość legły przed chwilą w gruzach, zachowywał się z godnym podziwu opanowaniem.

- Będziesz potrzebowała pieniędzy na adwokata - zaznaczył. - Przypuszczam, że raczej dużo. Możesz mu dać część z tych piętnastu tysięcy dolarów, które miałaś zamiar wziąć do Chicago. Pozostałe pieniądze powinnaś znowu złożyć w banku. Teraz nie ma już znaczenia, czy ktoś zwróci uwagę na tę wpłatę.

Księżna robiła wrażenie, jakby nic nie docierało do jej świadomości.

Po twarzy jej męża przemknął wyraz żalu.

- To może długo potrwać... - Powiedział niepewnie i wyciągnął do niej rękę.

Chłodno, z rozmysłem, odwróciła głowę.

Przez chwilę zdawało się, że książę chciał coś jeszcze dodać, ale ostatecznie zmienił zamiar. Wzruszył lekko ramionami i wyszedł cicho, zamykając za sobą drzwi.

Księżna przez kilka chwil siedziała nieruchomo, zastanawiając się nad przyszłością,

nad oczekującymi ją wkrótce zdemaskowaniem i hańbą. Potem jednak opanowała się i wstała. Załatwi adwokata. Zapewne będzie potrzebny natychmiast. A potem zastanowi się nad sposobem popełnienia samobójstwa.

Tymczasem należało dobrze schować pieniądze. Skierowała się do sypialni.

Po kilku minutach - najpierw niedowierzania, a potem gorączkowych poszukiwań - zorientowała się, że walizeczka zniknęła. Wytłumaczenie było tylko jedno - została skradziona. Kiedy uświadomiła sobie, że myśli o tym, iż należałoby powiadomić policję, księżna Croydonu wybuchnęła szaleńczym, histerycznym śmiechem.

Jeżeli potrzebuje się pilnie windy, pomyślał książę, można być pewnym, że będzie się na nią długo czekać.

Stoi na korytarzu dziewiątego piętra chyba od kilku minut. Wreszcie usłyszał zjeżdżający z góry dźwięk. Chwilę później drzwi kabiny otworzyły się.

Zawahał się przez moment. Wydało mu się, że przed sekundą usłyszał krzyk żony. Chciał wrócić, potem jednak postanowił, że nie zrobi tego.

Wszedł do kabiny windy numer cztery.

W środku było już kilka osób, między nimi przystojna blondynka i kierownik boyów, który natychmiast rozpoznał księcia.

- Dzień dobry, książę.

Książę Croydonu z roztargnieniem skinął głową. Drzwi windy zamknęły się.

10.

„Kluczyk” Milne potrzebował niemal całej nocy i ranka, aby w końcu uświadomić sobie, że wydarzenia wieczoru były rzeczywistością, a nie złudzeniem. Kiedy zorientował się, że ze stoickim spokojem wyniósł z Apartamentu Prezydenckiego tak wielką sumę pieniędzy, z początku podejrzewał, że śpi i wszystko tylko mu się śni. Chodził po pokoju, aby się obudzić, ale bez skutku. W tym rzekomym śnie był najwyraźniej zupełnie przytomny. Zdenerwowanie naprawdę nie pozwalało „Kluczykowi” zmrużyć oczu aż do świtu. Wtedy dopiero udało mu się zapaść w głęboki, spokojny sen. Spał aż do przedpołudnia.

Noc nie została stracona.

Nawet powątpiewając w niewiarygodny uśmiech losu, obmyślał plany i środki ostrożności, które przydałyby się, gdyby wszystko okazało się rzeczywiście prawdą.

W czasie całej swojej kariery zawodowego złodzieja Milne nie zdobył takiego łupu. Piętnaście tysięcy dolarów w drobnych banknotach. A co ważniejsze, istniały tylko dwa

problemy: Pierwszy - to kiedy i w jaki sposób opuścić hotel. Drugi zaś - jak przenieść pieniądze.

W nocy rozwiązał oba te zagadnienia.

Opuszczając hotel musi jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Czyli, musi normalnie się wymeldować i zapłacić rachunek. Gdyby tak nie zrobił, popełniłby największą pod słońcem głupotę, gdyż świadczyłoby to o jego nieuczciwości i groziło zorganizowaniem poszukiwań i pościgu.

Miał ochotę wyprowadzić się natychmiast, ale się opanował. Wyprowadzka późno w nocy, być może związana z dyskusją na temat konieczności zapłacenia za rozpoczętą dobę hotelową, przypominałaby włączenie syreny alarmowej. Kasjer z nocnej zmiany mógłby go zapamiętać i opisać. Nie tylko zresztą on, zwłaszcza jeżeli w hotelu było spokojnie.

Nie! Najlepszą porą na rozstanie z St. Gregorym będzie przedpołudnie, albo nawet nieco późniejsza pora. Wtedy, gdy będzie wyprowadzać się wiele osób jednocześnie. Dzięki temu, nikomu nie będzie rzucał się w oczy i pozostanie nie zauważony.

Oczywiście, opóźnienie wyprowadzki wiązało się z niebezpieczeństwem. Księżę i księżna Croydonu mogli zauważyć zniknięcie pieniędzy i zawiadomić policję. A to oznaczałoby blokadę holu i sprawdzanie wszystkich wychodzących. Z drugiej jednak strony, nie było niczego, co wiązałoby „Kluczyka” ze sprawą kradzieży, czy kierowało jakies podejrzenia w jego stronę. Poza tym, było raczej mało prawdopodobne, aby chciano rewidować bagaż każdego gościa.

Była jeszcze jedna, nieuchwytna poszlaka. Instynkt podpowiadał mu, że trzymanie tak dużej ilości gotówki w apartamencie hotelowym jest dość dziwne, a nawet podejrzane. Czy alarm w o g ó l e zostanie podniesiony? Istniała szansa, że nie.

Po zastanowieniu uznał, że czekanie wiązać się będzie z mniejszym ryzykiem.

Drugim problemem było wyniesienie pieniędzy z hotelu.

„Kluczyk” zastanawiał się, czy nie wysłać ich, korzystając z poczty w hotelu. Mógłby zaadresować przesyłkę do samego siebie, podając adres jakiegoś hotelu w innym mieście, w którym pojawi się za kilka dni. Potem jednak z żalem zrezygnował z tego pomysłu. Musiałby wysłać zbyt wiele małych pakietów, co również zwróciłoby uwagę.

Musi w y n i e ć pieniądze z hotelu. Ale jak?

Oczywiście nie w walizeczce, w której przyniósł je z apartamentu księcia i księżnej Croydonu. Przede wszystkim, należy ją zniszczyć. „Kluczyk” metodycznie zabrał się do dzieła.

Walizeczka wykonana była starannie, z drogiej skóry. Rozebrał ją nie bez kłopotów, a

potem pociął żyłką na drobne kawałki. Praca była kłopotliwa i czasochłonna. Spłukiwał pocięte kawałki w sedesie, starając się nie robić tego zbyt często, aby nie wzbudzić zainteresowania w sąsiednich pokojach.

Zajęło mu to ponad dwie godziny. W końcu, z walizeczki pozostały jedynie metalowe zamki i zawiasy. „Kluczyk” włożył je do kieszeni. Wyszedł z pokoju i wyruszył na długi spacer po korytarzu ósmego piętra.

Koło wind stało kilka popielniczek wypełnionych piaskiem. Szybko wygrzebał w nim dziurę palcami i wepchnął głęboko zamki i zawiasy. Kiedyś zostaną odnalezione, ale prawdopodobnie niezbyt szybko.

Od świtu dzieliła go jeszcze godzina lub dwie. W hotelu panowała cisza. Milne wrócił do pokoju. Do dwóch walizek, przyniesionych we wtorek rano, spakował rzeczy, pozostawiając na wierzchu jedynie kilka przedmiotów, które będą mu potrzebne przed samym wyjazdem. Do większej walizki włożył piętnaście tysięcy dolarów zawiniętych w kilka brudnych koszul.

A potem - wciąż oszołomiony, nie mogąc jeszcze uwierzyć w swoje szczęście - zasnął.

Nastawił budzik na dziesiątą rano, ale albo przespał sygnał, albo budzik nie zadzwonił. Kiedy się obudził, była prawie 11.30 i jaskrawe promienie słoneczne wpadały do pokoju.

Sen sprawił jedno. „Kluczyk” w końcu uzyskał pewność, że wszystko, co stało się ubiegłej nocy nie było złudzeniem. Chwila całkowitej klęski, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przekształciła się w moment wspaniałego triumfu. Myśl ta przyprawiła go niemal o euforię.

Szybko ogolił się i ubrał, a potem skończył pakowanie i zamknął obie walizki.

Postanowił, że zostawi je w pokoju, zjedzie na dół zapłacić rachunek i sprawdzi, jak wygląda sytuacja w holu.

Najpierw jednak pozbył się dodatkowych kluczy - do pokoi 449, 641, 803, 1062 i Apartamentu Prezydenckiego. W czasie golenia zauważył w ścianie łazienki luk inspekcyjny instalacji hydraulicznych. Milne odkręcił pokrywę i wrzucił klucze do środka. Usłyszał, jak gdzieś daleko spadają jeden po drugim na dno.

Zatrzymał własny klucz do pokoju 830, żeby go oddać w chwili, kiedy po raz ostatni opuści swój pokój. „Byron Meader” musi wyprowadzić się z St. Gregory’ego w całkowicie normalny sposób.

Ruch w holu był zupełnie przeciętny, bez oznak jakiegokolwiek wzmożonej kontroli czy

czujności. „Kluczyk” zapłacił rachunek uśmiechającej się do niego przyjaźnie kasjerce.

- Czy pokój jest już wolny, proszę pana? - zapytała.

Odpowiedział z uśmiechem.

- Za kilka minut. Muszę tylko wziąć walizki, to wszystko.

Zadowolony wrócił na górę.

Kiedy znalazł się w swoim pokoju, po raz ostatni rozejrzał się uważnie. Nie pozostawił niczego, żadnego kawałka papieru, jakiegoś drobiazgu, takiego jak opakowanie po zapalkach, żadnej poszlaki, dzięki której można by go zidentyfikować. Wilgotnym ręcznikiem przetaił wszystkie miejsca, na których mogłyby się zachować jego odciski palców. A potem wziął walizki i wyszedł z pokoju.

Jego zegarek wskazywał dziesięć po dwunastej.

Trzymał mocno większą walizkę. Kiedy myślał o tym, że będzie musiał przejść przez hol i główne drzwi czuł, że jego puls zaczyna bić szybciej, a dłonie robią się wilgotne.

Stał na podeście ósmego piętra i przywołał windę. Kiedy czekał, usłyszał, że jedna zjeżdża w dół. Zatrzymała się piętro wyżej, znowu ruszyła w dół i zatrzymała ponownie. Drzwi windy numer cztery otworzyły się przed „Kluczykiem”.

W przedniej części kabiny stał książe Croydonu.

Przez krótką, koszmarną chwilę Milne miał ochotę odwrócić się i uciec. Opanował się jednak. W tym samym ułamku sekundy rozsądek podpowiedział mu, że spotkanie jest zupełnie przypadkowe. Rozejrzał się szybko i to, co zobaczył, potwierdziło jego przypuszczenia. Książe był sam. Nawet nie zauważył „Kluczyka” i sądząc z wyrazu jego twarzy, błądził myślami gdzieś daleko.

Windziarz, leciwy człowiek, oznajmił:

- Jedziemy w dół.

Obok windziarza stał kierownik boyów, którego Milne widział kiedyś w holu. Gestem głowy wskazał walizki „Kluczyka” i zapytał:

- Może pomóc, proszę pana?

Milne pokręcił przecząco głową.

Kiedy wchodził do windy, książe i stojąca obok niego piękna blondynka przesunęli się, robiąc mu miejsce.

Drzwi zamknęły się. Windziarz, Cy Lewin, przesunął dźwignię sterowania na pozycję „w dół”. Kiedy to zrobił, kabina windy ze zgrzytem rozrywanego metalu runęła w dół.

Peter McDermott uznał, że powinien osobiście wyjaśnić Warrenowi Trentowi sprawę księcia i księżnej Croydonu.

Znalazł właściciela hotelu w gabinecie. Pozostali uczestnicy zebrania już wyszli. Trentowi towarzyszył Aloysius Royce, który pomagał swojemu pracodawcy zbierać osobiste przedmioty i pakował je do kartonowych pudeł.

- Pomyślałem, że wyprowadzę się stąd - powiedział Peterowi Trent. - Nie będę już potrzebował tego gabinetu. Przypuszczam, że teraz będzie pański.

W głosie starego mężczyzny nie było niechęci, mimo ostrej wymiany zdań, jaka miała miejsce między nimi przed pół godziną.

Rozmawiali, a Aloysius Royce w dalszym ciągu pracował po cichu.

Warren Trent wysłuchał uważnie opisu wydarzeń, które nastąpiły od wczorajszego popołudnia i zakończyły się kilka minut temu rozmowami telefonicznymi z księżną Croydonu i nowoorleańską policją.

- Jeżeli Croydonowie rzeczywiście to zrobili - oznajmił Trent - zupełnie im nie współczuję. Dobrze pan załatwił tę sprawę. - I po chwili namysłu mruknął. - Przynajmniej pozbedziemy się tych cholernych psów.

- Obawiam się, że Ogilvie jest mocno w to wszystko zamieszany.

Stary mężczyzna skinął głową.

- Tym razem posunął się za daleko. Poniesie pełne konsekwencje i tu jest już skończony. - Przerwał na chwilę. Sprawiał wrażenie, jakby się nad czymś namyślał. W końcu rzekł. - Przypuszczam, że zastanawiał się pan, dlaczego byłem dla niego taki pobłażliwy.

- Owszem - przytaknął Peter.

- Jest bratankiem mojej żony. Nie jestem z tego dumny i zapewniam pana, że moja żona w niczym go nie przypominała. Ale wiele lat temu poprosiła mnie, żebym go tutaj zatrudnił i obiecałem jej, że będzie u mnie pracował. Prawdę mówiąc, nigdy nie miałem ochoty tego zmieniać.

Jak mam ci wytłumaczyć, pomyślał Trent, że była to - wprawdzie wąła i ułomna, ale jedyna nić łącząca go jeszcze z pamięcią Hester.

- Przykro mi - rzekł Peter. - Nie wiedziałem...

- Że byłem kiedykolwiek żonaty? - Stary mężczyzna uśmiechnął się. - Niewiele osób o tym wiedziało. Moja żona zamieszkała razem ze mną w tym hotelu. Byliśmy wówczas młodzi. Umarła wkrótce potem. Wydaje mi się, że było to tak bardzo dawno temu.

- Jeżeli mógłbym cokolwiek... - zaczął Peter.

Drzwi do sekretariatu otworzyły się gwałtownie i do środka wpadła Christine. Biegąc

tutaj zgubiła jeden but. Była zadyszana i potargana.

- Zdarzył się... straszny wypadek! - wykrztusiła z trudem. - Jedna z wind. Byłam w holu... To potworne! Ludzie są uwięzieni. Strasznie krzyczą.

Przebiegając przez drzwi, Peter McDermott odsunął ją gwałtownie na bok. Aloysius Royce podążył tuż za nim.

12.

Trzy czynniki mogły zapobiec katastrofie windy numer cztery.

Jedną z nich był regulator prędkości windy. Powinien się włączyć, gdyby szybkość poruszania się kabiny przekroczyła granice bezpieczeństwa. W czwórcie, choć nikt do tej pory nie zauważył defektu, regulator działał z opóźnieniem. Drugim elementem były cztery chwytacze kleszczowe. Natychmiast po włączeniu się regulatora, powinny były zacisnąć się na prowadnicach kabiny i zatrzymać ją. Z jednej strony kabiny dwa chwytacze zadziałały prawidłowo. Ale z drugiej, opóźniona reakcja przełącznika, a także zużycie i wiek maszynierii spowodowały, że chwytacze zawiodły.

Nawet wtedy natychmiastowe uruchomienie awaryjnej blokady w samej kabinie mogło zapobiec tragedii. Służył do tego pojedynczy, czerwony guzik. W chwili, gdy go przyciśnięto, odcinał dopływ prądu i blokował windę. We współczesnych dźwigach guzik awaryjnej blokady umieszczony jest w widocznym miejscu, wysoko. W kabinach wind St. Gregory'ego i wielu innych hoteli znajdował się nisko. Cy Lewin wyciągnął rękę w jego stronę i niezgrabnie próbował go namacać. Spóźnił się o sekundę.

Kiedy jeden zestaw chwytaków zacisnął się, a drugi nie - kabina wygięła się i przechyliła. Pod wpływem prędkości, ciężaru własnego i znajdujących się w niej ludzi pękła z hukiem rozrywanego, rozdzieranego metalu. Nity puściły, wykładzina rozleciała się w drzazgi, metalowe płyty rozsunęły się. Po jednej stronie, między przekrzywioną pod ostrym kątem podłogą a ścianą, pojawiła się szczelina o szerokości kilku stóp. Pasażerowie, krzycząc i próbując złapać się jeden drugiego, zaczęli ześlizgiwać się w jej kierunku.

Stojący najbliżej niej Cy Lewin, wypadł pierwszy. Przerażliwy krzyk windziarza urwał się gwałtownie, gdy jego ciało uderzyło o betonową podłogę piwnicy położonej dziewięć pięter niżej. Następnie wypadło trzymające się kurczowo w objęciach starsze małżeństwo z Salt Lake City. Zginęli podobnie jak Cy Lewin, w chwili gdy ich ciała uderzyły o beton. Książę Croydonu lecąc w dół uderzył o sterczący ze ściany szybu metalowy pręt, nabijając się na niego. Pręt ułamał się i książę znowu zaczął spadać. Nie żył już, gdy jego

ciało dotarło do dna szybu.

Inni jakimś cudem zdołali się zatrzymać. Po chwili jednak dwa nadmiernie obciążone chwytaki puściły i kabina runęła w dół. W połowie drogi wypadł z niej, wymachując rozpaczliwie rękami, młody uczestnik kongresu dentystów.

Przeżył upadek, zmarł jednak trzy dni później na skutek obrażeń wewnętrznych.

Herbie Chandler miał więcej szczęścia. Wyleciał, kiedy kabina znajdowała się już nisko. Obrażenia głowy okazały się stosunkowo mało groźne, ale zgniecienia i pęknięcia kręgosłupa sparaliżowały go, unieruchamiając do końca życia.

Mieszkanka Nowego Orleanu, kobieta w średnim wieku, leżała na podłodze windy z pękniętą golenią i złamaną szczęką.

Gdy kabina uderzyła o dno szybu, Dodo wypadła ostatnia. Złamała rękę i uderzyła mocno głową o prowadnicę. Leżała nieprzytomna, bliska śmierci, a krew tryskała obficie z rozległej rany głowy.

Pozostałe trzy osoby - uczestnik konferencji Gold Crown Cola, jego żona oraz „Kluczyk” Milne - jakimś cudem wyszli z katastrofy bez szwanku.

Pod zdruzgotaną kabiną, Billyboi Noble - technik, który jakieś dziesięć minut temu zszedł do szybu windy, leżał ze zmiażdżonymi nogami i miednicą. Był przytomny, krwawił i krzyczał.

13.

Peter McDermott pędził po schodach z prędkością, z jaką nigdy dotąd nie poruszał się po hotelu.

Hol przypominał piekło. Zza drzwi windy dobiegały przeraźliwe wrzaski, krzyczały stojące obok kobiety. Blady jak płótno zastępca kierownika i jeden z boyów stali przed kłębiącym się tłumem i próbowali wyważyć metalowe drzwi czwórki. Kasjerzy, recepcjoniści, pracownicy biurowi wybiegali zza swoich kontuarów i biurka. Z restauracji i barów biegli ludzie, a kelnerzy i barmani pędzili za gośćmi. W głównej sali muzyka przestała grać i muzycy przyłączyli się do wszystkich. Pracownicy kuchenni, jeden po drugim, pojawiali się w drzwiach służbowych. Petera ogłuszył gwar bezładnych głosów.

Zawołał najgłośniejszym głosem, jak potrafił:

- Cisza!

Na chwilę wszyscy umilkli i wtedy krzyknął ponownie:

- Proszę się cofnąć, a my spróbujemy pomóc. - Dostrzegł recepcjonistę i zapytał:

- Czy ktoś zadzwonił do straży pożarnej?

- Nie jestem pewien, proszę pana. Myślałem...

- To dzwoń pan zaraz! - warknął Peter, a drugiemu polecił: - A pan niech powiadomi policję. Proszę powiedzieć, że potrzebujemy karettek pogotowia, lekarzy, ludzi do opanowania tłumu. Obydwaj mężczyźni rzucili się biegiem spełnić polecenie.

Wysoki, szczupły mężczyzna w tweedowej marynarce i spodniach khaki wyszedł przed zebranych.

- Jestem oficerem piechoty morskiej - oznajmił. - Proszę mi powiedzieć, co trzeba robić.

- Środek holu musi być wolny - wyjaśnił z wdzięcznością Peter.

- Proszę użyć personelu hotelowego do sformowania kordonu. Niech pan utrzyma wolne przejście do głównego wejścia. Należy też złożyć obrotowe drzwi.

- Tak jest!

Wysoki mężczyzna odwrócił się i zaczął energicznie wydawać rozkazy. Pozostali, uznając jego przywództwo, podporządkowali się natychmiast. Wkrótce kordon kelnerów, kucharzy, urzędników, boyów, muzyków, gości rozciągnął się przez cały hol do drzwi prowadzących na St. Charles Avenue.

Aloysius Royce przyłączył się do zastępcy kierownika i boya, którzy próbowali wyważyć drzwi windy. Odwrócił się i zawołał do Petera.

- Nic nie zrobimy bez narzędzi. Musimy się do niej dostać jakąś inną drogą.

Technik w kombinezonie wbiegł do holu.

- Potrzebujemy pomocy na dole szybu - zawołał do Petera. - Pod kabiną jest uwięziony facet. Nie możemy dostać się ani do niego, ani do innych.

- Chodźmy na dół! - krzyknął ostro Peter. Rzucił się biegiem do schodów służbowych. Aloysius Royce podążał krok w krok za nim.

Szary, skąpo oświetlony tunel prowadził do szybu windy. W tym miejscu znowu rozbrzmiewały przeraźliwe krzyki, które słyszeli na górze, ale teraz były bliższe i bardziej upiorne. Roztrzaskana winda znajdowała się bezpośrednio przed nimi, ale dalszą drogę przegradzał poskręcany, zmięty metal samej kabiny i instalacji zdruzgotanej jej upadkiem. Pracownicy techniczni próbowali podważyć ją łomami. Inni stali bezradnie z tyłu. Wrzaski, zmieszane głosy, dudnienie znajdującej się w sąsiedztwie maszynerii mieszały się z ciągłymi jękami dobiegającymi spomiędzy szczątek windy.

- Przynieście tu więcej lamp! - zawołał Peter do stojących beczynn timeracowników. Kilku pobiegło w głąb tunelu.

Następnie zwrócił się do mężczyzny w kombinezonie, który przybiegł do holu:

- Niech pan wraca na górę i wskaże drogę strażakom.

Kłęczący koło rumowiska Aloysius Royce zawołał:

- I przyślij tu lekarza. Natychmiast!

- Racja - dodał Peter. - Niech pan weźmie ze sobą kogoś, kto go tu przyprowadzi.

Proszę ogłosić, że potrzebujemy lekarza. W hotelu mieszka kilku.

Mężczyzna skinął głową i pobiegł tą samą drogą, którą tu przyszli.

Korytarzem nadchodzili wciąż nowi ludzie i zaczęli go już blokować. Między nimi przecisnął się kierownik techniczny, Doc Vickery.

- Mój Boże! - jęknął, patrząc na znajdujące się przed nim rumowisko. - Mój Boże! Mówiłem im. Ostrzegałem, że jeżeli nie dadzą pieniędzy, coś takiego jak to... - Schwycił Petera za ramię. - Słyszałeś przecież, chłopcze. Słyszałeś wiele razy...

- Później. - Peter uwolnił ramię. - Co może pan zrobić, żeby wyciągnąć tych ludzi?

Vickery pokręcił bezradnie głową.

- Potrzebujemy ciężkiego sprzętu: pił do metalu, podnośników...

Było wyraźnie widać, że kierownik nie jest w stanie podjąć jakichkolwiek działań.

- Niech pan sprawdzi pozostałe windy - polecił mu. - I wyłącz je, jeżeli trzeba. Nie możemy dopuścić, żeby sytuacja się powtórzyła.

Starszy mężczyzna skinął tępo głową i odszedł - przygarbiony, załamany.

Peter schwycił za ramię znanego mu z widzenia siwowłosego inżyniera.

- Musi pan oczyścić cały ten teren. Wszyscy, którzy nie mają tu nic do roboty, muszą natychmiast stąd odejść.

Inżynier skinął głową. Zaczął wydawać polecenia i wkrótce tunel opustoszał.

Peter wrócił do szybu windy. Aloysius Royce, na kolanach i łokciach wczołgał się pod część odłamków i trzymał za ramiona okaleczonego, krzyczącego pracownika technicznego. W skąpym świetle widać było stos pogniętego metalu przyciskający nogi i dolną część miednicy ofiary.

- Billyboi - uspokajał go Royce - wszystko będzie w porządku. Obiecuję. Wyciągniemy cię.

W odpowiedzi rozległ się jedynie kolejny, przesywający krzyk.

Peter ujął dłoń przygniecionej technika.

- Royce ma rację. Już tu jesteśmy. Nadchodzi pomoc.

Słyszał już rozlegające się wysoko nad nimi odległe wycie syren.

14.

Wezwanie recepcjonisty dotarło do mieszczącej się w ratuszu dyspozytorni straży pożarnej. Pracownik hotelu nie skończył jeszcze mówić, kiedy w każdej strażnicy w mieście rozległy się dwa ostre sygnały dzwonka - powiadomienie o poważnej katastrofie. Potem przez radio rozległ się spokojny głos dyspozytora.

- Ogłaszam alarm w kwadracie zero zero zero osiem. Hotel St. Gregory przy Carondelet i Common.

Do akcji wkroczyły cztery strażnice - główna na Decatur, przy Tulane, South Rampart i Dumaine. W trzech posterunkach personel był na lunchu. W głównej, posiłek był już niemal gotowy - klopsiki i spaghetti. Strażak, który tego dnia pełnił obowiązki kucharza westchnął wyłączając kuchenkę gazową i pobiegł w ślad za innymi. Cholernie nieodpowiednia pora na ogólny alarm.

Ubrania ochronne i długie buty znajdowały się w wozach bojowych. Ludzie zrzucali obuwie wskakując do ruszających wozów. W ciągu niecałej minuty po podwójnym dzwonku pięć zwykłych wozów, dwie rozsuwane drabiny, cysterna, wóz ratownictwa technicznego, zastępca komendanta i dwaj komendanci dzielnicowi zmierzali w stronę St. Gregory'ego, przedzierając się przez zatłoczone ulice.

Alarm dotyczący hotelu był pierwszy na liście priorytetów.

W pozostałych pięciu strażnicach szesnaście dalszych wozów bojowych i dwie drabiny czekały w pełnej gotowości na wezwanie do akcji.

Oficer dyżurny policji został powiadomiony dwoma kanałami - przez dyspozytornię straży pożarnej i bezpośrednio przez hotel.

Dwie pracownice łączności, siedzące pod dużym napisem „Bądź cierpliwy dla swojego rozmówcy”, zapisały informacje na blankietach meldunkowych i w chwilę później podały je oficerowi dyżurującemu przy radiostacji. W eterze rozległo się polecenie.

- Wszystkie karetki pogotowia, policyjne i ze szpitala „Charity” - do hotelu St. Gregory.

15.

Trzy kondygnacje poniżej poziomu głównego holu St. Gregory'ego, w tunelu prowadzącym do szybu windy wciąż było słycać hałas, pośpieszne rozkazy, jęki i krzyki. Na

ich tle rozległ się ostry odgłos szybkich kroków. Nadchodził młody mężczyzna w garniturze z tenisu, trzymając w ręku torbę lekarską.

- Doktorze! - zawołał nagle Peter. - Tutaj!

Zgięty wpół przybysz dotarł na czworakach do Petera i Aloysiusa Royce'a. Za nimi pojawiły się pośpiesznie instalowane lampy. Billyboi Noble znowu krzyknął przeraźliwie. Zwrócił twarz w stronę lekarza, jego oczy patrzyły błagalnie w wykrzywionej bólem twarzy.

- O Boże! O Boże! Proszę mi coś dać...

Lekarz skinął głową, grzebiąc pośpiesznie w torbie. Wyjął z niej strzykawkę. Peter odsunął rękaw kombinezonu Billyboia, odsłaniając jego ramię. Doktor przetarł je szybko watką i wbił igłę. W ciągu kilku sekund morfina zaczęła działać. Głowa Billyboia opadła do tyłu. Zamknął oczy.

Lekarz przyłożył stetoskop do piersi ranego.

- Nie mam jej za dużo przy sobie. Przyszedłem prosto z ulicy. Jak szybko możecie go stąd wyciągnąć?

- Kiedy tylko będziemy mieli pomoc. Już nadchodzi.

Znowu odgłos biegnących nóg. Tym razem ciężki łoskot wielu stóp. Wbiegają strażacy w hełmach. A także pojawiają się jaskrawe lampy, ciężki sprzęt - toporki, lewary hydrauliczne, piły, dźwignie. Skąpe rozkazy. Krótkie, urywane słowa. Pomruki, ostre polecenia.

- Tutaj! Podłóżcie pod to lewar. Dajcie tu ten ciężki sprzęt!

Z góry dobiegał odgłos uderzających siekier. Zgrzyt rozchylanego metalu. Nagle pojawił się strumień światła zza wyważonych w holu drzwi windy. I okrzyk.

- Drabiny! Dajcie tu drabiny! - Z góry opuściła się długa drabina.

Młody lekarz oznajmił stanowczo:

- Muszę wydostać stąd tego człowieka!

Dwaj strażacy ustawiali lewar, dzięki któremu można będzie unieść ciężar przygniatający Billyboia. Jeden z nich, klnąc pod nosem, usiłował znaleźć po omacku szczelinę. Podnośnik okazał się jednak o kilka cali za duży.

- Potrzebujemy mniejszy podnośnik! Przynieście najpierw mniejszy podnośnik, żebyśmy mogli ustawić większy. - Żądanie to zostało powtórzone przez radiotelefon. - Przynieście mały podnośnik z samochodu ratownictwa technicznego!

Znowu rozległ się stanowczy głos lekarza:

- Muszę wydostać stąd tego człowieka!

- Ten pręt wszystko blokuje! - zawołał Peter. - Tam, na górze! Jeżeli go przesuniemy,

zdołamy unieść to, co leży na dole i zrobić miejsce dla podnośnika.

- Na górze leży ze dwadzieścia ton - ostrzegł go strażak. - Jeżeli poruszy się jeden fragment, wszystko się obsunie. Nie możemy działać pośpiesznie.

- Spróbujmy! - zawołał Aloysius Royce.

Royce i Peter wzięli się za ręce i podparli ramionami górny pręt. Natężyli wszystkie siły. Nic. Naparli jeszcze mocniej. I jeszcze raz. Mieli wrażenie, że płuca im pękają, krew tętni w skroniach, niemal tracili przytomność z wysiłku. Pręt drgnął prawie niedostrzegalnie. Jeszcze mocniej. Muszą dokonać niemożliwego! Świadomość ich opuszczała. Oczy przesłaniała czerwona mgła. Napór. Drgnięcie. Krzyk:

- Podnośnik jest na miejscu! - Ciężar zniknął. W dół. Wolni. Podnośnik pracował. Szczątki unosiły się do góry.

- Już jesteśmy w stanie go wyciągnąć!

Doktor powiedział cicho:

- Możecie się nie spieszyć. Właśnie umarł.

*

Martwych i rannych wynoszono na górę po drabinie. Hol przekształcono w punkt opatrunkowy, gdzie pośpiesznie udzielano pomocy tym, którzy jeszcze żyli i czasowo układano martwych. Meble zostały odsunięte na bok. Środek zapełniały stojące obok siebie nosze. Za kordonem milczący tłum stał ciasno stłoczony. Kobiety płakały. Niektórzy odwracali głowy.

Na zewnątrz stał szereg karet pogotowia. St. Charles Avenue i Carondelet, między ulicami Canal i Gravier zostały zamknięte dla ruchu. Po obu stronach, za liniami blokady policyjnej zbierały się tłumy. Karetki odjeżdżały po kolei. Najpierw z Herbiem Chandlerem, potem z rannym dentystą, który zmarł później. Chwilę potem zabrano kobietę z obrażeniami nogi i szczęki. Inne ambulanse odjeżdżały wolniej, kierując się do miejskiej kostnicy. Wewnątrz hotelu, kapitan policji przesłuchiwał świadków, próbując ustalić nazwiska ofiar.

Ostatnią wydobytą ofiarą była Dodo. Lekarz, który zszedł na dół, założył opatrunek uciskowy na rozległą ranę głowy. Jej ręka umieszczona została w plastikowych łubkach. „Kluczyk” Milne, nie zwracając uwagi na propozycje pomocy, pozostał z Dodo podtrzymując dziewczynę i przywołując ratowników do miejsca, w którym się znajdowała. Wszedł ostatni, po uczestniku konferencji Gold Crown Cola i jego żonie. Strażak podał na górę, do holu, walizki Dodo i „Kluczyka”. Wziął je umundurowany policjant i zaczął ich pilnować.

Peter McDermott wrócił do holu, kiedy wynoszono Dodo. Była blada jak płótno i nieruchoma, jej ciało było zakrwawione, opatrunek - nasiąknięty czerwienią. Kiedy ułożono

ją na noszach, dwaj lekarze pochyłili się nad nią na chwilę. Jeden był młodym internistą, drugi - człowiekiem w podeszłym wieku. Młodszy lekarz pokręcił głową.

Za kordonem powstało chwilowe zamieszanie. Zdenerwowany mężczyzna w samej koszuli wołał:

- Dajcie mi przejść!

Peter odwrócił głowę i dał znak oficerowi piechoty morskiej. Kordon rozstał się i Curtis O'Keefe wbiegł do wygradzonej strefy. Z nieprzytomnym wyrazem twarzy szedł obok noszy. Peter zobaczył go po raz ostatni, kiedy już na ulicy prosił, aby zabrano go do karetki. Lekarz skinął głową. Drzwi zatrzasnęły się. Ambulans ruszył z wyciem syreny.

16.

Zszokowany Milne, wciąż nie mogąc uwierzyć w swoje ocalenie, wspiał się po drabinie stojącej w szybie windy. Strażak szedł tuż za nim. Wyciągnięte ręce pomogły mu wyjść na zewnątrz. Kiedy przechodził do holu, podtrzymywano go.

„Kluczyk” zorientował się, że może stać i poruszać się bez niczyjej pomocy. Zaczęła powracać mu zdolność logicznego myślenia i czujność. Wokół niego wszędzie widać było mundury. Bał się ich.

Jego dwie walizki! Gdyby większa się otworzyła!.. Ale nie. Stały spokojnie obok kilku innych. Skierował się w ich stronę.

- Proszę pana, karetka czeka - usłyszał za sobą.

„Kluczyk” odwrócił się i zobaczył młodego policjanta.

- Nie potrzebuję...

- Każdy musi zostać przebadany. Dla pańskiego dobra.

- Muszę wziąć moje bagaże - zaprotestował Milne.

- Może pan je odebrać później. Będą pod opieką.

- Nie, teraz.

- Chryste! - wtrącił się ktoś. - Jeżeli chce wziąć bagaże, to mu pozwól. Każdy, kto to przeszedł, ma prawo...

Młody policjant wziął walizki i poszedł za „Kluczykiem” do drzwi prowadzących na St. Charles Avenue.

- Może zechce pan tutaj poczekać. Sprawdzę, który ambulans pana zabierze.

Postawił walizki na ziemi.

Kiedy policjant odszedł, „Kluczyk” schwycił bagaże i wmieszał się w tłum. Nie

zauważony przez nikogo oddalił się od hotelu.

Maszerował bez pośpiechu w stronę zewnętrznego parkingu, na którym pozostawił samochód po uwieńczonym sukcesem wyprawie do Lakeview. Czuł się pewnie i spokojnie. Teraz już nic nie może się zdarzyć.

Na parkingu było dużo samochodów, ale Milne bez trudu odnalazł swojego forda dzięki charakterystycznym zielono-białym numerom rejestracyjnym z Michigan. Przypomniawszy sobie o swoim poniedziałkowym zmartwieniu, że tablice mogą zwrócić czyjąś uwagę. Najwyraźniej niepotrzebnie zaprzętał sobie tym głowę.

Samochód stał tam, gdzie go pozostawił. Jak zwykle, silnik ruszył po pierwszym dotknięciu startera.

„Kluczyk” przejechał ostrożnie ze śródmieścia do motelu przy Chef Menteur Highway, w którym ukrył swoje poprzednie łupy. Ich wartość nie była wysoka w porównaniu ze wspaniałymi piętnastoma tysiącami dolarów w gotówce, ale mimo wszystko nie powinien nimi pogardzać.

W motelu zaparkował forda najbliżej jak to możliwe przy wynajętym pokoju i przeniósł do niego walizki zabrane z St. Gregory’ego. Zaciągnął story na oknach i dopiero potem otworzył większą walizkę, żeby przekonać się, czy pieniądze wciąż znajdują się w środku. Były.

W pokoju motelowym przechowywał sporo osobistych rzeczy i teraz przepakował bagaże. W końcu okazało się, że do walizki nie zmieściły się dwa futra, srebrna misa i waza, skradzione w domu w Lakeview. Nie było już dla nich miejsca. Chyba że jeszcze raz wszystko by przepakował.

Powinien chyba tak postąpić. Ale zaczął uświadamiać sobie ogarniające go zmęczenie. Jak przypuszczał, była to reakcja na wydarzenia i napięcia dzisiejszego dnia. Czas uciekał, powinien więc jak najszybciej wydostać się z Nowego Orleanu. Doszedł do wniosku, że kłopotliwe przedmioty będą zupełnie bezpieczne, jeśli po prostu włoży je luzem do bagażnika forda.

Starając się, aby nikt go nie zauważył, zapakował walizki do auta, a pomiędzy nimi umieścił futra i srebra.

Wymeldował się z motelu i zapłacił rachunek. Kiedy wyprowadził samochód na szosę, poczuł się mniej zmęczony.

Kierował się do Detroit. Miał zamiar dostać się tam krótkimi, łatwymi etapami, zatrzymując się tam, gdzie będzie miał ochotę. Po drodze miał zamiar poważnie przemyśleć swoją przyszłość. Od wielu już lat obiecywał sobie, że jeśli kiedykolwiek zdobędzie solidną

sumę, wykorzysta ją na zakup małego warsztatu samochodowego. Porzuci wtedy cygańskie życie złodzieja, usatkuje się i przepracuje uczciwie resztę swoich dni. Potrafił to robić. Ford, którego prowadził, był tego dowodem. A na początek, piętnaście tysięcy dolarów starczyłoby aż nadto. Pozostawało pytanie: Czy już nadszedł właściwy moment?

Jadąc przez północne dzielnice Nowego Orleanu „Kluczyk” wciąż zastanawiał się nad tą sprawą. Kierował się w stronę Pontchartrain Expressway i swobodzie.

Wszystko przemawiało za osiedleniem się gdzieś na stałe. Nie był już młody. Ryzyko, napięcie męczyły go. Obecnie, w Nowym Orleanie czuł, jak paraliżująco działa na niego strach.

Ale... wydarzenia ostatnich trzydziestu sześciu godzin przydały mu nowej pewności siebie, nowego ducha. Udana kradzież domowa, bajeczna fortuna w gotówce, cudowne ocalenie zaledwie przed godziną, w katastrofie windy - wszystko podpowiadało mu, że nic nie jest w stanie mu zagrozić. I powinien kontynuować swoją działalność.

Mimo wszystko jednak, pomyślał „Kluczyk”, chyba nie powinienem jeszcze zrywać ze swoim zawodem. Na warsztat samochodowy przyjdzie jeszcze pora. Przecież mam jeszcze mnóstwo czasu.

Zjechał z Chef Menteur Highway na Gentilly Boulevard, objechał City Park obok lagun i starych, rozłożystych dębów. Teraz prowadził forda po City Park Avenue i zbliżał się do Metarie Road. Tu właśnie znajdowały się nowsze nowoorleańskie cmentarze - Greenwood, Metarie, St. Patrick, Fireman, Charity Hospital, Cypress Grove - jak okiem sięgnąć, wszędzie widać było nagrobki. Wysoko nad nimi ciągnęła się Pontchartrain Expressway. Widział już na niebie zarys jej konstrukcji, przypominającej mury forteczne, wabiącą go bezpieczną przystań. Za chwilę znajdzie się tam.

Zbliżając się do skrzyżowania Canal Street i City Park Avenue, ostatniego punktu przed podjazdem na autostradę, „Kluczyk” zauważył, że przestały działać światła na skrzyżowaniu. Ruchem kierował policjant.

Kilka jardów przed skrzyżowaniem Milne poczuł, że złapał gumę.

*

Posterunkowy policji drogowej, Nicolas Clancy, został kiedyś nazwany przez wściekłego na niego sierżanta „najgłupszym gliniarzem w całej policji Stanów Zjednoczonych”. Zarzut był słuszny. Clancy służył długo, można go było uznać za weterana, ale nigdy nie otrzymał wyższego stopnia, nie rozważano nawet jego awansu. Jego służbowy dorobek godny był pożałowania. Nie dokonał prawie żadnych aresztowań, a te, które miał na swym koncie, trudno było uznać za znaczące. Jeżeli ścigał uciekający samochód, ten z całą

pewnością uciekł. Kiedyś, w zamieszaniu polecono Clancy'emu, żeby zakuł w kajdanki podejrzanego, którego schwytał inny funkcjonariusz. Clancy wciąż jeszcze usiłował wyciągnąć kajdanki zza paska, gdy podejrzanego już dawno nie było w polu widzenia. W innej sytuacji, poszukiwany rabuś bankowy, który postanowił wejść na lepszą drogę, poddał się Clancy'emu na ulicy. Bandyta podał mu broń, którą Clancy natychmiast upuścił. Pistolet wypalił, a bandyta zmienił zdanie i uciekł. Zatrzymano go ponownie po roku i dokonaniu przezeń sześciu dalszych napadów.

Przez te wszystkie lata tylko jedna rzecz ocaliła Clancy'ego przed wyrzuceniem z policji - wyjątkowo pogodne usposobienie, któremu trudno się było oprzeć oraz smutna błazeńska świadomość własnych niedostatków.

Niekiedy, w cichości ducha Clancy marzył, aby udało mu się osiągnąć choć jeden sukces. Jeżeli nawet nie oczyściłby jego kartoteki, to przynajmniej sprawiłby, że stałaby się mniej jednostajna. Jak dotąd, zupełnie mu się nie powiodło.

Jedna, jedyna służbowa czynność nie sprawiała nigdy Clancy'emu kłopotów - kierowanie ruchem. Lubił to. Gdyby jakimś cudem udało mu się przenieść w przeszłość i uniemożliwić wynalezienie świetlnej regulacji ruchem, uczyniłby to z przyjemnością.

Dziesięć minut temu, gdy zauważył uszkodzenie świateł na skrzyżowaniu Canal Street i City Park Avenue, przekazał wiadomość przez radio, zaparkował swój motocykl i zaczął regulować ruchem. Miał nadzieję, że ekipa remontowa sygnalizacji świetlnej nie przyjedzie zbyt szybko.

Clancy zobaczył też, że szary ford po drugiej stronie alei zwolnił i zatrzymał się. Wolnym krokiem skierował się w jego stronę. „Kluczyk” siedział nieruchomo od chwili, gdy zatrzymał samochód.

Clancy spojrzał na zewnętrzne tylne koło opierające się na obręczy.

- Złapał pan gumę?

Milne skinął głową. Gdyby Clancy był bardziej spostrzegawczy, zauważyłby jego zbiegłe kostki palców mocno zaciśniętych na kierownicy. „Kluczyk” siedział, z goryczą przeklinając swoją nieuwagę i przeoczenie jednego istotnego szczegółu w całym misternym planie. Lewarek i zapasowe koło znajdowały się w bagażniku. Żeby się do nich dostać, musi teraz otworzyć bagażnik, wyjąć futra, srebrną wazę, tacę i walizki.

Czekał, czując spływający po ciele pot. Policjant najwyraźniej nie miał ochoty odejść.

- Chyba ma pan zapasowe koło, co?

„Kluczyk” znowu skinął głową. Myślał gorączkowo. Może zmienić koło szybko. Najwyżej w ciągu trzech minut. Lewarek! Zapasowe koło! Klucz francuski! Odkręcić śruby!

Zdjąć koło! Założyć zapasowe! Założyć śruby! Dokręcić! Wrzucić koło, lewarek i klucz na tylne siedzenie! Zatrzasnąć klapę bagażnika! I może ruszać. Na autostradę. Ż e b y t y l k o t e n g l i n i a r z s o b i e p o s z e d ł.

Jadące za fordem samochody zwalniały, niektóre musiały nawet zatrzymać się zanim zjechały na środkowy pas. Jeden wychylił się zbyt szybko. Z tyłu rozległ się pisk opon. Z oburzeniem ryknął klakson.

Policjant pochylił się i oparł o ramę drzwi koło „Kluczyka”.

- Zaczyna się tu robić gorąco.

- Tak. - Milne przełknął ślinę..

Gliniarz wyprostował się i otworzył drzwi.

- Powinien się pan zabrać do roboty.

Milne wyciągnął kluczyki ze stacyjki. Powoli wyszedł na jezdnię i zmusił się do uśmiechu.

- W porządku, panie władzo. Dam sobie radę.

Czekał, wstrzymując oddech, podczas gdy policjant obserwował skrzyżowanie.

- Pomogę panu - oznajmił Clancy przyjaźnie.

„Kluczyk” miał przez chwilę ochotę porzucić samochód i uciec. Uznał jednak, że to beznadziejne. Z rezygnacją włożył klucz do zamka i otworzył bagażnik.

W niecałą minutę później ustawił lewarek na miejscu, rozluźnił śruby mocujące koło i unosił tył samochodu. Walizki, futra i srebro leżały na stosie obok bagażnika. Pracując gorączkowo, Milne widział, jak policjant lustruje jego kolekcję. Nie do wiary, ale na razie nie komentował tego ani słowem.

„Kluczyk” nie mógł wiedzieć, że procesy myślowe Clancy’ego przebiegały dosyć powoli.

Policjant pochylił się i dotknął jednego z futer.

- Trochę tu na nie za gorąco. W mieście temperatura w ciągu ostatnich dziesięciu dni utrzymywała się w granicach trzydziestu pięciu stopni.

- Moja żona... czasami jest jej zimno.

Nakrętki zdjęte, stare koło również. Jednym ruchem „Kluczyk” otworzył tylne drzwi samochodu i wrzucił koło do środka.

Gliniarz przechylił głowę i zajrzał do wnętrza wozu.

- Nie ma pan ze sobą żony, co?

- Mam... mam się z nią dopiero spotkać.

Ręce „Kluczyka” usiłowały gorączkowo wydobyć zapasowe koło. Nakrętka

zabezpieczająca nie dawała się ruszyć. Złamał paznokcie i zdarł skórę z palców, usiłując ją odkręcić. Nie zwracając uwagi na ból, wyciągnął koło z bagażnika.

- Trochę dziwnie wyglądają te pańskie rzeczy.

„Kluczyk” zamarł, bojąc się zrobić jakiś ruch. To już koniec. I wiedział, dlaczego.

Los dał mu szansę, a on ją odrzucił. Nieważne, że decyzja, którą podjął, zapadła jedynie w jego myśli. Los był łaskawy, ale „Kluczyk” zlekceważył tę łaskę. A teraz, obrażony los odwrócił się doń plecami.

Z przerażeniem przypomniał sobie, że kilka minut temu beztrąsko zapomniał, jaką straszliwą ceną będzie następny wyrok. Długie więzienie - być może do końca życia. Nigdy dotąd wolność nie wydawała mu się tak cenna. Autostrada, choć tak bliska, zdawała się być na końcu świata.

Wreszcie domyślił się, co naprawdę mówiły mu znaki, których doświadczał przez ostatnie półtora dnia. Dawały mu wolność, szansę na nowe, przyzwoite życie, możliwość ucieczki w przyszłość. Gdyby tylko wiedział.

On jednak źle je zinterpretował. Z arogancją i pychą uznał łaskawość losu za swoją własną doskonałość. Podjął decyzję. A to był jej rezultat. I teraz jest już za późno.

Czy rzeczywiście? Czy rzeczywiście kiedykolwiek jest za późno - przynajmniej na nadzieję? „Kluczyk” zamknął oczy.

Przysięgł, głęboko przekonany, że jeśli tylko będzie miał szansę, na pewno dotrzyma obietnicy, że gdy jakimś cudem uda mu się wywinąć z tej opresji, nigdy już, do końca życia nie zrobi nic nieuczciwego.

Otworzył oczy. Policjant szedł w stronę samochodu, którego kierowca prosił o wskazanie drogi.

Niewiarygodnie szybko „Kluczyk” nasunął koło, włożył śruby i nakrętki, a potem zwolnił lewarek i wrzucił go do bagażnika. Nawet w tej sytuacji, kiedy koło oparło się już na ziemi, dociągnął mocniej nakrętki, tak jak zrobiłby to każdy dobry mechanik. Kiedy policjant wrócił, wszystko było już gotowe.

Clancy skinął z aprobatą głową. Zapomniał już, o czym wcześniej myślał.

- Skończone, co?

„Kluczyk” zatrzasnął klapę bagażnika. Po raz pierwszy Clancy zobaczył tablice rejestracyjne z Michigan.

Michigan. Zielone na białym. Coś zaczęło mu się przypominać.

Czy to było dzisiaj, wczoraj czy przedwczoraj?... Na odprawie, dowódca plutonu czytał na głos najnowsze komunikaty... Coś o zielonym i białym...

Clancy bardzo chciał sobie przypomnieć. Tak wiele było tych komunikatów - poszukiwani, zaginięci, samochody, włamania. Codziennie, inteligentni, chętni do pracy młodzi policjanci notowali je szybko w notesach, zapamiętywali, utrwalali informacje. Clancy próbował. Zawsze. Ale pisał tak wolno, a porucznik mówił tak szybko energicznym, stanowczym tonem, że nigdy nie nadązał. Zielone i białe. Żeby tylko mógł sobie przypomnieć.

Wskazał tablice rejestracyjne.

- Z Michigan, co?

„Kluczyk” skinął głową. Czekał w odrętwieniu. W końcu, jak wiele można znieść?

- Kraina Wodnych Cudów - Clancy przeczytał na głos napis na tablicy. - Słyszałem, że tam wspaniale biorą ryby.

- Tak... To prawda.

- Chciałbym tam kiedyś pojechać. Jestem wędkarzem.

Z tyłu rozległo się zniecierpliwione trąbienie. Clancy przytrzymał drzwi. Zrobił minę, jakby dopiero przypomniał sobie, że jest policjantem z drogówki.

- Trzeba zwolnić ten pas. - Zielone na białym. Wciąż dręczyła go ta nieuchwytna myśl.

„Kluczyk” zapuścił silnik i ruszył. Clancy patrzył w ślad za nim uważnie. Ani zbyt wolno, ani zbyt szybko, Milne włączył się do ruchu i skierował samochód w stronę wjazdu na autostradę. Podjął postanowienie i go nie zmieni.

Zielone na białym. Clancy pokręcił głową i znowu zajął się kierowaniem ruchem. W końcu, nie bez powodu nazwano go najgłupszym gliniarzem w całej policji.

17.

Błękitno-biała policyjna karetka pogotowia, błyskając charakterystycznym, niebieskim migaczem zakręciła z Tulane Avenue na wydzielony podjazd szpitala Charity. Zatrzymała się. Jej drzwi otworzono błyskawicznie. Wyjęto nosze z leżącą na nich Dodo i pielęgniarze sprawnie i szybko wjechali nimi w drzwi z napisem: IZBA PRZYJĘĆ - BIALI PACJENCI.

Curtis O’Keefe niemal biegnąc podązał tuż za nimi.

Pielęgniarz prowadzący nosze z przodu zawołał.

- Ostry przypadek! Przejście! - Niewielka grupa ludzi oczekujących w izbie przyjęć rozstała się na boki, przepuszczając małą procesję. Kilka osób z zaciekawieniem

patrzyło w ślad za nią. Większość spojrzeń zatrzymywało się na woskowej, białej twarzy Dodo.

Wahadłowe drzwi z napisem OSTRY DYŻUR otworzyły się, przepuszczając nosze. W środku znajdowały się pielęgniarki, lekarze, panował ruch. Pielęgniarz zagroził Curtisowi O'Keefemu drogę.

- Proszę tu poczekać.

- Muszę wiedzieć... - zaprotestował O'Keefe.

Przechodząca obok siostra zatrzymała się na chwilę.

- Zrobimy wszystko, co się da. Lekarz porozmawia z panem, kiedy tylko będzie mógł.

- Weszła do środka, zamykając za sobą drzwi.

Curtis stał nieruchomo. Widział wszystko jak przez mgłę, był zrozpaczony.

Niecałe pół godziny temu, po wyjściu Dodo, chodził po saloniku. Myśli kłębiły mu się w głowie. Przeczucie mówiło mu, że z jego życia odeszło coś, czego może nigdy już nie odnajdzie. Oczywiście, kłóciło się to z logiką. W końcu, były przed Dodo już inne i odchodziły. Jakoś przeżył te rozstania. Przypuszczenie, że tym razem będzie inaczej, należało uznać za absurdalne.

Miał jednak ochotę pójść za Dodo, może tylko po to, aby opóźnić ich rozstanie choćby o kilka godzin i przez ten czas jeszcze raz przemyśleć swoje uczucia. Ale zdrowy rozsądek zwyciężył. Pozostał w pokoju.

Po kilku minutach usłyszał syreny. Początkowo nie zwrócił na nie uwagi. Potem jednak, gdy stawały się coraz liczniejsze i najwyraźniej zbliżały się do hotelu, podszedł do okna apartamentu. Zauważył gorączkowy ruch na ulicy i postanowił zejść na dół. Wyszedł tak jak stał - w samej koszuli, bez marynarki. Gdy czekał na dwunastym piętrze na windę, zaczęły dobiegać go niepokojące odgłosy. W ciągu pięciu minut winda się nie pojawiła, na podeście gęstniał tłum, postanowił więc zejść po schodach. Idąc w dół zauważył, że nie tylko on wpadł na ten pomysł. Coraz wyraźniej słyszał też dziwne hałasy. Wykorzystał swoją kondycję lekkoatletyczną i przyspieszył.

Od podnieconych gapiów w holu dowiedział się w ogólnych zarysach, co się stało. Zaczął modlić się gorąco, aby Dodo zdążyła opuścić hotel zanim doszło do wypadku. W chwilę później zobaczył, jak wynoszą ją - nieprzytomną - z szybu windy.

Żółta suknia, która tak mu się podobała, włosy, ramiona zalane były krwią. Na jej twarzy malował się cień śmierci.

W tej samej sekundzie Curtis O'Keefe doznał nagłego olśnienia, uświadamiając sobie prawdę, którą od tak dawna starał się od siebie odsunąć. Kochał ją. Głęboko, namiętnie, z

uwielbieniem niemal nie poddającym się ludzkiemu zrozumieniu. Zbyt późno pojął, że pozwalając Dodo odejść, popełnił największy błąd w swoim życiu.

Myślał teraz o tym z goryczą, patrząc na drzwi prowadzące do sali ostrego dyżuru. Otworzyły się na chwilę, przepuszczając wychodzącą siostrę. Kiedy Curtis skierował się w jej stronę, pokręciła tylko głową i pośpieszyła dalej.

Ogarnęło go poczucie beznadziei. Tak mało mógł zrobić. Ale uczyni wszystko, co będzie w stanie.

Odwrócił się i zaczął iść przez szpital. W zatłoczonych korytarzach i holach przeciskał się przez tłum, podążając za strzałkami i znakami, kierującymi go do wybranego celu. Nie zwracając uwagi na protestujące sekretarki, otworzył drzwi z napisem PRYWATNE. Stał przed biurkiem dyrektora.

Mężczyzna siedzący za biurkiem uniósł się gniewnie z fotela. Kiedy jednak Curtis O'Keefe przedstawił się, jego gniew zelżał.

Piętnaście minut później dyrektor szpitala wyszedł z sali ostrego dyżuru w towarzystwie drobnego, mówiącego cicho mężczyzny. Przedstawił go jako doktora Beauclaire'a. O'Keefe i lekarz uścisnęli sobie ręce.

- Dowiedziałem się, że jest pan przyjacielem tej młodej damy. Zdaje się, że nazywa się panna Lash.

- Co z nią, doktorze?

- Jej stan jest krytyczny. Robimy wszystko, co możemy. Muszę jednak pana uprzedzić, że należy poważnie liczyć się z faktem, że nie przeżyje.

O'Keefe stał w milczeniu.

- Doznała poważnych obrażeń głowy - ciągnął doktor. - Przy wstępnym badaniu stwierdziliśmy, iż nastąpiło wgniecenie kości czaszki. Istnieje prawdopodobieństwo uszkodzenia mózgu przez odłamki kości. Będziemy wiedzieli wszystko dokładniej po zrobieniu zdjęć rentgenowskich.

- Najpierw należy zadbać o podtrzymanie życia pacjenta - wyjaśnił dyrektor szpitala.

Lekarz skinął głową.

- Właśnie dokonujemy transfuzji. Utraciła mnóstwo krwi. Wyprowadzamy ją też ze stanu szoku.

- Jak długo?...

- Pierwszy etap potrwa przynajmniej następną godzinę. Potem, jeżeli zdjęcie rentgenowskie potwierdzi diagnozę, będziemy musieli natychmiast rozpocząć operację. Czy ona ma najbliższych krewnych w Nowym Orleanie?

O'Keefe pokręcił głową.

- W gruncie rzeczy, nie ma to większego znaczenia. W nagłych przypadkach prawo pozwala przeprowadzać operacje bez niczyjej zgody.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Może później. Jeszcze nie teraz.

- Panie doktorze, jeżeli szpital ma jakieś potrzeby... - sprawa pieniędzy, wykwalifikowanej pomocy...

Dyrektor przerwał mu spokojnym tonem:

- To szpital społeczny, panie O'Keefe. Udzielamy pomocy w nagłych wypadkach i zapewniamy opiekę medyczną niezamożnym ludziom. Istnieją jednak takie sprawy, których nie można kupić za pieniądze. W sąsiedztwie mamy dwie akademie medyczne. Ich pracownicy są na każde nasze wezwanie. Powinienem panu powiedzieć, że doktor Beauclair jest jednym z najwybitniejszych neurochirurgów w naszym kraju.

- Przepraszam - powiedział pokornie O'Keefe.

- Może jest jedna sprawa - oznajmił lekarz.

O'Keefe podniósł głowę.

- Pacjentka jest nieprzytomna i pod wpływem środków znieczulających. Wcześniej były chwile, kiedy odzyskiwała przytomność. W czasie jednej z nich wołała matkę. Gdyby można było sprowadzić tu jej matkę...

- Oczywiście. - O'Keefe poczuł ulgę, że coś może w końcu zrobić.

Z automatu telefonicznego w korytarzu zamówił rozmowę z Akron w stanie Ohio. Znajdował się tam hotel O'Keefe-Cuyahoga. Jego dyrektor, Harrison, był u siebie w gabinecie.

- Cokolwiek pan robi, proszę przerwać - polecił mu. - Niech się pan nie zabiera do niczego, dopóki nie zrealizuje pan mojego polecenia.

- Tak jest, proszę pana - usłyszał w słuchawce głos Harrisona.

- Niech się pan skontaktuje z panią Irene Lash. Mieszka w Akron na Exchange Street. Nie znam numeru domu. - O'Keefe pamiętał nazwę ulicy od dnia, kiedy razem z Dodo przesłał tam kosz z owocami. Czyżby rzeczywiście było to zaledwie we wtorek?

Usłyszał, jak Harrison woła do kogoś w biurze:

- Miejską książkę adresową, szybko!

- Niech się pan spotka osobiście z panią Lash - ciągnął dalej O'Keefe. - I przekaże w delikatnej formie wiadomość, że jej córka, Dorothy, została ranna w wypadku i może umrzeć. Chcę, żeby pani Lash przyleciała do Nowego Orleanu najszybciej jak to możliwe. Proszę

wynająć samolot, jeżeli trzeba. Mniejsza o koszty.

- Chwileczkę, panie O'Keefe. - Znowu usłyszał ostre polecenia Harrisona. - Połączcie się z drugiego aparatu z Eastern Airlines - wydział sprzedaży w Cleveland. Potem chcę, żeby podstawiono mi limuzynę z kierowcą pod drzwi na Market Street. - Znowu odezwał się do słuchawki. - Proszę dalej, panie O'Keefe.

Curtis O'Keefe polecił mu, aby kiedy tylko będzie wiadomo, jak wszystko zostało załatwione, przekazał mu wiadomość do szpitala Charity.

Odłożył słuchawkę, przekonany, że polecenia zostaną dokładnie wypełnione. Dobry facet z tego Harrisona. Może warto go przenieść do ważniejszego hotelu.

Dziewięćdziesiąt minut później prześwietlenie potwierdziło diagnozę doktora Beauclair'a. Przygotowano blok operacyjny na dwunastym piętrze. Operacja neurochirurgiczna, jeżeli zostanie doprowadzona do końca, może potrwać kilka godzin.

Zanim przewieziono Dodo do sali operacyjnej, pozwolono Curtisowi O'Keefemu zobaczyć ją przez moment. Była blada i nieprzytomna. Miał wrażenie, że cała jej słodycz i żywotność gdzieś zniknęły. Drzwi do bloku operacyjnego zostały zamknięte.

Matka Dodo była już w drodze. Zawiadomił go o tym Harrison. McDermott z St Gregory'ego, do którego O'Keefe zadzwonił kilka minut temu, miał wysłać kogoś po panią Lash na lotnisko i zawieźć ją bezpośrednio do szpitala.

I teraz pozostało mu tylko jedno. Czekać.

Wcześniej, O'Keefe podziękował dyrektorowi za propozycję odpoczęcia w jego gabinecie. Postanowił, że będzie czekał na dwunastym piętrze bez względu na to, jak długo potrwa operacja.

Nagle poczuł, że chce się pomodlić.

Na sąsiednich drzwiach był napis DLA KOBIET - KOLOROWYCH, a na następnych MAGAZYN SALI POOPERACYJNEJ. Przez szybę w drzwiach zobaczył, że w środku jest ciemno.

Otworzył drzwi i wszedł do środka, szukając po omacku drogi między namiotem tlenowym i płucosercem. W półmroku odnalazł puste miejsce i ukląkł. Podłoga była o wiele twardsza niż klęcznik, do którego był przyzwyczajony. Nie miało to żadnego znaczenia. Złożył ręce i pochylił głowę.

Dziwne, ale po raz pierwszy od wielu lat nie mógł znaleźć słów, aby wyrazić to, co czuło jego serce.

Nad miastem zapadał zmierzch, kojąc emocje końącego się dnia. Wkrótce, pomyślał Peter McDermott, nadejdzie noc, sen, a z nim chwilowe zapomnienie. Jutro wspomnienia dzisiejszych wydarzeń zaczną się zacierać. Już teraz, o zmierzchu, rozpoczął się ten proces, który w końcu zagoi wszystkie rany.

Ale minie jeszcze wiele zmierzchów, nocy i dni, zanim bezpośredni świadkowie tych tragicznych wydarzeń uwolnią się od wspomnień przeżytego dramatu.

Pogrążenie się w wirze zajęć nie przynosiło całkowitej ulgi, ale zdecydowanie pomagało.

Od wczesnych godzin popołudniowych zdarzyło się bardzo wiele.

Siedząc samotnie w swoim gabinecie, Peter sprawdzał wszystko co zostało zrobione i co jeszcze pozostało do zrobienia.

Ponury, smutny zabieg identyfikowania zwłok i powiadamiania rodzin został zakończony. Rozpoczęto przygotowania do udzielenia przez hotel pomocy w organizacji pogrzebów tam, gdzie było to konieczne.

Zatroszczono się również o rannych wymagających tylko pomocy ambulatoryjnej.

Strażacy i policja już dawno odjechali. Zmienili ich inspektorzy wind i dźwigów, którzy badali cały sprzęt, jaki znajdował się w hotelu. Będą pracowali przez całą noc i następny dzień. Tymczasem uruchomiono już część wind.

Pracownicy dochodzeniowi firm ubezpieczeniowych - ponurzy mężczyźni przewidujący już teraz, na jak poważne sumy będą opiewać odszkodowania - intensywnie prowadzili przesłuchania i zbierali zeznania.

W poniedziałek przyleci z Nowego Jorku grupa konsultantów, żeby zaplanować całkowitą wymianę wszystkich wind osobowych na nowe. Będzie to pierwszy poważny wydatek, jaki nastąpi za rządów Alberta Wellsa, Dempstera i McDermotta.

Rezygnacja kierownika technicznego leżała na biurku Petera. Miał zamiar ją przyjąć.

Doc Vickery musi zostać przeniesiony z honorami na emeryturę, której wysokość będzie odzwierciedlała wiele lat nienagannej pracy w hotelu. Peter dopilnuje, aby dobrze go potraktowano.

Monsieur Hèbrand, szef kuchni, również zostanie przeniesiony na emeryturę. Ale odejście starego szefa kuchni musi nastąpić szybko, aby André Lemieux mógł zostać awansowany na jego miejsce.

Od młodego André Lemieux i jego pomysłu stworzenia specjalistycznych restauracji, intymnych barów i przekształcenia całego systemu żywienia gości hotelowych w poważnym stopniu zależeć będzie przyszłość St. Gregory'ego, Hotel nie utrzymuje się wyłącznie z

wynajmu pokoiów. Może mieć codziennie komplet, mimo to zbankrutować. Usługi specjalne - organizacja kongresów, restauracje i bary - były najwaźniejszym Źródłem zysku.

Trzeba będzie również dokonać następných zmian personalnych, zreorganizować działy, na nowo określić zakresy obowiązków. Jako dyrektor naczelny, Peter będzie się zajmował przede wszystkim ogólnymi problemami zarządzania. Musi więc mieć zastępcę, aby nadzorował codzienną pracę firmy. Powinien to być młody, sprawny pracownik, który potrafi narzucić dyscyplinę, ale jednocześnie zdoła ułożyć sobie współpracę z ludźmi od niego starszymi. Absolwent Szkoły Administracji Hotelowej bardzo by się nadał. W poniedziałek, postanowił Peter, zadzwoni do Cornell, do dziekana Roberta Becka. Na pewno utrzymuje kontakty z wieloma zdolnymi byłymi studentami. Może znać kogoś takiego, kto akurat mógłby objąć to stanowisko.

Bez względu na dzisiejszą tragedię, trzeba było myśleć o przyszłości.

Na przykład, o własnej przyszłości z Christine. Myśl o tym dodawała mu siłę i podniecała go. Jeszcze niczego nie uzgadniali. Ale wiedział, że tak się stanie. Christine pojechała już do swojego mieszkania w Gentilly. Wkrótce pojedzie do niej.

Pozostała jeszcze jedna nie skończona i o wiele mniej sympatyczna sprawa. Godzinę temu do gabinetu Petera przyszedł kapitan Yolles z nowoorleańskiej policji. Przyszedł bezpośrednio po przesłuchaniu księżnej Croydon.

- W jej obecności - powiedział Yolles - człowiek siedzi i zastanawia się, co kryje się pod tym lodowcem. Czy ona w ogóle jest kobietą? Czy ją obchodzi, w jaki sposób zginął jej mąż? Widziałem jego ciało. Mój Boże! Nikt nie zasługuje na taką śmierć. A między nami mówiąc, ona również go widziała. Niewiele kobiet zniosłoby ten widok. Ale nic jej nie poruszyło. Żadnego ciepłego odruchu, żadnych łez. Tylko, jak zwykle, zadarta do góry głowa i wyniosłe spojrzenie. Prawdę mówiąc, pociąga mnie jako mężczyznę. Chciałoby się wiedzieć, jaka jest naprawdę.

Detektyw przerwał i zamyślił się.

Potem, odpowiadając na pytanie Petera, Yolles stwierdził:

- Tak, oskarżymy ją o współudział i po pogrzebie zostanie aresztowana. Co stanie się później, czy ława przysięgłych da się obronie przekonać, że to jej mąż dokonał tych wszystkich matactw... W końcu on nie żyje... No cóż, zobaczymy.

Policjant poinformował go, że Ogilvie został postawiony w stan oskarżenia.

- Pod zarzutem udzielenia pomocy w przestępstwie. Potem możemy mu jeszcze coś dorzucić. Wszystko zależy od prokuratora okręgowego. W każdym razie, jeżeli chcecie poczekać, aż wróci do pracy, to nie spodziewajcie się go wcześniej niż za jakieś pięć lat.

- Nie chcemy.

Reorganizacja hotelowej służby detektywistycznej była dla Petera jednym z najważniejszych zadań.

Kiedy kapitan Yolles wyszedł, w gabinecie zapadła cisza. Było już późne popołudnie, prawie wieczór. W pewnym momencie Peter usłyszał, jak drzwi do sekretariatu otwierają się i zamykają. Rozległo się pukanie.

- Proszę wejść! - zawołał.

Wszedł Aloysius Royce. Młody Murzyn niósł tacę, a na nim dzbanek z martini i szklankę. Postawił tacę na biurku.

- Pomyślałem, że może się panu przyda.

- Dzięki - odparł Peter. - Ale nigdy nie piję sam.

- Przyszło mi do głowy, że może pan tak powiedzieć. - Royce wyjął z kieszeni drugą szklankę.

Wypili w milczeniu. Wszystko, co przeżyli tego dnia nie skłaniało do żartów czy toastów.

- Zawiózł pan panią Lash? - zapytał Peter.

Royce skinął głową.

- Zawiozłem ją prosto do szpitala. Musieliśmy przejść odrębnymi drzwiami, ale spotkaliśmy się w środku i zaprowadziłem ją do pana O'Keefego.

- Dziękuję. - Po telefonie Curtisa O'Keefego Peter chciał, żeby na lotnisku matkę Dodo spotkał ktoś, na kim mógłby polegać. Dlatego też poprosił o to Royce'a.

- Kiedy dojechaliśmy do szpitala, właśnie skończyli operację. Jeżeli nie nastąpią jakieś komplikacje, młoda dama, to znaczy panna Lash, wyzdrowieje.

- Cieszę się.

- Pan O'Keefe powiedział mi, że mają zamiar się pobrać. Jak tylko ona lepiej się poczuje. Mam wrażenie, że jej matce podoba się ten pomysł.

Peter uśmiechnął się lekko.

- Przypuszczam, że większości matek by się podobał.

Zapadła cisza, a po chwili Royce powiedział:

- Słyszałem o zebraniu, które odbyło się dzisiaj rano. O pana postawie. I na czym stało.

Peter skinął głową.

- W hotelu zniesiono segregację rasową. Całkowicie. Od tej chwili.

- Przypuszczam, że oczekuje pan na moje podziękowania. Za danie nam tego, co się

nam należy.

- Nie - odparł Peter. - A pan znowu jest kąśliwy. Zastanawiam się, czy zdecyduje się pan zostać z W.T. Wiem, że bardzo by się z tego cieszył, a pan byłby zupełnie wolny. W hotelu jest dużo spraw dla prawnika. Mógłbym dopilnować, żeby część z nich przypadła panu w udziale.

- Dziękuję za propozycję - odparł Royce. - Ale odpowiedź brzmi nie. Dziś po południu powiedziałem panu Trentowi, że odchodzę zaraz po końcowych egzaminach. - Napęlił ponownie szklaneczkę martini i popatrzył na swoją. - Na swój sposób jesteśmy obaj, pan i ja, po przeciwnych stronach. Za naszych czasów problem ten nie ulegnie jeszcze rozwiązaniu. Wszystko, czego się nauczyłem o prawie, mam zamiar wykorzystać dla moich braci. Czekają nas jeszcze dużo walki - prawnej, a także innego rodzaju. Nie zawsze wszystko będzie uczciwe, zarówno po naszej, jak i po waszej stronie. Ale jeśli jesteśmy niesprawiedliwi, nierozsądni, nietolerancyjni, proszę pamiętać, że nauczyliśmy się tego od was. Kłopoty czekają nas wszystkich. Miał pan już tutaj z nimi do czynienia. Zrezygnował pan z segregacji, ale na tym jeszcze nie koniec. Czekają pana dalsze kłopoty - z ludźmi, którym się nie spodoba to, co pan zrobił, a także z Murzynami, którzy nie będą się grzecznie zachowywać i będą powodem konfliktów dlatego, że niektórzy są tacy, jacy są. Co pan pocnie z murzyńskim pyskaczem, murzyńskim spryciarzem, murzyńskim pijanym amantem? Wśród nas są i tacy. Kiedy biali zachowują się w taki sposób, zaciska pan zęby, próbuje się pan uśmiechać i najczęściej przechodzi pan nad tym do porządku. Ale kiedy będą to Murzyni, co wtedy?

- Na pewno nie będzie łatwo - przyznał Peter. - Postaram się być obiektywny.

- Pan tak. Ale inni nie. Ale w końcu, w taki właśnie sposób toczą się wojny. Istnieje jednak pewna dobra strona.

- Jaka?

- Od czasu do czasu będą zawieszania broni. - Royce wziął z biurka tacę z dzbankiem i pustymi szklankami. - To chyba było jedno z nich.

*

Była już noc.

W hotelu dobiegł końca kolejny roboczy dzień. Różnił się od większości innych, ale choć zdarzyły się nieprzewidziane wypadki, przez cały czas trwała normalna praca. Rezerwacje, przyjęcie gości, administracja, obsługa pokoi, wyposażenia technicznego, garażu, skarbcza, kuchni... wszystko połączone było w jedną, spójną całość. Powitać podróżnego, przyjąć go, zapewnić wypoczynek i pożegnać.

Wkrótce cykl zacznie się od nowa.

Zmęczony Peter McDermott szykował się do wyjścia. Wyłączył światła w gabinecie, opuścił część administracyjną i przeszedł przez korytarz biurowego piętra. Koło schodów prowadzących do holu zobaczył w lustrze swoje odbicie. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że garnitur, który ma na sobie, jest wymięty i zabrudzony. Doszedł do wniosku, że musiało się to stać pod szczątkami windy - w miejscu, gdzie zginął Billyboi.

Najlepiej jak potrafił, wygładził marynarkę dłońmi. Usłyszał cichy szelest i sięgnął do kieszeni, gdzie jego palce natknęły się na złożoną kartkę papieru. Kiedy ją wyjmował, przypomniał sobie, że była to notatka wręczona mu przez Christine w chwili, gdy wychodził z zebrania, na którym w walce o swoje zasady postawił wszystko na jednej szali. I wygrał.

Zapomniał o tej kartce. Rozłożył ją z ciekawością. Przeczytał: *Będzie to wspaniały hotel. bo stanie się taki jak człowiek, który go prowadzi.*

Na dole, małymi literkami, Christine dopisała: *PS. Kocham cię.*

Z uśmiechem przyspieszył kroku i ruszył w dół po schodach do holu swojego hotelu.